



KYLIE  
FITZPATRICK

DZIEWIĄTY  
DIAMENT

Prószyński i S-ka

KYLIE FITZPATRICK

DZIEWIĄTY  
DIAMENT

Przełożyła  
Katarzyna Kasterka

*Prószyński i S-ka*

Tytuł oryginału  
THE NINTH STONE

Copyright © Kylie Fitzpatrick, 2005

Ilustracja na okładce Copyright © Chris Mattison, Frank Lane Picture Agency/CORBIS

Projekt okładki Hauptmann & Kompanie Werbeagentur München-Zürich

Redakcja Wiesława Karaczewska

Redakcja techniczna Elżbieta Urbańska

Korekta  
Bronisława Dziejdzic-Wesołowska

Łamanie Aneta Osipiak

ISBN 978-83-7469-539-8

Wydawca  
Prószyński i S-ka SA  
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa  
Drukarnia Wydawnicza im. WL. Anczyca S.A.  
30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

*Na wysokim firmamencie, ponad pałacem Indry, potężnego króla bogów Wschodu, rozpościera się sieć utkana z czystego światła. W każdym węźle splotu tkwi krystaliczny kamień, a wszystkie one błyszczą nie tylko własnym wewnętrznym światłem, ale i blaskiem pozostałych klejnotów - refleksami refleksów całej galaktyki. Ja jestem jednym z tych kryształów; jednym - ale skupiam odbicie wszystkich pozostałych.*

*Często myli się mnie z planetą Wenus, bo na nocnym niebie migocę najjaśniej. Włosi widzą we mnie Amante di Dio - miłość Boga. W Indiach mówią o mnie Warga - a dzielę to imię z gromem, bo razimy z równie potężną mocą. W wielu innych językach nazywają mnie Diament.*

*Jeżeli się uważniej przyjrzeć sieci Indry, można dostrzec, że jej osnowa przesywa wymiar przestrzeni, a wątek - czasu. Ja tkwię w miejscu przecięcia obu - spajam owe nieskończone wymiary, łączę czas i miejsce zdarzeń, jestem narratorem...*

## Diabelski Kwartał, Londyn 1861

**L**ondyn boleśnie zawiódł oczekiwania Sary, ale ostatecznie powinna mieć dość rozumu, by wiedzieć, że nie należy wierzyć papie. Papa twierdził, że Londyn jest wielowiekowym miastem o niezwyklej świetności, codziennie zalany blaskiem słońca, gdzie wszyscy ich powitają z otwartymi ramionami. Utrzymywał, że nikt tam nie głoduje, więc zamiast ziemniaków z wody i praśnego, czarnego chleba każdego dnia będą jadać mięso. I tylko dlatego Sara nie uciekła z domu, nie próbowała się ukryć, ale wsiadła na statek odpływający z irlandzkiego portu Wicklow do Anglii. Bo też nie było nic gorszego od głodu - on mącił ludziom w głowach i zamieniał ich w bestie. W całym hrabstwie Wicklow głód pozostawił ponure ślady: opustoszałe farmy, szerzące się choroby, wioski doprowadzone do ruiny.

Szybko się jednak okazało, że papa nie miał racji. Już pierwszego poranka w Londynie, na rzeczonym nabrzeżu, Sara dojrzała wychudzonych uliczników, walczących między sobą o skrawek chrupkiego pieroga; no i do tej pory ani razu nie widziała kawałka mięsa na swoim talerzu, a jedynie owsiankę na wodzie i suchy chleb. W Diabelskim Kwartale nikt nie był pewien, czy na niebie akurat świeci słońce, bo wąskie uliczki wiecznie spowijał cień. Papa powiedział, że w piwnicznym pokoiku zamieszkają tylko chwilowo, ale przecież mówił to samo o płachcie surowego płótna, którą przed laty zakrywał dziury w dachu ich domku w Wicklow. Gdy zaś chodziło o gościnność londyńczyków - poza odnajmującą im pokój Ruby nikogo nie interesował los nowych mieszkańców miasta.

Jednak Sara O'Reilly nie należała do osób, które by się zadreślały podobnymi sprawami, poza tym miała codziennie urwanie głowy, musiała bowiem pilnować młodszej siostry, Ellen, gdy papa wypływał w

morze na połów śledzi (o ile był na to dostatecznie trzeźwy), a mama brała szycie. Londyn zdawał się małej Ellen nieustannym karnawalem nadzwyczajnych widoków i obcych nacji: po okolicy kręcili się Chińczycy w szerokich stożkowatych kapeluszach, w dokach widywało się marynarzy o skórze czarnej niczym dżety, a w licznych łodziach, pływających po Tamizie - kobiety i mężczyźni w tak wytwornych strojach, jakich nigdy wcześniej Sara i Ellen nie oglądały na oczy.

Całkiem niedawno odkryły Fleet Street i Charing Cross Road, gdzie znajdowały się wydawnictwa, drukarnie, introligatornie i kramy z książkami. Sara nie miała pojęcia, że istnieją podobne miejsca, a teraz - kiedy odkryła ów fascynujący świat - jeszcze bardziej się zawzięła, by poprawić biegłość w czytaniu. W małej lokalnej szkółce radziła sobie lepiej od wszystkich chłopców - głównie dzięki należącej do mamy księżce z opowieściami biblijnymi, a także determinacji, żeby we wszelkich umiejętnościach niczym nie ustępować rodzajowi męskiemu.

No, a skoro w Londynie powstawały książki, nie mogło być to najgorsze miejsce na ziemi.

## Oxford, 2002

Susana nie oczekiwała, że uda jej się natknąć na coś wyjątkowego w Bibliotece Bodlejańskiej - głównej bibliotece Uniwersytetu Oksfordzkiego - ale kilka godzin w rotundzie przy Radcliffe Square zawsze działało na nią relaksująco. Być może tak zbawienny wpływ miały okrągłe mury owej osiemnastowiecznej budowli lub boazerie z ciemnego drewna czy też wysokie okna, z których się rozciągał widok na kilka średnio-wiecznych college'ów o kremowych kamiennych ścianach, częściowo osłoniętych zielonym i czerwonym bluszczem, z gargulcami na dachach, naśmiewającymi się otwarciem z obecnej generacji studentów.

Chociaż nie nastawiała się na żadne niebywałe odkrycie, serce zabiło jej mocniej, gdy wchodziła na dziedziniec przez ozdobną, ceremonialną bramę, wzniesioną na początku siedemnastego wieku. Ponad wejściem widniały rzędy kolumn reprezentujących różne porządki architektury klasycznej: dorycki, joński, koryncki... symboliczne przypomnienie,

że wśród milionów zgromadzonych tu tomów wiele traktowało o kulturze i historii starożytnego świata.

Jako wykładowca Susana miała o wiele łatwiejszy dostęp do materiałów badawczych niż w studenckich czasach, poznała już też większość bibliotekarzy i archiwistów, co dodatkowo ułatwiało jej życie. Mimo to trzeba było ponad roku, żeby ze szkicowego pomysłu na najnowszą książkę wyłonił się wyraziście zarysowany temat: kobiety pióra epoki wiktoriańskiej. Ważnym katalizatorem w tym procesie była ostatnia podróż do Indii i teraz Susana miała nadzieję, że niedawno odnaleziona przez archiwistkę Radcliffe kolekcja listów z drugiej połowy dziewiętnastego wieku pozwoli jej jeszcze precyzyjniej określić zakres pracy. To owe listy przyciągnęły ją dzisiaj do rotundy - podobno zostały podarowane bibliotece przez dawno nieistniejące stowarzyszenie feminizujących literatek i, jak się zdawało archiwistce, miały wiele odniesień do subkontynentu indyjskiego.

Susana postanowiła, że w swojej książce skupi się na wiktoriańskich pisarkach i eseistkach, żyjących w Indiach - była to mało rozpoznana dziedzina i między innymi dlatego zdecydowała się w nią wkroczyć. Niewielu badaczy wsłuchiwało się w ciche głosy dziewiętnastowiecznych kobiet, niewpisujących się w główny nurt wielkiej literatury - częściowo z powodu trudności w odnalezieniu związanych z nimi materiałów - jednak dla Susany oznaczało to nowe wyzwania i interesujące odkrycia. Jej bohaterkami nie miały być doskonale znane pionierki wypraw na Wschód - jak na przykład Annie Besant, którą uznawano za swoistą ikonę w północnoindyjskim mieście Benares, między innymi z racji współpracy z osławioną spirytystką, madame Bławatską. W dziewiętnastym wieku wiele Europejek było na tyle żądnych przygód, aby zamieszkać w egzotycznych krajach. I nawet życie tych, które nie nauczyły się sanskrytu czy nie przemierzyły pustyni na grzbiecie wielbłąda, miało inspirującą moc. W czasach wiktoriańskich paranie się piórem przez kobiety mogło dodawać szacowności, pod warunkiem jednak, że delikwentka zbyt nie intelektualizowała i nie zajmowała się polityką (pierwsze powszechnie wiązano z brakiem urody, drugie - wręcz ze szpetotą).

Stojąc przy oknie w oczekiwaniu na archiwistkę, która poszła po listy do magazynu, Susana patrzyła na studentów wchodzących oraz wychodzących z college'ów Lincoln i Brasenose. To właśnie w kaplicy Lincoln College - wśród wytworów piętnastowiecznej sztuki ciesielskiej, w

łagodnym świetle filtrowanym przez wczesnorenesansowe witraże - spędziła wiele godzin po śmierci Dana, odzyskując spokój w ciszy narbrmiałej modlitwami odmawianymi od wieków - ten sam spokój, jaki ją zawsze ogarniał podczas pełnej skupienia lektury w Bibliotece Bodlejańskiej.

Oksford był rodzinnym miastem Susany, chociaż za życia Dana, jej męża, w okresie semestralnych zajęć dojeżdżała tu pociągiem ze stolicy, bo jak najwięcej czasu chciała spędzać z mężem w jego londyńskim mieszkaniu. Pozostałe wolne chwile poświęcała starzejącym się rodzicom, mieszkającym w północnej części Oksfordu, na obrzeżach uniwersyteckiego parku.

Dorastała otoczona przez akademików, w atmosferze przesiąkniętej historią, ponieważ jej ojciec był dziekanem All Souls College. Toteż nikogo nie dziwiło, że w dzieciństwie wciąż siedziała z nosem w książkach, a potem studiowała historię dziewiętnastego wieku. Zainteresowanie tematyką kobiecą pojawiło się u niej wtedy, gdy zdała sobie sprawę ze szczególnej ułomności wybranego kierunku: skupiał się on głównie na osiągnięciach mężczyzn w owym stuleciu gwałtownego rozwoju industrialnego, a kobiety traktował po macoszemu. W rezultacie Susana prowadziła obecnie wykłady z przedmiotu „Rola kobiet w XIX wieku” i jak dotąd opublikowała dwie książki - naukowe monografie, dotyczące wybranych pisarek epoki wiktoriańskiej.

Usłyszała stukot obcasów i odwróciła się w stronę archiwistki stawiającej na okrągłym stoliku przy oknie niewielką drewnianą szufladę z szafy kartotekowej, typowej dla lat dwudziestych ubiegłego wieku. Kobieta wyraziła nadzieję, że przyniesione dokumenty okażą się przydatne, po czym zniknęła. Susana wzięła głęboki oddech i sięgnęła po arkusz pergaminu, leżący luzem na stosiku staromodnych, poźółkłych kopert. Ujrzała biały wiersz autorstwa Adeli Florence Corey, co uznała za dobry omen, ponieważ to nazwisko często się przewijało w interesujących ją materiałach. I nic dziwnego - Adela była bowiem jedną z tych kobiet, które gnane żądzą przygód, wyjechały do Indii.



# CZEŚĆ PIERWSZA

Nigdy cię nie zapomnę, nigdy. Nie umrze we mnie  
Wspomnienie o tobie, wplecione w najpiękniejsze chwile życia.  
Obraz twojej twarzy przed oczami rani głęboko,  
Gdy się zjawia znienacka i nieoczekiwanie,  
Przywołany aromatem jaśminu, lilii czy delikatnej tuberozy;  
Wszelkich białych kwiatów o słodkiej woni -  
Kwiatów, które uwielbiałam wsuwać ci we włosy.

Adela Florence Corey

# I

Jeżeli go dobrze nawilżyć, zbić na miazgę, połączyć z gumą drzewną i gotować w glinianym naczyniu, wówczas nie ma nic ponad „Timesa” do zatykania dziur i pęknięć w kanoe, co - jakby powiedział pan Pepys - jest w gazecie rzeczą najlepszą.

Mary Kingsley

## Amen Corner, Londyn 1864

**W** pokoiku, gdzie zecerzy pijali herbatę, na trzecim piętrze siedziby „Merkuriusza Londyńskiego”, Sara O'Reilly zwinęła cienkiego papierosa z tytoniu marki Płatki św. Brunona, po czym wyjrzała przez zakurzone okno na ulicę. To była najlepsza chwila długiego dnia, szczególnie wtedy, gdy - jak dzisiaj - musiała nieustannie załatwiać coś na mieście dla Septimusa Hardinga. Z tego też powodu przerwa na herbatę wypadła jej później niż innym zecerom, miała więc brudną kłitkę tylko dla siebie. Stał tu chybotliwy drewniany stół, kilka zydli i miedziane wiadro na kubki. Do ścian ktoś poprzypinał obrazki wycięte z popularnych magazynów za pensa: ilustracje, poźółkłe od słońca i kłębów tytoniowego dymu, przedstawiające roznegliżowane kobiety, reklamujące pończochy i koronkowe gorsety przeróżnych fasonów.

Z trzeciego piętra rozciągał się dobry widok na Paternoster Row, a także, gdy się już uniosła mgła, na wschodni kraniec Fleet Street. Tego wiosennego popołudnia ulica, oglądana z góry, była ruchliwą, wijącą się masą cylindrów i parasoli, przywodzących Sarze na myśl czarne cylindry parowych maszyn drukarskich, stukoczących w piwnicy - które z kolei zawsze jej przypominały, jak wiele miała szczęścia w życiu.

Zamarzyła o pracy pod dachem zeszłorocznej, wyjątkowo ostrej zimy, kiedy się kulila nad kanałem wylotowym jednej z piwnic na Paternoster Row. Poniżej tłoki drukarskiej prasy dudniły i sapały niczym lokomotywa parowa, i Sara pomyślała, że przyjemnie byłoby spędzać

zimowe miesiące w ciepłym pomieszczeniu zamiast sprzedawać jabłka i pęczki suszonej lawendy na ulicy, jak to wówczas czyniła, aby razem z Ellen nie musiały się uciekać do kradzieży. No i gdyby Sarze się udało zarobić jakieś prawdziwe pieniądze, Ellen nie spędzałaby tyle czasu samopas - mogłaby wreszcie pójść do szkoły.

Sara od długiego czasu nosiła się jak chłopak, bo właśnie takie ubranie zostało po poprzednim lokatorze piwnicznego pokoiku w tawernie „Biały Jeleń” - pokoiku, w którym teraz Sara i Ellen mieszkały już same. Ruby, właścicielka tawerny, powiedziała, że chłopiec, do którego należały te rzeczy, zginął, ponieważ był kominiarczykiem\*. Nikt się nie zorientował, że utknął w kominie, i ogień rozpalony poniżej zadusił nieszczęśnika, wypełniając mu płuca gorącym dymem. Portki zbyt się nadpałyły, żeby można je włożyć, nie urągając przyzwoitości, ale buty prawie pasowały, a kaszkiet był na tyle duży, że zakrywał niemal połowę drobnej twarzy Sary.

\* W wiktoriańskiej Anglii sieroty i bezdomne dzieci były masowo zmuszane do tej strasznej pracy. Nawet czterolatki wysyłano w górę przewodu kominowego, by go czyściły ze złogów sadzy. Żeby dziecko nie mogło uciec i przeszło przez cały przewód do samej góry, na dole w kominku rozpalano ogień. Wskaźnik umieralności wśród tych dzieci był wyjątkowo wysoki. Często ginęły właśnie na skutek zaklinowania się w przewodzie - uduszenia, zaccadzenia i/lub śmiertelnych poparzeń, a także, po zaledwie paru latach tej nieludzkiej pracy, w wyniku chorób układu oddechowego. U tych, które przeżyły dłużej, bardzo często się rozwijały różne formy nowotworów lub/i choroby umysłowe (przyj. tłum.).

Pewnego dnia Sara wpadła na genialny pomysł - nazwała się Samem. I wówczas zatrudnił ją Septimus Harding, wydawca „Merkurium Londyńskiego”, w charakterze chłopca na posyłki. Niewiele brakowało, a pewnego razu z powodu nadmiernej ciekawości straciłaby posadę. Papa nieraz utrzymywał, że owa ciekawość ją kiedyś zgubi. Ale czyż ciekawość nie była typowa dla irlandzkiej duszy? Sam papa zwykł tak mawiać, kiedy popijał whisky i popadał w rzewny nastrój. Wtedy także często wspominał o zarazie ziemniaczanej i o złowrogim tchnieniu złośliwego licha. Ciekawe, czy to z powodu swojej irlandzkiej duszy papa był zazwyczaj zbyt pijany, żeby wypływać na połów śledzi - przez co mama musiała harować ponad siły?

W opinii Sary ojciec zszedł ze statku, którym wszyscy razem przyплыли z Wicklow, z nadzieją na lekkie, przyjemne życie. Sądził, że w

Londynie uda mu się zbić fortunę, nawet jeżeli nie będzie się o to starał. I jedno trzeba mu przyznać - nie starał się nigdy. I ani razu nie przejrzał na oczy - nie pojął, jak ciężko trzeba walczyć o przeżycie w tym metropolitalnym molochu. Ruby twierdziła, że Irlandczycy są w stanie przetrwać na dużo skromniejszych racjach żywności niż pozostali śmiertelnicy - i dlatego przestała sprzedawać papie swoją dobrą whisky. Oświadczyła, że whisky ma sobie kupować gdzie indziej, ponieważ ona nie zamierza mu ułatwiać przepijania pieniędzy na ciepłą strawę dla rodziny.

Pewnego wieczoru, gdy już wszyscy pracownicy poszli do domu, Sara weszła na trzecie piętro wydawnictwa, po czym zaczęła myszkować po zecerni i wówczas ciekawość przyciągnęła ją do kaszty z czcionkami w króbkach. Najpierw na wierszowniku Sara ułożyła krótkie słowo, które skopiowała z odręcznie napisanego artykułu, wciąż leżącego na pulpicie. Potem ułożyła słowo dłuższe. Wreszcie całe zdanie. Kiedy w końcu jej obecność odkrył nocny stróż, była niczym w transie - i zapewne dlatego nie usłyszała pobrzękiwania kluczy, zwiastującego nadejście stróża. Bez wątpienia następnego ranka wylądowałyby z powrotem na mroźnej ulicy, gdyby nie dobre serce Septimusa Hardinga, który nie tylko jej nie wyrzucił, ale przyjął na zecerskiego terminatora i podniósł tygodniówkę o dwa i pół pensa.

Septimus Harding szybko przejrzał maskaradę Sary, podobnie jak wszyscy pracownicy zecerni. Pan Harding uznał wówczas, że to nie do pomyslenia, by w gazecie zatrudniać dziewczynę, ale od razu też dodał, że jest zadowolony z jej pracy, a poza tym nie chciałby patrzeć, „jak prawdziwie bystry umysł idzie na zmarnowanie”. Sara nadal więc nosiła portki, a na jej obecność w wydawnictwie wszyscy szybko przestali zwracać uwagę.

Tak, miała dużo szczęścia, zdecydowała w duchu, splatając palce uwalane farbą drukarską wokół cynowego kubka i spoglądając na ulicę. Sprzedawca książek właśnie rozłożył nad swoim kramem pasiastą markizę, bo niebo groziło deszczem, po czym stanął w drzwiach oficyny wydawniczej w samej tylko koszuli, chociaż na bruku nadal widniały lachy topniejącego, pokrytego sadzą śniegu. Miał mocno zaróżowione policzki od jednej lub dwóch miarek rumu, które zapewne wychylił pod zapiekankę z wieprzowiną. Sara nieraz widziała, jak tak robił w sąsiadującej z oficyną jadłodajni „U Dolly”.

Nieopodal kramu z książkami stał wózek sprzedawcy pieczonych kasztanów, przy którym właśnie się zatrzymała dwójka jasnowłosych dzieci. Towarzysząca dzieciom guwernantka w typowym dla jej profesji uniformie z granatowej serży, próbowała sykaniem pogonić podopiecznych naprzód. Dzieciaki jednak uparcie tkwiły w miejscu i zacierały ręce nad rozżarzonymi węgielkami, aż w końcu starsze z nich - żywy, ładny chłopiec - zaczęło prosić o kasztany. Siostra z nadzieją w oczach przyglądała się niesforememu zachowaniu brata, zachowując jednak powagę typową dla dziewczynek z jej sfery. Patrząc na tę małą, Sara nie po raz pierwszy dziękowała losowi za wolność, jaką się mogła cieszyć. Po przyjeździe do Londynu szybko stwierdziła, że dziewczynki uprzywilejowane z racji urodzenia i bogactwa tak naprawdę żyją w luksusowych więzieniach. Ta blondyneczka miała buzię porcelanowej lalki, włosy skręcone w sprężynki i przywodziła na myśl Ellen - czy raczej uświadomiła Sarze, jak Ellen mogłaby wyglądać, gdyby zeszkrobać z niej węglowy pył oraz muł rzeczny, rozczesać jasne włosy i ubrać ją w ładną sukienkę.

W chwili gdy guwernantka dała za wygraną i rozwiązała sakiewkę, na wysokości wózka z kasztanami zatrzymał się omnibus w jaskrawych barwach - ciągniony przez pobrzękujące podkownikami, masywne, zimnokrwiste konie - i zasłonił rozgrywający się na ulicy spektakl. Kiedy w końcu z hurkotem odjechał, Sara ujrzała panią Korechnya, zmierzającą w stronę ich wydawnictwa - zapewne na spotkanie z Septimusem Hardingiem, jak ongiś czyniła każdego tygodnia. Tej zimy jednak nie była tu częstym gościem, zmarł bowiem jej mąż, a wkrótce ona sama zapadła na zdrowiu.

Lily Korechnya była obiektem szczególnego zainteresowania Sary, ponieważ zdecydowanie się różniła od wszystkich innych dam. Co nie znaczy, że Sara miała okazję osobiście poznać jakąś prawdziwą damę; no, może poza żoną pastora z Kółka Dobroczyngo Chrześcijańskich Kobiet - ale ona się nie liczyła, bo rosły jej włosy na brodzie. Co się zaś tyczy pani Korechnya - to ona przede wszystkim nigdy nie nosiła kapelusza ani mantylki na włosach. Sarze się nie podobały obowiązujące w tym sezonie kapelusze, a widziała ich naprawdę wiele, bo z wysokości trzeciego piętra ten element damskiej garderoby mogła zaobserwować najlepiej. Większość z kobiecych nakryć głowy wyglądała gorzej od sroczego gniazda - były przeładowane piórami, wstążkami i świecidełkami wszelkiej maści. Jakiś wysoki dżentelmen mógłby bez trudu wziąć

niektóre z nich za przybornik do szycia i zniechęcić się do oświadczyń. A tymczasem zamąpójście było głównym celem dam strojących się w wymyślne kapelusze i paradyjących po Paternoster Row, po Strandzie czy Oxford Street. O! Tyle Sara już się zdołała o nich dowiedzieć. Natomiast pani Korechnya zawsze zakrywała głowę zwykłym kapturem, by - w opinii Sary - niczym nie przyciągać uwagi dżentelmenów. Jej suknie były wąskie i proste i nie miały nic wspólnego z pokracznymi, głupimi krynolinami. Sara żywo się interesowała modą, chociaż teraz miała mniej okazji do śledzenia jej trendów niż wtedy, gdy stała z koszykiem jabłek przy Cathedral Corner. Inni zecerzy z okien palarni także często obserwowali przechodzące ulicą kobiety. Oni jednak nie zwracali uwagi na krój staników - ich fascynowało to, co się pod nimi kryło.

Sara jednym haustem dopiła resztkę cienkiej herbaty - cienkiej, chociaż naciągała w wielkim żeliwnym garze od samego rana (teraz naturalnie była na dodatek całkiem zimna), po czym odłożyła cynowy kubek do wiadra i weszła do zecerni, żeby zabrać na dół wierszowniki z gotowym składem gazety.

Dudnienie drukarskich maszyn niosło się przytłumionym echem po dużej sali trzeciego piętra o wysoko sklepionym suficie i podłodze z surowych desek. Chociaż nie sprowadzono tu jeszcze nowoczesnych, amerykańskich maszyn do składania druku, zecernia była pełna własnych odgłosów: szurgotu zydlu o podłogę, szelestu papieru, zgrzytania metalu o metal przy ryciu matryc. Dwudziestu kilku zecerów, stereotypistów i metrapaży siedziało w ośmiu rzędach - osiem rzędów kamizelek pochylonych nad pulpitemi. Nie zwrócili uwagi na Sarę (nie robili tego z zasady) ani na czarnego szczura o lśniącej sierści, wężącego przy drzwiach do pokoju z herbatą. Nabożnie oddawali się składaniu wąskich szpalt: były to sprawozdania parlamentarne i wieści z posterunku przy Marlborough Street, kroniki portowe, ogłoszenia i nekrologi, pitawale i doniesienia policyjne, recenzje i raporty o pożarach. Sara uwielbiała widok wypełnionych wierszowników, leżących na ławie, i tablic z makietami gazety, ustawionymi na sztalugach. Kochała zapach papieru i farby drukarskiej. Czowała dumę, że ma swój udział w tak intelektualnym przedsięwzięciu.

Sala zecerni służyła ongiś „innej formie nabożnej pracy”, jak z lubością mawiał Septimus Harding. Przed wiekami w tym budynku wytwarzano różańce dla katedry Świętego Pawła (do czasu aż spłonęła w

Wielkim Pożarze\*). Pan Harding utrzymywał, że to właśnie wówczas mały trójkąt uliczek u wylotu Paternoster Row został nazwany Amen Corner. Potem mieszkała tu i prowadziła warsztat kupiecka rodzina koronczarzy, aż w końcu cała ulica przeszła we władanie wydawców i introligatorów, którzy - nie mogąc się już pomieścić na Fleet Street - wylali się szeroką falą na sąsiednią ulicę.

\* Wielki Pożar wybuchł w Londynie 2.09.1666 i w ciągu pięciu dni strawił niemal całe miasto (przyp. tłum.).

Przez cały dzień Sara się zmagала z wyjątkowo trudnym składem - reklamą Leczniczego Kordiału Syryjskiego Perry'ego. Nigdy wcześniej nie pracowała nad tak długim tekstem i wzięła sobie za punkt honoru, żeby nie popełnić w nim ani jednego błędu. Sarze zależało, aby pan Harding był z niej zadowolony, a poza tym chciała mieć powód do dumy z własnej pracy.

Kiedy z uwagą czytała tekst reklamy, natknęła się na całkiem nieznanne jej słowo - *spermatorrhoea*. Jakakolwiek była natura tego schorzenia - musiało wymagać gwałtownej kuracji, skoro tak wiele najnowszych esencji i eliksirów służyło jego leczeniu. Już jedna dawka kordiału Perry'ego miała „od razu umożliwić mężczyźnie wypełnienie najświętszych obowiązków małżeńskich, a jednocześnie zapewnić zdrowie, wigor i długotrwałą sprawność”. Przy cenie dwunastu szylingów za miarkę był to z pewnością eliksir niezwykle, o błogosławionych właściwościach, tym bardziej że choroba, którą zwalczał, musiała mieć coś wspólnego z Bogiem, bo przecież chodziło o wypełnianie najświętszych obowiązków...

Kiedy już starannie ułożyła wierszowniki jeden na drugim, a nieznośny Jack Thistlewite przekazał jej wiadomość dla Septimusa Hardinga (Jack zawsze chętnie krytykował coś w tekstach idących do druku - to dodawało mu poczucia własnej ważności), Sara z przyzwyczajenia naciągnęła kaszkiet głębiej na oczy i ruszyła w stronę tylnych schodów, które wolała od centralnej klatki schodowej. Tylnego wyjścia w zasadzie nie używał nikt poza sprzątaczką Nelly, do której obowiązków należało zamiatanie drugiego piętra i zabieranie wiadra z brudnymi kubkami. Tam też często Sara umykała na papierosa, gdy rozmowy w pokoju herbacianym stawały się zbyt sprośne jak na jej gust. Zecerzy często zapominali, że była dziewczyną, lub też - co bardziej prawdopodobne - po prostu mieli to w nosie.

Biuro Septimusa Hardinga mieściło się na pierwszym piętrze. Na dole się znajdowały pokoje zwykłych gryziopiórków, a także korektorów i regularnie pisujących dla gazety autorów. Tam też stało potężne biurko pana Parsimmonsa, sekretarza redakcji, wzbudzającego powszechny postrach. Tak naprawdę był całkiem niegroźny, ale wiele osób na jego widok odczuwało lęk z powodu surowości jego stroju i sposobu bycia. Na dodatek odznaczał się niebywałą chudością, miał haczykowany nos i jakby siłą naciągniętą na czaszkę skórę twarzy, poznaczoną przy tym bliznami po ospie. Pan Parsimmons od ponad roku nosił czarny fontaż, co oznaczało, że jest w żałobie po kimś bardzo bliskim.

Żałoba stanowiła dla Sary koncept dość dziwaczny - Irlandczycy bowiem nie odnosili się do śmierci z jakimś szczególnym respektem. Ona sama widziała wiele trupów w życiu, jako że w domach irlandzkiej biedoty umarli długo przebywali w jednym pomieszczeniu z żywymi - zazwyczaj ułożeni na zestawionych krzesłach, ponieważ stół był zbyt potrzebnym sprzętem, żeby pełnić funkcję mar. Papa był razem z nimi ponad tydzień po tym, jak umarł, i Ellen nawet wynalazła zdechłą myszkę, którą zamierzała położyć u jego stóp (mama jednak znalazła mysz i wyrzuciła za okno). Przez ów czas wszystkie kobiety rodziny O'Reilly miały możliwość się oswoić z myślą o śmierci papy. Tak samo zresztą było po zgonie mamy - Sara i jej siostra czuły się bezpiecznie, mając ją wciąż u boku. Tylko niemowlak, który zmarł przed mamą, natychmiast zniknął z pokoju. Mama nie chciała na niego patrzeć, poprosiła więc Ruby, żeby go od razu zabrała. I w końcu to właśnie Ruby zajęła się wszystkimi ciałami. Najpierw papą. Gdyby to od niej zależało, wyeksponowałyby go ze swojej piwnicy już następnego dnia po śmierci. Sara i Ellen musiały nawet udawać przed bywalcami „Białego Jelenia”, że ich ojciec się wybrał na jeden ze swoich „rajdów po Londynie”, jak mawiała mama, gdy bez uprzedzenia zniknął z domu na kilka dni. Bo też niemożliwe, żeby stali klienci jadłodajni nie zauważyli nieobecności przy barze takiego gawędziarza i żartownisia.

Wszyscy bliscy Sary zostali pogrzebani za Polami Powroźników, na cmentarzu, gdzie nie było żadnych wymyślnych nagrobków ani pięknych kamiennych aniołów, lecz jedynie rzędy prostych, drewnianych krzyży, na których wyryto nazwiska - głównie o irlandzkim brzmieniu. Teraz na trzech z nich widniało „O'Reilly”. Sara i Ellen zebrały pierwsze



fiolki, jakie się pojawiły pod drzewami w Watergate Gardens, ale kwiatki zwiędły, zanim one dotarły do Pól Powroźników - z Diabelskiego Kwartału szło się tam na piechotę grubo ponad godzinę.

Pan Parsimmons wysłał raz Sarę do wielkiego, dwupiętrowego składu towarowego na Regent Street po pudło z papierem o czarnym obramowaniu. Artykuły piśmienne znajdowały się na ostatnim piętrze. Na pozostałych - czarne kapelusze, płaszcze i peleryny, czarne chusteczki i rękawiczki, trzewiki i pantofelki, torebki i spacerowe laski. A nawet halki, pantalony i gorsety - wszystko czarne lub obszywane czarną wstążką. Były tam również wielkie bele czarnego jedwabiu, bombazyny, krepy, wełny z merynosów oraz koronek. Minęła dłuższa chwila, zanim Sara się zorientowała, że to wszystko ma służyć uczynieniu ze śmierci wielkiego spektaklu; ludzie, którzy kupowali i nosili owe rzeczy, chcieli pokazać światu, jak głęboki jest ich smutek po stracie kogoś bliskiego.

Zza ostatniego zakrętu pogrążonych w mroku tylnych schodów wyraźnie było widać korytarz wiodący do biura Septimusa Hardinga. To tutaj Sara zazwyczaj siadała na papierosa - sama niewidoczna, mogła obserwować, kto wchodzi do wydawcy i kto od niego, wychodzi. „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła” - zwykła mawiać Ruby, ilekroć przyłapała Sarę na podsłuchiwaniu rozmów, jakie prowadzili przy barze bywalcy „Białego Jelenia”.

Akurat w tym momencie od pana Hardinga wyszła pani Korechnya, a ku drzwiom biura zmierzał inspektor Lark z Marlborough Street. Minęli się w holu - inspektor uchylił kapelusza i oboje wymienili pozdrowienia. Pani Korechnya zostawiła pelerynę na dole i dzięki temu Sara mogła się dokładnie przyjrzeć jej sukni: aksamitnej, koloru portwajnu, przy mankietach i kołnierzu trymowanej delikatną, bez mała pajęczą koronką, o niemiodnie wąskiej spódnicy i staniku bogato wyszywanym fiołkoworóżową i srebrzystozieloną nicią oraz maleńkimi perełkami, przywodzącymi na myśl wczesnowiosenne przebiśniegi. Sara nigdy nie widziała niczego, co by przypominało kostiumy pani Korechnya, ale nieraz słyszała, jak zecerzy mówili, że Lily jest związana z bohemą. Wiedziała, że pan Korechnya pochodził z Pragi, bo wszystko, co dotyczyło jego żony, było drobiazgowo roztrząsane w pokoju herbacianym. Była ona tak częstym tematem rozmów, ponieważ poza nią niewielu autorów przychodziło na drugie piętro, a już nigdy nie zaglądała tu żadna kobieta - naturalnie

poza Nelly, sprzątaczką. Na dodatek Lily nie nosiła gorsetu i zapierała dech w piersiach swoją urodą. Czarne włosy spinała na karku delikatną srebrną klamrą w kształcie motyla o skrzydłach wysadzanych kolorowymi klejnocikami, dalej zaś puszczała luźno. A do tego pachniała wodą różaną. I nie nosiła żałobnej czerni, chociaż jeszcze nie minął rok od śmierci jej męża.

Inspektor Lark dłuższą chwilę odprowadzał panią Korechnya wzrokiem i dopiero gdy zniknęła w głębi korytarza, zapukał do drzwi biura pana Hardinga. Sara zaczęła się tymczasem zastanawiać, czy inspektor wie, że piękna Lily się przyjaźni ze słynną Barbarą Bodichon, która pisuje listy do „Guardiana”, domagając się w nich zmiany legislacji na korzyść kobiet ulicznych, a nie ich klientów, żąda przyznania mężatkom prawa do zachowania majątku osobistego i również nie nosi gorsetu. Najprawdopodobniej inspektora Larka to wszystko nie gorszyłoby w najmniejszym stopniu, codziennie bywał bowiem w najbardziej zakazanych zakamarkach miasta i poznał prawdziwie zepsute kobiety. Sara odczekała, aż inspektor wejdzie do biura, po czym powoli zeszła ze schodów. Zapukała do tych samych drzwi, za którymi zniknął policjant, i usłyszała pomruk Septimusa Hardinga, oznaczający zazwyczaj „wejść”.

Biuro wydawcy składało się z dwóch pomieszczeń w amfiladzie, połączonych potężnym drewnianym łukiem. Tylko w pierwszym panował wzorowy porządek i nie uświadczono się kurzu (bo Nelly nigdy w życiu nie odważyłaby się podejść bliżej wydawcy, który zawsze urzędował w pokoju położonym w głębi), i tam właśnie pan Harding się spotykał z kierownikami działów. Siadali wówczas wokół niskiego okrągłego stołu, w fotelach obitych zieloną skórą, i dyskutowali o wynikach sprzedaży, bieżących artykułach oraz tematach podejmowanych przez inne poważne gazety.

- Eh-hem, Saro - mruknął Septimus Harding na powitanie, spoglądając na Sarę znad okularów w kształcie półksiężyców. Jego już i tak przybrudzony, u zarania biały fontaż - wywiązany na dziwną modłę, upodabniająca wydawcę do duchownego - był przysypany popiołem z fajki, a na mankietach koszuli widniały plamy atramentu. Sara zauważyła też, że guzik kamizelki pana Hardinga, od tygodnia wrywający się na wolność, wreszcie odpadł. Wydawca zawsze sprawiał wrażenie wymiętego i zaniedbanego - podobnie jak jego biuro. Ale umysł tego człowieka

był wyjątkowo uporządkowany, wręcz pedantyczny. Słuchając pana Hardinga, Sara miała wrażenie, że wyraża się on równie precyzyjnie, jak kreśli piórem maczanym w czerwonym atramencie po marnym artykule. Nie znosił „zagmatwanego” stylu oraz natłoku słów i sam się zawsze wyrażał zwięźle: jeżeli tylko mógł zastąpić całe zdanie jednym słowem lub słowo pomrukiem - zazwyczaj to robił.

Inspektor Lark skinął Sarze głową. Stał (nigdy nie siadał) zwrócony plecami do kominka. Zawsze się ubierał elegancko, jak przystało na dżentelmena, choć nikt nie nazwałby go dandysem. Miał ciemne oczy i ciemne włosy oraz smagłą cerę, nie był jednak pięknym mężczyzną, a niekiedy przybierał taką minę, że się zdawał wręcz szpetny. Nosił idealnie skrojone palto, chociaż nie w najmodniejszym fasonie, i zawsze miał starannie przystrzyżone bokobrody. Ale w jego wyglądzie najbardziej intrygowało coś całkiem innego - mimo że często musiał chodzić po ulicach biedoty, tonących w brudzie i błocie - jego trzewiki były idealnie czyste. Wpatrując się z zafascynowaniem w owe wyglansowane buty, Sara położyła wierszowniki na biurku wydawcy. Inspektor tymczasem zapalił cienką cygaretkę i zaciągnął się głęboko. W przepastnym pomieszczeniu już się unosiło sporo dymu z powodu węgla płonącego w kominku i fajki pana Hardinga.

Jednak nie dym był najbardziej charakterystyczną cechą biura wydawcy, ale sięgające do sufitu, zapchane książkami półki, otaczające ściany. Sara nigdy nie widziała tylu książek w jednym miejscu - nawet w największych kramach przy Fleet Street czy Charing Cross Road. Poza tym w pokojach pana Hardinga było dużo cieplej niż na drugim piętrze, a także działo się tu dużo więcej interesujących rzeczy. Sara uwielbiała przychodzić do biura wydawcy.

- Doskonale, doskonale - mruknął Septimus Harding, żując ustnik fajki i spoglądając na wierszowniki. - Coś jeszcze, Saro? - spytał, gdy zobaczył, że dziewczyna nie tylko nie zbiera się do wyjścia, ale na dodatek zdjęła kaszkiet z głowy. - Jakież wiadomości z góry, czy tak?

Błysk rozbawienia pojawił się w jego niebieskich oczach, nad którymi sterczały niebywale krzaczaste, czarne brwi, ostro kontrastujące barwą z siwizną bokobrodów i zmierzwionych włosów.

- Owszem, sir. Pan Thistlewite twierdzi, że dzisiejszy raport z portu to kompletne dyrdymały.

Dobiegł ją z trudem tłumiony śmiech inspektora.

- Doprawdy? A co ty o tym sądzisz?

Sara wzruszyła ramionami.

- Nie mam zdania, sir. Kroniki portowe nie budzą we mnie emocji.

- Co w takim razie wzbudza twoje emocje? - włączył się Lark.

- Artykuły pana Melville'a. Szczególnie kiedy pisze, że Diabelski Kwartał to śmierdzący rynsztok, w którym nocami kłębi się jedynie robaństwo podejrzanego konduity. Takie pisanie to dopiero dyrdymały, aż miło!

- A więc rozumiem, że znasz owe okolice?

- Tam mieszkam, sir. I dobrze wiem, co oznacza każde ze słów użytych przez pana Melville'a.

Sara mówiła o tym z niekłamana dumą, ale i całkowitą szczerością. Nie odważyłaby się przecież skłamać w obecności inspektora, bo on uosabiał prawo.

- Tak. Słyszałem, że jesteś elokwentna, Saro. I wysoko cię cenię jako kobietę reprezentującą prasę.

Nie tak wysoko, jak panią Korechnya, zdecydowała w duchu Sara. Głośno powiedziała natomiast:

- Dziękuję, sir. - Po czym się zwróciła w stronę wydawcy. - Co to jest spermatorrhoea?

Septimus Harding niemal się zadławił własną fajką, inspektor Lark natomiast parsknął pod nosem śmiechem.

- A niech to! - mruknął wydawca. - Kto ci dał do składania reklamę Perry'ego?

- Pan sam, sir.

- Piekło i szatani! Niekiedy zapominam, że jesteś dziewczyną. A teraz uciekaj. Mam ważną sprawę do omówienia z panem Larkiem.

- Tak jest, sir. Czy chodzi o morderstwo?

Lark miał taką samą minę jak wtedy, gdy prowadził śledztwo w sprawie dwóch prostytutek, znalezionych z poderżniętymi gardłami na St. Giles.

- Owszem.

Sara naciągnęła na głowę kaszkiet i niechętnie ruszyła ku wyjściu - nie był to najlepszy moment, by przypominać wydawcy, że w końcu jej nie wyjaśnił natury najświętszej przypadłości, zwanej spermatorrhoea. Ledwo się odwróciła, a Septimus Harding natychmiast zapomniał o jej istnieniu i skupił całą uwagę na inspektorze. Korzystając z okazji, Sara

nie domknęła za sobą drzwi, co - zgodnie z jej oczekiwaniami - pozostało niezauważone. Zatrzymała się w miejscu, z którego mogła wszystko słyszeć i obserwować.

- To jeszcze dzieci, Septimucie. Małe dziewczynki, paradujące wzdłuż Betty Street między północą a wschodem słońca. Ich własne matki skazują je na taki los - to znaczy te z owych nieszczęsnych istot, które w ogóle mają matki...

- Wiem, John. Wiem. Paskudna sprawa. Czy doszło do gwałtu?

Lark skinął głową i zapalił kolejną cygaretkę.

- Septimucie, dopilnuj, żeby Melville nie uderzał w zbyt melodramatyczne tony, dobrze? Nie chcę, aby twoi czytelnicy doszli do wniosku, że policja, zamiast się zajmować ochroną obywateli, uczestniczy w marnym spektaklu. Czyżbym powiedział „ochroną”? To rzeczywiście paradne! Ochrona to fikcja, ale przynajmniej musimy na stałe zaistnieć w publicznej świadomości jako stróże prawa, nawet jeżeli nie jesteśmy w stanie chronić życia dzieci.

Inspektor Lark wrzucił niedopałek cygaretki do kominka, włożył kapelusz, po czym pożegnał się z wydawcą. Ruszył do wyjścia tak szybko, że Sara ledwo zdążyła czmychnąć na tylne schody i skryć się w mroku.

- Do zobaczenia, Saro - rzucił w nieokreśloną przestrzeń inspektor i energicznie ruszył przed siebie korytarzem.

Wracając do domu tego wieczoru, Sara nie mogła się uwolnić od myśli o dziecięcych burdelach na Betty Street, a także o tych leżących dużo bliżej Diabelskiego Kwartалу, przy Dock Street. Dotarło do niej, że niewiele brakowało, by nocną porą sama zaczęła się przechadzać pomiędzy Piccadilly Circus a Waterloo. Dobrze wiedziała, jak dużo płacono za dziewictwo - „niechący” usłyszała to przy barze pod „Białym Jeleniem”. Kiedy ofiarą cholery padła mama i małeńki braciszek, Sara i Ellen zostały niemal bez środków do życia i przyszłość się rysowała w najczarniejszych barwach. Na ulicach widywało się wiele dziewcząt, pracujących w fabrykach zapalek, o szczękach przeżartych trucizną. Owa trucizna nazywała się fosfor i była zabójcza.

Mama zawsze powtarzała, że wolałaby umrzeć niż się nająć do pracy w fabryce. Więc kiedy już poważnie zapadła na zdrowiu, kazała Sarze przysiąc, że mała Ellen nigdy nie zostanie skazana na los fabrycznej wyrobniczki. Mama wiedziała, że Sara umie o sobie zadbać, ale nieustannie się martwiła o los młodszej córki; Ellen była nadzwyczaj ufna, a poza tym niekiedy dziwnie nieobecna duchem.

Kiedy whisky już na dobre zawładnęła papą, mama zaczęła brać więcej szycia. W szczycie sezonu, między kwietniem a lipcem, siedziała przy stole od szóstej rano do północy, przyszywając aksamitny kołnierz do sukni z tafty w pastelowe paski lub maleńkie satynowe guziczki do bawełnianych rękawiczek. Nigdy się nie kształciła na krawcową, ale zręcznie umiała udrapować rozetkę, ułożyć zgrabne plisy czy obszyć brzeg dekoltu koronką lub wstążką, tak że kreacja wyglądała modnie i świeżo. Niekiedy wkładała jakąś suknię na Sarę, żeby zobaczyć, jakie są efekty jej pracy, i wówczas Ellen dostawała napadu śmiechu, bo niespodziewanie siostra - na co dzień nosząca wytarte portki i za duży kaszkiet - przekształcała się w prawdziwą damę.

Ilekcć Sara myślała o mamie, widziała ją siedzącą przy stole, pochyloną nad fałdami eleganckiej tkaniny, raz po raz spoglądającą na łojową świecę z lękiem, że się wypali przed ukończeniem pracy. W piwnicznym pokoiku panował wieczny mrok, bo przez maleńkie okienko wpadała ukośnym promieniem jedynie odrobina dziennego światła i mnóstwo kurzu z położonej powyżej ulicy. Kręcone, miedzianorude włosy mamy opadały kosmykami na jej twarz i przyklejały się do czoła w letnim upale lub wtedy, gdy mama nie czuła się najlepiej. A poprzedniego roku niemal bez przerwy szwankowała na zdrowiu - odkąd umarł tata, była słaba, niedożywiona i nie miała dość mleka, żeby wykarmić niemowlaka, nic dziwnego więc, że oboje padli ofiarą cholery.

Do czasu ukończenia przez Sarę trzynastego roku życia mama zamierziała odłożyć dwadzieścia funtów i za te pieniądze wysłać starszą córkę do terminu u krawca z Cheapside, by wykształcił ją na szwaczkę z prawdziwego zdarzenia. Za ów przywilej Sara nie otrzymywałaby żadnego wynagrodzenia, a jedynie wyżywienie i kąpiel do spania, poza tym zobowiązana byłaby do pracy w dzień i w nocy, a rodzinę mogłaby odwiedzać w jedną niedzielę w miesiącu. I mimo wstrętu na myśl o podobnym zajęciu Sara by to zrobiła, żeby choć odrobinę ulżyć mamie. Ale to już była przeszłość. Do chwili śmierci mama zdołała zgromadzić siedem funtów i sześć pensów, i za te pieniądze Sara utrzymywała siebie i Ellen do czasu, aż ją zatrudnił Septimus Harding.

O tym właśnie rozmyślała, zmierzając w stronę Puddle Dock. Tam skręciła nad rzekę. Istniało wiele dróg, którymi można było dojść z Amen Corner do westminsterskich ulic zabudowanych ruderami, zwanych potocznie Diabelskim Kwartałem. Jeżeli wracając do domu, Sara

miała jeszcze coś załatwić dla pana Hardinga, zazwyczaj szła wzdłuż Fleet Street i Strandu, ponieważ lubiła panujący tam ruch, światło gazowych latarni i z przyjemnością oglądała wystawy sklepów z ubraniami, pasmanterią i kapeluszami, kryształami z Czech i chińską porcelaną. Najdłużej jednak się wpatrywała w piramidę kandyzowanych śliwek, wystawioną w kwadratowych oknach cukiernika - zamierzała kiedyś, w przyszłości, kupić jedną taką dla Ellen. Przyglądała się, jak subiecki w fartuchach gorliwie wybiegali przed sklep i otwierali drzwi powozów oznakowanych monogramami, ze stangretami w liberiach na koźle, a potem gnąc się w pas, rzucali lniane worki na zabłocony bruk, żeby kierująca się do sklepu dama nie pobrudziła jedwabnych pantofelków. To tutaj, według dziennikarskiej retoryki pana Melville'a, „element przebiegły, o zręcznych, lepkich palcach ciągnął zyski na wszelkie wymyślne sposoby”. Sara podejrzewała, że ów „element” to ludzie tacy jak przyjaciel Ellen, Święty Joe, lub bosonodzy ulicznicy, pokryci ropiejącymi wrzodami, zawsze się wałęsający w pobliżu doków; pilnie odganiano ich od witryn sklepowych, żeby swoim wyglądem nie obrażali delikatnych uczuć dam odzianych w połyskliwe atłasy i błyszczące futra. Sara nigdy nie nazwałaby Świętego Joego „przebiegłym”, ale złodziejem był bez dwóch zdań.

Najkrótsza droga do Diabelskiego Kwartалу wiodła wzdłuż rzeki. Kiedy poziom wody był niski, jak teraz, wokół się unosił obrzydliwy smród, a na dodatek nawet w biały dzień można było zostać obrabowanym między Puddle Dock a Temple Lane. Bliżej Westminsteru, w tawernach na tyłach ulic, spotykali się - patrząc z góry na prymitywnych złodziei z East Endu - wysoko wyspecjalizowani przestępcy: mistrzowie włamań do sejfów, utalentowani fałszerze wszelkiej maści i najbieglejsi w swoim fachu kieszonkowcy, z których żaden nie połakomiłby się na trzewiki z surowej skóry. Sara kupiła Ellen nowe buty, które jej ukradziono po niecałym tygodniu - z małych stóp zerwała je banda uliczników, często się zjawiająca w okolicach doków. Na szczęście Ellen nie lubiła nosić butów, nawet w zimie, bo bosy wygodniej jej było wchodzić do wody, by wyłowić coś, co akurat przykuło jej wzrok - butelkę lub kwiat z woskowanego papieru, zerwany przez wiatr z kapelusza jakiejś damy, zażywającej przejażdżki łodzią. Ellen zazwyczaj miała nogi po kolana uwalane mułem i papa często nazywał ją swoją małą syrenką. To zapewne dlatego tak dużo czasu spędzała w pobliżu rzeki, skąd kiedyś

odprowadzała wzrokiem ojca wypływającego na połów śledzi. Była zbyt mała, żeby się na niego złościć z powodu pijaństwa, przez które mama musiała się zaharowywać na śmierć. Ellen i papa zdawali się nierozłączni i ona jeszcze do tej pory czasami płakała po nim we śnie. Sara nie uroniła nad ojcem wiele łez - łała je, patrząc na ciężką dolę mamy.

A! Oto i jej mała siostra oraz Święty Joe na schodach prowadzących z Whitehall ku Tamizie, a obok nich grupa obdartych dzieci i Hindus o pałkowatych nogach, z którym niedawno się zaprzyjaźniła Ellen. Sara nie mogła zapamiętać jego imienia - pewnie dlatego, że miało obce, egzotyczne brzmienie. Dzieciaki strzelały z procy do przepływającego parowca. Drobną, ośmioletnią Ellen tworzyła niezwykłą parę z potężnym, niezdarnym Świętym Joem o łagodnym wejrzeniu dziecka i sile perszerona. Według Ruby, miał on więcej niż trzydzieści, ale mniej niż czterdzieści lat, jednak nikt, łącznie z nim samym, nie pamiętał jego dokładnego wieku.

Gdy Sara dochodziła do rzeki, Ellen przymierzyła się do celu, po czym posłała z procy kamyk, którym celnie strąciła cylinder eleganckiego pasażera statku. Święty Joe wpadł w taką wesołość, że nieomal spadł ze schodów, młody Hindus natomiast spojrzął na Ellen ze zdumieniem i respektem. Tymczasem nieszczęsny dżentelmen mógł tylko bezsilnie patrzeć, jak jego cylinder, wirując, oddala się wraz z nurtem brunatnych wód Tamizy. Święty Joe dojrzał Sarę i zaczął klaskać w dłonie. Był półgłówkiem, z ledwością wypowiadał proste słowa, chociaż kiedyś całkiem inaczej wyglądało jego życie. Ruby twierdziła, że Joe należał do stanu duchownego i odznaczał się dużą wiedzą i mądrością do czasu, aż spadł mu na głowę nocnik. Komuś, kto zamierzał opróżnić jego zawartość przez okno, ciężkie naczynie wysliznęło się z rąk i wylądowało wprost na głowie nieszczęsnego Świętego Joego, pozbawiając go natychmiast rozumu.

Ellen uniosła wzrok z miną winowajczyni, niepewna, jak długo siostra oglądała ich wyczyny, ale Sara udawała, że niczego nie dostrzegła. Była bardziej zdumiona celnością oka małej niż rozeźlona na Joego, że dał Ellen do ręki swój najcenniejszy skarb - procę, którą własnoręcznie wystrugał i nawet wyrył na niej swoje imię. Sara nie miała nic przeciwko, gdy strzelali do gołębi, bo można je było przynajmniej ugotować i zjeść, ale strzelanie do eleganckich ludzi to już zupełnie inna historia - mogło ściągnąć kłopoty na głowy ich wszystkich.



- No, zbieraj się, mała - powiedziała, wyciągając rękę w stronę siostry. - Czas na kolację. Fuj! Ależ ty śmierdzisz, Elly. Gdzieżeś się dzisiaj zapuszczała?

Ellen jedynie wzruszyła ramionami. Pocałowała Świętego Joego w policzek, następnie - po chwili wahania - cmoknęła także Hindusa i dopiero wtedy wsunęła brudną łapkę w powalaną drukarską farbą dłoń Sary.

Przez jakiś czas maszerowały w milczeniu wzdłuż nabrzeża. Minęły keję, gdzie w dzień dobijały kutry ze śledziami, a teraz widniała sterta rybich ości i innych odpadków, wśród których się kręciły wychudzone kocięta. Ellen cicho miauknęła i szarpnęła Sarę za rękę, by skrócić w stronę kotów, ale Sara pozostała nieugięta. Już i bez tego miały mnóstwo pcheł w cienkim sienniku.

- Powiedz mi jeszcze raz, jak ma na imię ten kolorowy? - Sara rzuciła swoje pytanie lekkim tonem, bo gdyby Ellen wyczuła choć nutę krytyki w jej głosie, na dobre zacięłaby się w sobie. Ostatnio stała się wyjątkowo małomówna - może na skutek spędzania tak wielu godzin w towarzystwie Joego. Sara nie miała nic przeciwko temu, że Ellen się zadawała z kolorowymi, chociaż niekiedy ją niepokoiło, że siostra się otacza mnóstwem przedziwnych osobników - a może raczej, przyciąga ich do siebie w niewytłumaczalny sposób. Sarę zawsze zdumiewało, jak dużo ludzi pozdrawia na ulicy jej siostrę - rzeźmieszkę i marynarze, prostytutki i wyelegantowani oszuści, a pewnego dnia, na moście Waterloo, zawołał ją nawet po imieniu jakiś stary, zezowaty Cygan. Ellen wyjaśniła siostrze z dumą, że przybył tutaj aż z dalekiej Rumunii.

- Wiktor. Tak mu na imię.

- Wiktor? To raczej niezwykle imię dla kolorowego, nie sądzisz? - Sara była pewna, że nie tak brzmiało prawdziwe imię Hindusa, ale nie miało to większego znaczenia.

Ellen tylko wzruszyła ramionami i kopnęła duży kamyk.

- Doskonale strzelasz z procy, co, Ellen?

- Święty Joe mnie nauczył.

- A nauczył cię też innych rzeczy?

Ellen nie odpowiedziała, tylko w podskokach ruszyła naprzód i zniknęła za drzwiami „Białego Jelenia”. Sara westchnęła głęboko. Przed końcem lata będzie miała dość pieniędzy na nowe buty dla siostry oraz wełniany dziecienny fartuszek, tabliczkę i kredę. I wtedy całe dni Ellen zacznie spędzać w szkole.

„Biały Jeleń” należał do najczystszych lokali z wyszynkiem w Diabelskim Kwartale, ale budynek pochodził jeszcze z czasów królowej Anny i był przesiąknięty wilgocią, zapachem chmielu i odorem ciał niekąpanych od zeszłego lata. Na górze znajdowały się pokoje za trzy pensy, z łóżkiem z prawdziwego zdarzenia, a nawet fotelem.

Jadłodajnia Ruby o tej godzinie co dzień wyglądała tak samo. Przy długim stole siedzieli dokerzy - pracowali na barkach węglowych, mieli skórę koloru sadzy i chętnie rozgrzewali obolałe członki dzbanem mocnego grzanego piwa. Przy dwóch mniejszych stolikach już się toczyła gra w karty, której się przyglądały uliczne dziewczki, licząc, że któryś z graczy zostanie ich klientem. Ruby, właścicielka jadłodajni, miała na sobie różową sukienkę z przybrudzonymi falbanami wokół dekoltu, a na piegowatej szyi zawiązała czarną wstążkę. Sara dawała jej na oko ponad czterdzieści lat, ale biorąc pod uwagę liczbę brakujących zębów, mogła mieć ich dużo więcej. Sara nie umiała zdecydować, bo nie bardzo wiedziała, na jakiej właściwie zasadzie się określa wiek ludzi. Ruby stała za barem otoczona wianuszkami adoratorów. Znowu był wśród nich łapacz królików i w chwili gdy Sara z Ellen przechodziły obok niego, kopniakiem odgonił psa wążącego wokół pary martwych zwierząt, leżących na kamiennej posadzce. Łapacz tak samo węższy wokół Ruby jak ów odgoniony pies, pomyślała Sara.

- Witajcie, dziewczynki! - wykrzyknęła zażywna szynkarka i posłała Ellen całusa.

Ellen odpowiedziała tym samym i wówczas mężczyźni siedzący przy barze wybuchnęli głośnym śmiechem. Elly natychmiast pokazała im język i zniknęła na schodach prowadzących do piwnicy.

- Aleś się im odcięła, panienko! - zawołała Ruby. - Musisz na nią uważać, ta mała jest zdecydowanie za odważna - powiedziała do Sary.

- Tak, wiem. Na szczęście niedługo się zacznie szkoła.

W piwnicy stała miedziana balia, w której Ruby urządzała pranie, dwie olbrzymie drewniane kadzie do piwa o mosiężnych pokrywach, a także beczułki i wiadra do pędzenia dżinu. Pokoik wynajmowany przez O'Reillych znajdował się od strony ulicy. Na tyłach „Białego Jelenia” ciągnęła się wąska alejka, ciasno zabudowana wałącymi się ruderami, skleconymi z drewnianych skrzyń i kamieni bez żadnego spoiwa. Większość uliczek i zaułków w Diabelskim Kwartale wyglądała właśnie tak.

Kiedy Sara zamykała za sobą drzwi, Ellen akurat opróżniła kieszenie fartucha. Pomimo braku ognia w małym pokoiku nie panował przenikliwy chłód - dzięki nieustannie zachodzącej fermentacji alkoholowej. To fermentacja ogrzewa piwnicę - tak przynajmniej twierdził papa. Sam jednak nigdy nie tykał dżinu - mawiał, że nie ma w nim dość ognia.

- Zdobyłaś jakieś nowe skarby, Elly? Dokąd dzisiaj chodziłaś?
- Tu i tam.

Kłęcząca na podłodze, a obok niej leżało kilka kawałków kolorowego szkła, dwie ładne muszle po ostrzygach, zdechły żuk i błyszczący dżetowy guzik.

- A co znalazł Święty Joe?
- Książkę.
- Książkę? Jaką książkę?

Ellen wzruszyła ramionami.

- Z obrazkami.
- Gdzie?
- Na Fleet Street.
- Święty Joe zaczął teraz kraść na Fleet Street?
- On jej nie ukradł, Saro, tylko znalazł. Joe nie kradnie, kiedy jest razem ze mną. Przykazałaś mu, żeby tego nie robił - i nie robi. To najprawdziwsza prawda.

Ellen uniosła kawałek kobaltowego szkła ku świecy i niebieska gwiazdka zatańczyła na blacie stołu oraz na gazecie, w którą się wpatrywała Sara. Było to sobotnie wydanie „Merkurysza” - pan Parsimmons oddawał Sarze stare egzemplarze. Teraz szukała wzrokiem kolumny Lily Korechny pisującej pod pseudonimem pan Evans. Zecerzy, zawsze pilnie słuchający plotek na temat autorów artykułów, twierdzili, że Lily wybrała to nazwisko na cześć pisarki Marianne Evans, która wydawała swoje książki jako George Eliot. Sara uważała to za przedziwne, że kobiety pióra przybierały imiona i nazwiska mężczyzn. Ona pewnego dnia także napisze powieść, ale wydadzą pod własnym imieniem i nazwiskiem - Sara O'Reilly. Jej cienki, poczerniały palec zatrzymał się na odpowiedniej szpalcie.

*Wyjątkowe kobiety  
autorstwa pana Evansa  
Esej poświęcony George Sand*

Kolejny George! To musi być wśród kobiet wyjątkowo modne imię. Ten George, o którym pisała Lily (pan Evans), był niedawno zmarłą, ekscentryczną Francuzką, która na co dzień chodziła w spodniach do konnej jazdy, paliła cygara, pisała wiersze, a także listy miłosne do mężczyzn pięćdziesiąt lat od niej młodszych (gdy sama sobie liczyła wiosen osiemdziesiąt trzy). Skąd pani Korechnya wiedziała tak dużo na temat George Sand mieszkającej za morzem? Sara zaczęła się zastanawiać, czy Lily miała jakieś pojęcie o Irlandii - czy zdawała sobie sprawę, że jest to najzieleńsza z zielonych wysp, pełna rozległych pól, wiekowych kamiennych murów i starych, bardzo starych drzew.

Sara jednak nie tęskniła do tamtego krajobrazu; była teraz londyńską Irlandką i całkiem jej to odpowiadało.

## II

Waterloo, Londyn, 27 kwietnia 1864

Droga Barbaro,

Właśnie siedzę w swoim frontowym pokoju nad filiżanką kawy i ze wstydem wyznaję, że wciąż mam na sobie luźny, domowy strój. Ostatnio tak właśnie spędzam dni pracy, nie zawracam sobie głowy ubieraniem, o ile, naturalnie, nie wyruszam na miasto lub do wydawnictwa.

Mgła wciąż jeszcze gęsta i sprzedawcy uliczni na Waterloo zdają się jedynie bezkształtnymi, mrocznymi cieniami. W ostatnich tygodniach pilnie obserwuję poranną ulicę, bo jest niczym scena, na której się rozgrywa zajmujący spektakl. Zauważyłam, na przykład, że chłopak stojący naprzeciw moich okien a handlujący węgorzami w galarecie czuje wyraźny pociąg do pewnej mleczarki. Dziewczyna przechodzi tędy każdego dnia o tej samej porze - wraca na swoją farmę po obejściu okolicy. Puste drewniane wiadra kołyszą się na nosidłach w tym samym rytmie, co jej rozłożyste biodra. Chłopak z węgorzami robi wszystko, żeby codziennie być przed moimi oknami o tej godzinie, gdy przechodzi tędy mleczarka.

Od kiedy wybudowano stację Waterloo, ta część Londynu zatraciła dawny, nobliwy charakter, i muszę przyznać, Barbaro, że ów brak nobliwości zdecydowanie przypadł mi do gustu. Wyobraź sobie, że Waterloo Street nazywana jest teraz często „nową Haymarket”!\* W moim sąsiedztwie otworzyły się niedawno najszykowniejsze burdele w mieście. Dyskretnie uchylają swoje podwoje, a tam, w eleganckich wnętrzach, kurtyzany z St. John's Wood popijają szampana i jedzą ostrygi w towarzystwie swoich szacownych klientów. Gdybym pisała sprawozdania z parlamentu, musiałabym z reporterskiego obowiązku odnotować, że o wiele większą aktywność posłów można zaobserwować po północy na Waterloo Street niż za dnia na Whitehall.

\* W owym czasie ulica Haymarket słynęła z domów publicznych (przyp. tłum.).

Czy zdajesz sobie sprawę, że - jeśli wierzyć liczbom opublikowanym ostatnio w „Lancecie” - w Londynie mamy 80 000 prostytutek, co oznacza, że jedna na szesnaście żyjących tu kobiet zarabia na chleb na ulicy. Jedna na szesnaście! A liczba ta przecież nie obejmuje uprawiających nierząd małych dziewczynek. Tymczasem umoralniające teksty w gazetach oraz kościelne kazania koncentrują się jedynie na okropieństwach związanych z dążeniem kobiet do niezależności finansowej i emancypacji, a nie na tym, co je popycha do grzesznego kalandria nieśmiertelnej duszy. Nie zrozum mnie źle, Barbaro. Doskonale zdaję sobie sprawę, że kobiety się oddają prostytutce nie z wyboru, ale z konieczności - że są z tego powodu nieszczęśliwe i ryzykują zdrowie oraz życie. Niemniej można w tym poniżeniu znaleźć jeden drobny, jasny punkt: wielu z nich udaje się w ten sposób znacznie poprawić swój byt, zdobyć jakieś wykształcenie i pieniądze pozwalające na podjęcie bardziej szacownego zajęcia. Czy nie trwoży Cię mój libertynizm?

Matka była przerażona, kiedy podczas zeszlotygodniowej wizyty ujrzała na Waterloo Street mężczyzn wystających w samych koszulach na rogu ulicy i palących papierosy. Bardzo się starałam nie dopuścić do jej przyjazdu, niestety, bez skutku. Nie obawiaj się, kiedy się zjawiała, byłam całkowicie ubrana, chociaż nie tak, jakby sobie życzyła. Chrześcijańskim zgorszeniem napawa ją mój - jak mawia - brak szacunku dla zmarłych, wyrażający się ponoć odmową noszenia wdowiej żałoby. Ogólnie, jak

ci wiadomo, matka nie aprobeuje stylu, w jakim się ubieram - nieholdowanie wymogom mody i konwenansu wprawia ją w zakłopotanie. Ja natomiast nie zamierzam nosić czerni, ponieważ Franz zawsze kochał kolory. Żywe barwy i wszystko, co świetliste. Spoglądając na dzisiejszą mgłę, powiedziałaby: „nie najlepsze światło do malowania”, ale i tak poszedłby do pracowni i za pomocą olejnych pigmentów nasycił słonecznym blaskiem swoje płótna. Stałby przed sztalugami w poplamionym farbami fartuchu, z białymi włosami, opadającymi na oczy. Zamierzam w tym tygodniu jechać do Kensington, do pracowni Franza - już zbyt długo odkładałam tę wizytę, no i bez sensu wciąż opłacam czynsz za wynajem. Muszę opróżnić owo miejsce, ale na samą o tym myśl cierpnie mi skóra.

Dziękuję Ci serdecznie za słowa otuchy, moja droga - Twoje listy są jak kaganki oświecające drogę w gęstym mroku mojej żałoby. Jestem Ci także wdzięczna, że nie próbowałaś mi oferować prostego remedium na ból duszy. Matka stwierdziła, że z pewnością ukojenie przyniosłoby mi laudanum, które sama regularnie zażywa dla odpędzenia lęków i melancholii. Ja nie zamierzam iść w jej ślady, bo doskonale wiem, jak ów specyfik stępia umysł i wyczuwa z energii. Matka wciąż nie może zrozumieć, czemu unikam towarzystwa ojca, a tymczasem to on aplikuje jej tę trującą z pełną wiarą, którą z pewnością dzielają i inni uznani lekarze, że kobieta nie może być szczęśliwa, póki się nie stanie istotą całkowicie bezwolną, więc dla osiągnięcia tego celu trzeba ją niekiedy narkotyzować. Ja mam medalion, w którym zamknęłam pukiel włosów Franza - i to jest moje ukojenie.

Nie zdręczaj się, Barbaro, że siedzę w domu jedynie w towarzystwie mojej gospodyni, pani Vesper. Jak pamiętasz, jest ona raczej milcząca i zamknięta w sobie, i wielu moich gości uznawało ją za istotę dość osobliwą, mnie jednak odpowiada jej sposób bycia. A gdy o gościach mowa - ostatnio w zasadzie nikogo nie przyjmuję i nigdzie nie bywam. Zatraciłam ochotę na prowadzenie salonu, co kiedyś z Franzem tak uwielbialiśmy. Zdaje mi się, że radość oraz śmiech, towarzyszące podobnym atrakcyjnym, należą do całkiem innego życia. I chociaż jeszcze tak niedawno w nich uczestniczyłam, mam wrażenie, że to się działo przed laty

- przed dziesiątkami lat. Wiem też jednak, że ów dręczący mnie smutek będzie z czasem powoli ode mnie odpływał.

Ale przecież nie po to maczam pióro w atramencie, żeby zatruwać Cię swoją melancholią. Chciałam Ci przede wszystkim opowiedzieć o niedawnym spotkaniu z panną Herbert, szwagierką lady Cyntii Herbert, która wkrótce powróci tu z Indii. Z pewnością słyszałaś o lady Cyntii, swego czasu rozciągała ona bowiem mecenat nad kobietami pędzla z Chelsea i Hampstead. Kolekcjonowała artystki i ich barwnymi pracami pokrywała ściany bawialni - niczym zbieracz motyli rozpiętymi na szpilkach egzotycznymi okazami. Jest niebywale bogata i swego czasu patronowała Lizzie Siddal, a teraz wspiera zajmującą się fotografią Julię Margaret Cameron. Czy może przypadkiem miałaś okazję ją poznać? Sądzę, że zaintrygowałyby Cię jej prace, charakteryzujące się nowym, twórczym podejściem do sztuki fotografii. O ile mi wiadomo, Julia blisko się przyjaźni z poetą dworu Tennysonem i właśnie tworzy serię *tableau*, które mają służyć za ilustracje do jego poematów. Ale powróćmy do mojego spotkania ze szwagierką lady Herbert. Okazuje się, że Cyntia kolekcjonuje także drogocenne kamienie. Ma doskonały gust i dostateczne środki, by swobodnie się oddawać swojemu zamiłowaniu, stąd jest doskonale znana wszystkim firmom jubilerskim na Regent Street. Dowiedziałam się, że owa kolekcja klejnotów stała się szczególnie droga jej sercu teraz, gdy pogrążyła się w żałobie po niedawno zmarłym mężu, Charlesie. Przed jego nagłym zgonem spędzili razem dwa lata w Indiach i - mówiąc między nami - kiedy rozmawiałam z panną Herbert, odniosłam wrażenie, że śmierć jej brata nastąpiła w jakichś bardzo tajemniczych okolicznościach. I chociaż nie wdawała się w szczegóły, jestem przekonana, że ona sama nie bardzo wie, co się właściwie stało.

Ale wracając do sedna sprawy. Lady Herbert napisała do swojej szwagierki tuż po zgonie męża, jeszcze z Indii, zapytaniem, czy nie zna jakiejś pani z towarzystwa, która - po powrocie Cyntii do Londynu - podjęłaby się dla niej drobnej pracy, związanej z ową słynną kolekcją drogocennych kamieni. To miło ze strony panny Herbert, że o mnie pomyślała - wiedząc o mojej niedawnej stracie, podejrzewała, że być może jestem zmuszona szukać zatrudnienia. Prawdę powiedziawszy, Barbaro,

rodzina Franza hojnie mnie zabezpieczyła (bo oczywiście odmówiłam ojcu, kiedy zażądał, bym powróciła pod jego dach, jak na szanującą się wdowę przystało), więc gdyby taka była moja wola, mogłabym już do końca życia nie podejmować żadnej pracy.

Lady Herbert przybywa do Londynu w nadchodzącym tygodniu i pan-na Herbert prosiła, żebym się z nią spotkała i rozważyła złożoną propozycję. Wyraziła przy tym przypuszczenie, że wraz z Cyntią znajdziemy pociechę we własnym towarzystwie, ponieważ obie niedawno przeżyłyśmy podobną stratę. W zasadzie nie zamierzałam przyjmować na siebie żadnych zobowiązań poza kontynuowaniem współpracy z „Merkuriuszem” i okazjonalnym pisywaniem esejów do magazynu kobiecego, ale ostatnio nawet pani Vesper uznała, że spędzam zbyt wiele czasu w swoim frontowym pokoju. Wyobraź sobie, że zaoferowała mi pomoc przy ubieraniu, chociaż - gdy ją zatrudniałam w roli gospodyni - stanowczo zastrzegła, że nie będzie pełnić funkcji pokojówki. Naturalnie zapewniłam ją wówczas, że pokojówka to ostatnia osoba, jakiej potrzebuję! Prawdę mówiąc, w dniach mojej choroby pani Vesper stała się dla mnie kimś znacznie bliższym niż jedynie gospodynią, i teraz chętnie spędzam czas w jej towarzystwie, a także często polegam na jej trafnych sądach.

Septimusowi Hardingowi nadal zależy, abym publikowała w jego gazecie swoje eseje o wyjątkowych kobietach, mimo że przez tak długi czas byłam nieobecna na łamach „Merkurusa”. Twierdzi, że skoro „Guardian” publikuje recenzje twórczości kobiet, my także musimy to robić. Szukam więc odpowiednich tematów - postanowiłam w najbliższym czasie się skontaktować z Julią Margaret Cameron. A co byś powiedziała, gdybym napisała o Tobie? O słynnej Barbarze Bodichon, malarce, krzewicielce oświaty, patronce sztuki i obrończyni naszej płci?

Mam nadzieję, moja droga, że nadal odnosisz sukcesy we wszystkich swoich przedsięwzięciach. Wkrótce napiszę ponownie.

Pozostaję niezmiennie Ci przyjazną -

Lily



### III

U wylotu Strand Lane, przy Temple Pier - gdzie się znajdowały nie-wielkie doki do przeladunku drobnicy i kilka byle jak skleconych bu-dynków portowych - nabrzeże Tamizy było niemal wyludnione. W wio-senne wieczory, takie jak dzisiejszy, gdy w powietrzu nie wisiała zimna mgła, przesiąknięta odorem rzeki, rafinerii i cegielni, dokerzy i urzędni-cy portowi siedzieli po zachodzie słońca w ulubionych tawernach nad szklaneczkami z dżinem i dzbanami piwa.

Herbert Peasey, młodszy spedytor w porcie, nie dotarł jeszcze „Pod Kotwicę”, ponieważ zatrzymał go nawał papierkowej pracy. Był już znużony zliczaniem skrzyń z herbatą, worków z ziarnem i oleistymi strąkami kawy; dusił go unoszący się wokół herbaciano-korzenny pył.

Rozejrzał się po magazynie i wówczas przeszedł go dreszcz na wspomnienie tego, co się tu wydarzyło w ubiegłym tygodniu. Właśnie się wybierał na obiad, gdy do Temple Pier przybił niewielki żaglowiec „Lakszmi” i od razu powstało spore zamieszanie - jak zawsze, gdy przy-pływała jednostka z Bombaju. „Lakszmi” to oficjalnie statek pasażerski, ale dla „wyselekcjonowanych” podróżnych - czyli dla takich, którzy byli gotowi zapłacić za apartament na morzu, bo nie zadowalały ich zwykłe kajuty, oferowane przez większe liniowce. Na „Lakszmi” było również dość miejsca na przewóz ekskluzywnego cargo.

I tym razem na żaglowcu znajdowało się coś „specjalnego” - Herbert natychmiast odczytał subtelne sygnały. Na niewielkich statkach, płyną-cych z Indii, pieczę nad towarami często sprawowali prywatni kurierzy - byli to zazwyczaj ciemnoskórzy, groźnie wyglądający Hindusi, którzy koszt podróży odpracowywali na pokładzie. W Londynie schodzili na ląd ze swoim dobytkiem, owiniętym w sztukę bawełnianej tkaniny. Nie-które cenne przesyłki były na tyle małych rozmiarów, że się mieściły w owych tłumokach - w szczególności opium i kamienie szlachetne. Nie-którzy z kurierów sprawiali wrażenie ledwie chłopców, ale w ich posta-wie było coś tak złowrogiego, że Herbert zawsze się trzymał od nich z daleka. Owego dnia na „Lakszmi” również się znajdował jeden z takich osobników - niewysoki młody Hindus o pałakowatych nogach, wyglą-dem zdecydowanie się wyróżniający spośród reszty załogi.

Kiedy „Lakszmi” w końcu dobiła do brzegu i zaczął się wyładunek towaru, na kei zapanowało typowe zamieszanie i wówczas, jak to zazwyczaj bywa, życie Herbertowi zaczęła uprzykrzać kobieta - sądząc po stroju i manierach, dama wysokiego urodzenia. Obleczona w czerń, czekała na nabrzeżu (coś niebywałego jak na osobę o takim statusie) na Hindusa będącego - jak się zdaje - jej osobistym służącym, którego ostatni raz widziała w towarzystwie kapitana „Lakszmi”. W chwili gdy Herbert się na nią natknął, załamywała ręce i - najwyraźniej zdesperowana - zaczęła wyjaśniać, że jej służący wraz z kapitanem zniknęli już jakiś czas temu w jednym z magazynów portowych. O ile młody spedytor zdołał się zorientować, jej kosztowności zostały zamknięte na czas podróży w sejfie okrętowym, a gdy się o nie upomniała, kapitan zażądał za ich przewóz kwoty znacznie wyższej, niż pierwotnie ustalono. Zaczęła błagać Herberta, żeby ruszył na poszukiwanie mężczyzn. Herbert nie mógł odmówić, nie wychodząc przy tym na tchórza, pozostało mu więc jedynie modlić się w duchu, by sprawa się wyjaśniła, zanim odnajdzie kapitana i sługę. A żeby dodatkowo pomóc losowi, gdy tylko zniknął damie w czerni z oczu, zdecydowanie zwolnił kroku.

Domyślał się, w którym magazynie znajdują się Hindusi - tym pogrążonym w wiecznym mroku, o podłodze ze spróchniałych desek, które głośnym skrzypieniem natychmiast zwiastowały, że ktoś się zbliża. Mężczyźni nie usłyszeli jednak nadejścia Herberta, ponieważ tęgi kapitan w turbanie bardzo głośno krzychał. Natomiast drugi Hindus - sporo wyższy, o dużo jaśniejszej skórze, który zapewne był służącym zdenerwowanej damy, stał bez ruchu i w milczeniu. Na jednej ze skrzyń leżał kawałek jedwabiu, a na nim drogocenne kamienie, które - mimo mdłego światła, wpadającego przez małe zakurzone okno - skrzyły się tak, że Herbertowi zaparło dech w piersiach z wrażenia. Widział wiele klejnotów w życiu, ale żadnych nie dałoby się porównać z tymi cudami. Sądząc po blasku, jaki rozsiewały, mogły być to jedynie diamenty, jednak nigdy przedtem Herbert nie widział diamentów o tak wielu barwach.

O ile się zdołał zorientować, kapitan żądał astronomicznej sumy za przewiezienie kamyków i w końcu wyciągnął długi zakrzywiony kin-dżał, którym zaczął groźnie wymachiwać przed nosem drugiego Hindusa. Wówczas wydarzenia się potoczyły tak błyskawicznie, że Herbert mógłby przeoczyć, co się właściwie stało, gdyby przypadkiem musiał

akurat mrugnąć. Mężczyzna w turbanie został rozbrojony, nóż rozbłysnął i z brzękiem uderzył o podłogę, milczący zaś Hindus trzymał szal z jedwabiu zamotany wokół szyi kapitana i poluznił go tylko na tyle, by ofiara mogła błagać o litość. Chwilę później jednak mocniej zacisnął tkaninę i gdy już się wydawało, że nic nie ocali kapitana od śmierci, niespodziewanie zatoczył się on pod ścianę, klnąc pod nosem i rozcierając obolałą szyję.

Herbert musiał w tym momencie bezwiednie wydać z siebie jakiś odgłos, bo wysoki Hindus, zawinąwszy brylanty w jedwab, postąpił krok w jego stronę. Herbert wymamrotał kilka słów przeprosin (choć to nie on wszedł na cudzy teren!) i zaczął się wycofywać tak spieszenie, że przewrócił kilka skrzyń z porcelaną. W tej samej chwili pędem przemknął obok niego kapitan, a potem minął go milczący Hindus - o wiele dostojniejszym krokiem. Dopiero kiedy obaj już zniknęli mu z oczu, Herbert ruszył w stronę wyjścia, starając się nie powywracać pozostałych skrzyń, o które musiał się opierać, bo nogi odmawiały mu posłuszeństwa. I wówczas dojrzał kątem oka niewysokiego Hindusa o pałakowatych nogach - który już przy doku zwrócił jego uwagę - wymykającego się chyłkiem z magazynu. Czy był świadkiem sceny, która się tu rozegrała? Prawdopodobnie próbował jedynie ukraść stąd garść ryżu, jak to czyniło wielu marynarzy wkrótce po zacumowaniu.

Kiedy Herbert w końcu się znalazł w pełnym świetle dnia, po kapitanie nie było już śladu - zapewne zaszył się pod pokładem „Lakszmi” - a wysoki Hindus dołączył do damy w czerni, stojącej na kei, i chwilę później oboje zniknęli we wnętrzu czekającego powozu. Niemniej Herberta wciąż prześladowało przeciągłe spojrzenie wysokiego Hindusa; jego wzrok - zdawałoby się, wnikający w serce i duszę - wzrok pełen potępienia, którego wspomnienie do końca dnia przyprawiało młodego spedytora o lodowaty dreszcz.

Herbert od dwóch lat pracował w porcie, ale tak naprawdę w niedalekiej przyszłości zamierzał szukać szczęścia na morzu. Angielscy marynarze, których widywał przy Temple Pier, byli od niego o wiele bardziej zadziorni i potężniejszej postury, Herbert jednak nie zamierzał się kalać ciężką, fizyczną pracą. Widział się raczej w roli zamorskiego kupca, zbijającego fortunę w krajach Orientu. Pracując na nabrzeżu, spotkał wielu takich dżentelmenów - o najprzeróżniejszej proveniencji, niekiedy urodzonych w zamożnych, szacownych rodzinach.

Tego wiosennego wieczoru już się nie mógł doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł pójść na Strand, do tawerny oddalanej o kilka minut spacerem od jego wilgotnego kantoru, w którym ślęczał przez cały boży dzień nad stołem oświetlonym cuchnącą gazową lampą. Ilekroć się odrywał od znużonego wpisywania do rejestrów wartości, ciężaru i liczby skrzyń, przed oczami stawał mu obraz samego siebie w roli bogatego człowieka interesu, schodzącego z należącego do niego statku, maszerującego w stronę Strandu i mieszczących się tam sklepów, będących jego własnością, oferujących rozmaite dobra eksportowane z krajów, które odwiedził w rozlicznych podróżach. No i kiedy wreszcie zdobędzie ową wymarzoną fortunę, jego ukochana będzie nosić na piersi brylantową broszkę - tak wspaniałą, jakie widywał na Regent Street.

Tymczasem wpadł na przemyślny sposób prowadzenia portowych ksiąg - a właściwie wpadła na niego Georgina. Jak było, tak było - w każdym razie Herbert czuł mniejsze wyrzuty sumienia, kiedy się utwierdzał w przekonaniu, że to Georgie wymyśliła całe to przedsięwzięcie. Pewnego wieczoru stała u niego w kantorze i przyglądała się z niecierpliwością, jak on wypełnia rejestry, mieli się bowiem wybrać do music-hallu. W końcu zapytała, jakie byłyby konsekwencje, gdyby nie wpisał do ksiąg wszystkiego, co powinien. Kiedy wyjaśnił, że wówczas nie nałożono by podatku na pominięte w wykazie artykuły, Georgie zauważyła:

- To by się chyba spodobało tym wszystkim grubym rybom, handlującym zamorskimi towarami, którzy się uważają za dżentelmenów. Pewnie chętnie zapłaciliby ci za fatygę, jeśli ich to kosztowało mniej od należnej taksy.

Herbert się zgodził z jej opinią, ale szybko przypomniał, że pracuje dla Ministerstwa Żeglugi i że wyżsi urzędnicy z Whitehall zdarliby z niego skórę, gdyby sumiennie nie wykonywał obowiązków.

- A jak niby mieliby się o tym dowiedzieć? - zapytała Georgie i posłała mu jeden z tych swoich zalotnych uśmiezków, które sprawiały, że natychmiast miał ochotę zdrzeć jej do góry spódnicę. I jeszcze tej samej nocy, nad szklaneczkami z dżinem, opracowali szczegóły całego planu.

Dzisiejszego wieczoru Herbert siedział w kantorze do tak późnej pory, ponieważ miał zaległości w swoich rejestrach. Po wyjściu zamierzał, jak zwykle, wychylić jedno piwo „Pod Kotwicą”, a potem iść prosto do

domu, do Georginy. Sprawy rozwijały się jak najpomyślniej i od czasu do czasu Herbert chował do własnej kieszeni kwotę podatku należną za towary, których nie wpisał do oficjalnych ksiąg; niekiedy też zabierał z magazynu przygarść strąków kawy (w której oboje się z Georgie rozsmakowali) lub sztukę jedwabiu czy też jakąś błyskotkę dla ukochanej. Zdarzało mu się nawet przymykać oko na całe ładunki, które nigdy nie powinny się były pojawić przy Temple Pier, bo doszedł do wniosku, że w zasadzie niczym się to nie różni od „niedostrzegania” hinduskich kurierów i ich bawelnianych tłumoków. W ten sposób „przeoczył” kilka ładunków drewna sandałowego, kości słoniowej i półszlachetnych kamieni. Zdawał sobie sprawę, że się staje coraz bardziej zuchwały, ale teraz drobne uchybienia były już dla niego normą, poza tym rosła jego pewność siebie. Bo właściwie czemu nie miałyby należycie zadbać o własny los? Czyż tak samo nie robili wszyscy rządowi urzędnicy z Whitehall?

Uliczka prowadząca do Strand Lane, przy której się znajdowała tawerna „Pod Kotwicą”, była zawsze pogrążona w mroku, a po zachodzie słońca spowijała ją już ciemność choć oko wykol. Po obu jej stronach stały magazyny z wiekowego kamienia, częściowo spalone i nigdy nieodbudowane. W owych ruinach gnieździłi się kalecy bezdomni oraz kilku miejscowych złodziejasków. Była to najbardziej wyludniona część nabrzeża, ale niegroźna dla dokerów czy marynarzy, wzbudzających respekt samą swoją posturą i sławą mistrzów ulicznych bójek. Urzędnicy portowi nie zaliczali się do owej kategorii, do tej pory jednak nikt nie napadł Herberta, bo zawsze przechodził tędy, gdy jeszcze panował jaki taki ruch. Dzisiaj, o tak późnej porze, nie uświadczyło się tu żywego ducha - zresztą w tych egipskich ciemnościach i tak trudno byłoby kogokolwiek zauważyć. Herbert szybko zaczął pluć sobie w brodę, że nie pomyślał o zabraniu latarni. Dzisiejszego wieczoru mrok nad wodą zdawał mu się jeszcze czarniejszy, jeszcze gęściejszy niż zwykle, a powietrze dziwnie nieruchome. Tylko stojący wysoko na niebie księżyc pozwalał mu z trudem dostrzec zarysy ścian zrujnowanych budynków i kilka przemykających wzdłuż nich szczurów. W magazynach portowych szczury były najgorszymi szkodnikami: przegryzały worki z ziarnem i korzeniami, a potem całymi dniami spod nóg strzelały człowiekowi ziarenka ryżu, w powietrzu zaś się unosił drażniący oczy i pobudzający do kichania pieprzowy, goździkowy lub cynamonowy pył.

Ale teraz, kiedy i ulicznicy gdzieś zniknęli, nawet szczury wydawały się Herbertowi pożądanym towarzystwem. Próbował zdusić strach, wyobrażając sobie, jak się poczuje, kiedy wreszcie się znajdzie „Pod Kowtawą” i dotknie wargami chłodnego piwa. Nie ma co ukrywać, od zeszłego tygodnia, gdy ów wysoki Hindus posłał mu przenikliwe spojrzenie, Herbert czuł się bardzo nieswojo. Nie mógł się uwolnić od przeświadczenia, że ktoś wie, jakich on się dopuszcza oszustw. Przestępca zawsze pozna przestępcę, mówił sobie - bo nie ulegało dla niego wątpliwości, że błyszczące kamyki, które widział w magazynie, zostały nielegalnie przeszmuglowane z Indii. Herbert nawet próbował się podzielić swoimi lękami z Georgie, jednak ona tylko prychnęła pogardliwie i powiedziała, że jest głupim capem, którego tchórz obleciał. Ale też od razu pokazała mu, jak wyrzucić z pamięci wszystkie troski - a był to sposób nad wyraz przyjemny.

Kiedy Herberta coś potężnie ugodziło w czoło, niemal pozbawiając go przytomności, w pierwszej chwili pomyślał, że się zderzył z drzewem. Problem w tym, że tutaj nie rosły żadne drzewa - najbliższe z nich znajdowały się dopiero o milę stąd, w Watergate Gardens. Miał natomiast pewność, że leży na ziemi, i to najprawdopodobniej z zamkniętymi oczami, bo wszystko, czego był świadomy, to nieprzenikniona ciemność. Po chwili dotarł do niego także szczególny zapach - piżmowo-korzenny aromat, który już kiedyś poczuł, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Był on tak przyjemny i kojący, że Herbert nie myślał o niczym innym, jak tylko o kawałku udźca baraniego, którym się zamierzał posilić na kolację, oraz o pięknych, niezwykle pięknych nogach Georgie.

Wkrótce - oprócz zapachu - wyczuł także czyjąś obecność. Choć nic nie widział, jego twarz musnęła podmuch tak delikatny, jakby ktoś rozpostarł nad nim pelerynę i wprawił w drganie drobiny powietrza. Teraz Herberta już opuścił błogi spokój, bo spod wółprzymkniętych powiek dostrzegł przemieszczające się mroczne cienie - i dobiegło go również ogłuszające dudnienie bębnow. W każdym razie zdawało mu się, że to bębny - zapewne podobne do tych, których odgłosu słuchał w Afryce doktor Livingstone. Jeden z cieni zawisł nad Herbertem i zbliżył się do jego twarzy. Aromat ponownie się nasilił - taki znajomy... cóż to było? Bębny zadudniły jeszcze głośniejsze, a zwiększające się ciśnienie krwi w czaszce kazało Herbertowi dojść do wniosku, że nigdy nie powinien przywłaszczać sobie należnych państwu podatków, że oto sam

władca ciemności przyszedł zabrać go do siebie, że umiera za własne grzechy.

Nie mógł już oddychać. Miał wrażenie, że gardło samo mu się zaciska, a serce wali oszalałym rytmem bębnow. Czyżby ktoś się nad nim pochylał? Usiadł mu na piersi? Nie był pewien. A może to anioł spłynął z nieba, żeby zabrać go do raju, może jednak grzechy zostały mu odpuszczone? Tuż przed śmiercią Herbert Peasey zobaczył samego siebie, stojącego na pokładzie statku żeglującego ku Orientowi, z piękną kobietą imieniem Georgina, stojącą u jego boku. Poczul na twarzy powiew ożywczej bryzy i ciepło jasnych, słonecznych promieni. Ale zamiast oceanicznych fal, rozbijających się o dziób okrętu, ujrzał morze wielobarwnych brylantów, rozszczepiających światło na tęczę strzeliście biegnącą ku niebu i przyzywających go swoimi rozbłyskami, jakby to one przyszły go zabrać z tego świata - jakby poznały jego sekret.

## IV

**T**warz detektywa inspektora Larka wyglądała bardzo szpetnie, gdy Sara przyszła do wydawcy, żeby zabrać paczkę, którą miała doręczyć komuś na mieście. Ani detektyw, ani Septimus Harding nie zauważyli, że do tej pory nie opuściła biura (jakiś czas temu przyklekła, żeby lepiej zawiązać sznurowadło), i rozmawiali tak, jakby już zostali sami.

- Na razie nie mamy pojęcia, co doprowadziło do śmierci. To bardzo niezwykła sprawa, więc - jak już wspominałem wcześniej - najlepiej, gdyby została zrelacjonowana krótko i bez cienia sensacji. Chciałbym to osobiście uświadomić Melville'owi.

- Naturalnie, naturalnie. - Septimus Harding zachichotał pod nosem, jednak niemal natychmiast na twarz powrócił mu wyraz zatroskania. - Ale przecież musisz mieć przynajmniej jakieś pojęcie o tym, jak umarł, człowieku! To ostatecznie twoja profesja, czyż nie? Śmierć?

- Nie jestem przedsiębiorcą pogrzebowym, Septimusi, chociaż niekiedy sam się tak czuję. Do tej pory nie wyrobiłem sobie jeszcze zdania o tym przypadku. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego.

Pan Harding ma rację, pomyślała Sara. Lark jest policjantem, powinien się znać na zbrodniach i tym podobnych sprawach. Jak w innym razie miałby ochraniać dzieci takie jak Ellen czy te dziewczynki z Betty Street?

Inspektor zwrócił się w stronę kominka i zapatrzył w płonący ogień, Sara zaś powoli zaczęła się przemieszczać w stronę drzwi.

- Nie został uduszony, bo na szyi nie ma żadnych śladów, a jednak krtań uległa zmiążdżeniu. Poza tym dokładnie pomiędzy oczami denata widniał paskudny siniak.

- Motyw zbrodni?

- Mogło ich być wiele. Ofiara pracowała na Temple Pier.

Sara tymczasem dotarła do progu i już wyciągała rękę, by cicho przekręcić gałkę, gdy od strony holu rozległo się głośnie pukanie i drzwi się otworzyły z wielkim impetem, posyłając ją na podłogę.

Gregory Melville przestąpił nad głową Sary i energicznie podszedł do biurka wydawcy. Sara natychmiast poznała go po zapachu - tylko on tutaj śmierdział jak browar.

- Co, do stu piorunów, ty tu jeszcze robisz, Saro? O ile się nie mylę, wysłałem cię z przesyłką na miasto.

- Tak, sir. Ja tylko szukałam czegoś na podłodze - upuściłam czcionkę. Ale nie mogę jej znaleźć, więc lepiej ruszę już z tą paczką, sir.

Pośpiesznie zamknęła za sobą drzwi. Co za pech, że Melville wszedł akurat w tej chwili. Sara zawsze uważała go za typa spod ciemnej gwiazdy - nawet jeszcze zanim powypisywał te dyrdymały o Diabelskim Kwartale. Dałaby całego pensa, żeby usłyszeć, co miał mu do powiedzenia Lark - inspektor w każdym wzbudzał grozę, kiedy coś go rozjątrzyło - ale jak na jeden dzień już wystarczająco podpadła wydawcy.

Adres, pod który trzeba było dostarczyć paczkę, miał jej dać pan Parsimmons, który właśnie w tym momencie, siedząc za swoim potężnym biurkiem, dłubał w zębach wykałaczką. A zęby miał dziwnie spiczaste i bardzo, ale to bardzo żółte. Ale skoro nigdy się nie uśmiechał, Sara doszła do wniosku, że właściwie wszystko jedno, jaki jest kolor jego zębów.

- Waterloo Street, dziękuję, Sam - powiedział i podał jej wizytówkę. Pan Parsimmons zawsze nazywał ją Samem, i Sara nie była pewna, czy w ogóle wiedział, że ona jest dziewczyną. Jemu zresztą chyba nie



robiło to najmniejszej różnicy, jeśli tylko zlecone zadanie było należycie wykonane.

Na wizytówce, wydrukowany krągłymi literami, widniał adres Lily Korechnya. Po wyjściu z wydawnictwa Sara natychmiast skrzyła w stronę mostu Waterloo, ponieważ wiedziała, że idąc wzdłuż rzeki, o wiele szybciej pokona dystans, niż gdyby ruszyła przez Fleet Street i Strand. Tam zbyt dużo rzeczy ją rozpraszało - mogłaby na przykład się zatrzymać przy kramie z książkami za pensja i zapomnieć o otaczającym świecie. Już kiedyś tak jej się zdarzyło i wówczas musiała powiedzieć panu Parsimmonsowi, że się zgubiła. Naturalnie jej nie uwierzył - i słusznie, Sara bowiem poznała każdą uliczkę, dróżkę i zakamarek, gdy swego czasu nocami poszukiwała papy.

A dzisiaj szczególnie nie chciała, by cokolwiek ją po drodze zatrzymało, bo niosła paczkę dla Lily. Czuła podniecenie na myśl o tym spotkaniu - jeszcze nigdy nie rozmawiała z panią Korechnya - wymieniały tylko „dzień dobry” lub „do widzenia”, przy czym Lily zawsze pozdrowiała Sarę z serdecznym uśmiechem. I mimo że nie nosiła gorsetu, Sara uważała ją za bardzo przyzwoitą i wyjątkowo elegancką damę.

Na nabrzeżu roiło się od sprzedawców ryb, uliczników oraz dzieci i dorosłych, grzebiących w mulach w poszukiwaniu czegoś, co można by zjeść lub sprzedać. Sara zauważyła też grupę marynarzy z „Queen Mary”, zmierzających do pobliskiej tawerny. Kiedy dotarła do Temple Pier, przypomniała sobie, że właśnie tutaj doszło do niedawnego morderstwa. Musi powiedzieć Ellen, żeby się nie bawiła nad rzeką w okolicach mostu Waterloo, bo niewykluczone, że owo zabójstwo było dziełem szaleńca. Melville twierdził, że w Londynie aż się od nich roi. Co prawda, Sarze się wydawało, że szaleńcy popełniali bardziej krwawe zbrodnie od opisanej przez inspektora Larka. Może zresztą wcale nie chodziło o zabójstwo, jedynie o wypadek? Ciekawe, czy detektyw rozważał taką ewentualność. Zapewne tak, ale nie zaszkodzi go przy okazji zapytać.

Na zazwyczaj tętniącym ruchem moście Waterloo panował zator - most zdawał się teraz jednym wielkim kłębowskiem koni i pojazdów. Zrezygnowani woźnicy koczów, faetonów i dwukołowych dorożek spoglądali ze znużeniem na rzekę lub próbowali uspokajać zdenerwowanych pasażerów. Pomiędzy kołami powozów i końskimi kopytami cygańscy chłopcy wywijali gwiazdy i fikołki, zebrząc o miedziaki, a uliczni

sprzedawcy orzeszków i kandyzowanych owoców podawali papierowe rożki z łakociami przez okna omnibusów. Dzień był piękny, prawdziwie wiosenny i Sara się cieszyła powiewami ciepłego powietrza oraz widokiem wijącej się wstęgi Tamizy. Gdy zerknęła w prawo - widziała budynek Parlamentu i katedrę westminsterską, której iglica strzelała wysoko ponad łupkowoszary całun, wydobywający się z kilku setek kominów. Gdy popatrzyła w lewo - mogła obserwować rzekę, którą w stronę mostu Londyńskiego sunęły barki, parowce i inne okręty, zlewające się w barwną mozaikę zagli, flag i malowanych na różne kolory kadłubów.

Kiedy się znalazła na drugim końcu mostu, nieopodal Queen Elizabeth Hall, zobaczyła, co było przyczyną zatoru: kondukt pogrzebowy, złożony przynajmniej z tuzina hebanowych powozów, z których każdy zaprzężono w cztery kruczocharne konie, przystrojone w równie smoliste pióropusze. Sara przystanąła, by się przyjrzeć orszakowi, nieco zdumiona namacalną obecnością śmierci w tak piękny dzień, wręcz pulsujący odradzającym się po zimie życiem. Ale w głębi serca dobrze wiedziała, że śmierć jest zawsze gdzieś obok; nawet jeżeli na krótką chwilę zapominała o nieżyjącej mamie, coś jej zawsze o niej przypominało - jeśli nie podobny do dzisiejszego kondukt żałobny, to pochwycona kątem oka twarz na ulicy. Jednak roztkliwianie się nad sobą do niczego nie prowadziło. Tym bardziej że taka już była prawidłowość losu - śmierć częściej nawiedzała biednych niż bogatych i kobiety niż mężczyzn. Najważniejsze, że obie z Ellen wciąż mogły się cieszyć życiem i że wkrótce ona - Sara - miała się spotkać z panią Korechnya.

Dom Lily się znajdował w zdumiewająco małym eleganckiej dzielnicy Londynu. Sara zawsze sobie wyobrażała, że taka dama musi mieszkać w Chelsea lub Hampstead, w wielkiej rezydencji, pełnej służby, z rozległym ogrodem, doglądanym przez ogrodników, a nie w szeregowcu stojącym tuż przy pełnej zgiełku ulicy. W tej właśnie chwili sprzedawca tłuczonej cegły i człowiek naprawiający krzesła, z belą sitowia do wyplatania siedzeń pod pachą, próbowali się przekrzywić nawzajem. „Odłamki idealnie ostrzą noże, tylko pens za kwartę!” i „Krzesła naprawiam, krzesła!”. Stał tam również chłopak z wiadrem pełnym wołowych podrobów i flaków, ale miał głos zbyt słaby, żeby się przebić przez konkurencję. Jego towar miał służyć za karmę dla psów, Sara jednak dobrze wiedziała, że większość tych odpadów - ugotowanych lub uduszonych

- znajdzie się dzisiaj wieczoru na stołach biedaków.

Frontowe drzwi domu pani Korechnya były szmaragdowozielonego koloru, z mosiężną kołatką pośrodku. Sara jeszcze nie zdążyła dotknąć chłodnego metalu, a już w progu pojawiła się kobieta, która mogłaby być rodzoną siostrą pana Parsimmonsa.

- Dzień dobry, panienko. Przyniosłaś coś dla mojej pani z wydawnictwa, czy tak?

Sara aż zaniemówiła z wrażenia, bo do tej pory nikt nigdy nie nazwał jej panienką. Wolała nawet, jeżeli ludzie brali ją za chłopca na posyłki i terminatora zecerskiego. Jako dziewczyna nie mogłaby wykonywać żadnego z tych zajęć, bo londyńczycy nie wiedzieć czemu uważali, że szanująca się gazeta powinna zatrudniać jedynie osobników płci męskiej. Sara dotąd się nie zastanawiała, co zrobi, gdy już nie będzie mogła dłużej udawać chłopca, chociaż wiedziała, że w końcu zdradzi ją ciało. Szczęśliwie na razie, mimo że już skończyła trzynaście lat, nie miała jeszcze miesiączki, poza tym była chuda i drobna jak na swój wiek. Papa mawiał, że wraz z Ellen wyrosłyby na śliczne dzierlatki, gdyby w Irlandii nie zapanował głód. Utrzymywał, że w tamtejszym powietrzu jest coś szczególnego, co dodaje dziewczynom siły i urody. Sara jednak nie wierzyła we wszystkie opowieści papy, a poza tym szybko zauważyła, że Irlandia stała się tym wspanialsza, im bardziej ubywało whisky w butelce.

- Wezmę tę paczkę, panienko. Możesz być pewna, że pani ją dostanie, gdy tylko wróci do domu.

Sara uniosła nieco głowę, by spod kaszketu lepiej się przyjrzeć kobiecie. Jej wygląd zdumiewał - chociaż była koścista, o surowej twarzy, ubrana w prostą brązową suknię bez ani jednej plisy czy falbanki, miała w sobie także jakąś bliżej nieokreśloną miękkość.

- Jest pani pokojówką?

- Wielkie nieba! Nie jestem żadną pokojówką, moje dziecko. Pani Korechnya nie potrzebuje pokojówek, bo wciąż - dzięki Bogu - sama jest w stanie sprawnie się ubierać.

Wyciągnęła rękę po paczkę, ale Sara się zawahała. Nagle ogarnęło ją wielkie rozczarowanie, że nie spotka Lily.

- Muszę oddać przesyłkę do rąk własnych - wypaliła. To były pierwsze słowa, jakie przyszły jej do głowy.

Zamiast powiedzieć Sarze, żeby nie zachowywała się impertynencko

i natychmiast oddała paczkę, kobieca wersja pana Parsimmonsa uśmiechnęła się przyjaźnie, a Sara mimowolnie zauważyła, że zęby miała w nieporównanie lepszym stanie.

- Dobrze, panienko. Znajdziesz panią Korechnya w Kensington. Poczekaj, zaraz poszukam dokładnego adresu.

Hol zdawał się Sarze przepastny jak na pomieszczenie w zasadzie pozbawione praktycznego przeznaczenia. Bez trudu zmieściłoby się w nim parę takich piwnicznych pokoików, w jakim rodzina O'Reilly mieszkała kiedyś w piątkę. Podłogę pokrywało wzorzyste linoleum, a na jednej ze ścian wisiał wielki obraz. Sara postąpiła krok w stronę malowidła, kobieta zaś, która nie była pokojówką, podeszła do niewielkiego mahoniowego stolika z szufladką.

Upłynęła zaledwie chwila, a znowu stała u boku Sary. Poruszała się bezszelestnie i Sara zerknęła w dół, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie jest ona boso, ale się okazało, że ma na nogach solidne, wysoko sznurowane trzewiki.

- To adres pracowni pana - oznajmiły Bezszelestne Podeszwy i też skierowały wzrok na obraz.

Przedstawiał kobietę w sukni z tkaniny, jakiej Sara nigdy wcześniej nie widziała - delikatnej i połyskującej srebrzyście niczym sieć pajęcza w słońcu, poprzetykanej białymi, migotliwymi klejnotami. Na głowie kobiety z obrazu widniał wianek z białych kwiatów, a czarne włosy luźno spływały jej na ramiona. Miała ciemne oczy w kształcie migdałów, skórę niczym świeża śmietana i pełne, wyraziście wykrojone usta. Bardzo przypominała panią Korechnya.

- Wenus. Tak brzmi imię damy z portretu - poinformowały Bezszelestne Podeszwy. - „Wenus z Waterloo” to tytuł tego obrazu.

- Malarz już nie żyje, prawda?

- Gorączka płucna zabrała go tej zimy. To znaczy, zabrała jego ciało. I tylko ciało. Do Kensington daleka droga, a ośmielę się twierdzić, że niedługo będziesz musiała powrócić do pracy. A więc trzeba ci znaleźć fiakra.

- Fiakra? Dla mnie? - Sara parsknęła śmiechem.

Jeszcze nigdy nie jechała żadnym powozem, był to przecież niewyobrażalny luksus. Kobieta tymczasem zniknęła równie niepostrzeżenie, jak się pojawiła u jej boku, a gdy Sara wyszła na ulicę, okazało się, że Bezszelestne Podeszwy już zatrzymały sfatygowaną dorożkę i ustalały coś

z woźnicą o ciemnej cerze. Chwilę później kobieta dała woźnicy kilka monet, po czym skinęła na Sarę z zagadkowym uśmiechem - jakby właśnie odkryła jakąś ważną tajemnicę. Potem delikatnie pociągnęła za daszek kaszkiety Sary i zniknęła za szmaragdowozielonymi drzwiami.

Na moście ruch już się toczył normalnie. W dorożce wiozącej Sarę pachniało pomadą do włosów i końską sierścią, a przez szpary w lakierowanych deskach podłogi wdierał się do wnętrza podmuch wilgotnego powietrza. Z wyżyn siedzenia powozu Strand Lane się zdawała jednym wielkim festiwalem wielokolorowych, wirujących krynolin i parasolek chroniących delikatne cery przed opalenizną - chociaż maj się dopiero rozpoczął i słońce jeszcze nie prażyło mocno. Kataryniarz z chudą małpką szedł krok w krok za grupą duchownych, a jasne światło radośnie tańczyło na szybach wystawowych. Cóż za piękny dzień, pomyślała Sara. Oto ona, przemierzająca w powozie Strand. Już się nie mogła doczekać, aż opowie o wszystkim Ellen i Świętemu Joemu. Dopiero zrobią wielkie oczy, gdy usłyszą, co ją dziś spotkało!

Kiedy minęli bramy pałacu Buckingham, strzeżone przez gwardzistów królowej (Sara widziała pałac już wcześniej, gdy pewnej nocy szukała papę w Hyde Parku), rozparła się wygodnie na siedzeniu i cieszyła oczy widokiem pięknych rezydencji, stojących za wymyślnie kutymi ogrodzeniami, a czasem za kamiennymi murami, w otoczeniu wysokich, rozłożystych drzew. Zastanawiała się przy tym, co Bezszelestne Pode-szwy miały na myśli, gdy mówiły, że śmierć zabrała jedynie ciało pana Korechnya. Nieboszczyk to nieboszczyk, chyba że się wierzyło w życie po śmierci - w raju. Sara nie była pewna, czy tak naprawdę w nie wierzyła, ale chętnie wyobrażała sobie mamę, papę i niemowlaka, objadających się plackiem z jabłkami i popijających słodką herbatę w towarzystwie małych pulchnych aniołków.

Pod koniec podróży widziała coraz mniej kutych bram i kamiennych murów, za to dojrzała parę poletek i kwitnących sadów owocowych. Budynek, który jej wskazał woźnica, musiał pochodzić z dawnych czasów, bo bardzo się różnił od pozostałych. Był zarośnięty krzewami dzikiej róży i bluszczem, a przy bramie stały kruszejące posągi jakichś zwierzęcych bestii. Nikt zapewne nie używał szerokiego frontowego wejścia, bo bluszcz pokrywał je co najmniej do połowy, Sara przeszła więc pod budzącymi się do życia gałęziami drzew i skręciła w stronę

szklanych drzwi - wyglądających zupełnie jak wysokie okna - otwartych szeroko na ogród.

I wtedy ją zobaczyła - panią Korechnya. Siedziała przy stole w wielkim pokoju, w którym poza tym stał jeszcze tylko jeden mebel - coś, co przypominało łóżko, ale miało jedną szeroką poręcz i opartą o nią poduszkę. W związku z tym Sara doszła do wniosku, że to bardzo duży, połamany fotel.

Lily zdawała się całkowicie pochłonięta pisaniem. Sara weszła więc do pokoju bez pukania, żeby nie przeszkadzać. Starła się poruszać najciszej, jak umiała, ale goła drewniana podłoga w końcu zaskrzypiała pod jej stopami. Pani Korechnya nie uniosła jednak wzroku znad kartki, i to dało Sarze chwilę czasu, by się dokładnie przyjrzeć siedzącej damie. Miała suknię w kolorze żywej zieleni, najprawdopodobniej z hinduskiej bawełny. Mama lubiła ten materiał i często powtarzała, że jest przedniego gatunku. Na jednym wąskim rękawie sukni Lily widniał biały kwiat o płatkach wygiętych wdzięcznie niczym łabędzia szyja. Sarze się wydawało, że takie same kwiaty miała we włosach kobieta - to znaczy Wenus z obrazu.

Rozejrzała się dyskretnie po pokoju, bo wciąż nie chciała przeszkadzać - tym bardziej że cokolwiek pisała pani Korechnya, wzbudzało to w niej żal. Nie płakała, ale Sara widziała, że jest smutna - świadczyło o tym szczególne pochylenie ramion, sposób, w jaki lewą ręką pocierała czoło, i głębokie westchnienia.

Pod ścianami ustawiono dużo obrazów bez ram - więcej niż Sara mogła szybko zliczyć - a na podłodze, tuż obok stołu, stało duże błękitne pudło na kapelusze. Kiedy Sara ponownie przeniosła wzrok na panią Korechnya - Lily spoglądała wprost na nią z nieznacznym uśmiechem na ustach. A więc smutek albo ją już opuścił, albo starannie go skryła.

- Witaj, Saro.

Przycisnęła bibułę do świeżo zapisanej kartki, po czym złożyła ją starannie i wsunęła do błękitnego pudła.

Pracownia Franza, tak Lily nazywa ów dom, wyjaśniała Sara Świętemu Joemu i Ellen tego samego wieczoru w piwnicznym pokoju. Opowiedziała też, jak fiakrem wracała w towarzystwie Lily z Kensington i jak przez cały czas pani Korechnya rozmawiała z nią w taki sposób, w jaki nikt nigdy przedtem z nią nie rozmawiał - opowiadała jej o edukacji dziewcząt i o Grekach, którzy mieli więcej niż jednego boga, a wśród

nich kilka kobiet. „Już z jednym jest masa kłopotu” - orzekła wówczas Sara, bardzo tym rozbawiając Lily. Dowiedziała się przy okazji, że Wenus była jedną z greckich bogiń, że Bezszelestne Podeszwy tak naprawdę się nazywają pani Vesper i że nie ma żadnego pana Vespera, ponieważ jeszcze w latach pięćdziesiątych zmarł na tyfus.

Tego dnia Ellen i Święty Joe przebierali wyrzucone szmaty i nawet udało im się sprzedać zbieraczowi starzyny skrawki koronki i parę srebrnych guzików. Dostali za to zaledwie kilka miedziaków, ale i one się liczyły, a Ellen lubiła pomagać siostrze. Kiedy Sara wróciła do domu, Elly i Święty Joe siedzieli na podłodze i zabawiali się kamykami i kawałkami kolorowego szkła. Joe był równie ufny jak Ellen, co martwiło Sarę, ale umiał też szybko wyczuć niebezpieczeństwo i odznaczał się niedźwiedzią siłą, chociaż z racji ociężałości umysłu nie najlepiej radził sobie w bójkach. Pozostawianie Elly pod jego opieką było jednak bezpieczniejsze niż puszczenie jej samopas. A przynajmniej tak się Sara pocieszała.

- Co to za książkę znalazłeś na Fleet Street, Joe?

Święty Joe się rozpromienił i wsunął wielką dłoń do kieszeni palta. Ellen uważała, że to palto jest magiczne, bo z jego rozlicznych kieszeni Joe zawsze wyciągał jakiś niespodziewany skarb. On sam twierdził, że zostało ściągnięte z grzbietu pewnego marynarza, Sara jednak nigdy się nie dowiedziała, czy ów marynarz był wówczas żywy, czy może już martwy.

- Książka z obrazkami - oznajmił i jego twarz rozświetlił tak szeroki i szczery uśmiech, że Sara nie umiałaby się na niego rozzłościć, nawet gdyby się w tym momencie dowiedziała, że on tę książkę jednak ukradł. Joe nie chciał nigdy nikogo skrzywdzić - po prostu brał sobie to, co mu się podobało. I okazywał się w tym bardzo biegły. Sara niekiedy się zastanawiała, czy miał już ten talent, gdy jeszcze był kaznodzieją - zanim oberwał po głowie nocnikiem.

Święty Joe wyciągnął książkę w jej stronę. Niewielkich rozmiarów, miała grubą, twardą okładkę, równie brudną i pożółkłą jak zęby pana Parsimmonsa.

- Czy tam stoi, o czym w niej napisano? Umiesz przeczytać, Saro? - Ellen była równie rozpromieniona jak Joe.

Sara tymczasem otworzyła książkę i zerknęła na zetłaną, kruchą kartkę, poznaczoną plamami po deszczu.

- „Mała syrenka” - przeczytała. - Autor: Hans Christian Andersen.  
Ellen zaczęła klaskać w dłonie.

- To o mnie! O mnie! Przecież ja jestem małą syrenką, prawda, Joe?

Joe także zaczął klaskać, a po chwili oboje przysunęli się do Sary siedzącej przy stole, z podnieceniem czekając na tak rzadki rarytas jak nowa opowieść. Sara wyprostowała się na krześle, zaciskając dłonie na okładkach książki. Poczowała dziwne łaskotanie w dołku, takie samo jak wtedy, gdy poszukując papy po nocy, zapuszczała się w nieznaną jej wcześniej rejony. Nie miała wielu okazji w życiu, by wziąć w ręce prawdziwą książkę, nie mówiąc już o jej czytaniu. O takich luksusach jak książki nie słyszano w wiejskiej szkółce w hrabstwie Wicklow. Zresztą Sara chodziła tam tylko do czasu, aż się wydało, że jest dziewczyną, bo do szkoły mogli uczęszczać jedynie chłopcy. Była jednak w klasie dostatecznie długo, żeby się nauczyć liter, a potem czytała wszystko, co wpadło jej w ręce - głównie jednak opowieści biblijne mamy.

Zaczerpnęła głęboko tchu i odchrząknęła znacząco, tak jak to zawsze robił Septimus Harding, gdy miał coś przeczytać na głos.

## V

### Waterloo, 7 maja 1864

Droga Barbaro,

Wczoraj doszło do mojego spotkania z lady Cyntią Herbert w Chapter Coffee House przy Paternoster Row. Jak wiesz, jest to lokal, do którego normalnie bym nie weszła, bo nagminnie odwiedzają go rozmaici wydawcy oraz inni dżentelmeni, związani ze światem książek i prasy, którzy odnoszą się szyderczo do kobiet mających czelność używać swojego intelektu. Nie obawiam się spotkania z ludźmi, którym oddaję do publikacji swoje eseje - natomiast nie znoszę ich kompanów. Wiem też, że nieuchronnie się zbliża dzień, gdy wszyscy się dowiedzą, że pan Evans to w istocie Lily Korechnya.



Kiedy weszłam do kawiarni, odniosłam wrażenie, że jest wypełniona samymi mężczyznami, dymem cygar i zapachem imbirowych ciastek. Szybko jednak dostrzegłam lady Herbert siedzącą przy stoliku wciśniętym w róg sali, z dala od żółtych płomieni, tańczących wewnątrz ładnych szklanych kloszy gazowych lamp. Lady Cyntia podeszła do mnie, by się przywitać, i wówczas zobaczyłam, że jest od stóp do głów obleczona w czerni, ostro kontrastującą z różowymi kwiatami tapety pokrywającej ściany kawiarni.

Zgodnie z moimi wcześniejszymi obawami, okrągły stolik przy oknie był zajęty przez sztywnych, jakby kij połknęli, redaktorów od Rivingtona - wydawnictwa książek teologicznych. Błat był upstrzony luźnymi kartkami, a na samym jego środku leżał opasły, ziów różnie wyglądający manuskrypt, wciąż jeszcze przewiązany sznurkiem. Aż strach pomyśleć, jakie treści może zawierać równie obszerna praca teologiczna! Ponieważ musiałam przejść obok, skinęłam kurtuazyjnie głową siwowłosemu, młodszemu Rivingtonowi, który był swego czasu lekarzem - kolegą mojego ojca. Wyraźnie się zdumiał, widząc mnie w tym miejscu, a jestem przekonana, że jego zdumienie wzrosło niepomierne, kiedy podeszła lady Herbert, ujęła mnie pod ramię i poprowadziła do stolika zastawionego taką masą rozmaitych ciastek, że starczyłyby na proszoną herbatkę dla liczego grona gości. Przez cały czas czułam na sobie wzrok Rivingtona, bez wątplenia zachodzącego w głowę, co córka doktora Halla robi w kawiarni, i to w towarzystwie osławionej obrazoburczyni.

- Postanowiłam ruszyć pani w sukurs - oznajmiła lady Cyntia sotto voce. - Czyż to nie przerażające, gdy się pomyśli, że osnowę tkanki moralnej klas średnich naszego społeczeństwa przędą dżentelmeni pokroju tu obecnych... Herbatki?

Kiedy odparłam, że wolałabym filiżankę kawy, zmarszczyła grubo upudrowany nos i oświadczyła, że ta substancja o ohydnej, cierpkiej goryczy nie służy jej delikatnemu zdrowiu. Jak Ci już wspomniałam, Barbaro, lady Herbert miała na sobie wszystko w czarnym kolorze - poczynając od koronkowej mantylki na ułożonych w ścisłe pierścionki włosach, a na jedwabnych trzewikach kończąc - sprawiała też wrażenie wyczerpanej, jakby kłopoty i troski do cna ją znękały. Mam wrażenie, że bezpowrotnie minęły dni, gdy lady Cyntia Herbert gromadziła wokół siebie błyskotliwe umysły i artystyczne dusze oraz zagorzale walczyła o prawa

naszej płci. Teraz, jak sądzę, stroni od ludzi i - jak zauważyłam - irytuje ją towarzystwo gromadzące się na salonach. Ale, Barbaro, gdybyś tylko mogła zobaczyć klejnot, który miała owego dnia na piersi! On zdawał się skupiać w sobie żywotność, która opuściła tę niegdyś wspaniałą kobietę, mającą jeszcze tak niedawno u stóp całą młodą londyńską bohemę.

Ów klejnot, o którym mówię, był zawieszony na złotym łańcuszku - nadzwyczajny, pojedynczy kamień wielkości suwerena, płonący tajemniczym, wewnętrznym światłem. Lady Herbert spostrzegła, że przykuł moją uwagę (przykuł, to za mało powiedziane, on mnie zahipnotyzował, bo zdawał się do mnie mrugać), i była tym wyraźnie uszczęśliwiona.

- To diament, moja droga, kamień, który na przestrzeni wieków wzbudzał zarówno lęk, jak i pożądanie. Dawnymi czasy noszono go na sercu, wierzono bowiem, że może zapewnić zwycięstwo w walce. Jestem zachwycona, że umie pani docenić piękno szlachetnych kamieni, i już się nie mogę doczekać chwili, gdy obejrzy pani moją kolekcję. Przyznaję, że wolałam, byśmy się najpierw spotkały w publicznym miejscu, ale gdy już panią poznałam, czuję się spokojnie i bezpiecznie.

Uznałam to za dość dziwne wyznanie, tym bardziej że jak na moje oko pozorny spokój pani Herbert był przede wszystkim wynikiem działania opiatów - dostrzegałam w jej zachowaniu symptomy, które wcześniej często obserwowałam u matki. Wkrótce moje przypuszczenia przerodziły się niemal w pewność. Otóż obok nas siedziało dwóch dżentelmenów, dyskutujących na temat zalet ostnicy i jej wyższości nad pulpą drzewną w procesie wytwarzania papieru. Mężczyźni byli całkowicie pochłonięci dyskusją i zupełnie nie zwracali uwagi na wymianę zdań, toczącą się przy naszym stoliku. Mimo to lady Herbert co chwila posyłała w ich stronę nerwowe spojrzenia - zerknęła nawet podejrzliwie na kelnera pilnie baczącego, czy gościom przypadkiem niczego nie brakuje.

W trakcie rozmowy się dowiedziałam, że lady Cynthia ma nadzieję powrócić zimą do Indii i odwiedzić maharadżę Benaresu, z którym łączy ją bliska znajomość. Wyznała mi także, że zgłębiła tajniki sanskrytu oraz że weszła w posiadanie pewnych hinduskich świętych ksiąg, które już zostały przetłumaczone na niemiecki, ale wciąż jeszcze się nie doczekały przekładu angielskiego.

Wedle jej stów, maharadża jest wykształconym człowiekiem, mecenasem kultury i wielkim admiratorem europejskiego malarstwa. Zdumiała mnie, gdy powiedziała, że zna prace mojego męża. Okazuje się, że odwiedziła Pragę przed rewolucją\*, z powodu której Franz i jego rodzina wyemigrowali do Londynu, i wówczas zwróciła uwagę na jego talent, choć był zaledwie studentem. Poinformowała mnie, że Praga, podobnie jak Benares, jest świętym miejscem - jednym z „miast światła”. O ile dobrze rozumiałam, takie miejsca są uważane przez mistyków za bardzo szczególne - ponoć leżą na styku dwóch światów: krainy żywych i krainy umarłych. Lady Cyntia przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, po czym powiedziała, że - jeśli takie byłoby moje życzenie - mogłabym dołączyć do jej kółka spirytystycznego. W zasadzie nie powinno mnie dziwić, że moja towarzyszka stała się wyznawczynią spirytyzmu, bo widać było wyraźnie, jak bardzo ją rozstroiła strata męża.

\* Mowa o Wiośnie Ludów (przyp. tłum.).

Wymówiłam się najuprzejmiej, jak umiałam, po czym szybko zmieniłam temat, mówiąc, że mam nadal wiele obrazów Franza, a wówczas lady Herbert wykazała żywe zainteresowanie tematem. Wyraziła nawet oburzenie, że z racji żydowskiego pochodzenia Franzowi odmówiono przyjęcia do Akademii Królewskiej.

- Wbrew poglądom lęgnącym się w mieszczańskich umysłach, talent nie musi iść w parze z chrześcijaństwem. Mój hinduski służący, na przykład, o wiele sprawniej operuje ołówkiem niż większość artystów przyjętych przez Akademię.

Obiecałam, że wybiorę kilka płócien i przyniosę jej do pokazania, bo bardzo mi zależy, aby Franz przynajmniej po śmierci mógł się cieszyć uznaniem, którego odmówiono mu za życia.

Po pewnym czasie lady Herbert ogarnął stan dziwnej nadpobudliwości - stała się jeszcze bardziej czujna i zaczęła nerwowo przesuwając palcami obciążonymi czarną rękawiczką po wiszącym na jej piersi klejnocie. Próbując zbagatelizować własny niepokój, zaczęła mi opowiadać o obiedzie, który niedawno spożyła w towarzystwie jednego z ekspertów domu aukcyjnego Hanovers. Mężczyzna napomknął jej o pewnym średniowiecznym wierzeniu, związanym z diamentami, wedle którego owe kamienie miały chronić przed duchami z zaświatów.

- Cóż za bzdura! - oburzyła się lady Cyntia. - Sama się przekonałam, że jest dokładnie na odwrót. One przyciągają dusze zmarłych!

Ponieważ jej napięcie wyraźnie się wzmagало, ustaliłyśmy, że podejmiemy naszą rozmowę w przyszłym tygodniu w Herbert House.

Muszę Ci wyznać, Barbaro, że osobowość Cyntii bardzo mnie zaintrygowała. Gdy tylko się dowiem, jaką ma dla mnie propozycję, natychmiast Cię o tym poinformuję.

Pozostaję jak zawsze niezwykle Ci przyjazną -

Lily

## VI

Nikt - Bogu dzięki! - nie może mieć nadziei na przekupienie brytyjskiego dziennikarza. Patrząc jednak na to, do czego ów jest zdolny się posunąć sam z siebie, należy przyznać, że nie ma żadnej potrzeby odwoływania się do łapówki.

Humbert Wolf

**W**idok Melville'a wchodzącego do zecerni tylnymi schodami sprawił, że Sara już nie była w stanie się skupić na ogłoszeniu wytwarzanego przez Keatinga Jasnego Tranu Nowofundlandzkiego z wątroby dorsza (WYRÓŻNIAJĄCEGO SIĘ SPOŚRÓD INNYCH SZEROKO REKLAMOWANYCH TRANÓW WYJĄTKOWĄ CZYSTOŚCIĄ). Bardzo jej się nie spodobało, że ów typ wszedł tutaj właśnie tą drogą, ponieważ uważała tylne schody za swoje niepodzielne terytorium, no i dlatego że Gregory Melville miał zwyczaj skradania się za ludzkimi plecami. Przywodził jej zawsze na myśl kocura podchodzącego gołębia.

Ze swojego doskonałego punktu obserwacyjnego (jej pulpit stał na końcu sali, tuż przy tylnych drzwiach) Sara szybkim spojrzeniem oszacowała krój płaszcza dziennikarza. Pan Melville był zawsze nienagannie ubrany, chociaż w jej opinii styl, jaki preferował, był bardziej odpowiedni dla wyelegantowanego rajfura niż człowieka prasy. Można by go nawet uznać za przystojnego, gdyby nie tłusta, blada cera, typowa dla jego

profesji - ludzi pijących zbyt wiele i zbyt wiele czasu spędzających w zamkniętych pomieszczeniach. Melville trzymał w dłoni arkusz papieru i miał minę kota, który już pochwycił gołębia i właśnie zamierza go pozreć.

Sara nieco niżej zsunęła kaszkiet na oczy, by móc nadal obserwować reportera, a jednocześnie sprawiać wrażenie pochłoniętej reklamą Keatinga. Rzeczywiście, musiała przyznać, że trany z wątroby dorsza były ostatnio szeroko reklamowane - podobnie jak wiele innych cudownych medykamentów. Prawdę mówiąc, już ją nużyło czytanie w kółko tych samych nonsensów: Esencja Witalna Doktora Ricorda, mająca przywracać męskość, Przeciwastmatyczny Balsam Lamberta - cudowne, niezwykle skuteczne remedium...

Papa często powtarzał, że wszystko, co stoi napisane w prasie, to farmazony, i niekiedy Sara się zastanawiała, jakby zareagował, gdyby się dowiedział, że jego własna córka pracuje dla gazety. Papa nie cenił także książek; jedynie mama niekiedy czytała - zazwyczaj coś z Leksykonu Kucharskiego Pani Beeton, który Ruby trzymała na półce, bo uważała, że w każdej szanującej się kuchni powinna stać podobna książka. Ruby nie umiała czytać, ale lubiła przeglądać obrazki. Mama natomiast nigdy nie byłaby w stanie wysupłać pensa na tanią broszurową powieść czy jakieś czasopismo. Miała tylko jedną książkę, którą przywiozła ze sobą z Irlandii - opowieści biblijne wraz z żywotami świętych w wystrzępionej okładce z zielonego płótna, i Sara z mamą czytały ją każdego wieczoru do czasu, aż ojciec przehandlował książkę za whisky. Wówczas właśnie Sara zrozumiała, że papa jest już zgubiony, bo dobrze wiedział, jak wiele ta książka znaczyła dla mamy. Ich ślubne obrączki zostały sprzedane dużo wcześniej, żeby kupić mąkę, herbatę i buty na zimę. Jakże rodzice byli wtedy smutni! Ellen bardzo chciała jak najszybciej odwiedzić mamę i papę, i Sara obiecała, że wkrótce do nich pójdą, chociaż widok poletka zarośniętego chwastami, spośród których sterczały tylko proste drewniane krzyże, zawsze bardzo ją przygnębiał.

Wchodząc do zecerni, Melville jedynie prześliznął się po niej spojrzeniem, jakby nie była warta jego zainteresowania. Nigdy nie zwracał na nią uwagi, za co w duchu dziękowała losowi. Wciąż miał ją za Sama, chłopca na posyłki - a więc nie musiał wiedzieć, że jest kobietą, by już i tak ją uważać za kogoś dużo poniżej swojego stanu.

Zatrzymał się przy pulpicie Jacka Thistlewite'a i zaczęli się naradzać szeptem, co mogło oznaczać tylko jedno - Melville znowu knuł jakieś bezeceństwo. Sara zdecydowanie by wołała, żeby pan Harding nie pozwalał mu na wypisywanie różnych brudów w kolumnie kryminalnej. Niekiedy wydawca nawet nie miał ochoty czytać tych odrażających tekstów i korektę musiał wówczas przeprowadzać jeden z jego zastępców. Sara doszła do wniosku, że Septimus Harding tak naprawdę nie cierpi tego, że jest zmuszony zamieszczać brudy na swoich łamach. Raz nawet słyszała, jak mówił do inspektora Larka, że „umywa ręce” od pewnego artykułu, ale musi go wydrukować, bo gazety się sprzedają dzięki sensacjom, a „Merkuriusz” nie może sobie pozwolić na straty.

Melville natomiast był urodzonym mąciwodą; dobrze wiedział, jak podburzyć gawieź, by żądała „sprawiedliwości” za „odrażającą” zbrodnię. Prawda jednak wyglądała nieco inaczej. Tania prostytutka lub nieszczęsny biedak mogli zostać pobici niemal na śmierć, i wtedy wystarczyło, jeżeli sprawca odsiedział miesiąc czy dwa w westminsterskim Bridewell, ale gdyby ten sam rzezimieszek ukradł czy choćby uszkodził własność Melville'a lub jemu podobnych, pismak domagałby się śmierci przez powieszenie. Sara dobrze wiedziała, gdzie ten typ zbierał materiały do swojej kolumny - obchodził tawerny w okolicach St. Giles i Cheapside, spotykał się z najlepiej prosperującymi przestępcami i płacił im za wyjawianie wszelkich brudów. Kiedy Melville się szykował do artykułu na temat Diabelskiego Kwartału, nie pojawił się w „Białym Jeleniu” - pewnie wiedział, że Ruby nigdy by nie wpuściła osobnika jego pokroju do swojego lokalu. Obszedł natomiast wszystkie najbardziej podejrzane speluny w okolicach Westminsteru, powyciągał informacje od najgorszych szumowin, po czym - jak zwykle - przedstawił „prawdziwy obraz” sytuacji.

Teksty Melville'a składał zazwyczaj Jack Thistlewite i Sara wiele się na ich temat nasłuchiwała podczas przerw na herbatę, gdy zecerzy wyciągali karty i dodawali sobie animuszu paroma łykami dżinu z czyjejsz flaszki. Jack zresztą nie był odosobniony w swoich przechwałkach - większość zecerów chętnie dowodziła, jak doskonale się orientuje w materii tekstu, który akurat składa.

I to właśnie przy takiej okazji Sara się dowiedziała, że najnowszą sensacją Melville'a mają być informacje dotyczące zabójstwa Herberta Peaseya, nieszczęsnego spedytora z Temple Pier, którego ktoś sprzątnął

dwa tygodnie temu. Podobno zamordowany fałszował księgi i przymykał oko na podejrzone operacje w porcie - tak przynajmniej oznajmił Jack. Zaraz też dodał, że Gregory (w towarzystwie zecerów Thistlewite z lubością opowiadał o swoich przełożonych, używając ich pierwszego imienia, chociaż jak na razie nie odważył się powiedzieć o panu Hardingu per Septimus), a więc Gregory miał wkrótce dotrzeć do sedna sprawy, która z pewnością się okaże NIEBYWAŁĄ sensacją. Zresztą każdy z artykułów, które składał Jack, zawsze - wcześniej czy później - miał się okazać epokowy, co czyniło z Thistlewite'a króla zecerni. W gruncie rzeczy był nie lepszy od Melville'a - żadnego z nich tak naprawdę nie interesowało dobro gazety, natomiast obaj uwielbiali siać wokół zamęt. Melville na dodatek - sądząc po tym, jak obcisłe nosił spodnie i jak wiele pomady wcierał we włosy - uważał się za dziennikarza, który zniewalając działa na kobiety nie tylko swoją urodą, ale przede wszystkim odwagą i bezwzględnością, z jaką ściga przestępców, póki ich nie zawieździe do Bridewell lub - biada im! - do Newgate.

Jedną z ulubionych rozrywek wszystkich zecerów były publiczne egzekucje - co tydzień wraz z resztą motłochu udawali się pod więzienie Newgate, gdzie stawiano szubienicę, po czym czerpali szczególną przyjemność z makabrycznego spektaklu, bo przecież to oni, jako ludzie prasy, walnie się przyczynili do wymierzenia złoczyńcy sprawiedliwości.

Sara natomiast nie znosiła egzekucji i w poniedziałki, w dniu wieszania skazańców, zawsze się trzymała z dala od Old Bailey\*. Tłumy pod więzieniem zbierały się już od niedzieli, gdy platforma z szubienicą wyjeżdżała przez czarną bramę, którą w poniedziałki wychodzili ze zwieszoną głową skuci skazańcy. Egzekucje byty wyczekiwane równie entuzjastycznie, jak gonitwy psów czy walki kogutów. Pan Harding mawiał, że wieszanie tylko tym się różni od wyścigów w Sandington, że nikt nie przyjmuje zakładów, bo rezultat spektaklu jest zawsze ten sam i z góry znany.

\* Centralny sąd kryminalny Anglii, sąsiadujący z Newgate (przyp. tłum.).

Jack jeszcze po przerwie rozwodził się głośno na temat morderstwa przy Temple Pier, zakłócając zwyczajową ciszę zecerni, aż w końcu Sara zaczęła żałować, że nie jest mężczyzną i nie może mu powiedzieć, by wreszcie zamknął jadaczkę. Thistlewite tymczasem opowiadał, jak to Gregory pracuje nad niezwyklej wagi artykułem, w którym opisze

mactwa zamorskich kupców, ciągnących olbrzymie, nielegalne zyski z eksportu cennych ładunków - drewna sandałowego i opium - niewpisanych do rejestrów władz portowych. Pan Melville - jako zaangażowany i uczciwy obywatel Londynu - uważał za swój moralny obowiązek wyrazić sprzeciw wobec tak niecznych praktyk. Sara uznała to za wyjątkowe farmazony, ale się nie odezwała, bo dobrze wiedziała, że nikt nie jest zainteresowany jej opinią. A kiedy tego popołudnia w zecerni pojawił się kolejny gość, Jack zaczął perorować jeszcze głośniej.

Ponieważ kolumna pana Evansa, przedstawiająca sylwetki wyjątkowych kobiet, nie ukazywała się w „Merkuriuszu” przez całą zimę, Lily nie było w zecerni od śmierci męża. Sara osobiście uważała, że pani Korechnya jest najbardziej wyjątkową ze wszystkich pań, opisywanych w tekstach pana Evansa, a były to takie postaci, jak chorowita poetka Elizabeth Barrett, kolejna poetka Christina Rossetti czy pewna malarka - Lizzie Jakaśtam. Teraz Sara wiedziała już co nieco o owych kobietach - przede wszystkim każda z nich się zajmowała tym, czym normalnie się zajmowali jedynie mężczyźni: ważnymi, wymagającymi bystrości umysłu dziedzinami, skłaniającymi ludzi do refleksji lub rozjaśniającymi ich życie nawet wtedy, gdy słońce tygodniami przesłaniały gęste, ciemne chmury.

Lily weszła do zecerni głównymi drzwiami, odziana w niezwykłą suknię, w której wyglądała tak pięknie, że wszyscy zecerzy ukradkiem się za nią oglądali. Sara zauważyła, że pani Korechnya zachwycająco się porusza - stąpa królewskim krokiem, jakby całkowicie panowała nad ciałem i umysłem, i to nawet wtedy, gdy jest smutna, tak jak musiała być smutna Maria Magdalena, kiedy Jezus zawisł na krzyżu. Sara wyczytała tę historię z książki mamy o świętych, chociaż Maria Magdalena chyba świętą nie była - prawdę powiedziawszy, Sara odniosła wrażenie, że musiała mieć raczej coś wspólnego z ulicznymi dziewczkami, bo mama mówiła o niej „upadła”. Ale to jedynie oznaczało, że nie mogła znaleźć innego sposobu zarabiania na chleb - podobnie jak Moll i Nancy spod „Białego Jelenia”. Mama je również uważała za upadłe, ale im to chyba nie przeszkadzało, bo ciągle się śmiały, a do tego co wieczór marynarze kupowali dla nich szklaneczki dzinu. Tak więc Maria Magdalena raczej nie była świętą, za to z pewnością była nią Anna, która otarła krew z twarzy Jezusa, gdy upadł w drodze na Kalwarię. Sądząc z opisu, to dość straszna śmierć, to znaczy śmierć przez ukrzyżowanie. Powieszenie lub



ścięcie zdawały się zdecydowanie lepsze, bo przynajmniej delikwent umierał od razu.

Tak więc Jack rozwoził się donośnie nad SENSACYJNYM artykułem Melville'a, i pani Korechnya zatrzymała się w połowie sali, żeby go posłuchać. Gdy Jack zauważył gościa, bezwiednie przygładził włosy, co z pewnością nie umknęło uwagi Lily, bo na jej ustach się pojawił nieznaczny uśmiech, jakby pojęła, że ma nad zecerami wielką przewagę. Kiedy Jack przestał się zajmować swoją fryzurą, zwróciła się w jego stronę i powiedziała uprzejmie, tonem prawdziwej damy:

- Rzeczywiście, jest tak, jak pan powiada, panie Thistlewite. W Londynie nie brakuje oszustów i szalbierzy, ale proszę też pomyśleć, jak bardzo płańdrowane są kraje, z których pochodzą te ładunki. Dzieci na Wschodzie wysyła się do morderczej pracy na wielkich głębokościach pod ziemią, żeby jakaś dama w Londynie mogła się cieszyć swoimi błyskotkami. Czy wie pan, panie Thistlewite, że pod brytyjskimi rządami w Indiach jednego dnia umiera z głodu tyle dzieci, ile na East Endzie przez cały rok?

Te słowa sprawiły, że Jack przestał wreszcie kłapać dziobem. Bynajmniej nie dlatego, że obchodził go los głodujących dzieci, ale dlatego że pani Korechnya o wiele bieglej od niego władała słowem, i nagle się poczuł jak ostatni głupek. Sarze sprawiło to szczerą przyjemność, bo do tej pory Thistlewite miał o sobie zbyt wygórowaną opinię, a na dodatek puszył się przed zecerami, którzy teraz wreszcie zobaczyli go zaszachowanego - i to przez kobietę.

Chwilę później, ku wielkiemu zdumieniu Sary, Lily podeszła wprost do jej pulpitu. Miała na sobie suknię z miękkiej wełny w kolorze kości słoniowej, ze stanikiem wyszywanym w wielobarwne kwiaty, mocno ściągniętą w pasie, dzięki czemu można było zobaczyć, jak wąską ma talię, mimo że nie nosi gorsetu.

Sara pochyliła nisko głowę i zaczęła grzebać w kaszcie, ponieważ nagle ogarnęło ją zmieszanie. Sama się tym zdumiała, bo przecież Lily była dla niej zawsze bardzo miła. Doleciał ją aromat wody różanej, którą pachniały czarne włosy pani Korechnya, spięte na karku - jak zwykle - klamrą w kształcie motyla, a dalej puszczone luźno. Sara zawsze uważała tak swobodną fryzurę za objaw niezwykłej śmiałości.

Lily tymczasem wpatrywała się w reklamę Keatinga, chyba wciąż jeszcze rozbawiona głupotą Jacka, bo w kącikach jej pełnych warg czaił się uśmiech. Pobrudzonym farbą palcem Sara podsunęła kaszkiet. Nie,

nie myliła się. Ponad ustami wznosił się delikatny nos, a jeszcze wyżej widniały pełne wesołości oczy o niezwykłym kolorze. Raz wydawały się niebieskie, chwilę później zielone; te barwy się zmieniały i przechodziły jedna w drugą - tak samo jak na etykietce whisky, na której widniały rozświetlone słońcem morskie fale.

- Jak się miewa twoja siostrzyczka? Na imię jej Ellen, jeśli się nie mylę?

Opowiedziawszy pani Korechnya o planach wysłania Elly do szkoły, Sara nabrała śmiałości.

- Całkiem niezłe znam już ortografię, prawda?

- W rzeczy samej. Muszę nakłonić pana Hardinga, żeby zaczął ci powierzać teksty bardziej rozwijające niż reklamy mające pomnażać zyski ze sprzedaży tranu. Tym bardziej, Saro, że to ohydny medykament - już od samego zapachu owego specyfiku robi mi się niedobrze.

Sara zniżyła głos do szeptu:

- Proszę nie zwracać uwagi na Jacka, on jest po prostu okropnie zarozumiały. Razem z panem Melville'em sądzą, że wkrótce doprowadzą do następnej egzekucji, i dlatego tak się dzisiaj puszył.

Ledwo to powiedziała, a w oczach Lily zgasły radosne błyski.

- Nie niepokoi mnie arogancja pana Thistlewite'a - odparła równie cichym szeptem - ale jego poglądy. Jestem przeciwna publicznym egzekucjom, a właściwie wszelkim formom egzekucji.

- To zupełnie jak ja - oświadczyła Sara i nagle się poczuła bardzo dojrzała, bo przynajmniej w jednym względzie podzielała opinię kogoś tak mądrego jak Lily Korechnya.

## VII

Waterloo, 24 maja 1864

Droga Barbaro,

Wczoraj byłam na herbatce w Herbert House i chciałabym Ci opisać kolejne spotkanie z lady Cyntią.

Przysłała po mnie elegancki powóz z herbem i monogramem Herbertów, wymalowanym na drzwiach w bieli i złocie. Na koźle siedział stangret

w bordowym płaszczu ze świńskiej skóry, pod którym widniała groszkowa kamizelka. Lady Cyntia ubiera się jedynie w czerni, za to - jak się zdaje - uniformy służby pozwalają jej się cieszyć bogactwem całej palety kolorów. Ja też starannie wybierałam strój z myślą o czekającej mnie wizycie. Zdecydowałam się na suknię w odcieniu ciemnego mchu, w stylu gotyckim, przeżywającym renesans dzięki panu Williamowi Morrisowi. Na rękawach owej sukni są wyhaftowane lilie - ostatnio bardzo pociąga mnie ten motyw, ponieważ Franz wciąż do niego wracał w swoich obrazach. Twierdził, że lilia jest rośliną świętą. Dla starożytnych Rzymian była ponoć symbolem nadziei, chrześcijanie zaś uważają ją za kwiat Maryi, ale także utożsamiają go ze śmiercią oraz widzą w nim białą gwiazdę zmartwychwstania. Christina Rossetti utrzymuje, że dla poetów gałązka lilii uosabia powrót nadziei, zamierzam więc nosić ten kwiat, któremu zawdzięczam swoje imię, do czasu, aż i we mnie na nowo się obudzi nadzieja.

Staję się sentymentalna, Barbaro, jednak wierzę, że mi wybaczysz. Teraz, gdy już nie ma Franza, wszystko, co mi przypomina o naszej miłości, staje się wyjątkowo drogie mojemu sercu.

Ale do rzeczy. Podróż do Hampstead w powozie lady Herbert była nadzwyczaj komfortowa - siedziałam wśród aksamitnych poduszek, także zdobionych monogramem, co uznałam już za pewną ostentację. Lady Cyntia w przedziwny sposób łączy w sobie majestatyczną wyniosłość z buntowniczą duszą - jej osobowość zdaje mi się niezwykle złożona i fascynująca.

Kiedy przejechaliśmy przez Tamizę, po raz pierwszy od wielu tygodni cieszyłam oczy wspaniałym widokiem nowego mostu Tower i samej rzeki, pulsującej życiem-, stada mew krążące nad łodziami pełnymi śledzi; nieustannie kursujące w górę i w dół barki z węglem oraz kupieckie statki, a do tego parowce z obcokrajowcami w dziwnych kapeluszach, zachłannie chłonącymi z pokładu londyńskie krajobrazy.

W Hampstead uderzyła mnie czystość i cisza. Gałęzie zimozielonych roślin pochylały się nad świeżo wybrukowanymi ulicami, a panujący wokół spokój zdał mi się przyjemny, chociaż nie chciałabym tam mieszkać, bo jednak preferuję zgiełk Waterloo Street - szczególnie teraz, kiedy wiem, że gdybym pozwoliła umysłowi pograć się w ciszy, zatonąłabym w smutku.

Przy bramie Herbert House pełnił straż młody człowiek, odziany w elegancką liberię w tych samych barwach, które nosił stangret. Odsunął ciężkie zasuwę bramy i wówczas znalazłam się w świecie niespotykanym w Londynie. Natychmiast spostrzegłam, że owo Elizjum stworzono na modłę ogrodów Wschodu, znajdowały się tam bowiem zupełnie mi nieznane kwitnące rośliny o połyskliwych liściach oraz posągi wieloramiennych, egzotycznych bóstw, a także stawy, na których powierzchni się unosiły kielichy lilii wodnych. Bryła domu zdała mi się imponujących rozmiarów, ale elegancka w proporcjach i formie - cztery rzymskie kolumny z jasnego marmuru okalały błyszczący, czarny prostokąt drzwi wejściowych.

Wiekowy kamerdyner wprowadził mnie do przepastnej bawialni lady Herbert, gdzie się znajdowało niewiele mebli, za to natłok obrazów. W istocie, trudno byłoby tam dostrzec skrawek wolnej ściany. Z lubością wodziłam wzrokiem po owej galerii, gdzie nagie piękności sąsiadowały z demonami, a wizerunki hinduskich bóstw z płótnami holenderskich mistrzów. Przy drzwiach salonu tkwił Hindus - dla odmiany nienoszący liberii Herbertów. Czujny i nieruchomy przywodził mi na myśl posąg wyrzeźbiony z jasnego mahoniu.

Na mój widok lady Cyntia podniosła się z białej kanapy, a wówczas syjamski kot, siedzący wcześniej na jej kolanach, wdzięcznie się przemieścił na pozłacane krzeselko, ustawione przy oknie i - odwrócony do mnie tyłem - zaczął bacznie obserwować ogród. Cóż za królewskie zwierzę, pomyślałam - i wyraźnie zirykowane moją obecnością.

Na szyi lady Herbert miała krótki naszyjnik z dużych różowych kamieni, w tak niezwykły sposób załamujących światło, że spytałam, czy to przypadkiem nie brylanty. Jak podczas naszego poprzedniego spotkania, była bardzo zadowolona, że zwróciłam uwagę na jej biżuterię. Skinęła potakująco głową i odparła nieco enigmatycznie:

- Zły urok się nie ima tego, kto nosi amulet z diamentu - żaden władca jego woli nie złamie i nawet bogowie spełnią jego życzenia.

Ponoć są to słowa anonimowego rzymskiego poety, żyjącego w II w n.e. Słuchając ich, zaczęłam się zastanawiać, czy zainteresowanie lady Cyntii kamieniami szlachetnymi i biżuterią nie ma swojego źródła jedynie w dziwnych przesądach, a jednocześnie uznałam, że to najlepszy

moment, by zapytać o charakter moich ewentualnych obowiązków. Okazało się, że lady Herbert chciałyby, aby ktoś skatalogował jej klejnoty. Podkreśliła przy tym, że zdecydowanie jest przeciwna powierzeniu podobnego zadania prawnikowi, agentowi ubezpieczeniowemu czy jubilerowi, ponieważ do bardzo niewielu osób na tym świecie ma zaufanie - co już zdążyłam zauważyć. Ponadto oświadczyła, że osobą sporządzającą taki katalog musi być kobieta, bo tak jak kobiety czują pociąg do klejnotów, tak szlachetne kamienie lepiej się czują w towarzystwie płci pięknej!

Uderzyła w mały kryształowy dzwonek i wówczas pojawił się stareński kamerdyner - patrząc na niego, doszłam do wniosku, że powinien zostać zwolniony z obowiązków co najmniej pół wieku temu. W srebrnym dzbanku podał herbatę aromatyzowaną cynamonem i goździkami, a także - ułożone na kryształowych talerzykach - małe korzenne ciasteczka oraz jakieś egzotyczne łakocie w różanym syropie.

Przez cały czas towarzyszył nam wysoki Hindus, o którym ci już wspomniałam. Lady Herbert poinformowała, że nosi imię Gowinda. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jest kimś o wiele znacznieszym niż tylko służącym, ale być może ponosi mnie wyobraźnia. Ma skórę dużo jaśniejszą od większości swoich krajanów, jest też sporo wyższy, a w jego sposobie bycia wyczuwa się coś bardzo szczególnego, czego jednak nie potrafię precyzyjnie opisać. Jest szarmancki, a jednocześnie czujny i spięty; ma w sobie jakąś niewinność, a jednocześnie w jego oczach czai się dziwny cień - jakby nieobca była mu wiedza o mrocznych stronach człowieczej egzystencji.

Lady Herbert po raz kolejny zaczęła mnie wypytywać o płótna Franza, a ja ponownie obiecałam, że pokażę jej kilka z nich. Dała mi do zrozumienia, że być może zdoła doprowadzić do ich sprzedaży, bo jej przyjaciel, maharadża Benaresu, choć rozmówany w europejskim malarstwie, jest w tej dziedzinie dyletantem i chętnie się opiera na jej sądach. Z tego, co lady Herbert opowiedziała mi o maharadży, wnoszę, że jest on również dyletantem, jeśli chodzi o kobiety, w swoim haremie ma bowiem tyle żon i konkubin, że siłą rzeczy muszą go z nimi łączyć związki powierzchowne. Swego czasu czytałam o tej islamskiej tradycji wielożeństwa, która zresztą nie dotyczy jedynie książąt. Zauważyłam, że i lady Herbert jest bardzo zaintrygowana owym zwyczajem.

- Najnowszym nabytkiem maharadży jest piękna, wiejska dziewczyna, nosząca imię hinduskiej bogini: Saraswati. To zupełnie niesłychane, żeby mężczyzna tak wysokiego rodu sprowadzał do swojego domu dziewczynę z nizin w charakterze innej niż służącej.

Lady Herbert powiedziała to tak konspiracyjnym tonem, iż można by dojść do wniosku, że za decyzją maharadży krył się jakiś sekretny motyw. Ona jednak nie kontynuowała tematu, a kiedy dopiliśmy herbatę, oznajmiła Gowindzie, że teraz chciałaby mi pokazać swoją kolekcję klejnotów. Gowinda bez słowa wyszedł z pokoju, a kiedy powrócił po pewnym czasie, nie przyniósł ze sobą szkatuły z kosztownościami - jak się spodziewałam - ale skinął jedynie głową, a wówczas lady Herbert podniosła się z kanapy i poprosiła, żebym za nią podążyła. Nasz pochód zamykał milczący Gowinda, co mnie nieco deprymowało, lady Cyntia jednak zdawała się nie zważać na jego obecność.

Ruszyliśmy w górę schodami z czarnego marmuru, centralną klatką schodową o ścianach zawieszonych pejzażami - rozpoznałam wśród nich płótna Turnera i Constable'a. Podnosi mnie na duchu myśl, że lady Herbert tak bardzo się zainteresowała obrazami Franza. Wiem, że kilka z nich jest na doskonałym artystycznym poziomie - szczególnie portret Wenus, do którego pozowałam.

W końcu - cały czas się wspinając po marmurowych stopniach - znaleźliśmy się na poddaszu. Gowinda wyjął z kieszeni ciężki mosiężny klucz i otworzył jedno z drzwi. Kryjący się za nimi pokój był niewielki, o ścianach niepokrytych tapetami, ale jasnoametystowej barwy farbą. Wzdłuż każdej ze ścian stały wysokie komody z małymi szufladkami - a w każdej z nich widniała dziurka na kluczyk. Zanim tu przyszliśmy, Gowinda otworzył zamki wszystkich szuflad i teraz zastygł w bezruchu przy drzwiach.

Przez resztę popołudnia lady Herbert wyjmowała z owych szufladek coraz to piękniejsze sztuki biżuterii: kompozycje z turkusów i pereł, róże cyzelowane w koralu, osadzone w jadeitowych płatkach, naszyjniki z brylantów w delikatnym kolorze szampana, bransolety z rubinów i szmaragdów w oprawie z ciężkiego złota. Patrzyłam na szafirowe kolczyki, brosze ze złota i obsydianu, a także niezliczone sznury wielkich, szarych pereł. Od natłoku kosztowności niemal zakręciło mi się w głowie. A potem pojawiły się pojedyncze, nieoprawione kamienie, niektóre z nich

ledwie wygładzone, ponieważ - jak poinformowała mnie lady Cyntia - władcy Indii i Persji lubowali się w nieszlifowanych klejnotach, głównie dlatego, że na Wschodzie nie dysponowano odpowiednią wiedzą i narzędziami, pozwalającymi na wycięcie pięćdziesięciu lub więcej fasetek, dzięki którym brylanty rozszczepiają światło i rozsiewają tak niebywały blask.

Pod koniec owej prezentacji nie byłam już nawet w stanie wydawać z siebie okrzyków zachwytu, choć każdy następny klejnot zdawał się wspanialszy od poprzedniego. Naturalnie, jak każda kobieta doceniam piękno drogocennych kamieni, jednak nie wzbudzają one we mnie żądzy posiadania, jak u lady Cyntii; nie marzę też, żeby się nimi obwieszać - zbytnio by mnie rozpraszały!

Kiedy już obejrzałam zawartość każdej szufladki, lady Herbert wyciągnęła rękę i ujęła w palce mój medalion.

- Czy dostała go pani od męża? - spytała cichym głosem.

W tym momencie coś ścisnęło mnie za gardło, więc jedynie skinęłam potakująco głową, po czym otworzyłam wieczko, by mogła zobaczyć kosmyk białych włosów, wijący się w środku. Baczenie się jej przez cały czas przyglądałam, zauważyłam więc, że w pewnym momencie pośłała Gowindzie szczególne spojrzenie, którego wymowy jednak nie zrozumiałam.

- Moja droga, myślę, że powinna pani pomyśleć o sporządzeniu klejnotu żałobnego z prawdziwego zdarzenia, nie należy bowiem krępować energii duszy zmarłych.

- To jedynie kosmyk włosów mojego męża, a nie energia jego duszy - zauważyłam.

- I tu jest pani w głębokim błędzie. Esencja życia gromadzi się bowiem w naszych włosach, a także w szpiku kostnym. Włosy zawierają węgiel, który ma własności zapewniające nieśmiertelność. Diamenty natomiast są najbardziej wysublimowaną formą węgla - przechwytyują energię i zachowują ją po wsze czasy. Tak jak inne drogocenne kamienie, rodzą się w głębinach ziemi - niczym cenne ziarna - i są odżywiane przez skały oraz gwiazdną materię. Uosabiają wszystko, co najczystsze we wszechświecie. Podobnie jak lecznicze zioła oraz inne święte rośliny, kamienie szlachetne - a diamenty w szczególności - posiadają tajemnicze, niezwykle właściwości.

Zawsze z rezerwą podchodziłam do tego typu ezoterycznych teorii, Barbaro, chociaż Franz swego czasu wiele mi opowiadał o praktykach magicznych, chętnie uprawianych przed rewolucją w Pradze - w mieście, gdzie dawni królowie zatrudniali nadwornych alchemików i nie podejmowali istotnych decyzji, nie zasięgnąwszy uprzednio porady astrologa. Ponoć sama nazwa miasta, Praga, oznacza bramę łączącą widzialne z niewidzialnym. Franz wierzył w istnienie miejsc, w których się przenikają te dwa światy, chociaż zawsze zaznaczał, że jest ich bardzo niewiele na ziemi. Pewnego razu z rozbawieniem obiecaliśmy sobie, że jeżeli kiedyś przysłoby nam się rozstać, spotkamy się przy jednej z owych mistycznych bram. To było romantyczne, wręcz sentymentalne rojenie, Barbaro, ale jakże wiele bym teraz dała, żeby się mogło ziścić.

- Moc oddziaływania kamieni szlachetnych - ciągnęła tymczasem lady Herbert - w dużej mierze zależy od intencji, a także siły woli tego, kto znalazł się w ich posiadaniu. W Indiach diament oraz bóstwo, któremu przypisano ów klejnot, włada planetą Wenus, a więc i uczuciami.

O ile dobrze pojęłam, jeżeli diament nosi osoba czystego serca, może dotknąć wyższej, tajemnej wiedzy, ale jeżeli jej pragnienia są nieczyste, wówczas dochodzą do głosu demony i rozpętują istne pandemium. Gdyby zaś ktoś pojął mowę diamentów, mógłby nawet odkryć eliksir życia! Lady Herbert z pewnością nie dokonała podobnego odkrycia, bo pod koniec naszego spotkania zapadła jakby w letarg i sprawiała wrażenie całkiem wyczerpanej. Już dużo wcześniej zauważyłam, że ma kłopoty z oddychaniem i że z niejakim trudem przychodzi jej wypowiedanie każdego słowa. Spostrzegłam też, że w miarę upływu czasu Gowinda coraz baczniej śledzi ją wzrokiem. Nie musiałam pytać, by wiedzieć, jaki zalecono jej medykament: lady Herbert bez wątpienia zażywa laudanum, przez przedstawicieli medycznej profesji powszechnie uważane za cudowne panaceum na wszelkie niedomagania kobiet, przypisywane - bez względu na objawy - „rozstrojowi nerwowemu”. Ja, Barbaro, coraz częściej dochodzę do wniosku, że owe rozmaite „rozstroje nerwowe”, uważane przez lekarzy za typowo kobiecą przypadłość, są niczym innym jak frustracją wywołaną koniecznością tłumienia własnych zdolności intelektualnych i niemożnością wyrwania się poza pokój dziecinny i salon. Mężowie robią wszystko, by ich żony nie zaznały choćby odrobiny niezależności, któż bowiem rodziłby im wówczas dzieci i w roli opiekunczego anioła czuwał nad domowym ogniskiem? W swoich artykułach do



medycznego czasopisma „Lancet” mój ojciec i jego koledzy próbują dowodzić, że społeczne konwenanse, pętające kobiety, mają głębokie uzasadnienie w biologii. Skoro kobiece ciało zostało tak uformowane, żeby służyć głównie reprodukcji, intelektualny rozwój jest już niemożliwy, bo zbyt wiele energii pochłaniają funkcje rozrodcze. Jeżeli natomiast na rzecz rozwoju umysłowego kobieta chciałaby poświęcić reprodukcję, wówczas karygodnie zaniedbałaby swój obowiązek wobec Boga i całej rasy ludzkiej.

Zbaczam z tematu, zdaję sobie z tego sprawę, Barbaro, nie mogę się jednak uwolnić od myśli, że uczynienie z kobiety tak silnej i odważnej w poglądach jak lady Cyntia osoby zagubionej intelektualnie i bezwolnej - jest straszną zbrodnią.

Tak więc, moja droga, zdałam Ci szczegółową relację z tego, co się działo od czasu, gdy ostatnio wymienialiśmy korespondencję.

Bardzo chętnie bym się dowiedziała, jak prosperuje szkoła, którą założyłaś dla dzieci biedoty w Westminsterze, nie miałam też okazji, żeby Ci powiedzieć, jak to cudownie, że zdołałaś zorganizować kolejną placówkę edukacyjną dla najuboższych warstw. Niezwykłym zrzędzeniem losu młodsza siostra tej dziewczynki, o której Ci wspominałam, Sary O'Reilly, rozpocznie tam naukę na jesieni, będę więc mogła szczegółowo zrelacjonować, jakiej zmianie uległo życie jednej drobnej istoty dzięki twojej hojności i ciężkiej pracy.

Kiedy tylko skończę swój esej na temat Julii Margaret Cameron - pionierki w dziedzinie fotografii - zamierzam napisać dłuższy tekst o Elizabeth Blackwell. Dowiedziałam się, że założony przez nią w Nowym Jorku szpital dla kobiet jest wzorcową instytucją. No i należy podkreślić, że sama panna Blackwell - wywalczywszy sobie prawo do studiowania medycyny - ustanowiła cenny dla naszej płci precedens. Okazuje się, że coraz więcej wspieranych przez nią młodych miłośniczek nauki zostaje przyjętych do college'u w Genewie, jej macierzystej uczelni. To fantastyczne osiągnięcie, nie uważasz?

Pozostaję zawsze ci przyjazna -

Lily

## VIII

Gdy umrę, mój najdroższy,  
Wystarczy parę brzoź –  
Nie sadź mi ponad głową  
Cyprysów ani róż;  
Niech tylko trawę w górze  
Skropi raz po raz deszcz;  
I jeśli chcesz, pamiętaj,  
Zapomnij, jeśli chcesz.

Christina Rossetti

**D**opiero po upływie kolejnego tygodnia Sara dotrzymała obietnicy i zabrała Ellen na Pola Powroźników. Poranki były najlepszą porą, żeby się wybrać na cmentarz dla ubogich, bo wczesne światło sprawiało, że nie wydawał się aż tak przygnębiającym miejscem. Pan Harding się zgodził, żeby Sara miała wolne poniedziałkowe przedpołudnie, ponieważ - z racji specjalnego wydania gazety - przepracowała całą niedzielę.

Sara zupełnie zapomniała, co się działo w poniedziałki przed Newgate, i kiedy koło ósmej znalazły się z Ellen w pobliżu Old Bailey, dopiero po pewnym czasie zdała sobie sprawę, skąd się wziął ten przeklęty tłum. W pierwszej chwili pomyślała, że to trochę za wcześnie jak na jarmarczne popisy wędrownej trupy czy przedstawienie lalkowego teatryku z Punchem i Judy w rolach głównych - co z pewnością chętnie obejrzałaby Ellen. Nie chodziło jednak o kukielki, ale o publiczną egzekucję - to ona wzbudziła tę atmosferę niezdrowego podniecenia wśród morza głów falujących pomiędzy szafotem wystawionym przy Newgate a ulicą, którą Sara i Ellen próbowały się przebić przez spragnioną sensacji gawiedź. Chwilę później tłum się gwałtownie zacieśnił, ponieważ otworzyły się czarne więziennicze wrota.

Sara nie widziała skazańca - w zasadzie nie widziała nic poza górną belką szubienicy i kawałkiem grubej liny, którą papa nazywał stryczkiem. Mówił, że jest wykonana ze szczególnego rodzaju konopi i tak

wytrzymała, żeby się nie urwać pod ciężarem wisielca. Ponoć identycznych lin używali rybacy do cumowania swoich łodzi. Natomiast w oczach Sary ów stryczek wyglądał jak wąż oplatający drzewo z historii o Ewie i Adamie, przedstawionej w biblijnych opowieściach mamy.

Z niepokojem zerknęła na Ellen zastygłą w bezruchu z szeroko rozwartymi oczami, z całej siły ściskającą jej dłoń. Elly sięgała czubkiem głowy niewiele powyżej pasa Sary, jedyne więc, co widziała - to portki i wiązania fartuchów. Jednak wyraźnie wyczuwała, co się tutaj dzieje - każdym nerwem odbierała pełne podniecenia oczekiwanie, które ogarnęło gawieź otaczającą więzienie.

Mama mawiała, że Ellen ma dar nadprzyrodzonego widzenia - ponoć odziedziczyła go po babci. Babcia zmarła z głodu, zanim im się udało dostać na statek płynący do Londynu. Umiała przejrzeć człowieka na wskroś - tak opisywała babcię mama. Jednak w opinii Sary, nadprzyrodzone widzenie nie wychodziło Ellen na zdrowie. Przede wszystkim kazało jej od czasu do czasu wbijać znieruchomiały wzrok w róg pokoju. Niekiedy Sara się budziła nocą i widziała Elly siedzącą po ciemku przy stole, wpatrującą się w mrok. Po śmierci papy Ellen rozmawiała z nim tygodniami, jakby siedział obok i opowiadał najzabawniejsze dowcipy. Lub smutne historie - bo czasami płakała. Aż pewnego dnia przestała z nim rozmawiać i wówczas Sara zrozumiała, że papa opuścił je na dobre. Sara mocno się niepokoiła, gdy Ellen zaczynała błądzić gdzieś niewidzącym wzrokiem i pogrążała się w dziwnym milczeniu - z jednej strony dlatego, że wtedy się czuła samotna, ale przede wszystkim dlatego, że się obawiała, iż pewnego dnia Elly się zatraci w innej rzeczywistości i już nigdy nie powróci. Ruby natomiast często powtarzała, że Ellen jest tylko w części dzieckiem przynależnym doczesnemu światu - nie wspominała jednak, do jakiego świata przynależy reszta.

Teraz, gdy tłum zamilkł i zapadła gęsta cisza, Ellen znowu patrzyła przed siebie tym szczególnym wzrokiem. Sara najchętniej natychmiast zabrałaby siostrę jak najdalej od miejsca egzekucji. Problem w tym, że nie mogły się ruszyć z powodu napierających z każdej strony mas ludzkich, zdających się dyszeć unisono niczym jedna, ogromna, krwiożercza bestia.

Chwilę później było już po wszystkim; tłum wydał triumfalny wrzask i zaczął się rozrzedzać. Kramarze znów donośnym krzykiem poczęli zachęcać do kupna gorących placków i zimnej lemoniady. Sara delikatnie pociągnęła Ellen za rękę.

- Chodź, mała. To nie jest dzisiaj przyjemne miejsce. Ruszajmy w swoją drogę.

- On już nie żyje, prawda?

- Prawda. Jest równie martwy jak szczur, którego znalazłaś w kuchni Ruby. Chodź, czas na nas.

- Ale przecież mamy się spotkać ze Świętym Joem, Saro! Obiecałyśmy, że go zabierzemy.

- I tak zrobimy. Nie musisz się gorączkować. Powiedział, że chce wychylić kufel piwa „Pod Bykiem”. Przecież nie wyruszyłybyśmy bez niego, głuptasku.

„Pod Bykiem” to speluna w rodzaju tych, które Sara zawsze omijała z daleka. Prawdę powiedziawszy, cała zabudowa w pobliżu starych wapienników to jeden żaloszny ciąg slumsów i piwnicznych burdeli, a kręcili się tu ludzie, o których mama mawiała, że zapredali duszę Lucyferowi. Nawet papa nie zapuszczał się w te okolice podczas swoich „rajdów po Londynie”. Nie było to też miejsce, gdzie zazwyczaj przebywał Święty Joe, niekiedy jednak tu przychodził, by się spotkać z rzezimieszkami, którzy mieli „kontakty” i mogli sprzedać wszystko, co Joe znalazł lub ukradł. Sara doszła do wniosku, że właśnie dlatego się dzisiaj wybrał „Pod Byka”. Święty Joe czasami ją zdumiewał - jak na ufnego, szwankującego na umyśle wielkoluda, nad wyraz zręcznie sobie poczynił w „handlu dobrami przejściowymi”, bo tak Septimus Harding określał interesy ubijane w niektórych tawernach i szynkach.

Joe czekał na nie przed „Bykiem” i na ten widok Sara poczuła ulgę, bo zdecydowanie nie miała ochoty wchodzić do tej plugawej speluny. Dobrze wiedziała, czego się spodziewać po podobnych przybytkach: smrodu zastarzałego potu, odoru nigdy niepranych łachmanów, chmielowych szyszek oraz zjełczałego łożu kilku świec, palących się na stołach lepkich od brudu.

Joe nie stał sam, ale w towarzystwie Hindusa o dziwnym imieniu. Na widok obu mężczyzn Ellen wyrwała rękę z dłoni Sary i puściła się biegiem z rozpostartymi ramionami, by chwilę później z całej siły objąć nogi Joego. Poglądził ją po włosach, ale nadal całą uwagę skupiał na hinduskim chłopcu, który coś mu tłumaczył. Kiedy Sara podeszła bliżej, zorientowała się, że ten ciemnoskóry wcale już nie jest chłopcem, ale młodym mężczyzną z czarnym, delikatnym meszkiem nad górną wargą. Nie usłyszała, o czym rozmawiał ze Świętym Joem, ale wzięwszy pod

uwagę sposób, w jaki się zwracał do wielkoluda, musiał go uważać za człowieka jak najbardziej rozsądnego.

Joe jednak szybko stracił zainteresowanie rozmową, bo Ellen zaczęła grzebać po kieszeniach jego marynarskiego palta w poszukiwaniu nowych skarbów. Od razu też się zmienił wyraz jego twarzy - stał się na powrót wyrazem twarzy niewinnego dziecka. Hindus oddalił się chyłkiem, ale wcześniej Ellen posłała mu jeden ze swoich najbardziej uroczych uśmiechów - zarezerwowanych dla ludzi, których wyjątkowo lubiła. Patrząc na to, Sara mimowolnie westchnęła. Że też Ellen zawsze musi się zaprzyjaźniać z najdziwniejszymi osobnikami!

- No, ruszcie się oboje - ponagliła. - Czas na nas. Zdaje się, że dzisiaj będziemy musieli wybrać drogę przez Ludgate Hill, bo po egzekucji nie uda nam się przebić przez tłum świętujący w okolicach Old Bailey.

By dotrzeć do Pól Powroźników, trzeba było pokonać kilka ładnych mil - iść do samego końca Cheapside, teraz wyludnionego z powodu publicznego wieszania; potem przez Commercial Street, gdzie w ciągu dnia okna zawierano okiennicami, bo życie tętniło tutaj nocą, rano zaś kręciło się jedynie paru sennych zamiataaczy; następnie należało dojść niemal do Whitechapel, ruszyć skrótem przez Spitalfields, i dopiero wówczas oczom się ukazywało niewielkie poletko, przeznaczone na cmentarz dla biedoty.

O tej porze roku miejsce to oszałamiało feerią barw, bo kwitło tu mnóstwo polnych kwiatów; a od ostatniej wizyty Sary i Ellen chwasty wystrzeliły tak wysoko, że niemal zasłoniły rzędy krzyży. Kiedy tylko otworzyli furtkę, Elly wyrwała rękę z dłoni Joego i pobiegła do miejsca, gdzie spoczywała ponad połowa rodziny O'Reillych. Sara w tym momencie spostrzegła, jak bardzo siostra urosła, chociaż nadal była przeraźliwie chuda. Jej wełniany fartuch tak się niemilosiernie złaczał przez zimę, że w końcu się rozpadł na strzępy i niemal sam spadł jej z ramion. Czerwoną bawełnianą sukienkę, którą Ellen miała teraz na sobie, dostały od Dobroczyngo Kółka Chrześcijańskich Kobiet w Westminsterze. Sara nie lubiła tam chodzić, bo musiała bardzo uważać na słowa, a na dodatek nudne, chrześcijańskie kobiety bez przerwy się modliły i błagały Pana o przebaczenie dla dzieci takich jak Sara i Ellen. Z niezrozumiałych względów owe panie żywiły przeświadczenie, że dziewczynki O'Reilly nie mogłyby egzystować, ciężko przy tym nie grzesząc. Niemniej przy

okazji zebrania kółka w kościele można było dostać kubek słodkiej herbaty i bułkę, a poza tym i Sara, i Ellen potrzebowały ubrań. Żona pastora zawsze próbowała nakłonić Sarę, żeby zrzuciła spodnie i zaczęła nosić strój stosowny dla dziewczęcej płci, ale jak do tej pory - bez powodzenia.

Jasne włosy Ellen pobłyskiwały srebrzyście w przedpołudniowym słońcu, gdy rzuciła się na kolana, by nazbierać stokrotek, które zamierzała położyć na grobach bliskich. Teraz, kiedy już się zrobiło ciepło, za żadne skarby nie włożyłaby butów, nawet jeźliby je miała - jej małe stopy były więc pełne zadrapań i powalane błotem. Wkrótce trzeba będzie Ellen wyszorować należącym do Ruby szarym mydłem do prania, pomyślała Sara.

Kiedy powyrywały chwasty, Ellen położyła na czarnej ziemi stokrotki - po kilka pod każdym z niewielkich trzech krzyży. Obie się przy nich rozsiadły, Joe natomiast z procą w ręku zaczął ścigać królika.

- Opowiesz mi coś więcej o tym kolorowym, Elly? Ostatnio dużo czasu spędzasz w jego towarzystwie.

Ellen wzruszyła ramionami, po czym na długi czas się pogрузzyła w milczeniu. A kiedy Sara już doszła do wniosku, że niczego się od siostry nie dowie, Ellen się odezwała - zaczęła jednak opowiadać takie nonsensy, że Sara od razu pożałowała swojego pytania.

- Wiktor mieszka za wieloma morzami w ogromnym, pięknym pałacu, a tutaj wysłała go hinduska księżniczka, żeby pilnował jej specjalnego skarbu!

- A czy on się zajmuje jakąś uczciwą pracą, Elly? Czy raczej zarabia w taki sam sposób jak Joe?

- O, nie, Saro. On pracuje. Dostarcza małe paczuszki bogaczom.

- A co jest w tych paczuszkach? - Sara była autentycznie zaintrygowana.

- Lekarstwo - odparła Ellen z powagą.

W tej samej chwili pojawił się Święty Joe. Trzymał za skoki ubitego królika i szczyrzył zęby w bezmyślnym uśmiechu. Ellen natomiast zignorowała i jego, i siostrę i zaczęła opowiadać papie, jak to Sara czyta jej teraz historyjkę noszącą tytuł „Mała syrenka”. I czy to nie zabawne, bo przecież tak zawsze papa nazywał ją samą, Ellen.

Słyszając te słowa, Joe wyjął z kieszeni książkę i podał Sarze wciąż

z tym samym uśmiechem na ustach, a wówczas w wielkich niebieskich oczach Ellen pojawił się błagalny wyraz. Sara otworzyła tomik w miejscu, które zaznaczyła skrawkiem gazety, po czym zaczerpnęła tchu i znowu poczuła przyjemne łaskotanie w dołku. Zaczęła czytać o tym, jak stara babka-królowa włożyła na włosy małej syrenki wianek z białych lilii, jak mała syrenka się wynurzyła na powierzchnię tuż po zachodzie słońca, gdy chmury jeszcze połyskiwały różem i złotem, a na niebie jasno błyszcząca wieczorna gwiazda. Syrenka podpłynęła do statku i ujrzała na jego pokładzie wielu ludzi, wśród których najpiękniejszy był młody książę o wspaniałych, ciemnych oczach.

Ellen i Święty Joe słuchali oczarowani, więc gdy Sara zamknęła książkę, zaczęli prosić o jeszcze, ona jednak uznała, że czas wracać do domu.

- Niedługo pójde odwiedzić małą syrenkę i obejrzę jej podwodny pałac - oznajmiła stanowczo Ellen.

- Nie opowiadaj takich głupstw, Elly. Mała syrenka to jedynie wymyślona postać z opowiadania, a na dnie morza nie ma nic prócz ryb i mułu.

Jednak Ellen ani myślała słuchać siostry.

- Jeśli tak stoi w książce, to musi być prawda!

- Nie wszystko, o czym napisano w książkach, istnieje naprawdę, Elly. I nawet to, co publikują gazety, jest prawdziwe najwyżej w połowie.

Oddała książkę Joemu, który spoglądał na nią takim samym wzrokiem jak Ellen - pełnym oburzenia, że się ośmieliła podać w wątpliwość istnienie małej syrenki.

Sarę natomiast ogarnął dziwny lęk.

- Pamiętaj, żebyś sama nie chodziła nad rzekę, Elly! Słyszysz, co mówię? Jeżeli zechcesz, pójdziemy razem nad wodę i zaczekamy, aż syrenka się wynurzy, by szukać swojego księcia o wspaniałych, ciemnych oczach.

- Wiktor też ma ciemne oczy...

Sara nie odpowiedziała; aż do tej pory nie przyszło jej do głowy, że Ellen się podkochała w Hindusie. Trzeba mieć na oku tego kolorowego, bo jak na razie wcale nie wiadomo, czy można mu ufać.

## IX

Kensington, 7 czerwca 1864

Miłości moja,

W końcu się zdobyłam na odwagę i przyszedłam do miejsca, gdzie wciąż czuję Twoją obecność. Jakże to dziwne, mój najmilszy - tęsknię za Tobą tak ogromnie, że cierpi i moje ciało, i dusza, a jednocześnie przez ostatnie miesiące nie byłam w stanie wejść do tej pracowni, chociaż wiedziałam, że tylko tutaj mogę Cię odnaleźć.

Piszę do Ciebie, najdroższy, bo mam wrażenie, że znajdujesz się gdzieś niedaleko, a poza tym jest wiele spraw, którymi się mogę podzielić tylko z Tobą - i nikim innym.

Z początku nie chciałam uwierzyć, że już Cię nie ma u mojego boku, a potem zdjęła mnie niewysłowiona złość na okrucieństwo losu, który Cię zabrał tak nagle i niespodziewanie. W końcu oładnęło mną coś, czego do dziś nie umiem wytłumaczyć - jakbym nagle zatraciła świadomość upływającego czasu. Nie pamiętam tamtych dni, wiem jedynie, że niemal przez całą zimę nie podnosiłam się z łóżka. I od dnia, gdy wyniesiono Twoje ciało, nie weszłam do naszej wspólnej sypialni; teraz niebieski pokój jest moim buduaem.

W owych najgorszych chwilach Marta Vesper nie nakłaniała mnie do wstawania ani nawet do mówienia - musiała widzieć, że sama myśl o kolejnym poranku bez Ciebie całkowicie pozbawia mnie energii. Siedziała natomiast przy mnie cierpliwie, zajmując się jakąś robótką, póki nie dałam znaku, że jestem w stanie coś przełknąć. Również Septimus Harding podszedł z wielką wyrozumiałością do mojej niemocy, po kilku tygodniach, w czasie których nie byłam w stanie pisywać do gazety, ogłosił w „Merkuriuszu”, że eseje pana Evansa nie będą się przez jakiś czas ukazywać z powodu choroby autora.

Wokół mnie, oparte o ściany, stoją Twoje rozliczne płótna - niektóre na zawsze niedokończone; a gdy wodzę wzrokiem po półkach, widzę słoiki z pigmentami, tynkturami i olejem Inianym, a także pudełka z twarogą świńską szczecina i sobolowymi pędzlami. Mam wrażenie, że gdybym ich dotknęła, poparzyłabym sobie palce, choć wiem, że tak naprawdę



rozjątrzyłabym w sercu głęboką ranę - bo jakże mogłabym bezkarnie brać w dłonie przedmioty, za pomocą których odsłaniałeś sekrety swojej duszy?

Pisząc do Ciebie, siedzę przy stole ustawionym pod oknem - tym samym, przy którym często pracowałam, gdy Ty się oddawałeś sztuce. Tuż za mną - szezlong. Wiele mnie kosztuje jego widok; nie ma natomiast mowy, żebym się na nim położyła czy choćby usiadła, bo to wzbudziłoby we mnie zbyt intensywne emocje, do których nie chcę się odwoływać w obawie, że mogłyby mną całkowicie zawiądnąć.

Teraz powoli życie powraca do mego ciała, zaczęłam więc stawiać pierwsze, nieśmiałe kroki w świecie, z którego Ty, Franz, odszedłeś na zawsze. Ostatnio nawet się zgodziłam wykonać drobną, w istocie buchalteryjną pracę dla pewnej damy, która jest zagorzałą wyznawczynią spirytyzmu. To niebywałe, ale od pewnego czasu kojąco wpływa na mnie myśl, że wiele osób podziela jej wiarę w istnienie równoległych światów. Teraz też rozumiem, czemu tak dużo kobiet owdowiałych po wojnie krymskiej i po hinduskiej rebelii zaangażowało się w działalność kółek spirytystycznych - spędziły tak mało czasu w towarzystwie swoich młodych mężów, że za wszelką cenę próbują nawiązać z nimi kontakt.

Dama, o której Ci wspomniałam - niejaka lady Herbert - pokazała mi pewien tajemniczy klejnot: wisior wykonany z dziewięciu różnokolorowych diamentów, z soczystoczerwonym kamieniem w centrum. Zdumiał mnie ów widok, bo do tej pory nie miałam pojęcia, że diamenty mogą występować w tak rozmaitych barwach. Zobowiązano mnie do zachowania w ścisłej tajemnicy informacji o istnieniu owego klejnotu. Jest to ponoć hinduski amulet niezwyklej mocy, którego mam nie katalogować, jako że stanowi własność maharadży Benaresu. Nie umknęło mej uwagi, że Hindus, który nam towarzyszył, niemal zdrętwiał, patrząc na ów wisior, i dopiero wówczas poważnie mnie zaintrygowało, jakie to „moce” może w sobie kryć ów amulet.

Lady Herbert nie tylko wierzy w istnienie niewidzialnego świata - równoległego do namacalnej rzeczywistości - ale także żywi przekonanie, że dzięki niektórym substancjom jesteśmy w stanie się skomunikować z duchami tych, którzy odeszli; wedle niej w szczególności diamenty są doskonałymi przewodnikami ektoplazmy. Czy za pośrednictwem diamentu mogłabym Cię przywołać do siebie, mój najdroższy? Ach, gdyby to było takie proste...

Twoja na zawsze –

Lily

## X

Nie będę widzieć cieni,  
Nie będę czuła burz;  
Nie będę słyszeć śpiewu  
Słowika z leśnych głusz;  
I śniąc przez nieskończony,  
Niezmiennie szary zmierzch,  
Albo pamiętać będę,  
Albo zapomnę też\*.

Christina Rossetti

\* Wiersz Christiny Rossetti „Gdy umrę, mój najdroższy” W przekładzie Stanisława Barańczaka.

**M**arta Vesper pochodziła z Manchesteru, z rodziny tkaczy, nie miała więc okazji nabrać szczególnego doświadczenia w zarządzaniu domem. Podeszła jednak do roli gospodyni pragmatycznie, a będąc kobietą - i do tego osobą pracowitą oraz zdroworozsądkową - szybko odkryła w sobie naturalny talent do dbałości o porządek i harmonię ogniska domowego.

Zamieściła anons w „Timesie”, ponieważ właśnie tamtejszą rubrykę ogłoszeń przeglądały szacowne rodziny, poszukujące służących. Miała świadomość, że wiele kobiet mogło się wykazać lepszymi referencjami - już na starcie zapewniającymi bardziej lukratywną posadę w Londynie. Uważała jednak, że to domy przyciągają do siebie mieszkańców - w tym służbę. Wierzyła, że o wyborze zaludniającego posesję osób w o wiele większym stopniu od jej właścicieli decyduje sam budynek i wypełniające go sprzęty, a swoją wolę oznajmijają grą cieni w holu czy akoladą swoistych odgłosów i skrzypów. Marta zaś miała dar do wychwytywania takich subtelnych znaków.

Dom państwa Korechnya przy Waterloo Street był najbardziej niezwykły spośród wszystkich, które odwiedziła, ubiegając się o posadę. W towarzystwie tych ludzi od razu się poczuła bardzo swobodnie - nabrała przekonania, że nie będą się wtrącać do jej obowiązków i pozwolą wykonywać wszystko na własną modłę.

W czasie pierwszej rozmowy rozejrzała się po artystycznie urządzonej bawialni, po czym oznajmiła:

- To bardzo przyjazny dom, chociaż może zdumiewać żywością kolorów, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Mimo to bardzo dobrze by mi się tu pracowało.

Pani Korechnya najwyraźniej uznała, że Marta może swobodnie wyrażać swoje zdanie, bo wręcz się ucieszyła jej szczerym wyznaniem. Powiedziała też, że mocno ją już znużyła ledwie maskowana dezaprobatą dla jej niekonwencjonalnego gustu, którą wyczuwała u innych, bardziej doświadczonych kandydatek na gospodynię. Marta osobiście nie miała nic przeciwko niekonwencjonalności - nie zwracała sobie głowy modą, podobnie jak i jej młoda pani.

Poranki przy Waterloo Street w niczym nie przypominały poranków w domach, w których wcześniej zatrudniano Martę Vesper. Pan Korechnya nigdy nie jadał śniadań, wypijał tylko filiżankę czekolady, grzejąc się jednocześnie przy kuchennym piecu. Wychodził z domu na długo przedtem, zanim się budziła jego żona, a po drodze do pracowni kupował sobie mały bochenek czarnego chleba u niemieckiego piekarza przy stacji Waterloo.

Teraz, po jego śmierci, Marta zawsze odczuwała ulgę, gdy słyszała na schodach szelest sukni pani Korechnya, bo przez wiele długich tygodni Lily w ogóle nie była w stanie się podnieść z łóżka. Wtedy zdarzały się nawet takie dni, kiedy kawa i świeżo pieczone rogaliki pozostawały niektnięte na tacy ustawionej na nocnej szafce w błękitnym pokoju, a pani Korechnya leżała w śmiertelnym bezruchu, jakby sama przeszła do innego świata. Jej piękne, czarne włosy zatraciły swój blask i pojawiły się w nich białe nitki, chociaż Lily miała zaledwie dwadzieścia osiem lat. Pan lałby łzy, patrząc na ukochaną, bo cerę powlekła jej woskowa bladeść, oczy się zapadły i okalały je sine cienie, a do tego wychudła tak bardzo, że Iniana nocna koszula wisiała na niej jak na szkielecie. Marta Vesper nie należała do osób sentymentalnych, a jednak w owych tygodniach nieraz przygryzała wargę, żeby powstrzymać łzy.

O pana, naturalnie, była całkiem spokojna. Zresztą jego odejście nie było dla niej zaskoczeniem - od dłuższego czasu widziała przy nim widmo śmierci, które siłą woli próbowała odegnać. Nie miała jednak dostatecznej mocy, żeby powstrzymać wir wsysający do drugiego świata, w końcu więc tylko udało jej się nakłonić pana (który do ostatnich

dni udawał, że tryska zdrowiem i energią), by pił przygotowane przez nią napary z ziela płucnego i podbiału. Ale gdy szykując pranie, zauważyła na chusteczce Franza ślady krwi, wiedziała, że koniec był już bliski.

Przez pierwsze tygodnie po pogrzebie często widywała jego postać, gdy wchodziła do małżeńskiej sypialni państwa, żeby zebrać pościel, zdjęć zasłony do prania, wybrać popiół z kominka i wyczyścić ruszt, w końcu zaś - usunąć eleganckie ubrania pana. On bez wątpienia szukał Lily, bo bezradnie się wpatrywał w ich puste łóżko. Aż w końcu, przed świtem, szóstego tygodnia od jego śmierci, gdy Marta czuwała przy swojej śpiącej pani z robótką w rękach, zobaczyła Franza po raz ostatni.

Owej nocy Lily była wyjątkowo niespokojna; jej szloch i jęki obudziły Martę, która teraz - niczym matka małego dziecka - zostawiała drzwi niebieskiego pokoju otwarte, żeby słyszeć, czy przypadkiem nie jest potrzebna. Kiedy weszła, odgarnęła Lily włosy z wilgotnego czoła i zmusiła ją, by wypila parę łyków naparu z maku i waleriany (laudanum, które przyniósł doktor Hall, wyrzuciła od razu, bo uważała, że takie specyfiki czynią więcej szkody niż pożytku; poza tym nie považała ojca Lily - ani jego profesji). Gdy Lily w końcu zasnęła, Marta pozostała przy łóżku pani; od czasu do czasu podnosiła wzrok znad haftu i sprawdzała, czy nie dręczą jej senne mary.

I wtedy go zobaczyła - pana Franza - z białymi włosami niezwiązanymi, jak zazwyczaj, z tyłu, ale luźno puszczone na ramiona. Nie zmarł jako człowiek leciwy - co mogłaby sugerować siwizna - był zaledwie kilka lat starszy od żony. Posiwał zaś - w opinii Marty - z racji wrażliwego, nerwowego usposobienia. Ale cerę nadal miał gładką, w kolorze jasnego orzecha. Wysoki, smukły, nachylił się nad śpiącą żoną, pocałował ją w usta i wyszeptał jej parę słów do ucha, po czym zniknął - natomiast na ustach Lily pojawił się bład uśmiech. W tym momencie Marta miała już pewność, że wszystko wróci do normy - duch Franza wreszcie odnalazł ukochaną, mógł ją pożegnać, po czym spokojnie odejść. I rzeczywiście, gdy Lily się obudziła późnym rankiem, zjadła z apetytem śniadanie, a nawet wyraziła chęć przejrzenia gazet.

Marta codziennie kupowała „Merkurjusza Londyńskiego” i „Guardiana” - nawet w czasie, gdy wiedziała, że ten wydatek pójdzie na marne. Jednak od owej nocy pani Korechnya zaczęła spędzać poranki we

frontowym pokoju, pełniącym również funkcję biblioteki, ubrana w jeden z tych swoich osobliwych, orientalnych strojów domowych. Z rozpuszczonymi włosami siadała przy stole zarzuconym papierami, książkami i notesami, wśród których stała mała taca ze śniadaniem. Od czasu choroby Marta Vesper zaczęła się pilniej przyglądać swojej pani i wówczas zauważyła, że czyta ona artykuły wybiórczo i że w trakcie lektury zapisuje mnóstwo kartek notatkami o Bóg wie jakiej treści. Lily nie tykała porannej poczty, póki nie zakończyła inspekcji londyńskiej prasy. Czytanie gazet i oddawanie się pisaniu nie leżało w zwyczaju zwykłych dam. Te, które Marta miała okazję wcześniej poznać, najwyżej zaglądały do magazynów kobiecych, i to nie tyle w poszukiwaniu jakichś budujących czy zajmujących treści, ale raczej żeby pooglądać obrazki ukazujące najnowsze fasony kapeluszy, flakony z wodami kwiatowymi czy słoiki z pudrami. Marta Vesper nie miała czasu na zajmowanie się lekturą, chociaż umiała biegle czytać i pisać, i z początku się dziwiła, że jej chlebodawczyni codziennie wyrzuca dwa pensy na prasę. Teraz jednak była dumna, że zatrudnia ją dama tak niezwykła jak pani Korechnya - osoba, która zawsze miała zdecydowane, niezależne poglądy, nawet jeszcze przed śmiercią męża.

Nadszedł czerwiec, a więc minęły niemal trzy miesiące od czasu, gdy Lily się podniosła z łóżka. Od tamtej pory Marta nabrała zwyczaju codziennego podtrzymywania ognia w kominkach, by pomieszczenia wydawały się jasne i przytulne, oraz odkurzania i polerowania sprzętów we frontowym pokoju, żeby mieć nieustannie baczenie na Lily. Starła się przy tym nie przeszkadzać swoją obecnością pani Korechnya, niekiedy unoszącej wzrok znad papierów i z uwagą spoglądającej przez okno. Od jakiegoś czasu - Bóg jeden wie dlaczego - zaczęła się interesować ulicznymi sprzedawcami.

Kiedy tego ranka Marta zabierała ze stołu śniadaniową tacę, pani Korechnya ze zmarszczonym czołem czytała jakiś artykuł z „Merkuriusza”.

- Pan Melville bardzo wyolbrzymia problem przemytu, jak widzę. Próbuje wmówić czytelnikom, że wszystko, co najmroczniejsze, nadciąga ku Londynowi. - Lily westchnęła i poważnym wzrokiem spojrzała na Martę. - Nowym trendem w prasie jest skłonność do kreowania fałszywego obrazu miasta; teraz wydawcy roszczą sobie prawa już nie tylko do sensacyjnego przedstawiania półświatka, ale także Kościoła, music-hallu

czy teorii naukowych - jak ta dotycząca małp i skamielin, głoszona przez pana Darwina. Nawet Septimus Harding, człowiek z gruntu przyzwoity, publikuje teksty, które w jego mniemaniu skuszają czytelników do wydania pensa na gazetę. Uważam to za wysoce nieroztropne, bo tanie sensacje i alarmistyczne tony budzą w niewyrobionych umysłach różne lęki i fantasmagorie.

Marta zabrała tacę i odniosła ją do kuchni, poruszając się bezszelestnie w wysokich butach o skórzanej podeszwie. Cieszyła się, gdy pani komentowała bieżące wydarzenia, bo jedno nie ulegało wątpliwości - myślenie i oddawanie się refleksjom było Lily tak samo niezbędne do życia jak powietrze. Co się zaś tyczy sytuacji w Londynie - Marta uważała, że jest ona całkiem normalna, a jeżeli nawet jakiś mrok nadpływał nad miasto, oznaczało to jedynie, że światło chwilowo się skryło. Jednak gdy umiało się patrzeć, zawsze można było je odnaleźć - pełną ciemną ulicą wczesnym rankiem lub kładące się smugą na podokienną sofę w bawialni.

A gdy o bawialni mowa - nie była używana od śmierci pana Franza. Znajdowała się dokładnie naprzeciwko biblioteki, w której pani Korechnya spędzała teraz całe dni. Ale do bawialni nie wchodziła nigdy - podobnie jak do dużej sypialni, gdzie jej małżeńskie łóżko stało zimne i opuszczone.

Po jakimś czasie Marta się zjawiła w bibliotece i zaczęła odkurzać półki, na których nawet najbystrzejsze oko nie dostrzegłoby śladu pyłku, a potem zabrała się do czyszczenia kolorowych szyb abażuru, które wypolerowała zaledwie poprzedniego przedpołudnia. W końcu podeszła do wielkiego globusa, stojącego na trzech wysokich mahoniowych nóżkach, i przejechała miotką po kulistej powierzchni, wprawiając go tym w ruch wirowy. Lekko położyła dłoń na kuli, by ją zatrzymać i wyczyścić równik zaznaczony cienkim paskiem z brązu. Marta miała świadomość, że Lily jej się przygląda - oderwała dłoń od globusa i spojrzała na miejsce, w które trafiła palcami.

- W jakiej krainie wylądowałaś dzisiaj, Marto?

Była to zabawa, którą często uprawiała.

- W Indiach, proszę pani. Któż by pomyślał!

- W Indiach! Wiesz, Marto, Franz zawsze pragnął pojechać do Indii... mnie natomiast tam nie ciągnęło, pewnie dlatego, że nie jestem

tak bardzo rozmiłowana w żywych kolorach i słonecznym blasku, jak był mój mąż. Z przyjemnością natomiast się przyglądam mgłę i majaczącym niewyraźnym ceniom, bo mogą sobie wyobrazić, że są to... Marto? Co się stało?

Martę właśnie ogarnęło jedno z jej szczególnych przeczuć i tym razem miało coś wspólnego z medalionem, który Lily nosiła na piersi. Zazwyczaj chowała go pod suknią, ale tego dnia spoczywał na czerwonych i pomarańczowych makach, wyszytych na staniku.

- Czy wyjęła pani kosmyk włosów z medalionu?
- Skądże, Marto. Przecież bym się z nim nie rozstała.

A jednak niepokój nie opuszczał Marty, chociaż nie umiałyby jasno określić, co go wzbudziło, wiedziała jedynie, że jej złe przeczucia miały coś wspólnego z panem Korechnya. Bardzo to niezwykle.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do frontowych drzwi i Marta wyszła do holu.

W progu znowu stało to dziecko - sowizdrzalska dziewczynka z „Merkuriusza”. Na jej piegowatej twarzy widniał szelmowski uśmiech, a spod za dużego wełnianego kaszkietu wymykały się kosmyki rudych włosów. Marcie przemknęło przez głowę, że z wielką chęcią potraktowałyby ługowym mydłem portki gościa i jego koszulę.

- Dzień dobry, panienko. Nie masz dzisiaj żadnej paczki?
- Nie, psze pani. Dziś przynoszę list od pana Hardinga do pani Korechnya.

- A, list tym razem? W takim razie wejdź do środka i przekaz go pani do rąk własnych.

Słyszac te słowa, dziewczynka uśmiechnęła się tak szeroko i promiennie, że Marta sama nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Poczekala, aż mala zdejmie kaszkiet, raz jeszcze się przyjrzy obrazowi Wenus, a potem przyglądzi włosy. Owo przyglądanie nie na wiele się jednak zdało i czupryna nadal sterczała nad oczami na podobieństwo koguciego grzebienia. Dziwne to było stworzenie - chude, o twardym irlandzkim akcencie i niebieskich oczach, rozglądających się bystro i bacznie, jakby Sara chciała szybko wszystko ogarnąć, bo inaczej mogłoby jej umknąć coś ważnego.

Marta wprowadziła ją do biblioteki.

- Witaj, Saro. Cóż za miła niespodzianka!

Lily podniosła się z krzesła i wyciągnęła przed siebie dłoń, ale Sara, zamiast ją uściskać - ucałowała z szacunkiem. Marta i Lily przygryzły wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Usiądź, dziecko, i przekazaj pani list, a ja tymczasem przygotuję dla ciebie czekoladę.

Niebieskie oczy aż zapłonęły z zachwytu.

W kuchni Marta zaczęła się rozglądać za sporym kawałkiem ciemnej czekolady, której nie miała w ręku od czasu śmierci pana, Lily nie lubiła bowiem słodczy tak bardzo jak jej mąż. Nic dziwnego, że była niezwykle szczupła, chociaż ostatnio i tak się nieco poprawiła, bo Marta pilnowała, aby jadła regularnie posiłki. Gdyby Lily pozostawić samą sobie, zapamiętałyby się w świecie słowa - siedziałyby godzinami przy stole w lekkim, domowym stroju, jeśli nie musiałyby wyjść na miasto, co zresztą się zdarzało nadzwyczaj rzadko.

A jeszcze teraz pryncypał zaczął przysyłać jej wiadomości, żeby nie musiała się fatygować do wydawnictwa - do którego kiedyś chodziła regularnie, co najmniej raz w tygodniu. Septimus Harding był człowiekiem do rany przyłoż i miał jak najlepsze intencje, Marta postanowiła jednak, że napisze do niego list, w którym wyjaśni, czemu takie działania nie służy najlepiej pani Korechnya.

Czekolada powinna leżeć w chłodnej spizarni, zawinięta w kawałek muślinu, a tymczasem Marta nie mogła jej znaleźć. Nie było jej obok blaszek do ciasta, nie było w słoiku do konfitur ani w żadnym z kamiennych gąsiorków do pędzenia wina z kwiatów czarnego bzu. Marta westchnęła zdesperowana i usiadła na swoim ulubionym zydlu, przy rozgrzanym piecu. Tutaj zawsze najlepiej jej się myślało. I, naturalnie, szybko zrozumiała, co się stało z czekoladą. Uśmiechnęła się pod nosem i zgaśniła w duchu, że nie wpadła wcześniej na tak oczywiste rozwiązanie. To on zabrał stąd czekoladę! Tylko gdzie mógł ją położyć? Ach tak! Zapewne w dużej komórce, gdzie się teraz znajdowały wszystkie jego rzeczy - rulony irlandzkiego płótna (bo sam je nabijał na blejtram), słoiki z pigmentami i dzbanki z olejem lnianym o barwie bursztynu. Tam także Lily ustawiła kilka prac Franza, które przywiozła z Kensington.

Ani pani Korechnya, ani Marta jeszcze się dobrze nie przyjrzały tym obrazom; nie bardzo też wiedziały, co z nimi zrobić. Nawet laik na pierwszy rzut oka był w stanie stwierdzić, że to bardzo dobre kompozycje. Lily powiedziała jednak, że nie przyjęto by ich do Królewskiej



Akademii, ponieważ Franz był Żydem. Portrety bogatych Żydówek po-oddawała pozującym - nawet te niedokończone - i nie chciała za nie żadnej zapłaty. Teraz pozostały jedynie takie płótna, jak obraz wiszący w holu - przedstawiające kobiety niczym żywcem przeniesione z dawno minionej przeszłości lub z dalekich czy wymyślonych krain. Wiele z owych piękności do złudzenia przypominało panią Korechnya.

A! Oto i czekolada - owinięta w muślin, przewiązana sznureczkiem, leżąca tuż obok słoików z pigmentami.

Kiedy Marta wróciła do pokoju, Lily i Sara były tak pochłonięte rozmową, że w pierwszej chwili w ogóle jej nie spostrzegły.

- Historia zna wiele kobiet, które miały odwagę domagać się wolności i niezależności, mężczyznom należnych z urodzenia; stały się sławne i dokonały wielkich czynów - nawet w dziedzinie militarnej. Czyżbyś nigdy nie słyszała o królowej Boudicei czy Joannie d'Arc?

Sara pokręciła przecząco głową, po czym głęboko się nad czymś zamysliła.

- Miarkuję, że i królowa Wiktoria też jest kobietą, chociaż do tej pory nigdy w ten sposób o niej nie myślałam - powiedziała w końcu.

Marta postawiła tacę na stole, a wówczas dziecko wbiło wzrok w pięknie malowaną filiżankę z porcelany, w której parowała gorąca czekolada, i w talerzyk z kawałkami drożdżowego ciasta oraz świeżym masłem. Dla Marty nie ulegało wątpliwości, że mała jest niedożywiona.

- Marto, właśnie rozmawialiśmy z Sarą na temat fundamentalnych różnic pomiędzy kobietami i mężczyznami. Czy - według ciebie - owe różnice istnieją?

- Naturalnie, oni są bez dwóch zdań całkiem inną rasą, proszę pani.

- A jak byś ich określiła, gdybyś się musiała skupić na samej esencji?

- Jeżeli na esencji, tobym powiedziała, że w naszych czasach mężczyznę charakteryzują trzy cechy: pożądlivość, potrzeba energicznego działania i snucie opowieści o owej potrzebie.

Lily wybuchnęła śmiechem. To dziecko dobrze na nią wpływa, pomyślała Marta z zadowoleniem.

- A kobiety? Jak byś określiła kobiety, moja pani Vesper?

- Kobiety także wyróżniają się trzema cechami: przemyślnością, uczuciowością i pracowitością.

Sara pilnie łowiła każde słowo. Strzelała oczami raz w stronę Lily, raz Marty, i powoli popijała czekoladę. Widok jej twarzy, gdy pociągnęła pierwszy łyk napoju, stanowił doprawdy widok godny uwagi - najpierw rysy dziewczynki zastygły, niczym w szoku, a potem rozplynęły się w zachwycie, jak u kota, który się właśnie dobrał do śmietanki. W końcu Sara otarła męską chustką brodę z masła i ostrożnie odstawiała filiżankę na spodek.

- Myślę, że na mnie już czas, pani Korechnya. Pan Harding obędzie mnie ze skóry, jeżeli przed obiadem nie wrócę z odpowiedzią.

- Niczym się nie frasuj, Saro. Napiszę panu Hardingowi, że cię zatrzymałam, bo musiałam się zastanowić nad odpowiedzią. Prawdę powiedziawszy, chciałabym go też poprosić, żeby mi cię wypożyczył na jeden dzień. Byłoby miło, gdybyś pojechała ze mną do Kensington. Może jutro?

Marta po raz kolejny uśmiechnęła się mimowolnie pod nosem, bo na tę propozycję piegowata twarz dziewczynki aż się rozpromieniła.

Pani Korechnya też zdawała się zadowolona, i gospodyni wiedziała czemu. Lily chciała mieć u boku tę małą nie tylko dlatego, że ją polubiła, ale ponieważ czuła się bardzo samotna - a na dodatek jutro przypadała rocznica jej ślubu.

- A więc zabieram się do listu, w którym wyrażę zgodę na sugestię pana Hardinga, żeby w następnym eseju przedstawić sylwetkę Julii Margaret Cameron, i ani słówkiem przy tym nie wspomnę, że sama mu podsunęłam tę propozycję!

- Czy to jedna z tych wspaniałych kobiet?

- Owszem. Pani Cameron jest pierwszą kobietą, która profesjonalnie się zajęła fotografią. Do portretów pozowali jej pan Tennyson, pan Dickens, a także George Eliot.

- George, który jest damą?

Lily znowu się radośnie roześmiała.

- Właśnie. Ten sam.

Podczas gdy chlebodawczyni opowiadała dziewczynce o tym, jak wielką odwagą i inteligencją wykazuje się George, który jest damą, prezentując swoje poglądy w książkach i prasie, Marta wymknęła się z pokoju, żeby napisać własny list do Septimusa Hardinga. Wcisnęła go w dłoń Sary dopiero w progu, żeby Lily niczego nie zauważyła.

## XI

Każda kobieta, która myśli logicznie, wykazuje zamiłowanie do filozofii czy nauk ścisłych, fizycznie i psychicznie odbiega od normy.

„Lancet”, 1864

Sara miała głowę pełną pytań i pomysłów, gdy nazajutrz szła na spotkanie z Lily Korechnya. Od kiedy ją poznała, czuła się jak odrodzona, choć zupełnie nie umiała tego wytłumaczyć. Wiedziała tylko, że tak bezpiecznie się nie czuła od śmierci mamy. Pan Harding był dla niej bardzo dobry, podobnie jak Ruby na swój szorstki sposób, ale przy nich Sara zawsze czuła, że się powinna zachowywać jak dorosła - ostatecznie w ich oczach odgrywała rolę głowy rodziny, i w ogóle. W towarzystwie Lily natomiast mogła być tym, kim była w rzeczywistości - osobą tylko na w pół dorosłą. W każdym razie nagle wszystko jakby zostało opromienione szczególną łaską. „Łaską Stwórcy”, zapewne powiedziałyby mama, ale od czasu gdy ów Stwórca tak bezceremonialnie się rozprawił z połową jej rodziny, Sara nie miała o nim najlepszej opinii. Poza tym pani Korechnya twierdziła, że na świecie istniało wiele dziwnych postaci, które uważały się za bogów - a wszystkie nosiły różne stroje i różniły się też odcieniem skóry (podobno niektórzy hinduscy bogowie mieli osiem ramion, a ciało niebieskozielone - tak w każdym razie Wiktor powiedział Ellen). Czy Sarę dotknęła szczególna łaska czy też nie, jedno nie ulegało wątpliwości - miała wiele szczęścia w życiu i ani przez chwilę nie powinna o tym zapominać.

Kiedy wczoraj wróciła z Waterloo Street do wydawnictwa, pan Harding siedział sam w zabałaganionym biurze, co zdarzało się wyjątkowo rzadko. Już sam inspektor Lark przychodził tu niemal co dzień - zarówno z powodu przyjaźni z panem Hardingiem, jak i z zawodowego obowiązku.

Wokół Septimusa Hardinga piętrzyły się stosy papieru, rejestrów, segregatorów i książek, a wśród nich stała popielnica pełna fajkowego popiołu, kieliszek sherry oraz filiżanka z herbatą. Nelly miała zakaz sprzątanía tego pokoju, bo kiedyś poprzesuwała jakieś książki, żeby

wytrzeć kurz, po czym nie odłożyła ich na swoje miejsce. Pan Harding zrobił takie piekło, nie mogąc znaleźć tomu, na którym mu zależało, że teraz sprzątaczką trzęsła się przed nim ze strachu i tacę z herbatą zostawiła pod drzwiami.

Kiedy Sara powiedziała mu, że ma list nie tylko od pani Korechnya, ale także od jej gospodyni, krzaczaste brwi pana Hardinga podjechały do góry.

- List od gospodyni pani Korechnya, Saro? Czy sądzisz, że i ona chce pisywać do „Merkurjusza”?

- Nie wydaje mi się, sir. Ona nie jest w tym typie.

- A jaki, według ciebie, typ reprezentuje pani Vesper?

- Cóż, sir, z wyglądu przypomina pana Parsimmonsa, nie ma jednak aż tak nieszczęśliwej miny. Jest mądra, ale nie w takim sensie jak pani Korechnya. No i w pełni ją zadowala opieka nad chlebobawczynią, sir. Ona nie ma ambicji literackich.

Septimus Harding chwilę wcześniej złamał pieczęć na liście od Marty i czytając go, jednocześnie słuchał Sary.

- Jeszcze jedna jej cecha uszła twojej uwagi, Saro. Jest przy tym wszystkim dość zuchwała! Uprzejmie mnie prosi, żebym tak bardzo nie ułatwiał życia pani Korechnya i zmuszał ją czasami do wyjścia z domu, ponieważ potrzeba jej więcej kontaktów z ludźmi. No, no... kobiety to apodyktyczne istoty, chętnie rozstawiające mężczyznę po kątach, prawda? Ty też taka będziesz pewnego dnia.

Sarę zdjęła autentyczna zgroza.

- W żadnym razie, sir - odparła, szczerze o tym przekonana.

- Zobaczmy... zobaczymy - mruknął wydawca, po raz pierwszy przybierając poważną minę. - Zapamiętaj tylko jedno, Saro. Jeżeli chcesz coś w życiu osiągnąć, nigdy nie wychodź za mąż, bo większość mężczyzn nie toleruje intelektu u kobiet i zrobi wszystko, by go zniszczyć. A twój umysł się wyróżnia bystrością.

Sara zadumała się nad radą pana Hardinga, który tymczasem zaczął czytać list pani Korechnya, i w jego oczach pojawiły się znowu wesołe błyski. Zgodził się od razu, żeby Sara pojechała z Lily do Kensington, bo - jak powiedział - został zobowiązany do pomocy owej damie, a poza tym nic równie dobrze nie zrobi Sarze, jak kilka godzin w towarzystwie Jednego z najbliższych kobiecych umysłów w tym mieście”.

- Czy one się czymś różnią, sir? Znaczą się, umysły kobiece od męskich?

- Naturalnie, Saro. Uważam, że pewne kobiety wykazują się wrażliwością i obiektywizmem, na których zbywa wielu męskim gigantom intelektu. Ale, naturalnie, nie należy się afiszować z podobnymi opiniami, ponieważ potęga prasy w Londynie zasadza się na błyskotliwości i pieniądzech mężczyźni, a bezwolna, pozbawiona własnych ambicji kobieta to nadal najcenniejsze trofeum człowieka sukcesu.

Gdy następnego ranka Sara szła przez most Waterloo, od rzeki niespodziewanie zaczął ciągnąć chłód, a niebo pokryły ciemne chmury. Zimny podmuch przyprawił ją o dreszcz i zerknęła w dół, na Temple Pier. Mały port jak zwykle tętnił życiem. I chociaż zaledwie kilka tygodni temu doszło tu do morderstwa, przy nabrzeżu cumował wielobarwny zamorski statek o kadłubie pomalowanym na żółto, czerwono i niebiesko. Jego dziób wyciągał się w stronę mostu i był ozdobiony rzeźbą pięknej kobiety o skórze koloru ciemnego drewna, w powłóczystej sukni barwy żywego złota. Po pokładzie się kręcili ciemnoskórzy marynarze, a na kei uwijali się dokerzy. Swego czasu Sara wyczytała w kronice portowej, że do Temple Pier przybijają statki z ładunkami z egzotycznych krajów i teraz zaczęła się zastanawiać, za jakie to zakazane skarby zapłacił życiem Herbert Peasey. Pan Melville utrzymywał, że był on złym człowiekiem i został sprzątnięty przez innych złoczyńców.

Stanąwszy przed szmaragdowozielonymi drzwiami domu na Waterloo Street, przypomniała sobie słowa pana Hardinga - że ona, Sara, wyróżnia się bystrością intelektu, a kto jak kto, ale wydawca zna się na takich sprawach. I od razu poczuła się raźniej, bo już jakiś czas temu pojęła, z czego się bierze jej nieśmiałość w obecności pani Korechnya - z obawy, że powie coś bardzo głupiego.

Pan Harding nie musiał przestrzegać Sary przed zamążpójściem, bo sama doszła do wniosku, że nigdy nie zostanie niczyją żoną, gdy patrzyła, jakim papa był mężem dla jej biednej, spracowanej mamy. Ciekawe, jaki charakter miał mąż pani Korechnya, pomyślała Sara, stukając do szmaragdowozielonych drzwi. Na pewno wyjątkowy. No i pan Harding także miał żonę. Więc może jednak istnieją mężczyźni, którzy nie dążą do zniszczenia intelektu kobiety - może nie wszyscy są jak Jack Thistlewite, który zawsze uważał, że wszystko wie najlepiej, i mądrzył się nawet wtedy, gdy o czymś nie miał pojęcia?

Drzwi otworzyły Bezszelestne Podeszwy, a chwilę później stanęła w nich pani Korechnya w swojej ciemnej, aksamitnej pelerynie. Na dworze rzeczywiście panował chłód usprawiedliwiający takie okrycie, poza tym

na horyzoncie majaczyły ciężkie czarne chmury, zwiastujące burzę. Ale Sara już dawno zauważyła, że Lily nigdy się nie pokazuje na ulicy bez peleryny i naciągniętego na głowę kaptura, jakby się chciała skryć przed światem. To wielka szkoda, bo miała bardzo piękną twarz, a do tego najniezwyklejsze stroje, jakie Sara kiedykolwiek widziała na oczy. Gdy jeszcze stała z koszykiem przy Cathedral Corner, codziennie widywała te same kobiety. Niektóre za każdym razem paradowały w innej sukni, niektóre wkładały tę samą spódnicę i stanik, ale z innym kołnierzem - koronkowym lub ze wstążki - za to wszystkie nosiły wymyślne kapelusze. Pani Korechnya natomiast nigdy nie wkładała kapelusza, zawsze zakrywała włosy i twarz kapturem.

Chwilę później Sara siedziała w fiakrze u boku Lily, która zapisywała coś w notesie i jednocześnie opowiadała, o czym pisze.

Sara próbowała zobaczyć Oxford Street taką, jaką widziała ją pani Korechnya: „Arteria łącząca East End z West Endem, gdzie kupcy londyńscy uprawiają swoją szczególną alchemię - transmutują kobietą nudę i zachcianki w złoto”.

Sara wiedziała, że arterie mają coś wspólnego z tunelami, którymi krew płynie poprzez ciało niczym rzeka. Przeczytała o tym kiedyś w „Lancecie” - piśmie, które uważała za zbyt mądre dla zwykłych ludzi. Pan Harding trzymał egzemplarze „Lancetu” w jednym ze stosów zalegających na podłodze biura i Sara przejrzała je, gdy kiedyś czekała, aż wydawca skończy spotkanie z zastępcami. Nie miała natomiast pojęcia, co oznacza słowo „alchemia” i postanowiła w odpowiednim czasie zapytać o to panią Korechnya.

- Tutaj także - ciągnęła tymczasem Lily, szybko pokrywając stronę notesu eleganckim, krągłym pismem - oprócz istnej parady błyszczących strojów, kosztowności i liberii można ujrzeć jej swoisty kontrapunkt - szare, wystrzępione łachmany żebraków oraz bosonogie dzieci, zajmujące się handlem ulicznym.

Sara bardzo się zdumiała, że oto Lily - jeden z najbłyskotliwszych kobiecych umysłów w mieście - zajmuje się pisaniem o ulicznikach; nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że bogaci ludzie chcieliby o nich czytać.

- Czy to artykuł do „Merkuriusza”, pani Korechnya?

- Raczej nie. Często robię notatki, żeby dać upust myślom, a czasami żeby się nie czuć zbyt samotną. Kiedy nie piszę, moje przeżycia stają się bezładną płataniną wspomnień, obrazów i emocji.

Wówczas Sara powiedziała Lily, że czytanie starych gazet i zastanawianie się nad tym, czego się z nich dowiedziała, często pociągało za sobą taki natłok myśli, że z tego powodu nie mogła spać w nocy.

- W takim razie też musisz się zabrać do pisania! - zdecydowała pani Korechnya, rozbawiając Sarę tymi słowami. Ona pisarką? To było tylko piękne, nieziszczalne marzenie.

Czas upływał im tak szybko na rozmowie, że ani się Sara obejrzała, a dojechały do starego domu. Gdy Lily szukała w torbie dużego klucza do szklanych drzwi - zaczął padać deszcz. Stały pod krzewem dzikiej pnącej róży o wielkich kwiatach, których zapach wydał się Sarze szczególnie piękny po pełnym sadzy i kurzu powietrzu Waterloo Street. Kamiennie płyty przed drzwiami były zasypane bladoróżowymi płatkami, układającymi się w aksamitny kobierzec.

Pod ścianami dużego pokoju stało mniej obrazów niż wtedy, gdy Sara była tu za pierwszym razem, a w mrocznym świetle burzowego dnia pracownia Franza Korechnya nabrała jakiejś niesamowitej aury.

Lily zadrżała nieznacznie pod wilgotną peleryną.

- Musimy napalić w kominku - zdecydowała i skierowała się ku drzwiom naprzeciwko.

Okazało się, że były jednymi z czterech wychodzących na długi korytarz. Na jego końcu znajdowały się szerokie schody, prowadzące w dół i w górę.

Kiedy już drewno zostało przyniesione z piwnicy i Sara rozpałała ogień - w pokoju, gdzie Franz malował swoje obrazy, zrobiło się cieplej i mniej niesamowicie. Lily zdjęła Sarze kaszkiet z głowy i wraz ze swoją wilgotną peleryną zawiesiła na dziwacznym, jednoramiennym fotelu. Potem pokręciła się chwilę po pokojach - i otworzyła szafkę z książkami.

Zdawało się, że tylko one dwie są w tym dużym domu, i to zaczęło zastanawiać Sarę. Kiedy Lily przyniosła z szafki niebieskie pudło na kapelusze, zapytała:

- Czy wszystkie inne pokoje są puste?

- Kiedyś wynajmowali je przyjaciele mojego męża, inni malarze, ale przez całą zimę Franz był tutaj sam... do czasu, aż zmarł. W jesiennych miesiącach panuje tu chłód, ale mój mąż na to nie zważał. Malowałyby nawet przy takiej pogodzie jak dzisiejsza - pomimo gęstych chmur i chłodu. Trzymał też zawsze otwarte drzwi do ogrodu, bo twierdził, że w Londynie nigdy nie jest zimno - śmiał się, że to zupełnie co

innego niż zima w Pradze. Gdy go odwiedzałam, często nie mogłam wypowiedzieć słowa, bo zęby szczękały mi z zimna, i dopiero wtedy zamykał drzwi i rozpałał w kominku. Kiedy pracował, nie zwracał uwagi na takie rzeczy jak temperatura.

Lily wyglądała zupełnie inaczej, kiedy mówiła o mężu - a raczej tak samo jak przed jego śmiercią. Sarę bardzo ciekawiło dawne życie panie Korechnya, ale nie była pewna, czy wypada o nie pytać.

- Musiał być mężczyzną lubiącym kobiety o bystrych umysłach - powiedziała w końcu, przypominając sobie rozmowę z panem Hardingiem i jednocześnie dochodząc do wniosku, że to dość niewinna uwaga.

- Rzeczywiście. Prawdę mówiąc, nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek spotkam mężczyznę, który da mi tak wiele wolności. Kiedy zamykam oczy, niemal widzę... Och, Saro, wybac mi, proszę. Jesteś zbyt młoda, żeby słuchać o romantycznych tragediach. Grupa malarzy, która przynależy do pewnego bractwa, zawsze przedstawia kobiety jako istoty melancholijne i uległe, a w najlepszym wypadku sennie rozmarzone. Mój mąż także chętnie portretował kobiety, ale mawiał, że w swoich pracach chce afirmować kobiecą siłę; dla niego nie uosabialiśmy letargu i rozpacz.

- Czy był przystojny?

- O tak. Bardzo. Miał włosy srebrne niczym blask księżyca, sięgające do ramion.

- Czy spotkała go pani w Londynie?

- Owszem. Poznaliśmy się na zebraniu salonu - czy wiesz, co to takiego?

Sara pokręciła głową.

- To spotkanie ludzi, którzy chcą rozmawiać o sztuce, filozofii i nowych trendach stulecia, w którym żyjemy. Tamto zebranie było dość szczególne - odbywało się w domu Gabriela Rossettiego - jednego z malarzy bractwa, o którym ci wspomniałam - dla uczczenia pamięci Lizzie Siddal, żony gospodarza i jego ulubionej modelki, która także była malarką, a zmarła z powodu przedawkowania laudanum.

- Pani o niej pisała!

- Rzeczywiście. Owo spotkanie nie przebiegało w tak smutnym nastroju, jak mogłaby sugerować okazja, przyszedł bowiem pisarz, Wilkie Collins, który spędził cały dzień w lokalach z dzinem i wypił go bardzo dużo. Kochał się na zabój w Lizzie Siddal, podobnie jak co najmniej połowa mężczyzn, którzy ją spotkali. Bractwo preraphaelitów głosi, że



stworzyli nową religię - kult piękna - i o tym właśnie Wilkie opowiadał Franzowi, gdy go pierwszy raz zobaczyłam. „Ależ piękna nie można utożsamiać z czystością serca” - odpowiedział Franz na wywody Wilkiego. Dodał jednak, że artystom można wybaczyć równie romantyczne rojenia, gdy żyją w tak ponurym otoczeniu jak Londyn - pełnym dymu, sadzy i biedy.

Pan Collins spostrzegł, że się przysłuchuję tej wymianie zdań i rzucił jakiś komplement pod moim adresem, dotyczący jednak mojego wyglądu, a nie śmiałości poglądów. Skorzystałam z okazji i zapytałam, czemu w swojej ostatniej powieści „Kobieta w bieli” pozwolił, by główny bohater, Walter Hartwright, zakochał się w potulnej, mdłej pannie Fairlie, a nie w pełnej życia, niezależnej pannie Halcombe. Na to odparł lodowatym tonem: „Podzielałam poglądy pana Ruskina - w domu żona winna być mężowi służącą, wystarczy, że królową będzie w jego sercu”. Wówczas Franz Korechnya zaczął brać w obronę naszą pleć i bardzo mnie tym zaintrygował.

Przyglądałam mu się, gdy podszedł do jednego z wiszących na ścianie obrazów Rossettiego, na którym - jak na wielu malowidłach innych członków bractwa - widniała Lizzie. Jej słynne z piękności włosy błyszczwały niczym polerowana miedź, a oczy przypominały ciemne agaty. Niezwykła bladość cery podkreślała żywą czerwień ust. Lizzie Siddal, niczym Ofelia z obrazu, do którego pozowała, też w końcu nie była w stanie unieść ciężaru życia. Patrząc na Franza, zaczęłam się zastanawiać, czy on również ją darzył miłością. Wtedy się odwrócił i jego oczy spotkały się z moimi. Miałam wrażenie, że rozbłysły jakimś niezwykłym światłem. Nie umiem ci tego opisać, Saro - to było tak, jakby niespodziewanie odnalazły się dwie bratnie dusze.

Postarał się, by usiąść obok mnie przy kolacji, a potem rozmawialiśmy całą noc o Pradze i o salonach w Berlinie, gdzie nie ma takiej segregacji jak tutaj. Tam żydzi i chrześcijanie, kobiety i mężczyźni, arystokraci i mieszczenie wspólnie prowadzą intelektualne dyskusje. Może dlatego uznał, że śmiałość i niezależność moich poglądów jest atrakcyjna!

Pani Korechnya urwała i zapatrzyła się w ogień, którego płomienie padły ciepłym blaskiem na głęboki fiolet jej sukni i blade policzki. Sara zauważyła, że wspomnienia wzbudziły w niej smutek - teraz wyglądała tak, jakby zapomniała, gdzie się znajduje.

- Czy właśnie wtedy poprosił panią o rękę?

- Nie. - Lily roześmiała się. - Nazajutrz od rana dźwięczało w moich w uszach echo jego głosu i dziwny sposób, w jaki akcentował pospolite słowa. Przed oczami stawał mi jego uśmiech. Przyszedł do mnie z wizytą po południu i powiedział, że jestem bardzo niekonwencjonalną kobietą. Kiedy spytałam, czy uważa to za wadę, poprosił, żebym została jego żoną.

Lily podniosła się z krzesła i - jakby nieco zmieszana - przesunęła dłonią po lekko splecionych włosach. Po czym zaczęła się bawić złotym medalionem - zresztą nie pierwszy już raz od chwili, gdy tu przyjechały.

- Widzisz, dziś przypada rocznica naszego ślubu. Przepraszam, to właśnie dlatego popadłam w sentymentalny nastrój. Nie zamierzałam cię obarczać swoimi troskami.

- Ależ nic takiego pani nie zrobiła! Nie czuję się ani trochę obarczona!

Lily uśmiechnęła się do Sary z wdzięcznością, po czym energicznie się rozejrzała po pokoju, jakby smutek nagle ją opuścił.

- Muszę zabrać resztę tych obrazów na Waterloo Street, poznałam bowiem pewną bardzo dystygowaną damę, która chciałaby zobaczyć kilka prac mojego męża. Może pomogłabyś mi wybrać, co jej pokazać. Jaki obraz podoba ci się najbardziej?

## XII

### Waterloo, 19 lipca 1864

Droga Barbaro,

Zupełnie nie pojmuję, jak to możliwe, że tak długo nie pisałam do Ciebie, najdroższa przyjaciółko. Ale rzeczywiście, mój ostatni list nosił majową datę! Od tamtej pory kilka razy odwiedziłam Herbert House i - zgodnie z ustaleniami - zajęłam się opracowaniem katalogu. Wcześniej miałam niejakie obawy, czy rozpoznam wszystkie klejnoty, ale - jak się okazało - niepotrzebnie się przejmowałam, bo w ametystowym pokoju zawsze towarzyszy mi Gowinda. Jego znajomość kamieni szlachetnych jest wprost zdumiewająca, ale nigdy nie odzywa się niepytany. Teraz już

jednak przywykłam do jego milczącej obecności. Z początku też uważałam go za człowieka niewykształconego, ale się przekonałam, że jest wręcz przeciwnie. Nieustannie wszystko bacznie obserwuje, chociaż wyraz jego twarzy pozostaje wciąż nieprzenikniony. Kiedy pytam go o jakiś kamień, nie tylko podaje mi jego nazwę, ale opowiada o jego przeznaczeniu, ponieważ w kulturze Indii każdemu klejnotowi przypisuje się określone mistyczne właściwości. Tak więc, na przykład, czerwone kamienie, jak koral, rubin czy granat, stymulują krew i pobudzają do działania. Pod warunkiem jednak - jak podkreślił Gowinda - że osoba je nosząca nie jest emocjonalnie niezrównoważona. Bo w przeciwnym wypadku „żar” czerwonego kamienia może się okazać niebezpieczny i stanowić źródło nieszczęścia. Zielone klejnoty natomiast, jak szmaragd czy jadeit, działają kojąco i odświeżająco, niczym spacer po pięknym lesie, oświetlonym promieniami słońca przesianymi przez liście.

Cyntia Herbert mi wyznała, że Gowinda jest jednym ze specjalnych gwardzistów - wywodzi się z bractwa hinduskich wojowników, wynajmowanych do ochrony maharadzów. Maharadzowie korzystają z ich usług, ponieważ są oni wytrenowani w zabijaniu i robią to bez mrugnienia okiem, jeżeli złodziej czy bandyta zagrozi księciu, jego pałacowi bądź zgromadzonym skarbowi. Lady Cyntia twierdzi, że w Indiach zasoby materialne księstw nie są deponowane w bankach, ale trzymane w skrzyniach zamkniętych w kamiennych skarbcach pałaców. I ich, między innymi, strzegą ci specjali gwardziści.

Kiedy kończę pracę w ametystowym pokoju, piję herbatę z lady Herbert w jej bawialni, będącej jednocześnie niezwykłą galerią obrazów. Niekiedy dołącza do nas jej szwagierka, panna Herbert, ponieważ ona także zamieszkuje w rezydencji. Jest jednak osobą nieśmiałą i - jak mi się zdaje - zagorzałą wyznawczynią wiary chrześcijańskiej, więc obie panie nie mają wspólnego języka. Ostatnio wzięłam ze sobą do Herbert House rulon z kilkoma płótnami Franza i bardzo się denerwowałam, gdy lady Cyntia je rozwijała, by poddać obrazy ocenie. Próbowiałam na nie spojrzeć jej oczami, ale to niemożliwe, wszystkie bowiem są mi drogie. Pozostało mi więc tylko obserwować wyraz jej twarzy w nadziei, że obrazy mojego męża poruszą lady Cyntię równie głęboko, jak mnie zawsze poruszały. Pani Herbert nie dała jednak nic po sobie poznać, a odezwała się dopiero wtedy, gdy ostatnie płótno leżało rozłożone na podłodze bawialni.

- To doprawdy piękne obrazy i chętnie kupię kilka z nich dla siebie. Pozostałe - jeśli pani pozwoli - zabiorę do Indii, bo jestem przekonana, że mój przyjaciel, maharadża Benaresu, będzie zachwycony, gdy otrzyma możliwość nabycia niewielkiej kolekcji prac tak zdolnego artysty. Teraz jednak musimy omówić inną kwestię - a mianowicie pani wynagrodzenie za katalogowanie mojej kolekcji.

- Już wystarczy, że się pani zainteresowała twórczością mojego męża - oznajmiłam. - W żadnym razie nie mogłabym przyjąć pieniędzy...

- Cóż za bzdura! - rzuciła. - Ale w takim razie chciałabym złożyć pani inną propozycję. Niepokoi mnie, że trzyma pani kosmyk włosów męża zamknięty na głucho... - Wyciągnęła rękę i ujęła w palce mój medalion. - Chętnie zrobiłabym z nich dla pani klejnot żalobny z prawdziwego zdarzenia, żeby duch mógł się uwolnić, opuścić ten padół i osiągnąć spokój w zaświatach. A tak się nigdy nie stanie, jeżeli będzie tkwił w tym medalionie! - Lady Herbert posłała Gowindzie dziwne spojrzenie, którego wymowa pozostała dla mnie niejasna. - Gowinda jest wyjątkowo utalentowanym rysownikiem i kiedy omówiłam z nim tę sprawę, uznał, że chyba mógłby zaprojektować dla pani coś odpowiedniego.

Czuję zdecydowaną niechęć do podobnych guseł, ale lady Herbert tak wspaniałomyślnie postanowiła mnie wesprzeć w zapewnieniu Franzowi uznania, którym nie mógł się cieszyć za życia, że uległam i wyraziłam zgodę na jej propozycję. Od tygodnia nie mam przy sobie mojego talizmanu i już nie mogę się doczekać, kiedy „duch” Franza wreszcie do mnie powróci.

Z wyrazami najszczerzej przyjaźni -

Lily

## XIII

Ulica Hatton Garden leżała blisko Fleet Street oraz Strand Lane, uchodziła więc za w miarę elegancką okolicę, gdzie można się pokazać na zakupach. Szczególnie że znajdujące się tam sklepy oferowały specjalistyczne usługi i towary, a więc się plasowały o wiele wyżej w kupieckiej hierarchii - przynajmniej w opinii Joshuy Finkelsteina, który swoją pracę

traktował z niezwykłą powagą. I właśnie dlatego owego letniego dnia pracował do tak późnej godziny.

Od początku wiosny przez okienko swojej pracowni w suterenie, obserwował rąbki kobiecych sukien: najpierw z wełny, następnie z musli-  
nu; oraz damskie trzewiki: wcześniej czarne, teraz w kolorze kości sło-  
niowej. Niekiedy widoki bywały bardziej pasjonujące - szczególnie kie-  
dy wiało i gwałtowne poddmuchy wiatru podrywały krynoliny do góry  
tak szybko, że kobiety nie mogły temu zaradzić. Wówczas jego oczom  
ukazywał się rozkoszny obraz koronkowych pończoch i pantalonów.

Kiedy się odzywał dzwonek zwiastujący wejście klientów do sklepu,  
błyskawicznie ściągał skórzany fartuch i mknął w górę po schodach  
zwinnie niczym kot. Nie był już młody, ale szczęśliwie nie dotknął go  
starczy bezwład członków. Joshua się szczyił, że nie stracił nic ze swo-  
jej witalności, chociaż swego czasu nadmierna jurność przyczyniła mu  
wiele kłopotów.

W jego sklepie jubilerskim było dosyć miejsca, żeby mogły się po-  
mieścić naraz dwie damy wraz z dwoma dżentelmenami. Lub trzy damy  
bez męskiego towarzystwa - ale już nie cztery; przynajmniej dopóty,  
dopóki się nie zmieni moda i spódnice przestaną być rozdęte do tak nie-  
bywałych rozmiarów. Wówczas, co prawda, Joshua w wietrzne dni nie  
będzie mógł cieszyć wzroku szczególnymi widokami, ale możliwość  
goszczenia większej liczby klientów jednocześnie jakoś mu to zrekom-  
pensuje.

A interesy szły świetnie, szczególnie od czasu, gdy z jego usług po-  
stanowiła skorzystać lady Cyntia Herbert. Zdumiał się bardzo, kiedy  
przyszła po raz pierwszy, ponieważ należała do stałych klientek Garrar-  
dów - firmy zajmującej się klejnotami królewskiego dworu. Jednak w  
wypadku Garrardów istniał pewien problem - zatrudniali tak wielu mi-  
strzów złotniczych, czeladników i sprzedawców, że nie byli w stanie  
zapewnić klientom całkowitej dyskrecji. Natomiast Joshua Finkelstein  
pracował sam i nigdy nie wnikał, jakimi kanałami dotarły do Londynu  
kamienie, które przyszło mu oprawiać. Jeżeli zbyt rygorystycznie prze-  
strzegaloby się prawa, można by stracić sporo pieniędzy. Joshua zatrud-  
nił kiedyś terminatora, ale chłopak nie miał dość zwinnych palców i  
połamał tak wiele delikatnych piłek do cięcia kamieni, że w końcu stał  
się zbyt kosztowny w utrzymaniu. Potem już jubiler pracował w poje-  
dynkę, bo dzięki temu mógł prowadzić interesy, z kim tylko chciał, nie

martwiąc się o konsekwencje cudzej niedyskrecji. No i nikt mu się nie kręcił po pracowni, dlatego mógł tam przeprowadzać „prywatne konsultacje” ze szczególnie klientkami, których nawet w myślach nie nazywał kurtyzanami, bo uważał to słowo za wulgarne.

Teraz już rzadko wykonywał biżuterię - przede wszystkim zajmował się drobnymi naprawami oraz handlował gotowymi wyrobami, głównie pochodzącymi ze Wschodu, bo „orientalna egzotyka” była teraz w modzie. A ponieważ pierwszy na Hatton Garden zaczął sprowadzać rubiny z Birmy, zdobione emalią kolczyki i naszyjniki z Indii, a z Cejlonu - broszki wykonane z tygrysiich pazurów, osadzonych w złocie, szybko dorobił się odpowiedniej renomy, a w tym zawodzie - Joshua wiedział to dobrze - renoma była wszystkim. Właśnie dzięki niej pewnego późnowiosennego dnia zawitała w jego progach słynna lady Cyntia Herbert. No i dzięki jego reputacji człowieka dyskretnego.

Joshua podjął się skomplikowanego zamówienia, chociaż wcześniej dał do zrozumienia, że właściwie już się nie zajmuje wyrobem biżuterii. Lady Cyntia zaoferowała jednak tak nieprzyzwoicie hojne wynagrodzenie, że nie mógł odmówić; poza tym wzór, który pokazała, wydał mu się znajomy. Widział coś podobnego u pewnego hinduskiego kupca z Bombaju, od którego swego czasu kupował złoto. Był to wisior zdobiony dziewięcioma różnobarwnymi kamieniami, układającymi się w okrąg, a kiedy Joshua zwrócił uwagę na jego niespotykany rysunek, ów kupiec powiedział, że jest to amulet mający zapewnić przychyłność bogów - szczególnie w interesach i miłości.

Złotnik był zdumiony, że lady Cyntia zapragnęła podobnej błyskotki; uważał, że w wisiorze jest coś prymitywnego - może z powodu tych niepasujących do siebie kolorystycznie klejnotów. Osobiście nie lubił amuletów i talizmanów - wzbudzały w nim niepokój. I były... pogańskie - tak, właśnie to słowo nasuwało mu się w pierwszej kolejności. Stąd, kiedy hinduski kupiec zaproponował, że następnym razem może mu przywieźć kilka takich wisiorów - zdecydowanie odmówił. Był Żydem - podobnie jak większość jego klientów - i nie powinien mieć w sklepie niczego, co się wiązało z przesadami innych kultur. To szkodziło interesom. Jego klientela nie potrzebowała dodatkowego szczęścia w transakcjach ani też w uczuciach - bo przychodziły do niego głównie mężatki, a żydzi dużo częściej się żenili z miłości niż londyńscy protestanci czy katolicy. On sam się ożenił właśnie z takiej przyczyny, ale to była już pieśń przeszłości.

Lady Herbert weszła do sklepu w towarzystwie hinduskiego służącego, który miał przy sobie skórzany woreczek, podszyty wewnątrz pikowanym jedwabiem. Zanim Joshua mógł zobaczyć, co zawierał, lady Cyntia zażądała, by zaciągnął rolety i zamknął drzwi na wszystkie zamki. Dostosował się do polecenia, bo ogarnęła go wielka ciekawość, poza tym wiedział, z jak ważną osobą ma do czynienia. Kolekcja klejnotów Cyntii Herbert była legendarna, więc najprawdopodobniej oczom Joshuy za chwilę się ukaże coś nadzwyczajnego.

I rzeczywiście, to, co wypadło z woreczka na szkło gabloty, okazało się cudem, jakiego nigdy wcześniej nie widział w życiu - ani w ciągu ośmiu lat pracy w Gold & Silver Company przy Regent Street, ani następnych dwudziestu, gdy już prowadził własny interes. Na widok tych wspaniałych klejnotów najpierw się zająknął, potem zbładł jak chusta, aż w końcu chwycił za kant kontuaru, żeby nie upaść z wrażenia. Oto leżało przed nim dziewięć cudownych kamieni, każdy w innym kolorze, i chociaż Joshua słyszał, że diamenty mogą występować w różnych barwach, wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Trudno jednak pomylić diament z jakimkolwiek innym kamieniem, bo tylko w nim występuje szczególna struktura kryształu, dzięki której rzuca tak niezwykle blaski. Joshua widział już w swoim życiu diamenty blad różowe, jasnoniebieskie i w kolorze szampana, ale nigdy szmaragdowozielone czy miedzianobłękitne! Jednak najbardziej zdumiewający wśród kamieni lady Cyntii był diament tak ognisty czerwony, jakby w jego wnętrzu tańczyły płomienie, i nagle Joshuę ogarnął lęk, że jeżeli go dotknie, to się dotkliwie sparzy. Jednocześnie nie mógł się oprzeć prężnej pokusie i nie dotknąć kamienia. Chwycił klejnot w palce i wówczas ogarnęło go dziwne uczucie - jakby ogień zamknięty w chłodnym kamieniu rozgrzewał mu krew: najpierw w dłoni, potem w całym ramieniu. Kiedy gorąco dotarło do piersi, szybko odłożył klejnot na szkło gabloty.

Każdy kamień odznaczał się perfekcyjnym szlifem, stąd Joshua doszedł do wniosku, że musi być to dzieło jednego z najbiedniejszych mistrzów - takiego jak na przykład Holender Voorsanger, który szóstym zmysłem wyczuwał, gdzie należy naciąć kamień, i nikt nie mógł mu dorównać w szlifierskiej sztuce. Voorsanger niedawno został nawet wezwany do Londynu przez królową, żeby tchnął życie w Koh-i-noora - olbrzymi, cieszący się złą sławą, błękitny diament, sprezentowany

monarchini przez Kompanię Wschodnioindyjską. A skoro powszechnie było wiadomo, że Cytia Herbert bywa na herbatkach u królowej, Joshua nie mógł się powstrzymać od pytań... „Tak, tak” - rzuciła niecierpliwie dama. Czyż powierzyłaby równie wspaniałe klejnoty komu innemu niż Voorsanger? Przecież nikt nie dorównywał mu kunsztem - i dyskrecją.

Wszystkie diamenty lady Cytii miały brylantowy szlif - ten najpiękniej rozszczepiający światło na dziesiątki miniaturowych tęcz. Każdy z nich ważył niecałe trzy karaty, był wielkości grochu i zdawał się idealnie czysty. Dopiero później, uzbrojony w jubilerską lupę, Joshua się przekonał, że jedynym brylantem bez najdrobniejszej skazy był ten czerwony - on też przez cały czas budził w nim dziwne uczucia, mające wiele wspólnego ze strachem.

Kamień rozsiewał wokół niezwyklej blask, nawet kiedy Joshua zgasił lampy i zdmuchnął świece. Jakby naprawdę płonął w nim wewnętrzny ogień. Przypominał Finkelsteinowi gorejące serce Chrystusa, jakie widywał na obrazach w katolickich domach (co zresztą uważał za dość groteskowe). Oczywiście dobrze wiedział, że diamenty są martwe, że to tylko złudzenie wzrokowe i idealna krystaliczna struktura. A jednocześnie nie mógł się uwolnić od przekonania, że zachwyty nad pięknem czerwonego kamienia ma w sobie coś z bałwochwalstwa.

Ale nie tylko to go niepokoiło w związku z niezwyklej diamentem. Ledwo ów klejnot znalazł się w jego pracowni, w nim zaczęły się budzić groźne żądze, które zawsze usiłował okiełznać. Jako młody człowiek miał z ich powodu masę kłopotów: wiecznie niezaspokojona chęć w lędźwiach; prostytutki; a także obrazki, które znalazła jego żona i natychmiast pojechała na północ, w odwiedziny do siostry, skąd już nigdy nie powróciła. Teraz, kiedy Joshua miał swoje lata, wystarczyło mu zagładanie pod spódnice w wietrzne dni i ukradkowe spojrzenia w dekolt dam, gdy pochylały się nad szklaną gablotą, by się dokładniej przyjrzeć różnym sztukom biżuterii. Specjalnie tam właśnie trzymał najcenniejszą kolekcję z Indii, wiedząc, że żadna kobieta się nie oprze błyszczącemu klejnotowi i będzie chciała zobaczyć go z bliska. No i nagle ten czerwony kamień - niczym krągła kobieca pierś czy jędrne dziewczęce udo - na nowo rozpałił w nim ogień pożądania. Finkelstein zaczął nawet rozważać, czy po drodze do domu nie zahaczyć o Haymarket...

Podczas swojej wizyty lady Herbert wyjaśniła mu dokładnie, jak powinien wyglądać zamówiony przez nią wisior. Miała zresztą ze sobą



rysunek wykonany przez kogoś wyjątkowo utalentowanego. Bez wątpienia projekt pochodził z zamorskiego kraju, bo pergamin był niezwykły, a dookoła rysunku biegł napis w hinduskim alfabecie. Joshua zapytał, co oznacza, ale spotkał się z wymijającą odpowiedzią.

- To nieistotne. Jak pan widzi, czerwony brylant musi się znajdować pośrodku, a pozostałe dookoła niego idealnie w takim porządku, jak przedstawiono na rysunku. Po wykonaniu zamówienia musi pan bezwzględnie zniszczyć kartkę z projektem.

Joshua w żadnym razie nie zamierzał tego robić - rysunek był zbyt piękny, zbyt intrygujący.

Przez cały czas lady Herbert wykazywała chorobliwą nerwowość i przed wyjściem zażyczyła sobie obejrzeć skarbiec. Swego czasu była atrakcyjną, apetycznie pulchną kobietą, o ile Joshua dobrze pamiętał. Teraz, po powrocie ze Wschodu (gdzie podobno zmarł jej mąż), jakby się zapadła w sobie i zaszuszyła. W oczach nie miała już dawnego blasku, a jej cera - niegdyś kwitnąca i różana - zwiędła i pożółkła. Może więc i dlatego Joshua poczuł ulgę, gdy lady Cyntia Wraz ze swoim milczącym Hindusem opuściła pracownię.

Osadził kamienie dokładnie tak, jak sobie życzyła. Pracował całą noc i kolejny dzień, ale poczuł ulgę dopiero wtedy, gdy po wisior przyszedł człowiek pani Herbert. Póki czerwony diament znajdował się w jego skarbcu, Joshua miał wrażenie, że do sklepu wdarł się intruz wciągający go w otchłań grzechów z przeszłości. Powróciły wyrzuty sumienia, nie był bowiem w stanie panować nad swoją żądzą i znowu lądował w ramionach dziwek z Haymarket. A przy tym zupełnie nie potrafił pojąć, co się z nim dzieje.

Ale w ów piękny, słoneczny ranek nie myślał już o brylantach, które dawno zniknęły z jego pracowni. Od tygodni nie tknął kobiecego uda ani piersi i zaczynał nabierać przekonania, że znowu będzie mógł się udać do synagogi i pokazać twarz Bogu.

Dzwonek przy drzwiach sklepu zadźwięczał donośnie, gdy Joshua się pochylał nad pierścionkiem pewnej bogatej wdowy, której zgrubiały palce. To była najpowszedniejsza z usług, jakie teraz wykonywał, i irytująca, ponieważ czuł, że nie powinien brać pieniędzy od stałej klientki za taki drobiazg. Gdyby trzeba dołożyć złota, sprawa naturalnie przedstawiałaby się inaczej, ale zazwyczaj wystarczyło jedynie rozciągnąć obrączkę.

Joshua wszedł na wąskie kamienne stopnie, wiodące do sklepu, przywołując na usta promienny uśmiech, zarezerwowany dla klientów. Mina mu natychmiast zrzędła, gdy ujrzał przed sobą szczupłego, ciemnokookiego Hindusa lady Cyntii. W pierwszej chwili pomyślał, że coś jest nie w porządku z wisiosem, i serce w nim zamarło, nie miał bowiem ochoty jeszcze kiedykolwiek w życiu dotykać owego amuletu. Ale po chwili się uspokoił. Nie, to niemożliwe, żeby były jakieś zastrzeżenia, przecież dwa razy się upewnił, czy kamienie są solidnie osadzone, a wisior wygląda identycznie jak na rysunku, który spoczywał teraz głęboko w jego szufladzie.

- Dzień dobry, sir. Czym mogę służyć?

- Przychodzę z polecenia lady Cyntii. - Mężczyzna mówił z lekko śpiewnym akcentem, charakterystycznym dla ludzi Wschodu, ale poza tym jego angielszczyzna zdawała się nienaganna. Niezwykle intrygujący był natomiast wyraz jego męskiej twarzy o ostrych rysach, bo wzbudzał jednocześnie i lęk, i zaufanie.

Hindus rozwinął na gablocie dwa kawałki pergaminu. Joshua bacznie się przyjrzał leżącemu na wierzchu - rysunek przedstawiał sztukę żalobnej biżuterii. Na ciężkim dysku ze złota widniał, osadzony w płytce z czarnego kamienia, wzór utkany z włosów, układający się w delikatne kwiaty - lilie, o ile się nie mylił. Na wierzchu - jak zawsze w takich wypadkach - znajdowała się szklana płytka, chroniąca ornament z delikatnego materiału. On sam nie wykonywał takich ornamentów, ale wysyłał paczuszki z włosami nieboszczyków do córek pewnego krawca z Holborn. Podobnie jak ich hafty, kompozycje utkane z włosów były wyjątkowo staranne i kunsztowne. Joshua widział już wiele wytworów ich zwinnych paluszków - niezapominajki, splecione z delikatnych włosków dziecka, czy misterne wierzby płaczące, zwieszające się nad kamiennym nagrobkiem.

- Tak, mogę to wykonać - powiedział.

Hindus skinął głową i zwinął górny arkusik zamorskiego pergaminu, ukazując rysunek znajdujący się pod spodem. Na ten widok Joshua zaniemówił.

- Lady Cyntia życzy sobie, byś wprowadził pan drobne zmiany do wisiora z brylantami.

Joshua był kompletnie skołowany, gdy spojrział na owe „drobne zmiany”.

- Czy możesz pan wykonać całe zamówienie bez zwłoki? - Hindus spoglądał twardym wzrokiem, zniechęcającym do pytań. - Lady Herbert hojnie zapłaci, jeżeli zabierzesz się do tego jak najszybciej. Najlepiej od razu.

Joshua zaczął szybko kalkulować w myślach, jak wiele potrzeba mu czasu. Mógłby wykonać całą jubilerską pracę do jutra, jeżeli dzisiaj posiedziałyby do późnej nocy. Nie wiadomo natomiast, jak długo musiałby czekać na wyplecenie kwiatów - to zależało od tego, jak wiele pracy miały dziewczęta w Holborn. Najlepiej więc, jeżeli natychmiast się do nich uda.

- Czy ma pan przy sobie włosy?

Hindus wyjął kawałek płótna, przepasany wstążką, z kieszonki kamizelki, na którą włożył krótki tużurek w kolorze klareta, doskonale harmonizujący z jego śniadą cerą. Na środkowym palcu lewej ręki miał spory pierścień, co zdumiewało u służącego. Joshua szybko oszacował klejnot. Oprawa kamienia zdawała się dość prymitywna, wykonana z hinduskiego złota - bardziej żółtego w odcieniu i mniej kosztownego niż włoskie. Kamień natomiast był dużym rubinem, typowym kaboszonem, który jednak byłby wyjątkowo cenny, gdyby go odpowiednio oszlifować. Mężczyzna musiał zauważyć, że Joshua spojrzął na jego pierścień, bo powiedział:

- Rubiny to kamienie poświęcone bogu słońca, dawcy życia.

Ów komentarz wprawił Joshuę w zakłopotanie, ale jednocześnie mu przypomniał, że centralnym kamieniem w amulecie kupca z Bombaju był właśnie rubin, postanowił więc o to zapytać.

- Ten czerwony kamień... - zaczął, ale nie dokończył, mężczyzna uniósł bowiem dłoń w ostrzegawczym geście.

Joshua zadrżał z lekka. Ta historia zdawała mu się coraz bardziej niesamowita. Ale z drugiej strony, czym się taki amulet różnił od nabijanego drogocennymi kamieniami krzyżyka chrześcijan czy też żydowskiej gwiazdy Dawida? A gdy już o gwieździe mowa, musi nazajutrz pójść do synagogi - tak na wszelki wypadek.

Joshua niewiele wiedział na temat etykiety ludzi Wschodu. Naturalnie często się kontaktował z bombajskimi kupcami, a od czasu do czasu także z pewnym tybetańskim jubilerem, który przyjeżdżał do londyńskich rezydencji hinduskich ksiąząt. Wszystkie te transakcje przeprowadzane były zawsze wielce uprzejmie, ale i z dystansem. Joshua uważał to za słuszne, skoro ci ludzie pochodzili z dalekich krajów, których nawet

nie śmiał sobie wyobrażać. Słyszał tylko, że kobiety na Wschodzie noszą jedwabne suknie, odsłaniające brzuchy, i to był jedyny powód, dla którego byłby gotów się wybrać w zamorską podróż.

Tymczasem Hindus położył na szkle gabloty mały skórzany woreczek, który Joshua natychmiast rozpoznał. W środku znajdował się amulet i czerwony diament. Nie miał ochoty go dotykać i mężczyzna chyba wyczuł jego lęk, bo spojrzał na niego z błyskiem zrozumienia w oczach.

By pokryć zmieszanie, złotnik się pochylił nad rysunkami. Oba były dziełem utalentowanego artysty - świadczyła o tym finezja detali.

- Kto je wykonał?
- Wyszły spod mojej ręki.
- A czy ten pierwszy?...
- Owszem. Wszystkie trzy.

Kiedy Joshua po raz kolejny podniósł wzrok, Hindusa już nie było - bezszelestnie opuścił sklep, nie udzielając żadnych dodatkowych wyjaśnień.

Jubiler ujął w palce woreczek, tak jakby chwycił najstraszniejszą truczynę, i popędził na dół, do skarbcza. Gdy już zatrzasnął w jego wnętrzu amulet, poczuł się trochę lepiej, ale i tak bliskość czerwonego diamentu wzbudzała w jego myślach zamęt.

Potem zamknął dokładnie sklep i udał się do Holborn. Obie córki krawca jak zwykle siedziały na stołeczkach przy kominku, pochylone nad bębenkami do wyszywania. Ich białe szyje, wygięte wdzięcznie jak u łabędzi, zaróżowiły się od żaru ognia, i Joshua natychmiast odwrócił wzrok, bo ich uroda pobudziła jego chucie i przypomniała o dawnych grzechach.

Ojciec dziewcząt powiedział, że owszem, jego córki mogą utkać z kosmyka białych włosów lilipucie kwiaty przed zapadnięciem zmierzchu. Muszą tylko wiedzieć, jak dużo ich wykonać.

- Dziewięć.

Mężczyzna obiecał, że dziewięć małych lilii zostanie dostarczonych do sklepu Finkelsteina o takiej porze, by jeszcze tego dnia zdążył je umieścić na dysku ze złota. Po tym zapewnieniu Joshua wyszedł, nie spoglądając już na piękności siedzące przy ogniu - zupełnie nieświadome, jak sprośne wzbudziły w nim myśli.

Pracował przez pół nocy. Zawsze to trwało dłużej, niż z początku planował, bo był perfekcjonistą, co zresztą uważał za konieczne w swoim rzemiośle. Poza tym bardzo mu zależało, by zadowolić nową klientkę

- po pierwsze dlatego, że Cyntia Herbert należała do osób bardzo wymagających (a więc pochlebiali mu otrzymanie od niej zlecenia), po drugie - ponieważ płaciła dwa razy tyle, ile normalnie by zażądała za podobną pracę. W zamian obiecał, że wszystkie zamówienia będą gotowe na rano. Teraz, w środku nocy, już się zbliżał do finału - zostało mu jeszcze tylko zamocowanie szkiełka. Lady Cyntia musiała stracić kolejną bliską osobę, pomyślał Joshua, wciskając brzegi szkła w idealnie przygotowane wyżłobienie w złotym dysku. Jej mąż, sir Charles, nie miał siwych włosów. Często widywał ich razem na Regent Street, stąd wiedział, że włosy Charlesa były rude - wręcz pomarańczowe jak marchewka.

Od chwili gdy dzisiejszego ranka zjawił się tu człowiek lady Cyntii, Joshuę nachodziły osobliwe myśli, zapewne biorące się z zabobonnej gadaniny Hindusa na temat planet i pogańskich wierzeń. Na dodatek męczyła go świadomość obecności w tych murach przekłętogo czerwonego diamentu. Uczucie niepokoju pogłębiało się w pracowni, gdzie na roboczym stole leżał amulet łuskający swoimi dziewięcioma oczami, i sprawiał, że Joshua się czuł tak, jakby ktoś go podglądał - jakby wróg zerkał przez małe zakratowane okienko, w ciągu dnia pozwalające jedynie ujrzeć bruk ulicy, damskie trzewiki lub kawałek kobiecej kostki. Nieprzyjemne wrażenie narastało - a wraz z nim wzmagало się dziwne mrowienie w karku - zmuszając Joshuę do spoglądania raz po raz przez ramię na ciemny prostokąt okna. Naturalnie nikogo tam nie było, więc z jednej strony czuł się jak głupiec, z drugiej - nie mógł się uwolnić od przeświadczenia, że jednak nie jest tutaj całkiem sam. W końcu zamontował szkiełko ochraniające i dociskające maleńki wianuszek z lilii do dysku i wówczas odetchnął z ulgą. Żałował jedynie, że z powodu tak późnej pory nie może pójść do żadnej tawerny, bo wszystkie już dawno pozamykano. Nie zamierzał wracać do domu po nocy i w gęstej mgle - zwłaszcza że tak wiele czasu siedział zgarbiony nad stołem, pokrywając miniaturowe kwiatki lakierem i osadzając je w specjalnie przygotowanym okręgu z gagatu. Odłożył narzędzia i wówczas spostrzegł, że nie może powstrzymać drżenia rąk; serce waliło mu jak młotem, a czoło pokrywał zimny pot, postanowił więc wychylić miarkę brandy, zanim się ułoży na kozetce stojącej w rogu pracowni. Był jeszcze jeden powód, dla którego nie chciał wracać do domu o tak późnej porze. Najzwyczajniej w świecie zdjął go strach. To wszystko przez tę dzisiejszą wizytę Hindusa, pomyślał - to on wyprowadził go z równowagi, on sprawił, że wciąż

czuł na sobie obcy wzrok. Zwykle bajania i gusła, ot co - dlatego czuł się jak ostatni dureń.

Jednak na wszelki wypadek raz jeszcze sprawdził, czy drzwi sklepu są pozamykane na wszystkie spusty, i wychylił drugą miarkę brandy, po której się ułożył do snu przekonany, że jak zwykle wstanie o wschodzie słońca. A zaraz potem ktoś przyjdzie po amulet. Resztę zaś dnia Joshua spędzi na Haymarket - tak postanowił. Zrobi to po raz ostatni, by uczcić pozyskanie tak cennej klientki jak lady Herbert, no i dlatego że widok dziewcząt z Holborn to już było dla niego za dużo. Człowiek nie jest w stanie się opierać wszystkim pokusom, pocieszał się tuż przed zaśnięciem.

Ledwo jednak odplłynął w sen - a przynajmniej tak mu się zdawało - obudziło go głośne stukanie do drzwi na górze. Przecież to nawet jeszcze nie brzask, pomyślał z irytacją, i zaspany zaczął się wspinać po kamiennych stopniach.

Odsłonił roletę, oczekując, że zobaczy niepokojącą w swojej nieruchomości twarz Hindusa, tymczasem ujrzał tylko mrok. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że nie był to mrok nocy, ale gęstej chmury, która nadpłynęła nad Hatton Garden. Joshua wyteżał zapuchnięte od snu oczy, po czym otworzył drzwi. Może tak długo się budził i wchodził po schodach, że Hindus już odszedł kawałek. Wyszedł więc przed próg, by się rozejrzeć po ciemnej ulicy. Ten ponury mrok był jednak czymś więcej niż tylko deszczową chmurą; teraz dotarło do niego, że to mgła - zielonkawa i gęsta niczym zupa z groszku, niosąca ze sobą paskudny fetor od rzeki. Zapewne jakiejś gnijącej materii i gryzącego dymu z kominów. Zaspany Joshua miał wrażenie, że przed oczami, w pewnym oddaleniu, majaczy mu jakaś spowita mgłą postać. Stała w bezruchu, jednak zdawała się lekko falować, jakby miała na ramionach obszerną czarną pelerynę, ale zapewne był to jedynie fantom, złudzenie spowodowane gęstością mgły. Mimo to nagle, bez żadnego powodu, lęk z zeszłego wieczoru powrócił i Joshua całkowicie się rozbudził. Lęk się przerodził w lodowaty strach i jubiler poczuł w gardle cierpki smak żółci. Niespodziewanie ogarnęło go przekonanie, że niebezpieczeństwo, które wyczuwał, pracując w nocy, teraz podpełzło już bardzo blisko, a tymczasem on nie miał pod ręką nic do obrony. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że to tylko wytwór jego wyobraźni, która zawsze była zbyt bujna. To ona pchała go do czynów, których się potem wstydził, a teraz stawiała mu przed oczami przedziwne, wrogie cienie.

Mimo to Joshua zaczął się cofać przed bezkształtnymi formami, wyłaniającymi się z mgły, aż w końcu się znalazł na progu sklepu. I już, już miał wejść do środka, gdy niespodziewanie poczuł między oczami straszliwy ból - jakby mu ktoś zadał potężny, niewidzialny cios. Zatoczył się i uderzył głową o bruk ulicy. Wciąż miał otwarte oczy, zobaczył więc, że zbliża się ku niemu jakiś kształt - a może były to dwa kształty? W każdym razie majak zdawał się sunąć w powietrzu - być może dlatego, że mgła wciąż się ścieliła nisko i sprawiała, że wszystko wokół zdawało się amorficzne i nierealne. Kiedy Joshua nabrał już przekonania, że rozpościerają się nad nim olbrzymie czarne skrzydła - poczuł słodki, korzenny zapach. Nie przypominał on w niczym rzecznych odorów ani dymu z kominów, raczej drewniane skrzynie, które w jego pracowni rozpakowywali hinduscy kupcy.

Nie mógł oddychać, chociaż nie umiałby powiedzieć, czy z powodu przażenia ściskającego za gardło, czy bezdechu wywołanego jakąś inną dolegliwością. Nagle zdał sobie sprawę, jak cenne jest powietrze - dawało życie niczym bóg słońca, którego imienia nigdy nie poznał; bóg, który władał czerwonym kamieniem. W takiej chwili jednak nie powinien myśleć o pogańskich bożkach i amuletach, próbował więc przywołać przed oczy gwiazdę Dawida, którą kiedyś nosił pod koszulą, ale zdjął, gdy uznał, że nie jest wart jej czystego piękna.

Powieki zaczęły mu opadać, a za oczami poczuł jakiś niesamowity żar, który nagle eksplodował tysiącem ostrych, krystalicznych igieł - czerwonych jak ogień, jak krwawy diament...

## XIV

Cyniczna, sprzedajna, zdeprawowana prasa z czasem wykształci społeczeństwo równie nikczemne jak ona sama.

Joseph Pulitzer

**N**azajutrz po wykryciu kolejnego morderstwa Sara wyszła z domu bardzo wczesnym rankiem. Ciekawość pchnęła ją na północ od Fleet Street - ku Holborn i Hatton Garden. Rozglądała się też wokół z zainteresowaniem, ponieważ nigdy wcześniej nie zawędrowała w te okolice -

nie było tu bowiem żadnych pubów, w których by sprzedawano irlandzką whisky.

Jubiler, którego ktoś zakatrupił, nazywał się Finkelstein - tyle Sara zdołała zapamiętać. Nie widziała jednak, gdzie dokładnie znajdował się jego sklep. Idąc wzdłuż Hatton Garden, spoglądała na piękne witryny jubilerów, zegarmistrzów, modystek i kosztownych szewców. Sklepów jeszcze nie otwarto i okolica zdawała się opustoszała. Może ludzie tu nie przychodzili, bo się bali, że morderca nadal grasuje w pobliżu.

Niespodziewanie się okazało, że nie będzie musiała zmuszenie poszukiwać miejsca zabójstwa Finkelsteina. Zrozumiała to, gdy ujrzała inspektora Larka.

Stał przed złożoną z kilku szyb witryną i zaglądał do środka sklepu - zapewne należącego do zabitego jubilera. Larkowi towarzyszył młody policjant. Sara od razu wiedziała, że musiał to być jeden z funkcjonariuszy, bo nosił czarne wełniane spodnie i krótką kurtkę - taką jak wszyscy chłopcy z posterunku przy Bow Street. Ich rewirem były okolice Westminsteru, chociaż rzadko się zapuszczali do kwartałów ruder. Ruby twierdziła, że policjanci z Bow Street zarabiają podwójnie - dostają pieniądze z Whitehall, od rządu, a także od dziwki ulicznych, które musiały im płacić, jeżeli nie chciały trafić za kraty.

Sara wciąż się znajdowała na tyle daleko od sklepu Finkelsteina, że Lark jej nie zauważył, ale mogło to nastąpić w każdej chwili, bo inspektor miał wzrok bystry niczym jastrząb. Nie było tu żadnych zakamarków, w których mogłaby się skryć, cofnęła się więc kawalek i przeszła przez ulicę. Teraz znajdowała się wprawdzie po tej samej stronie, co Lark i drugi policjant, ale tutaj rosły dwa drzewa dostatecznie duże, by się mogła za nimi schować. Tak też zrobiła i zdążyła w ostatniej chwili, bo mężczyźni ruszyli w jej stronę. Ucieszyła się w duchu, że ulica jest wyludniona, ponieważ przechodnie mogliby się zainteresować, przed czym się tak kryje.

Ledwo to pomyślała, a dobiegł do niej głos Larka i zapach dymu cygaretki.

- Chcę wiedzieć wszystko o jego klientach, a także o powiązaniach z czarnym rynkiem kamieni szlachetnych i biżuterii. Ta sprawa mi się nie podoba, Gerardzie. W dniu śmierci Peaseya przy kei cumował statek z Bombaju, a teraz się okazuje, że tego Żyda też mogło coś łączyć z obcokrajowcami przybijającymi do Temple Pier.



- Z całym szacunkiem, sir, ale większość jubilerów w Londynie ma podobne powiązania.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale rzecz w tym, że Finkelstein służył z importu hinduskiej biżuterii. Chcę się też dowiedzieć, co i na czyje zamówienie ostatnio wykonywał w pracowni. I czy istnieją jakieś poszlaki wskazujące, że w czasie śmierci w jego sklepie znajdowały się precjoza o nadzwyczajnej wartości.

- Nic, co znaleźliśmy...

- Wiem, że nie znaleziono żadnych niezwykle cennych klejnotów, ale trzeba jeszcze dokładnie przejrzeć papiery jubilera. Sprowadź tu kogoś i spakujcie wszystkie rejestry, księgi, rachunki, a także szkice, listy... Rozumiesz, Gerardzie? Chcę to wszystko mieć jak najszybciej u siebie.

- Tak jest, sir.

Przeszli obok drzewa, które Sara ostrożnie obchodziła dokoła, żeby na pewno jej nie zauważyli. Gerard, asystent Larka, był dużo młodszy, niż jej się na początku zdawało, i miał bardzo krótko obcięte jasne włosy. Nie zdołała się przyjrzeć jego twarzy, ale gdy go słuchała, sprawiał wrażenie sympatycznego. Trudno uwierzyć, żeby należał do tych, co każą się opłacać ulicznym dziwkom, ale pozory często mylą - tego się już nauczyła. Inspektor wyglądał tak, jakby nie spał od wielu godzin, a biała koszula, wyłaniająca się spod kamizelki, była lekko pomięta. Niemniej jego buty błyszczały jak zwykle. Z pewnością nie miał żony, bo Lark wydawał się Sarze człowiekiem honoru, a człowiek honoru, gdyby był żonaty, nigdy nie patrzyłby na panią Korechnya tak, jak patrzył inspektor.

Po raz kolejny tego dnia Sara ujrzała Larka w gabinecie Septimusa Hardinga, gdzie siedział również Gregory Melville. Od razu zauważyła, że policjant jeszcze nigdy nie wyglądał tak szpetnie, a Melville na tak zadowolonego z siebie. Prawdę powiedziawszy, nie widziała też do tej pory równie zirytowanego pana Hardinga. Najwyraźniej dzisiaj opacznie rozumiała jego chrząknięcie - nie oznaczało ono „wejść”, jak się jej zdawało, ale „nie przeszkadzać”, chociaż to nie całkiem jej wina, że się pomyliła. Wszystko wskazywało, że sprawa, która się rozgrywała w biurze, nie zakończy się szybko. Gregory Melville rozparł się na krześle naprzeciwko wydawcy, Lark zaś nerwowo chodził po pokoju. Melville musiał być bardzo pewny swego, bo siedział na wpół odwrócony plecami do policjanta, a na jego twarzy o tłustej cerze czaił się chytry uśmieszek.

Jak zwykle wcisnął za dużo pomady we włosy i w bokobrody, z których spłynęła mu na fontaż. Postawił kołnierz swojego krótkiego kabata w jaskrawą kratę niczym wyelegantowany rzeźmieszek i, oczywiście, miał na sobie przesadnie obcisłe spodnie.

- Nie teraz, Saro, wróć po obiedzie.

Została odprawiona, zanim zdążyła otworzyć usta, ale za nic nie zamierzała zrezygnować z tego spektaklu. Przykucnęła więc w holu i przycisnęła ucho do dziurki od klucza. Tym razem nie odważyła się zostawić uchylonych drzwi - pan Harding był w tak ponurym nastroju, a Lark tak rozjątrzony, że mogłoby się to dla niej marnie skończyć.

- Nie ma żadnych dowodów sugerujących, że coś łączy morderstwa z Temple Pier i Hatton Garden, dlatego nalegam, żeby jeszcze dzisiaj zamieszczono sprostowanie takiej właśnie treści.

- Wolne żarty, inspektorze! Ofiary miały identyczne sińce na czołach i - wedle protokołu z kostnicy - w przypadku pierwszej śmierci zachodziło podejrzenie uduszenia. O ile się nie mylę, Finkelsteina także uduszono.

- Obaj mieli zmiażdżone krtanie, ale żadnych śladów na szyi, co z formalnego punktu widzenia nie jest uduszeniem. Poza tym wyświadc mi tę uprzejmość, Melville, i nie zbliżaj się do kostnicy, zanim wcześniej tego ze mną nie uzgodnisz. Mogę się tylko domyślać, jak nieczystymi metodami zdobyłeś te informacje, ale wiedz, że bardzo mi się to nie podoba. Morderstwa to sprawa policji...

- Sprawa policji! Dobre sobie! Sprawą policji jest zapobieganie zbrodniom, nie ukrywanie ich przed czytelnikami. Jak ludzie mają zadbąć o swoje bezpieczeństwo, jeżeli nie będą wiedzieli, co im grozi na ulicach? I jak pan wyjaśni, że Joshua Finkelstein - jubiler! - zostaje zamordowany, a jednak nic nie ginie z jego sklepu? Dowiedziałem się z godnych zaufania źródeł, że był zamieszany w przemyt i nielegalny handel klejnotami. Poinformowano mnie także, że sposób, w jaki zabito obu mężczyzn, jest powszechnie stosowany przez hinduskich zawodowych morderców, zwanych thagami\*. Oczywiście, jeżeli ma pan nowe informacje, które mogłyby oświecić naszych czytelników, chętnie zamieszczę je w swojej kolumnie jako pochodzące od profesjonalisty, ale tymczasem, sir, muszę robić, co do mnie należy.

\* Thagowie - rozpowszechniona niegdyś w Indiach tajna hindusko-muzułmańska sekta rozbójników dusicieli, którzy fanatycznie czcili boginię Kali (przyp. tłum.).

- Twoi thagowie to legenda, Melville. Od dawna nie ma ich już w Indiach, skąd więc niby mieliby się wziąć w Londynie? To zaś, co napisałeś o tych morderstwach, nie ma nic wspólnego z uczciwym dziennikarstwem, jak zresztą wszystkie twoje rewelacje. Gdy zaś chodzi o godne zaufania źródła, to się domyślam, kto zacz, Melville, i już się nie mogę doczekać, kiedy zobaczę ich wszystkich za kratami, w Bridewell.

W tym momencie Sara czmychnęła na schody, bo usłyszała szurgot krzesła o podłogę i rzeczywiście chwilę później zza drzwi wypadł Melville, po czym z wściekłą miną ruszył przed siebie korytarzem.

Sara cicho zaczęła się wspinać na trzecie piętro, zastanawiając się po drodze nad tym, co usłyszała. Z pewnością każdy szanujący się zabójca obrabowałby jubilera, jakby już postanowił go załatwić, czyż nie?

W zecerni nie było żywego ducha, a ci z mężczyzn, którzy nie poszli do domu na obiad, grali w karty w pokoju z herbatą. Sara nalała sobie trochę ohydnej lury, jeszcze odrobinę cieplej, i podeszła do okna. Wyjęła puszkę z tytoniem z kieszeni koszuli i właśnie miała sobie skrócić papierosa, gdy zobaczyła inspektora Larka wychodzącego z wydawnictwa, po czym energicznym krokiem kierującego się ku Holborn. Założyłaby się teraz o każde pieniądze, że szedł na ulicę Hatton Garden. Po sposobie, w jaki trzymał ramiona, zgadywała, że jest równie wściekły jak wcześniej Melville, i podejrzewała, że każe pismakowi drogo zapłacić za zniewagę. Zrobiło jej się nagle żal policjanta i przypomniała sobie opowieść o świętym Jerzym, którą przeczytała w książce mamy. Lark był jak ów święty, smokiem zaś były ulice Londynu - a takiego smoka nie sposób pokonać.

- Pryncypał wysyłał cię dziś na miasto, Sam? - zagadnął ją oślisły Jack Thistlewite, znudzony wolnym tempem rozgrywki i próbujący się zabawić jej kosztem.

- Owszem, a gdy już o tym mowa, ma do mnie kolejną sprawę i zaraz muszę się stawić w biurze.

Sara chętnie sprawiała wrażenie bardzo zabieganej, bo był to najlepszy sposób uniknięcia irytującej protekcyjności i zaczepek zecerów.

- A cóż to za sprawa? - Jack rzucił pytanie nonszalanckim tonem, udając, że go to nic nie obchodzi, ale tak naprawdę zżerała go ciekawość.

- Nic, co by cię mogło zainteresować.

Thistlewite posłał kolegom znaczące spojrzenie, co wywołało ich kpiący rechot. Tak to nagle zeźliło Sarę, że postanowiła wyrzucić na nich piorunujące wrażenie.

- Byłam z wizytą u pani Korechnya.

W tym momencie gracze zamarli w bezruchu, bo każdy z mężczyzn wyobraził sobie Lily - rozsiewającą woń róż, w dopasowanej sukni bez gorsetu.

- U pani Korechnya. No, no.

- Właśnie. Obecnie jest zajęta pisaniem eseju o pewnej damie, która się zajmuje fotografią.

Wszyscy mężczyźni siedzący przy stole wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Nie ma na tym świecie żadnej kobiety fotografa, Sam. Upewnij się więc dobrze, czy ta twoja pani Korechnya aby przypadkiem nie zmyśla!

- W żadnym razie. Zresztą sam wydawca ją poprosił o napisanie tego artykułu, ot co!

- Doprawdy? No, no.

Kolejny wybuch śmiechu.

Sara odeszła od okna, przeszła przez pokój i zgasiła peta w puszcze stojącej na środku stołu, nie patrząc przy tym na Thistlewite'a i pozostałych zecerów. Nienawidziła ich głupich uśmiezków i ograniczonych umysłów! Ucieszyła się więc, kiedy wreszcie pod koniec dnia mogła wyjść z zecerni, co się zdarzało nadzwyczaj rzadko. Bo chociaż niekiedy ją nudziły reklamy toników, balsamów i eliksirów mających uczynić z mężczyzn lepszych mężów (ciekawe, że nie reklamowano niczego, co mogłoby uczynić z kobiet lepsze żony), wciąż wielką przyjemność sprawiała Sarze świadomość, że pracuje w gazecie. Słowa drukowane miały w sobie coś magicznego, przyprawiającego o dreszcz - nawet jeżeli ich treść była tak głupia, że stanowiła jawne marnotrawstwo dobrego papieru.

Nie spotkała Ellen i Świętego Joego nad rzeką i teraz pozostało jej tylko mieć nadzieję, że nie siedzą w okropnej noclegowni Joego. Sara wielokrotnie powtarzała siostrze, że nie może tam chodzić, bo rzadko gdzie się gromadziło tak dużo szumowin. Co prawda, i tak było to lepsze miejsce od poprzedniego lokum Joego - walącego się domu w St. Giles, gdzie w piwnicy prowadzono regularną szkółkę, kształcąca dzieci na kieszonkowców. Na dodatek w noclegowni roiło się od robactwa. Ostatnim

razem, kiedy Ellen tam poszła, przyniosła tyle tego paskudztwa w ubra-  
niu i włosach, że Ruby natychmiast wyszorowała ją od stóp do głów  
szarym mydłem, by w piwnicy się nie rozpleniły insekty wszelkiej ma-  
ści. Robactwo źle wpływa na pędzenie dżinu - tak przynajmniej twier-  
dziła Ruby.

Przy uliczce prowadzącej do noclegowni Joego stały najgorsze w  
Diabelskim Kwartale rudery, i tonęła ona w ekskrementach oraz śmie-  
ciach wyrzucanych z okien. Sara nienawidziła owego miejsca, bo tam -  
jak nigdzie indziej w Londynie - uświadamiała sobie, jak straszne może  
być życie. Na co dzień starała się nie myśleć o ludziach, którzy już na  
ziemi przechodzili przez piekło chorób, głodu i niewyobrażalnej biedy.  
W tej uliczce parę razy się natknęła na ciała zmarłych - zdające się gni-  
jącymi, rozsiewającymi straszny smród tłumokami szmat - pozostawione  
na pastwę szczurów, bo nie miał ich kto pochować. Noclegownia była  
kiedyś normalnym domem o sześciu pokojach. Teraz w każdym z nich  
spało po trzydzieści osób - niekiedy po kilka na jednym łóżku. Sara nie  
weszła do środka, ale gwizdnęła przeciągle, jak to wcześniej uzgodniła z  
Ellen i Świętym Joem. Jeżeli siedzieli w środku, będą wiedzieć, że to  
ona. Chwilę później w jednym z okien ukazała się twarz Joego, rozcią-  
gnięta w głupawym uśmiechu, odsłaniającym tych kilka zębów, które  
mu jeszcze zostały.

- Ellen jest z tobą, Joe?

Pokręcił głową i wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

- Nie ma Ellen.

Sara miała wrażenie, że na moment stanęło jej serce.

- Chcesz powiedzieć, że jej dzisiaj w ogóle nie widziałeś?

Joe przytaknął i ponownie wzruszył ramionami.

- Nie ma Ellen. Joe samotny.

- Nie zastałeś jej w „Białym Jeleniu”?

Ze smutkiem pokręcił głową.

- Schodź tu zaraz, Joe. Nie mam pojęcia, czemu mi się zdaje, że  
możesz się nią opiekować. Pewnie dlatego, że jesteś taki wielki. Złaż  
szybko! Musimy poszukać tej małej szelmy.

Miała ochotę się rozplakać, ale wiedziała, że to by nic nie dało. Joe  
błyskawicznie się znalazł u jej boku, z zawstydzoną miną. Jak zwykle  
miał na sobie marynarską kurtkę - nigdy jej nie zdejmował, nawet w  
lecie, bo w niej trzymał cały swój dobytek.

- Może jest z tym kolorowym. Widziałeś gdzieś dzisiaj Hindusa Wiktora?

Joe po raz kolejny pokręcił głową, po czym zakrył twarz dłońmi i zaniósł się szlochem.

- Jezus Maria, Józefie święty! Przestań płakać, bo i ja się zaraz rozbeczę, a wtedy będziemy zupełnie bezużyteczni. Uspokój się, Joe, i pomyśl, gdzie ona może się podziewać - powiedziała, dobrze wiedząc, że prośenie Joego o wysiłek umysłowy jest całkiem bezsensowne.

Najpierw poszli na rybacką keję. To było ulubione miejsce Ellen, bo swego czasu często chodziła tam z papą. Potem zeszli ku schodom przy Whitehall, a stamtąd ruszyli przez most Waterloo do Puddle Dock. Zaczęło się już ściemniać, kiedy skręcili ku katedrze westminsterskiej. Tutaj Ellen miała wielu przyjaciół wśród drobnych handlarzy ulicznych. Tego dnia jednak nikt nie widział Elly. Sarę zaczął ogarniać coraz większy lęk, ale ponieważ Joe wyglądał na zrozpaczonego i w każdej chwili był gotów ponownie się rozryczeć - zachowała swoje niepokoje dla siebie.

- Wracajmy do „Białego Jelenia”, Joe. Niewykluczone, że już wróciła. A jeśli nie - może Ruby będzie coś wiedzieć.

Ruby stała za barem i zanosila się chrapliwym śmiechem, bo znowu kręcił się przy niej łapacz królików i zdążyła z nim wychylić kilka szklaneczek dżinu.

- O, Sara i Joe! A gdzie mała?

Sara poczuła ostre ściskanie w dołku.

- Miałam nadzieję, że jest w domu. Joe nie widział jej przez cały dzień. Przypominasz sobie, czy dzisiaj jej gdzieś nie przyuważyłaś?

- Nie powiem, żebym przyuważyła, ale wiesz, jaka ona jest. Przemyka niczym cień, więc jak nie chce, żeby ją kto dostrzegł, to i nie dostrzeże.

- W takim razie ruszam na dalsze poszukiwania. Czy jest jakaś szansa, żeby Joe dostał kawałek placka z mięsem i kufelek piwa, Ruby? Pomagał mi szukać Ellen, a zapewne jeszcze będę go potrzebowała tej nocy. Zaraz wracam, zejdem tylko na dół po jakieś okrycie.

Musiała też schować pieniądze do puszki, bo dzisiaj dostała wypłatę, a tam gdzie zamierzała szukać siostry, można było zostać obrabowanym ze wszystkiego. Gdy weszła do piwnicznej izdebki, zobaczyła łożową świecę, dopalającą się na stole w szklanym pojemniku, i Ellen zwinęta

w kłębek na sienniku leżącym w rogu - pogrążoną w głębokim śnie. Ten widok sprawił, że pod Sarą niespodziewanie ugięły się kolana. Miała ochotę śmiać się i płakać na zmianę, a w końcu zdjęła ją straszna złość - na siebie samą, na Elly, na Świętego Joego, bo przez moment była przekonana, że straciła na zawsze siostrę, a przecież obiecała mamie, że otoczy małą opieką. Poza tym bez Ellen zostałyby już sama na świecie - uświadomiła to sobie, gdy szła wieczorem wzdłuż rzeki i wpatrywała się z lękiem w ciemną wodę, nad którą Elly tak bardzo lubiła się bawić.

Wyjęła obluzowaną cegłę, za którą chowała puszkę z pieniędzmi - teraz już coraz cięższą - i wówczas, jak nigdy do tej pory, zapragnęła, żeby Ellen wreszcie zaczęła naukę w szkole. Naturalnie trzeba będzie jeszcze do tego pomysłu przekonać siostrę, a potem zrobić wszystko, żeby zechciała tam zostać. Sara otworzyła puszkę i przeżyła największy szok w życiu - pośród miedziaków i szylingów leżał błyszczący, złoty suweren.

Brzęk monet musiał obudzić Ellen, bo gdy Sara się odwróciła, zobaczyła siostrę stojącą tuż obok, a było to tak niespodziewane, że aż podskoczyła z przestraszu.

- Do kroćset, Elly, nie skradaj się za moimi plecami! I w ogóle gdzieś ty się dzisiaj podziewała? Czemu się nie spotkałaś ze Świętym Joem, jak ci przykazywałam? Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo się o ciebie martwiłam? Nigdy więcej tego nie rób, słyszysz? Nigdy więcej!

Ellen przygryzała drżącą wargę, a jej drobna, lekko trójkątna twarz była biała jak płótno, pod oczami zaś widniały niebieskawe cienie, przypominające siniaki.

- O co chodzi, Elly? Źle się czujesz?

Ellen pokręciła głową, a wówczas kilka kosmyków jasnych, brudnych włosów zasłoniło jej oczy.

- Tylko się bawiłam. Nie chciałam cię przestraszyć, Saro. Nie gniewaj się.

- Bawiłaś się z Wiktorem?

Ellen się zawahała, jakby rozważała, czy prawda nie wpędzi jej przypadkiem w poważniejsze tarapaty, w końcu jednak skinęła potakująco głową.

- Ja się już nie gniewam, Elly. Po prostu okropnie się o ciebie zamartwiałam.

Sara odsunęła włosy z oczu siostry, po czym przygarnęła ją do siebie i mocno przytuliła. Zaczęła się przy tym zastanawiać, czy od dawna

Ellen była równie blada jak dzisiaj, a ona tego nie zauważyła. Musi teraz zwracać większą uwagę na siostrę - w żadnym razie nie może dopuścić, by mała zapadła na jakąś chorobę!

- Co ty na to, żebym przyprowadziła tutaj Joego i poprosiła, by nam pozwolił poczytać ze swojej książki o dalszych przygodach syrenki?

Twarz Ellen pojaśniała, ale nadal coś z nią nie było w porządku.

- Skąd się wziął w puszcze ten suweren, powiedz?
- Znalazłam go.
- Gdzie?

Wzruszyła ramionami i wbiła wzrok w swoje bose stopy, jakby były najbardziej zajmującym widokiem na świecie, i jednocześnie przebierała palcami po czymś, co miała na szyi.

- Co to jest, Elly?
- Korale. Dostałam od Wiktora.
- A z czego są te korale?
- Z sandałów.
- Z sandałów?
- Z drzewa na sandały.

- Elly, czy Wiktor na pewno się nie zadaje ze złymi ludźmi? I czy ty przypadkiem nie zaczęłaś kraść?

Ellen z powagą pokręciła głową.

- Nie, on jest dobry, Saro. Nie zna Londynu, więc mu trochę pomagam, i nic więcej. To najprawdziwsza prawda.

Kiedy Sara wróciła wraz ze Świętym Joem i plackiem mięsnym, sprezentowanym przez Ruby, radość spotkania niezwyklej pary - małej dziewczynki i wielkoluda - była tak wielka, jakby się nie widzieli co najmniej przez kilka lat, a nie zaledwie kilka godzin. Joe uniósł Ellen nad głowę, a potem zasypał pocałunkami. Kiedy opróżnili kieszenie i pokazali sobie nawzajem nowe skarby - sznurowadła, kawałki ładnie malowanej porcelany oraz puszkę po tytoniu - wszyscy razem zabrali się do placka. Sara zauważyła, że Ellen ledwie skubnęła kawałek i niemal całą swoją porcję oddała Joemu, który sam z łatwością wsunąłby kilka takich placków. Po posiłku Joe wyjął z kieszeni książkę i uroczyście podał Sarze.

- Czy pamiętasz, Elly, na czym skończyliśmy? Bo ja zapomniałam.

Tak naprawdę świetnie pamiętała, bo i ją wciągnęła ta opowiadka, ale chciała, żeby Ellen polubiła książki, bo wówczas łatwiej byłoby ją przekonać do szkoły.



- Mała syrenka szła do morskiej czarownicy po nieśmiertelną duszę. Jakby ją dostała, to księżę mógłby ją pokochać. Co to jest nieśmiertelna dusza, Saro?

- To coś, co dostajemy po śmierci.

- Czy papa też ją dostał?

- Myślę, że tak, chociaż bardzo mi żal aniołów, które muszą się za nim uganiać po całym raju o różnych najdziwniejszych porach.

## XV

Nic nie przebijie dobrego, krwawego morderstwa.

uliczny sprzedawca gazet, 1864

**M**arta Vesper nie czytywała prasy, ale kupowała ją dla pani Korechnya każdego ranka - gdy tylko usłyszała pod domem krzyki małych gaziarzy. A wykrzykiwali tym głośniejsze, im krwawsze opisy zamieszczono w gazetach, bo wtedy więcej się ich sprzedawało. Ostatnio chłopcy wydzierali się na całe gardło, więc Marta, chcąc nie chcąc, dowiedziała się o obu morderstwach. Małomówna, zamknięta w sobie, nigdy się nie wdawała w plotki z mielącymi językiem kramarzami czy złąkionymi sensacji praczkami. Poza tym nie lubiła marnować czasu, no i na pracy też jej nie zbywało. W tej chwili w piecu siedziały dwa drożdżowe placki, a żelazko prawie się rozgrzało na tyle, by zacząć prasowanie. Do wypolerowania została jeszcze połowa sreber, a na dodatek Marta zamierzała upiec na kolację udziec barani w szaławii - bo właśnie to ziele pozwalało oczyścić ciało z ezoterycznej materii. Marta uważała, że dusze zmarłych lgnęły do tych, którzy ich oplakują, i dlatego ludzie pogrążeni w rozpacz nie mogą znaleźć spokoju, póki nie przetrną owej niszczącej więzi. Nigdy jednak nie dyskutowała o tym z panią Korechnya, chociaż Lily zawsze podchodziła do wszystkich problemów z otwartym umysłem.

Na przykład, kiedy się zorientowała, że jej gospodyni wyczuwa obecność zmarłych - innych, jak ich określała sama Marta - była raczej zafascynowana niż zaniepokojona. Marcie nie udało się ukryć swoich

„widzeń”, bo dla niej zjawy z tamtego świata były równie realne jak ludzie żywi. Często więc przemawiała do - jak się komuś mogło wydawać - pustej przestrzeni lub łąjała cień kładący się w rogu pokoju za poprzestawianie drobiazgów w bawialni. Pani Korechnya, komentując zjawiska, które nazywała spirytystycznymi, powiedziała, że jej zastrzeżenia budzi głównie brak „naukowego” wyjaśnienia procesu uwalniania ducha od cielesnej powłoki. Ale dodała od razu, że modne ostatnio zafascynowanie ektoplazmą i seansami mediumistycznymi pozwala kobietom zająć się czymś innym niż domem, a do tego wszystkim pogrążonym w żałobie przynosi ukojenie. A ponieważ i jedno, i drugie było ważną kwestią, nie mogła całkowicie potępiać tej mody.

Stojąc nad żelazkiem, Marta Vesper raz jeszcze powróciła myślami do ostatnich rewelacji prasy, bo coś w tych morderstwach wzbudzało w niej niepokój. Ostatnia ofiara była żydem, ale skoro pierwsza wyznawała anglikanizm, należało wykluczyć zbrodnię z powodów religijnych. Żyd handlował biżuterią oraz kamieniami szlachetnymi i teraz w prasie ta żalosna historia rozrastała się w fantastyczną opowieść o gangach przemycających egzotyczne klejnoty. Właśnie takie bzdury sprawiały, że Marta uważała za marnotrawstwo wydawanie choćby miedziaka na gazetę; nie chciała też zaśmiecać sobie głowy nonsensami wymyślanymi przez pismaków. No bo jeżeli morderca z Hatton Garden pożądał klejnotów, to czemu nie okradł jubilera? Problem w tym, że w związku z owymi morderstwami Martę ogarniało jedno z jej szczególnych przeczuć. A to oznaczało, że cień owych zbrodni czai się gdzieś w pobliżu, co już bardzo jej się nie podobało. „Kolejna śmierć, mroczne zło!” - wykrzykiwali gazeciarze, i wyjątkowo Marta się z nimi zgadzała. Dawno temu się przekonała, że metale i kamienie szlachetne skupiają echa dochodzące ze świata zmarłych. Nigdy nie próbowałaby tego komukolwiek wyjaśnić, bo ludzie o miążkich umysłach - a tacy stanowili przeważającą większość - uznaliby ją za opętaną przez demony. Jednak jeżeli to, co się działo, miało coś wspólnego z klejnotami, skutki mogły się okazać bardzo groźne.

Marta poszła do bawialni, żeby zabrać stamtąd srebrne świeczniki do wypolerowania. Jaka szkoda, że ten pokój stał nieużywany, bo tutaj - jak nigdzie indziej - uwidoczniła się artystyczna dusza pani Korechnya. Ściany pokrywała tapeta z manufaktury Williama Morrisa, przedstawiająca rajska, egzotyczną krainę: pośród drzew obwieszonych złotymi

gruszkami pawie dumnie rozkładały ogony o żywych kolorach. Zasłony w oknach uszyto z szafirowego hinduskiego jedwabiu, przetykanego złotą nicią, a kanapa pochodziła z Pragi i miała nogi w kształcie łap górskich lwów. Przez jej oparcie ze szkarłatnego brokatu przewieszony był szal haftowany wielobarwną nicią. Swego czasu na kanapie leżało mnóstwo oprawnych w skórę notesów oraz kartonów pokrytych szkicami, a w kominku zawsze płonął ogień. Każdego wieczoru ktoś grał na fortepianie i Marta, siedząc z robotką w ręku w kuchni, przy ciepłym piecu, z przyjemnością się wsłuchiwała w dźwięki muzyki. Ale od śmierci pana Franza bawialnią stała zimna i opustoszała.

Tego dnia Lily jak zwykle siedziała we frontowym pokoju na partezie, ale nie tknęła żadnego z notesów, nie otworzyła nawet kałamarza. Coś nie dawało jej spokoju; Marta zauważyła, że wielokrotnie wyglądała, czytała, po czym znowu starannie składała list dostarczony poprzedniego dnia przez hinduskiego służącego lady Cyntii - tego samego, który w zeszłym tygodniu przyniósł wisior z ornamentem utkany z włosów. Marcie Hindus wydał się postacią dość osobliwą, ale godną zaufania.

Kiedy pani Korechnya wyjęła kosmyk z medalionu i zostawiła go u lady Cyntii, w domu zapanował dziwny chłód. Pewnie pan nie pochwaliał tego kroku. Marta miała nadzieję, że po dostarczeniu wisiora zimny powiew przeszłości nie będzie się już snuł po pokojach, ale jak do tej pory nie wyczuła żadnej korzystnej zmiany w powietrzu.

Rozległo się pukanie do frontowych drzwi i Marta odstawiła świeczniki na stolik w holu, po czym poprawiła szpilki przytrzymujące jej białe lniany czepek. Od śmierci pana Korechnya na Waterloo Street nie zjawiali się goście, a więc zapewne to ta mała z wydawnictwa znalazła sobie kolejny pretekst do odwiedzin.

Okazało się jednak, że za drzwiami nie stała Sara, ale jakiś dzentelmen, którego Marta nigdy przedtem nie widziała na oczy.

- Dzień dobry. O ile się nie mylę, to dom pani Korechnya?
- Tak jest, sir. Czyje przybycie mam zaanonsować?
- Detektyw inspektor Lark z Marlborough Street, jeśli łaska.

Inspektor Lark był dzentelmenem o rzucającej się w oczy powierzchowności, chociaż jak zauważyła Marta, jego surdutowi nie zaszkodziłoby kilka pociągnięć żelazkiem, a bokobrodom - brzytwy. Czoło lekko błyszczało mu od potu, a gęste czarne włosy zdawały się wilgotne na

skroniach - ale też popołudnie było wyjątkowo upalne. Poza tym prezentował się nienagannie. Ogólnie rzecz biorąc, inspektor wywarł na Marcie jak najlepsze wrażenie pomimo smagłości cery i ciężkich powiek nad ciemnymi oczami.

- Proszę wejść. Poinformuję panią Korechnya o pańskim przybyciu, sir.

Skinął głową i przestąpił próg. Kiedy Marta odchodziła, stał, pocierając podbródek, jakby nagle zdał sobie sprawę, że przed wizytą u damy powinien wstąpić do golibrody.

Pomimo otwartego na oścież okna w pokoju panowała duchota. Lily siedziała przy biurku w samym gorsecie, sznurowanym z przodu, a jedwabny szal, który na siebie zarzuciła, zsunął się jej z ramion i opadł na podłogę. Przebiegała palcami po wisiorze spoczywającym na piersi i - nieobecna duchem - patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Marta musiała dwa razy powtórzyć, z czym przyszła, zanim Lily zareagowała.

- Jest tu niejaki inspektor Lark z Marlborough Street, proszę pani. Mówi, że chciałby zamienić z panią słowo.

Lily uniosła brwi, a przez jej twarz przebiegł cień.

- Czego może ode mnie chcieć, Marto? Mam nadzieję, że nie przynosi złych wieści?

- Nie umiem powiedzieć. To człowiek o nieprzeniknionej twarzy.

- Może chodzi o jakieś sprawy związane z gazetą, bo o ile mi wiadomo, inspektor Lark często współpracuje z Septimusem Hardingiem... Cóż, chyba się muszę z nim zobaczyć...

- Pani szal, proszę.

Lily nie spostrzegła, że upadł.

- Tak, naturalnie. Dziękuję, Marto.

Kiedy Marta ponownie weszła do holu, inspektor się wpatrywał w Wenus z obrazu, i Marcie się zdawało, że rysy znacznie mu złagodniały, ale kiedy się odwrócił, by podążyć za nią do frontowego pokoju, jego twarz znowu się zdawała kamienną maską.

Tymczasem Lily udrapowała szal tak, że zakrywał jej ramiona oraz gorset, po czym stanęła przy oknie i tam czekała na gościa.

- Witam, inspektorze Lark.

- Dzień dobry, pani Korechnya.

- Czy mogę panu zaproponować mrożoną herbatę? Bo popołudnie jest chyba zbyt upalne na gorące napoje...

- Mrożona herbata będzie doskonała.

Marta skinęła głową i poszła do ogródka po melisę do herbaty. Nigdy nie należała do wścibskich, ale tym razem była bardzo ciekawa, z czym policjant przyszedł do pani Korechnya - wyjątkowo ciekawa.

Kiedy wróciła z dzbankiem zimnego napoju i dwiema kryształowymi szklankami, ustawionymi na tacy z laki, pani Korechnya znowu siedziała, a szal ponownie zsunął jej się z ramion. Zdawała się zupełnie nieświadoma, że jest tylko na wpół ubrana, a na jej twarzy malował się wyraz niedowierzania.

Lark tymczasem zadawał Lily pytania dotyczące biżuterii pani Herbert i widać było, jak bardzo się stara koncentrować na twarzy rozmówcy, żeby nie zbłądzić wzrokiem ku białym ramionom i tasiemkom gorsetu. To, w opinii Marty, potwierdzało jej pierwsze wrażenie - podobna powściągliwość świadczyła niezbicie, że inspektor jest dżentelmenem w każdym calu. Pani Korechnya odpowiadała na jego pytania dokładnie, z namysłem i - jak się Marcie wydawało - z pewną ostrożnością.

Przyznała, że została poproszona o skatalogowanie biżuterii należącej do lady Cyntii, ale - jak podkreśliła - jeszcze nie skończyła tej pracy, więc nie umiałaby stwierdzić, czy cokolwiek zginęło, nawet gdyby ponownie przejrzała całą kolekcję.

- To niewykonalne, inspektorze, ponieważ te klejnoty nie pomieściłyby się w żadnej kasetce i są przechowywane w małym, oddzielnym pokoju.

Lark skinął z powagą głową, a potem zapytał, czy Lily nie zauważyła jakiegось biżuterii o typowo hinduskim wzorze i o wyjątkowej wartości - materialnej czy też innej. Pani Korechnya odparła na to, że wszystkie klejnoty lady Cyntii są wyjątkowe, ale żaden się nie wyróżnia w jakiś szczególny sposób. Marta zauważyła jednak, że zanim wypowiedziała te słowa, wyraźnie się zawahała - co nie uszło także uwagi inspektora.

- Pani Korechnya, to, o czym chciałbym z panią pomówić, jest sprawą wyjątkowej wagi i bardzo poufną.

Nie musiał mówić nic więcej, by Marta zrozumiała, że w ten sposób została poproszona o opuszczenie pokoju. Odwróciła się szybko na pięcie.

- Nie, Marto. Poczekaj. Inspektorze Lark, wolałabym, żeby moja gospodyni została przy tej rozmowie. Zapewniam, że nie znajdzie pan drugiej osoby równie jak ona uczciwej i dyskretnej.

W tym momencie Marta Vesper poczuła, jak po sercu rozlewa jej się fala ciepła. Ona oczywiście wiedziała, że to prawda - nigdy nie dawała ucha plotkom ani ich nie roznosiła, ale gdy usłyszała o tym z ust swojej chlebobawczyni, poczuła się bardzo dumna.

- W porządku - zgodził się inspektor i wyjął z kieszeni rulonik pergaminu.

Lily spojrzała na Martę, ich oczy się spotkały, i wówczas Marta się zorientowała, że jej chlebobawczyni tylko na zewnątrz wydaje się spokojna, lecz w rzeczywistości jest wytrącona z równowagi. Zaczęła się zastanawiać, jakie to wstrząsające wiadomości przekazała pani Korechnya Lark, podczas gdy ona szykowała herbatę, a jednocześnie nieznacznym gestem wskazała, że szal znowu zsunął się z ramion. Lily go poprawiła płynnym, naturalnym gestem.

Marta postąpiła krok do przodu, żeby zobaczyć, co jest napisane na arkusiku pergaminu. Liter było niewiele, i to w nieznanym jej alfabecie, ale oprócz nich widniał tam piękny rysunek, wyobrażający jakiś medalion. Klejnot zdobiło dziewięć kamieni - każdy w innym kolorze; osiem z nich tworzyło okrąg, w którego środku znajdował się kamień dziewiąty, narysowany tak, że zdawał się bardziej świetlisty od pozostałych. Na ten widok Lily wstrzymała oddech.

- Poznaje pani ten wzór? - Lark nie spuszczał z niej wzroku.

- Tak.

- Czy widziała pani podobny klejnot wśród okazów należących do kolekcji pani Herbert?

Lily westchnęła cicho.

- Owszem, inspektorze. Widziałam. Poproszono mnie jednak, żebym zachowała jego istnienie w tajemnicy... O ile dobrze zrozumiałam, wszystkie te kamienie są diamentami i stanowią własność maharadży Benaresu.

Lark w zamyśleniu skinął głową.

- Mamy dowody, że ów klejnot wykonał na zamówienie pani Herbert niejaki Joshua Finkelstein, jubiler niedawno zamordowany na Hatton Garden...

Lily zbladła.

- Naprawdę?

- Co więcej, medalionu nie ma teraz w kolekcji.

Marta całkiem się pogubiła. Czemu ten policjant przeprowadził inspekcję biżuterii lady Cyntii? Chyba nie podejrzewał, że ktoś taki jak

ona jest zamieszany w morderstwa! Oczy inspektora powędrowały tymczasem w stronę dekoltu Lily, i Marta pomyślała, że może jednak oceniła go zbyt wysoko, gdy powiedział:

- Wisior, który ma pani na szyi... nie sposób go nie zauważyć. To bardzo unikatowy wzór, prawda?

- Rzeczywiście.

- Przypuszczam, że drugiego takiego nie udałoby się znaleźć?

- Prawdę mówiąc, dostałam go w prezencie od lady Cyntii. Kazała go wykonać na specjalne zamówienie... - Lily gwałtownie chwyciła za wisior, jakby nagle uderzyła ją jakaś wyjątkowo przykra myśl.

- W pracowni Finkelsteina znaleźliśmy dwa rysunki, bez wątpienia wykonane tą samą ręką; pierwszy ma pani przed sobą, drugi przedstawiał pani wisior. Czy przypomina sobie pani, którego dokładnie dnia znalazł się on w pani posiadaniu?

- Tak. W ubiegły poniedziałek.

- Czy odebrała go pani osobiście?

- Nie, przyniósł mi go służący lady Herbert.

- Ach tak. - Lark nieznacznie skinął głową. - Cóż, przykro mi, że zakłóciłem pani spokój, i proszę o wybaczenie za to najście. Zdaję sobie sprawę, że przeszkodziłem pani w pracy, i tym bardziej jestem wdzięczny za poświęcony mi czas.

Inspektor, wciąż z nieodgadnionym wyrazem twarzy, skłonił się Lily szarmancko i ruszył ku drzwiom. Marta pośpieszyła za nim, ale wcześniej zerknęła na panią Korechnya i z niepokojem zauważyła, że chlebowdawczyni śmiertelnie pobałła.

Kiedy odprowadzała inspektora do wyjścia, przyszło jej do głowy, że on pewnie podejrzewa o zabójstwo tego Hindusa, który przyniósł wisior. To by wyjaśniało zainteresowanie detektywa kolekcją pani Herbert. Marta zauważyła, że wyglądał na wyczerpanego, jakby brzemień związane z jego pracą ciążyło mu na duszy. Już jakiś czas temu wyczuła w nim pokłady wrażliwości, co było rzadkie u mężczyzn, a niemal niespotykane u policjantów. Zastanawiała się też, czy to możliwe, że tak bardzo się pomyliła w ocenie hinduskiego służącego - bo pomimo osobliwego wyglądu uznała go za człowieka honoru.

Tymczasem we frontowym pokoju Lily stała w oknie nieruchoma niczym statua z kości słoniowej i spoglądała za odchodzącym Larkiem. Odwróciła się w stronę gospodyni, gdy ta przekroczyła próg, i wówczas

Marta spostrzegła, że jej pani zdjęła z szyi wisior i zaciskała go w dłoni.

- Czy mogę go obejrzeć, proszę pani?

Lily rozluźniła palce i wisior spadł wprost na rękę Marty. Był masywny, ciężki i wyglądał jak duży okrągły medalion bez zamykanego wieczka. W środku znajdowała się mniejsza od całości, także okrągła, płytka z gagatu, w którą był wtopiony wianek z lili (misternie splecionych z włosów), okalający samotny, równie misterny kwiat. Ledwo Marta dotknęła klejnotu, a przeszył ją lodowaty dreszcz. Nagle pokój się pogrożył w mroku, jakby słońce zasłoniła gęsta, czarna chmura, chociaż za oknem Ulica wciąż była skąpana w blasku. Cienie, które nagle zaludniły dom, czyniły tyle zgiełku, że Marta tylko ostatnim wysiłkiem woli się powstrzymywała, by krzykiem nie nakazać im milczenia. W tym gwarze nie mogła się skupić.

- Marto? Czy stało się coś złego?

- Nie powinna pani tego nosić, proszę pani.

- Ależ Marto! Dajmy spokój przesądom. Lady Cyntia nie powiedziała mi, że to jej jubiler został zamordowany na Hatton Garden, ale ostatecznie trudno jej się dziwić...

- Naturalnie. Nie chciała pani niepokoić. Jednak ciągle nie rozumiem, dlaczego inspektor Lark nie zadał tych wszystkich pytań lady Cyntii, a pani zawracał nimi głowę.

- Bo ona nie żyje, Marto. Umarła zeszłej nocy. Prawdopodobnie zginęła z własnej ręki, bo wzięła niezwykle dużą dawkę laudanum. Co oznacza, że list, który mi dostarczono, napisała na krótko przed śmiercią.

## XVI

Kensington, 3 sierpnia 1864

Franz, mój najdroższy,

Letnie przesilenie dawno za nami, więc dni powoli bledną, a cienie w zarośniętym ogrodzie w Kensington wydłużają się coraz wcześniej. To jak swoista metafora mojej egzystencji. Wspomnienia też stają się



bledsze, a etap, który dane było nam przemierzyć wspólnie - zdaje się wydłużać. Coraz częściej nie mogę się oprzeć wrażeniu, że całe moje życie się zamknęło w tych dwóch latach, spędzonych u Twojego boku. Serdeczni ludzie, którzy starają się wczuć w cierpienie osób dotkniętych osobistą stratą, mawiają, że z czasem rana się zabliznia i w końcu świat znowu się wydaje pełen nowych możliwości i wyzwń - niczym biała mapa nieznanego lądu. Przyznaję, że powoli się oswajam z Twoją nieobecnością, wciąż jednak nie jestem w stanie myśleć o przyszłości bez Ciebie.

Od czasu ostatniego listu w moim niegdyś spokojnym życiu zaszło wiele dziwnych wydarzeń. Śmierć Cyntii Herbert w zeszłym tygodniu i list, który napisała tuż przed zgonem, skłoniły mnie do podjęcia ważnej decyzji. Wiem, że kto jak kto, ale Ty ją zaakceptujesz. Pani Herbert zasugerowała, żebym w towarzystwie jej służącego, Gowindy, pojechała do Indii i zabrała ze sobą Twoje płótna. Opowiedziałam jej, jak bardzo pragnęłam odwiedzić Indie, Franz, i jak utrzymywałam, że ja też pokocham ten kraj, pomimo moskitów, nieznośnego upału i braku splukiwanych toalet! Z początku zdecydowanie odrzuciłam propozycję, ale potem coraz częściej zaczęłam rozważać możliwość wyprawy do krainy, gdzie wszystko jest nowe i nieznanne - żar słońca, aromaty kwiatów czy kolory nieba o różnych porach dnia. Zastanawiałam się też, co będę odczuwać, gdy się znajdę z dala od domu oraz ludzi i pejzaży, które nieustannie mi Ciebie przypominają.

Tak więc zdecydowałam się płynąć do Bombaju, a stamtąd jechać koleją do Benaresu, gdy tylko w północnych Indiach skończy się pora deszczowa. Lady Cyntia poinformowała mnie, że wysłała list w mojej sprawie do maharadży, a więc od dawna szykowałam grunt dla tej podróży. Jednak na mojej decyzji ostatecznie zaważyło pewne przekonanie, żywione przez Hindusów, a mianowicie że Benares jest takim miastem, za jakie uważałam Pragę - swoistą bramą, dzielącą ogrody zamieszkałe przez bogów i dusze zmarłych, od świata zamieszkiwanego przez śmiertelnych. Czy pamiętasz, jak obiecywaliśmy sobie, że gdyby los nas kiedykolwiek rozłączył, spotkamy się w takim świętym miejscu? Gdybyż tylko mogło się to ziścić.

Tutaj, w Twojej pracowni, znajduję ukojenie, bo przecież właśnie w tym miejscu, poprzez swoje malarstwo, odślaniałeś serce i duszę. Do

dziś natomiast nie jestem w stanie wejść do naszej wspólnej sypialni na Waterloo Street, wielkim kołem omijam też bawialnię. Za to pani Vesper właśnie w owych pomieszczeniach najczęściej wygłasza swoje tyrady, więc gdybym wierzyła w gusła, powiedziałabym, że zjawy najchętniej biorą we władanie miejsca, do których ludzie boją się wkroczyć.

Jest już późne popołudnie i muszę się zbierać do powrotu. Przyjdę tu jeszcze tylko jeden raz, żeby pozamykać dom. Będzie mi go bardzo brakować, ale żaden z Twoich kolegów nie chce już z niego korzystać, bo uważają, że jest zbyt zaniedbany i zimny. Gdyby należał do mnie, zatroszczyłabym się o ogród i zawiesiła huśtawkę pod magnolią. Wyreperowałabym mury, żeby zlikwidować szpary, którymi ciągną wilgoć i chłód, ale obecny właściciel nie jest zainteresowany zachowaniem tego starego domu dla potomności, więc pozwoli mu popaść w kompletną ruinę.

Już za miesiąc w Benaresie kończy się pora deszczowa, a przede mną jeszcze wiele przygotowań.

Póki mam ter, wisior na szyi, będziesz u mego boku, nawet gdy już przestanę odwiedzać to miejsce, w którym znajdowałam ukojenie od czasu, gdy zostaliśmy rozdzieleni.

Twoja na zawsze

Lily

## XVII

**D**iabelski Kwartał - to właśnie tam Wikram po raz pierwszy się zetknął z odrażającymi trzewiami Londynu. Teraz, gdy szedł nabrzeżem w stronę Westminsteru, zdał sobie sprawę, że w tym labiryncie tanich czynszówek, ruder, obskurnych tawern i burdeli orientuje się niemal tak dobrze, jak w plątaninie uliczek Benaresu. Po kilku tygodniach od zejścia z pokładu „Lakszmi” pierwszy szok już przeminął, chociaż z początku nie mógł uwierzyć, że czysti, nienagannie ubrani Brytyjczycy, których spotykał, gdy służył w pałacu maharadży, stanowią jedynie drobny ułamek mieszkańców tego miasta. Co więcej, z tak niewyobrażalną biedą i występkami, jakie kwitną w Londynie, w jego kraju można

się było zetknąć jedynie w najpodlejszych slumsach portowego Bombaju - no, może jeszcze Kalkuty.

W tym sezonie maharadża nie zjechał do Londynu, bo Saraswati, jego nowa faworyta, była prostą, wiejską dziewczyną, której żadną miarą nie mógłby przedstawić w pałacu Buckingham. Choć szczerze mówiąc, Wikram zupełnie nie pojmował, czemu Brytyjczycy z tak wielką estymą podchodzili do swojej monarchini - przysadzistej, brzydkiej kobiety, noszącej się zawsze na czarno. Doszły go tutaj słuchy, że zamierza zostać cesarżową jego kraju. Cóż za oburzający, a jednocześnie absurdalny pomysł! O ile Wikramowi było wiadomo, królowa Wiktoria nigdy nie odwiedziła Indii, i miał tylko nadzieję, że jeżeli kiedyś to zrobi, włoży na siebie coś żywszego od czerni. Może wówczas wywarłaby choć odrobinę korzystniejszy wrażeń.

Bardzo mu tutaj brakowało kolorów jego kraju - jaskrawych sari kobiet i mieniących się wieloma barwami słynnych jedwabi z Benaresu. Ale najbardziej tęsknił do koloru żółtego, bo właśnie na żółto zawsze się ubierała Saraswati. Od kiedy awansowała z tancerki na konkubinę, przestała zwracać na niego uwagę - a właściwie to nawet patrzyła z pogardą, bo mimo że był członkiem specjalnej gwardii maharadży, to i tak, gdy chodzi o status, dzieliła ich przepaść. Ale z pewnością dziewczyna spojrzy na niego dużo łaskawszym okiem, kiedy się dowie, że Wikram stał się wojownikiem bogini Kali. Bo przecież to właśnie Saraswati zawsze powtarzała, że nigdy nie wolno zaniedbywać składania ofiar czarnej bogini.

W tych ponurych dniach w Londynie często sobie przypominał reakcję Saraswati, gdy odkryła, że czerwonego diamentu nie ma już w pałacowym skarbcu. Zwróciła się wówczas do niego. Do niego! Jego poprosiła, żeby odzyskał dla niej kamień. To z pewnością musiało coś znaczyć!

Kiedy trafiła do zezany, kobiecej części pałacu, Saraswati nie mówiła o niczym innym, tylko o czerwonym klejnocie. Nic więc dziwnego, że usłyszał o nim i maharadża (co, jak podejrzewał Wikram, było od początku jej zamiarem), bo gadatliwość kobiet jest niezmiernie - w szczególności kobiet żyjących w haremie, które nie mają nic lepszego do roboty. Gdy już ustalono, że Saraswati nie kłamie - że kapłan z wioski rzeczywiście ukrył przed maharadżą czerwony diament - rozpętało się

istne piekło. Wikram dobrze wiedział, czemu kapłan tak postąpił - obawiał się, że gdy już maharadża będzie miał dziewięć diamentów o określonych barwach, zrobi z nich amulet zwany nawaratną. Ta obsesja władcy była powszechnie znana, od dawna bowiem poruszał niebo i ziemię, żeby zgromadzić potrzebne mu diamenty. Tymczasem nawaratny pod żadnym pozorem nie wolno sporządzać z samych diamentów, ponieważ - według boskiego porządku - na amulet musi się składać dziewięć kamieni różnego rodzaju, z których tylko jeden mógł być diamentem, i to koniecznie białym. Nic dziwnego, że żaden złotnik w Indiach nie chciał się podjąć wykonania podobnego klejnotu.

Maharadża nie zamierzał tolerować najdrobniejszej nielejalności poddanych, dlatego wysłał do wioski kilku gwardzistów, żeby odzyskali kamień i rozprawili się z kapłanem. Wikram był jednym ze zbrojnych, widział więc na własne oczy, jak kapłan podszedł do miejsca, w którym ukrywał diament, i wyjął klejnot drżącymi rękami (bo dobrze wiedział, że czeka go straszna śmierć). Ale dopiero kiedy Wikram powiedział Saraswati, gdzie dokładnie był schowany czerwony kamień, zaczęły ją nachodzić dziwaczne rojenia.

Naturalnie Gowinda od razu rozpoznał go na statku, ale nie miało to większego znaczenia, ponieważ wszyscy w pałacu wiedzieli, że Wikram należał do kurierów maharadży i woził opium do Londynu, gdzie istniał duży popyt na odurzające substancje. W istocie jedną z najlepszych klientek Wikrama była lady Herbert - do czasu, aż przesadziła z dawką. To się zdarzało dość często, szczególnie w wypadku osób, które zażywały opium po to, by uśmierzyć ból - czy to ciała, czy duszy.

Wikram westchnął i pokręcił głową. Dochodził już do Diabelskiego Kwartалу, więc pilniej zaczął lustrować brzeg rzeki, wypatrując małej Ellen. Poznali się przypadkiem - stała obok tego półgłówka, Świętego Joego, gdy Wikram zabłądził w labiryncie uliczek i zapytał tamtego, jak trafić na Strand Lane. Ellen natychmiast zaproponowała, że go tam zaprowadzi, a po drodze zasypała pytaniami. Kiedy powiedział, że przypląnął tu statkiem, ucieszyła się, bo także przybyła morzem do Londynu, a potem chciała usłyszeć jak najwięcej o jego kraju. W jej błękitnych oczach zapaliły się żywe ogniki, kiedy opisywał jej pałace stojące nad brzegiem Gangesu i szerokie stopnie, wiodące do świętej rzeki, gdzie na stosach palono zmarłych, bo w Indiach ludzi nie grzebie się w ziemi.

Wikrama zdumiewała odwaga tej małej; nie mógł się też nadziwić, że od razu go zaakceptowała, bo przez większość londyńczyków był traktowany jak powietrze - ciemna skóra sprawiała, że nie widzieli w nim człowieka. Wikram szybko się zorientował, że Ellen może mu się bardzo przydać. Roznoszenie opium zajmowało trzy razy tyle czasu, ile powinno, ponieważ Wikram wciąż się gubił w Londynie. Z Ellen w roli przewodniczki wszystko udałoby się mu załatwić dużo sprawniej. Opowiadał więc o pałacach (które ona nazywała zamkami) i o słodkowodnych delfinach, pływających w Gangesie, przez co w jej oczach stawał się kimś wyjątkowym. I po niedługim czasie sama się już garnęła do pomocy.

Chociaż wiele rzeczy w Londynie fascynowało Wikrama, powoli brzydli mu Brytyjczycy, którzy najwyraźniej nie mieli szacunku dla żadnych świętości. Wystarczyło, że się rozejrzył wokół - po tym największym, najbogatszym mieście Europy - i od razu to dostrzegął. W Londynie znajdowało się dużo więcej złota, niż kiedykolwiek zgromadzono w Konstantynopolu czy też w Delhi za czasów imperium Mogołów. Tutaj jednak zamieniano je w groteskowe, huczące fabryki lub maszyny plujące czarnym, śmierdzącym dymem, a nie w złote posągi, roziskrzone kopuły pałaców lub też aleje wykładane marmurem.

Sami Brytyjczycy także wyglądali szaro i ponuro. Mężczyźni nie nosili żadnych ozdób, jeśli nie liczyć złotego zegarka i jakiegoś drobnego klejnotu w spinkach do koszuli. W Indiach cenne kamienie nie służyły jedynie do ozdoby, ale przede wszystkim symbolizowały bogów, i Wikrama ogarniało przygnębienie, gdy widział jawny brak poszanowania dla skarbów jego kraju - często uchodzących tutaj jedynie za modne błyskotki. Być może miało to coś wspólnego z dziwną chrześcijańską wiarą; samotny bóg Brytyjczyków z pewnością nie był równie nieprzejednany i wszechmocny jak goście pałacu tysiácookiego Indry, więc pozwalał, by szargano świętości.

Diamenty do tej pory wciąż mu się wymykały z rąk. Okazało się, że urzędnik portowy jednak ich nie skonfiskował, bo nie znajdowały się w jego kantorze - nie miał ich także przy sobie. U jubilera również ich nie było - jedyne, co leżało w pracowni, to osobliwa sztuka biżuterii, zdobiona małymi białymi kwiatkami, utkanymi z włosów. Niemniej obaj mężczyźni musieli umrzeć. Nie można zostawiać przy życiu ludzi, którzy się dowiedzieli o istnieniu czerwonego diamentu; ten kamień mógł

zaszczepić w nich dziwne pragnienia - na przykład chęć przywłaszczenia sobie klejnotu. Istniało również niebezpieczeństwo, że zrobiliby się nazyt gadatliwi. Dla Wikrama te zabójstwa były także swoistą wprawką, bo zabijanie bez zostawiania na ciele śladów to sztuka, którą niewielu zdołało opanować. Nie spodziewał się natomiast, że wokół tej sprawy zrobi się tak wielki szum - w Indiach śmierć bardzo rzadko wzbudzała czyjeś zainteresowanie.

Wikram sypiał w stajniach londyńskiej rezydencji maharadży Benaresu, położonej w sąsiedztwie Hyde Parku. Wiekowy, majestatyczny dom stanowił doskonale tło dla bogactwa i przepychu, gwarantujących maharadży i jego żonom należny mu szacunek. Brytyjczycy mieli tylko po jednej żonie, ale też w Indiach można było o wiele prościej kupić kobietę - bez konieczności posuwania się do subtelnych, wytrwałych zabiegów, do jakich musieli się odwoływać Anglicy, gdy nabywali żonę.

Wikram nie miał najlepszego zdania o ludziach, którzy w obecnym sezonie zatrzymali się w rezydencji maharadży. Młody książę Dżodpuru i nabab Bahawalpuru\* całymi dniami grali w karty lub w polo i na wyszukane sposoby zabawiali rozmaite hrabiny i baronowe. Ich jedynym zadaniem było podtrzymywanie reputacji hinduskich książąt jako egzotycznych bogaczy, z którymi angielska arystokracja nie może się równać majątkiem. I nieważne, czy tak było naprawdę - ktoś, kto nie miał białej skóry i nie wyznawał wiary chrześcijańskiej, musiał się ostentacyjnie obnosić z fortuną, a jednocześnie wykazywać wyrafinowaniem, bo tylko wtedy zyskiwał akceptację londyńskiej socjety.

\* Obecnie Pakistan. Należy pamiętać, że do 1947 roku terytorium dzisiejszego Pakistanu stanowiło integralną część Indii (przyp. tłum.).

Ileokroć Wikram szedł błotnistą drogą wzdłuż Tamizy, znad której się unosił odór gnijących szczątków i nieczystości, tęsknił do świętych wód Gangesu i bujnych ogrodów, wznoszących się ponad jego brzegami. Marzył o paprociach, kwitnących drzewkach pomarańczowych, błyszczących kopałach stup i maleńkich hinduskich świątyniach ogrodowych, gdzie wierni modlili się do bogów i znosili im dary.

Miasto Benares stało w miejscu narodzin świata. Tutaj też zamieszkiwali wszyscy bogowie poza Jamą, panem śmierci - jedynym, który nie miał prawa przestąpić świętych bram miasta. Wikram wyobrażał sobie, jak wraca do Benaresu z czerwonym diamentem i dzięki temu zdobywa

miłość Saraswati. W głębi serca jednak wiedział, że ona nigdy nie opuści pałacu, ponieważ uważała się już teraz za prawdziwą księżniczkę. Bo też trzeba przyznać, że maharadża obsypał ją klejnotami, podarował stroje tkane ze szczerozłotej nici, a karmił słodkim chlebkiem z ararutowej mączki i łakociami ociekającymi syropem różanym.

Wikram miał nadzieję, że odnajdzie Ellen nad rzeką i wręczy jej drugiego suwerena, tak jak uzgodnili. Nie było jej jednak na nabrzeżu ani na schodach przy Whitehall, gdzie się zazwyczaj spotykali. Pewnie pobiegła gdzieś z bandą urwisów, którzy zazwyczaj się kręcili przy brzegu Tamizy - i teraz próbowali schwytać kilka gołębi na kolację lub szykowali jakąś psotę. Wikram często zapominał, że Ellen jest tylko małym dzieckiem, ponieważ zazwyczaj się zachowywała jak dorosła.

Zapadał mrok, a Diabelski Kwartał w zasadzie już spowijały ciemności, bo do gęsto zabudowanych, wąskich uliczek po zachodniej stronie katedry westminsterskiej i za dnia docierało niewiele światła. Poniżej, bliżej rzeki, zaczynały się slumsy - byle jak sklecone rudery, zachodzące jedna na drugą, poprzecinane gdzieniegdzie zatrważająco wąskimi ścieżkami, zawsze zasypianymi śmierzdzącymi szmatami, gnijącymi resztkami i ekskrementami.

Wikram nigdy nie wchodził do „Białego Jelenia”, ponieważ właścicielka tawerny należała do osób, które traktowały go jak powietrze. Siostra Ellen też dziwnie na niego spoglądała - ale nie dlatego, że się go bała czy nim pogardzała - raczej podejrzewała go o jakieś nieczne zamiały. Zawsze starał się być dla niej wyjątkowo miły, ale to była bystra dziewczyna - przynajmniej tak bystra jak Ellen - i Wikram wyraźnie widział, że nie ma do niego zaufania.

Najroztropniej więc postąpi, jak pójdzie do noclegowni Świętego Joego, bo ten wiecznie uśmiechnięty wielkolud mówił mu zawsze wszystko, czego on się chciał dowiedzieć. Joe już udzielił Wikramowi cennej informacji; dzięki niej on sprzedawał większość swoich paciorków z sandałowego drewna kupcom, którzy nie pytali o cła i podatki. Może nawet spotka Ellen u Joego, chociaż za bardzo nie mógł na to liczyć, bo już się zrobiło późno, a jej nie wolno było przebywać poza domem po zmierzchu. Niewykluczone też, że się chowała w jakimś zakamarku, co jej się czasami zdarzało, i lada chwila wychyli się z mroku, by go zaskoczyć. Miał jednak nadzieję, że dzisiaj tak nie zrobi, bo i bez tego czuł się

nieswojo. Nie lubił uliczek prowadzących do noclegowni - należały do najniebezpieczniejszych w Diabelskim Kwartale, a zbliżała się pora, gdy przyczajali się tu osobnicy najbardziej zdeprawowani i przebiegli. Nie znaczy to, że Wikram czuł przed nimi szczególny respekt. Ostatecznie szkolono go do walki wręcz, a poza tym był o wiele zwinniejszy od szumowin z londyńskiego półświatka. Nigdy też nie pił ani nie tykał opium, bo jedno i drugie zaćmiewało umysł i osłabiało ciało.

Kiedy za plecami wyczuł czyjąś obecność i ujrzał podejrzaną cień, rzucany przez stojącą w pobliskim oknie latarnię, wydawało mu się, że jest przygotowany na atak. Ale w chwili gdy mocne ramię zacisnęło mu się na szyi, potężny cios między oczy zwałił go z nóg.

Wikram był bardziej zdziwiony niż zdjęty strachem - i do tego całkowicie dezorientowany. Jednak nie z powodu bólu sprawiającego, że własny mózg mu się wydawał rozłupanym kokosem, z którego wszystkie pragnienia i nadzieje wyciekały na niebrukowaną uliczkę - tylko dlatego że akurat on nigdy nie powinien się stać ofiarą podobnej napaści.

Chociaż było już niemal ciemno, Wikram wyraźnie widział najdrobniejszy kamyk, tkwiący w ziemi, w którą zarył twarzą - dobiegał go też jej wilgotny, lekko błotnisty zapach. Wiedział, że wkrótce zdoła unieść głowę, ale jeszcze nie teraz, dopiero za chwilę, gdy ból trochę ustąpi i odejdzie go słabość. Poza tym zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy kręcił się mały, wychudzony szczur, którego nie powinien spuszczać z oka, bo szczury nie należały do wybrednych smakoszy, więc gdyby akurat doskwierał im głód, nie pogardziłyby na przykład rękawem koszuli, jeżeli tylko jej właściciel tkwiłby w bezruchu na tyle długo, by uznały, że nie stanowi zagrożenia. Ale jak na razie szczur nie interesował się Wikramem, bo właśnie znalazł apetyczny kawałek chrupkiego warzywa, w który ochoczo wbił ostre zęby.

Szybko jednak chuderlawy gryzoń pochłonął smakołyk i akurat w chwili, gdy doszedł do wniosku, że ten nieruchomy człowiek może się jednak okazać smakowitym kąskiem, nieznany napastnik raz jeszcze natarł na Wikrama, wyciskając powietrze z jego płuc z taką siłą, jakby próbował rozniecić miechami ogień. Wikram ponownie się zdziwił, bo w tym ataku było coś osobliwie znajomego, i gdy tylko w pełni to sobie uświadomił, zrozumiał, że umiera lub że wręcz jest już martwy. Nie



przejmował się jednak, bo dzięki temu wkrótce zostanie najprawdziwszym wojownikiem bogini Kali, odnoszącym wielkie zwycięstwa na polach bitewnych, rozciągających się nieopodal pałacu Indry. I kiedy ziemskie marzenia Wikrama zaczęły się obracać w pył, traciły blask świetności i mieszały się z kurzem uliczki, miał tylko nadzieję, że Saraswati się dowie, jak bardzo się starał...

## XVIII

Sara przestała się czuć bezpiecznie w mrocznych uliczkach Diabelskiego Kwartалу, gdy usłyszała, że jakiś kolorowy został ukatrupiony zaledwie o rzut kamieniem od „Białego Jelenia”. Jeżeli dochodziło do mordów w innych okolicach, nie przejmowała się tak bardzo, bo zawsze sobie wmawiała, że najgorsi złoczyńcy czają się tylko w miejscach położonych daleko od domu. Ale teraz sprawy się przedstawiały zgoła inaczej.

Sara dowiedziała się o tym zabójstwie, zanim jeszcze trafiło na pierwsze strony gazet, ponieważ przez cały wczorajszy dzień inspektor Lark siedział u Septimusa Hardinga i wymógł na wydawcy obietnicę, że Melville nie usłyszy o trzecim morderstwie do czasu, aż policja przedstawi swoją wersję wydarzeń.

Dziś był wtorek, a więc minęły dwa dni, od kiedy w jednej z uliczek znaleziono tego kolorowego ze zmiażdżoną krtanią, leżącego twarzą ku ziemi. Miał na czole taki sam siniak jak dwie poprzednie ofiary (choć tym razem nie tak dokładnie umiejscowiony pomiędzy oczami), więc uznano, że załatwił go ten sam sprawca. Sara się dowiedziała tego wszystkiego, gdy - zamiast siedzieć w zecerni i składać reklamę balsamu, eliksiru czy też toniku, sama już nie pamiętała czego - tkwiła pod drzwiami pana Hardinga z uchem przyciśniętym do dziurki od klucza. Policja znalazła także broń złoczyńcy, Sara nie zdołała jednak usłyszeć, co to było, i teraz ciekawość nie dawała jej spokoju.

Owego późnoletniego poranka na Strandzie już panował ruch, bo dla pokojówek, domokrażnych rzemieślników i żebraków dni się zaczynały bladym świtem. Mali gacziarze nie obwieszczali krzykiem nowego

morderstwa i Sara poczuła ulgę, bo w takim razie zecerzy nie będą się mieli czym ekscytować od samego rana. Szczerze nienawidziła, kiedy się zabierali do roztrząsania kolejnej sensacji.

Lubiła natomiast te chwile spokoju w drodze do i z pracy, kiedy mogła wszystko starannie rozważyć. Ostatnio głównie myślała o tym, że Ellen w przyszłym tygodniu zacznie chodzić do szkoły i będzie przebywała w towarzystwie rówieśników, z dala od Świętego Joego i jego ułomnej opieki. Pani Korechnya powiedziała, że szkołę dla biednych dzieci z okolic Westminsteru założyła Barbara Boudichon - kobieta najbardziej wyszydzana przez mężczyzn piszących do prasy, a także drukarzy. Sara natomiast była zadowolona z takiego obrotu sprawy, ponieważ w jej mniemaniu osoby pokroju Barbary Boudichon chciały, żeby dziewczynki otrzymywały identyczne wykształcenie z chłopcami. Sara sama chętnie poszłaby do szkoły, w której dziewczęta się dowiadywały, czemu pociągi parowe pędzą z tak wielką szybkością, i poznawały zawilności teorii (farmazonów, jak to określał papa) pana Darwina - ale teraz musiała zarabiać na chleb. Mimo to uważała, że ma sporo szczęścia, bo wiele się mogła nauczyć, pracując w gazecie, no i przede wszystkim od pani Korechnya.

Za szkołę Ellen będzie musiała płacić pensa tygodniowo, ale miała na to dość pieniędzy w puszcze, nawet po tym, jak kupiła siostrze nowe, błyszczące buty, ostry ołówek i kajet, w którym Elly będzie zapisywać litery i rachunkowe słupki. Szkoła w Westminsterze przyjmowała wszystkie dzieci, które stać było na zapłacenie pensa raz w tygodniu, a pani Korechnya powiedziała, że utrzymanie placówki kosztuje co najmniej dwa razy tyle, lecz brakującą kwotę pokrywa pani Boudichon z własnej kieszeni.

Sara nie widziała się z panią Korechnya od jakiegoś czasu, ponieważ pan Harding wziął sobie do serca radę gospodyni i nie posyłał „panu Evansowi” tak wielu listów jak uprzednio. To jednak - wbrew nadziejom pani Vesper - nie zmobilizowało Lily do częstszych odwiedzin w biurach „Merkurjusza Londyńskiego” i nawiązywania towarzyskich kontaktów z kolegami po piórze. Sara kilka razy zapukała do szmaragdowozielonych drzwi, gdy pan Harding kazał jej coś załatwić na drugim brzegu rzeki - w Battersea lub u kramarza handlującego książkami i prasą na stacji Waterloo. Wówczas pani Vesper częstowała ją słodko-cierpką lemoniadą, a pani Korechnya witała serdecznie i wymieniała z Sarą

poglądy, jednak za każdym razem sprawiała takie wrażenie, jakby usiłowała dojrzeć coś majaczącego w wielkiej oddali. Sara tłumaczyła sobie, że zachowanie Lily wiąże się w jakiś sposób z rocznicą ślubu, chociaż ta minęła już dosyć dawno temu.

Jutro raz jeszcze miały się razem wybrać do Kensington. Niestety, pani Korechnya powiedziała, że będzie to wizyta ostatnia, co szczerze zasmuciło Sarę. Polubiła tę cichą okolicę, ogród, gdzie wśród drzew śpiewały ptaki, a przede wszystkim stary dom, w którym każdy pokój był wielki i wysoki, a do tego miał kominek. W domu znajdowała się także piwnica oraz najprawdopodobniej strych - Sara była tego niemal pewna, chociaż nie miała okazji spenetrować wszystkich pomieszczeń. Osobiście uważała, że strychy to coś wspaniałego, mimo że do tej pory oglądała tylko jeden - w „Białym Jeleniu”. Najbardziej spodobało jej się tam małe okienko (co prawda niemal całkiem zasłane pajęczynami), przez które można było dostrzec iglicę katedry westminsterskiej i morze dachów. Zapewne ze strychu domu w Kensington rozciągał się wprost bajkowy widok - na pola, farmy i może nawet na więcej niż jedną kościelną wieżę.

Kiedy weszła do wydawnictwa, Lark znowu był u pana Hardinga, a ponieważ siedział tam również Melville, oznaczało to, że jutro wiadomość o śmierci kolorowego znajdzie się w gazetach. Sara miała zbyt wiele pracy, aby znowu podsłuchiwać pod drzwiami wydawcy, bo właśnie z tego powodu wczoraj nie wykonała wszystkiego, co powinna. Oby tylko Jack Thistlewite nie zwietryzył, że doszło do kolejnego morderstwa.

Poranek minął spokojnie, jednak po obiedzie Melville, w typowy dla siebie sposób, zakradł się na trzecie piętro, po czym w herbacianym pokoju odbył długą rozmowę z Jackiem Thistlewite'em. No i wówczas się zaczęło! Sara, chcąc nie chcąc, musiała wysłuchać, że zabójstwo Hindusa było kolejną z serii „tajemniczych i makabrycznych egzekucji” i że z pewnością dojdzie do następnych, więc ludzie powinni się mieć na baczności i zamykać wieczorami okna i drzwi na cztery spusty.

Kiedy w czasie popołudniowej przerwy wszyscy zecerzy poszli na papierosa, Sara rzuciła okiem na artykuł przypięty do pulpitu Jacka i bardzo zaniepokoiło ją to, co zobaczyła. Okazało się, że zamordowany Hindus miał na imię Wikram i był bardzo drobny - niemal o posturze chłopca. Wówczas przypomniała sobie, jak brzmiało prawdziwe imię kolorowego, którego Ellen nazywała Wiktorem. Właśnie identycznie

jak w artykule - Wikram. A iluż drobnych Hindusów o takim imieniu mogło się kręcić po Diabelskim Kwartale? To, co dalej się znajdowało w tekście, nie spodobało jej się jeszcze bardziej. Według „miarodajnych źródeł” Melville'a, ów kolorowy zajmował się przemytem i rozprowadzaniem opium. Natomiast następne słowa z pewnością nie przypadną do gustu inspektorowi Larkowi, bo Melville napisał, że policja londyńska utknęła w martwym punkcie i prawdopodobnie nie zdoła rozwikłać tej sprawy.

W drodze do domu Sarę zdjęły mdłości. Jak ma powiedzieć Ellen, że jej nowy przyjaciel nie żyje? Nie dość, że nie żyje - został zamordowany. Elly będzie chciała natychmiast wiedzieć, czy poszedł do nieba, a Sara nie miała pojęcia, co się dzieje z kolorowymi po śmierci. Z opowieści siostry zapamiętała jedynie, że bogowie Wikrama mieli głowy słoni i małp, może więc Hindusi trafiali do innego nieba?

Kiedy weszła w wiecznie mroczną uliczkę, prowadzącą od rzeki do Diabelskiego Kwartału - zdjął ją strach. Do tej pory zawsze bez zastanowienia przecinała zaułek, w którym ktoś załatwił Wikrama, ale dzisiaj wybrała okrężną drogę, biegnącą obok noclegowni Joego. Gdy dochodziła do zrujnowanego domu, dobiegł ją zgiełk i zauważyła zamieszanie, ale doszła do wniosku, że to właściciel wyrzuca na ulicę pijanych, aby wytrzeźwieli na świeżym powietrzu. Tymczasem chwilę później zobaczyła inspektora Larka i Świętego Joego. Zobaczyła też Ellen.

Pomimo brudu pokrywającego policzki Ellen widać było, że jest błada jak płótno. Stała z oczami rozwartymi tak szeroko, jakby za chwilę miały wyskoczyć z jej twarzy. Razem z Larkiem przyszło tu paru policjantów z Bow Street, a wokół się kłębili współlokatorzy Joego, wzniesający straszny tumult. Wszystko wskazywało na to, że policja przyszła właśnie po niego. Pewnie przyłapano go na kradzieży - a jeżeli tak, to najprawdopodobniej Ellen kradła razem z nim. Na szczęście nikt nie zwracał na nią uwagi. Kuliła się w drzwiach noclegowni, słała na nogach i gdyby się nie opierała o spróchniałą framugę, z pewnością by upadła. Sara poderwała się do biegu i w tej samej chwili pod Elly ugięły się kolana, po czym zaczęła się osuwać na ziemię.

To, co się potem wydarzyło, zdawało się snem, ale takim, który jest bardziej realny od wszystkiego, co na jawie dociera do uszu i oczu. Sara mocno przyciskała do siebie Ellen, żeby nie upadła na ziemię jak

szmaciana lalka, a tymczasem chłopcy z Bow Street zabierali ze sobą Joego, z rękami mocno spletanymi skórzanym pasem. Święty Joe wyglądał jak spłoszony królik, a z jego oczu wycierał strach. Patrząc na niego, Sara tylko ostatnim wysiłkiem woli powstrzymała się od płaczu.

Lark nie odszedł ze swoimi ludźmi, a kiedy dostrzegł Sarę wraz z Ellen, szybko stanął przed nimi i zapytał, czy znają aresztowanego. Sara potaknęła i natychmiast zapewniła detektywa, że Joe jest dobrym człowiekiem, co prawda niespełna rozumu, ale wyjątkowo poczciwym. A potem się zainteresowała, co takiego zrobił. Gdy Lark powiedział, że go zatrzymano pod zarzutem morderstwa, tym razem pod Sarą się ugięły kolana.

Inspektor zdecydował, że je odprowadzi do „Białego Jelenia”, a pod koniec drogi już niósł Ellen na rękach, bo bardzo osłabła. Kiedy Sara zebrała myśli, spytała Larka, czemu to akurat Joego policja podejrzewa o ostatnie zbrodnie, i wówczas się dowiedziała, że z powodu procy, na której było wyryte jego imię. Znaleźli ją przy zabitym Wikramie chłopcy z Bow Street, wezwani na miejsce zbrodni przez jednego z mieszkańców, który nie mógł wejść do domu, bo zwłoki blokowały drzwi.

Sara była wstrząśnięta i zdezorientowana. Doskonale wiedziała, że Święty Joe nigdy nie popełniłby morderstwa. Z pewnością policjanci wkrótce zdadzą sobie z tego sprawę i niezwłocznie go wypuszczą. Bardzo możliwe, że Joe zgubił swoją procę w tej uliczce, zanim zabito Wikrama, bo gdyby przechodził tamtędy po jego śmierci, z pewnością zobaczyłby ciało... Niewykluczone też, że Joe ujrzał trupa, przestraszył się i wówczas upuścił procę. Z drugiej strony, to był jego największy skarb, nigdy nie spuszczał jej z oka, trudno więc uwierzyć, że ją, tak ot, zostawił.

Im więcej Sara myślała o całej sprawie, tym bardziej czuła się zagubiona.

W nocy nie mogła zasnąć. Patrząc na śpiącą Ellen, rozmyślała i rozmyślała, a kiedy w końcu zmorzyło ją zmęczenie, śniło jej się, że błądzi po ciemnych, groźnych ulicach Diabelskiego Kwartału. Obudziła się zlodowaciała i zdjeta strachem. Jej przerażenie jeszcze wzrosło, kiedy nie ujrzała obok siostry. Chwilę później jednak zdała sobie sprawę, że słońce stoi wyżej niż każdego innego ranka, i zrozumiała, że zasnęła.

Ellen siedziała w kuchni Ruby, gdzie w dużym czajniku grzała się woda na herbatę. Przycupnęła na stolku stojącym przy piecu, nad którym wisiał królik - już obłupiony ze skóry, gotowy, by wsadzić go do rondla. Ruby obierała ziemniaki i jednocześnie odganiała wychudzonego psa oraz mieszała warzączwią w garnku. A jednocześnie opowiadała Ellen, że na przydomowym poletku sąsiadki wyrósł zagon wątlej kapusty, i zachwycała się piękną pogodą. Trudno jednak stwierdzić, czy do Elly w ogóle docierały jej słowa. Machała nogami i podśpiewywała coś pod nosem, wpatrując się w obłok pary unoszącej się z czajnika.

Sara przywitała się z Ruby i podeszła do siostry.

- No rusz się, kotku. Zjedzmy kawałek chleba i napijmy się herbaty, bo muszę bieć do pracy. Już jestem spóźniona.

Ellen nie zareagowała na te słowa - wydawało się, że w ogóle nie zauważyła stojącej obok siostry. Cały czas nucila pod nosem i intensywnie wbijała wzrok w czajnik, jakby ze zwykłego naczynia do gotowania wody miał się nagle przemienić w jakiś niezwykły twór.

- Wiktor zmarł.

Sara nie musiała pytać siostry, skąd się o tym dowiedziała. Na pewno wczoraj, podczas aresztowania Joego, padło wiele słów na temat mordstwa.

- To prawda.

Ruby gwałtownie przerwała swoje trajkotanie i spojrzała na Ellen z takim samym niepokojem, z jakim patrzyła na siostrę Sara.

- Co się stanie ze Świętym Joem?

- Myślę, że go wypuszczą jeszcze dziś lub najdalej jutro, Elly, gdy tylko się połapią, że nie mógł zrobić czegoś tak złego.

- A to było bardzo złe, prawda?

- Uhm. Ale co się stało, to się nie odstanie, a my musimy żyć dalej. Więc zbieraj się, Elly. Właśnie sobie przypomniałam, że dzisiaj jadę z panią Korechnya do Kensington i chyba muszę cię ze sobą zabrać.

Ruby miała zbyt wiele pracy, żeby się opiekować dziećmi, bo już w południe otwierała tawernę.

Siostry ruszyły razem nabrzeżem, a Ellen przez cały czas się zachowywała tak jak wtedy, gdy wstawiała po nocach i wpatrywała martwo w kąt pokoju. Co krok chciała się zatrzymać i patrzeć na rzekę - prawdopodobnie w nadziei, że zobaczy syrenkę, pomyślała Sara. Musiała

dosłownie ciągnąc za sobą siostrę i dopiero na moście Waterloo, kiedy się oddaliły od wody, Ellen zaczęła zwałwiej przebierać nogami.

Smaragdowozielone drzwi jak zwykle otworzyła pani Vesper.

Na widok Elly uniosła w zdziwieniu brwi, ale powiedziała jedynie:

- Dzień dobry, dziewczynki. Pani wkrótce zejdzie. A ja właśnie zrobiłam świeżą lemoniadę. Chodźcie ze mną.

Kuchnia pani Vesper w niczym nie przypominała kuchni Ruby - przede wszystkim lśniła czystością, a na dodatek było tam okno, przez które wpadało dużo światła. Kuchenne drzwi stały otworem i Sara dojrzała niewielki ogródek, okolony kamiennym murem, a w nim rzędy małych krzaczków - każdy w innym odcieniu zieleni. Zapewne zioła, zdecydowała w duchu.

Ellen nie smakowała lemoniada pani Vesper, bo była bardziej cierpka od tej, którą od święta kupowały na Piccadilly. Wykrzywiła buzię po pierwszym łyku, rozbawiając tym panią Vesper, która zabrała z jej rąk szklankę i zaczęła szykować czekoladę. Wlała mleko do rondelka stojącego na piecu, a potem wzięła kawał czekolady, przypominający grudę błota, i starła trochę na tarce. Wsypała ciemne wiórki do gorącego mleka, dodała brązowego cukru i przez chwilę mieszała..

Sara pilnie się przyglądała minie siostry, bo wiedziała, czego się spodziewać po pierwszym łyku. Ledwie Ellen dotknęła ciepłego napoju ustami, a oczy jej pojaśniały, na ustach zaś pojawił się tak szeroki uśmiech, że pani Vesper i Sara mimowolnie parsknęły śmiechem. W tym samym momencie do kuchni weszła Lily i kiedy zobaczyła małą, pogłaskała delikatnie splątane włosy dziecka o buzi umazanej teraz czekoladą.

- Dzień dobry. Ty musisz być Ellen!

We trzy wsiadły do fiakra, który szybko się potoczył przez most Waterloo, po czym minął Hyde Park i pałac Buckingham; przez cały czas Ellen nie dała się oderwać od okna, nie reagowała też na żadne pytania.

Kiedy dojechały do starego domu, wyskoczyła szybko z fiakra i pobiegła do ogrodu. Sara tymczasem zauważyła, że pracownia pana Franza była już niemal pusta - zniknęły sztalugi, wszystkie obrazy, a także fotel o jednej poręczy. Pozostał tylko niewielki stół przy oknie, a na nim niebieskie pudło na kapelusze, w którym Lily trzymała listy i arkusze elektrycznego papieru.

- Czy jest tutaj strych? - To ciekawiło Sarę już od dłuższego czasu.
- Myślę, że tak. Może więc znajdziemy Ellen i razem się wyprawimy na górę?

Ellen jednak nie chciała wejść do domu, bo w dużym, zarośniętym ogrodzie, pełnym słońca, szukała jaskrów i czterolistnej koniczyny. Pani Korechnya zauważyła, że Sara wzbrania się przed zostawieniem siostry samej na dworze.

- Jest tu bezpieczna, Saro. I najwyraźniej szczęśliwa. Chodź, we dwie poszukamy strychu.

Sara weszła przez szklane drzwi, ale zanim ruszyła w głąb domu, obejrzała się jeszcze za siebie. Lily miała rację, Ellen rzeczywiście sprawiała wrażenie szczęśliwej.

Przeszły przez wszystkie pokoje piętra, zanim znalazły klapę strychu, do której umocowana była drabina.

- Wejdz pierwsza, Saro. Żałuję, że nie mam spodni jak ty. To do prawdy wyjątkowo praktyczny strój.

- Nie wiedziałabym, jak się poruszać w spódnicach, ale lubię ich szelest. A pani wygląda pięknie w swoich sukniach, pani Korechnya.

- Myślę, że najwyższy czas, żebyś zaczęła mi mówić po imieniu, bo przecież jesteśmy przyjaciółkami, prawda?

Łzy napłynęły Sarze do oczu, coś ścisnęło ją za gardło i poczuła się bardzo głupio. Od wczoraj nie mogła zapanować nad emocjami, a przecież w fakcie, że Lily Korechnya została jej przyjaciółką, nie było nic smutnego, a wręcz przeciwnie! Całe szczęście, że Lily - stojąc na dole - cały czas coś mówiła i Sara nie musiała jej odpowiadać. Wspinając się po drabinie, miała chwilę czasu, by przełknąć łzy. Za moment znalazła się na strychu - o dziwo, całkiem pustym. Zawsze wyobrażała sobie, że strychy są pełne połamanych mebli, starych ubrań oraz skrzyń z pustymi słoikami i butelkami - że kuszą obietnicą wspaniałych odkryć. Tymczasem znalazła się w dużym pomieszczeniu o facjatkowych oknach i podłodze z gołych desek. W powietrzu się unosił kurz, w rogach widniały pajęczyny, a widok rozciągający się z okien wynagradzał po wielokroć brak ukrytych skarbów. Tak jak Sara sobie wyobrażała, ujrzała w oddali kilka kościelnych wież, na horyzoncie zaś majaczył las, a rozległe pola przecinała srebrzysta, wijąca się wstęga rzeki. Wkrótce na strychu pojawiła się Lily, i gdy obie wodziły wzrokiem po zielonych łąkach i żółtych rżyskach pól, Sara instynktownie wyczuła, że zaraz usłyszy jakąś



bardzo ważną nowinę. Lily przygryzła wargę, po czym wzięła głęboki oddech, jakby zamierzała coś powiedzieć, jednak się powstrzymała. Ale nie na długo.

- Saro, wyjeżdżam za granicę. Do Indii.

Teraz Sara już z ledwością powstrzymywała łzy, napływające jej do oczu od samego rana.

- Ach tak. Jedziesz tam na zawsze?

- Wielkie nieba, w żadnym razie! Ale to daleka wyprawa, więc nie będzie mnie przez kilka miesięcy.

- Czy ten wyjazd jest związany z pracą w gazecie?

- Nie. To zupełnie inna sprawa.

- Czy pan Harding wie o twojej podróży?

- Jeszcze nie... Saro, widzę, że coś cię gnębi.

- Policjanci zabrali Świętego Joego za kraty, a ja wiem, że on nie popełnił tych morderstw, bo jest dobrym człowiekiem. To wszystko by się nie stało, gdyby nie uderzenie w głowę, po którym postradał rozum; kiedyś był kaznodzieją, a teraz czasami kradnie, ale tylko dlatego że jest bardzo ubogi, a nie dlatego że jest złoczyńcą.

Pani Korechnya zapytała, kim jest Święty Joe, a kiedy Sara jej powiedziała, że to przyjaciel Ellen - podobnie jak ten kolorowy, którego ktoś właśnie załatwił na dobre - pokiwała głową i zamyśliła się głęboko.

- W takim razie musimy porozmawiać z inspektorem Larkiem i opowiedzieć mu, jak serdecznie Joe traktował Ellen - rzekła w końcu. - Niekiedy, jeżeli się uda wykazać, że więzień jest człowiekiem dobrego charakteru, prawo traktuje go z większą wyrozumiałością. - Pani Korechnya ponownie się zapatrzyła w widok za oknem, po czym podjęła z powagą: - Trzeba też koniecznie powiadomić szkołę, że Ellen w krótkim czasie straciła dwóch bliskich przyjaciół i wymaga szczególnie troskliwej opieki.

Po tej rozmowie Sara od razu się poczuła lepiej. Lily powie detektywowi, że popełnił błąd, co się skończy wypuszczeniem Joego z więzienia, i wtedy wszystko już będzie tak jak przedtem - a właściwie lepiej, bo Ellen się znajdzie w szkole pod czujnym okiem nauczycielki.

Po dłuższej chwili obie zeszły ze strychu i wróciły do pracowni. Lily stanęła pośrodku pokoju i przez dłuższy czas się rozglądała po pustych ścianach, w końcu zaś podeszła do stolika i wzięła w dłonie pudło na kapelusze.

- Tutaj jest papier, Saro. Dam ci także kałamarz i parę piór, żebyś mogła do mnie pisać, kiedy będę za granicą. Co ty na to?

Sara nie mogła wykrztusić słowa, więc jedynie skinęła głową. W tej samej chwili do pokoju wpadła Ellen z zaróżowionymi policzkami, bukieciem pachnącego groszku w dłoni i w krzywym wianku ze stokrotek na głowie. Wręczyła bukiecik Lily, po czym odwróciła się gwałtownie i z powrotem wybiegła do ogrodu.

## XIX

Waterloo, 29 sierpnia 1864

Moja droga Barbaro,

Niedawno usłyszałam komplement z ust mężczyzny i bardzo się zmieszałam, bo zupełnie odwykłam od podobnych atencji. Zapewne myśl o żaglowaniu przez ciepłe morza, gdy tutaj zapanują chłody, sprawiła, że moje policzki są znów „kwitnące”, a w oczach się pojawił „dawny blask”, jak to określił inspektor Lark. Razem czekaliśmy na Septimusa Hardinga w jego biurze i detektyw był uprzejmy powiedzieć, że bardzo go cieszy mój powrót do zdrowia. Potem nasza rozmowa zeszła na temat bliski nam obojgu, a mianowicie uwięzienia upośledzonego na umyśle Świętego Joego. John Lark mnie poinformował, że gdy się przekonał, jak łagodnego charakteru jest ów nieszczęśnik, zaczął się domagać jego uwolnienia. Powoływał się przy tym na brak dostatecznych dowodów winy. Niestety, prasa bardzo podburzyła cały Londyn - łącznie z przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości - i teraz wszyscy się upominają o surową karę dla oskarżonego, więc inspektor się obawia, że pozostanie w tej sprawie bezsilny.

Przy okazji omówiłam z nim problem dziewczynek O'Reilly. Te sieroty wzbudziły we mnie macierzyńskie uczucia, a towarzystwo Sary sprawia mi prawdziwą przyjemność. To wyjątkowa młoda panna, która - jak podejrzewam - ma szansę zostać w przyszłości kobietą pióra. Osobiście nie żałuję, że nie mam własnych dzieci, bo ani ja, ani Franz nie tęskniliśmy do potomstwa - byliśmy więcej niż szczęśliwi, mając tylko siebie

nawzajem. Ale wracając do rzeczy - inspektor Lark już jakiś czas temu zwrócił uwagę na szczególną sytuację siostr O'Reilly. Powiedział mi, że szczerze podziwia Sarę, bo bieda często sprowadza ludzi na manowce, i tylko dzięki sile charakteru Sary dziewczynki trzymają się z dala od występku i nierządu.

Chciałabym Ci też podziękować, Barbaro, że informujesz mnie na bieżąco o postępach szkolnych małej Ellen, a także za to, że wyjaśniłaś nauczycielce, jak szczególnej troski wymaga obecnie to dziecko. Sara od dłuższego czasu podejrzewała, że Ellen często ucieka z lekcji, i ma też pełną świadomość, że jeśli już jej mała siostra zostaje na zajęciach, to w ogóle nie słucha, co się do niej mówi. Podobno w jej kajecie nie ma ani jednej litery czy cyfry, za to większość kartek pokrywają rysunki przedstawiające zamki i syreny. Zgadzam się z opinią twojego personelu: to dziecko musi coś dręczyć, jeżeli - zamiast rozmawiać z innymi dziećmi - prowadzi niekończące się monologi. Sądzę, że w swoim krótkim życiu Ellen doświadczyła więcej tragicznych wydarzeń, niż jej wrażliwa natura była w stanie znieść, i zaczynam się martwić, czy to się w końcu nie odbije fatalnie na jej zdrowiu. Jednym z poważniejszych problemów edukacji jest fakt, że każda z tych małych istot ma inną naturę. Lękam się, że dziecko zachowujące się równie osobliwie jak Ellen może wyrzucić niepożądane wrażenie na inspektorach szkolnych. Obie wiemy, że w Londynie istnieją przerażające instytucje, w których się umieszcza dzieci odstające od ogólnie przyjętego wzorca. Podobnie jak szpitale dla kobiet z „rozstrojami nerwowymi”, owe miejsca są w istocie niewiele lepsze od więzień i - w moim przekonaniu - czynią dużo więcej szkody niż pożytku, więc musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by mała Ellen nigdy tam nie trafiła.

A gdy chodzi o mnie - codziennie noszę wisior zdobiony włosami Franza, i już jakiś czas temu zauważyłam, że dodaje mi energii. Ilekroć wkładam go na szyję, czuję, jak krew zaczyna żywiej krążyć w moich żyłach. Jest to bardzo wyjątkowy i z niezwykłą pieczołowitością wykonany klejnot, więc nie mam zamiaru zważać na „przeczcucia” pani Vesper! Bo mojej gospodyni bardzo się nie podoba, że go noszę, chociaż nie wiem, co nią powoduje. Gdybym nie znała jej lepiej, mogłabym nawet pomyśleć, że ten wisior wzbudza w niej dziwny lęk, ponieważ kiedy go wzięła w rękę, zbladła gwałtownie i szybko odłożyła ozdobę.

W podróży dotrzyma mi towarzystwa Gowinda, którego swego czasu widywałam u boku lady Herbert. Wówczas brałam go za jej służącego, a tymczasem się okazało, że zatrudnia go maharadża Benaresu. Ponieważ od śmierci lady Cyntii pewne wydarzenia stały się powszechnie znane na skutek policyjnego dochodzenia w sprawie tajemniczych morderstw, o które oskarżono Świętego Joego, mogę Ci teraz wyznać, Barbaro, że lady Cyntia miała w swojej pieczy bardzo niezwykły klejnot, który był własnością maharadży, a zaginął po zabójstwie jubilera z Hatton Garden. Lady Herbert uważała, że ów cenny przedmiot miał szczególne „moce”, choć nie wyjawiała jakie. Na swój sposób mnie to intryguje, ale nie dyskutowałam na ten temat z Gowindą, bo rozumiem, że inspektor Lark przepytał go już na tę okoliczność, poza tym wyczułam, że to materia bardzo delikatna, której raczej nie należy podnosić. Dlatego nasze rozmowy ograniczają się do planów podróży i zapewnień Gowindy, że maharadża powita mnie z radością w swoim pałacu - tak jak zawsze witał lady Cyntię.

Muszę kończyć, moja droga, bo zbliża się czas lunchu (Marta pod żadnym pozorem nie pozwala mi opuścić żadnego posiłku), a mam jeszcze tyle do zrobienia, że już nie tylko ranki wydają się za krótkie, ale i całe dni.

Obiecuję, że będę Ci opisywać ze szczegółami wszystko, co mnie spotka w moich podróżach.

Jak zawsze Ci przyjazna -

Lily

## XX

**P**ani Vesper napaliła w kominku, a potem zaciągnęła zasłony, by odciąć bawialnię od gazowych lamp, oświetlających Waterloo Street. Barwne ogony pawi na tapecie połyskiwały w blasku padającym od ognia, a wokół tańczyły półcienie i tajemnicze refleksy. Na kwiatowym targu Marta kupiła białe, słodko pachnące lilie i włożywszy je do niebieskiego wazonu Wedgewooda, ustawiła na fortepianie. Od czasu śmierci pana Korechnya w domu nie było lilii, ale za jego życia ich ciężki aromat zawsze się unosił w bawialni podczas letnich miesięcy.

I właśnie kwiaty były pierwszą rzeczą, którą zauważyła Lily, gdy stała w progu.

- Myślałam, Marto, że ten flakon się stłukł. Od tak dawna go nie widziałam.

- Nie, pani, po prostu się zawieruszył.

Marta nie widziała powodu, by mówić, że niebieski wazon po prostu zniknął i że dopiero po długim czasie odnalazła go w komórce, w której się znajdowały wszystkie rzeczy męża Lily. On nigdy nie považał angielskiej ceramiki, uważał ją za dużo gorszą od wyrobów z Czech. Incydent z wazonem tylko potwierdzał tezę Marty, że duch pana Korechnya wciąż lgnie do tego domu.

Lily przyciskała do piersi pelerynę i gładziła czarne futro, okalające kaptur, jakby to był ulubiony kot. Marta widziała, że bawialnię wciąż wzbudzała w jej pani lęk. Ledwo Lily przekroczyła próg, zadrżała, chociaż na dworze nie było jeszcze na tyle chłodno, by w ogóle rozpalać w kominku. Ale Marta zdecydowała, że blask ognia i kwiaty są konieczne, ponieważ był to ostatni wieczór pani Korechnya na Waterloo Street przed podróżą do Indii, a gdy ona opuści ten dom, pokoje wkrótce staną się zimne i puste. Ponownie ogarnęło ją szczególne przeczucie, chociaż nie umiałyby dokładnie wytłumaczyć, co oznacza - wiedziała jedynie, że coś w tym domu ulegnie całkowitej zmianie i nigdy już nie będzie tak, jak było.

Marta poprawiła szpilki przytrzymujące czepek, co czyniła zawsze w określonych sytuacjach, a Lily znała ją na tyle, że bezbłędnie odczytywała każdy gest.

- Będzie mi ciebie bardzo brakowało, Marto. Dzisiaj napisałam do banku i do swojego adwokata z informacją, że do powrotu z Indii ustanawiam cię moim pełnomocnikiem we wszelkich sprawach. Jestem pewna, że podczas mojej nieobecności zadbasz o dom i wszystko inne jak należy.

- Naturalnie, proszę pani. I z utęsknieniem będę wyglądać pani powrotu. - Marta znów poprawiła czepek i zaczęła trącać pogrzebaczem węgle w kominku.

- Mam jeszcze jedną prośbę do ciebie, Marto. Powiedziałam Sarze O'Reilly, że może się do ciebie zgłosić, gdyby ona czy jej siostra miały jakiegokolwiek problemy. Ellen zamyka się w sobie tym bardziej, im dłużej Święty Joe pozostaje w więzieniu. Na szczęście nie powiesili go po tygodniu, jak to się zazwyczaj zdarza, gdy żąda tego rozgorączkowana

gawieź. Wiem, że inspektor Lark robi, co może, aby trzymać chłopców z Bow Street z dala od niebezpieczeństwa, ale dał mi ostatnio do zrozumienia, że jeszcze jedno przesłuchanie, a Joe przyzna się do wszystkiego, bo szlocha jak dziecko, gdy tylko widzi któregoś z tych młodych policjantów.

- To rzeczywiście paskudna historia, proszę pani.

- Ich jedynym dowodem jest proca znaleziona na miejscu zbrodni. Wszystkie trzy ofiary miały takie same sińce na czołach i policjanci utrzymują, że powstały one na skutek uderzenia kamieniem wystrzelonym z procy. Miało to na celu pozbawienie ofiar przytomności, by potem bez problemu zmiażdżyć im krtań. Aż boję się myśleć, że ktoś zdolny do podobnie odrażających czynów wciąż chodzi wolno po londyńskich ulicach.

- A więc pani nie wierzy, że to ów półgłówek dokonał tych zbrodni i ukradł klejnot?

- Nie, nie wierzę. Nie wierzy w to także inspektor Lark. Natomiast sprawa klejnotu jest sztucznie rozdmuchiwaną sensacją. Rzeczywiście nie ustalono, co się stało z brylantami, ale trzeba pamiętać, że lady Herbert nie zgłosiła przed śmiercią ich kradzieży. Żywię też głębokie przekonanie, że ktoś tak doświadczony jak John Lark jest w stanie rozpoznać mordercę i przemyślnego złodzieja, gdy rozmawia z nim oko w oko, a z tego, co opowiadała mi Sara, wnoszę, że ów „niebezpieczny podejrzany” jest dobrodusznym wielkoludem o umyśle dziecka. Świętego Joego można co najwyżej oskarżyć o drobne kradzieże, a tymczasem niektórzy z ludzi pisujących do gazet robią wszystko, co w ich mocy, by skończył na szubienicy.

Kiedy pani Korechnya wyznała, że zamierza się wybrać w podróż do Indii, Marta nie była zaskoczona. Ten kraj zaczął ją przyzywać od pierwszego spotkania z lady Cyntią i jej Hindusem. On to właśnie miał towarzyszyć Lily w podróży na pokładzie żaglowca pierwszej klasy, o nazwie „Kenyon”, który nazajutrz wieczorem odpływał z bristolskiego portu.

Kiedy gospodyni zapytała, czy nie należy zamknąć domu, pani Korechnya wykrzyknęła wyraźnie zszokowana:

- Ależ Marto! Przecież chyba tu pozostaniesz, bo jesteś mi absolutnie niezbędna. Nie będzie mnie zaledwie przez jesienne i zimowe miesiące.

Marta Vesper zawsze żałowała, że Lily po śmierci męża przestała przyjmować gości. Dom trzeba ogrzewać śmiechem i witalnością, bo inaczej się staje siedliskiem zjaw. Ale jeżeli mimo wszystko pani Ko-rechnya zamierzała zatrzymać nieruchomość przy Waterloo Street, łącznie ze swoją gospodynią, Marta chętnie tu pozostanie. Miała też nadzieję, że dziewczynki O'Reilly będą ją często odwiedzać, bo ktoś powinien otoczyć je opieką - szczególnie tę małą Ellen. Było to bardzo wrażliwe dziecko, które najprawdopodobniej także dostrzegало innych, chociaż Marta musiała jej się baczniej przyjrzeć, żeby nabrać w tym względzie pewności.

- Chętnie się zaopiekuję dziewczynkami, a ponieważ obie się rozsmakowały w czekoladzie, jestem pewna, że nieraz tu zawitają.

- Jest jeszcze jedna sprawa, Marto. Podarowałam Sarze pergamin oraz atrament, a ona obiecała, że będzie do mnie pisać listy. Bardzo bym cię prosiła, żebyś je wysyłała razem z nowinami, które uznasz za stosowne mi przekazać. Niewiele jednak statków zdoła dotrzeć do Indii przed moim powrotem, więc nie wysyłaj już nic po Nowym Roku.

- Naturalnie, proszę pani. Może pani jechać spokojnie. Wszystkiego dopilnuję.

- Ani przez moment w to nie wątpię. A teraz już pójde się położyć. Jutro muszę się zerwać skoro świt, bo podróż powozem do portu w Bristolu potrwa niemal cały dzień.

Marta pochwyliła wzrokiem cień swojej pani i oprócz zwiastuna szczęśliwej morskiej przeprawy dojrzała także błysk tajemniczego zagrożenia.

- Proszę na siebie uważać, bo w owym egzotycznym kraju panuje dziwna religia, a poza tym samotna kobieta nie jest tam bezpieczna.

- Samotna kobieta nie jest bezpieczna w żadnym zakątku świata rządzonego przez mężczyzn. Będzie czuwał nade mną Gowinda, który z powrotem się oddaje w służbę maharadży, bo jego misja w Londynie dobiegła końca. Dobranoc, Marto. Nie musisz wstawać o świcie, żeby się ze mną raz jeszcze pożegnać.

- I tak się budzę przed wschodem słońca, a poza tym nie ma mowy, żeby wyruszyła pani bez śniadania!

Lily już miała wyjść z bawialni, gdy rozległo się pukanie do frontowych drzwi. Zaniepokojona spojrzała na Martę.

- Któż to może być o tak późnej godzinie?

Marta Vesper też się nad tym zastanawiała do chwili, aż ujrzała w progu inspektora z Marlborough Street. Był tym razem starannie ogolony, miał nowy surdut i ten sam nieprzenikniony wyraz twarzy, choć tego wieczoru otaczała go jakaś aura melancholii.

- Proszę wybaczyć, pani Vesper, że się zjawiam o tak niecywilizowanej porze, ale zaszły pewne okoliczności, które bezwzględnie muszę omówić z panią Korechnya przed jej wyjazdem.

Pora rzeczywiście była niecywilizowana - Marta miałaby pełne prawo odprawić spod drzwi dżentelmena przychodzącego do wdowy po dziewiętej wieczorem. Ale ponieważ inspektor najwyraźniej przyszedł tutaj w jakiejś policyjnej sprawie, skinęła głową i wprowadziła go do bawialni.

Lark przywitał się z Lily i ponownie zaczął gorąco przeproszać za najście. Marta nie wyszła z pokoju, lecz stanęła przy drzwiach. Ostatecznie tego wymagała przyzwoitość.

W blasku ognia inspektor zdawał się niemal przystojnym mężczyzną, bo gra cienia maskowała pewną nieforemność jego rysów. Jednym spojrzeniem ogarnął bogactwo kolorów oświetlonej świecami bawialni oraz wykwintność królujących tu tkanin i najwyraźniej poczuł się dobrze w tym eleganckim pomieszczeniu.

- Nie zajmę pani dużo czasu. Przyszedłem o tak późnej porze, bo pomyślałem, że powinna się pani dowiedzieć o nowych okolicznościach w sprawie Świętego Joego. Niestety, nie przynoszę dobrych wieści, ale doszedłem do wniosku, że lepiej, by je pani usłyszała ode mnie, niż się dowiedziała w inny sposób. Przybyłem tu prosto z więzienia Newgate, z celi podejrzanego, który właśnie się przyznał do popełnienia wszystkich trzech zbrodni. W tej sytuacji nie mogę się już upierać przy jego niewinności i jeżeli - jakimś niezwykłym zrzędzeniem losu - nie wpadniemy na trop prawdziwego sprawcy, Joe zawiśnie w przyszły poniedziałek.

Inspektor Lark zdawał się nad wyraz przygnębiony tą sytuacją. Lily przysiadła na fotelu i gestem zaprosiła policjanta, żeby także usiadł. On skinął uprzejmie głową, ale nie ruszył się z miejsca.

- A co z motywem, inspektorze? Jak ktoś niespełna rozumu mógł zaplanować drobiazgowo zabójstwa trzech osób, których na dodatek nie znał, więc nie miał najmniejszych powodów, by życzyć im śmierci?

- Święty Joe znał trzecią ofiarę, owego Hindusa. - Lark westchnął głęboko. - Ale i tak nie widzę w tym wszystkim logiki.



- A może zeznanie zostało wymuszone? Podczas naszej ostatniej rozmowy wspomniał pan coś o zastraszaniu...

Lark stanowczo pokręcił głową.

- Po tamtym incydencie więzień był przesłuchiwany jedynie w mojej obecności. Nie pojmuję tej sprawy, nie mogę udawać, że jest inaczej.

Marta odniosła wrażenie, że inspektor chciałby powiedzieć dużo więcej - usiąść przy kominku i podzielić się z panią Korechnya własnymi wątpliwościami. Zdawał się bardziej niż zwykle wyczerpany swoją pracą - jej mrocznymi stronami i bezsilnością szlachetnych ludzi w mieście pełnym kłamców i złodziei.

Lily spojrzała z uwagą na inspektora, po czym zapytała z wahaniem:

- A co z tym klejnotem, który - wedle informatorów gazet - był przyczyną wszystkich trzech śmierci?

- Śledztwo nie doprowadziło mnie do takich samych wniosków, jakie są prezentowane w prasie. Owszem, pewne kamienie szlachetne zostały nielegalnie wwieszone na statku, który przybił do kei przy Temple Pier i urzędnik portowy - pierwsza ofiara zabójcy - przymknął oko na ten przemyt. Prawdą też jest, że ów jubiler, Finkelstein, stworzył wyjątkowo piękną sztukę biżuterii - być może z tych właśnie kamieni. Klejnot ów zaginął - albo wtedy, gdy zabito Finkelsteina, albo tuż po śmierci lady Herbert. Nie ma jednak żadnego dowodu kradzieży, a jedynym świadectwem, że jubiler miał cokolwiek do czynienia z owym wisiołem, jest rysunek, który się znajduje w moim posiadaniu. Szybciej zjem własny kapelusz, niż uwierzę, że Święty Joe był zamieszany w kradzież tego szczególnego klejnotu. Być może się przyznał do winy, bo chce kogoś osłaniać.

- A gdyby klejnot się odnalazł, co wtedy?

- Może udałoby mi się odwlec egzekucję, ale nie na długo, bo nadal pozostaje oskarżenie o trzy morderstwa.

Inspektor Lark zapatrzył się w ogień, sięgnął ręką do kieszeni, po czym szybko ją wyjął, jakby pojął, że może popełnić niestosowność.

- Proszę zapalić, inspektorze, jeżeli ma pan ochotę. Nie przeszkadza mi dym tytoniowy, mój mąż się nim delectował.

Detektyw skłonił się nieznacznie i wyjął płaską srebrną papierośnicę, po czym zapalił cygaretkę od płomienia świecy stojącej na kominku.

Przez chwilę oboje milczeli i Marta wymknęła się z bawialni. Jeżeli, jak podejrzewała, inspektor przyszedł tutaj także po to, by życzyć pani Korechnya szczęśliwej podróży, nie zrobi tego w obecności gospodyni. Teraz już nie widziała nic zdrożnego w pozostawieniu tych dwojga samych. Kiedy skończyła przygotowania do śniadania, zapaliła małą oliwną lampkę i położyła się do łóżka. Widziała z końca holu uchylone drzwi do bawialni i płynący stamtąd ciepły blask, oznaczający, że świece nadal się palą.

## XXI

Sara wiedziała, że do końca życia nie zapomni owego dnia, chociaż zaczął się całkiem zwyczajnie - jak wszystkie inne. Odprowadziła Ellen do szkoły i czekała przy świeżo pomalowanej drewnianej furtce, dopóki nauczycielka nie wprowadziła siostry do schludnego, jednoizbowego domku. Sara pomachała Ellen na pożegnanie, udając, że nie widzi jej żałosnego spojrzenia, ale martwiła się w duchu, czy mała zostanie w szkole do końca lekcji. Czasami zostawała, czasami - nie.

Potem rażnym krokiem ruszyła Strandem, kierując się ku Paternoster Row. Od czasu morderstw Sara rzadko chodziła brzegiem Tamizy. Poza tym ostatnio woda zbyt często jej przypominała o pewnym wieczorze, gdy nie mogła znaleźć siostry i bardzo się przestraszyła, że Ellen weszła do rzeki, by szukać małej syrenki i jej pałacu.

W drodze do pracy Sara myślała o pani Korechnya, która wyjechała dwa dni temu i teraz już z pewnością się znajdowała na pełnym morzu. Ciekawe, jakie to uczucie, gdy się płynie ku odległemu, nieznanemu lądowi? Sara wciąż nie mogła się oswoić z myślą, że Lily nie ma już na Waterloo Street, bo zwykła wpadać tam z wizytą, gdy tylko musiała coś załatwić po drugiej stronie rzeki.

Tego dnia, gdy ostatni raz była z Lily w Kensington, zabrała niebieskie pudło na kapelusze do piwnicznego pokoiku. Wyjęła gruby plik arkuszy pergaminu i przez cały wieczór gładziła jedwabiste kartki. Pachniały zupełnie inaczej niż papier, na którym drukowano „Merkuriusza Londyńskiego” - świeżością niosącą niezwykłą obietnicę. Pani Korechnya włożyła także do pudła szklany kałamarz i dwa bardzo ładne pióra

o srebrnych stalówkach i obsadkach z drewna hebanowego. Sara nie miała żadnej wprawy w posługiwaniu się piórem, bo wcześniej pisała tylko ołówkiem albo kredą na małej tabliczce, którą Ellen nosiła do szkoły. Dlatego pilnie ćwiczyła, kreśląc litery na starych gazetach, zanim się ośmieliła postawić znak na dziewiczym pergaminie i napisać swój pierwszy w życiu list.

Pod plikiem arkuszy Sara odkryła wszytą w satynową podszewkę kieszeń na rękawiczki, zapinaną na śliczne, małe guziki. Wybrzuszenie świadczyło, że coś się znajduje w środku, jednak nie para rękawiczek była tam ukryta, ale listy pisane do pana Korechnya, przepasane szkarłatną wstążką. Sara wsunęła je z powrotem do kieszeni, nie czytając, ponieważ z pewnością były bardzo osobiste w treści i cenne dla Lily, która w zamieszaniu związanym z wyjazdem musiała zapomnieć, że je tam włożyła.

Sara weszła do wydawnictwa tuż za inspektorem Larkiem - tak zamysłonym, że jej nie zauważył, póki nie powiedziała mu dzień dobry.

- Dzień dobry, Saro.
- Czy wszystko u pana w porządku, sir?

Ilekcję Sara widziała detektywa, miała ochotę zadać mu zupełnie inne pytanie, ale się powstrzymała, bo już jakiś czas temu jej obiecał, że gdy tylko będzie miał nowe wieści w sprawie Świętego Joego, od razu ją o tym poinformuje.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Saro.

A więc ma złe nowiny, bo jeżeliby były pomyślne, przekazałyby je od razu. Przygryzła wargę.

- Chodź razem ze mną do pana Hardinga.
- To znaczy do jego biura, sir?

Jeszcze nigdy nie wchodziła tam niewzywana.

- Owszem. Właśnie do biura.

Pan Harding siedział z serwetą zatkniętą za kołnierz koszuli i posilał się plackiem z wieprzowiną. Wszystko wskazywało na to, że spędził całą noc za biurkiem, bo był nieogolony, a bokobrody sterczały mu wojowniczo, jak zawsze, gdy nie przyglądał ich pomadą. Drukarze rutynowo pracowali nocami, ale wydawcy prawie nigdy się to nie zdarzało.

- Dzień dobry. Dzień dobry. Saro. John.

Odgryzł kolejny kęs placka i gestem zachęcił, żeby podeszli do kominika, w którym po nocy dopalały się małe węgielki.

- Nagle się zrobiło jesiennie, prawda? - zwrócił się do Sary, która się grzała przy dogasającym ogniu.

- Rzeczywiście, sir.

Teraz już nabrała pewności, że zaraz usłyszy coś bardzo złego, bo i Septimus Harding, i inspektor Lark przyglądali się jej z uwagą, udając, że nie mają nic do omówienia, gdy tymczasem normalnie ignorowali jej obecność i od razu przechodzili do rzeczy.

- Zamierzają powiesić Świętego Joego, czy tak?

Inspektor westchnął głęboko, a wydawca odsunął od siebie na w pół zjedzony placek i zerwał serwetę spod szyi.

- Owszem - przyznał Lark.

- Ale on nie zrobił tego, o co go oskarżają!

Sara poczuła, jak wzbiera w niej panika, rozlewa się po piersi, pali niczym trucizna, i bezwiednie opadła na krzesło naprzeciwko pana Hardinga - nie pytając o pozwolenie.

- Nie mogliśmy w żaden sposób temu zaradzić - powiedział wydawca.

- Pozwalał pan Melville'owi wypisywać te wierutne kłamstwa, sir.

Zamilkł zszokowany, ale Sara nie zważała na to, bo taka właśnie była prawda.

- „Merkuriusz Londyński” nie zamieszcza kłamstw - powiedział Septimus Harding z pobielającymi ustami, nie podnosząc jednak głosu. - Pan Melville jest poważanym autorem artykułów dla naszej gazety i chociaż przyznaję, że jego proza bywa... cokolwiek barwna, nie prasa stawia w stan oskarżenia i skazuje więźniów.

Sara nie zareagowała na tę perorę, bo pan Harding mówił surowym głosem, a ilekroć przybierał taki ton, przestawała go słuchać.

Lark postąpił krok naprzód i położył dłoń na jej ramieniu.

- Święty Joe przyznał się do popełnienia tych zbrodni, Saro.

Te słowa przelały czarę goryczy.

- Nie! Pan kłamie! To niemożliwe!

Poderwała się z krzesła, wybiegła z gabinetu, po czym wypadła na ulicę. Pan Parsimmons za nią wołał, kiedy pędem minęła jego biurko, ale Sara nie zwolniła, póki się nie znalazła na moście. Wtedy dopiero zdała sobie sprawę, że przecież Lily nie było na Waterloo Street - i niewiele brakowało, a zawróciłaby. W końcu jednak, nie wiedząc, co ze sobą począć, dotarła do zielonych drzwi i ze zwieszoną głową uderzyła w nie kołatką.

Bezszelestne Podeszwy zdawały się zadowolone z jej wizyty i Sara odetchnęła z ulgą, bo tak często przychodziła tu w ciągu lata, że zaczęła się zastanawiać, czy za bardzo się nie naprzykrza. Zamiast, jak zwykle, wprowadzić dziewczynkę do frontowego pokoju, pani Vesper zabrała ją do kuchni, gdzie na piecu stał wielki miedziany kocioł do gotowania bielizny. Gospodyni nie zadawała żadnych pytań, tylko od razu postawiła na ogniu rondel z mlekiem i zabrała się do szykowania czekolady. A kiedy się w końcu odezwała, zagadnęła o Ellen.

- Ostatnio prawie nic nie mówi, więc tylko po jej wyglądzie zgaduję, jak jej minęła noc.

- A więc mała nie sypia najlepiej?

- Niekiedy dziwnie się zachowuje nocą. Ostatnio częściej niż przedtem.

- Musisz ją zacząć do mnie przyprowadzać. Teraz, gdy jestem sama, nie mam czym wypełnić dni. No i wam obu wyszłoby na zdrowie, gdybyście od czasu do czasu zjadły porządny posiłek. Te zszargane portki wprost na tobie wiszą.

Sara uśmiechnęła się blado i zaraz sobie przypomniała, czemu tu dzisiaj przyszła.

- Powieszą Świętego Joego.

Gospodyni skinęła głową, nie przerywając mieszania czekolady.

- Pani wiedziała?

- W wieczór przed wyjazdem pani Korechnya przyszedł tutaj ten policjant, żeby ją o tym powiadomić.

Sara zwiesiła głowę i wbiła wzrok w swoje zakurzone buty. A więc Lark wiedział o wyroku co najmniej od trzech dni. Co oznaczało, że już w najbliższy poniedziałek Święty Joe przyciągnie przed więzienie tłumy. Na tę myśl ogarnęły ją mdłości.

- Ellen nic jeszcze nie wie.

- A! W takim razie musimy jej o tym delikatnie powiedzieć w odpowiednim czasie i miejscu, no i dopilnować, żeby w dniu egzekucji nie znalazła się w pobliżu Newgate. Myślę, że ta kuchnia będzie odpowiednia do naszego celu, a zrobimy to dziś wieczorem, po gorącej kolacji, bo trzeba uprzedzić o wszystkim małą, zanim jutrzejszego rana gazeciarze swoim wrzaskiem obwieszczą światu, co czeka tego nieszczęśnika.

Sara wróciła na Paternoster Row przed obiadem i weszła na drugie piętro głównymi schodami, żeby nie przechodzić obok biura wydawcy.

W głębi serca wiedziała, że ani pan Harding, ani inspektor Lark nie mogli w żaden sposób uratować Joego, ale zebrało się w niej strasznie dużo gniewu, czuła się zdradzona i oszukana, więc w pierwszym odruchu obwiniła tych, którzy byli pod ręką. Mijając biurko pana Parsimmonsa, uniosła głowę, a on, zamiast udzielić jej reprimendy, jak to miał w zwyczaju, posłał jej jeden ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów, w którym obnażył wszystkie spróchniałe zęby. Jakże był w owej chwili szpetny! Musiał tuż po porannym incydencie pójść do pana Hardinga, by powiadomić ojej dziwnym zachowaniu, a wydawca zapewne mu przykazał, żeby tym razem jej nie łąjał.

Na drugim piętrze nikt nie okazywał Sarze współczucia - ona zresztą nigdy się nie chwaliła przyjaźnią ze Świętym Joem. Ale wkrótce zecerzy i tak się o wszystkim dowiedzą, ponieważ w wydawnictwie żaden sekret nigdy się długo nie utrzymał. Tak jak się obawiała, wieści o przyznaniu się Joego do winy oraz data egzekucji miały się nazajutrz rano ukazać w „Merkuriuszu”. Sara z trudem się powstrzymywała, by nie wymierzyć Jackowi Thistlewite'owi fangi w nos, kiedy powiedział, że Joe był odrażającym, niebezpiecznym zbirzem i że on, Jack, nie może się już doczekać, kiedy go ujrzy dyndającego na stryczku. Sara miała szczerą ochotę podejść do jego pulpitu i podrzeć artykuł Melville'a na strzępy. Niewiele brakowało, a tak by zrobiła. Wyobraziła sobie, jak dobrze by się wówczas poczuła i jak głupią minę zrobiłby pismak, gdyby się dowiedział, że jego najnowsza sensacja nie ukaże się w najbliższym wydaniu. Ale Chwilę później stanęła jej przed oczami twarz pana Hardinga, który oznajmia, że zwalnia ją z pracy; przypomniała sobie, że tylko dzięki niemu nie musi pracować na ulicy - i natychmiast zrezygnowała ze swojego zamiaru. Spodziewała się, że i tak jeszcze dziś usłyszy od pryncypała kilka gorzkich słów z powodu porannego ekscesu.

Wydawca jednak nie wezwał jej do siebie i Sara właśnie skręcała sobie papierosa na drogę do domu, kiedy jego potężna postać ukazała się w drzwiach zecerni. Na widok pana Hardinga wszyscy zamarli z wrażenia. Przez cały okres pracy Sary w „Merkuriuszu” wydawca ani razu się nie pokazał na drugim piętrze.

- Dobry wieczór, panowie.
- Dobry wieczór, sir - odezwał się chór głosów.
- A! Tu jesteś, Saro.

Sara podchwyciła spojrzenie Jacka i zobaczyła, że oczy rozwarły mu się jeszcze szerzej ze zdumienia. Nie dość, że wydawca przyszedł do zecerni, to na dodatek pofatygował się na górę w poszukiwaniu nic nieznaczącego terminatora!

- Proszę, zejdź ze mną do biura, Saro.

Skinęła głową i ruszyła za wydawcą. Pan Harding milczał, póki nie znaleźli się w jego królestwie za szczelnie zamkniętymi drzwiami.

- Nie bój się. Nie zamierzam cię ganić za twoje nagłe poranne zniknięcie, ponieważ okoliczności były... nadzwyczajne.

- Ja się nie boję, sir.

- Naturalnie. Masz w sobie aż nadto odwagi, chociaż nie jestem pewien, czy odwaga zawsze popłaca.

Spojrzał na Sarę spod przymrużonych powiek, jakby próbował ją przejrzeć na wylot, ona jednak postanowiła, że za nic nie pokaże, jak podle się czuje w środku.

- Jestem bardzo zadowolony z twojej pracy, Saro, a po ostatniej rozmowie z panią Korechnya rozważam, czy nie powierzyć ci składania... ważniejszych tekstów.

Serce jej drgnęło z radości.

- Bardzo bym tego pragnęła, sir.

Pan Harding odchrząknął głośno i zaczął pilnie pocierać atramentową płamę na wskazującym palcu.

- Mam nadzieję, że z powodu tej ponurej sprawy nie nabierzesz złego mniemania o prasie. Pewnego dnia może się bowiem okazać, że gazeta ma ci wiele do zaoferowania.

- Nie, sir. Nie nabiorę.

Septimus Harding spojrzał na nią przeciągle.

- Doskonale. W takim razie powiem, czemu cię tu ściągnąłem. Dziejsiejszego popołudnia otrzymałem list od gospodyni pani Korechnya. Jak oboje wiemy, ta kobieta nie ma zwyczaju owijać czegokolwiek w bawełnę. Oznajmiła, że powinienem dać ci dzień wolny od pracy w przyszły poniedziałek ze względu na... ze względu...

- Ze względu na egzekucję, sir.

- Właśnie. Na egzekucję. Odpisałem, że na ów dzień oddaję cię pod jej pieczę. Pani Vesper napisała również do inspektora Larka z prośbą, by się u niej zjawił najszybciej, jak to możliwe. Nie liczyłbym jednak, że przyjdzie przed... egzekucją, Saro, bo ta paskudna historia zajmuje mu

bardzo dużo czasu. Czy dobrze zrozumiałem, że twoja mała siostra poważnie zapadła na zdrowiu?

- Nie jest poważnie chora, sir, ale nie czuje się najlepiej.
- Cóż, musisz na nią uważać. Masz wiele szczęścia, że takie kobiety jak pani Korechnya i pani Vesper wzięły was pod swoje skrzydła.
- Tak, wiem, sir.

Ale Sara jakoś ostatnio nie czuła tego szczęścia, musiała więc sobie nieustannie przypominać, że ma dach nad głową, ma co jeść i ma także pracę, a wielu ludziom nie było to dane, i właśnie wśród nich śmierć kosiła najobfitsze żniwo. Ilekroć jednak pomyślała o Świętym Joem siedzącym samotnie w więziennej celi, coś ją ścisnęło za gardło i zbierało jej się na płacz, który powstrzymywała tylko ze względu na Ellen.

Im bardziej się zbliżała do Diabelskiego Kwartału, tym większy ogarniał ją niepokój. Od czasu śmierci Wikrama i uwięzienia Świętego Joego wąskie uliczki sprawiały wrażenie wymarłych. Jeszcze niedawno drzwi wszystkich domów zawsze stały otworem - zamykano je tylko podczas największych zimowych chłódów - a teraz były zawarte naглуcho, w okolicy zaś nie usłyszczono się nawet psów czy żebraków. Jednak nie tylko ta niezwykła cisza sprawiała, że czuła się nieswojo, ale przede wszystkim świadomość, że będzie musiała powiedzieć siostrze o wyroku na Joego. Dobrze, że chociaż pani Vesper ugotuje dla nich kolację, przynajmniej za to mogła być wdzięczna losowi.

Ellen nie było w kuchni Ruby, więc Sara poszła na rybacką keję i tam - zgodnie z oczekiwaniami - zobaczyła swoją małą siostrę. Elly siedziała na dużym, płaskim kamieniu i przyglądała się obdartusom puszczającym kaczki na wodzie. Jeden z nich miał procę i zaczął celować do mewy rozdziobującej rybę ości. To nasunęło Sarze myśl, że jeden z nich mógł się zabawić procą Joego tej nocy, gdy zginął Wikram, ponieważ łagodny wielkolud zawsze pozwalał dzieciom bawić się tym, co znalazły w kieszeniach jego palta. Gdy Sara przyglądała się tej scenie, Ellen podierała się z miejsca i odgoniła mewę, zanim chłopak zdążył do niej strzelić.

W jakiś czas potem, kiedy szły przez most Waterloo, Elly zdawała się zadowolona, że jest na świeżym powietrzu, i nawet się uśmiechnęła, kiedy jakiś domokrążca w geście pozdrowienia uchylił przed nią kapelusza. Sara natomiast nie była w stanie się cieszyć spacerem, mimo że promienie zachodzącego słońca barwiły niebo na najpiękniejsze odcienie złota i różu. Przez głowę przebiegały jej dziesiątki myśli- migwały jedna



po drugiej - i gdyby nie ostrzeżenie siostry, wdepnęłaby w świeży kopczyk końskiego łajna. Przede wszystkim się martwiła, jak Ellen zniesie kolejną stratę, i dałaby wiele, aby to nie ona musiała jej oznajmić, że Święty Joe jest już praktycznie martwy. Myślała też o dowodach, które gazety nazywały „inkryminującymi”, co oznaczało - o ile dobrze wydedukowała - że przesądzały o winie oskarżonego. A jeżeli to jednak któryś z małych uliczników zabawiał się tamtej nocy procą Joego? Joe mógł uznać, że skoro pożyczył komuś procę, to w jakimś sensie ponosi odpowiedzialność za zbrodnię, i przyznał się do ich popełnienia, nieświadom, że zapłaci za to życiem.

Zanim zasiadły z panią Vesper do kolacji w kuchni domu przy Waterloo Street, Sara była już tak zgnębiona, że prawie nie czuła smaku wieprzowych bitek. Na stole stały także ziemniaczane kluski oraz uprażony groch - wedle pani Vesper dania pożywne i tuczące.

Kiedy po posiłku gospodyni wyciągała z pieca placek z wiśniami, rozległo się stukanie do frontowych drzwi. Mimo wieczornej godziny pani Vesper wcale się tym nie zdziwiła i szybkim krokiem wyszła do holu, a chwilę później wróciła w towarzystwie inspektora Larka. Dzisiejszego ranka Sara wybiegała z biura przekonana, że już nigdy się nie ucieszy na jego widok - a tymczasem było całkiem odwrotnie. Może jednak policjant zdoła jakoś pomóc Świętemu Joemu. Lark usiadł obok Ellen i Marta podała mu kawałek placka, po czym zaczęła uprzątać brudne talerze.

Od chwili gdy inspektor wszedł do kuchni, Ellen nie spuszczała z niego wzroku, i gdy tylko zjadł swoją porcję ciasta oraz pochwalił kulinarny talent pani Vesper, powiedziała:

- Już nigdy nie wypuszczą Świętego Joego, prawda?

Sara z wrażenia upuściła widelec na podłogę, a Lark przez dłuższą chwilę z niezwykłą starannością strącał z surduta niewidoczne okruszki placka.

- Dlaczego tak sądzisz, Ellen? - zapytał w końcu.

- Bo jest pan smutny i smutna jest też Sara, i nikt do tej pory nie wspomniał o Świętym Joem. To z jego powodu pan tu przyszedł, czy tak?

Lark spojrział uważnie na obie dziewczynki i zaczął im wyjaśniać głębokim, spokojnym głosem, że jeżeli oskarżony przyzna się do winy, nic już nie można dla niego zrobić, bo policja w takiej sytuacji uznaje śledztwo za zamknięte.

Ani słowem nie wspomniał przy tym o egzekucji.

- Ale Joe jest niewinny! - Sara poczuła, jak ponownie wzbiera w niej panika, i próbowała ją w sobie zdusić, żeby przypadkiem Ellen niczego nie zauważyła. Ellen tymczasem zachowywała budzący grozę spokój - sprawiający o wiele bardziej wstrząsające wrażenie, niż gdyby zaczęła krzyczeć i szlochać. Ilekroć coś ją gnębiło, coraz bardziej zamykała się w sobie i odcinała od reszty świata. Rzadko płakała i ostatnio Sara doszła do wniosku, że już zdecydowanie wołałaby łzy od tego odrętwienia siostry.

Lark postanowił odprowadzić je do domu i gdy tylko wyszli na ulicę, Ellen wsunęła w jego rękę dłoń, co w pierwszej chwili sprawiło go w zmieszanie, ale potem chyba sprawiło mu przyjemność, bo spojrzał na małą tklwym wzrokiem. Przystanęli na moście Waterloo, żeby popatrzeć na oświetlone latarniami rybackie łodzie, wypływające na nocny połów, i w końcu Sara powiedziała inspektorowi o swoich podejrzeniach, związanych z procą oraz nadrzecznymi ulicznikami, i dała mu do zrozumienia, że może sam powinien z nimi porozmawiać. Lark się zgodził, jednak Sara w głębi serca wiedziała, że jest już za późno, by uratować Joego. Wiedziała to także Ellen, bo patrzyła takim wzrokiem jak wtedy, gdy miewała swoje „widzenia”.

- Jest mi bardzo przykro - powiedział Lark, kiedy się żegnał z nimi przed „Białym Jeleniem”, i widać było, że mówi to całkiem szczerze.

Inspektor dotrzymał danego Sarze słowa. Następnego dnia, gdy wróciła z pracy, przyszedł w okolice doków i razem ruszyli wzdłuż rzeki, aż się natknęli na trzech obdartusów, stojących po kolana w mule i grzebiących wokół siebie patykami w poszukiwaniu nie wiadomo czego.

- Dzień dobry - powiedział Lark i wszyscy spojrzeli na niego rozwartymi szeroko ze zdumienia oczami.

- Czy któryś z was, chłopcy, znał Świętego Joego?

Ledwo to usłyszeli, wzięli nogi za pas.

Lark wołał za nimi, ale błyskawicznie się oddalali. Byli szybkonodzy, bo od tego często zależało ich życie, no a poza tym umieli rozpoznać policjanta - nawet nieumundurowanego - gdy mieli go przed sobą.

- Pewnie się bali, że wpadną w tarapaty - orzekła Sara. - Może nie powinien im pan nic mówić?

- A jak, według ciebie, miałbym wówczas prowadzić śledztwo? Na miגי?

Sara wzruszyła ramionami. To on był policjantem. Powinien bez pytania wiedzieć takie rzeczy.

Szli noga w nogę aż do mostu Waterloo, a z każdym krokiem rozpacz o gorzkim posmaku żółci coraz gwałtowniej ścisnęła Sarę za gardło. Nie mogła w ogóle pojąć, jak doszło do takiej sytuacji, i to dodatkowo ją dręczyło.

- Dlaczego Joe przyznał się do winy, skoro tego nie zrobił? - zapytała w końcu.

- Może się bał wyjawić prawdę, Saro. Niekiedy ludzie tacy jak Joe, wyjątkowo prości i ufni, stają się pionkami w rozgrywce złoczyńców. Niewykluczone, że nawet nie zdawał sobie sprawy, że popełnia straszny czyn.

- Joe nie był aż taki głupi. Pan go nie znał - on zawsze umiał odróżnić dobro od zła.

- A jednak kradł, Saro.

- Kradzież to nie to samo, co zabicie człowieka. Poza tym lepiej ukraść kawałek chleba niż patrzeć, jak rodzina umiera z głodu. Miałam szczęście, że nigdy nie musiałam tego robić, ale nie dla każdego los bywa równie łaskawy. Od Joego, jak widać, szczęście odwróciło się już na zawsze.

## XXII

### Południowy Atlantyk, 18 września 1864

Droga Barbaro,

Właśnie minęły dwa tygodnie, odkąd się znaleźliśmy na pełnym morzu, ale dopiero dzisiaj jestem w stanie utrzymać w palcach pióro. Całe szczęście, że mam pojedynczą, zapewniającą prywatność kabinę, bo wznoszenie się i opadanie statku na fali przyprawiło mnie o gwałtowną chorobę.

Wprost nieocenione okazały się wskazówki lady Herbert, przekazane mi przez Gowinę. Musiała żywić niezachwiane przekonanie, że się zdecyduje na tę wyprawę, bo zawczasu spisała na mój użytek, co kobieta bezwzględnie powinna zabrać ze sobą w morską podróż. Z poleconych

przez nią artykułów, które uznałam za stosowne włączyć do swojego bagażu, najbardziej błogosławiłam dwie puszki herbatników. Do niedawna mój żołądek nie przyjmował nic innego, a marynarskie suchary są nad wyraz twarde i suche - po prostu niejadalne. Kierując się radami lady Cynthii, zabrałam także ulubioną herbatę i maszynkę spirytusową do jej parzenia, oraz butelkę brandy, która - jak przewiduję - okaże się bardzo przydatna, kiedy już całkiem ustąpią nudności.

Kabina, którą zajmuję, jest wielkości małej komórki, gdzie mieści się niewiele więcej niż kufer (na którym trzymam pióra i kałamarz), koja i wiadro ze słodką wodą - mój dzienny przydział. Kiedy jednak zaczerpnę odpowiednią ilość do picia, na mycie pozostaje niewiele, szybko się więc nauczyłam oszczędności. Wdzięczna też jestem lady Herbert za sugestię, żebym wzięła w podróż swoją najstarszą, najbardziej znoszoną bieliznę, i kiedy już stanie się nieświeża, wyrzucała ją po prostu za burtę, bo urządzenie prania na morzu jest praktycznie niemożliwe.

Powiedziano mi, że pogoda przez cały czas nam dopisywała, chociaż mnie się zdawała sztormowa, gdy leżałam na koi i przez okrągłe okienko widziałam raz morze, raz niebo, i za chwilę znowu morze... Południowy Atlantyk cieszy się złą sławą i kapitan z lubością raczy nas opowieściami o nieszczęsnych statkach, zepchniętych z kursu przez gwałtowne szkwały i zagnanych aż do Ameryki Południowej. To i tak o wiele atrakcyjniejszy dopust boży niż roztrzaskanie u skalistych brzegów Afryki, gdzie - jak twierdzi nasz wilk morski - rozbitkowie są często chwytani w niewolę i sprzedawani na targu niewolników! Kapitan w porcie bristolskim zdawał się wzorem dżentelmena, ale gdy tylko wyruszyliśmy w drogę, zmienił się nie do poznania. W zasadzie stał się szorstki i opryskliwy, ledwo liny cumownicze znalazły się na pokładzie. Poza oficjalnymi spotkaniami natknęłam się na niego przypadkiem przy kilku różnych okazjach. Pewnego dnia jedna z pasażerek dostała gwałtownego napadu choroby morskiej i kiedy szarpana torsjami zwieszała się przez reling, do moich uszu dotarła jego uwaga (w żadnym razie nie przytoczyłabym Ci jej *verbatim*), w której zawarł swoją opinię na temat obecności kobiet na statkach. Już się posypało wiele skarg na niewybredny język i nadmierne pijaństwo bristolskich marynarzy, a pruderia podróżujących dam nie poprawia humoru kapitana.

Do tej pory czas spędzałam głównie w samotności, niewielu bowiem pasażerów czuło się na tyle dobrze, by zażywać świeżego powietrza na

pokładzie. Być może gdy przywykniemy do morskiej podróży, staniemy się bardziej towarzyscy, bo przed nami jeszcze wiele dni żeglugi i bez wymiany poglądów i wrażeń przeprawa stałaby się bardzo nużąca. Jak do tej pory jedyną osobą, z którą spędzam z przyjemnością czas, jest Gowinda. Ujął mnie za serce, kiedy - dostrzegłszy moją niemoc - podarował mi spory kawałek świeżego imbiru i pouczył, że powinnam odkrawać z niego cienkie plasterki, zalewać je gorącą wodą i popijać dla uśmierzenia nudności. Muszę przyznać, że to wyjątkowo przyjemny w smaku i skuteczny tonik.

O ile się zdołałam zorientować, Gowinda sypia razem z marynarzami w jednym z hamaków, które są rozwieszane każdej nocy na pokładzie, w ciągu dnia natomiast studiuje gruby wolumin, siedząc ze skrzyżowanymi nogami w zacisznym kącie na dziobie. Nie dane mi jednak było zerknąć na którąś z kart, bo zamyka księgę, ilekroć się zbliżam. Jest pięknie oprawiona - w szkarłatny jedwab, na którym wymalowano złote orientalne wzory. Zapytam go, o czym traktuje owa księga, kiedy się bliżej poznamy. Chociaż niewykluczone, że ta znajomość nigdy się nie pogłębi, jako że Gowinda nie odczuwa potrzeby wypełniania ciszy słowami - co skądinąd uważam za bardzo ożywcze.

## 25 września 1864

Minął kolejny tydzień, wciąż jesteśmy na dobrym kursie i szybko pokonujemy kolejne mile morskie - a prędkość tę marynarze mierzą w węzłach. Wiążą je w równych odstępach na długiej, grubej linie z ciężarkiem na końcu, który przerzucają przez burtę. Gdy wiatr wypełnia żagle i statek nabiera impetu, lina coraz żwawiej zsuwa się z pokładu i coraz więcej węzłów się zanurza w wodzie. Przekonałam się, że sterowanie żaglowcem, ustawianie go z wiatrem czy pod wiatr, oraz samo utrzymanie na wodzie wymaga dużej wiedzy, i z każdym dniem rośnie mój szacunek dla załogi, często pracującej bez wytchnienia całymi dniami i nocami. Każdy statek jest od wieków pływającą wyspą człowieczą i by zapewnić przetrwanie, trzeba nieustannie dbać o jego kondycję. Bez przerwy więc odbywa się polerowanie metalu, oliwienie, impregnowanie drewna, naprawianie żagli - patrząc na to, można by pomyśleć, że ci

twardzi, szorstcy w obyciu mężczyźni rozsmakowali się w pracach określanych na lądzie mianem domowych i wykonywanych jedynie przez kobiety. Pokłady są zmywane kilka razy dziennie, jednak - jak się dowiedziałam - nie z zamiłowania do czystości, ale by zapobiec rozsychaniu się desek.

Przekroczyliśmy równik na wysokości Gabonu i temperatura się podniosła do niewyobrażalnych wartości. Miałam w życiu okazję doświadczyć letnich upałów we Włoszech i Hiszpanii, są one jednak niczym w porównaniu z gorącymi wiatrami północnej Afryki, nie wspominając już o palącym słońcu półkuli południowej. Noszę jedynie cienkie, bawełniane suknie i zamierzam kupić ich więcej, w samych jasnych barwach, gdy tylko zawiniemy do portu Simonstown, u Przylądka Dobrej Nadziei.

Moje samopoczucie poprawiło się na tyle, że mogę wychodzić na pokład i cieszyć się morskim powietrzem. Ostatnio zaznajomiłam się z kilkoma paniami, mieszkającymi w sąsiadujących ze mną kajutach. Okazało się, że to grupa misjonek, których celem podróży jest również Benares. Trzy z nich mają na imię Maria, co podczas rozmowy prowadzi niekiedy do zabawnych nieporozumień. Jak się dowiedziałam, Benares jest najświętszym miastem Hindusów, i tam właśnie te bogobojne kobiety zamierzają głosić chrześcijańskie idee w nadziei, że rozprzestrzenia je na cały kraj. To ambitne plany i należy podziwiać owe panie za siłę ducha, choć już nie za wąski horyzont umysłowy. Są łagodne i powściągliwe, acz nie nudne - dopóki nie zaczynają rozprawać o swojej krucjacie. Mnie osobiście bardzo niepokoi ich oczywisty brak szacunku dla hinduizmu. Kiedy nazwałam go religią, jedną z Marii zdjęła istna zgroza, że mogę określać takim mianem coś, co nie głosi prawd zawartych w Biblii.

Tymczasem moja znajomość z Gowindą jednak się rozwija i dzięki temu się dowiedziałam, że księga, którą czyta, jest jednym z najświętszych pism hinduistycznych. Nosi tytuł „Bhagawadgita” i została napisana w sanskrycie. Poprosiłam go także, żeby mi wyjaśnił, czym jego wiara różni się od religii spotykanych w Anglii.

Według Gowindy, jedną z najważniejszych koncepcji hinduizmu jest brahmana - „dusza świata” - która się zawiera we wszystkich istotach i żywiołach. Fale na morzu, wiatry, każde zwierzę czy roślina mają w sobie pierwiastek świętości, są bowiem emanacjami brahmany. Kosmologia

hinduizmu jest bardzo zagmatwana z racji istnienia wielu światów, zaludnionych przez niezliczonych bogów i boginie. Najważniejsza spośród nich jest jednak wielka trójca: Brahma, Siwa i Wisznu. Każdy z nich ma małżonkę, i z przyjemnością Ci donoszę, że owym najważniejszym bogom moc zapewniają właśnie ich towarzyski. I tak Brahma, stwórca świata, ma za żonę Saraswati, boginię mądrości, wiedzy duchowej, zdolności twórczych i sztuki. Ubiera się ona jedynie na żółto, a za tron służy jej lilia wodna. I właśnie z powodu tego kwiatu ona jest mi najbliższa. Lakszmi z kolei, poślubiona Wisznie, jest boginią bogactwa, rozkoszy i szczęścia, piękna Parwati zaś temperuje Śiwę, zwanego także niszczycielem.

Jest jeszcze jedna ważna bogini, zwana Kali, i ją właśnie uważam za najbardziej intrygującą. Moją ciekawość dodatkowo podsyca fakt, że Gowinda niechętnie wypowiada jej imię. Poza tym ona jedna nie została nikomu poślubiona\*, jest szczególnie czczona przez thagów, sektę zawodowych zabójców i bandytów, którzy swoje ofiary rytualnie składają w darze tej bogini.

\* Kosmologiczne, teologiczne i filozoficzne założenia - a co za tym idzie, upostaciowanie bóstw w hinduizmie - są niezwykle skomplikowane. Istnieje sześć głównych szkół filozoficznych hinduizmu, a ich poglądy w wielu punktach są ze sobą nie do pogodzenia. Święte księgi - wedy, brahmany, upaniszady czy purany - również głoszą wiele rozbieżnych nauk. Jednak według większości źródeł, Kali (podobnie jak Parwati) jest aspektem bogini Durgi - małżonki boga Siwy (przyp. tłum.).

Powoli dochodzę do wniosku, że klucz do hinduskiej filozofii to zrozumienie, że bóg i człowiek to jedność. A najbardziej osobliwe i trafiające do mojej wyobraźni jest pojęcie czasu w hinduizmie - nie jest on postrzegany linearnie, ale jako ciągle przenikanie się przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, a to za sprawą samsary - kołowrotu narodzin, śmierci i kolejnego odradzania, warunkowanego naszymi czynkami. Gowinda przyrównuje umysł ludzki do płótna, na którym człowiek maluje obraz swojego życia. Niekiedy się zastanawiam, czy nie stosuje tej przenośni, bo wie, że mam ze sobą kilka obrazów męża. We współczesnych pracach teologicznych, które miałam nieszczęście przeczytać, nie przedstawia się duszy jako niewidzialnej energii, nie wspomina o poszukiwaniu własnej mistycznej drogi. A muszę przyznać, że właśnie te koncepcje pociągają mnie najbardziej.

Bezkresna, monotonna panorama morza, która najpierw mnie prze-  
rażała, a potem nużyła, obecnie wzbudza we mnie zachwyt - chyba  
jeszcze większy niż krajobrazy wynurzające się z mgły, jakie podziwia-  
łam podczas podróży do Bristolu. Ocean potrafi być zimny i złowrogi jak  
stal lub przypominać ciekłe złoto, gdy wschodzące lub zachodzące słoń-  
ce oświetla jego powierzchnię gorącymi promieniami. W takich chwilach  
czuję przy sobie boską obecność dużo intensywniej, niż kiedykolwiek mi  
się to zdarzyło w jakimkolwiek kościele, i zaczynam rozumieć, czemu  
morze ma dla wielu tak nieprzepartą siłę przyciągania. Moje znajome  
misjonarki jednak utrzymują, że urok oceanicznego bezkresu z pewno-  
ścią nie może się równać z magią miejsc, które wkrótce staną się do-  
stępne dla szerokich rzesz - gdy tylko będzie można wpłynąć z Morza  
Śródziemnego wprost na Morze Czerwone. Naturalnie, cały Londyn się  
ekscytuje otwarciem Kanału Sueskiego, nigdy wcześniej jednak nie  
przyszło mi do głowy, że ów entuzjazm może być wywołany perspektywą  
łatwiejszego dostępu do krain opisanych w Biblii!

Raz podczas tej podróży zesłam na najniższy pokład, żeby w kam-  
buzie prosić o świeżą wodę (ta, którą przyniesiono mi w wiadrze owego  
rana, miała kolor cienkiej herbaty). I postanowiłam więcej tego nie robić,  
bo to, co zobaczyłam w tym niepodzielnym królestwie kuka i jego ludzi,  
każe mi wycofać pochlebne uwagi na temat zamięłowania i talentu mary-  
narzy do prac porządkowych. Trzewia statku nie przedstawiają sobą  
przyjemnego widoku, i to nie tylko z powodu bałaganu i brudu panujące-  
go w kambuzie (gdzie na dodatek biegał szczur, a sama musisz przy-  
znać, że obecność tych zwierząt w jakiegokolwiek kuchni może wzbudzić  
grozę). Tam również, w okropnych warunkach, tłoczą się ci z pasażerów,  
których nie stać było na opłacenie kabiny i przywileju spacerowania po  
pokładzie. Muszą więc bez przerwy znosić niewyobrażalny odór, ponie-  
waż obok ich pryczy znajdują się kojce, w których kaczki i kury, krowy i  
świnie są tak niemilosiernie stłoczone, że nieszczęsne nie mogą się  
ruszyć, a wszystkie je czeka ten sam los - trafią pod nóż kucharza. Bę-  
dąc tam, usłyszałam także rzenie koni oraz stukot ich kopyt i później się  
dowiedziałam, że są przeznaczone dla pułku jazdy, stacjonującego w  
Bombaju. Ogólnie rzecz biorąc, droga Barbaro, dolny pokład bardziej  
przypomina arkę Noego niż statek pasażerski.



## Simonstown, Afryka, 11 października 1864

Zacumowaliśmy w Simonstown - uroczej, sennej wiosce rybackiej - i teraz piszę do Ciebie, siedząc przy stole ustawionym na plaży. Nie umiem Ci wprost opisać, jaką przyjemność sprawia mi chodzenie po stałym lądzie, ba, nawet zdjęłam buty, żeby poczuć piasek pod stopami (nie zważając na pełne dezaprobaty spojrzenia dwóch Holenderek, siedzących przy sąsiednim stole).

Trzy Marie i pozostałe misjonarki wynajęły powóz, żeby zwiedzić Konstancję. Zaproponowały i mi udział w tej wyprawie, ale uprzejmie zrezygnowałam z zaproszenia, bo czuję wyraźną potrzebę ucieczki od ich towarzystwa.

Przed wszystkim jednak chciałabym Ci opowiedzieć o rozmowie z Gowindą, do której doszło, gdy pewnego wieczoru siedzieliśmy na pokładzie i wpatrywaliśmy się w ognistą kulę słońca, powoli zanurzającą się w fale. Ledwo zniknęła, morze zaczęło lśnić niczym szkatuła pełna klejnotów, a od strony dziobu nadpłynęło stado delfinów i przez jakiś czas towarzyszyło naszemu statkowi. To nieprawdopodobnie radosne, skore do zabawy stworzenia i wprost nie sposób powstrzymać się od śmiechu na widok ich powietrznych akrobacji. Muszą być z natury kokieteryjne, bo najwyraźniej zachwyty i aplauz widowni sprawiały im przyjemność.

Błysk morza po zachodzie słońca przypominał mi natychmiast o zaginionym klejnocie. Prawdę powiedziawszy, już wiele razy mnie korciło, żeby porozmawiać na ten temat z Gowindą, i w głębi duszy miałam nadzieję, że może mi wyjawi, co się naprawdę zdarzyło. A więc kiedy fale przed nami iskrzyły się na podobieństwo brylantów, uznałam, że to dobry moment, by zaspokoić ciekawość. Zapytałam Gowindę, czemu niezwykły klejnot, który widziałam w kolekcji lady Herbert, ona uważała za szczególny amulet. Nie wspominałam nic o jego zniknięciu czy domniemanej kradzieży, bo uznałam, że to zbyt delikatna materia. Spokojny wyraz twarzy Gowindy pozostał niezmienny, zauważyłam tylko nieznaczne drgnienie ust. I na tej podstawie doszłam do wniosku, że wiedział coś więcej na temat owego klejnotu, niż wyjawiał inspektorowi Larkowi. Mnie natomiast powiedział, że amulet zawierał niebezpieczną kombinację dziegięciu różnobarwnych diamentów i dlatego mógł stanowić śmiertelne

niebezpieczeństwo dla każdego, kto za jego pośrednictwem próbowałby się skontaktować ze światem bogów. Poprosiłam, żeby mi to wytłuma- czył, bo szczerze powiedziawszy, zupełnie nie pojmowałam, jak kamień może wpływać na samą naturę egzystencji. Gowinda powiedział mi je- dynie, że lady Herbert za pomocą amuletu miała nadzieję się skontakto- wać z niematerialnym światem, a w konsekwencji - ze zmarłym mężem; w zasadzie dał mi do zrozumienia, że w jego opinii właśnie igranie z owym klejnotem ostatecznie się przyczyniło do jej śmierci. A niechęć, z jaką opowiadał mi to wszystko, świadczyła o jednym - że on sam szcze- rze wierzy w te przesady.

W miasteczku Simonstown panuje upał, a światło słońca jest niespo- tykanie jaskrawe. Franz zakochałby się w tym krajobrazie - zachwycałby się ostrością barw kwiatów, dziwnych owoców i tkanin wyłożonych na targu. Uliczki są tu zabudowane świeżo pobielonymi, drewnianymi bun- galowami, a afrykańskie kobiety, które noszą szaty zwiewne i wielokolo- rowe, zdają się obleczone w tęczę. Osadnicy holenderscy wyróżniają się przede wszystkim bielą - zarówno skóry, jak i stroju - a także słomkowy- mi kapeluszami o szerokich rondach. Ale jak zauważyłam, nie próbują przemieniać tego miejsca i urządzać na swoją modłę - nie ingerują w miejscową kulturę. Skłoniło mnie to do zastanowienia, czy przypadkiem w Indiach nie będę miała wrażenia, że znalazłam się z powrotem w An- glii, obawiam się bowiem, iż Brytyjczycy są mniej subtelni w poszanowa- niu miejscowych zwyczajów.

Teraz, gdy dotarliśmy do południowego krańca Afryki, a więc pokona- liśmy połowę podróży, coraz częściej myślę o tym, co mnie czeka. Z jednej strony, upaja mnie świadomość podążania ku nieznanemu, z dru- giej - ogarniają lęki.

Szczęśliwie poza owymi paniami, udającymi się na krucjatę, pozna- lam także innych pasażerów i różnorodność towarzystwa podziałała na mnie ożywczo. Okazało się, że wraz ze mną płyną: wysoki urzędnik Kompanii Wschodnioindyjskiej wraz z żoną, pastor z małżonką oraz grupa wojskowych, którzy będą stacjonować w górskich placówkach na północy Indii. Jest tu także kilka kobiet, podobnie jak ja podróżujących samotnie. Jedna wraca do rodziny po studiach w londyńskim Queen's College, inna jest nianią, która otrzymała posadę w Delhi, a jeszcze ko- lejna zaręczyła się z Hindusem. Ona intryguje mnie najbardziej, bo już wkrótce będzie zasłaniać welonem włosy i twarz, jak to czynią wszystkie

muzułmańskie kobiety. Ale jej nie przeraża ta perspektywa, bo jest zakochana, więc świat wydaje jej się piękny, pulsujący tysiącem możliwości.

Niektórzy z moich towarzyszy podróży już pokonywali wcześniej tę trasę, opowiedzieli mi więc wiele o Indiach i teraz już nie mogę się doczekać, kiedy tam wreszcie dotrzemy!

## Bombaj, 15 listopada 1864

Przybyliśmy do Bombaju i spędzimy tu trzy noce, zanim wsiądziemy w pociąg do Benaresu. O ile dobrze zrozumiałam, będziemy tam jechać cały tydzień i mam tylko nadzieję, że grupa misjonek ma inny niż ja plan podróży!

Strony, które w ostatnich tygodniach zapisałam na morzu, uległy zniszczeniu, kiedy nadeszło gwałtowne załamanie pogody i za sprawą wysokiej fali wyrzucił się dzbanek z herbatą, a cała jego zawartość znalazła się na moim kufrze, czy raczej - moim stole. Na szczęście napój nie dostał się do środka kufra i nie zniszczył moich białych bawełnianych sukien, zakupionych w Simonstown. Poza tym jednym wypadkiem reszta podróży przebiegła już bez żadnych interesujących wydarzeń i kiedy zbliżaliśmy się do kresu żeglugi, prawie zaczęłam marzyć o napadzie korsarzy, byle tylko coś złamało monotonię dnia!

Nie umiem wprost opisać, jak wielką przeżyłam radość, gdy na horyzoncie zamajaczył zachodni brzeg Indii - choć był ledwie niejasnym cieniem, uznałam, że to jeden z najbardziej wyczekiwaných widoków w moim życiu. Kiedy się zbliżaliśmy do portu w Bombaju, pasażerowie wylegli na pokład i przywarli do relingów - wszyscy tak podniesieni na duchu, że i ja wpadłam w doskonały nastrój.

Pierwszą rzeczą, która uderzyła mnie w tym kraju, były białozłociste plaże, obrzeżone zagajnikami palm o strzępiastych liściach. Drugą - bardzo szczególny aromat: tajemnicza mieszanina nieznaných tytoni, korzenných przypraw, słodkavých kadzideł i jaśminu, a wszystko to podszyte zapachem zwierząt. Tutaj krowy chodzą beztrósko po ulicach, bo są święte. Widziałam także wielbłądy, psy, słonie, małpy i konie, a na targowisku zauważyłam nawet geparda na łańcuchu, i powiedziano mi, że jest na sprzedaż!

Z hotelu „Tadž”, gdzie spędzę dwa dni w komfortowych warunkach, rozciąga się oszałamiający widok na bombajski port, tętniący życiem i

przesycony niezliczoną ilością kolorów. Gmachy wzdłuż głównej alei zostały wzniesione przez Kompanię Wschodnioindyjską, są więc bardzo europejskie w stylu, a klasycystyczny majestat kamiennych kolumn onieśmiela oślepiającą bielą, ostro się odcinającą od tła idealnie niebieskiego nieba. Tę rzymską w rysunku architekturę otaczają prawdziwie hinduskie bungalowy, chaty z suszonej cegły i nędzne lepianki, kryte liśćmi palm kokosowych.

W porcie wielkie żaglowce handlowe, statki pasażerskie, malowane na różne kolory, i długie, wąskie rybackie łodzie cumują tuż obok siebie i zlewają w unoszącą się na wodzie kakofonię kształtów i barw. Na nabrzeżu beczki, skrzynie i worki są codziennie wnoszone lub wynoszone z okrętowych ładowni przez ogromną rzeszę ludzi - ja w każdym razie jeszcze nigdy nie widziałam tak wielu osób w jednym miejscu.

Nad brzegiem morza przesiadują ciemnoskórzy rybacy i zajmują się naprawą sieci, a za całe ubranie służy im jedynie przepaska na biodra, kobiety natomiast w jaskrawozielonych i amarantowych sari, ze świeżymi kwiatami we włosach, noszą na głowie kosze pełne owoców lub liści palmowych. Uderzyła mnie zaskakująco duża liczba mężczyzn, którzy nie mają do zrobienia nic pilniejszego ponad siedzenie w kucki na ziemi, żucie betelu i strzykanie przed siebie fontannami zabarwionej na czerwono śliny. Nie widziałam, żeby jakakolwiek kobieta próżnowała, żadnej też nie udało mi się spojrzeć w oczy, bo gdy mnie mijają, skromnie spuszczają powieki. Mężczyźni za to śmiało się prześlizgują po mnie wzrokiem i często niemal czuję na sobie ich spojrzenia.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że tutaj czas płynie swobodniej, nie jest krępowany przez żadne ramy, bo nie zauważyłam śladu pośpiechu i afektowanego zabiegania, tak charakterystycznych dla Londynu. Powietrze zdaje się gęste niczym ciężka tkanina i wprawia mnie w stan rozmazania. Teraz już zmierzcha, a przed chwilą na balkon, gdzie siedzę, przyniesiono mi kieliszek dżinu z cytryną. Muślinowe zasłony falują, unoszone ciepłą morską bryzą, a z dołu dolatują zapachy ulicy. Jestem zauroczona wszystkim, co obce, nowe i nieznanne - zaczynając od grubego splotu tkaniny na prześcieradła, a na dymnym aromacie herbaty naciągającej w wymyślnie zdobionym dzbanku kończąc. Tutaj wreszcie nic mi nie przypomina o moim przeszłym życiu.

Postaram się, by ten list został wyekspediowany pierwszym statkiem, odpływającym z Bombaju do Anglii, więc jeśli wszystko dobrze pójdzie, powinnaś go dostać przed Bożym Narodzeniem, Barbaro. Załączam również kartę świąteczną, zaadresowaną na Waterloo Street, z życzeniami dla mojej gospodyni, a także Sary i Ellen. Jeżeli będziesz miała okazję przekazać im ode mnie pozdrowienia, zrób to, proszę. Powiedz też Sarze, że może mi przesłać wszystko, co uda jej się napisać.

Mam nadzieję, że u Ciebie sprawy w najlepszym porządku. Może to i lepiej, że relacja z ostatnich tygodni żeglugi uległa zniszczeniu, bo widzę, że i tak się zrobiła z tego długa kronika mojej podróży. Zdaję sobie sprawę, że miejscami ta pisanina jest chaotyczna i rozwlekła, ale podczas niekończących się dni komponowanie listu do nieobecnej przyjaciółki było dla mnie cenniejsze od najlepszego towarzystwa.

Pozdrawiam Cię najserdeczniej -

Lily

## XXIII

Błądym świtem złodzieje, tanie prostytutki, łotry i nicponie wszelkiej maści zeszedli się tłumnie na miejsce kaźni i zachowywali nierzecznie - jak to motłoch ma w zwyczaju. Wybuchwały bójki, rozlegały się gwizdy, sywały grubiańskie dowcipy, a gdy policja zaczęła wyciągać z tłumu mdlejące kobiety w poszarpanych sukniach, hałaśliwe demonstracje nieprzystojnej uciechy dodatkowo urozmaicały widowisko.

Charles Dickens o publicznych egzekucjach,  
londyński „Times”

**S**ara podniosła się od stołu, by po raz kolejny spojrzeć na Ellen. Od godziny próbowała napisać list, ale jak do tej pory zmarnowała tylko arkusz cennego papieru. Łojowa świeca powoli się dopalała i Sara chętnie powróciłaby do mniej skomplikowanego zajęcia - wprawiania się w stawianiu liter, a więc pilnego przepisywania ze starych numerów

„Merkuriusza” artykułów, w których napotkała najbardziej niezwykle lub interesujące słowa.

W skupieniu myśli nie pomagał fakt, że Ellen ostatnimi czasy zdawała się odrętwiała, i Sara co chwila z lękiem sprawdzała, czy jej drobna pierś jeszcze się unosi w oddechu. Odkąd po przyjsciu ze szkoły mała położyła się na sienniku, ani razu się nie poruszyła, a póki nie zasnęła, leżała milcząca i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Nie polubiła z czasem szkolnych zajęć, choć nagle przestała z nich uciekać. Paradoksalnie, nie ucieszyło to Sary. Gdyby jej siostra znowu zaczęła znikać z lekcji, Sara przynajmniej wiedziałaby, że Elly ma w sobie jeszcze dość siły ducha, żeby nad rzeką cierpliwie wypatrywać małej syrenki. Niekiedy dręczyły Ellen koszmary i wówczas mówiła przez sen różne rzeczy, ale nigdy rano tego nie pamiętała. I całe szczęście. Niekiedy Sara żałowała, że usłyszała z ust siostry niektóre opowieści.

Ellen leżała niemal całkiem schowana pod nową grubą kołdrą, uszytą z kwadratowych kawałków materiału o ładnych wzorach i kolorach, która była dziełem rąk pani Vesper. Gospodyni kiedyś je odwiedziła (Sara próbowała temu zapobiec, ale Marta pozostała niezłomna w swoim postanowieniu) i potem, oprócz kołdry, podarowała im obu nowe buty, ciepłe ubrania na zimę oraz śliczną puszkę, pełną kolorowych wstążek do związywania włosów Ellen. Od czasu pierwszej, pamiętnej kolacji gospodyni pilnowała też, żeby dwa razy w tygodniu dziewczynki jadły u niej ciepły posiłek. Prawdopodobnie chętnie karmiłaby je co dzień, ale Sara uznała, że zbyt częste jądanie na Waterloo Street miałyby już coś wspólnego z żebractwem. Jednak dzięki tym dwóm kolacjom mogły się lepiej odżywiać w inne dni tygodnia i tej zimy portki już tak na niej nie wisały. Ellen natomiast nie przytyła ani trochę, a nawet wydawała się drobniejsza, jej oczy zaś już nie miały dawnego blasku i przywodziły na myśl dogasającą świecę.

Ze wszystkich rzeczy, które pochodziły od pani Vesper, największą przyjemność sprawił Sarze list od Lily. Został jej wręczony uroczyście zaledwie wczoraj, gdy przyszły z Ellen na Waterloo Street. Znajdował się w grubej brązowej kopercie, zaadresowanej czarnym atramentem, pięknym charakterem pisma, do „panny Sary O'Reilly”. Sam fakt otrzymania korespondencji był dla Sary ekscytujący, a co dopiero korespondencji od Lily, i to prosto z samych Indii. Lekko zmięty papier wydzieliał

dziwny, jednak znajomy zapach. Sara dopiero po dłuższej chwili przypomniała sobie, skąd go знаła - taki sam aromat wydzielaly koraliki, które Ellen dostała swego czasu od Wikrama.

Do tej pory już trzy razy przeczytała list, a ponieważ właśnie minął styczeń, nadszedł najwyższy czas, żeby coś odpisać, bo wkrótce odpływał ostatni statek, który jeszcze mógł dotrzeć do Indii, zanim Lily ruszy w powrotną drogę. Problem w tym, że Sara nie mogła znaleźć właściwych słów. Na myśl o tym, że ktoś będzie czytał to, co napisała, zaczynał się w niej jakiś trybik i nie była w stanie wymyślić nic ponad głupie, sztywne zdania w rodzaju:

*Droga Lily Korechnya,*

*W Londynie jest dziwnie bez Ciebie, a zimę mamy okropnie srogą.*

*Droga Lily Korechnya,*

*Pałac maharadży wydaje się wspaniały i bardzo bym chciała zobaczyć jego oswojonego tygrysa.*

*Droga Lily Korechnya,*

*To pierwszy list, jaki piszę w życiu.*

Sara przypominała sobie, co mówiła Lily, gdy po raz pierwszy jechały razem fiakrem do Kensington - że prowadzi notatki, by uwolnić umysł od nadmiaru myśli. Ale pisanie listu to zupełnie inna historia. Jutro, po pracy, raz jeszcze przeczyta list od Lily, a potem odpowie. Tak czy inaczej.

Z początku w ogóle nie umiała się posługiwać piórem - atrament nie chciał spływać równo po stalówce i narobiła takiego bałaganu, że chciała zrezygnować z prób i pozostać przy ołówku. I gdyby tak bardzo nie pragnęła wyrobić sobie pięknego pisma - tylko po to, żeby Lily było przyjemnie czytać korespondencję od niej - nie zawracałaby sobie głowy piórem. Teraz już jej się wydawało, że pismo ma całkiem ładne, a nigdy nie należała do osób chępliwych, popadających w fałszywą dumę. Bo też wielokrotnie słyszała od Ruby, że duma jest śmiertelnym grzechem. A ponieważ szynkarka nigdy nie czytała Pisma Świętego, Sara doszła do wniosku, że Ruby się nauczyła, co jest, a co nie jest grzechem, od Świętego Joego w czasach, gdy był jeszcze kaznodzieją. Sama Ruby nigdy nie wracała pamięcią do tamtego okresu - prawdę mówiąc, od dnia

egzekucji nawet nie wspomniała imienia Joego.

Od owego dnia z Diabelskiego Kwartału wyparowała także wszelka beztroška i radość. Co prawda, trudno powiedzieć, by wcześniej było to szczególnie radosne miejsce, ale kiedyś nie panował tu aż tak powszechny strach jak teraz. Ludzie zmienili również swój stosunek do Sary i Ellen. Nawet łapacz królików nie zwracał na nie uwagi, chociaż kiedyś rzucał w stronę Sary znaczące spojrzenia, bo dawno się zorientował, że ona jest dziewczyną. Jedynie Ruby, chwalała jej za to, była taka jak zawsze, a nawet, ilekroć widziała Ellen, starała się ją radośnie zagadywać i żartować, nie zważając na to, kto akurat stał przy barze.

Sara się zastanawiała od pewnego czasu, jaka historia mogłaby być materiałem na broszurową powieść, i doszła do wniosku, że napisze coś specjalnie dla Ellen. Będzie to opowieść o dziewczynce z jasnymi włosami, która spotkała hinduskiego księcia i popłynęła z nim do zamorskiego kraju, by zamieszkać w złotym pałacu, z dala od mrocznego serca Londynu.

I chociaż była okropnie zmęczona, a świeca rzucała już bardzo mdły blask, wyjęła kolejny arkusz pergaminu i maczając stalówkę w kałamarzu, zapisała całą stronę, zanim ogarek dokonał żywota.

Nazajutrz rano, gdy Sara otworzyła oczy, zobaczyła siostrę siedzącą w rogu siennika i wbijającą w nią nieruchomy wzrok.

- Dzień dobry, Elly. Widzę, że się obudziłaś razem z jaskółkami. Może pobiegniesz na górę i postawisz czajnik na piecu, żebyśmy mogły się napić herbaty?

- Czy wieszanie boli?

Sara także nie mogła przestać myśleć o Joem. W niedzielę, na dzień przed egzekucją, pani Vesper zapytała Ellen, dokąd chciałaby pojechać nazajutrz, i Elly odparła, że do ogrodu przy starym domu w Kensington. Sara natychmiast odetchnęła z ulgą, bo już się obawiała, że siostra wybierze Pole Powroźników, dokąd droga wiodła nieopodal Old Bailey i więzienia Newgate.

Ale jadąc do Kensington, również się natknęły na oznaki nadchodzącego spektaklu, bo w promieniu mili od więzienia na dachach i balkonach tłoczyli się ludzie, którzy zapłacili za te uprzywilejowane miejsca, a na wszystkich ulicach wiodących ku Newgate ustawiły się gęsto kramy i oferowały smażone ryby, piwo imbirowe oraz placek z wiśniami. Ellen



patrzyła na to przez okno powozu, ale nie odezwała się ani słowem.

Pani Vesper nigdy wcześniej nie była w starym domu i podczas gdy Sara pomagała siostrze szukać czterolistnej koniczyny, gospodyni obchodziła dookoła budynek i potrząsając głową, zaglądała do środka przez zakurzone szyby. Potem zniknęła, by po niedługim czasie powrócić razem z dżentelmenem w kosztownym surducie i cylindrze na głowie. Mężczyzna miał przy sobie parasol o okrągłej ręczce z mosiądzu, a także wielki, płaski, skórzany pugilares. Wyglądał na jednego z dandysów, których często można było spotkać na schodach wiodących do Old Bailey. Sara nie słyszała, o czym rozmawiało tych dwoje, ale widziała, jak czubkiem parasola mężczyzna wskazywał na dach, a potem na mury.

Kiedy się odwróciła, żeby sprawdzić, co porabia Ellen, nie dostrzegła jej w zasięgu wzroku. Ze ściśniętym sercem ruszyła na poszukiwania i gdy strach już na dobre chwycił ją za gardło, ujrzała siostrę siedzącą w bezruchu na samym końcu ogrodu. Sara pomyślała, że może Elly dostrzegła królika lub lisa, i na wszelki wypadek szła powoli i cicho, żeby nie spłoszyć zwierzaka. A gdy znalazła się już niedaleko siostry, Ellen, nie odwracając głowy, wypowiedziała pierwsze tego dnia słowa:

- Joe już nie żyje. Joe umarł.

Zacząła je powtarzać raz po raz, obsesyjnie, jakby chciała mieć pewność, że zapadną jej w pamięć. Sara zagryzła usta, żeby nie wybuchnąć płaczem.

- Elly, chodź do mnie. - To wszystko, co zdołała z siebie wykrztusić.

Kiedy mała podeszła i wtuliła twarz w pierś siostry, Sara już nie była w stanie powstrzymać łez i obie zaczęły szlochać. Płakały i płakały - nad Joem, nad mamą i papą, a także nad własnym życiem, które - choć krótkie - nie szczędziło im tragedii.

Od egzekucji minęło już kilka miesięcy, pomyślała Sara, przecierając oczy i zerkając na siostrę. Ellen nadal tkwiła nieporuszona i na szczęście chyba zapomniała, że zadała to pytanie o wieszaniu. Zjadły szybko śniadanie, Sara związała włosy Elly czerwoną wstążką z puszki od pani Vesper, a potem - przy szkolnej furtce - uściskała siostrę i delikatnie pchnęła w stronę klasy.

Pan Harding dotrzymał słowa i uwolnił Sarę od przeciwnastmatycznych balsamów i cudownych kordiałów, ale i tak nie czekała z zapartym tchem na nowe teksty na swoim pulpicie. Przez jakiś czas składała

ogłoszenia drobne: o wynajmie domów i pokoi, zapotrzebowaniu na wyspecjalizowanych stelmachów i wytwórców tabakierek, sprzedaży eleganckich faetonów i rasowych kucyków. Swoje anonse zamieszczały także niezliczone guwernantki, „szacowne i o miłym usposobieniu”, poszukujące zatrudnienia w odpowiednim domu. Jedna z owych młodych kobiet opisała siebie jako „szanującą się córkę oficera, o nienagannyh manierach”. Sara spostrzegła, że wszystkie kobiety ubiegające się o pracę uważały za konieczne podkreślenie swojej szacowności, natomiast mężczyźni nigdy nie zawracali sobie tym głowy. W ostatnim tygodniu, zamiast ogłoszeń drobnych, dostała do składania anonse innego rodzaju. Zajmowała się teraz tekstami donoszącymi o przybyciu lub wyjeździe ważnych dygnitarzy oraz o innych wydarzeniach natury towarzyskiej - i umierała z nudów. Bo co ją obchodziło, że hrabia Cambridge wydał w piątek obiad w swojej rezydencji przy Piccadilly lub że księżna Palmerston została ostatnio zaszczycona wizytą księcia Prus oraz hrabiego nazwiskiem Oberlitz.

Kiedy Sara weszła do wydawnictwa, zatrzymała się przy biurku pana Parsimmonsa, żeby sprawdzić, czy nie ma dla niej żadnych pilnych zleceń.

- Wydawca chce się z tobą widzieć, Sam - mruknął sekretarz, nie podnosząc głowy znad swojego rejestru.

Nie było sensu pytać, w jakiej sprawie, bo pan Parsimmons nigdy nie odpowiadał. Uwielbiał zachowywać się tajemniczo i Sara doszła do wniosku, że to tylko pozwala mu zachować autorytet, bo jeżeli ma się tak brzydką facjatę, trzeba przynajmniej udawać, że kryje się w zanadru coś bardzo niezwykłego.

Kiedy weszła do biura, nie zobaczyła tam wydawcy, ale inspektora Larka, który stał przy kominku i wpatrywał się w ogień.

- Dzień dobry, Saro. Zapewne szukasz pana Hardinga - wyszedł na chwilę w ważnej sprawie. Ale wejdź i ogrzej się trochę, pan Harding zapewne wkrótce się zjawi.

Lark z powrotem przeniósł wzrok na płomienie i Sara zauważyła, że wygląda na bardziej przygnębionego niż zwykle. Przez całą zimę był melancholijny, zapewne z racji wyjazdu pani Korechnya, bo przecież niemożliwe, żeby się gryzł z powodu jednej egzekucji - widział ich zbyt wiele w życiu. Chociaż z pewnością czuł się trochę nieswojo po tej historii z Joem, bo od czasu ich wspólnej wyprawy nad rzekę zachowywał się tak, jakby nie wiedział, co ma Sarze powiedzieć. Ona z kolei bardzo

chciała dać mu do zrozumienia, że nie obwinia go za to, co się stało. Miała wiele tygodni, by wszystko przemyśleć, poza tym zauważyła, że gazety rozchodzą się błyskawicznie, jeżeli tylko jest w nich coś na temat mordów lub wieszania - a więc tego właśnie domagała się gawiedź. W końcu sam pan Dickens napisał artykuł do „Timesa”, w którym protestował przeciwko publicznym egzekucjom. Jedno zdanie szczególnie utkwiło Sarze w pamięci - to, w którym opisywał zebrany tłum: „ich uniesione twarze, zastygłe w wyrazie pełnej okrucieństwa radości, są tak niewyobrażalnie odrażające, że człowiek zaczyna się wstydzić, że jest człowiekiem”.

Sara zachodziła w głowę, co by tu powiedzieć, by inspektor zrozumiał, iż ona nadal go lubi - tym bardziej że wyglądał na kogoś, kto bardzo potrzebuje przyjaznej duszy. I nagle ją oświeciło! Wiedziała już, jak poprawić mu nastrój.

- Dostałam list od pani Korechnya - oznajmiła.

Tak jak przewidywała, na wzmiankę o Lily twarz mu się nieco wy pogodziła.

- Czy wszystko u niej w porządku?

- Czuje się doskonale. Widziała małpy i tygrysa, a maharadza podobno ma dużo kobiet i trzyma je w jednym miejscu niczym konie w stajni.

Sara z satysfakcją zauważyła, że zdołała wywabić uśmiech na usta Larka, ale zanim inspektor zdążył cokolwiek odpowiedzieć, w biurze pojawił się pan Harding.

- A! Sara. Mam dla ciebie dzisiaj zadanie specjalne.

Już ona dobrze wiedziała, na czym ono będzie polegało.

- Nie ma powodu do takiej smętej miny, bo postanowiłem cię uwolnić od monotonii towarzyskich przyjęć sezonu. Właśnie otrzymałem esej od pani Korechnya, który zamieścimy w kolumnie pana Evansa, poświęconej niezwykłym kobietom, mimo że tekst ten jest nad wyraz osobliwy. Nad wyraz.

Teraz pan Harding zapatrzył się w ogień, a miał przy tym taką minę, jakby albo rozważał roztropność powierzenia jej podobnej pracy, albo zamieszczania równie osobliwego tekstu, i w końcu Sarę zdjął lęk, że wydawca jednak zmieni zdanie.

- I to ja miałabym go składać?

- Pani Korechnya, jak się zdaje, postanowiła zostać rzeczniczką

twoich interesów, Saro, bo jasno i wyraźnie poprosiła, żebym tobie dał ten esej. W normalnej sytuacji musiałbym odmówić, ale ponieważ w tym tygodniu nie znajdziemy miejsca na dodatkową kolumnę, masz dużo czasu, by przygotować skład do sobotniego wydania.

Sara oniemiała z wrażenia.

- Rozumiem, że odpowiada ci to zadanie?

Wciąż oszołomiona, jedynie pokiwała głową.

- Doskonale. - Podszedł do biurka i wziął w rękę kilka arkuszy pergaminu. - Wyjątkową kobietą jest tym razem pewna hinduska bogini imieniem Kali, Saro.

Sara przycisnęła rękopis Lily do piersi i kiedy zbierała się do wyjścia, Lark skinął jej lekko głową, po czym posłał nieznaczny uśmiech, i w tym momencie Sara już wiedziała, że wszystko między nimi powróciło do normy.

## XXIV

**W** liście do pani Korechnya Marta Vesper sumiennie przekazała informacje, które uzyskała od agenta nieruchomości. Gospodyni wyczuła, że to uczciwy człowiek, ale ponieważ owa cnota była w zasadzie niespotykana w jego profesji, pozwoliła sobie omówić tę kwestię z przyjaciółką Lily, panią Bodichon, gdy ta się zjawiała z krótką wizytą przed Bożym Narodzeniem.

Z błogosławieństwem Barbary Bodichon Marta pozwoliła sobie na jeszcze większą śmiałość i poprosiła owego agenta, żeby przyszedł obejrzeć dom przy Waterloo Street.

Skłamałaby, gdyby powiedziała, że nie myślała o pozbyciu się tej nieruchomości, jeszcze zanim się pojawiła możliwość kupna domu, w którym się mieściła pracownia pana Franza. Ale snuła te rozważania nie ze względu na własną osobę, bo jej nie przeszkadzała obecność innych, ale na dobre samopoczucie pani Korechnya, w której goście z zaświatów wzbudzali niepokój (choć Lily nigdy by się nie przyznała, nawet sama przed sobą, że właśnie z tego powodu nie chciała wchodzić do niektórych pokoi). W opinii Marty, jej chlebodawczyni potrzebowała zaciszniejszego domu w spokojnej okolicy, a przede wszystkim radykalnej

zmiany, którą najlepiej było przeprowadzić podczas jej nieobecności. Gospodyni miała pewność, że pani Korechnya zaufa jej osądowi sytuacji i zdrowemu rozsądkowi, tak jak wtedy, gdy po śmierci pana Franza ona z konieczności przejęła zawiadywanie większością spraw.

Gdy tylko Lily odpisała na list i wyraziła całkowitą aprobatę dla nowych planów (oznajmiając między innymi, że nie chce wracać do wspomnień z dawnego życia), gospodyni niezwłocznie zabrała się do działania. Prace remontowe w Kensington musiały się zakończyć przed nadejściem wiosny, a znalezienie rzemieślników, którzy podjęliby się naprawy dachu w zimie, kosztowało doprawdy wiele zachodu. Teraz nadszedł luty i prace przebiegły sprawnie, więc nie ulegało już wątpliwości, że wszystko będzie gotowe na połowę marca - datę powrotu pani Korechnya.

Remont i przeprowadzka przysporzyły Marcie dużo pracy, więc do pomocy w pakowaniu porcelany wciągnęła dziewczynki O'Reilly. Teraz w bawialni stało tak wiele skrzyń i tłumoków, że gdy się wchodziło do pokoju, trzeba było uważać, żeby nie przewrócić wieży ustawionej z pudeł na kapelusze czy boleśnie się nie uderzyć o kufer.

Marta powierzyła Sarze zadanie specjalne: miała pozdejmować z półek i popakować wszystkie książki z frontowej biblioteki, ponieważ gospodyni już dawno zauważyła, że jest to ulubiony pokój Sary. Wykonanie tej pracy zajęło cały weekend oraz jeszcze trzy wieczory - i nic dziwnego, bo ilekroć Marta wchodziła do pokoju, Sara siedziała na podłodze z nosem wetkniętym w książkę.

Natomiast małą Ellen Marta zawsze trzymała przy sobie, żeby mieć na nią baczenie. Teraz już wiedziała, że to dziecko rzeczywiście widzi innych, a przekonała się o tym, gdy razem zdejmowały zasłony z okien w małżeńskiej sypialni państwa Korechnya. Mała wyczuła obecność pana, zanim jeszcze Marta zdała sobie z niej sprawę - kiedy się odwróciła, aby sprawdzić, czemu Ellen nie podniosła zasłony z ziemi, chociaż dwa razy ją o to prosiła, zobaczyła, że dziecko siedzi na łóżku i wbija wzrok w kąt pokoju. A tam, na niskim fotelu, siedział pan Franz i obracał w palcach jakąś sztukę biżuterii. W pierwszym odruchu Marta pomyślała, że to naszyjnik wyjęty z obciążonej satyną szkatułki, stojącej na toalecie, do której Lily nie zajrzała od czasu śmierci męża. Znajdowała się tam biżuteria, którą dostała od niego w prezencie, a której wciąż nie była w stanie nosić. Ale chwilę później pan uniósł w górę klejnot, jakby

chciał, żeby Marta mogła mu się dobrze przyjrzeć, i wówczas zobaczyła, że tym, co trzymał w ręku, było widmo wisiora Lily. Na ten widok ogarnęło ją wielkie zdumienie, ale w końcu doszła do wniosku, że pani Korechnya musiała zgubić swój talizman podczas pobytu w Indiach.

Pomimo ciepłych ubrań, gorących posiłków i matczynej troski, jaką Marta otaczała Ellen, mała nie nabierała siły - ani ciała, ani ducha - a na dodatek przyplątał się do niej paskudny kaszel. Dziewczynki O'Reilly praktycznie zamieszkały na Waterloo Street, ponieważ Marta tak wszystko zorganizowała, żeby przychodziły pomagać jej wieczorami i w każdy weekend. Zdawała sobie sprawę, że duma nie pozwoliłaby Sarze przyjmować wsparcia, które mogłaby uznać za jałmużnę, pamiętała więc, aby na każdym kroku podkreślać, jak nieodzowna jest dla niej pomoc w przeprowadzce, z którą sama nigdy by sobie nie poradziła. Marta miała wobec dziewczynek także dalsze plany, które jednak musiały poczekać do powrotu pani Korechnya.

Pewnego dnia, zanim jeszcze się zabrały do pakowania, Sara poszła w bibliotece do stołu służącego Lily za biurko, po czym zaczęła gładzić skórzane oparcie krzesła i z tęsknotą w oku spoglądać na duży kałamarz ustawiony na blacie.

- Możesz usiąść przy tym stole, jeśli chcesz - powiedziała gospodyni, a Sara aż podskoczyła.

- O nie. Nie. Ja tylko... - Policzki jej poczerwieniały, a Marta uśmiechnęła się ciepło.

- Pani byłaby zadowolona, że pod jej nieobecność komuś dobrze posłużyły jej przybory.

Powiedziawszy to, wyszła, a gdy jakiś czas potem przechodziła obok biblioteki, zobaczyła, że Sara siedzi przy stole i pilnie coś zapisuje. Dla Marty nie ulegało wątpliwości, że ma ona talent do pióra, i postanowiła, że napisze kolejny list do pana Hardinga z „Merkurjusza Londyńskiego”, w którym poinformuje, że jego „terminator” powinien się kształcić, w związku z czym będzie potrzebował więcej wolnych dni, pozwalających na naukę w szkole. W ten sposób może chociaż jedna z sióstr O'Reilly skorzysta z nowego dobrodziejstwa edukacji dla dziewcząt. Bo niechć Ellen do nauki ani trochę się nie zmniejszyła i już jakiś czas temu mała w godzinach lekcji zaczęła się zjawiać na Waterloo Street. Wówczas Marta zwróciła się o poradę do pani Bodichon i ostatecznie wspólnie

doszły do wniosku, że towarzystwo gospodyni lepiej posłuży zdrowiu Ellen niż towarzystwo innych dzieci, a i jej nauka specjalnie na tym nie ucierpi, Elly miała bowiem już takie zaległości, że i tak ją czekało powtarzanie klasy.

Marta Vesper nie najlepiej się znała na dzieciach, bo własnych nigdy nie miała, ale i bez tego widziała, że z Ellen dzieje się coś bardzo złego - czego już nie można było wytłumaczyć jedynie utratą rodziców i jej wyjątkową wrażliwością. Może rację miała Barbara Bodichon, gdy twierdziła, że morderstwo Hindusa, po którym nastąpiła egzekucja Świętego Joego, to już zbyt wielki ciężar dla wątłych ramion dziewczynki. Cóż, teraz Marta mogła jedynie czuwać nad małą, no i nieustannie zajmować czymś jej uwagę, żeby nie miała czasu na fascynację światem zmarłych.

Z Sarą natomiast sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej - ona twardo stąpała po ziemi i Marta była przekonana, że ze swoim bystrym umysłem i dążeniem do wiedzy, Sara daleko zajdzie w życiu. Od pewnego styczniowego dnia, gdy przyszła do gospodyni i typowym dla siebie, rzeczowym tonem oznajmiła, że dostała miesiączki, nabrała bardziej dziewczęcego wyglądu. Marta pokazała jej wówczas, jak prać specjalne szmatki i gotować napar z suszonych liści malin i melisy, żeby otrzymać lek na skurcze.

Sara wciąż się upierała przy wełnianym kaszkiecie i portkach, ale już nie chodziła do golibrody na Fleet Street, aby ścinać krótko włosy, więc teraz były na tyle długie, że zaczęły się delikatnie wić wokół jej piegowatej twarzy. Przestała też nosić męskie koszule, ponieważ Marta jej uszyła kilka podobnych do koszul bluzek z bawełny w biało-niebieskie paski, a do tego - czarną aksamitną kamizelkę, by stanowiła całość z jej czarnymi butami.

A więc biorąc wszystko pod uwagę, tegoroczna zima okazała się dużo lepsza od poprzedniej, i Marta wprost nie mogła uwierzyć, że już minął cały rok od czasu, gdy pan Franz spoczął w grobie. Pierwszy rok od śmierci jest zawsze najgorszy, bo wszystko wokół przypomina o świeżej stracie. Gospodyni miała też silne przeczucie, że pani Korechnya powróci z Indii całkiem odmieniona, całe szczęście więc, że nie będzie już musiała przesiadywać w pokojach zaludnionych przez cienie, które należało pozostawić w spokoju, by wyblakły i odpłynęły do swojego świata.

## XXV

Kensington, 1 maja 1865

Droga Barbaro,

Miałam doprawdy szczerzy zamiar, żeby usiąść przy stole i napisać do Ciebie długi list, gdy tylko postawię stopę na stałym lądzie. Od tej pory minęło sześć tygodni, a ja dopiero dzisiaj znalazłam spokojny moment, żeby zebrać myśli i skreślić kilka słów.

Jak Ci wiadomo, mała Ellen O'Reilly zmarła tuż po tym, jak wraz z Martą wzięłyśmy do siebie dziewczynki. Wszystkim nam pękało serce i pogrążyłyśmy się w smutku. Jakież to okrutne, Barbaro - te dzieci uciekały z Irlandii od głodu i biedy z nadzieją na lepsze życie, a przybyły do miejsca, gdzie czekała je jeszcze gorsza nędza. Mimo to przetrwały dzięki bystrości i odwadze, a gdy już się wydawało, że los się wreszcie do nich uśmiechnął - Ellen mogła mieć duży ogród do zabawy i czyste, śliczne sukienki - śmierć ją nam zabrała.

Szczęśliwie mogłam jeszcze spędzić cudowne chwile z obiema dziewczynkami, chociaż od razu po przyjeździe zauważyłam, że Ellen jest bardzo chora. Gdy wyjeżdżałam, już była drobnym, wątłym dzieckiem, ale po tych sześciu miesiącach wydała mi się bardziej podobna do ducha niż żywej istoty. Marta troskliwie opiekowała się dziewczynkami podczas mojej nieobecności i bardzo przeżyła odejście małej, na szczęście jest zbyt mądra, by się obwiniać za to, co się stało - poza tym ma szczególne poglądy na temat świata zmarłych. Naturalnie osobą, która cierpi najbardziej, jest Sara i chociaż stara się być nad wyraz dzielna, trudno nie zauważyć, jak bardzo brakuje jej siostry. Martwię się, że w duchu wyrzuca sobie, że nie zrobiła wszystkiego, co mogła, by uratować Ellen. Rzecz w tym, że tego dziecka nikt nie mógł już ocalić - lekarz powiedział nam to bez ogródek zaledwie po paru pierwszych wizytach. Ellen była po prostu zbyt słaba, żeby zwalczyć zapalenie płuc.

Sara często mi powtarza, że jej siostra nie bała się śmierci, że w istocie była bardziej zafascynowana tym, co ludzie robią w niebie, gdy już umrą, niż światem, który ją otaczał. Marta natomiast jest przekonana, że



to dziecko miało dar postrzegania równoległej rzeczywistości. Przed wyjazdem do Indii zapewne uznałabym to za nonsens, a jednocześnie obudziłby się we mnie lęk. Jednak w Benaresie nauczyłam się akceptować śmierć, bo tam jest ona witana z radością i uznawana za coś równie naturalnego jak pokarm czy zapach sandałowego drewna.

To Marta wpadła na pomysł, żebym przejęła prawną kuratelę nad dziewczynkami O'Reilly i wspólnie z nią zapewniła im opiekę, jakiej nie zaznały od chwili, gdy straciły matkę. Przedłożyła mi ten plan już pierwszego wieczoru po moim powrocie. Ja podczas podróży rozważałam taką możliwość, ale w odróżnieniu od Marty nie poczyniłam żadnych konkretnych kroków, ona natomiast kazała mojemu prawnikowi przygotować papiery adopcyjne, które od razu dała mi do przejrzania. Doprawdy, muszę przyznać, że sama lepiej bym tej sprawy nie przygotowała. Moja gospodynie jest doskonałym przykładem na to, że kobiety są w stanie znakomicie zadbać o własne interesy.

Kiedy papiery się uprawomocnią - a to zajmie trochę czasu - zostanie prawną opiekunką Sary O'Reilly, na co ona przystała z największą radością, i od kilku tygodni już oficjalnie mieszka w naszym domu. Bardzo jej zależało, żeby zająć pokój na strychu, i tam teraz spędza większość czasu, czytając i pisząc, bo pod koniec lata ma rozpocząć naukę w Queen's College.

Muszę przyznać, że po przyjeździe ledwo poznałam dom w Kensington. Zachwyciły mnie piękne tkaniny i niezwykle tapety (Marta nakłoniła Williama Morrisa, by tu przyjechał i osobiście zaprojektował wystrój wnętrza) oraz nowe drewniane podłogi. Piszę teraz do Ciebie z pokoju, który był ongiś pracownią Franza - przez otwarte tarasowe drzwi patrzę na ogród i wdycham wonne, wiosenne powietrze.

Dzisiaj spacerowałam po uroczych uliczkach Kensington i natknęłam się na dzieci obrywające gałęzie z głogów i wiązów, by przystroić domy zgodnie z pierwszomajową tradycją. Wzięłam od nich jedną gałązkę kwitnącego głogu, włożyłam do wazonu i postawiłam na stole, żeby nam przypominała, że każdy dzień winnyśmy witać z radością w sercu.

Wciąż powracają do mnie wspomnienia z Indii - cudowne i bliskie mojemu sercu, bo mam wrażenie, że zostawiłam tam część siebie. Jestem pewna, że pewnego dnia jeszcze powrócę do owej krainy, ale

tymczasem cieszę się nowym domem i bliskością wszystkich, którzy są mi drodzy.

Twoja przyjaciółka

Lily

## XXVI

Sara w głębi serca wiedziała, że Ellen umrze przed końcem zimy, bo ona nie chciała już żyć na tym świecie, wiedząc, że jej przyjaciele i mama, i papa, i niemowlak z utęsknieniem czekali na nią w raju.

Żadna z nich nie czuła żalu, kiedy się wyprowadzały z Diabelskiego Kwartalu - Joe dawno temu zawisł na szubienicy, a niegdyś przyjazne twarze odwracały się teraz na ich widok. Sara się tym nie przejmowała, bo dobrze wiedziała, że ten jest prawdziwym przyjacielem, kto nim pozostaje, kiedy jest się w biedzie. Ruby robiła, co mogła, aby czuły, że ich dom jest nadal w „Białym Jeleniu”, ale tak naprawdę trzymanie lokatorek, które swego czasu przyjaźniły się z mordercą, źle wpływało na interesy.

Teraz wszystko się zmieniło. Sara miała własny pokój na poddaszu - o czym zawsze marzyła - i stół pod oknem. Kiedy przy nim siedziała, odnosiła wrażenie, że rozciąga się przed nią cały, wielki świat. Pod skosem dachu stało jej łóżko (bez robactwa w sienniku), w którym spała sama jedna na białych prześcieradłach, pod kołdrą uszytą przez Martę, a naprzeciwko łóżka znajdowała się umywalnia z biało-niebieską porcelanową miednicą i takim samym dzbankiem.

Sara już jakiś czas temu zaczęła pisać opowieść o dziewczynce z Londynu, która się zakochała w hinduskim księciu, i pani Korechnya powiedziała, że historia zapowiada się ciekawie, lecz aby czytelnik miał ochotę przeczytać opowiadanie, musi ono zawierać jakiś dodatkowy wątek, który pobudzi do zastanowienia, rozśmieszy lub przyniesie nadzieję. Żeby napisać dobrą historię, trzeba też było się zająć czymś, co Lily nazwała „faktografią”, żeby czytelnik mógł zyskać wiedzę o czasach czy miejscach bardzo oddalonych od ławki w pociągu lub fotela - gdziekolwiek będzie się oddawał lekturze. Lily powiedziała, że jeżeli Sara naprawdę chce pisać o Indiach, to musi tam pojechać, a potem

dorzuciła, że może wyprawia się razem do tego egzotycznego kraju, gdy Sara pomyślnie zakończy naukę w Queen's College. Na razie miała do dyspozycji tylko list, w którym Lily opisała Indie jako krainę małą i tygrysów, gdzie całe rzeki - a nie jedynie marne misy jak w angielskich kościołach - są pełne święconej wody, zmarłych zaś się odziewa w złote szaty i obnosi po ulicach miasta. Sara uznała, że to całkiem niezły sposób odejścia z tego świata, chociaż nie była już taka pewna, czy chciałaby zostać spalona na stosie i skończyć jako popiół unoszący się na powierzchni święconej wody.

Nie pokazała się w pracy od czasu, gdy kaszel Ellen bardzo się pogorszył, ale Septimus Harding powiedział, że jak pani Korechnya zacznie na nowo pisać eseje, Sara - jeżeli tylko zechce - będzie je zawsze mogła składać. Dodał, że był z niej bardzo dumny, gdy zobaczył, jak doskonale sobie poradziła z opowieścią o przerażającej hinduskiej bogini Kali, której za kolczyki służyły ciała niemowląt i która o mały włos nie straciła w Benaresie swojej świątyni, bo Brytyjczycy chcieli ją wyburzyć i na tym miejscu zbudować stację pomp.

Sara zapewniła pana Hardinga, że z największą przyjemnością podejmie się tego zadania, ponieważ bardzo jej zależało, aby nadal samodzielnie zarabiać pieniądze, i dlatego że w jej opinii żadnemu zecerowi nie mogło się trafić nic lepszego od esejów pana Evansa. Septimus Harding wiedział, że Sara rozpoczyna naukę w college'u, ale zaznaczył, że jeżeli ma ochotę, może pracować przez całe lato, i że zawsze się znajdzie dla niej miejsce w jego gazecie, co Sarę szczerze uradowało.

Jedynym cieniem na tych pomyślnych wydarzeniach kładła się śmierć Ellen. Niekiedy Sara wciąż nie mogła uwierzyć, że jej siostrzyczka naprawdę umarła, chociaż bardzo się postarała, aby nikt nie zabrał małego ciała tuż po tym, jak Elly wydała ostatni dech. Na to właśnie nalegał lekarz, bo zdecydowanie mu się nie podobało, że martwa Ellen ma choćby kilka godzin dłużej przebywać wśród żywych. Dał jednak za wygraną, ponieważ już w czasie pierwszych wizyt się zorientował, że w tym domu kobiety ustalają reguły. Sara poprosiła Lily, by Ellen mogła zostać w swoim łóżku chociaż jeszcze przez parę dni, bo chciała się oswoić ze śmiercią siostry i należycie z nią pożegnać. Widziała, że zarówno Lily, jak i Marta uważają jej prośbę za dość osobliwą, ale żadna z nich nie zaprotestowała. Przez następne trzy doby Sara prawie nie odchodziła od siostry i wciąż coś do niej mówiła, jakby Ellen z zamkniętymi

oczami jedynie odpoczywała po długim dniu. Opowiadała, jak żałuje, że nie zajmowała się nią pilniej, i tłumaczyła, że przecież nie mogła, bo musiała zarabiać na chleb i dach nad głową. Przepraszała, że posłała ją do szkoły, ale wówczas wydawało jej się to rozropne, a poza tym nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo mała Elly nienawidziła nauki. Żałowała, że nie mogła ocalić Świętego Joego i że nie odnosiła się uprzejmiej do Wiktora. No i zapewniała, że robiła wszystko z myślą o niej, Ellen, bo bardzo ją kochała i chciała jej zapewnić bezpieczny byt.

Na koniec, w dniu, w którym mieli pochować siostrę za Polami Powroźników, obok mamy i papy (bo tak właśnie zażyczyła sobie Elly), Sara obiecała, że napisze dla niej specjalną historię. Zrobiła to, ponieważ tuż przed śmiercią Ellen chwyciła ją mocno za rękę, przyciągnęła do siebie i wyszeptala jej do ucha coś straszego. Pomogło to Sarze zrozumieć, czemu oczy siostry straciły na zawsze swój blask i dlaczego wrzuciła koraliki z sandałowego drewna do pieca w kuchni Ruby, przez co w „Białym Jeleniu” długo pachniało jak w hinduskich sklepach East Endu. Sara nie mogła nikomu powiedzieć, co usłyszała, bo Ellen kazała jej przysiąc, że dochowa tajemnicy, ale gdy tylko się otrząsnęła po pogrzebie, spisała dokładnie słowa siostry. A pisząc, doszła do wniosku, że dawno temu powinna się we wszystkim połapać - niestety, tak się nie stało i teraz niczego nie mogła już zmienić.

W owo pierwszomajowe popołudnie, siedząc przy stole w swoim pokoju, Sara widziała z okna kawałek kuchennego ogródka i schyloną panią Vesper, ścinającą zioła potrzebne do przyrządzenia mrożonej herbaty, a także fragment dużego ogrodu, gdzie pani Korechnya, w słomkowym kapeluszu na głowie, podlewała swoje białe lilie. Chwilę później od strony furtki nadszedł inspektor Lark i Lily się uśmiechnęła do niego na powitanie. Od czasu jej powrotu z Indii inspektor co tydzień przychodził z wizytą, teraz zaś usiadł na huśtawce zawieszanej pod magnolią i cichym głosem prowadził rozmowę z piękną ogrodniczką, krzątającą się przy kwiatowej rabacie. Lily nie przysiadła się do niego - nigdy tego nie robiła.

Pani Vesper tymczasem zebrała swoje zioła i spojrzała w okno poddasza, jakby dobrze wiedziała, że Sara przez nie wygląda. Dała jej znak dłonią, że ma się cofnąć w głąb domu, by Lily i jej gość mogli się cieszyć prywatnością. Chwilę później gospodyni zaczęła poprawiać szpilki przytrzymujące czepek, a robiła tak tylko wtedy, gdy się znajdowała w

szczególным nastroju, i Sara zaczęła się zastanawiać, czy w opinii Marty tych dwoje - Larka i Lily - czeka wspólna przyszłość.

Posłusznie się odsunęła od okna i osuszyła bibułą świeżo zapisaną kartkę. Teraz mogła pisać, kiedy chciała, bo w jej pokoju znajdowała się gazowa lampa, więc gdy miała ochotę zanotować coś po zmroku, nie musiała się martwić, że łojowy ogarek zaraz zgaśnie. Nocami stary dom pogrążał się w idealnej ciszy i w takich chwilach Sara często odnosiła wrażenie, że Ellen wcale nie umarła, ale siedzi na łóżku i ze skupieniem wbija wzrok w jedno miejsce, tak jak to miała w zwyczaju. Tyle że teraz Sara sobie wyobrażała, że to właśnie na nią patrzy mała Elly, co było bardzo przyjemnym uczuciem.

# CZEŚĆ DRUGA

Elizabeth Barrett Browning

## Portret

[A Portrait]

Namaluję ją tak, jak ją widzę.  
Dziesięćkroć kwiecie lilii opadało,  
Odkąd jej oko słońce oglądało.

Twarz ma niczym lilia czystą,  
Co na kształt lilii cudnie wykrojona  
Swym własnym pięknem zdaje się przyćmiona.

Gustuje w cichych, spokojnych rozmowach;  
W miłym zaciszu swej małej komnatki,  
Czas spędza z książką lub podlewa kwiatki.

Głos jej, co zwykle cicho szemrze,  
Bywa, że jest jak srebrny strumień rwący,  
W którym pulsuje - tak to czujesz - słońce.

Uśmiech nieziemskim się wydaje,  
Jakby od ludzkich myśli oderwany  
Daleko bardziej niżli żarty tanie.

Gdyby ją jaki znał poeta,  
Canzony śliczne o niej by układał,  
Madrygałami pod niebo wysławiał.

Zaś gdyby kto malował portret,  
Pewnie uwieczniłby ją mimo woli  
Z głową w okręgu światła aureoli.

(przełożyła Anna Bańkowska)

# I

## Benares, Indie 2002

**D**ługa, wąska łódź rybacka oddalała się z cichym pluskiem od brzegów Gangesu, którego wody w mroku przedświtów zdawały się czarne i oleiste. Oprócz Susany w łodzi siedziało jeszcze pięcioro turystów - jakaś para i trzy kobiety, które poznała w hotelu. Były pielęgniarkami i pracowały jako wolontariuszki w Kalkucie, a do Benaresu przyjechały na kilkudniowy urlop. W pełnym napięcia milczeniu wszyscy się przyglądali, jak płonący słoneczny dysk pojawia się na horyzoncie, a potem w pełnym majestacie zawisa na jasnoróżowym niebie. Przejazdka łodzią po rzece o świcie była rzeczywiście warta swojej reputacji jednej z największych atrakcji tego miasta.

- To wprost magiczne - szepnęła jedna z pielęgniarek.

- Rzeczywiście - zgodziła się jej koleżanka, Szkotka, najbardziej rozmowna z całej trójki. - Gdy jednak zrobi się na tyle widno, że będzie wyraźnie widać wody rzeki, wówczas zapewne zmienisz zdanie.

- Czy już pływałaś kiedyś po Gangesie? - zainteresowała się Susana.

Pielęgniarka potaknęła skinieniem głowy.

- A ty? - spytała.

- Nie.

- W takim razie się nie zdziw, jak zobaczysz na wodzie zwłoki, i to niekoniecznie zwierzęce. Nie wszystkie stopy dopełniają dzieła jak należy.

Powiedziała to beznamiętnym, zasadniczym tonem osoby, której nie wzruszają podobne widoki. Susana natomiast aż się wzdygnęła.

- Przyjechałaś tu sama? - Szkotka patrzyła na nią z nieskrywaną ciekawością. Kobieta samotnie podróżująca po Indiach wciąż wzbudzała żywe zainteresowanie.

- Owszem. Chcę tu przeprowadzić pewne badania.

Zazwyczaj modliła się w duchu, żeby na tym się kończyła indagacja.

Ludzie się zapalali, gdy słyszeli, że pisze książkę, ale jak tylko się dowiadawali, o czym miała traktować - wyraźnie rozczarowani tracili zainteresowanie.

Tego poranka jednak było inaczej. Może dlatego, że w półmroku świtu łatwiej wyobrazić sobie dziewiętnastowieczny Benares, a może z powodu oczywistej dla wszystkich fascynacji Susany przedmiotem swoich studiów. Niewykluczone też, że jej współpasażerami kierowała zwykła uprzejmość. W każdym razie usilnie nagabywana przez szkocką pielęgniarkę, Susana zaczęła wyjaśniać naturę swoich badań.

Gdy słońce wędrowało coraz wyżej, a łódź mijała podupadłe, majestatyczne pałace, wznoszące się ponad brzegami rzeki, opowiedziała o listach pisanych przez Lily Korechnya, odnalezionych w archiwach Biblioteki Bodlejańskiej.

- I masz nadzieję, że tutaj się dowiesz czegoś więcej o tej Lily?

- Właśnie. Chociaż tropów jest bardzo niewiele - mam jedynie listy, które pisała w Indiach, oraz nazwisko pewnego człowieka z Benaresu, który podobno kolekcjonuje wiktoria.

- A więc będziesz przeprowadzać coś w rodzaju detektywistycznego śledztwa? - wtrąciła inna pielęgniarka.

Susana się roześmiała.

- W takim ujęciu moja praca zapowiada się wyjątkowo atrakcyjnie.

- Zapewniam cię, że jest o wiele bardziej atrakcyjna od pracy w kalkuckim szpitalu - rzuciła sucho Szkotka.

- Pewnie tak. Ale ja przede wszystkim kocham to, co robię. Mimo że publikowanie monografii na temat ludzi pióra epoki wiktoriańskiej - a w szczególności kobiet - nigdy nie przyniesie mi fortuny.

- A więc nie jesteś sławną autorką? - Szkotka zdawała się rozczarowana, bo pewnie już sobie wyobrażała, że będzie się mogła chwalić tym spotkaniem.

- Obawiam się, że nie. Ale do szczęścia wystarcza mi posada wykładowcy na Uniwersytecie Oksfordzkim i przychyłość redaktora uniwersyteckiego wydawnictwa. Dzięki swojej poprzedniej książce, o wiktoriańskich poetkach, dostałam roczny urlop naukowy, by mieć czas na studia nad życiem i twórczością kobiet, które były na tyle odważne - czy też szalone - żeby się wyprawić na Wschód. Podejmowały niezwykle wyzwanie, bo nawet w obecnych czasach podróz po Indiach nie jest rzeczą prostą dla samotnej kobiety z Zachodu.



- A przecież sto pięćdziesiąt lat temu musiały się zmagać z jeszcze większymi problemami - chociażby z niewygodnym, krępującym strojem! - zauważyła Szkotka.

- Owszem - zgodziła się Susana. - A także dezaprobatą kompatriotów, którzy krzywo patrzyli na kobiety zajmujące się czymś bardziej absorbującym intelektualnie od kolekcjonowania motyli.

Przygoda Susany z Indiami zaczęła się dwadzieścia lat temu, kiedy przyjechała tu w poszukiwaniu wrażeń i duchowej głębi, której brakowało jej w Londynie lat osiemdziesiątych. Szybko odkryła, że w zasadzie nie sposób pogodzić filozofii Wschodu z zachodnim stylem życia, ale wtedy także poznała Dana, swojego przyszłego męża, i to właśnie w Indiach najwyraźniej czuła, jak mocna łączyła ich więź. Wkrótce minie trzecia rocznica jego śmierci. Po siedmiu latach małżeństwa zdiagnozowano u Dana rzadką chorobę, która postępowała w tak zastraszającym tempie, że jego odejście pozostawiło Susanę w stanie zupełnego szoku. Przez kolejny, w istocie stracony dla życia rok bezwolnie przyjmowała zaproszenia na kolacje i rozmaite imprezy, którymi zasypywali ją współczujący, kierujący się jak najlepszymi intencjami znajomi. Funkcjonowała wówczas jak w hipnotycznym transie, a kiedy się w końcu z niego przebudziła, doszła do wniosku, że bujne życie towarzyskie nie jest czymś, na co ma ochotę lub czego potrzeba jej do szczęścia. W kolejnym roku było już dużo łatwiej. Podczas długich letnich wakacji po raz pierwszy odwiedziła Benares i postanowiła napisać kolejną książkę, bo będąc tutaj, uświadomiła sobie, jak wiele kobiet przed nią poddało się urokowi Indii - kobiet pokroju Lily Korechnya.

Kiedy łódź powróciła do przystani, słońce stało już wysoko i szybko ogrzewało powietrze, zmieniła się też całkiem jakość i barwa światła. Szerokie stopnie, wiodące ku rzece, tętniły porannym gwarem. Ledwo wysiedli z łodzi, a otoczył ich tłum dzieci objuczonych wielkimi aluminiowymi czajnikami, pełnymi słodkiej herbaty z mlekiem. Pielęgniarki wybierały się na śniadanie do położonej nad Gangesem kafejki i zaproponowały Susanie, żeby poszła razem z nimi, ale zrezygnowała z zaproszenia. Chciała jak najszybciej znaleźć się w hotelowym pokoju i zabrać do czytania pierwszego z listów, napisanych przez Lily Korechnya w Benaresie. Archiwistka z Biblioteki Bodlejańskiej nie umiała wyjaśnić, dlaczego list do Sary O'Reilly znalazł się w kolekcji złożonej wyłącznie z listów adresowanych do znanej ówczesnej feministki, Barbary Bodichon.

Bo trudno wytłumaczyć to faktem, że w korespondencji Lily do Barbary znajdowały się wzmianki o osieroconych siostrach - Sarze i Ellen O'Reilly.

Susana postanowiła, że listy Lily pisane w Indiach zacznie czytać dopiero w Benaresie, więc kiedy w swoim spartańskim pokoju wyjęła pierwszy z nich z kartonowej teczki na dokumenty, przeszedł ją dreszcz podniecenia.

## Benares, 5 grudnia 1864

Droga Saro,

Piszę do Ciebie z Miasta Świata, bo tak właśnie Hindusi nazywają Benares. Przybyłam tu bardzo wczesnym rankiem, gdy świątynie i kaplice, stojące wzdłuż rzeki, zalewał złocisty blask. Na szerokich stopniach, wiodących ku wodzie, każdego ranka gromadzą się tłumy ludzi, by zażyć kąpeli w rzece, która nazywa się Ganges i przepływa przez całe miasto. Hindusi wierzą, że jej wody są święte - mają moc oczyszczania duszy i uzdrawiania ciała. Po obu jej brzegach stoi także wiele pałaców, bo wszyscy książęta z całych Indii mają tutaj swoje rezydencje.

Po wyjściu ze stacji wsiadłam do palankinu, który wygląda jak bardzo mały fiaker, ale nie jest ciągniony przez konie, lecz noszony przez ludzi. Siedząc na białych jedwabnych poduszkach, spoglądając przez haftowane, półprzezroczyste firanki, czułam się jak najprawdziwsza księżniczka. Moi lektykarze zwinnie lawirowali w tłumie i zatrzymali się tylko raz, kiedy na naszej drodze znalazło się kilka wołów o długich rogach. Musieliśmy czekać, aż zwierzęta raczą się usunąć na bok, byśmy mogli je wyminąć.

Teraz już powoli zaczynam się orientować w plątaninie ciemnych, wąziutkich uliczek tego miasta, ale z początku wszystko mnie oszołamiało - przede wszystkim różnorodność i mnogość ludzi oraz zwierząt. Najlepszym miejscem do ich obserwacji jest targowisko nad rzeką. Można tam spotkać świętych mężów, wyglądających dość przerażająco z powodu długich, zmierzwionych włosów i malunków na twarzy, którzy przez cały dzień siedzą pogrążeni w modlitwie; są tutaj również zaklinacze węży oraz, naturalnie, kupcy - handlujący głównie dywanami i biżuterią. Na targ ściągają mużułmańskie kobiety, od stóp do głów obleczone w

czarne szaty, a także dzieci zajmujące się sprzedażą zaprawionej kazeniami herbaty, którą podają w maleńkich glinianych miseczkach. Oferują też czerwonopomarańczowe margerytki, które tutaj się puszcza na wody rzeki ku pamięci tych, co odeszli w zaświaty. A i samych zmarłych można tu zobaczyć - spowici złotą i czerwoną materią, są obnoszeni po ulicach na marach, za którymi postępują ubrani na biało żałobnicy, intonujący monotonne, śpiewne modlitwy. Wszystkie kondukty pogrzebowe zmierzają ku szerokim nadrzecznym stopniom, gdzie wznoszone są stosy, na których się pali ciała.

W Benaresie wszędzie wokół roi się od małpek, które tylko patrzą, jaką tu wyczynić psotę. Pewnego razu, gdy byłam na targowisku, wiatr zerwał mi kapelusz z głowy i ani się obejrzałam, jak chwyciła go jedna z tych dokuczliwych trzpiotek. Zaczęłam się z nią mocować, a gdy już z trudem odzyskałam swoją własność, owłosiona łapka chwyciła za mój wisior!

Według hinduskich wierzeń, świat narodził się w ogrodach Miasta Światła. Wokół pałacu maharadży Benaresu, gdzie przebywam jako gość, znajdują się wprost baśniowe ogrody, a w nich piękne pawilony, wiele maleńkich świątyń hinduskich bogów i bogiń, stada pawi i małp, a także mnóstwo kwitnących drzew. Maharadża ma również oswojonego tygrysa i wprost nie mam słów, by Ci opisać, jakie przerażenie ogarnęło mnie na widok tego olbrzymiego kota, którego niechcący obudziłam, za co gniewnie na mnie ryknął. To zwierzę ma wprost nieprawdopodobnie muskularne ciało, a jego sierść lśni w słońcu jak polerowany brąz. Na szczęście był ze mną Gowinda, więc szybko oboje - i ja, i tygrys - odzyskaliśmy równowagę ducha. Jak zauroczona patrzyłam na Gowindę, który podszedł do zwierzęcia i zaczął gładzić jego błyszczące futro. Później się dowiedziałam, że tygrys ma tylko kilka zębów (resztę mu usunięto, co uważam za bardzo okrutne), a także mocno przycięte pazury i od małego kociaka wychowywał się w pałacu wraz z dziećmi maharadży.

W samej rezydencji znajduje się tak wiele sal i komnat, że można dostać zawrotu głowy, a do niektórych z nich kobiety w ogóle nie mają wstępu. Ja mieszkam w skrzydle przeznaczonym właśnie dla kobiet oraz dzieci, którego pilnuje najwięcej strażników. Są to, jak mi się zdaje, Arabowie; noszą spodnie o wyjątkowo obszernych nogawkach, a za szerokie, wielobarwne pasy zatykają zakrzywione szable. Skrzydło kobiece nazywa się zenana i tutaj właśnie maharadża trzyma swoje żony i konkubiny,

a także niezliczoną ilość ich panien służących. Od rana w zenanie brzęczy jak w ulu, bo wszystkie kobiety ochoczo plotkują, a dzieci uczą się gry na sitarze i tabli - pierwszy instrument przypomina mandolinę, drugi jest rodzajem bębenka. Ulubionym zajęciem żon i konkubin maharadży jest upiększanie ciała i strojenie się w piękne szaty. Myją się perfumowaną wodą, w której pływają płatki magnolii i migdałowca, a potem wcierają w ciało olejki pachnące korzeniami. Noszą sari z najdelikatniejszego jedwabiu, a wokół bioder, nadgarstków i kostek motają złote łańcuchy. Hinduski mają kolczyki nie tylko w uszach, ale także w nosach, a złotymi pierścieniami zdobią palce zarówno rąk, jak i stóp. Wiele z nich wkłada na kostki nóg specjalne bransoletki z wieloma srebrnymi dzwoneczkami, które za każdym krokiem wydają śliczne dźwięki. Kiedy wszystkie kobiety z haremu przystroją się na wieczór, wyglądają jak tłum wrózek, skrzący się niezliczoną ilością klejnotów, nic więc dziwnego, że czuję się przy nich bezbarwnie i zgrzebnie - nawet gdy wkładam swoje najlepsze suknie.

Kiedy słońce stoi wysoko na niebie, sale położone dookoła głównego dziedzińca zalewa niezwykle, niebieskie światło, jest tam bowiem mozaikowa posadzka, ułożona z kamieni o nazwach lapis lazuli i turkus, która zawsze przychodzi mi na myśl ocean. Wszystkie ściany w pałacu są ozdobione od podłogi po sufit wymyślnymi freskami, stąd, kiedy się przechodzi przez komnaty, ma się wrażenie, że to niezwykle ogrody, gdzie boginie pływają nago w rzekach lub unoszą się w przestworzach na grzbietach wielkich łabędzi.

Często myślę o Tobie, Saro, i zastanawiam się, czy robisz dobry użytek z pergaminu, który Ci podarowałam. Napiszę do Ciebie wkrótce, ale dzisiaj muszę już kończyć, bo zaraz przyjdzie służący, który nosi listy do portu, skąd moja korespondencja wyruszy w długą drogę do Anglii. Londyn wydaje mi się teraz innym światem, odległym o eony lat, więc wprost trudno mi uwierzyć, że u was panuje zima.

Mam nadzieję, że mój list zastanie Ellen w lepszym zdrowiu i że przynajmniej od czasu do czasu ukazuje się Wam blade słońce i rozjaśnia ciemne, zimowe niebo.

Pozdrawiam Cię serdecznie, Saro, i najlepsze życzenia dla Twojej siostry.

Lily Korechnya

Kiedy Susana skończyła lekturę, gorące promienie słońca padały już wprost na balkon, gdzie rankiem usiadła na wiklinowym fotelu przy ustawionym tam stoliku. Jednak dopiero po dłuższej chwili zdała sobie z tego sprawę, bo myślami wciąż błędziła po komnatach pałacu maharadży i niemal słyszała delikatny dźwięk dzwoneczków, dochodzący od strony korytarzy, którymi się przechadzały kobiety z haremu.

Upał w końcu sprowadził ją do rzeczywistości i wówczas szybko się wycofała do względnie chłodnego pokoju. „Ghats” należał do hoteli średniej klasy, w którym Susana nie cierpiała niewygód, ale któremu nawet ktoś obdarzony najbujniejszą wyobraźnią i najgłębszymi pokładami tolerancji nigdy w Anglii nie przyznałby jego dwóch gwiazdek. Betonową podłogę częściowo pokrywała wyplatana mata, a leżąca na łóżku czerwona kapa była w wielu miejscach wyłysiała. W łazience pannaował mrok i nie należało jej poddawać zbyt dokładnej lustracji, za to od czasu do czasu z prysznica leciała ciepła woda. W tym upale jednak brak ciepłej wody nie stanowił problemu. Wziąwszy więc już trzeci tego dnia zimny tusz, Susana opuściła swoją ostoję chłodu i wyszła na miasto.

Ulice Benaresu zdawały się parować, nad domami unosiła się poranna mgła, a wilgoć wisząca w powietrzu, typowa dla pory przedmonsunowej, sprawiła, że lekka bawełniana tunika i takie same spodnie natychmiast przykleiły się Susanie do ciała. Rzędy zapuszczonych budynków o płaskich dachach prażyły się w nieznośnym upale, a pokrywająca frontony akwamarynowa lub różowa farba miejscami się wybrzuszała, przywodząc na myśl bąble po oparzeniu słonecznym. Nad wąskimi drzwiami każdego domu widniała nieprawdopodobna płatanina przewodów, a z wysokich tyczek - na podobieństwo olbrzymich ptasich gniazd - niebezpiecznie się zwieszały zwoje elektrycznych kabli. Dla siedzących w kucki, żujących betel sprzedawców ulicznych oraz dla wieśniaków na wozach z sianem, ciągnionych przez woły, była jak niewidzialna. Natomiast znudzeni mężczyźni w mundurach, oparci o ścianę posterunku policji, a także riksarze w elastycznych spodniach z lat siedemdziesiątych otwarcie wodzili za nią wzrokiem. Zanim po raz pierwszy przyjechała do Indii, nie wyobrażała sobie, że jakkolwiek mężczyzna może tak natarczywie przyglądać się kobiecie, ale to już była jej czwarta wizyta w tym kraju, zdążyła więc do tego przywyknąć. Oczywiście Hindusi pozwalali sobie na taką śmiałość tylko wobec kobiet pozbawionych męskiego towarzystwa. Susana nie czuła się zagrożona ich zachowaniem i

choć uważała je za impertynenckie i na swój sposób uwłaczające, była zdania, że należy je po prostu ignorować.

Miała świadomość, że nie jest piękną kobietą, na której widok mężczyznom głowa sama by się odwracała - miała jasną cerę rodowitej Angielki, od najmłodszych lat była wręcz chuda i ratowały ją jedynie włosy: bardzo gęste i kruczoczarne, spiralnymi lokami opadające na plecy, jeśli ich nie spięła.

Zatrzymała się na moment, żeby od zasuszonego ulicznego handlarza kupić cienkie, ręcznie skręcane papierosy, zwane bidis. Siedzący wzdłuż ulic sprzedawcy stanowili stały element pejzażu wszystkich hinduskich miast. Przez chwilę się przyglądała, jak mężczyzna cienkimi, ciemnymi palcami wysypuje szczyptę miejscowego, ostrego tytoniu do liścia bidi i zwija w wąski rulonik, przypominający kształtem cygaro. Świeżo skręcone bidis nie nadawały się do palenia, bo liście były jeszcze zielone i wilgotne. Susana kupiła papierosy już wysuszone i nadające się do natychmiastowego użytku, zapakowane w mały kartonowy rożek, owinięty różową bibułą. Tuż obok handlarza papierosami siedział inny zasuszony sprzedawca, mieszający w garnku gorzką, białą masę wapienną, którą się zawijało w liście betelowego pieprzu i formowało w paczuski na „jeden kęs”. Betel miał orzeźwiający, lekko podniecający działanie, był powszechną używką, i to właśnie za jego sprawą wielu mężczyzn (a niekiedy i kobiety) miało zabarwione na szkarłatno usta i zęby.

Susana nagle zdała sobie sprawę z prażącego gorąca, bijącego w jej odsłonięty kark, i dotarło do niej, że tutaj jasna skóra może ulec poparzeniu nawet w porannym słońcu. Zatrzymała więc riksę z podniesioną budą i kazała się zawieźć do Manikarniki - wysuniętych najbardziej na południe, szerokich, przypominających platformę kamiennych stopni - zwanych ghatami - rozmieszczonych w równych odległościach wzdłuż całego brzegu Gangesu. Stamtąd zamierzała wrócić piechotą do hotelu i najgorętszą część dnia poświęcić na lekturę.

Swego czasu na wszystkich ghatach wznoszono stopy pogrzebowe, teraz jednak do kremacji można było wykorzystywać tylko dwie platformy - Manikarnika na południowym i Ram Ghat na północnym skraju miasta. Susana postanowiła, że wreszcie przełamie strach, jaki wzbudzały w niej stopy - widziała je wielokrotnie z dużej odległości, ale nigdy z bliska - i jeszcze w Anglii zdecydowała, że „konfrontacja ze śmiercią” będzie jednym z celów jej obecnej wizyty w Indiach. Ostatecznie poza

Benaresem żadne inne miasto w świecie nie zyskało sławy dzięki śmierci i umieraniu. To, co Susana usłyszała dzisiaj od szkockiej pielęgniarki, nie podziało na nią budująco, ale nie było nowością - już podczas poprzednich wizyt w Indiach słyszała, że jeżeli rodziny zmarłego nie było stać na ilość drewna, zapewniającą pełną kremację, ciało wyrzucano do rzeki w stanie dalekim od zwęglenia.

Kiedy płaciła za riksę, głośny huk, który dobiegł od strony stopni, sprawił, że aż podskoczyła. Rikszarz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Głowa wybuchła - poinformował usłużnie.

Wysoka temperatura rozsadzała czaszkę trupa. Susana przypomniała sobie, że - według hinduskich wierzeń - właśnie w chwili gdy czaszka eksploduje płomieniami, dusza opuszcza cielesną powłokę.

Przeszła obok ogromnego stosu, starając się zachować spokój, świadoma, że jej strach jest zupełnie irracjonalny - Dan też został skremowany. Chociaż widok trumny znikającej w otworze w ścianie jednak różnił się zasadniczo od widoku szerniałego ciała, zachłannie pochłanianego przez ogień. Tutaj niemal fizycznie się wyczuwało wszechobecność śmierci, ale każdy zdawał się z tym pogodzony. Powietrze pulsowało monotonnym rytmem mantry żałobników, którą po kilku dniach w tym mieście Susana już znała na pamięć: *Rama nama sat ja hai*. Zapytała hotelowego recepcjonistę, Gopala, co oznaczają te słowa. „Prawda jest imieniem Boga” - usłyszała w odpowiedzi. I nagle zrozumiała, że hinduskie ceremonie pogrzebowe są afirmacją prawdy, której nie chciała zaakceptować cywilizacja Zachodu - że śmierć stanowi integralną i ważną część życia.

Benares, jako miasto święte, nadawało śmierci dodatkowy wymiar. Jeżeli właśnie tutaj ktoś dokonał żywota, to nie tylko mógł się wyzwolić z odwiecznego cyklu reinkarnacji, ale nawet przybrać boską postać. Dlatego ściągają tu rzesze umierających Hindusów - często tak wielkie, że miasto nie było w stanie ich pomieścić. Susana dojrzała w tym swoisty paradoks, bo pod niemal każdym innym względem Indie stawały się coraz bardziej zamerykanizowane. Wzrastająca prosperity klas średnich sprawiała, że przybywało samochodów, telefonów komórkowych i telewizorów, a ubywało szkół sanskrytu, na ulicach zaś widywało się coraz mniej tradycyjnych strojów, coraz mniej też ludzi się oddawało praktykom religijnym.

Kilka kroków od miejsca, gdzie stała Susana, grupka usmolonych sadzą dzieciaków grzebała w grubej warstwie popiołu - pozostałości po

wielu stosach - prawdopodobnie w poszukiwaniu kwiatnych girland, które można by jeszcze odsprzedać.

Rzuciła po raz kolejny okiem na płonący stos, otoczony przez nową grupę ubranych na biało żałobników, intonujących tę samą mantrę, i uznała, że już się wykazała dostateczną odwagą. Ruszyła żwawo wzdłuż brzegu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, nieprzesyconym dymem. Nieopodal ludzie zanurzali się w wodach Gangesu lub oddawali się modlitwie, stojąc bez ruchu w mule płycizny. Całkowicie ubrane kobiety wchodziły do rzeki, żeby oczyścić swoje ciała i dusze, a nieznaczny prąd wydymał ich barwne sari. O parę kroków od kobiet dobi wallahs - czyli pracze - odziani w turbany i krótkie sarongi, ciężko pracowali, uderzając tkaninami o kamienie, by po pewnym czasie rozłożyć pranie na ziemi do wysuszenia na słońcu. Susana nie mogła pojąć, jakim cudem tą metodą osiągnęli zamierzony efekt, a jednak po wyschnięciu wszystko było czyste - może tylko nieco bardziej wypłowiałe.

Bez względu na to, czym się zajmowali ludzie nad rzeką, robili to powoli, z namysłem, jakby oddawali się przy tym medytacji, i niekiedy można było rzeczywiście uwierzyć, że - jak głosili Hindusi — Benares tak naprawdę nie należy do ziemskiego wymiaru.

W drodze do hotelu Susana znowu zwróciła swoje myśli ku Lily Ko-rechnya i zaczęła się zastanawiać, jakie piętno na owej dziewiętnastowiecznej kobiecie wycisnęło to niezwykle miasto. Wiedziała, że Lily nie została w Indiach na stałe, bo świadczyły o tym listy z Biblioteki Bodlejańskiej. Coś jednak podpowiadało Susanie, że - podobnie jak ona - Lily jeszcze tutaj powróciła.

## II

### Londyn 2002

- **I**ndie? A więc zaraz ci powiem, co mnie tam spotkało. - Miranda ostro weszła w słowo dyrektorowi działu jubilerskiego, nie dając mu szansy, by jej udzielił informacji o potencjalnych klientach z Benaresu. - W sumie okradziono mnie trzy razy, musiałam dzielić pokój hotelowy ze



szczurami - a ja nienawidzę szczurów - oraz ogromnymi pajakami, też nienależącymi do moich faworytów, a na dodatek w Himalajach zatrzymałam się salmonellą, ledwo się napiłam mleka jaków. Ostatnia i najbardziej spektakularna kradzież pozbawiła mnie paszportu, biletu samolotowego i gotówki, a doszło do niej w Bombaju, w dniu, w którym wreszcie miałam wrócić do domu, tuż po tym, jak zerwałam ze swoim chłopakiem. Nic dziwnego więc, że wybuchnęłam płaczem w biurze linii lotniczych, podczas gdy czyściutcy turyści z Zachodu taktownie odwracali ode mnie głowy. Bez paszportu nikt nie chciał sprzedać mi biletu, a kiedy tłumaczyłam, że mój paszport został ukradziony razem ze wszystkimi innymi rzeczami, zażądano ode mnie policyjnego raportu. Oczywiście policjanci, podobnie jak pracownicy biura, podeszli do sprawy z rozbrajającą obojętnością, za to wykazali duże zainteresowanie moim życiem osobistym. Jednym z pierwszych pytań, jakie każdy Hindus zadaje kobiecie z Zachodu, brzmi: „Czy jesteś mężatką?”. Cóż, kiedy zapytali mnie o to na posterunku, w końcu eksplodowałam!

Kenneth bywał już świadkiem podobnych eksplozji, więc ogarnęło go współczucie - dla owych nieszczęsnych, szowinistycznych funkcjonariuszy z Bombaju, których podobny spektakl musiał szczerze przerazić. W takich chwilach Miranda przywodziła na myśl niszczycielską kulę ognia - a wrażenie to dodatkowo pogłębiała szopa płomiennie rudych włosów. Była drobnej, iście filigranowej postury, ale miała w sobie więcej energii niż jego pozostali pracownicy razem wzięci.

- Nie uśmiechaj się jeszcze, Kenneth, bo najlepszy kawałek dopiero przed tobą. Jakimś cudem udało mi się wygrzebać z dna torebki kilka rupii, wsiadłam więc w taksówkę i kazałam się wieźć do konsulatu brytyjskiego. Kierowca chciał wiedzieć, jak mi się podoba jego kraj (i, naturalnie, czy jestem mężatką), więc bez ogródek mu powiedziałam, co sądzę o takim kraju. Uczciwie muszę przyznać, że ten taksówkarz nie był jeszcze taki najgorszy, bo nie protestował, gdy w drodze wypaliłam mu pół paczki papierosów - a palenie rzuciłam kilka miesięcy wcześniej. Urzędnicy w konsulacie traktowali mnie bardzo uprzejmie, ale dali jasno do zrozumienia, że nie ma mowy, bym zdążyła na samolot, który miał startować za niecałe dwie godziny. Sama podróż autobusem na lotnisko trwała godzinę - bo chociaż nie leżało ono specjalnie daleko, trzeba było brać poprawkę na krowy łączące po ulicach. Godzina drogi, pomyślałam, a więc mam jeszcze szansę. I wtedy właśnie usłyszałam, że muszą zrobić

mi zdjęcie do paszportu. Sam rozumiesz, że gdy w takiej sytuacji czekałam na fotografa, poziom mojego stresu sięgnął szczytu. Ktoś próbował mnie uczesać, ale chwyciłam za grzebień i cisnęłam nim o podłogę. Na zdjęciu wyglądałam przerażająco - jak te stwory z kreskówek, którym po porażeniu prądem włosy stają dęba na głowie. Oczywiście nie zdążyłam na samolot, a następny odlatywał dwa tygodnie później.

Kenneth z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Czekalo go bardzo pakowne popołudnie i nigdy by nie pozwolił, żeby ktoś inny zabrał mu tak dużo cennego czasu. Ale Mirandę traktował w szczególny sposób, bo uważał, że ma wyjątkowy talent. Jego zdania nie podzielał Roger, drugi starszy specjalista w dziale jubilerskim domu aukcyjnego Hanovers, ale jego dezaprobata najprawdopodobniej wynikała z faktu, że Miranda zaledwie po kilku latach pracy osiągnęła tę samą pozycję, co on po dwudziestu. Jakby czytając w myślach Kennetha, Miranda zakończyła słowami:

- Poza tym Azja to terytorium Rogera.

Wiedziała, że to żalosny argument, ale przynajmniej udało jej się zapanować nad głosem, mimo że miała ochotę wybuchnąć płaczem.

- Roger w przyszłym tygodniu leci do Omanu. - Kenneth najwyraźniej nie traktował jej protestów poważnie, bo jak gdyby nic podjął swoją przemowę w miejscu, w którym mu przerwała. - Klienci z Benaresu (to na północnym wschodzie, jak mi się zdaje) wywodzą się ze starej, arystokratycznej rodziny. W ich posiadaniu znajdują się nieoprawione brylanty, a także trochę innej biżuterii. Agent unikał jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o wiek klejnotów, może się więc okazać, że są zbyt stare, by je legalnie wywieźć z Indii. Ale ty już z pewnością nie będziesz miała problemu z rozpoznaniem antyków! - Zachichotał pod nosem. - Te kamienie jednak wydają się obiecujące - niewykluczone, że znajdą się wśród nich kolorowe diamenty, odpowiednie na lipcową aukcję.

Miranda Godfrey pracowała tu od sześciu lat i Kenneth zdążył się nauczyć, że trzeba jej pozwolić na swobodne wyrażanie myśli, żeby nie stępić błyskotliwości jej intelektu poprzez wywieranie niepotrzebnej presji. Miranda była równie pozbawiona zahamowań w stosunku do starszych pracowników (Kennetha i Rogera), jak i młodych asystentek, odpowiedzialnych za katalogi. Kenneth szedł wobec niej na pewne ustępstwa, ponieważ świetnie się znała na swoim fachu, no i była kobietą. A

w Hanovers na podobnie wysokich stanowiskach pracowało bardzo niewiele kobiet.

Kiedy Kenneth zaczynał karierę i u Sotheby'ego uczył się dopiero, czym jest i jak funkcjonuje dom aukcyjny, poznał pewnego Greka, dealera diamentów, i od niego usłyszał maksymę, której nigdy nie zapomniał. Ów Grek twierdził, że kobiety są niczym diamenty, które Eros osadzał na grotach swoich strzał - to najpotężniejszy afrodyzjak, mogący zapewnić wieczną miłość, ale i zadać śmiertelną ranę.

Zanim Kenneth poznał Mirandę, był przekonany, że z racji swojej natury kobiety nie są w stanie osiągnąć sukcesu w świecie wielkich aukcji, ona jednak na każdym kroku udowadniała, jak grubo się mylił. Naturalnie, w kontaktach z klientami bardzo jej pomagała uroda - Miranda była bowiem piekielnie atrakcyjną kobietą, do tego fantastycznie ubraną.

Kenneth odchrząknął i spojrzał znacząco na Mirandę.

- Dobrze wiesz, że Charlotte zawsze rezerwuje najlepsze hotele, a do Indii polecisz pierwszą klasę. I w podróży nie będziesz zdana sama na siebie, ponieważ Giles, specjalista z działu sztuk pięknych, ma również coś do załatwienia w Benaresie.

Miranda na ułamek sekundy zacisnęła powieki. Nie mogła się skupić na słowach Kennetha, bo cały czas natrętnie wracały do niej wspomnienia z jej pierwszej i - jak wierzyła - ostatniej wyprawy do Indii. Zanim się z nich otrząsnęła, dyrektor zamilkł, co oznaczało, że należy się zbierać do wyjścia.

- Wybacz, Kenneth, ale twoja propozycja spadła na mnie tak nagle... Już zaplanowałam parę innych wyjazdów. Czy moglibyśmy jutro powrócić do tej rozmowy?

Kenneth wyjątkowo ambitnie podchodzi do lipcowej aukcji, zdecydowała Miranda, wracając do swojego biurka. Zastanawiała się także, czy przypadkiem nie postanowił poddać jej swoistemu testowi, wyznaczając prawie niewykonalne zadanie. Zorganizowanie specjalistycznej aukcji w trzy miesiące to niebywałe wyzwanie, ale decyzja, by tematem przewodnim były diamenty fantazyjne\*, najchętniej wielokaratowe, zakrawała już na szaleństwo. Z pewnością Kenneth wiedział, że kobieta z Zachodu miała praktycznie zerowe szanse na pomyślne przeprowadzenie transakcji w Indiach. Nie miał natomiast pojęcia, jakie przerażenie ogarniało ją na myśl o owym kraju. Oczywiście, mogła odmówić Kennethowi, miała do tego pełne prawo. Przede wszystkim Azja nie należała do

jej „portfolio”. Więc gdyby się stanowczo sprzeciwiła, Kenneth nie wywierałby na nią presji, co do tego nie miała wątpliwości. Traktował ludzi sprawiedliwie, miał przyjazne usposobienie i tylko w te dni, kiedy dzwoniła do niego ekszona, bywał rozdrażniony i uszczypliwy. Miranda i Charlotte - szefowa działu biznesowego - na pierwszy rzut oka wiedziały, w jakim nastroju jest dyrektor, bo zdradzała go muszka. Kiedy się odchyłała od idealnego poziomu, oznaczało to, że ona dzwoniła, ponieważ Kenneth miał zwyczaj kręcić muszką, kiedy popadał w irytację. A ponieważ irytacja czy uchybienia w stroju były na co dzień obce nienagannie ubranemu Kennethowi, przyczyna takiego stanu nie budziła wątpliwości.

\* Diamentami o fantazyjnych barwach/kształtach (fantazjami) nazywa się w żargonie gemmologicznym kamienie o niezwykłym kolorze lub szlifie (przyj. tłum.).

Biurowo świeciło pustkami i nic dziwnego, bo właśnie minęła pierwsza i wszystkich wywiało na lunch. Miranda uwielbiała tę porę dnia; lubiła też przebywać w biurze przed dziewiątą rano i po piątej po południu. Wówczas panował tu idealny spokój, bo wszyscy z wyjątkiem jej samej, Kennetha i Charlotte pilnie się trzymali godzin pracy. Charlotte zazwyczaj jadła lunch przy swoim biurku, ale dzisiaj musiała wyjść na miasto. Jej syn miał urodziny, więc dzielnie stawiała czoło tłumom na Oxford Street, żeby kupić mu prezenty.

Miranda usiadła za biurkiem, w rogu sali, oddzielonym przepierzeniem od reszty biura. Przepierzenie nie sięgało sufitu, nie mogła więc liczyć na całkowitą prywatność, ale przynajmniej w swoim boksie miała okno, z którego się rozciągał widok na budynek z okresu Regencji, zwrócone frontonami w stronę New Bond Street. To właśnie w tej okolicy, już w osiemnastym wieku, jubilerzy otwierali sklepy, a handlarze diamentami zakładali kantory. Jak na centrum Londynu był to widok przyjemny i tak swojski dla Mirandy, że działał na nią kojąco. Potrzebowała stresu i adrenaliny, bo napędzały ją do pracy, stanowiły pożądane paliwo, ale napięcie wywołane propozycją Kennetha przekraczało już krytyczny poziom.

Pociągnęła łyk zimnego cappuccino, które musiała z żalem porzucić, gdy Kenneth wezwał ją do gabinetu na rozmowę. Miranda wyobraziła sobie, jak wielkie oczy zrobi Tash, jej sąsiadka, kiedy usłyszy, co ją dzisiaj spotkało w pracy! Tash całkiem niedawno się dowiedziała, jak ciężkie chwile przeżywała Miranda, gdy w wieku dwiętnastu lat, sama

jak palec, bez grosza przy duszy, musiała przeżyć w Indiach dwa tygodnie, czekając na lot do domu. Rodzice niezwłocznie wysłali jej pieniądze do Bombaju, jednak przez długi czas nie mogła ich podjąć z tej prostej przyczyny, że nikt nie był w stanie zlokalizować przelewu. Miranda przetrwała dzięki hojności życzliwych właścicieli pensjonatu, którzy zapewnili jej dach nad głową i karmili, godząc się, by zapłaciła, kiedy będzie mogła. I wtedy właśnie obiecała sobie, że nigdy w życiu nie powróci do tego straszego kraju.

Z drugiej strony, to właśnie w Indiach Miranda się zainteresowała kamieniami szlachetnymi - tuż po tym, jak ze swoimi chłopakiem jechała dwa dni do Agry, by obejrzeć Tadż Mahal w nocy, podczas pełni. Wówczas tajemniczość monumentu urzekła pięknnością - w świetle księżycy mozaiki z półszlachetnych kamieni skrzyły się srebrzystą poświatą, która w niewytłumaczalny sposób wydawała się mieć źródło wewnątrz, a nie zewnątrz grobowca, i przywodziła na myśl pałac Indry, wedyjskiego króla bogów. W Agrze, jak w wielu indyjskich miastach, kwitł handel klejnotami i biżuterią. Miranda postanowiła, że będzie studiować gemmologię, kiedy kupili kilka rubinów, kamieni księżycowych i marnie oszlifowanych szafirów, wierząc, że weszli w posiadanie cennych okazów - bo tak utrzymywali sprzedawcy. W rzeczywistości kamyki, chociaż ładne, były bezwartościowe.

Z retrospektywnych myśli wyrwała Mirandę Charlotte, która właśnie wróciła z lunchu.

- Panna Godfrey delectuje się chwilą spokoju, jak widzę? Idź wreszcie coś zjeść, bo inaczej po południu zaczniesz się opychać czekoladą, i tak się nakręcisz, że nikt z tobą nie wytrzyma!

- Nie jestem głodna. Widzę, że twoja wyprawa zakończyła się sukcesem.

Charlotte była obładowana plastikowymi i papierowymi torbami, noszącymi logo różnych znanych firm.

- Z roku na rok trudniej mi się połapać, co mogłoby sprawić prawdziwą frajdę Luke'owi, ale wciąż się nie zgadzam, żeby mi wręczał listę - prezenty urodzinowe powinny być niespodzianką. Przeszłam się więc po najmodniejszych i budzących grozę butikach na Oxford Street. W końcu kupiłam mnóstwo rzeczy, które uważam za paskudne, bo to zazwyczaj gwarantuje, że trafię w gust Luke'a. Wreszcie na coś się zdały nasze sprzeczki na temat jego ciuchów! Czy w latach siedemdziesiątych

moda dla nastolatków także rządziła rynkiem? Nie pamiętam - mam wrażenie, że jestem już bardzo stara.

- Nonsens. Spójrz tylko w lustro. Nikt nie posądziłby cię o dziesięcioletnie dziecko, nie mówiąc już o szesnastoletnim synu.

To nie był pusty komplement. Charlotte należała do małego, elitarnego plemienia - samotnych, pracujących matek, które mimo zabiegania zawsze się odznaczały niewymuszonym szykiem. Intensywny, pełen napięcia tryb życia sprawiał, że nie musiała pocić się na siłowni, by zachować szczupłą sylwetkę. Siwe nitki w kasztanowych włosach pilnie pokrywała farbą i utrzymywała, że to najtańszy sposób maskowania wieku. Miała czterdzieści sześć lat, ale wyglądała najwyżej na rówieśniczkę Mirandy, i była jedyną znaną Mirandzie kobietą, która umiała przedstawić samotne rodzicielstwo jako bardzo atrakcyjny stan.

Charlotte z kolei utrzymywała, że gdy patrzy na płomiennorude (nie-farbowane) włosy Mirandy, jej figurę w kształcie klepsydry i fantastyczne ciuchy - czuje się jak szara mysz.

Kiedy Miranda się wybierała na zakupy, nawet nie spoglądała na metki z ceną - jeśli coś jej się podobało, była gotowa zapłacić duże pieniądze. Jej ostatni chłopak szybko przestał pytać, ile wydała no to czy owo, bo doszedł do wniosku, że woli pozostać w nieświadomości.

- Jesteś spięta, Mirando. Czyżby Kenneth miał dziś przekrzywioną muszkę?

- Chce, żebym pojechała do Indii.

Charlotte przyjęła wiadomość obojętnie.

- Wiedziałaś? - zdziwiła się Miranda.

- Jasne. Prosił, żebym przygotowała budżet. Nie masz ochoty tam jechać?

Miranda pokręciła głową i z nieszczęśliwą miną odwróciła głowę w stronę okna.

- Ale czemu? Przecież dla ciebie to niepowtarzalna szansa zawodowego rozwoju - a przy okazji utrzasz nosa Rogerowi!

- Już kiedyś byłam w Indiach. Pewnego dnia ci o tym opowiem. A teraz chyba pójdę po tę czekoladę.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Miranda wychodziła z pracy. Jak na marzec pogoda była nadzwyczajna - wprost wymarzona dla turystów. Na New Bond Street roilo się od miłośników tamtejszych butików - ludzi, którym nie przyszłoby do głowy włożyć na siebie coś innego niż

ciuchy od Prady czy Nicole Farhi. Tu też się schodzili bywalcy salonów jubilerskich - De Beersa, Cartiera, Rolexa, Tiffany'ego...

Miranda zamknęła za sobą szklane, bramowane mosiądzem drzwi Hanovers, i ruszyła szerokim chodnikiem, mijając kilka ulicznych kafejek, których się bardzo namnożyło od czasu, gdy przyjechała do tego miasta dziesięć lat temu. Swoje studia gemmologiczne skończyła dużo wcześniej w Bristolu i tam przez jakiś czas nabierała zawodowego szlifu, zanim zdecydowała, że jest gotowa na podbój Londynu. Zaczynała od pracy w butikach z antyczną biżuterią, potem awansowała na menedżera salonu oferującego klejnoty z górnej półki i nieustannie pogłębiała swoją wiedzę o kamieniach szlachetnych. Nauczyła się też umiejętnie odwoływać do próżności i rozdętego ego klientów.

Sześć lat temu Kenneth zatrudnił ją w dziale jubilerskim Hanovers na stanowisku asystentki. Zaznaczył, że zależy mu na perfekcji, którą - w jego opinii - miała szansę osiągnąć. I szybko zaczął ją awansować, chociaż bardzo niewiele kobiet pracujących w domach aukcyjnych zajmowało tak odpowiedzialne stanowiska. Dojrzał w niej potencjał, i ona ze swej strony też robiła wszystko, aby udowodnić, że się nie pomylił. Poza tym nie zniosłaby rutyny, która w pełni zadowalała Charlotte czy Tash, zaprzyjaźnioną sąsiadkę, niemal archetypiczną matkę rodzicielkę, czerpiącą największą satysfakcję z opieki nad dziećmi i przydomowym ogródkiem. Miranda uważała, że praca, która nie zmuszałaby jej do działania na najwyższych obrotach, szybko by ją znudziła. A perspektywa nudy przerażała ją niemal tak samo jak podróż do Indii.

Wchodząc do świata aukcyjnego, Miranda nie zdawała sobie sprawy, jak wiele będzie musiała poświęcić dla realizacji własnych ambicji. Nawet nie próbowała zliczyć, ile jej związków się rozpadło tylko dlatego, że nagminnie odwoływała spotkania, bo nagle musiała lecieć do Stanów lub na drugi koniec Europy. Wiedziała też, że ani rodzice, ani dawni przyjaciele już jej nie wierzyli, kiedy mówiła, że wpadnie do Bath na weekend. Żyła w zawrotnym tempie, wyzwania zawodowe pochłaniały większość jej czasu i energii, ale wciąż kochała towarzyszący tej pracy dreszczyk emocji, kochała swój styl życia i wysokość dochodów.

Do stacji metra Bond Street szła jak na automatycznym pilocie. Drogę znała doskonale i nie musiała się koncentrować na nawigacji, mogła więc skierować myśli ku ważniejszym sprawom. Na przykład strategii,

która zapewni sukces lipcowej aukcji. Przypomniła też sobie, że Josh, syn Tash, właśnie kończy pięć lat, a ona jeszcze nie kupiła prezentu. A gdy o zakupach mowa - wczoraj na wystawie u Harveya Nicholisa widziała świetny skórzany płaszcz, musi więc znaleźć chwilę czasu, by tam wpaść, i to jak najszybciej, zanim ktoś sprzątnie go jej sprzed nosa. Był ceglastoczerwonego koloru, który idealnie pasowałby do jej włosów. Ale najbardziej nurtowała ją w tej chwili sprawa Indii. Biorąc pod uwagę profesjonalną stronę zagadnienia, byłaby idiotką, gdyby odrzuciła taką okazję. Z drugiej strony - Kenneth nie wydał jej służbowego polecenia, lecz jedynie złożył propozycję. Tak naprawdę nie pojmowała, dlaczego Roger nie mógłby jechać do Benaresu po powrocie z Omanu. Miranda wzdygała się na myśl, że publicznie miałyby uznać wyższość doświadczenia Rogera, ale jeszcze większy wstręt wzbudzała w niej perspektywa powrotu do Indii. W czasie swojej fatalnej wyprawy nie dotarła do świętego miasta, ale słyszała, że uchodzi ono za najbrudniejsze, najbardziej przeludnione i przygnębiające miejsce w całych Indiach. Nawet sami Hindusi tak uważali.

Wysiadła z metra przy Highgate, w północnym Londynie, i gdy tylko wyszła z tunelu, z przyjemnością zaczerpnęła głęboki haust powietrza. To był jedyny odcinek drogi, który pokonywała z przyjemnością, i jedyna chwila w ciągu dnia, kiedy czuła, że oddycha. W metrze zazwyczaj czytała i od czasu do czasu zerkała na współpasażerów. Z łatwością rozpoznawała, kto jest przyjezdnym, a kto londyńczykiem. Każdy, kto siedział wyprostowany i chłonał reklamy lub mrużąc oczy, z niepokojem śledził schemat stacji, zawieszony nad oknem - był obcym; miejscowi natomiast spali, czytali lub spoglądali na innych złym okiem.

Miranda skręciła w Muswell Hill Road, a następnie weszła do parku Highgate. Tutaj światło zdawało się złocistozielone, a powietrze przesycone tlenem. W lecie rano i wieczorem wybierała drogę przez tę śródmiejską ostoję drzew, ale w zimowe, krótkie dni - tylko rankiem, zazwyczaj mglistym. Teraz, na przedwiośniu, szybko zapadał zmrok, Miranda jednak czuła potrzebę wsłuchania się w kojący szept drzew.

Trasę przez park pokonała w dziesięć minut i już prawie była w domu. Minęła dwie przecznice i znalazła się w maleńkim frontowym ogródku swojego wczesnowiktoriańskiego szeregowca, który kupiła trzy lata temu.



Weszła do środka i przez chwilę stała oparta plecami o drzwi, napa-  
wając się swojskimi zapachami domu - specyficzną wonią skórzanej  
kanapy i aromatem ziół, dobiegającym z oszklonej werandy, którą dobu-  
dowała rok temu. Od czasu gdy dwa lata temu awansowała na starszą  
specjalistkę, wieczory w domu stały się cenną rzadkością, więc tak na-  
prawdę nie miała ochoty wychodzić - choćby tylko do sąsiadów obok.

Kuchnia na tyłach starego szeregowca otwierała się teraz na prze-  
stronną werandę, przez cały dzień zalaną światłem, która od razu stała  
się jej ulubionym pomieszczeniem, spychając na drugie miejsce salon o  
terakotowych ścianach i meblach obitych skórą w kremowym kolorze.  
Miranda szybko ściągnęła swoją profesjonalną zbroję - botki na wyso-  
kich szpilkach i krótką jasnopopielatą marynarkę, po czym weszła do  
swojego sanktuarium, gdzie stały palmy i paprocie. Weranda zreduko-  
wała jej ogródek do wąskiego paska trawnika i małej rabaty kwiatowej,  
ale dzięki jej szklanym ścianom i sufitowi Miranda przez cały rok miała  
poczucie, że przebywa na otwartej przestrzeni, którą w normalnej sytuac-  
ji z powodu chłodnego klimatu mogłaby się cieszyć zaledwie parę ty-  
godni w roku.

Opadła na swój ulubiony wiklinowy fotel, który powitał ją przyja-  
nym skrzypem, i położyła nogi na małym stoliku, zarzuconym sobotnią  
prasą. Chociaż był czwartek, nie miała jeszcze czasu przejrzeć tych ga-  
zet, bo cały weekend spędziła w Antwerpii, na giełdzie\* diamentów.

\* Giełdy diamentów, zwane także „diamentowymi klubami”, mają niewiele wspól-  
nego z innymi giełdami towarowymi. Rządzą nimi bardzo specyficzne reguły i rygor-  
ystyczne obwarowania, a może się na nich zjawiać jedynie wyselekcjonowane, elitarne  
grono dealerów i maklerów (i ewentualnie ich goście). Służą przede wszystkim ułatwie-  
niu kontaktów pomiędzy kupującymi a sprzedającymi (przyp. tłum.).

Z werandy widziała nie tylko swój maleńki trawnik, ale także ogró-  
dek Tash, ponieważ ich parcel nie dzielił żaden mur. Richard, mąż Tash,  
pracował w ogrodzie o każdej porze dnia i roku, ubrany w powyciągany  
kardigan, upstrzony dziurami po molach. W tej chwili też starannie  
przekopywał grządkę, szykując ziemię pod nowe zasiewy, i od czasu do  
czasu odgarniał z wąskiej twarzy gęste brązowe włosy. W tym małym  
miejskim ogródku umiał wyhodować fenomenalną różnorodność wa-  
rzyw i innych roślin. Miranda poznała swoich sąsiadów, gdy pewnego  
sobotniego ranka i ona, i Richard - oboje w szlafrokach - wyszli do

ogródka. Miranda wysypywała fusy herbaciane pod krzaczek kamelii, on zamierzał ściąć trochę ziół: szałwię oraz tymianek, by ich syropem leczyć przeziębienie synka, a także melisę, by odświeżyła jego i Tash po bezsennej nocy. Ostrzegł Mirandę, że kameliom nie służy czarna herbata, i poradził, by w zamian zastosowała koński nawóz. A potem zaprosił ją na filiżankę naparu z melisy. Miranda nie przepadała za ziołowymi herbatkami (Charlotte bezskutecznie próbowała ją namówić, żeby przestała się nakręcać cappuccino i napiła zamiast niego rumianku), ale przegadała z nowymi znajomymi cały ranek. Od tamtej pory Richard i Tash zostali jej najbliższymi przyjaciółmi w Londynie.

Zanim Miranda zadzwoniła do sąsiednich drzwi, całkowicie się przebrała. Nie chciała się narażać na traumatyczne przeżycia, jakie stały się jej udziałem, gdy wybrała się do Tash w białej lnianej koszuli. Kiedy wróciła do domu, na nieskazitelnej bieli widniał lepki deseń z małych dziecięcych łapek.

Nacisnęła dzwonek sąsiadów i najpierw usłyszała pisk dwulatka, potem ujadanie psa, a w końcu w drzwiach się pojawił czteroletni Josh o twarzy aniołka. Biada jednak temu, kto by się dał zwieść słodkiej buzi tego cherubinka. Dziś jego ogrodniczki były powalane kobaltową farbą, a twarz umazana czymś, co wyglądem przypominało masę na kakaową babkę. Tuż za nim stała Tash z małym Rufusem na biodrze. Była grubościstą kobietą, z szopą sięgających pasa blond włosów i brązowymi, śmiejącymi się oczami. Miała na sobie obcisłą, bawełnianą bluzkę oraz biodrówki w paski, podkreślające wypukłość jej macierzyńskiego łona i rozłożystość bioder. Po wydaniu na świat Rufusa swoimi proporcjami jeszcze bardziej przypominała matkę rodzicielkę, ale nigdy nie próbowała maskować strojem figury i nawet przez ostatnie tygodnie ciąży nosiła mocno dopasowane ubrania we wszystkich kolorach tęczy.

- Miranda! Wchodź szybko, bo pies zwieje.

Tash miała na myśli teriera - kłęb długiej sierści i isticie nieposkromionej energii, który był równie nieprzewidywalny jak Josh, więc uchronienie ich obu przed wypadkiem wymagało opracowania szczególnej strategii. Josh chwycił psa za ogon, by nie mógł wypaść za drzwi, i do spółki z Rufusem piszczeł z zachwytu, gdy zwierzak ślizgał się po podłodze wraz z dywanikiem, próbując się wyrwać na wolność.

Dom Tash i Richarda był na wpół wykończony i pogrążony w chaosie.

A ponieważ systematycznie z pomieszczeń usuwano ruchome przedmioty, które mogły się znaleźć w zasięgu rąk Rufusa, frontowe pokoje wyglądały jak olbrzymie dziecinne kojce.

Miranda weszła za Tash do kuchni w rustykalnym stylu, którą Richard - z zawodu stolarz meblowy - wykańczał już od wielu miesięcy. Część ścian była pomalowana na kobaltowy kolor, o jedną z nich stały oparte drewniane deski, i w tym entourage'u Tash właśnie karmiła Rufusa oraz szykowała tort urodzinowy dla Josha.

- Herbata czy chablis? - zapytała, sadzając dwulatka na wysokim krzeselku i wyciągając z psiego pyska piszczącą dziecięcą zabawkę. - Jest też jeszcze trochę wina z kwiatu czarnego bzu, produkcji Richarda...

- Chablis. Sama naleję. Czy Josh aby na pewno może się tym zajmować?

Joshua wdrapał się na wysoki taboret i mieszał drewnianą łyżką masę na ciasto, rozchlapując ją na siebie i wszystko, co się znajdowało w pobliżu.

Tash westchnęła zrezygnowana.

- Uważaj, kochanie.

- Ja pomagam!

Josh odwrócił się gwałtownie i drewniana łyżka znalazła się niebezpiecznie blisko włosów Mirandy. Zdołała jednak wykonać szybki unik i rzuciła się w stronę lodówki. Nagle poczuła, że musi się natychmiast napić.

Napełniła dwa kieliszki winem, podczas gdy Tash próbowała wcisnąć w Rufusa jakąś papkę.

- Ja na jego miejscu też bym nie otworzyła ust. Czym ty, na Boga, usiłujesz go nakarmić?!

- To jedna z moich specjalności - patat zmiksowany z gruszką i awokado.

- Fuj! Biedne dziecko.

Tash parsknęła śmiechem, Miranda pokręciła głową, po czym wymieniły znaczące spojrzenia. Obie wiedziały, że Miranda nigdy nie mogłaby robić tego, co jej przyjaciółka, i jeszcze zachować przy tym poczucie humoru. Niekiedy coś ścisnęło ją za serce na myśl o dzieciach, i wtedy się zastanawiała, czy nie popełnia błędów, przedkładając wymagającą, ambitną pracę nad założenie rodziny. Ale szybko odrzucała podobne sentymenty, które uważała za dywersję hormonów, i zaczynała sobie

powtarzać, że macierzyństwo nie jest już podstawowym obowiązkiem kobiety.

Tash prześliznęła się wzrokiem po dzinsach Mirandy - z butiku Jaspersa Conrana - i jej czarnej bawełnianej koszuli.

- Jakim cudem zawsze wyglądasz tak, jakbyś właśnie wróciła z ekskluzywnego spa, skoro nawet nie chodzisz na siłownię i na dodatek żyjesz głównie kawą i słodyczami?

Miranda wzruszyła ramionami.

- Życie w ciągłym napięciu, na wysokich obrotach.

- A gdy już o wysokich obrotach mowa, byłeś ostatnio w jakimś egzotycznym miejscu?

- Spędziłam weekend w Antwerpii - trudno mówić o egzotyce. - Zawiesiła głos dla lepszego efektu, po czym oznajmiła: - Kenneth chce, żebym w przyszłym tygodniu wybrała się do Indii...

- Do Indii! Chyba żartujesz?! Zdawało mi się, że przydzielony ci obszar to Europa i Stany Zjednoczone?

- Teoretycznie tak. Ale wytworzyła się dość skomplikowana sytuacja. Nie będę cię zanudzać szczegółami.

- Zamierzasz tam jechać?

- Nie mam ochoty.

- To nie jedź. Pamiętaj, jeśli będziesz się potulnie zgadzała na wszystko, stracisz swoją reputację kobiety-brzytwy.

- Hm. Pewnie nie pojedę, chociaż zaintrygowało mnie to, co usłyszałam o czekającej tam kolekcji. Mówiłam ci już chyba, że w lipcu organizujemy wielką aukcję diamentów i Kenneth oczekuje, że na tę okazję wyczaruję jakieś niezwykle kamienie.

Tash przyglądała się Mirandzie uważnie.

- Widzę, że przed tobą prawie niewykonalne zadanie. A skoro już jesteśmy przy kamieniach, niedawno czytałam, że są ludzie o paranormalnych zdolnościach, którzy potrafią opisać dokładnie osobę, do której kiedyś należał jakiś klejnot.

Miranda skinęła głową.

- Uhm. Nazywa się to psychometrią, co uważam za zbyt naukową nazwę dla zajęcia, które pachnie szarlatanerią.

Tash nie skomentowała cynicznej uwagi przyjaciółki.

- Autor tego artykułu utrzymuje, że jeszcze więcej o zmarłym człowieku można wyczytać z jego włosów. I natychmiast pomyślałam o

twojej kolekcji biżuterii żałobnej... brr! U ciebie w domu z pewnością aż się roi od duchów!

Miranda się roześmiała i spojrzała na Tash z wdzięcznością - ona zawsze umiała poprawić jej humor.

- Cóż, one przynajmniej nie wymagają, żebym dla nich gotowała, nie zostawiają podniesionej deski klozetowej i nie tkwią przez cały weekend przed telewizorem, przeskakując z jednego meczu na drugi.

Tash tymczasem zrezygnowała z wciskania w Rufusa swojego specjalnego musu i dała mu kawałek chleba ze skórką, który chłopczyk radośnie wpackował do ust. Chwilę później na wpeł przeżute, obślinione cząstki miękiszu zaczęły lądować na jego brodzie. W takich chwilach Mirandzie natychmiast odechciewało się macierzyństwa. Aż się wzdrygnęła, gdy pomyślała, że Josh mógłby swoimi umazanymi kakaową masą rękami dotknąć jej skórzanej, jasnokremowej sofy.

- Nie plują też wokół jedzeniem, niczego nie rozlewają i nie budzą mnie kilka razy jednej nocy!

Kiedy następnego ranka Miranda wchodziła do foyer Hanovers, czuła jednocześnie ulgę i niepokój na myśl o rozmowie z Kennethem, bo zamierzała oświadczyć kategorycznie, że nie pojedzie do Indii, mimo świadomości, że jej decyzja jest niegodna osoby dojrzałej, przeczy profesjonalnemu podejściu do pracy, a co gorsza - wynika z tchórzostwa.

Teraz już nie zwracała uwagi na stojące wokół antyki, choć gdy pierwszy raz tu weszła, wzbudziły w niej onieśmienie i ekscytację zarazem. Ten dom aukcyjny założono w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku, i od początku mieścił się on właśnie w tym budynku. Posadzki były z jasnego marmuru, a przy biurku recepcji leżała jedwabna replika dywanu z czasów imperium osmańskiego w różnych odcieniach perskiego błękitu. Wzdłuż ścian stały dziewiętnastowieczne witryny, a w nich różne, przyciągające wzrok eksponaty: ceramika z okresu dynastii Ming, srebra typowe dla *belle époque*, tkaniny z czasów imperium Mogolów. Na parterze znajdowały się sale wystawowe dwóch działów. Po prawej - meble. Błyszczące gablotki i sekretarzyki w stylu Ludwika XIV, krzesła z czasów Jakuba I i wiktoriańskie stoły - każdy mebel otaczał złoty sznur, podtrzymywany przez stojaki z idealnie wypolerowanego mosiądzu. Po lewej stronie - malarstwo i rzeźba: od czasu Tudorów po impresjonizm. W obu salach stali asystenci, nienagannie ubrani, z rękami założonymi do tyłu. Miranda uśmiechnęła się do Stephena z sali

malarstwa, a on odpowiedział jej tym samym. Dzisiaj wyglądał szczególnie egzotycznie w czarnym garniturze od Paula Smitha, koszuli o barwie fuksji i fioletowym jedwabnym krawacie. Jedna z dziewczyn zajmujących się katalogami szalała za Stephenem, a Miranda wciąż nie miała serca jej powiedzieć, że Stephen jest gejem.

Charlotte jak zwykle tkwiła za swoim biurkiem. Bez względu na to, jak wcześniej Miranda zjawiała się w pracy, Charlotte już siedziała ze słuchawką przy uchu. Właśnie zerkała przez ramię na jeden z pięciu wiszących za jej plecami zegarów, z których każdy pokazywał aktualną godzinę w innej strefie czasowej. Ich oznakowania głosiły: Nowy Jork, Tel Awiw, Kuala Lumpur, Bombaj i Tokio. Biurko Charlotte stało w centralnym miejscu, a przed nim, ustawione w wachlarz zajmujący połowę wielkiego pomieszczenia, stały biurka jej sekretarki, dwóch asystentek i trzech dziewczyn zajmujących się katalogami.

Ledwo Miranda usiadła za swoim przepierzeniem naprzeciwko komputera, odezwał się telefon, dźwięk dzwonka zaś wskazywał, że to połączenie wewnętrzne. Miranda zaczerpnęła głęboko tchu - to zapewne Kenneth. On zawsze wiedział, kiedy się zjawiała w biurze.

Swego czasu przyznał, że poznaje ją po stukocie obcasów, i teraz zawsze mijała jego gabinet na palcach.

- Miranda Godfrey.
- Dzień dobry, Mirando.

Nie Kenneth, lecz Roger.

- Witaj, Rogerze.  
- Wyczuwam rozczarowanie w twoim głosie. Czyżbyś czekała na telefon od kogoś innego - na przykład admiratora?

- Rzeczywiście, czekam na telefon od klienta. Czy masz do mnie coś ważnego?

Nie czekała na żadne telefony, w każdym razie nic jej na ten temat nie było wiadomo, ale nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z Rogerem. Już sam dźwięk jego afektowanej, nosowej wymowy działał jej na nerwy.

- A! Jesteś zapracowaną kobietą, a więc od razu przejdę do rzeczy. Sprawa rzeczywiście jest dość istotna. O ile dobrze zrozumiałem, Kenneth ci zaproponował, żebyś w przyszłym tygodniu zajęła się moją działką i pojechała do Indii, gdzie ja nie mogę lecieć, bo akurat w tym czasie muszę być w Omanie. Dzwonię, żeby ci podziękować, że zechciałaś mnie zastąpić. Wyobrażam sobie, jak bardzo musi cię przytłaczać to zadanie.

Młoda kobieta i muzułmańska elita... Ale wiedz, że w każdej chwili możesz się zwrócić do mnie o radę, bo lata moich doświadczeń...

- Przepraszam cię, Roger, ale mam telefon na drugiej linii. Wybacz, muszę się rozłączyć.

Odłożyła słuchawkę i z całej siły odepchnęła się rękami od biurka, aż jej krzesło na kółkach trzasnęło o przepierzenie, wprawiając je w solidne drganie - i od razu się poczuła lepiej. Wstała, obciągnęła spódnicę i zakiet, po czym stanowczym krokiem wymaszerowała ze swojego boksu. O nie! Nie dopuści, żeby jej życiem rządził strach, nie dostarczy też Rogerowi powodu do traktowania jej z góry. Przechodząc przez biuro, minęła dwie asystentki, które na jej widok natychmiast się usunęły z drogi. Obie ledwie przekroczyły dwudziestkę i czuły respekt przed Mirandą. Była taka szykowna i pewna siebie, a na dodatek - bardzo miła. I dla nich, i dla nowej sekretarki, nawet wtedy gdy sekretarka popełniała idiotyczne błędy, co się zdarzało wyjątkowo często. Niekiedy Miranda potrafiła się zirytować na dziewczyny odpowiedzialne za katalogi, ale tylko dlatego, że zawsze dążyła do perfekcji, no a katalog to wizytówka firmy, musiał więc być idealny pod każdym względem. Jedyną osobą, w stosunku do której Miranda zachowywała się czasami nieprzyjemnie, był Roger, czego asystentki nie mogły zrozumieć, bo przecież trudno spotkać drugiego tak słodkiego faceta. Zawsze robił im drobne prezenty i zapraszał je na lunch.

Kenneth otworzył drzwi gabinetu, zanim jeszcze Miranda zdążyła w nie zapukać. Dobiegło go staccato jej szpilek, zwiastujące, że jest w wojowniczym nastroju. Usiadła na obrotowym krześle, obitym czarną skórą, stojącym naprzeciwko biurka.

- Powiedz mi, Kenneth, czy kiedykolwiek byłeś w Indiach?

Dyrektor pokręcił przecząco głową.

- Powinieneś tam pojechać - szczególnie teraz, gdy dział biżuterii Christie's otworzył biura w Bombaju i Delhi. Rzecz w tym, że kobiety są tam traktowane mniej więcej tak samo, jak w krajach arabskich - równie dobrze mogłabym pojechać zamiast Rogera do Omanu. Ujmę to więc następująco - bardzo bym się zdziwiła, gdyby klienci z Benaresu potrałowali mnie poważnie.

- Jestem pewien, że natychmiast przywołasz ich do porządku - oświadczył Kenneth z szelmowskim uśmiechem. - Poza tym zapewne się nie spotkasz z właścicielem kolekcji. Gdy w grę wchodzi rodzinne klejnoty, w Azji transakcją zajmują się zwykle pośrednicy - to pozwala

arystokracji zachować twarz, naturalnie. Chciałbym, żebyś porozmawiała z Rogerem na temat...

- Nie mam najmniejszego zamiaru prowadzić z Rogerem jakichkolwiek rozmów. Jeżeli się czegoś podejmuję, robię to po swojemu. Postaram się też poszukać w Indiach dodatkowych klientów, żeby wykorzystać tę podróż do maksimum.

Poderwała się z krzesła, wygładziła spódnicę i odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk włosów. Kenneth z trudem zdusił uśmiech. Właśnie dokładnie takiej reakcji się spodziewał po Mirandzie - determinacji, by sprostać nowemu wyzwaniu, nawet jeżeli wzbudzało w niej strach. Jej oczy rzucały gniewne, błękitne błyski, a na jej drobnej, lekko trójkątnej twarzy zastygł wyraz zawziętości.

- Och! I jeszcze jedna rzecz, Mirando. Monsuny nawiedzają północne Indie z początkiem wiosny, więc każdy, kogo na to stać, wkrótce stamtąd wyjedzie na drugą półkulę.

No, cudnie! A więc Benares nie tylko będzie przytłaczał ją liczbą umarłych i umierających, ale także duszącą wilgocią.

- Myślę, że w takiej sytuacji powinieneś mnie zaprosić na lunch do „Ivy” i opowiedzieć coś więcej o tych benareskich Medyceuszach.

### III

## Benares, 11 stycznia 1865

Droga Barbaro,

Piszę do Ciebie, siedząc w ogrodzie, jakiego z pewnością nie widziałas nawet w najbardziej fantastycznych snach. To oaza tajemniczych roślinnych form, kwitnących drzew, fontann i ukrytych świątyń. Cała armia ogrodników w białych turbanach codziennie coś przycina i pieje, a niektórzy - to naprawdę fascynujący widok - wspinają się po gładkich pniach palm, nieoferujących żadnej podpory dla stóp, by usuwać pożółkłe, pierzaste liście.

W tej chwili siedzę w letnim pawilonie, wzniesionym z białego marmuru, który nie absorbuje tak gorąca słonecznych promieni jak inne



rodzaje budulca. Jego zewnętrzne ściany są zdobione odłamkami wielu półszlachetnych kamieni, które pięknie rozszczepiają światło i przywodzą na myśl ocean roziskrzony słońcem. Tutaj chodzenie bosy nie wzbudza niczyjzego zgorszenia, więc się rozkoszuję chłodem gładkiego marmuru pod stopami. Gdyby takie było moje życzenie, ktoś dodatkowo by mnie wachlował pękiem palmowych liści, ale jak na razie zdecydowanie się przed tym wzbreniam. Nie chcę się stać jedną z tych angielskich dam, które spotykam na bazarze - nieustannie uskarżają się na upał, tłok lub hałas, i nie zrobią kroku bez eskorty co najmniej dwóch służących.

Już od kilku tygodni przebywam w pałacu maharadży, ale jeszcze do tej pory nie poznałam mojego gospodarza. Z początku wydawało mi się to bardzo osobliwe, ale po pewnym czasie się dowiedziałam, że jego książęca mość się udał, wraz ze swoją żoną, na inspekcję plantacji herbaty i indygo, którą zamierza sobie urozmaicić polowaniem na zwierzynę płową i tygrysy. Zjechał do pałacu zaledwie parę dni temu, ale jeszcze nie dostąpiłam zaszczytu audiencji. Bardzo mi zależy na tym spotkaniu, bo chciałabym mu jak najszybciej pokazać prace Franza. Poinformowano mnie, że maharadża jest świadom mojej obecności w jego rezydencji i że spotka się ze mną w stosownym czasie.

Jego powrót do Benaresu przedstawiał sobą widok, jakiego nie zapomnę do końca życia. Oznajmił o tym wydarzeniu dźwięk mosiężnego gongu, który poniósł się donośnym echem przez korytarze, sale i komnaty pałacu. Natychmiast w zenanie zapanowała istna gorączka - kobiety biegały na wszystkie strony, czesały i namaszczały olejkami włosy, podkreślały oczy specjalnym czarnym proszkiem oraz wkładały najpiękniejsze szaty.

Muzułmańskim kobietom nie wolno opuszczać zenany bez zgody maharadży, a nawet kiedy dostaną takie pozwolenie, muszą mieć zawsze eskortę, jednak na dachu przeznaczonej dla nich części pałacu jest piękny ogród, z którego się rozciąga widok na drogę wiodącą do bram rezydencji. I właśnie stamtąd oglądałyśmy procesję kilkunastu słońi, o grzbietach pokrytych barwnymi kobiercami, na których stały małe pawilony z kości słoniowej. Słoń maharadży był największy i miał czaprak błyszczący od drogocennych kamieni, przystrojony imponującą egretą z piór. Książę siedział pod czerwonym jedwabnym baldachimem, a jego turban i szaty zdobiły olbrzymie klejnoty. Z dużej odległości nie widziałam

wyraźnie rysów twarzy władcy, ale sądząc po posturze, nie jest on tak wiekowy, jak sądziłam.

Dni i tygodnie upływają mi przyjemnie, a spędzam je głównie w towarzystwie niezwyklej młodej kobiety imieniem Saraswati. To niewyobrażalnie piękna istota o dużych, podłużnych, ciemnych oczach, wysokim czole i nosie tak delikatnym w rysunku, jakby go wyrzeźbiła dłoń wielbiącego swoje dzieło artysty. Ma na wpół kobiecą, na wpół dziewczęcą figurę - długie nogi i wdzięczne proporcje. Nie jest muzumanką, więc - jak mi się zdaje - ma całkowitą swobodę poruszania się po pałacu. Saraswati była tancerką, zanim została jedną z konkubin maharadży, i powiedziała mi, że jeszcze teraz dla niego tańczy, jeżeli władca ma takie życzenie. Na szyi nosi sznureczek małych koralików ze złota i drewna sandałowego, którego zapach zawsze się wokół niej unosi. Zaintrygowała mnie owa ozdoba, bo jest wyjątkowo skromna, a ta dziewczyna mogłaby sobie wybrać dowolne klejnoty z pałacowego skarbcza. Gdy ją o to zapytałam, odrzekła, że drewno sandałowe chroni ją przed złymi mocami! Saraswati ma najwyżej siedemnaście lat i nosi imię hinduskiej bogini. Ubiera się jedynie w złocistożółte stroje, by - jak twierdzi - przypominać swoim „poddanym”, że jest ziemskim wcieleniem swojej imienniczki. Jak może pamiętać, bogini Saraswati jest małżonką Brahmy - najważniejszego boga w hinduistycznym panteonie, stwórcy wszechświata.

Opowieści tej dziewczyny biorą się częściowo z wybujałej fantazji, a częściowo z emocjonalnego rozchwiania, spowodowanego zapewne nagłymi przenosinami z nędznej lepianki do pałacu, bo niedawno się dowiedziałam, że Saraswati była do niedawna biedną wiejską dziewczyną. Kobiety z zenany uważają, że z racji niskiego stanu w ogóle nie jest warta względów maharadży. To ponoć bardzo niezwykle, by indyjski książę trzymał w haremie kobietę z plebsu, stąd nie mogę się oprzeć wrażeniu, że za tym niesłychanym awansem Saraswati kryje się jakaś tajemnicza intryga.

Miałam też wyjątkową okazję obejrzeć kolekcję biżuterii maharani. Saraswati zapewniła mnie, że jako jedyna z kobiet może swobodnie wchodzić do skarbcza, więc się udałyśmy do niewielkiej świątyni, ukrytej w labiryncie marmurowych korytarzy, której strzegło dwóch groźnie wyglądających mężczyzn - podobnie jak Gowinda członków specjalnej gwardii. Nie rozumiałam treści rozmowy toczonej w hindi, ale

najwyraźniej Saraswati przekonywała strażników, żeby wpuścili nas do środka. Musiała przy tym użyć jakiegoś niezwykłego argumentu, bo jeden z nich miał bardzo zaleknioną minę.

Chwilę później weszliśmy do małej świątyni, w której znajdowała się jedynie przebogato haftowana zasłona i posąg wyrzeźbiony z czarnego kamienia. Powietrze było gęste od dymu kadzideł palących się u stóp posągu przedstawiającego przerażającą boginię - w naszym języku z ludzkich czaszek, z wystającym, ociekającym krwią językiem.

Mała komnatka, w której przechowywane są klejnoty, jest pozbawiona okien, a prowadzą do niej niskie drzwi, ukryte za zasłoną. Cóż za niezwykle zgromadzono tam skarby! Zaniemówiłam z wrażenia, gdy ujrzałam skrzące się klejnoty, posypywane do złotych skrzyń, inkrustowanych półszlachetnymi kamieniami. Poczulałam się nagle jak w pieczarze smoka. Dowiedziałam się, że zgromadzono tu zarówno osobisty majątek maharadży, jak i zasoby szkatuły księstwa.

Saraswati często mi towarzyszy, gdy się wybieram w palankinie na miasto - robi wszystko, żeby spędzać ze mną jak najwięcej czasu. Nieustannie wypytuje mnie o Londyn, bo - jak się zorientowałam - uważa Anglię za wspaniały kraj i bardzo chciałaby ją odwiedzić. Wyznała mi, że wysłała do Londynu swojego zaufanego człowieka, by pilnował tam jej interesów, ale w mojej opinii to czcze wymysły, coż bowiem za interesy może mieć hinduska wiejska dziewczyna w Londynie?

Kiedy opuszczamy pałacowe tereny, eskortuje nas zawsze dwóch członków straży, bo wedle Saraswati, żadna z kobiet maharadży nie może się znaleźć poza pałacem bez ochrony. Nie spodobało mi się, że jestem zaliczana do jego kobiet, tym bardziej że i beze mnie ma ich aż nadto. Podczas naszej ostatniej wyprawy jednym ze strażników był Gowinda, ale nie prowadził ze mną swobodnej rozmowy, jak to miał w zwyczaju, gdy dzieliliśmy trudy podróży. Wtedy też odwiedziliśmy najstarszą zachowaną świątynię w Benaresie, znacznie oddaloną od rzeki i ulic, które poznałam do tej pory. Zbudowano ją, zanim Mogołowie przybyli tu w XVI wieku, złupili miasto, wprowadzili islam i zrównali z ziemią wiele hinduistycznych świątyń. Ta jest poświęcona bogini Kali i grozi jej wyburzenie - tym razem jednak nie ze strony Mogołów, ale brytyjskich urzędników. Chcą na tym miejscu zbudować stację pomp, by usprawnić

prymitywny system kanalizacyjny. Kanalizacja rzeczywiście stanowi tutaj poważny problem, ale pomysł, żeby zniszczyć świątynię stojącą tu od wielu wieków, jest barbarzyński. Najwidoczniej brytyjscy urzędnicy nie mają dość wyobraźni, by przewidzieć, jakie skutki może pociągnąć za sobą zabór świętego gruntu. Cała ta historia oburza mnie do głębi.

Świątynia Kali przypomina w kształcie dużą stupę - jest kopulastą budowlą o kolumnowym portyku, do którego wiodą kamienne stopnie. W środku zdaje się jaskinią o kolistych ścianach, a oświetla ją jedynie krąg świec ustawionych na podłodze. Ściany ozdobione są płaskorzeźbami wyobrażającymi swawolące bóstwa oraz wiele scen bitewnych. Na wysokim ołtarzu znajduje się duży posąg bogini, która siedzi z wywieszonym językiem i zdaje się wodzić wzrokiem za każdym, kto wchodzi do jej przybytku. Kali to przerażające bóstwo - jest czarna jak węgiel, odziana w szatę zdobioną ludzkimi czaszkami i poucinanymi członkami, a z jej ust kapie krew. U stóp Kali leżą zmasakrowani, pokonani wojownicy, którzy się ośmielili rzucić jej wyzwanie. Rozpoznałam od razu tę postać - ta sama bogini strzeże bowiem klejnotów maharadży.

Saraswati zadrżała, gdy stanęła przed posągiem - aż zadźwięczały złote bransoletki na jej nadgarstkach. A potem zaczęła cichym szeptem powtarzać wciąż te same słowa - jakby w kółko odmawiała krótką, jednostajną modlitwę. Gowinda natychmiast postąpił krok w jej stronę i mierzył ją czujnym wzrokiem, dopóki nie opuściliśmy świątyni.

Po wyjściu natknęliśmy się na żonę jednego z brytyjskich urzędników, która uznała za stosowne mi się przedstawić, ale całkowicie zignorowała towarzyszące mi osoby (to traktowanie Hindusów z góry w ich własnym kraju jest jednym z serii zachowań Brytyjczyków, które wprawiają mnie w zażenowanie), po czym zaczęła gloryfikować pomysł budowy stacji pomp w tym miejscu, zupełnie nie dostrzegając, że jestem przeciwna tym planom.

Do tej pory udawało mi się trzymać z dala od brytyjskiej kolonialnej socjety, chociaż z czasem będzie mi coraz trudniej unikać rodaków. Nie dalej jak wczoraj spotkałam na bazarze jedną z Marii, która mnie zaprosiła na jutro do misji, a ponieważ nie wymyśliłam na poczekaniu żadnej wiarygodnej wymówki, przyjąłam zaproszenie na trzecią po południu.

Muszę na razie kończyć, moja droga, bo dzisiaj w pałacu odbędą się obchody święta zwanego Gangaur - upamiętniającego zaślubiny boga Siwy z boginią Parwati. Wkrótce mam zasiąść do kolacji w towarzystwie maharani oraz innych kobiet i powinnam się ubrać z wyjątkową starannością, bo od rana w zenanie trwały gorączkowe przygotowania do tej uroczystości.

Najpierw pojawili się kupcy. Naturalnie nie wolno im patrzeć na kobiety, siedzą więc za parawanami z jedwabiu i ponad nimi podają sztuki biżuterii i flakony egzotycznie pachnących perfum. Kiedy poczyniono już zakupy, rozpoczął się najbardziej wymyślny rytuał kąpielowy, jaki do tej pory zdarzyło mi się widzieć. Służące napełniły trzy srebrne misy różnymi olejkami - do twarzy, ciała i włosów; a cztery miedziane wanienki - czterema różnymi ziołowo-kwiatowymi wodami, z których każda pachniała piękniej od poprzedniej. Najpierw kobietom myto włosy wonną, zieloną pastą ze świeżo zmiażdżonych liści thali i nabłyszczano olejem kokosowym. Następnie służące nacierały ciała swoich pań jasną mączką grochową, a potem zmywały je wodą o purpurowej barwie, będącą - jak mnie poinformowano - naparem z kory aż czterdziestu drzew. Wreszcie wmasowywały im w twarze olejek zawierający szafran (podobno zapobiegający porostowi włosów na twarzy). Na końcu kobiety suszyły włosy nad aromatycznym dymem, unoszącym się z naczyń napełnionych rozpalonymi do czerwoności węglami i suszonymi ziołami. Zaproponowano mi udział w tym niezwykłym ceremoniale, ale mnie wystarcza moja woda różana, którą na szczęście można tu bez trudu nabyć.

A teraz naprawdę muszę kończyć, droga przyjaciółko, bo na dziedzińcu już zapalają pochodnie, a w żadnym razie nie chciałabym się spóźnić.

List do Barbary Bodichon zawierał jeszcze kilka stron, ale przed przystąpieniem do dalszej lektury Susana postanowiła przemyśleć to, co przeczytała. Poza tym jakiś czas temu zamówiła śniadanie do pokoju, posiłku jednak nie dostarczono. Niewykluczone, że Gopal, pochodzący z Nepalu recepcjonista, zapomniał o jej zamówieniu. O tej porze roku, gdy nadciągał monsun i w Benaresie pozostawało już niewielu turystów, hotel redukował liczbę personelu o połowę, stąd Gopal pełnił nie tylko funkcję recepcjonisty, ale również montera, pokojowego i kucharza. Możliwe też, że wcale nie zapomniał o zamówieniu, lecz po prostu zasnął,

bo po całym dniu pracy w hotelu wieczorami studiował historię na miejscowym uniwersytecie.

Wzmianka Lily o starej świątyni Kali szczególnie zainteresowała Susanę, zakonotowała więc w myślach, że musi zapytać Gopala, czy ta budowla nadal stoi - choć wydawało się to mało prawdopodobne, wzięwszy pod uwagę, że zamierzano ją wyburzyć już w 1865 roku. Gopal był istną kopalnią wiedzy na temat przeszłości Benaresu i ochoczo się nią dzielił z każdym, kto miał ochotę go słuchać.

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi i - jakby przyciągnięty telepatycznie przez Susanę - w progu stanął uśmiechnięty wielofunkcyjny recepcjonista z tacą w ręku.

Na jej pytanie odparł, że owszem, w Benaresie nadal stoi trzynastowieczna świątynia Kali, którą miano wyburzyć w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Ocalała (Gopal nie wiedział jak i dlaczego) i turyści mogą ją zwiedzać.

- A więc to zapewne jedna z najstarszych budowli w tym mieście? - powiedziała w zamyśleniu Susana.

- O nie. - Gopal stanowczo pokręcił głową. - Benares został założony w zamierzczłych wiekach przez plemię Ariów i już w siódmym wieku przed Chrystusem był potężnym, tętniącym życiem ośrodkiem, słynącym z handlu kością słoniową, kamieniami szlachetnymi i jedwabiem. To właśnie w Benaresie Północny Trakt przecinał Ganges. Tutaj też Budda głosił swoje pierwsze nauki i dokonał licznych nawróceń.

- Czy stara świątynia jest nadal miejscem kultu?

- Tak. Wielu ludzi napływających ze wsi do miasta wciąż oddaje cześć Kali. Składają bogini ofiary z krwi, żeby zaskarbić sobie jej przychyłość.

- Z krwi?!

Gopal uśmiechnął się łobuzersko na widok miny Susany.

- Ale teraz już nie z ludzkiej, chociaż krążą opowieści, że thagowie nadal składają jej ofiary z ludzi. Czy słyszała pani o thagach?

Susana skinęła głową. Ową tajną sektę płatnych zabójców i bandytów ponoć rozgromił pewien brytyjski oficer policji w połowie dziewiętnastego wieku. Susana czytała mrozące krew w żyłach opisy dokonywanych przez nich mordów. Po uduszeniu swoich ofiar, odrąbywali im ręce i głowy, żeby złożyć w darze Kali. Czarna bogini nosiła bowiem pas z ludzkich ramion, a na szyi wieniec z ludzkich czaszek. Była bezlitosna i krwiożercza.

Susana nie uznała więc za optymistyczną informacji Gopala, że według Hindusów ludzkość wkroczyła w fazę zwaną Erą Kali\*, kiedy to samoświadomość prawie zanika, a materializm urasta do rangi najwyższego kultu. Nie wiadomo, w jakim dokładnie momencie się zaczęła ta era, ale panowało powszechne przekonanie, że cechujące ją ignorancja i chciwość przestaną rządzić światem, gdy Kali znowu przejrzy na swoje trzecie oko - oko mądrości.

\* W istocie nie należy mylić bogini Kali z Erą Kali - Kali Juga - której nazwa bierze się od imienia demona zniszczenia. Choć w notacji języków europejskich nie widać różnic, w sanskrycie oba imiona subtelnie się różnią pisownią i wymową (przyp. tłum.).

Gopal postawił tacę na balkonowym stoliku i uśmiechnął się do Susany.

- Ale proszę się nie przejmować - szaleństwo tej ery nie dotknęło Indii w takim stopniu jak Londynu. Czy wie pani, co powiedział Gandhi, kiedy Brytyjczycy go zapytali o opinię na temat zachodniej cywilizacji?

- Nie, ale chętnie się dowiem.

- Oznajmił: „Uważam, że będzie wspaniała; jeżeli kiedyś powstanie”.

Susana się roześmiała, a zanim Gopal zniknął za drzwiami, zapytała go jeszcze, jak trafić pod adres, który przez telefon podał jej pan Sziwati. Skierowała ją do niego jedna z archiwistek z British Library, ponieważ był on autorem książki na temat Anglików przebywających w Benaresie w epoce wiktoriańskiej.

Godzinę później Susana wyginała nieznacznie kręgosłup, by zminimalizować ból w plecach, i z trudem się powstrzymywała, by nie zerkać na zegarek. Choć od czasu poprzedniego pobytu w Indiach regularnie chodziła na zajęcia jogi, po godzinie siedzenia na podłodze ze skrzyżowanymi nogami była już nieco zdrętwiała.

Słowa gospodarza nie wzbudzały jej zainteresowania, ale na szczęście miała na czym zawiesić wzrok. Podłogę ogromnego pokoju pokrywał wypłowywały jedwabny dywan wielkości połowy kortu tenisowego. Meble były głównie orientalne, ale znajdowały się tu także dwa bogato zdobione wiktoriańskie kredensy, zastawione antycznymi indyjskimi rzeźbami i delikatnymi srebrnymi nargilami. Na ścianach wisiały portrety umundurowanych Hindusów w turbanach, a także pokryta kurzem kolekcja tygrysich łbów o groźnie wyszczerzonych, pożółkłych kłach.

Monumentalne drzwi balkonowe otwierały się na werandę pełną klatek z ptakami, za którą rozciągał się ogród z kwitnącymi roślinami.

Naprzeciwko Susany siedział gnom w tradycyjnych białych szatach, czczony przez miejscową społeczność z racji zaawansowanego wieku oraz ważnych funkcji duchowych. Według powszechnie panującej opinii (gorąco podzielanej przez samego zainteresowanego), pan Sziwati był godzien najwyższego szacunku, ale okazał się mało przydatny dla Susany. Wizyta u niego nie posunęła naprzód jej badań, skazała ją natomiast na niewdzięczną rolę akolity, którego pan Sziwati raczył opowieściami o swoich rozlicznych dokonaniach, w czym mu wtórowało drobne grono jego zagorzałych entuzjastów. Podczas pobytu Susany w tym domu zjawilo się także trzech mężczyzn, a każdy z nich na powitanie ucałował stopy pana Sziwatiego.

Susana poznała już na tyle hinduskie zwyczaje, by wiedzieć, że tak się wita szacownych mężów w podeszłym wieku, niemniej uważała ten gest za wyjątkowo przesadny. Ostatecznie nawet dalajlama nie wymagał, by go całowano po stopach. Niemniej spotkanie z gospodarzem nie było całkowicie bezowocne. Sziwati z „głębokim żalem” poinformował, że małe uniwersyteckie archiwum, zawierające wiktoriańskie, gdzie się „zawieruszyło”. O ile Susana dobrze zrozumiała, owa kolekcja spokojnie by się zmieściła w pudełku po butach, bo składała się zaledwie z kilku listów i wycinków z lokalnej prasy. Sziwati stwierdził, że jedynymi ludźmi w Benaresie, którzy ewentualnie mogliby cokolwiek wiedzieć o Lily Korechnya, są potomkowie maharadży. Ofiarowawszy jej ten promyk nadziei, dodał natychmiast, że z ową rodziną praktycznie nie sposób się skontaktować i że słynie ona z niechęci do zachodnich dziennikarzy. W przeszłości paru członków rodu straciło twarz, ponieważ europejskie media ujawniły, że sprzedali oni na aukcjach część kolekcji sztuki, zgromadzonej przez przodków.

Susana przypomniała Sziwatiemu, że nie jest dziennikarką, ale autorką prac naukowych i historycznych, on jednak tylko wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia. Jest pani zagraniczną pisarką, a zagraniczni pisarze nie przedstawiają Indii w korzystnym świetle - oświadczył, po czym wdał się w rozwlekły opis pomnika wystawionego jego ojcu.

Gdy przerwał na moment dla zaczerpnięcia oddechu, Susana podawała się z podłogi i uprzejmie podziękowała za poświęcony jej czas.



- Ależ pani nie zrobiła żadnych notatek! - wykrzyknął z oburzeniem Sziwati.

Susana klepnęła się dłonią w czoło.

- Mam doskonałą pamięć.

Sziwati parsknął śmiechem i oznajmił:

- *Maja maja thagini ham dzani*. To słowa benareskiego poety, Kabira, a oznaczają: „Ułuda jest niczym kobieta z sekty thagów”.

Towarzyszący mu mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Wysłuchawszy cierpliwie tej uwagi, Susana opuściła zaniedbany kolonialny dom, w którym mieszkał Sziwati. Po rozwlekłych wywodach starca nie spłynęło na nią żadne oświecenie, ale wielka ulga, że wreszcie się stamtąd wyrwała. Czowała się bardzo spięta w towarzystwie owych mężczyzn, którzy traktowali ją z pełną wyższości protekcjonalnością. Ale gdy już ochłonęła, zrozumiała, że Sziwati nie wygłosił swojej pożegnanej uwagi, by ją ośmieszyć, lecz uświadomić, w jak wielkim stopniu życie przepełnione jest ułudą i zwodniczymi podstępami umysłu. Przecież wśród thagów nie było żadnych kobiet.

Przez następną godzinę spacerowała po ulicach, żeby się otrząsnąć z uczucia rozczarowania. Zatrzymała się w cieniu migdałowca, obok chyłcej się ku ruinie stupy, i zapaliła bidi. Okolica, w której mieszkał Sziwati, była dużo spokojniejsza i nieco bardziej podmiejska w charakterze niż ulice otaczające kamienne stopnie-platformy. Niszczące eleganckie fasady wiktoriańskich domów zdawały się obiecywać, że na przekór wszystkiemu Susana zdobędzie więcej informacji o życiu Lily. Patrząc na cegły wylaniające się spod splekanego tynku, rdzewiejące pręty kutech balustrad i żółty pył pokrywający pierzaste liście palm, Susana się zastanawiała, jak to miejsce wyglądało w 1865 roku.

Miała ochotę wrócić do Sziwatiego i powiedzieć, że jego opinia o zagranicznych pisarzach to wynik podejrzliwości, z jaką podchodzi do ich intencji. Wszechobecnie panująca w Indiach inercja jest ułudą, za którą skrywa się wielka siła duchowa - na Zachodzie natomiast sytuacja wygląda odwrotnie. Bogactwo i zaawansowanie technologiczne skrywają fakt, że duchowość zachodniego świata umiera.

Dlatego tak wielu ludzi z Zachodu wciąż przyjeżdża do Indii - nie po to, by okazywać swoją wyższość i samozadowolenie, ale odnaleźć tajemne cnoty Wschodu. Teraz są one jeszcze bardziej nieuchwytnie niż w 1860 czy 1960 roku, ale Susana chciała wierzyć, że zdoła tu jeszcze odkryć coś sobie nieznanego.

## IV

Gdy pociąg z lotniska toczył się leniwie przez wioski otaczające Bombaj, Miranda miała wrażenie, że przegląda album ze starymi fotografiami. Indie zdawały się zawieszony w czasie - widoki za oknem były tak znajome, jakby od jej ostatniego pobytu w tym kraju minęło zaledwie kilka miesięcy, a nie dwie dekady.

Nerwy dały znać o sobie, gdy tylko wyszła z klimatyzowanej kabiny samolotu. Wszechobecny pył, tłumy ludzi, aromat egzotycznych przypraw przywołały od razu najgorsze wspomnienia. Długość kolejki do rzędu zapuszczonych okienek, przy których odbywała się odprawa paszportowa, dała jej sporo czasu, by się psychicznie przygotować na to, co ją czekało po opuszczeniu względnie bezpiecznej strefy lotniska. Z miejsca, w którym stała, widziała drzwi wyjściowe, a za nimi masy ludzkie, napierające na siatkę ogrodzenia, z trudem powstrzymywane przez umundurowanych i uzbrojonych strażników.

Pomimo upału Mirandę przeszył lodowaty dreszcz. Od chwili gdy się zgodziła na tę podróż, spowijał ją mroczny cień przeszłości, i nie mogła się otrząsnąć z przekonania, że powrót do Indii może się okazać jej nemezis. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie czuła się tak bezbronna i przerażona, jak przed laty w tym kraju. Doszła do wniosku, że to za sprawą ducha tego miejsca człowiek czuje się bezradny i obnażony; wszechobecne tu „wyrzeczenie się doczesności” atakowało zmysły, nie pozostawiając miejsca na nic poza esencją człowieczeństwa.

Naprzeciwko Mirandy siedział Giles - starszy specjalista z działu sztuk pięknych, który też miał coś do załatwienia w Benaresie. Okazał się wspaniałym towarzyszem podróży i prawdziwym dżentelmenem. Pozostawił ją swoim myślom (i lękom) i dopiero wówczas wkroczył do akcji, kiedy po opuszczeniu lotniska poszukiwali taksówki, by ich dowiozła do dworca kolejowego. Sprawnie przeprowadził Mirandę przez napierający tłum młodych mężczyzn, którzy natarczywie oferowali, że poniosą im bagaż, oprowadzą po okolicy, znajdą odpowiedni hotel.

- A więc - odezwał się Giles w zamyśleniu - przybyłaś tu w charakterze łowcy skarbów? Jesteś bardzo odważną kobietą, skoro się zdecydowałaś przyjechać do Indii w poszukiwaniu diamentów.

- Dlaczego odważną? - spytała lekko wojowniczym tonem.

Zapewne Giles zaraz jej powie, że kobieta nie zdoła przeprowadzić żadnej transakcji handlowej w azjatyckim kraju, i już się szykowała do walki w obronie własnej płci.

- Bo diamenty są uważane w Indiach za... potencjalnie niebezpieczne kamienie. O ile mi wiadomo, ludzie zajmujący się tu handlem diamentami kojarzą kłopoty rodziny Windsorów z faktem, że indyjski Koh-i-noor został zagrabiony przez Kompanię Wschodnioindyjską i подарowany Wiktorii.

Giles powiedział to wszystko miłym, konwersacyjnym tonem, w którym nie było ani cienia protekcyjności, i Miranda natychmiast opuściła gardę.

- A więc znasz się na handlu diamentami w Indiach?

- Nie bardzo. Interesuje mnie natomiast mitologia i mistycyzm tego kraju. Nie sposób zajmować się azjatycką rzeźbą i nie zetknąć przy tym z miejscowymi przesadami i folklorem. Wedle hinduskich wierzeń, Koh-i-noor był pierwszym diamentem, ofiarowanym jednemu z wielkich królów przez boga słońca, Surję, w nagrodę za okazywanie mu należnej czci. A teraz ten kamień tkwi w londyńskiej Tower, symbolizując bogactwo i próżność, a nie wielkość.

Miranda milczała przez chwilę. Nie spodziewała się podobnych słów z ust specjalisty od sztuk pięknych.

- No i do tego dochodzi, naturalnie, historia diamentu Hope'a...

Miranda parsknęła śmiechem.

- Nie wiem, czy to odpowiedni moment, by przypominać mi o wszystkich nieszczęściach, które ponoć ściągnęły na ludzi diamenty!

Każdy, kto się zawodowo zajmował klejnotami, słyszał o okrytym złą sławą diamencie Hope'a, przywiezionym z Indii przez francuskiego podróżnika Taverniera. Niektórzy utrzymywali, że Tavernier ukradł diament - wylupił go z oka posągu wyobrażającego boginię Ram, żonę boga Sity, i wszystkie nieszczęścia, które spadały na posiadaczy tego kamienia, były zemstą bóstw za ów niecny czyn. Olbrzymi niebieski diament został zakupiony przez Ludwika XIV, który wkrótce potem zmarł na czarną ospę. Następnie nosiła go Maria Antonina i skończyła na gilotynie. Potem kupiła kamień rodzina Hope i katalog nieszczęść zaczął się powiększać - przedwczesne zgony, rozpad małżeństwa, w końcu bankructwo. Zanim w 1910 roku piękny diament nabył Pierre Cartier\*,

słynny francuski jubiler, kamień - wedle wciąż rozdmuchiwanej legendy - miał „doprowadzić” jeszcze do morderstwa, tragicznego wypadku i rewolucji.

\* Cartier wkrótce odsprzedał diament amerykańskiej milionerce Evalyn McLean. Po jej śmierci w 1947 roku klejnot nabyła firma jubilerska Harry Winston Co, która w 1958 roku podarowała diament Hope'a Instytutowi Smithsoniańskiemu w Nowym Jorku, gdzie można go oglądać do dziś (przyp. tłum.).

- A czy masz dla mnie jakąś radę? Co mam zrobić, żeby nie ściągnąć na siebie nieszczęścia przy okazji poszukiwania diamentów?

Giles uśmiechnął się nieznacznie.

- Powiedziałbym, że będąc tutaj, powinnaś przestawić się na hinduski sposób patrzenia na życie, a jeżeli pojawią się trudności, przyjąć je z pokorą - bo niewykluczone, że losy twojej aukcji są już przesądzone!

- Przez bogów?

- Właśnie - odparł Giles z tak enigmatycznym uśmiechem, że Miranda nie wiedziała, czy mówi poważnie, czy żartuje. - Ale w gruncie rzeczy nie wiem nic o diamentach poza tym, że kiedyś był to w Indiach kwitnący interes, a teraz znacznie podupadł.

Miranda pokiwała głową ze zrozumieniem.

- De Beers przekazuje barwne i największe diamenty hurtowym dealerom w Nowym Jorku ze względu na popyt w Stanach oraz wyjątkowe umiejętności tamtejszych szlifierzy. Handel diamentami został teraz rozdzielony na określone terytoria i na globalną skalę jest całkowicie kontrolowany przez De Beersa. Surowe diamenty są przesyłane do CSO - centrali sprzedaży tej korporacji, mieszczącej się w Londynie - a tam myte, ważone i sortowane. CSO ustala ceny diamentów na świecie i decyduje, jakie kraje otrzymają nieoszlifowane kamienie. Indie, ogólnie rzecz biorąc, dostają najmniejsze diamenty, ponieważ szlifierze w Bombaju są mistrzami w cięciu maleńkich fasetek. Stąd Indie sprzedają najwięcej drobnicy.

W tym momencie do ich przedziału weszło hinduskie małżeństwo i wyjęło domową kolację z wiklinowego koszyka: słoiki z niezidentyfikowanymi warzywami, gęste purée z grochu i soczewicy; maleńkie naczynka z chili i piklami oraz dość ryżu, by wykarmić dużą rodzinę.

Wszystkie te wiktuały zostały rozlane lub nałożone łyżką do maleńkich przegródek w ładnych cynowych tackach, a w przedziale zapachniało kardamonem i kurkumą. Kobieta, muzułmanka - o czym świadczyła długa tunika, zachodząca na wąskie spodnie, oraz chusta zakrywająca

czoło, włosy i ramiona - unikała wzroku i Gilesa, i Mirandy. Jej mąż natomiast zaczął ich częstować cziapatami i bananami z ujmującą serdecznością. Miranda podziękowała, kupiła natomiast zaprawioną korzeniami herbatę od bosonogiego chłopca, który chodził po wagonie i śpiewnie wykrzykiwał: *Czai, czai, czai!*. Giles skorzystał z poczęstunku i rozpoczął rozmowę z mężczyzną, podczas gdy jego żona zerkiała nieśmiało na bojówki Mirandy i jej bawełnianą bluzkę bez rękawów.

Miranda tylko jednym uchem przysłuchiwała się rozmowie - popijając herbatę, patrzyła przez okno na wiejskie krajobrazy. Towarzysz podróży okazał się sprzedawcą firmy komputerowej - przemysł IT obecnie bardzo pręźnie się rozwijał w Indiach. Bardzo zaintrygował go zawód Gilesa i przy okazji zauważył, że w jego własnym kraju nie ceni się już spuścizny historycznej. Ambicje Indii, by świat uznał je za kraj mocno osadzony w technologiach XXI wieku, powodowały, że wiele starych budowli niszczało i chyliło się ku upadkowi. Giles słuchał tego z zainteresowaniem i zgodził się, że „starym Indiom” należy okazywać tyle samo szacunku, ile nowoczesności, bo w innym wypadku starożytna kultura przypadnie na zawsze. Na te słowa Hindus wybuchnął śmiechem i powiedział:

- Nasza matka, Indie, w głębi duszy nigdy się nie zmieni. Wciąż czcimy tych samych bogów, szanujemy rodzinę. Na Zachodzie jest inaczej, czyż nie?

Miranda tymczasem spoglądała na przesuające się za oknem krajobrazy urzekające urodą. Oto mała karawana wielbłądów, oświetlona zachodzącym słońcem, i jej cień - lekko wydłużone odbicie na poletku ryżowym. Plantacja kokosów, a chwilę później stadko dzikich świń o zakrzywionych kłach. One z kolei ustąpiły miejsca bawołu, na którego grzbiecie przysiadł kruk. Na skraju maleńkiej wioski prymitywnych lepianek, w cieniu drzewa, siedziała grupka kobiet, które wyplatały wiklinowe maty i wymieniały plotki, a ich barwne sari odcinały się żywością kolorów od wyblakłego, przesyconego szarym pyłem tła. Minęło ich też kilka pociągów, jadących w przeciwnym kierunku - ludzie wisieli na stopniach wagonów i kłębili się w ich wnętrzach. W drugiej i trzeciej klasie całe rodziny tłoczyły się na dwóch siedzeniach, obstawionych klatkami z kogutami lub kwiczącymi prosiakami oraz koszami z kapustą bądź papajami.

O dziwo, te wszystkie widoki wpływały na Mirandę kojąco i po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że już od dawna nie była tak wyciszona. W Londynie nie mogła się uwolnić od potrzeby działania, ciągłego pobudzania umysłu do wysiłku - kurczowego podtrzymywania własnego wizerunku, który zbudowała, by ją chronił. Może Indie wydawały jej się tak konfrontacyjne, ponieważ tutaj czuła się odarta z tego wizerunku - tu nie liczyły się w najmniejszym stopniu jej zgromadzone dobra, sztywne ciuchy, stanowisko zawodowe. Dzisiaj, w pociągu do Benaresu, pragnienie posiadania czerwonego skórzanego płaszcza wydało jej się czymś frywolnym i bezsensownym. Dzisiaj odezwał się w niej imperatyw, by wszystko kwestionować.

Wczesnowieczorne światło było łagodne, dymnie złociste, i ukośnymi promieniami padało na płaskie dachy domów, gdzie się suszyły sari, oraz na sterczące słupy elektryczne, z których się zwieszały baldachymy skłębionych drutów. Od czasu do czasu pomiędzy domami zamajaczył jeszcze kawałek wiejskiego krajobrazu, który jednak szybko ginał, pogrzebany pod zabudową nieustannie rozrastającego się miasta.

Rozważania Mirandy przerwał Giles, który pochylił się ku niej z szelmowskim uśmiechem.

- Powinienem cię ostrzec - jednemu ze strażników kolejowych powiedziałem, że jesteś moją żoną, ponieważ wykazywał nadmierne zainteresowanie twoim stanem cywilnym. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe?

Miranda parsknęła śmiechem.

- To bardzo mądrze z twojej strony. Ja z kolei powinnam cię ostrzec, że nie zamierzam potraktować łagodnie jakiegokolwiek Hinduśa, który znowu mnie zapyta, czy jestem mężatką.

- A więc już kiedyś byłaś w Indiach?

- Przed wielu laty. I nie zamierzałam nigdy wracać, ale skoro się już tu znalazłam, zdecydowanie wezmę odwet za tamte czasy!

Giles pokiwał ze zrozumieniem głową, wygładził nogawkę lnianych spodni, po czym zawołał chłopca z herbatą, od którego kupili cztery porcje - bo napój podawano w malutkich plastikowych pojemnikach.

- Swego czasu na tej linii sprzedawano tę herbatę w tycich glinianych naczynkach, które wyrzucało się za okno, by zwrócić glinę ziemi. Problem polegał na tym, że trzeba było bardzo szybko pić, żeby nie przeniknęły do niej grudki niewypalanej gliny!

Giles był bardzo eleganckim mężczyzną około sześćdziesiątki, o nieco wiktoriańskich manierach, ale zupełnie pozbawionym częstego u mężczyzn „starej szkoły” snobizmu, który tak drażnił u Rogera.

- Czy byłaś już w Benaresie, Mirando?

Pokręciła przecząco głową.

- Cóż, nie potraktuj tego jak paternalistycznej uwagi, ale jeżeli z jakichkolwiek względów potrzebowałabyś towarzysza, nie wahaj się do mnie zwrócić. Jestem umówiony z londyńskim klientem, który już tutaj jest, i razem mamy odwiedzić kilku antykwariuszy zajmujących się handlem hinduskimi rzeźbami, ale mój rozkład zajęć jest bardzo elastyczny. Będziemy mieszkać w jednym hotelu. To dobry hotel, pozwalający na ucieczkę od zgiełku miasta, a stoi nad samym Gangesem.

Kiedy pociąg zaczął zwalniać, Miranda wstała, żeby rozprostować nogi. Na końcu wagonu, przy drzwiach, pasażerowie już się szykowali do wyjścia. Miranda stanęła przy otwartym oknie i obserwowała mijającą ją procesję niskich domów, świątyń, drzew o liściach pokrytych szarym pyłem, kulejących psów, próbując się przygotować na nieuchronny zgiełk i ścisk głównego dworca miasta. Wszędzie wokół widać było, jak pośpiesznie starożytna kultura gna ku nowoczesności. Obok tradycyjnych bazarów stały szklane wieżowce międzynarodowych banków oraz pięciogwiazdkowe hotele. Stare meczety i fasady kolonialnych budynków zasłaniały tandetne billboardy z jaskrawymi, błyszczącymi twarzami gwiazd Bollywoodu. Wszechobecne zdawały się również reklamy telefonów komórkowych i produktów wielkich amerykańskich korporacji, które brutalnie się wdzierały do Indii, by korzystać z taniej siły roboczej tego kraju. Wypolerowany biały mercedes zatrzymał się obok ciągnionego przez woły wozu, a przez ulicę przeszła młoda kobieta w obcisłych dzinsach i na wysokich szpilkach, mijając się z muzułmanką okrytą od stóp do głów czarną szatą, zwaną tu purdah.

Gdy tylko wolne tempo jazdy na to pozwoliło, Miranda zabawiała się czytaniem haseł umieszczonych na billboardach. Słoi z uniesioną trąbą reklamował koncern wytwarzający komórki; przystojny biały mężczyzna w pozie prawdziwego macho głosił: „Spodnie Howards dla uczciwego mężczyzny”; najnowsze kluski Maggi pakowano w „atrakcyjne pojemniki do użytku w kuchenkach mikrofalowych”; rozbawiło ją natomiast hasło: „HDFC obniża odsetki od kredytu - teraz jest najlepszy moment, żeby kupić własny dom”.

Gdy pociąg już stanął na stacji, do wagonu wśliznął się obdarty chłopiec i zaczął grzebać w koszu na śmieci w poszukiwaniu resztek jedzenia. Oprócz Mirandy nikt nie zwrócił na niego uwagi. Na peronie kłębili się bagażowi, wyróżniający się spośród tłumu czerwonymi koszulami, wypatrujący pilnie pierwszego pasażera, któremu mogliby ponieść walizki - w razie potrzeby nawet wbrew woli właściciela.

Miranda cofnęła się do przedziału i zobaczyła, że Giles już zdjął jej walizkę z półki.

- Jest tutaj postój państwowych taksówek, ale funkcjonuje jeszcze gorzej niż ten na lotnisku. Czy mam się zająć naszym transportem?

Miranda skinęła potakująco głową i wzięła głęboki oddech, zanim wysiadła z pociągu. Natychmiast otoczyła ich grupa bagażowych, do których dołączył drobny, powściągliwy w zachowaniu mężczyzna o zębach zabarwionych betelem. Ścisk panujący na dworcu i natarcie czerwonych koszul sprawiały, że jego uprzejmość zdawała się ujmująca - ale tylko głupiec mógłby jej zaufać. Mężczyzna zaproponował, że ich eskortuje do postoju, gdzie - jak zapewniał - będzie czekać taksówka, którą - za urzędową taryfę - dojadą wprost do miejsca przeznaczenia.

Z istną wirtuozerią wyprowadził ich z zatłoczonego dworca na ulicę, gdzie nieznośny odór ropy zwiastował obecność całego batalionu taksówek. Nie stały one jednak w szeregu, ale zajmowały każdy kawałek wolnej przestrzeni - łącznie z chodnikiem. Miranda zachodziła w głowę, jak któraś z nich będzie mogła w ogóle ruszyć z miejsca.

Szopa, w której znajdowało się biuro państwowego przedsiębiorstwa taksówkowego, była zamknięta na trzy spusty, i to najprawdopodobniej od dłuższego czasu. Drobny Hindus wskazał na tablicę pokrytą nieczytelnymi napisami.

- O, tutaj właśnie są urzędowe taryfy za jazdę po Benaresie.

- Biuro jest zamknięte.

- Tak, zawsze jest zamknięte. Ale ja też zaproponuję dobrą cenę. Szukacie państwo hotelu?

Giles pokręcił głową.

- Już znaleźliśmy. Zatrzymamy się w „Radży”, nieopodal Dasa-swamedh Ghat.

- Nie, to nie jest dobry hotel. Mój kierowca zawiezie was do lepszego.

Giles słuchał tego w spokoju, natomiast Miranda ostatnim wysiłkiem woli powstrzymywała się od komentarza.



- Mamy rezerwację w „Radży”, ale jeżeli pański kierowca nie może nas tam zabrać, znajdziemy kogoś, kto to zrobi.

- „Radża” jest nad rzeką. Taksówki nie mogą wjeżdżać do tamtej części miasta. Zabiorę państwa do bardzo dobrego hotelu...

- Już mamy rezerwację - powtórzył Giles z godnym podziwu spokojem. - Za ile nas pan może zawieźć do bram starego miasta?

Stamtąd weźmiemy riksę.

- Powiem, jak już dojedziemy na miejsce.

- Wolałbym ustalić cenę z góry.

- Okay... - Hindus zawiesił głos. - Sto pięćdziesiąt rupii.

- Nie ma mowy - stanowczo zaproponował Giles. - Taryfa za taką trasę wynosi najwyżej pięćdziesiąt.

Mężczyzna wyraźnie się stropił - miał nadzieję, że jego potencjalni pasażerowie okażą się większymi ignorantami.

Giles postąpił Mirandzie znaczące spojrzenie, sugerując, że nadszedł czas na pozorowany odwrót. Ledwo jednak odwrócili się na pięcie i postąpili parę kroków, Hindus znowu się znalazł u ich boku.

- Okay. Okay. Mój kierowca zabierze was do bram starego miasta za osiemdziesiąt rupii. Ja jestem zawodowym przewodnikiem, więc po drodze pokażę wam kilka atrakcji turystycznych, które...

Miranda już nie była w stanie powściągnąć języka.

- PIĘĆDZIESIĄT albo w ogóle pan na nas nie zarobi! - rzuciła i poczuła, jak krew jej napływa do twarzy. - I NIE POTRZEBUJEMY żadnego przewodnika.

Hindus całkowicie ją zignorował i wpatrywał się w Gilesa, jakby trwające negocjacje handlowe były wyłączną domeną mężczyzn. Miranda podeszła bliżej do mężczyzny i powtórzyła podaną cenę swoim najbardziej autorytatywnym tonem. Mężczyzna jednak nadal patrzył na Gilesa, jakby od niego oczekiwał ostatecznej decyzji. Miranda miała świadomość, że płoną jej policzki.

- PROSZĘ MNIE NIE IGNOROWAĆ, GDY SIĘ DO PANA ZWRACAM. POWIEDZIAŁAM: PIĘĆDZIESIĄT RUPII, A JEŻELI NIE ODPOWIADA PANU TA PROPOZYCJA, POSZUKAMY INNEJ TAKSÓWKI.

Hindus westchnął teatralnie, posłał Gilesowi pełne rozczarowania spojrzenie, jakby się dziwił, że ten dystygowany Anglik pozwala żonie na podobne zachowanie. Giles tymczasem zerknął na Mirandę.

- Mam wrażenie, że z włosów buchają ci płomienie - powiedział i zaśmiał się pod nosem.

Wpakowali bagaże do rdzewiejącego ambasadora - obłego w kształtach, przedpotopowego pojazdu, który kiedyś był jedynym samochodem, produkowanym w Indiach. Teraz po indyjskich ulicach jeździło dużo nowoczesnych aut różnych marek, bo zachodnie koncerny samochodowe przenosiły tu produkcję, by dzięki taniej sile roboczej znacznie obniżyć koszty produkcji.

Ich „przewodnik” wgramolił się na siedzenie obok kierowcy - zwalistego, nieogolonego mężczyzny o znudzonym wyrazie twarzy. Samochód nie chciał zapalić, a kiedy silnik w końcu zaskoczył, zgasł, gdy tylko kierowca włączył bieg. Następną próbą pobudzenia silnika do życia skończyła się po przejechaniu paru metrów. Ta zabawa powtórzyła się jeszcze kilka razy, zanim silnik podjął miarową pracę. Wówczas taksówkarz położył rękę na klaksonie i tym wyciem torował sobie drogę na zatłoczonej ulicy.

Miranda, obserwując, co się dzieje, nabrała pewności, że jadą pod prąd na jednokierunkowej ulicy, bo wszystkie pojazdy oprócz ich taksówki poruszały się w przeciwną stronę. Ale jeśli nawet tak było, kierowca nie uważał, że jest w tym coś niezwykłego. A gdy parę pojazdów zatarasowało im drogę, wysiadł i tłukł pięściami w maski pobliskich samochodów, aż w końcu znowu mieli przed sobą kawałek wolnej przestrzeni.

Gdy już się wydostali spod dworca, przewodnik zaczął zadawać pytania na temat Londynu, i Giles, dżentelmen w każdym calu, wdał się z nim w rozmowę. Miranda odkręciła szybę i natychmiast uderzył ją podmuch gorącego, zapyłonego powietrza, pełnego wielu różnych zapachów: dojrzałych owoców, silnie przyprawionego korzeniami, gorącego oleju, krowiego łajna i kadzideł. Na jezdni roilo się od silnikowych riksów, skuterów wydających z siebie dźwięki zdezelowanej kosiarki oraz wolnych żółtych krów. Piesi wchodzili śmiało przed jadące ciężarówki, a rozklekotane rowery tylko cudem unikały zderzenia z wozami ciągnionymi przez woły. Huk ulicy był ogłuszający.

Na chodnikach kwitło biznesowe życie. Krawcy się pochylali nad starymi singerami, pucybutci siedzieli w kucki, drobni sprzedawcy rozkładali na małych kocach swoje towary. Handlowali wszystkim - od bliżej nieokreślonych części jakichś maszyn po papierowe tutki z orzeszkami ziemnymi.

Miranda opadła na oparcie siedzenia. Dużo by dała, żeby taksówka mogła ich dowieźć do samego hotelu. Giles wyjaśnił jednak, że na wąskich uliczkach starego miasta nie zmieści się żaden pojazd większy od rikszy. Nie mogły tam także wjeżdżać trójkołowe silnikowe riksze, ale policjant strzegący bram puszczał je, jeżeli się uiściło „specjalny podatek” w wysokości dziesięciu rupii, który trafiał w całości do kieszeni funkcjonariusza.

Kiedy taksówka zatrzymała się przy zaporze i Miranda zobaczyła uliczki za bramą, posłała Gilesowi przerażone spojrzenie. Wyobrażała sobie, że w obrębie starego miasta ruch będzie dużo mniejszy niż w pozostałych dzielnicach. Tymczasem to, co się kłębiło przed jej oczami, uświadomiło jej, że dotychczasowa podróż przez miasto była tylko dziecinną igraszką. Ulica wiodąca do Gangesu zdawała się jedną, wielką, zbitą masą ludzką, nad którą wisiała chmura kurzu i smogu.

Giles zatrzymał riksę i rzucił bagaże na podłogę części przeznaczonej dla pasażerów. Rikszarz rozciągnął usta w uśmiechu, ukazując bezzębne dziąsła, i zdawał się bardziej niż uszczęśliwiony sumą zaoferowaną mu przez Gilesa. Był bardzo chudy, ale żyłasty, więc szybko znaleźli się w tłumie zdążającym ku Gangesowi.

- Radzę, Mirando, żebyś nie wysuwała żadnej części ciała poza riksę. Ten ścisk wygląda groźnie, ale - o dziwo - bardzo rzadko dochodzi do kolizji. Rządzi tu teoria chaosu - istotna składowa hinduizmu. Podróż upłynie ci szybciej, jeżeli zaczniesz myśleć o czymś przyjemnym - na przykład o tym, że w „Radży” można kupić alkohol, trudno dostępny w tym mieście. Wyobraź więc sobie, że siedzisz na balkonie, patrzysz na Ganges i popijasz rozkosznie schłodzony dzin z tonikiem!

## V

**O** zachodzie słońca Susana szła wolnym krokiem ulicą przebiegającą wzdłuż schodów-platform i majestatycznych, opuszczonych pałaców, wznoszących się nad rzeką. Minął ją obdarty chłopiec z workiem pełnym drewnianych fletów, grający na jednym z instrumentów. Długo po tym, jak zniknął, w powietrzu unosiła się jeszcze tajemnicza melodia i łączyła z zapachami jaśminu oraz drewna sandałowego, dolatującymi z pobliskiej

świątyni. Ta mieszanina dźwięków i woni pobudzała zmysły, i Susana miała wrażenie, że oto widzi przed sobą wiktoriańskie damy w białych bawełnianych sukniach, z parasolkami w dłoniach, przechadzające się w cieniu niegdyś wspaniałych pałaców.

Pałac, w którym mieszkała Lily Korechnya, został przekształcony w muzeum. Stał na przeciwległym brzegu Gangesu i żeby się do niego dostać, trzeba było przejechać przez niebezpiecznie chybotliwy pontonowy most. Susana zamierzała odwiedzić muzeum pod koniec tygodnia, tuż przed wyjazdem z Benaresu, ale kiedy snuła te plany, miała nadzieję, że zanim się tam znajdzie, zdoła się dowiedzieć czegoś więcej o Lily. Obecnie wydawało się to niewykonalne - Sziwati powiedział, że praktycznie nie sposób się skontaktować z potomkami maharadży, a tylko oni mogą być w posiadaniu nieznanych jej, interesujących informacji. Najprawdopodobniej już dawno temu wyprowadzili się z pałacu, podobnie jak wywłaszczeni władcy ponad pięciuset innych indyjskich księstw. Wszyscy maharadzowie zjeżdżali do Benaresu z okazji rozlicznych religijnych świąt, a ich opuszczone rezydencje, wznoszące się wzdłuż rzeki, teraz powoli popadają w ruinę. Na niektórych zawieszono olbrzymie banery, głoszące, że obiekt się znajduje pod opieką Departamentu Archeologicznego - nieudolnego, niedoinwestowanego ciała administracyjnego, odpowiedzialnego za ochronę zabytków. Mało więc prawdopodobne, by te pałace kiedykolwiek zostały wydzwignięte z ruiny.

Emma Roberts, wydająca w Kalkucie w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku gazetę „Oriental Observer”, nazwała Benares „indyjską Wenecją”, ale teraz najstarsza, „święta” część miasta była odarta ze swojej świetności - w zasięgu wzroku nie uświadczyło się ani jednego drzewa, a ta resztką roślinności, która jeszcze pozostała, skarłała od kurzu i spalin. Rzecz w tym, że jedynie niewielki obszar miasta uchodził za chroniony przez bogów. Benares w starożytności nazywano Kaszi - Miastem Światła - ale także Waranasi. Określenie to wyznaczało święty obszar, który otaczały dwa dopływy Gangesu - od północy rzeka Waruna, a od południa Assi. Według hinduistycznego mitu, bogowie stworzyli te dwie rzeki, aby chroniły sanktuarium przed złymi mocami.

Zazwyczaj o zachodzie Susana obserwowała, jak złote palce słońca spinają oba brzegi rzeki, ale dzisiaj nie dostrzegęła łodzi rybackich, unoszących się na migotliwej toni, czy sadhu piorących swoje minimalistyczne szaty w świętych wodach. Wyobraźnia podsuwała jej przed oczy zupełnie

inne obrazy - sceny z Benaresu epoki wiktoriańskiej. W bibliotece miejscowego uniwersytetu oglądała akwaforty z początku dziewiętnastego wieku, przedstawiające kamienne platformy. W owych czasach większość terytorium obecnego miasta pokrywały jeszcze lasy i pola. Owe grafiki natchnęły Susanę nową nadzieją: czuła się tak, jakby stanęła przed oknem, z którego mogła ujrzeć kawałek świata Lily - i uwierzyła, że zdoła poznać go lepiej.

Weszła do oświetlonej jarzeniówką części recepcyjnej hotelu i pozdrowiła Gopala, który uniósł głowę znad książki z przyjaznym uśmiechem.

- Czy dzisiaj miała pani więcej szczęścia w swoich poszukiwaniach?

Pokręciła głową, odwzajemniła uśmiech i ruszyła na górę. W pokoju ściągnęła z siebie zakurzone ubranie, wzięła prysznic, po czym włożyła czystą bawełnianą koszulkę i zawiązała sarong. Kiedy wyszła na balkon i oparła się o balustradę, wczesnowieczorne niebo nabrało różowej barwy, a wszystkie łodzie wróciły już do przystani. Po jednej stronie hotelu Susany stał mały tani pensjonat - taki sam, w jakim się zatrzymała podczas swojego pierwszego pobytu w Indiach. Na jego tarasie siedzieli młodzi ludzie, zapisywali coś w pamiętnikach i palili skręty z marihuaną. Im podobnych widywało się codziennie na ulicach - kręcili się w labiryncie wąskich uliczek, nosili ze sobą hinduskie instrumenty, zawiązywali chustki na głowach lub szyjach, a ich sandały i kolorowe, ręcznie tkane torby pokrywała gruba warstwa kurzu. Wielu z nich pielgrzymowało tutaj z przyczyn osobistych - poszukiwali własnego boga lub sensu życia. Przypominali Susanie ją samą z okresu pierwszej podróży do Indii. To zdumiewające, ale mimo przeludnienia i brudu, wysokiej przestępczości i kwitnącego przemysłu pogrzebowego to właśnie w Benaresie najłatwiej można było się wyciszyć, odnaleźć duchowy spokój. Pewnie wynikało to z faktu, że przed niewyobrażalnym chaosem i ścisłym najświętszego miasta Hindusów schronić się można było tylko we własnym wnętrzu.

Od drugiej strony z hotelikiem Susany sąsiadował „Radża” - jedyny pięciogwiazdkowy hotel w starej części miasta. Wszystkie budynki, wzniesione wzdłuż kamiennych ghat, ściśle do siebie przylegały, więc „Radża” stał tak blisko, jakby był częścią tej samej budowli. Na balkonie sąsiadującym z balkonem Susany stała niska, filigranowa kobieta z

elegancko wystylizowaną burzą rudych włosów. Tak jak Susana, opierała się o balustradę, ale widać było, że nie delectuje się widokami - sprawiała wrażenie spiętej, nawet załężnionej. Kobieta odwróciła głowę, podchwyciła spojrzenie Susany i uśmiechnęła się blado.

Wraz z nadchodzącym wieczorem wzmagała się aktywność na pobliskich stopniach, zwanych Dasaswamedh Ghat. Nadsięgnęła mała grupa braminów, a wokół nich szybko zgromadzili się wierni, by oddać się rytualnym modlitwom nad rzeką. Przez ostatni tydzień był to sygnał dla Susany, że dzień pracy dobiegł końca i nadszedł czas, by zejść nad brzeg i oczyścić umysł. Na kamiennych stopniach rozpoczęło się już misterium - ubrani w szafranowe szaty duchowni stanęli w szeregu, zwrócenii twarzami do atramentowych wód Gangesu. Każdy z nich wznosił melodyczne modły i wykonywał spiralne ruchy czymś, co wyglądało jak czarna motylek do kurzu. Susana się dowiedziała, że w ten sposób odganiają złe duchy. Codziennie obserwowała ów wieczorny spektakl, a potem szła do ulubionej restauracji z notesem pod pachą.

Siedząc na kamiennym stopniu, w otoczeniu rozmodlonych Hinduśów, dostrzegła kobietę z balkonu, która błędziła wśród tłumu niby w hipnotycznym transie. Ich spojrzenia ponownie się spotkały i Susana uśmiecnięła się pogodnie. Kobieta odpowiedziała uśmiecniem wyrażającym ulgę, że wreszcie dojrzała jakąś znajomą twarz.

Wydawała się kompletnie zagubiona i pod wpływem impulsu Susana gestem zachęciła, by do niej dołączyła.

- Witam. Zapewne pani dopiero przyjechała?

Kobieta skinęła głową i usiadła obok Susany. Wciąż sprawiała wrażenie bardzo spiętej.

- Ciężka podróż?

- Uhm. Taksówkarz był w podłym nastroju, a riksarz zachowywał się jak maniak.

Kobieta wycięgnęła rękę.

- Miranda Godfrey. Po prostu Miranda.

- Miło cię poznać. Jestem Susana. Susana Harris.

- Przyjechałaś tutaj na wakacje?

Susana pokręciła głową i pokrótce wyjaśniła cel swojej wizyty w Indiach.

- To fascynujące! - zakończyła Miranda z niekłamana szczerością w głosie, czym zdumiała Susanę.

- Mnie rzeczywiście fascynuje. Czy interesujesz się historią?
- Pracuję w domu aukcyjnym, więc spędzam wiele czasu otoczona przedmiotami, które były świadkami historii. Często próbuję sobie wyobrazić światy i ludzi, do których należały...

Wyjaśnienia Mirandy przerwała mała dziewczynka. Próbowała sprzedać im girlandę z pomarańczowoczerwonych kwiatów, którą zarzuciła Mirandzie na szyję. Miranda zdjęła ją szybkim ruchem i włożyła na szyję dziecka.

- Na tobie wygląda dużo ładniej, dziesięć rupii to za dużo, więc zmykaj!

Dziewczynka się zaśmiała, po czym wskazała na kwiaty, a następnie na włosy Mirandy, by zwrócić uwagę, że są tego samego koloru. Nie nagabywała ich jednak natarczywie - odwróciła się na pięcie i odbiegła.

- Widzę, że nie jest to twoja pierwsza wizyta w Indiach.
- Druga. Pierwszy raz przyjechałam tu dwadzieścia lat temu i po-przysięgam, że więcej nie wrócę.
- A jednak wróciłaś - zauważyła Susana ze śmiechem.
- Nie z własnej woli. Podobnie jak ty, jestem tutaj w celach zawodowych.

Susana doszła do wniosku, że podoba jej się owa pełna życia, drobna osóбка. Chociaż widać było, że Miranda jest bardzo zmęczona, wciąż tliła się w niej jakaś iskra, która zapewne nigdy nie gasła.

Ta kobieta miała w sobie niezwykłą witalność.

Susana z przyjemnością spędzała wieczory we własnym towarzystwie, i teraz - gdy zbliżała się do czterdziestki - powszechnie uchodziła za samotniczkę. Zdumiały ją więc jej własne słowa:

- Słuchaj, odkryłam w pobliżu świetną restauracyjkę i właśnie wybieram się tam na obiad. Jeżeli nie masz żadnych planów na wieczór, będzie mi miło, jak zechcesz mi towarzyszyć...

- Z wielką chęcią - odparła bez namysłu Miranda. - A czy tam sprzedają alkohol? Słyszałam, że w Benaresie krzywo się patrzy na picie...

- Jest piwo i miejscowa whisky. Whisky raczej odradzam, ale piwo niekiedy bywa nawet zimne. Często zdarzają się tu przerwy w dopływie prądu, więc lodówki nie chłodzą jak należy.

Do restauracji można było dojść jedynie wyjątkowo wilgotnymi uliczkami, ciągnącymi się za targowiskiem. W pewnym momencie spod sterty gnijących warzyw wybiegł szczur i przemknął zaledwie kilka

centymetrów od ich stóp. Miranda zakryła dłonią usta, żeby stłumić krzyk.

- Wybacz. Nienawidzę szczurów.

W tej samej chwili pogasły światła i otoczyła je nieprzenikniona ciemność.

- Jesteś tu? - usłyszała Susana szept Mirandy.

- Jestem. Dlaczego mówisz szeptem?

- Nie wiem - wyszeptała Miranda w odpowiedzi.

- Myślę, że powinniśmy zostać w miejscu, gdzie stoimy, i spokojnie poczekać, aż generatory znowu zaczną działać, bo jak ruszymy w tych ciemnościach, możemy wdepnąć w jakieś paskudztwo.

- Okay. Czy tutaj jest dużo szczurów?

- Oczekujesz odpowiedzi szczerzej czy uspokajającej?

- Zapomnij, że pytałam.

- Takie awarie są tu bardzo częste, ale za minutę znowu rozbrzysną światła.

Przez chwilę panowała cisza.

- Wciąż tu jesteś? - głos Mirandy zabrzmiał tak dziecinnie, że Susana miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

- Tak.

- Może powinniśmy cały czas rozmawiać, żeby odstraszyć szczury?

Susana uśmiechnęła się pod nosem.

- Jakże konkretnie zawodowe obowiązki ściągnęły cię do Indii?

- Mam się spotkać z agentem pewnej rodziny, która chce sprzedać na aukcji trochę biżuterii i kamieni szlachetnych.

- Chodzi o starą biżuterię, jak sądzę?

- Mam nadzieję, że nie nazbyt starą. Jeżeli wyroby złotnicze mają więcej niż sto lat, prawo indyjskie zabrania ich wywozu. Mnie jednak najbardziej interesują kamienie. Przygotowuję wielką aukcję diamentów.

- Brzmi oszałamiająco. A więc się obracasz w wielkim świecie.

Miranda parsknęła śmiechem.

- Biorąc pod uwagę nasze obecne położenie, mogę szczerze powiedzieć, że moja praca wcale nie jest tak wielkoświatowa, jak mogłoby się wydawać!

W tej samej chwili ruszyły generatory i znowu zabłysło światło. Susana spojrzała na Mirandę i doszła do wniosku, że jej policzki są o kilka odcieni bladsze.



- Może whisky to jednak nie taki najgorszy pomysł - zdecydowała.

Do restauracji dotarły już bez dalszych przygód. Mieściła się na najwyższym piętrze zapuszczonej wiktoriańskiej rezydencji, która na niższych kondygnacjach była podzielona na tanie mieszkania. Susana zaprowadziła Mirandę do stolika ustawionego na balkonie o rdzewiejącej balustradzie, która zapewne by się rozpadła, gdyby ktoś się o nią mocniej oparł. Z miejsca, gdzie siedziały, rozpościerał się widok na Dasaswamedh Ghat Road - główną ulicę, prowadzącą do rzeki.

Panował na niej taki sam tłok jak w ciągu dnia i przez chwilę w milczeniu obie się przyglądały, jak handlarze uliczni i żebracy gonią za ostatnimi w tym sezonie turystami.

- A pomijając szczury, dlaczego postanowiłaś, że więcej nie wrócisz do Indii, Mirando?

Miranda westchnęła.

- Kiedy byłam tu za pierwszym razem, wszystko się sprzysięgło przeciwko mnie. W bardzo dramatycznych okolicznościach zerwałam z chłopakiem w Bombaju, a potem, w dniu wyjazdu, zostałam okradziona. Ze wszystkiego. Musiałam czekać dwa tygodnie na nowy paszport i lot do Londynu. A ilekroć wychodziłam na ulicę, zaczepiali mnie jacyś obleśni faceci, którym się wydawało, że samotna kobieta marzy o takich atrakcjach. To było piekło.

Nic dziwnego, że jest taka spięta, pomyślała Susana. Zapewne jej się zdaje, że lada chwila dojdzie do katastrofy.

- Ktoś musiał użyć bardzo przekonujących argumentów, jeżeli jednak wróciłaś.

Miranda skinęła głową.

- Ale tak naprawdę nie zdecydowała perswazja, lecz inne czynniki. Przede wszystkim - postanowiłam, że strach nie będzie rządził moim życiem, no i - jeśli mam być szczerą - chciałam udowodnić, że jestem równie skuteczna w działaniu, jak mój starszy, nieznośnie arogancki kolega.

Susana cicho się zaśmiała.

- Moim zdaniem to cholernie sensowne powody. Poza tym, skoro już raz pewne rzeczy udowodnisz samej sobie, opinia osób trzecich przestanie cię obchodzić.

- Sprawa aukcji też odegrała ważną rolę - podjęła Miranda. - Desperacko mi zależy, by okazała się sukcesem. Ale w tym celu muszę znaleźć prawdziwy skarb - coś godnego księżniczki...

Susanę uderzyły ostatnie słowa Mirandy.

- Wiesz, to dziwne, ale właśnie czytam listy pewnej pisarki z epoki wiktoriańskiej, nazwiskiem Lily Korechnya, która spędziła jakiś czas w Indiach jako gość maharadży Benaresu i miała okazję potajemnie obejrzeć jego kolekcję klejnotów. - Susana westchnęła. - Niestety, potomkowie owego maharadży bardzo strzegą swojej prywatności i w zasadzie nie sposób się z nimi skontaktować. A mogą mieć w posiadaniu jakieś listy czy eseje pozostawione tu przez Lily.

Miranda patrzyła na nią dziwnym wzrokiem, a potem, ku zdumieniu Susany, spytała:

- Jak sądzisz, czemu historia tak nas pociąga?

Susana nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią, bo nieraz zadawała samej sobie to pytanie.

- Bo przeszłość zawsze wydaje się bardziej niewinna i romantyczna od terażniejszości. Jest jak niekończąca się opowieść, która zaczęła się w chwili, gdy człowiek zaczął spisywać swoje dzieje. A któż nie lubi dobrej opowieści!

- Ładnie to ujęłaś. Wiesz, kolekcjonuję biżuterię żałobną - głównie zdobioną włosami zmarłych. Wiele osób sądzi, że to niezdrowe, dość upiorne hobby, ale mnie pociąga tajemnica tych klejnotów. Jacy byli ludzie, których włosy są zamknięte pod szkiełkiem i jaki związek łączył ich z tymi, którzy zamawiali tę biżuterię. W moim pojęciu są to maleńkie kapliczki ku pamięci ukochanych, którzy odeszli na zawsze.

- To wyjątkowo romantyczne podejście!

Potem rozmowa zeszła na tematy osobiste i Susana zrozumiała, że godne pozazdroszczenia, wielkoświatowe życie Mirandy nie zostawia jej chwili czasu na proste rzeczy, które ona, Susana, wysoko sobie ceniła - jak krzątanie się latem wokół roślin w ogródku, spokojne popijanie herbaty lub czytanie weekendowej prasy przez całą niedzielę. Pod innymi względami natomiast były z Mirandą pokrewnymi duszami. Obie uważały - w odróżnieniu od większości swoich koleżanek ze szkoły czy uniwersytetu - że wyjście za mąż i założenie rodziny nie jest żadną gwarancją szczęśliwej, stabilnej przyszłości. Susana trafnie oceniła, że Miranda jest w jej wieku - i okazało się, że także nie ma dzieci. Ich matki wyszły za mąż tuż po dwudziestce i po ślubie nie podjęły pracy zawodowej. Susana podziwiała matkę za to, że bez sprzeciwu zaakceptowała rolę narzuconą kobietom w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Matka miała w sobie niezachwianą pewność, że zajmowanie się mężem i

dzieckiem jest wartościową pracą. A jeżeli kiedykolwiek żałowała, że nie miała takich możliwości rozwoju zawodowego jak jej córka - nigdy nie dała tego po sobie poznać. Mirandę natomiast drażnił fakt, że jej matka zajmowała się wyłącznie domem - uważała to za ograniczenie uwłaczające kobiecie.

- Często się przeciwko temu buntowałam - wyznała. - W chwili gdy byłam na tyle duża, by - stojąc na taborecie - zmywać naczynia, zdecydowałam, że moje życie nie sprowadzi się do wyglądanania przez kuchenne okno i planowania, co ugotować mężowi na obiad. I spójrz, dokąd mnie to doprowadziło - zazwyczaj nie mam czasu, żeby ugotować coś dla siebie samej.

Miranda wybuchnęła śmiechem, Susana natomiast się zastanawiała, czy ten oczywisty pracoholizm Mirandy czegoś nie maskuje. Czy tak naprawdę ta energiczna kobieta jest zadowolona ze swojego życia. A potem, niespodziewanie, jej myśli zwróciły się ku Erze Kali i naukom czarnej bogini - dopiero gdy ktoś dojrzy bezsens własnych ambicji i pragnień, staje się prawdziwie wolnym człowiekiem.

## VI

**M**iranda siedziała w eleganckim foyer „Radży” i czekała na pana Waidję. Poprzedniego dnia zadzwoniła do jego biura i zasugerowała, żeby pierwsze spotkanie odbyło się w hotelu. Do tej pory nie bardzo wiedziała, kim właściwie jest ten człowiek - prawnikiem, prywatnym sekretarzem, znajomym czy przyjacielem rodziny, do której należały klejnoty. On, ilekroć nawiązywał do właścicieli kosztowności, mówił o nich per „mój klient”.

Wszędzie wokół uwijała się armia hotelowych pracowników w białych kurtkach. Zmywali, pucowali, polerowali, odkurzali wszystkie płaskie powierzchnie, podłogi, klamki, poręcze, tralki. Hotel „Radża” był dobrze zachowanym mauzoleum panowania brytyjskiego w Indiach, a przepych jego wnętrz ostro kontrastował z nędzą widoczną tuż za progiem. Miranda wodziła wzrokiem po połączanych posągach, jedwabnych dywanach, tapiseriach i zasłonach; z zażenowaniem zauważyła nawet wyrzeźbione w hebanie popiersie królowej Wiktorii. Cicho pomrukuje

wiatraki z wikliny i złota zwieszały się z wysoko wysklepionego, przeladowanego ornamentami sufitu.

- Dzień dobry, Mirando - rozległ się za jej plecami miły głos Gilesa i Miranda z uśmiechem odwróciła się w jego stronę.

- Witaj, Giles. Wyruszasz na zderzenie z rzeczywistością?

- W istocie. Wpadłem na trop kilku dość wyjątkowych kamiennych rzeźb i dzisiaj spotykam się z klientem - kolekcjonerem z Londynu, który chce zakupić naturalnej wielkości posągı wszystkich hinduistycznych bóstw. Przyjechał tutaj, żeby obejrzeć jeden z nich - posąg bogini Kali - i poprosił mnie o profesjonalną opinię.

- Czy takie dzieła znajdują się tutaj w kolekcjach prywatnych?

- Owszem, ale trzeba wiedzieć, do kogo się zwrócić. Wiele z nich zostało ocalonych z wyburzanych świątyń, zarówno przez Brytyjczyków, jak i muzułmanów. Mój klient jest nieprawdopodobnie bogaty i dość ekscentryczny. Postanowił stworzyć w Londynie replikę „ogrodu Kaszi”.

- Kaszi?

- Kaszi to nazwa, jaką w starożytności nosił Benares. Hindusi wierzą, że w ogrodzie Kaszi narodził się świat, i do dziś żyją w nim wszyscy bogowie i boginie - z wyjątkiem Jamy, boga śmierci, któremu nie wolno przekraczać bram świętego miasta. Dlatego Hindusi przybywają tu, by umrzeć - Jama nie ma do nich dostępu, a więc ich nie sądzi, nie skazuje na długą, ciężką wędrówkę, i szybciej się dostają do świata szczęśliwości. A jak twoja misja, Mirando?

- Wkrótce się przekonam. Właśnie czekam na tajemniczego agenta moich ewentualnych klientów.

- W takim razie cię opuszczam. Może dziś wieczorem spotkamy się w barze?

- Jasne. I powodzenia w pogoni za boginią. Jak brzmi jej imię?

- Kali. To najbardziej przerażające z bóstw.

Ledwo Giles się oddalił, gdy do Mirandy podszedł drobny, schludny mężczyzna w brązowym garniturze, z lekko sfatygowaną skórzaną aktówką pod pachą. Miał wąską twarz i zaczesane do góry włosy, błyszczące od pomady.

- Panna Godfrey? - zapytał wysokim głosem.

- Tak. Pan Waidja, jak rozumiem?

Miranda wyciągnęła rękę, a pan Waidja nieznacznie się zawahał, zanim uściśnął jej dłoń. Zapewne nie spotykał się zbyt często w celach zawodowych z kobietami.

Przysiadł na brzegu jednego z wiklinowych foteli-tronów, które stały rozsiane po foyer, otworzył aktówkę i wyjął plik papierów.

- To opis kolekcji należącej do mojego klienta. Może chciałaby ją pani przestudiować przed pokazem.

Miranda przerzuciła szybko dokumenty. Spis wyglądał na fotokopię listy spisanej piórem bardzo, bardzo dawno temu - miejscami zupełnie nieczytelną. Po chwili odłożyła papiery.

- O ile to możliwe, wołałabym jednak obejrzeć kolekcję.

- Naturalnie. Nawet teraz, jeżeli ma pani takie życzenie. Musimy odbyć podróż rikszą, ponieważ dom mojego klienta znajduje się po drugiej stronie rzeki.

- Jak się przez nią przeprawimy?

- Jest most.

„Most” okazał się kładką bez żadnych poręczy i był najwyżej o metr szerszy od wąskiej, trójkątowej rikszy. W regularnych odstępach czasu któraś z jego na wpół spróchniałych desek skrzypiała jęklonie, jakby już nie była w stanie udźwignąć małego pojazdu. Deski przytwierdzono linami i rdzewiejącymi bolcami do unoszących się na wodzie metalowych cylindrów. Na domiar złego riksarz przyspieszał, ilekroć trafili na wyjątkowo spróchniały fragment poszycia.

- To zupełnie bezpieczne - zapewnił pan Waidja, kiedy po szczególnie głośnym trzasku Miranda kuczowo chwyciła za metalowy drążek, oddzielający ich od riksarza. Nie mogła wymazać sprzed oczu obrazu silnikowej rikszy, uderzającej w obłuzowaną deskę i katapultującej się do cuchnących wód Gangesu. Widok rozdętego truchła krowy, unoszącego się na pianistej powierzchni rzeki, nie poprawił jej nastroju.

- Czy mógłby pan poprosić riksarza, żeby zwolnił?

Pan Waidja nachylił się do przodu i powiedział coś w hindi do wiozącego ich kamikaze, który wyszczerzył zęby w uśmiechu. I ani trochę nie zwolnił.

Kiedy już niemal dojeżdżali do przeciwległego brzegu, Miranda była w stanie dostrzec szczegóły budowli, która wcześniej - zasnuta pyłem i oparami - zdawała się jedynie szarą bezkształtną bryłą.

- Swego czasu był to pałac maharadży Benaresu - poinformował pan Waidja. - Teraz mieści się tam muzeum.

Z oddalenia pałac wydawał się w o wiele lepszym stanie niż książęce rezydencje, ciągnące się wzdłuż drugiego brzegu, i Mirandzie stanęły przede oczami ilustracje baśni tysiąca i jednej nocy, które czytano jej w

dzieciństwie. Gdy podjechali bliżej - złudzenie przysło. Okazało się, że bogato zdobione fasady, portyki kryte kopułami czy ażurowe marmurowe parawany i przezrocza w oknach oraz balkonach były dalekie od dawnej świetności. Część koronkowych kamiennych ornamentów zżerała erozja wywołana działaniem wody i smogu. Popękały też mozaiki pokrywające kopuły. Mimo to Miranda mogła sobie wyobrazić, jak niezmiernie piękna musiała być kiedyś ta budowla. Teren pałacu okalał wysoki mur z czerwonego kamienia, a nieopodal znajdowała się niewielka wioska. Gdy tylko zjechali z mostu i znaleźli się na twardym gruncie, Miranda odetchnęła z ulgą.

- Pański klient tutaj mieszka? - zapytała ze zdumieniem. Jak to możliwe, że posiadacz diamentów i cennej biżuterii ulokował się w prymitywnej wiosce, której przetrwanie w oczywisty sposób zależało od turystów odwiedzających pałac? Pan Waidja skinął potakująco głową.

Zatrzymali się przed bramami pałacu. Owe „bramy” były wielkości londyńskiego bloku mieszkalnego, a pod ich centralnym łukiem nawet największy słoń wyglądałby karłowato.

Miranda podążyła za agentem i gdy przeszli przez bramę, znaleźli się na wielkim dziedzińcu, dokoła którego wznosiło się kilka niszczących pałacowych gmachów, a także kilka mniej ozdobnych budynków z dużo późniejszego okresu. Waidja truchtem skierował się właśnie ku jednemu z nich - dwupiętrowej budowli, która wyglądała jak angielska georgiańska rezydencja i o wiele bardziej pasowałaby do Londynu niż pałacowych terenów mogolskiego maharadży.

Agent zaproponował, żeby Miranda zwiedziła muzeum, zanim zasiądą do negocjacji.

- Może jednak mogłabym obejrzeć pałac po spotkaniu z pańskim klientem?

- Z moim klientem nie można się spotkać, proszę pani.

- Czy w takim razie mogłabym niezwłocznie obejrzeć kolekcję? Nie przyjechałam tu w celach turystycznych.

- Tak jest, proszę pani. Idziemy zobaczyć klejnoty.

- Pański klient mieszka w tym domu? - spytała, gdy znaleźli się na stopniach georgiańskiego budynku i Waidja nacisnął guzik dzwonka.

- Tu znajduje się kolekcja.

Po dłuższej chwili stało się oczywiste, że nikt nie otworzy drzwi, i pan Waidja ponownie nacisnął przycisk. Minęło kolejnych parę minut.

- Może dzwonek nie działa? - podsunęła Miranda.

- Zgadza się. Nie działa - przyznał Waidja.
- Pan o tym wiedział?!
- Tak, ale nigdy nie zaszkodzi spróbować. Mógł zostać naprawiony.
- Cóż, osobiście w to wątpię.
- Rzeczywiście, chyba ciągle jest zepsuty.

Miranda z trudem się powstrzymała od jakiegoś teatralnego gestu i bez konsultacji z agentem zapukała do drzwi.

Natychmiast stanął w nich wiekowy służący w białej tunice i kraciatym sarongu, spod którego wystawały gołe brązowe nogi i bose stopy. Mężczyzna uklonił się nisko Waidji, natomiast na Mirandę nawet nie rzucił wzrokiem.

Wprowadził ich do wielkiej sali, zapchanej antykami, o ścianach zawieszonych nieprawdopodobnie kosztownymi tapiseriami, zdobionymi klejnotami i złotą nicią.

- Proszę spocząć. - Waidja wskazał dłonią duży rzeźbiony stół, inkrustowany kością słoniową, dookoła którego stały stanowiące z nim całość fotele, obite pozłocaną skórą. Służący zniknął, wprowadziwszy ich do sali, a gdy tylko Miranda usiadła za stołem, opuścił ją także pan Waidja.

Rozejrzała się wokół, przytłoczona masą otaczających ją przedmiotów. Żeby ochłonąć, podniosła się z fotela i podeszła do okna. Częściowo zasunięte, gęsto haftowane zasłony nie przepuszczały jaskrawego światła, zalewającego dziedziniec. Miranda dostrzegła uzbrojonych strażników, snujących się przy drzwiach, obdarte dzieci, bawiące się w pile, i kilku turystów wachlujących się folderami.

Dopóki nie znalazła się w tym wnętrzu, Miranda nie podejrzewała, że klient pana Waidji mógłby być spokrewniony z rodziną dawnych władców Benaresu. Teraz, z niewiadomych przyczyn, poczuła się oszukana. Dom na terenie pałacowym, mnogość cennych antyków, tkanin i innych niezwykłych *objets d'art* - takie bogactwa mogły należeć jedynie do ekskscydującej rodziny. Czy natomiast tutaj rezydowali jej członkowie, trudno było orzec. Niewykluczone, że Miranda znajdowała się jedynie w magazynie przedmiotów, które rodzina zamierzała wystawić na aukcjach, by za uzyskane pieniądze finansować muzeum bądź jakieś inne przedsięwzięcie.

Pan Waidja powrócił w towarzystwie małego orszaku służących. Mężczyzna, który otwierał im drzwi, trzymał w rękach tacę z filigranowymi filiżankami z barwnego szkła i dzbankiem w kształcie samowara.

Za nim postępowano dwóch młodszych mężczyzn, ubranych identycznie jak wiekowy odźwierny, którzy dźwigali coś, co przypominało z wyglądu szafkę kartotekową, ale było wykonane ze szlachetnego drewna, inkrustowanego kością słoniową i macicą perłową.

Waidja kazał służącym ustawić wszystko na stole i opuścić pokój. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, wyjął z kieszeni klucz. Nie otworzył jednak pierwszej szuflady dziwnej komódki, ale z poważną miną spojrzał na Mirandę.

- Według instrukcji mojego klienta, kolekcji nie wolno rozdzielić.

- Ale poszczególne sztuki muszą być sprzedawane na aukcji pojedynczo, chyba pana klient to rozumie!

- Tak, to rozumie. Ale życzy sobie, żeby Hanovers zajął się sprzedażą całości - zarówno biżuterii, jak i kamieni.

- Nie mogę się zadeklarować w tej sprawie, póki nie obejrzę klejnotów. Jeżeli okażą się zbyt wiekowe, ich wywóz z Indii nie będzie możliwy.

Miranda poczuła się nieswojo. Cóż to za dziwaczny warunek?

- Naturalnie, musi pani obejrzeć klejnoty - zgodził się Waidja i otworzył pierwszą szufladę komódki.

Gdy tylko Miranda rzuciła okiem na trzy nabijane drogocennymi kabuszonami ciężkie złote naszyjniki, leżące na wyściółce z jedwabiu, dwie rzeczy natychmiast stały się dla niej jasne. Po pierwsze, te klejnoty miały ponad dwieście lat i były typowymi wytworami mogolskiego rzemieślnika, po drugie - z pewnością należały do regaliów maharani.

- Czy pana klient jest potomkiem maharadży Benaresu?

- Mój klient ceni sobie prywatność - usłyszała jedynie w odpowiedzi.

Wyjął z kieszeni kolejny klucz i otworzył drugą szufladę. Tam znajdowały się garnitury biżuterii - naszyjniki, bransolety i zausznicze, wysadzone szmaragdami i rubinami wielkości kasztanów, a także szerokie kołnierze i mankiety, wykonane z diamentów i pereł, ozdobione dodatkowo kaskadami złotych i diamentowych koralików.

W trzeciej szufladzie leżały pierścienie z diamentami, a także mnóstwo zdobionych drogocennymi kamieniami zapinek, kolczyków do nosa, klamer do pasów oraz brosz; tam także się znajdował klejnot oprawiony tak, by można go było wpiąć w turban. A wśród tego wszystkiego Miranda ze zdumieniem wypatrzyła coś zupełnie nieprawdopodobnego - sztukę wiktoriańskiej żałobnej biżuterii o absolutnie



niespotykanym wzorze. Na powierzchni ciężkiego złotego medalionu osadzono okrągłą płytkę gagatu, a na nim utkany z włosów wianuszek z lilii, otaczający jeden, większy od pozostałych kwiat. Całość, jak zwykle, chroniło lekko wypukłe szkielek, które niestety uniemożliwiało szczegółową inspekcję awersu medalionu. Miranda spostrzegła jedynie, że wszystkie lilie były lekko wypukłe w górę, jak gdyby pod nimi umieszczono specjalne podkładki, mające nadać kwiatom złudzenie trójwymiarowości.

Uniosła medalion, by sprawdzić jego wagę i poszukać stempla probierczego. Złoto było masywne, dwudziestoczerokaratowe, a na rewersie znajdował się maleńki znak. Wyjęła z torebki jubilerską lupę i zdołała odczytać inicjał: J.F. Nic jej to jednak nie mówiło.

- To niezwykła sztuka pośród takiej kolekcji - powiedziała bardziej do siebie niż do Waidji.

On jedynie skinął głową i Miranda zauważyła, że jest zniecierpliwiony.

Do otwarcia pozostała już tylko jedna szuflada, która - zgodnie z oczekiwaniami Mirandy - zawierała nieoprawione kamienie. Kiedy zobaczyła, co leży na szkarłatnej wyściółce, nieomal krzyknęła z wrażenia. Nigdy w życiu nie widziała podobnych brylantów i w najśmielszych snach nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek mogłaby zobaczyć. Byłaby szczęśliwa, gdyby się okazało, że kamienie, dla których przejechała taki kawał świata, są o masie ośmiu, dziewięciu karatów. Tymczasem największy z nich, szmaragdowozielony brylant, był kamieniem co najmniej dwunastokaratowym.

Miranda milczała przez dłuższą chwilę. W końcu zwróciła się w stronę Waidji i powiedziała:

- Jestem pewna, że te kamienie moglibyśmy sprzedać na aukcji, ale musi pan poinformować swojego klienta, że niestety, nie możemy przyjąć całej kolekcji. Jak zapewne mu wiadomo, wywóz z Indii tak starej biżuterii jest nielegalny.

- Mój klient poinstruował mnie, by powiedzieć, że jeśli zależy pani na jakiegokolwiek części kolekcji, musi pani znaleźć sposób wywiezienia całości.

- Ależ to absurdalne! - oburzyła się Miranda. - Hanovers jest domem aukcyjnym o nieposzlakowanej reputacji. Myślę, że byłoby najlepiej, gdybym mogła osobiście porozmawiać z pańskim klientem i wszystko mu dokładnie wytłumaczyć.

- To niemożliwe.
- Dlaczego?
- Bo to wbrew przyjętej praktyce - oznajmił pan Waidja z kamienną

twarzą.

Tym razem Miranda westchnęła teatralnie.

- Może jeżeli porozmawiałabym z pańskim klientem, doszlibyśmy do jakiegoś kompromisu. Byłabym na przykład w stanie obniżyć naszą marżę, gdyby się zgodził na rozdzielenie kolekcji...

- To niemożliwe.

Miranda już widziała, że niczego nie osiągnie, i teraz tylko się zastanawiała, czy udałoby jej się nakłonić Waidję do ustępstw, gdyby była mężczyzną. Nie próbowała sobie nawet wyobrazić, co w takiej sytuacji zrobiłby Roger.

- Proszę poinformować swojego klienta, że nie mogę negocjować przy zachowaniu takiego warunku. Pana klient musi zrozumieć, że jestem tylko przedstawicielem Hanovers i nie leży w mojej mocy zawieranie transakcji niezgodnych z polityką naszego domu aukcyjnego. Jeżeli zgodziłby się sprzedać same kamienie, wówczas zorganizuję ich transport do Londynu. Proszę też uświadomić swojemu klientowi, że żaden angielski dom aukcyjny nie podejmie się wywozu tej biżuterii z Indii. Nasza marża jest standardowa: siedemnaście i pół procent od obu stron - kupującego i sprzedającego.

Zanim Waidja zamknął szufladę, Miranda po raz ostatni spojrzała na brylanty. Największe kamienie były głównie bezbarwne, ale oprócz szmaragdowego znajdowało się tu kilka innych kamieni o niezwykłych barwach: ciemnoróżowy, miedzianobrazowy i niemal granatowy, i już one same uczyniłyby z lipcowej aukcji niebywałą sensacją. Od czasu gdy Miranda przyjęła w komis sześć dużych, barwnych brylantów od pewnej wiekowej Żydówki, karmiła się pewną fantazją: oto udaje jej się znaleźć wysokokaratowe diamenty w każdym kolorze i odcieniu, w jakim tylko mogą występować. Było to w zasadzie niemożliwe, ponieważ czerwone diamenty były tak rzadkie, że tylko kilku dealerów i licytatorów na świecie miało je okazję zobaczyć - a największy z nich ważył zaledwie dwa karaty.

- Mam tu jeszcze pilną sprawę do załatwienia - oznajmił pan Waidja. - Może zechciałaby się pani przejść po muzeum? Spotkamy się przy bramie.

Miranda nie była w nastroju do zwiedzania, ruszyła więc na spacer wokół pałacu. Tereny pałacowe musiały swego czasu przedstawiać doprawdy imponujący widok. Teraz jednak ogrody pozarastały, a elegancki letni pawilon z marmuru był już praktycznie ruiną.

Kiedy wróciła na dziedziniec, Waidja właśnie opuszczał georgiański budynek, a w otwartych drzwiach mignęła Mirandzie postać drugiego mężczyzny w europejskim stroju.

- Rozmawiałem telefonicznie z moim klientem - oznajmił Waidja, gdy tylko pokonali most i miał już pewność, że Miranda może się skoncentrować na jego słowach.

- Tak? - Nie mogła się oprzeć przeświadczeniu, że wysoki mężczyzna, którego widziała w drzwiach, był w istocie owym tajemniczym klientem.

- Powiedział, że nie wyraża zgody na oddanie samych kamieni, bez biżuterii, ponieważ w Indiach nie sposób sprzedać stare wyroby - tutaj nikt nie chce antyków, wyłącznie nowoczesne wzory.

- To już, niestety, nie mój problem, tylko pańskiego klienta.

Naturalnie doskonale wiedziała, że to także jej problem. Od powodzenia tej misji nie zależał jedynie sukces lipcowej aukcji - na szali znalazła się jej reputacja. Irytujący był fakt, że Kenneth poddaje ją po raz kolejny dziwaczemu testowi, i bardzo jej zależało, żeby powrócić do Londynu z tarczą. Miała się, co prawda, spotkać w Benaresie z jeszcze jednym klientem i pewnym dealerem, doskonale jednak wiedziała, że nie ujrzy już kamieni tak wielkiego kalibru. I nie tylko w trakcie tej podróży - ale prawdopodobnie nigdy więcej w życiu.

- Proszę przekazać swojemu klientowi, że pozostanę tu zaledwie przez trzy dni. Jeżeli mimo wszystko zdecydowałby się na transakcję, dokumenty trzeba będzie skompletować najdalej pojutrze.

Waidja jedynie skinął głową i po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się przelotny grymas, Miranda jednak nie umiałaby zdecydować, czy było to rozczarowanie, czy niedowierzenie.

Wodziła wzrokiem po pandemonium ulic Benaresu i nagle zdała sobie sprawę, że dojeżdżają do uniwersytetu. Przypomniała sobie, że to jedno z miejsc odwiedzanych przez Susanę w poszukiwaniu listów czy innych pism, pozostałych po Lily Korechnya - przedmiocie jej badań. Susana zaraziła Mirandę swoim entuzjazmem dla mało znanych intelektualistek epoki wiktoriańskiej. Był to świat tajemniczy, nierozpoznany,

pelen intymności - podobnie jak jej żałobna biżuteria. Spoglądając na długą, szeroką, wysadzaną palmami aleję, prowadzącą do uniwersytetu, Miranda nagle przypomniała sobie coś jeszcze. Lily Korechnya swego czasu mieszkała w pałacu maharadży Benaresu. Kiedy jednak Susana próbowała się dowiedzieć, jak można by się skontaktować z potomkami władcy, natknęła się na mur milczenia. Cóż, pomyślała Miranda, i poczuła przypływ pozytywnej energii, zakładając, że klient pana Waidji jest rzeczywiście członkiem rodziny maharadży, już wiadomo, dokąd jeszcze Susana powinna się udać na poszukiwania.

## VII

### Benares, 18 stycznia 1865

Kontynuuję, Barbaro, ten długi list i mam tylko nadzieję, że jego lektura nie będzie dla Ciebie zbyt nużąca. Wczoraj doszło do mojego spotkania z maharadżą. Zostałam wreszcie wezwana do sali audiencyjnej, którą od dawna bardzo chciałam zobaczyć. To jedyna komnata w całym pałacu, do której nawet Saraswati nie ma wstępu, o ile nie wezwie jej tam władca. Poczula się bardzo urażona, kiedy się dowiedziała, że nie może mi towarzyszyć. Książę ostatnio nie jest dla niej tak łaskawy jak niegdyś i rozkazał, by pozostała w swoich komnatach.

Sala tronowa znajduje się w samym środku wschodniego skrzydła i jest wielkości całego parteru mojego domu przy Waterloo Street. Jej ściany są pokryte złotem, więc odbijające od nich refleksy zalewają całe pomieszczenie łagodnym, żółtym światłem, mimo że nie ma tu ani jednego okna. Posadzkę pokrywa olbrzymi jedwabny kobierzec w kolorze miedzi, indygo i kasztana.

Książę z wdziękiem usiadł na tronie zdobionym emalią i drogocennymi kamieniami (a sam tron stał na skórze tygrysa, na jego łbie zaś z rozwartą paszczą maharadża trzymał stopy!). Po obu bokach władcy stali strażnicy w mundurach członków prywatnej gwardii księcia - od jakiegoś czasu taki sam mundur nosi także Gowinda. Na podłodze, u nóg władcy, siedział mężczyzna w pomarańczowych szatach - zapewne kapłan, bo miał twarz pomalowaną w taki sam sposób jak owi sadhu,

którzy całymi dniami medytują nad rzeką i wznoszą śpiewne, rytmiczne modły.

Księżę dość nieprzystojnie prześliznął się wzrokiem po mojej osobie, ale poza tym zachowywał się nienagannie i czarująco. Zapytywał o Londyn. Poinformował mnie, że przy Hyde Parku ma swoją rezydencję. Tak jak już zauważyłam wcześniej, podczas jego powrotu do pałacu, nie jest to mężczyzna leciwy. Myślę, że niedawno skończył lat pięćdziesiąt, chociaż trudno jest określić wiek mieszkańców Indii, mają bowiem gładką, zdrową cerę, a ich członki są giętkie nawet w podeszłym wieku. Osobiście uważam, że to z powodu dyscypliny, którą uprawiają - zwaną joga. Są to ćwiczenia nie tylko wzmacniające ciało, ale także umysł i ducha. Maharadzę można by nawet uznać za przystojnego, gdyby nie wyjątkowo duży nos i nieco zbyt wąskie usta.

Księżę zdumiał mnie bardzo, gdy zwrócił uwagę na mój wisior. Stwierdził, że to niezwykle w rysunku klejnot, i poprosił, bym mu pozwoliła obejrzeć go z bliska! Z pewnym oporem zdjęłam medalion, bo nie lubię się z nim rozstawać ani na chwilę, jednak niegrzecznie byłoby odmówić prośbie gospodarza. Przyznałam, że wzór jest rzeczywiście nie-spotykany, po czym wyjaśniłam, że w Anglii noszenie pukla włosów zmarłego jest tradycyjnym wyrażeniem nieprzemijającego uczucia. Kiedy podeszłam bliżej, by wręczyć księciu wisior, dobiegł mnie kwaśny odór alkoholu, co mnie bardzo zdziwiło, ponieważ mieszkańcy Indii zazwyczaj nie pijają mocnych trunków\*.

\* Mimo że Mogołowie byli wyznawcami islamu, wielu cesarzy imperium, ku zgorzzeniu świątobliwych mułłów, pilo na umór i popadło w alkoholizm. Nie stronili także od innych używek oraz uciech i asymilując wiele hinduskich i/lub buddyjskich wierzeń, zbliżali się do apostazji (przyp. tłum.).

Poinformowałam maharadzę, że ów wisior jest w istocie prezentem ofiarowanym mi przez Cyntię Herbert. Władca w zamyśleniu wpatrzył się w medalion, a jeden ze strażników przesunął palcem po ostrzu szabli i wówczas pomyślałam, że chyba nie powinnam była wspominać o lady Cyntii. Często nurtuje mnie pytanie, jak maharadża przyjął wiadomość o zaginięciu jego amuletu o dziewięciu brylantach, który miała mu osobiście zwrócić lady Herbert. Przedłużająca się cisza dała mi możliwość dyskretnego rozejrzenia się po sali. Miałam wrażenie, że nagle się znalazłam w środku którejś z baśni tysiąca i jednej nocy. Ta myśl rozbawiła

mnie w duchu, ale przygryzłam wargę, bo śmiech byłby bardzo nie na miejscu.

Księżę wyciągnął w moją stronę wisior i powiedział coś cicho w ojczywym języku do siedzącego przy nim kapłana. Zapewne zdumiał ich sentymentalizm takiego talizmanu, a może nawet uznali podobny klejnot za objaw złego smaku. Oni przecież palą zmarłych, uwalniają ich dusze, a żyjący nie czują żadnego przywiązania do doczesnych szczątków tych, którzy odeszli.

Niespodziewanie księżę się ożywił i zaczął się bardzo ciepło wyrażać o Cyntii Herbert, a jego żal z powodu jej śmierci wydał mi się całkowicie szczerzy. Podejrzewam, że Gowinda poinformował go o losie klejnotu z dziewięcioma brylantami. Muszę ci wyznać, Barbaro, że zagadka jego zniknięcia coraz częściej mnie nurtuje. Powoli nawet nabieram przekonania, że owe morderstwa w Londynie rzeczywiście miały z nim jakiś związek. Choć być może pozwoliłam, by zamąciły mi w głowie te wszystkie artykuły prasowe!

Po chwili zdałam sobie sprawę, że księżę znowu śmiało wodzi po mnie wzrokiem, jak gdybym sama go do tego zachęciła, nie okrywszy każdego kawałka ciała, zwyczajem kobiet muzułmańskiej wiary. Nie okazałam jednak zmieszania i patrzyłam władcy prosto w oczy, by wiedział, że należę do osób silnego charakteru. Mężczyźni wyznający islam są zdania, że kobiety w ogóle nie posiadają intelektu. Słusznie uważasz, że angielskie społeczeństwo jest zacofane w tym względzie, ale gdybyś zobaczyła, jak kobiety są traktowane w krajach muzułmańskich, ogarnęłoby cię głębokie przygnębienie. Już sam obowiązek zakrywania twarzy jest dla mnie irytujący. A skazywanie wszystkich kobiet od najwcześniejszych lat na uwięzienie w czterech ścianach - choćby nawet pałacu - i zakazanie kontaktu z szerokim światem - uważam za zbrodnię.

Ponieważ nie mam w zwyczaju zachowywać się ulegle wobec jakiegokolwiek mężczyzny, zapytałam maharadżę, czy zechciałby obejrzeć kilka obrazów, które przywiozłam ze sobą z Londynu. Nie nadmieniłam, że wyszły spod pędzla mojego męża, uznałam bowiem, iż roztropniej będzie wystąpić w roli marszanda, a nie żony. Księżę, o ile się zorientowałam, nie miał świadomości, jaki towar wiozłam powozem, statkiem, pociągami i w palankinie, by mogły go ujrzeć jego oczy. Powiedział, że w tej sprawie „wkrótce” się spotkamy, i przyznał, że jest wysoce zainteresowany twórczością brytyjskich i europejskich malarzy. Wyjaśniłam, że

autor moich płócien pochodził z Pragi i niedawno zmarł. Nie ustaliliśmy daty następnej audycji, rozumiem więc, że muszę cierpliwie czekać na wezwanie.

Nie opisałam Ci jeszcze swojej wizyty w chrześcijańskiej misji pań, z którymi płynęłam do Indii. Było to bardzo nużące spotkanie, jak zapewne możesz sobie wyobrazić. Budynek, w którym mieści się misja, jest ciemnym, ponurym bungalowem z szeroką werandą. Mieszkają w nim dzieci, sieroty, jak się zdaje, poubierane w poprzecierane portki. Całymi dniami te małe istoty uczą się opowieści biblijnych i modlitw, wydają się tym równie znudzone, jak ja byłam znudzona towarzystwem misjonarek.

Wykorzystałam jednak tę okazję, by zasięgnąć najnowszych informacji na temat świątyni Kali, trafnie zgadując, że ten temat żywo interesuje owe panie. Dowiedziałam się, że jeszcze oficjalnie nie zaaprobowano decyzji o wyburzeniu świątyni z powodu gwałtownych demonstracji wyznawców kultu tej bogini. Najprawdopodobniej jednak grunt będzie przejęty na podstawie jakiegoś prawa własności, co wydaje mi się dosyć podejrzane. Za modernizację sieci wodnej i kanalizacji mają zapłacić lokalni mieszkańcy, na których zostanie nałożony podatek od wody. Nawet jedna z Marii uznała, że to nie do pomyślenia, bo świątynia jest położona w dzielnicy biedoty. Wszystkie misjonarki jednak zgodziły się ochoczo, że ten „pogański przybytek” powinien jak najszybciej zniknąć. Zapytałam, czy któraś z nich kiedykolwiek była wewnątrz świątyni, i zgodnie z przewidywaniami usłyszałam, że nie. Co więcej, sama myśl o tym wzbudziła w nich przerażenie, bo przecież w hinduskich świątyniach jest mnóstwo wysoce nieprzystojnych malowideł! Powiedziały mi, że świątynia Kali cieszy się najgorszą sławą ze wszystkich - jest miejscem przerażającym i zakazanym. Nie umknęło mojej uwagi, że w tych bogobojnych duszach jeszcze coś innego wzbudzało strach - potęga kobiecego pierwiastka tego wszechmocnego bóstwa.

Po tej wizycie zaczęłam pisać artykuł do „Merkurusa”; jest już na ukończeniu. Czyż za faktem, że brytyjscy urzędnicy uparcie dążą do zniszczenia wielowiekowej świątyni najpotężniejszej hinduskiej bogini, nie kryje się swoista alegoria?

Po wyjściu z sali tronowej, zgodnie z wcześniej daną obietnicą, udałam się do komnaty Saraswati. Ponieważ wiele godzin spędziłam w znanie, od jej mieszkanek dowiedziałam się więcej o tej niezwykłej młodej

kobiecie. Saraswati nie cieszy się sympatią muzułmanek i chociaż spędzają one cały czas w obrębie haremu, mają swoich „szpiegów”, którzy je informują o tym, co się dzieje poza zenaną. W kobiecej części pałacu aż gęsto od intryg, a sprowadzenie Saraswati do pałacu powszechnie się uznaje za niebywały skandal! Ta dziewczyna wyznaje hinduizm, który przez muzułmanów jest uważany za wiarę pogańską. Poza tym nie mówi w urdu - oficjalnym języku dworu. Zdumiewa mnie natomiast jej biegła znajomość angielskiego. Podobno lady Cyntia udzielała jej lekcji „poprawności gramatycznej”! Saraswati nauczyła się podstaw naszego języka jeszcze przed przybyciem do Benaresu, ponieważ angielski rozprzestrzenił się szybko na obszarach, do których docierali wysłannicy Kompanii Wschodnioindyjskiej. Wioska Saraswati słynęła z aluwialnych diamentów, więc naturalnie szybko się tam pojawili przedstawiciele europejskich faktorii, zainteresowanych handlem drogocennymi kamieniami.

Saraswati jest zafascynowana angielskimi kobietami i wyznała mi, że podczas wizyty Cynthii Herbert starała się spędzać u jej boku jak najwięcej czasu. Kiedy zapytałam, czy wie cokolwiek na temat okoliczności śmierci męża lady Herbert, Charlesa, gwałtownie odwróciła wzrok, a jak już się zdażyłam zorientować, to, zazwyczaj oznacza, że Saraswati zamierza skłamać. Potrząsnęła przecząco głową, a potem już śmiało spojrzała mi w oczy. To dziecko (bo teraz widzę, że jest ona bardziej dzieckiem niż kobietą) intryguje mnie coraz bardziej i już rozumiem, czemu się cieszy tak niezwykłymi faworami księcia. Nie jest to tylko sprawa wyjątkowej urody, ale otaczającej ją aury, na której określenie znajduję tylko jedno słowo - *mystique*. Prawdę mówiąc, Barbaro, uważam, że ta dziewczyna jest bardziej zaburzona, niż mi się początkowo zdawało. Tego dnia w świątyni Kali było w niej coś przerażającego - a ten sam wzbudzający trwogę wyraz jej oczu ujrzałam, gdy ją odwiedziłam po audiencji u maharadży. Podejrzewam, że Saraswati zażywa opium, bo kiedy weszłam do jej komnaty, tańczyła w szybkim rytmie bębenków tabla, które musiały dźwięczeć jej w głowie. Miała na sobie jedynie paciorki z sandałowego drewna oraz dopattę - welon, który muzułmańskie kobiety zarzucają na brokatowe tuniki. Dopattę szyje się z jedwabnej gazy, jest więc całkiem przezroczysta - poza miejscami pokrytymi złotym haftem i bramowaniem ze złotych frędzli. Oczy Saraswati były nieludzkie i smoliste, jakby wstąpił w nią demon - chociaż gdy piszę te słowa, zdaję sobie



sprawę z ich melodramatyczności. Od dawna dostrzegam ów mroczny, złowróżbny rys charakteru tej dziewczyny i wiem, że czai się on bez przerwy za zniewalającym urokiem jej kobiecości. Ale wróćmy do mojej wizyty w jej komnacie. Saraswati sprawiała wrażenie pogrążonej w transie i powtarzała śpiewnie jedno zdanie w hindi. Wówczas ujrzałam, że stoi przed nią maty posążek, którego nie zauważyłam podczas poprzednich wizyt. Natychmiast rozpoznałam czarną Kali i przebiegł mnie dreszcz, bo złowieszczy cień Saraswati ujawniał się najpełniej w obecności tej bogini. Spostrzegłam też, że przed posążkiem leży czerwony klejnot - może rubin lub granat. Zaintrygowana, a także zdecydowana przezwyciężyć strach, spytałam Saraswati, co symbolizuje ów kamień, ponieważ teraz już wiem, że w obrzędach hinduistycznych klejnoty odgrywają szczególną rolę. „Tylko czerwony kamień może zastąpić bogini Kali ofiarę z krwi” - odpowiedziała, a ja z trudem się powstrzymałam, by nie wybiec z komnaty.

Jestem pewna, Barbaro, że na jakiś czas masz już dosyć opowieści ze Wschodu. Czytając moje słowa w zaciszu angielskiej bawialni, może nawet zaczniesz się zastanawiać, czy przypadkiem słońce nie padało mi zbyt długo na głowę i nie cierpię skutków udaru. Nie obawiaj się, moja droga, bo od śmierci Franza nie czułam się tak dobrze jak teraz.

Pozostaję Ci nieodmiennie przyjazną -

Lily

Susanę zaczęła dręczyć myśl, czy przypadkiem nie traci w Benaresie czasu. Wyszła z hotelu niemal o świcie, żeby uniknąć upału, i cały ranek spędziła w siedzibach mało znanych akademickich gremiów i towarzystw historycznych, które w większości wykazywały szczątkowe zainteresowanie kulturą Indii z okresu panowania brytyjskiego. Nikt też z osób, z którymi rozmawiała, nie słyszał o Lily Korechnya czy jej pismach. Ale po lekturze kolejnego listu w Susanę - usadowioną na bezpiecznej balkonowej perci nad rzeką - wstąpił nowy duch. Znowu powrócił temat świątyni Kali, i ten trop mógł ją wreszcie doprowadzić do istotnych informacji. Jeżeli Lily rzeczywiście w jakiś sposób się przyczyniła do ocalenia świątyni, a jej esej bądź eseje w tej sprawie zostały opublikowane w „Merkurjuszu Londyńskim”, to Susanie zapewne uda się dotrzeć do owych tekstów, które jednocześnie mogą z Lily Korechnya uczynić postać o wiele bardziej znaczącą niż tylko „mało znaną wiktoriańską eseistkę”. Ale w takim wypadku Susana więcej osiągnie, siedząc

w archiwum prasowym w londyńskim Colindale niż tutaj, w Indiach.

Południe już minęło jakiś czas temu, a temperatura nadal rosła, i w Susanie obudziła się pokusa, by się nie ruszać z - teraz już zacienionego - balkonu. Ale ponieważ nie jadła śniadania, a mijała pora lunchu, zdecydowała się wyjść na rozprażoną ulicę.

Mała recepcja zdawała się opustoszała, jednak Susana dawno odkryła, że Gopal praktycznie mieszka za kontuarem - chociaż było tam mniej miejsca niż w przeciętnej szafie - i często śpi w ciągu dnia. Gdy jej sandały zaklaskały o terakotową posadzkę, nad kontuarem ukazały się zmierzwiłone włosy i okrągła twarz Nepalczyka, na której od razu się pojawił szeroki, radosny uśmiech. Gopal zawsze się rozpromieniał na widok Susany - prawdopodobnie dlatego, że nie należała do kłopotliwych gości. Nie narzekała na awarie prądu, na wszędobylskie małpki czy kapryśną hydraulikę. Należała też do nielicznych osób, które chętnie rozmawiały z pracownikami hotelu.

- Życzę dobrego ranka, proszę pani.

- Ależ minęło już południe, Gopal!

Zachichotał i zakotył się głową.

- Tutaj jest zawsze rano. Budzę się o najprzeróżniejszych godzinach!

Uśmiechnęła się, ale nie miała dość energii, żeby wdać się w dyskusję na temat szczególnego pojmowania pór dnia przez różne społeczności.

- Jest pani dziś smutna?

Susana spojrzała na Gopala uważnie, zdumiona, że tak bezbłędnie wyczuł jej nastrój.

- Nie, nie smutna, raczej rozczarowana.

- To minie - orzekł autorytatywnie, tłumiąc ziewnięcie. - Budda powiedział, że wszystko mija.

- Gopal, gdzie dokładnie znajduje się ta świątynia Kali, o której mi opowiadałeś? Czy trudno ją znaleźć?

Gopal skinieniem dłoni zaprosił ją do kontuaru i pokazał tył wizytówki, gdzie była wydrukowana prosta, szkicowa mapka, wskazująca dokładną lokalizację hoteliku.

- Ta ulica prowadzi do starego miasta. Trzeba nią iść prosto przed siebie, aż się dojdzie do dzielnicy jubilerów, i tam zaraz jest świątynia.

- Nie macie żadnego planu Benaresu?

Gopal głośno się zaśmiał.

- Zbyt dużo małych uliczek. Nie ma planu.

Susana wyszła, nie zabierając wizytówki, bo doszła do wniosku, że gdyby się kierowała zamieszczonym tam szkicem, to z pewnością by zabłądziła. Mniej więcej wiedziała, w jakiej okolicy znajduje się dzielnica jubilerów, ponieważ natknęła się na nią pewnego razu, gdy się zagubiła w labiryncie ciemnych, wąskich uliczek. W starej części Benaresu można się było przekonać nie tylko, jak to miasto wyglądało w dziewiętnastym wieku, ale i setki lat wcześniej. Susana bezwiednie znowu powędrowała myślami do świata Lily. Chociaż zapewne z akademickiego punktu widzenia ten fakt nie był istotny, wzmianki o zaginionym klejnocie, zdobionym dziewięcioma drogocennymi kamieniami, i związek owego klejnotu z serią tajemniczych morderstw podsyciły jej ciekawość. Czy wspomniane morderstwa miały jakiś wpływ na życie Lily? Czy niezwykle klejnot kiedykolwiek się odnalazł?

Restauracja nad Dasaswamedh Ghat Road była zatłoczona i rozglądając się za stolikiem, Susana dostrzegła Mirandę, która siedziała w rogu balkonu. Obok niej na stoliku leżała komórka oraz otwarty terminarz. Podpierając brodę dłonią, Miranda spoglądała na tłum kłębiący się na ulicy poniżej. Wyglądała elegancko i stylowo w dużym słomkowym kapeluszu, luźnych bawełnianych spodniach i koszuli. Jak kadr filmu z lat czterdziestych, pomyślała Susana. Ruszyła w stronę balkonu i wówczas Miranda odwróciła głowę, po czym się uśmiechnęła, a na jej twarzy pojawił się ten sam wyraz ulgi, co pierwszego wieczoru.

- Właśnie doszłam do wniosku, że już nigdy w życiu nie będę narzekać na londyński tłok - powiedziała, wskazując na ulicę.

Susana parsknęła śmiechem.

- Założę się, że po kilku dniach w Londynie będziesz marzyć, żeby znów się tutaj znaleźć.

- To absolutnie niemożliwe. Chodź, usiądź. Mam dla ciebie informacje, które mogą się okazać przydatne dla twoich badań.

Susana poczuła ostry przyływ adrenaliny, kiedy Miranda skończyła opowieść o swoich porannych przygodach na drugim brzegu rzeki. Czyżby rzeczywiście tajemniczy klient Mirandy był powiązany z rodziną dawnych władców Benaresu? Sziwati zasugerował, że w dokumentach maharadży mogły się zachować ślady pobytu Lily Korechnya w pałacu, ponieważ udzielenie gościny publikującej autorce dodawało władcy pewnego splendoru.

- Tak minął mi ranek! - ciągnęła tymczasem Miranda. - Kiedy wróciłam z pałacu, wyruszyłam na poszukiwanie dzielnicy jubilerów i po jakimś czasie doszłam do wniosku, że już do końca swoich dni będę błądzić po uliczkach, szukając wyjścia z tego zdradzieckiego labiryntu. Najdziwniejsze, że gdy tylko przestałam panikować i pogodziłam się z nieuchronnością swojego losu, nagle znowu znalazłam się nad rzeką.

Susana skinęła głową.

- Jeżeli nie wyjedziesz z tego kraju z bardziej stoickim podejściem do życia, to znaczy, że cię ominęło niezwykle ważne doświadczenie kulturowe. Tak się składa, że wybieram się na poszukiwanie starej świątyni, która podobno stoi obok dzielnicy jubilerów. Zawsze będzie nam różniej gubić się we dwójkę...

Miranda spojrzała na Susanę z wdzięcznością.

- Świetnie. Po wczorajszym spotkaniu ze szczurami i chwilowym zamienieniu oraz dzisiejszej przerażającej przeprawie przez pontonowy most jestem już chyba nie do zdarcia.

W tej samej chwili przyniesiono Mirandzie lunch - kopiec ryżu, obok kolejny kopiec bliżej niezidentyfikowanych warzyw w jaskrawym sosie, mocno przyprawionym kurkumą, oraz miseczkę ni to sosu, ni to zupy z soczewicy. Miranda wytrzeszczyła oczy, a Susana wybuchnęła śmiechem.

- Jeżeli zdołasz to wszystko zjeść, uznam, że rzeczywiście jesteś nie do zdarcia.

Do serca średniowiecznego Benaresu można było dotrzeć jedynie wąskimi uliczkami, biegnącymi pomiędzy domami, których ściany zdecydowanie odbiegały od pionu. Susana miała niejasne wrażenie, że dzielnica jubilerska znajduje się na zachód od Dasaswamedh Ghat, skierowały się więc z Mirandą w stronę południowego słońca. Ich taktyka działała doskonale do chwili, gdy się znalazły w uliczkach tak wąskich, że nigdy nie docierało tu światło.

Ale nawet w najwęższych i najmniejszych zaułkach stały kramiki z jedwabiami, a ich właściciele kiwali zachęcająco na Mirandę i Susanę, zapewniając, że mają tkaniny najwyższej jakości. Benares przez wiele wieków był centrum handlu słynnymi indyjskimi jedwabiami, teraz zaś niezliczone kolory delikatnych, zwiewnych tkanin sprawiały, że ciemne, brudne zaułki zmieniały się w teatralną scenę, na której za chwilę miała się rozegrać fantazyjna sztuka. Miranda z trudem odwracała wzrok od tych cudów, gdy wchodziły z jednej uliczki w drugą. W końcu dała za

wygraną i zatrzymała się przy kramie, na którym - niczym na beduińskim namiocie była udrapowana mięsista sztuka jedwabiu przetykanego złotą nicią.

- Czemu buddyzm nie głosi, że kupując piękne rzeczy, uszlachetnimy duszę? - westchnęła, chwytając w palce jedwab bladuróżowej mory. - Wówczas z pewnością zostałabym świętą.

- Jeżeli coś ci się naprawdę podoba, kup to od razu, bo nigdy już nie trafimy do tego miejsca, nawet gdybyśmy były gotowe dać głowę, że świetnie wiemy, gdzie to widziałyśmy.

Miranda westchnęła cicho.

- Żal po straconej okazji może rzeczywiście być bardzo głęboki.

Kiedy w końcu obie strony uzgodniły cenę, nie odbiegała ona wiele od wyjściowej, bo tym razem handlarz nie koloryzował, utrzymując, że to jedwab „najwyższej jakości”. A gdy Susana z Mirandą odchodziły od kramu, pożegnał je słowami:

- Żółty to kolor szczęścia. Ulubiony kolor Saraswati!

- Kim jest Saraswati? - spytała Miranda Susanę, gdy się zatrzymały przy następnym skrzyżowaniu uliczek, niepewne, w którą z nich skręcić.

- Hinduska bogini, patronka sztuki i literatury, a także, jak mi się zdaje, wielka miłośniczka drogocennych kamieni. W listach Lily wyczytałam natomiast, że ulubiona konkubina maharadży także nosiła to imię.

- Czy ona również miała słabość do klejnotów?

- Chętnie nosiła koraliki z sandałowego drewna, które ponoć chronią od złych duchów. Ta dziewczyna to intrygująca postać, choć chyba nie całkiem przy zdrowych zmysłach...

Susana urwała gwałtownie, bo uliczka, w którą skręciły, okazała się ślepym zaułkiem. Cofnęły się więc do skrzyżowania, ale teraz wydawało im się ono jakies inne, i kilka razy sprawdzały, czy na pewno są w tym miejscu, w którym były przed chwilą, i przy okazji ledwo uniknęły stratomania przez wołu ścigającego motocyklistę.

Nieco później się znalazły w muzułmańskim kwartale, o czym świadczyła grupka chłopców w długich tunikach i charakterystycznych nakryciach głowy, którzy stali przed meczetem. Z zewnątrz meczet niczym się nie różnił od pozostałych budynków, chociaż przy wejściu stało kilku uzbrojonych strażników w turbanach. Przechodząc obok otwartych drzwi, Susana i Miranda dojrzały jednak fragment wnętrza - na pięknej mozaikowej posadzce szeregi mężczyzn gięły się w pokłonie, a nad nimi się rozpinała kopuła ze złota.

W końcu ujrzały dzielnicę jubilerów, łatwo rozpoznawalną z powodu zadaszenia nad całym bazarem, na którym stały długie rzędy niewielkich stoisk z połyskliwymi klejnotami. Susana zaczęła się rozglądać wokół w poszukiwaniu starej świątyni. W końcu zapytała o wskazówki jednego z kilku młodych mężczyzn kręcących się po bazarze, a on wskazał jej niskie, mroczne wejście, które zdawało się prowadzić w głąb jaskini. Susana odetchnęła z ulgą.

- Nie mogę uwierzyć, że jednak ją znalazłyśmy. Już nabierałam przekonania, że labirynt nas jednak przechytrzył.

- Jeszcze będziemy musiały odnaleźć drogę powrotną - zauważyła przekornie Miranda i zerknęła w stronę najbliższego kramu.

Wystarczyło, że zapytała jednego z kupców o brylanty, a wszyscy już wiedzieli, czym się interesuje, i obie natychmiast zostały obłożone przez wielu mężczyzn w białych koszulach i czarnych spodniach, a każdy z nich otwierał przed nimi małe płaskie saszetki, pełne paczuszek z bezbarwnymi brylantami. Miranda szepnęła Susanie, że nie są to kamienie złej jakości, ale nie mają nic wspólnego z tym, czego ona szuka w Indiach. Nie przyszła zresztą na bazar, by cokolwiek kupić, ale zaspokoić ciekawość. Takich kamieni, jakimi jest zainteresowana, wyjaśniała dalej, nie można znaleźć na oficjalnym rynku, nie wspominając już o ulicy.

- Każdy, kto pracuje w moim fachu, wie doskonale, że nadal kwitnie handel diamentami, którego De Beers nie jest w stanie kontrolować. Indyjskie kopalnie Golkonda są praktycznie wyeksploatowane, ale wciąż jeszcze można tu znaleźć wystarczająco dużo aluwialnych diamentów, by podtrzymywać nieoficjalny rynek.

Zapewne takie właśnie kamienie oferowali im ci mężczyźni z saszetkami, pomyślała Susana. Wkrótce rozniosło się po bazarze, że dwie Europejki nie są poważnie zainteresowane brylantami, i białe koszule zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Kiedy Susanę i Mirandę zostawiono w spokoju, zaczęły się przechadzać wzdłuż stoisk. Stały tu witryny - jedna przy drugiej - pełne szlifowanych i nieoszlifowanych, szlachetnych i półszlachetnych kamieni. Kopczyki krwistoczerwonych rubinów z Birmy i drobnych szmaragdów oraz szafirów o identycznych szlifach. Uwagę Mirandy bardziej przyciągała jednak tradycyjna indyjska biżuteria niż kamienie. Susana przez chwilę się targowała o korale z turkusów, ale w końcu zrezygnowała z zakupu. Tymczasem przy innym stoisku

Miranda wskazywała na medalion z czerwonym kamieniem w środku, otoczonym kilkoma innymi kamieniami o różnych barwach i strukturze.

- Cóż za wyjątkowy wzór - zwróciła się do kupca, wiekowego mężczyzny o zdumiewająco czystym spojrzeniu i gładkiej, pełnej spokoju twarzy.

- To nawaratna - powiedział. - Ma wielką moc.

- Czy mogę obejrzeć?

Kupiec zawahał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Moc? - spytała Miranda, obracając medalion w palcach. - W jakim sensie?

- Nawaratna to dziewięć różnych kamieni, a jest dziewięć planet i dziewięć najważniejszych bóstw - odparł mężczyzna takim tonem, jakby to było oczywiste.

- I te wszystkie pojęcia zawierają się w jednym słowie?

- *Nawa* to dziewięć, *ratna* - cenny kamień. Kamienie są z tej samej materii co bogowie i planety. Kiedy się nosi taki klejnot, trzeba bardzo uważać na swoje życzenia!

- A więc każdy z tych kamieni symbolizuje planetę?

Stary człowiek skinął głową, ale Miranda wciąż miała niewyraźną minę. Podczas gdy kupiec odkładał amulet do witriny, sprzedawca turkusów delikatnie poklepał Susanę po ramieniu. Sądząc, że się zgodził na oferowaną przez nią cenę, wróciła do jego stoiska. On jednak chciał jej tylko powiedzieć, że nepalskie turkusy są już rzadkością, bo w Himalajach zaprzestano ich wydobycia. Nawet wszechobecne, jaskrawoniebieskie turkusy meksykańskie niedługo staną się nieosiągalne.

Jakiś czas potem Susana powiedziała Mirandzie, co usłyszała od sprzedawcy turkusów, i dowiedziała się, że mówił prawdę. Może więc powinna jednak kupić te korale? Chociaż ich cena była tak wygórowana, że niewiele mniej musiałaby za podobne zapłacić w Londynie.

Miranda spojrzała na nią ze zrozumieniem.

- Często trudno zdecydować, jaka jest uczciwa cena, szczególnie gdy się weźmie pod uwagę wielkie różnice w wartości walut. Z drugiej strony, pamiętam, jak pewnego razu tak mnie wkurzyło natarczywe nagabywanie, że wycofałam się z transakcji tylko po to, by zepsuć facetowi dzień.

Ledwo wspomniała o nagabywaniu, a złośliwym zrzędzeniem losu odezwały się błagalne nawoływania:

- Wystarczy, że pani obejrzy, okay, proszę pani?
- Proszę pani! Kamienie księżycowe, granaty, ametysty...

I tak ze wszystkich stron.

Gopal powiedział Susanie, że świątynia Kali stoi w samym sercu najstarszej części Benaresu. To tutaj, jak twierdził, swoją pierwszą osadę założyli Ariowie, tajemnicze plemię z północy Indii. Aryjskich nadludzi uważano obecnie za wytwór legendy, bo i jak uwierzyć w istnienie plemienia, którego członkowie byli nad wyraz piękni, inteligentni i obdarzeni wyjątkowym zmysłem politycznym? Nie zmieniało to faktu, że niektóre ludy azjatyckie i wszyscy Europejczycy uważali ich za swoich praprzodków.

Podeszły do niskich drzwi świątyni i Susana zerknęła na Mirandę, która zdawała się czymś stropiona.

- Wszystko okay?

- Tak, tak... Wybacz... tylko się zamyśliłam. Bo widzisz, jak trzymałam ten amulet, to w duchu wypowiedziałam życzenie. A teraz wracają do mnie słowa tego starego człowieka, który powiedział, że trzeba uważać z życzeniami. Wiem, że to głupie... ale żałuję, że to zrobiłam.

Susana nie zapytała Mirandy, co to za życzenie - to nie była jej sprawa.

Kiedy przeszły przez niskie drzwi i mały przedsionek, ujrzały oryginalny kolumnowy portyk. Tak jak w wypadku meczetu budynek, który się zdawał z zewnątrz zwykły i odrapany, krył w swoim wnętrzu wspaniałą świątynię - chociaż tutaj nie pałacową w wystroju, ale mroczną i nieposkromioną. Ściany zdobiły płaskorzeźby przedstawiające bogów i boginie kopulujących, tańczących, ćwiartujących się nawzajem. Reliefy były gdzieś obłuczone lub nadgryzione erozją, w innych miejscach zaś dawało się dostrzec pozostałości żywych pigmentów, którymi w oryginale pokryto kamień. Na posadzce, wzdłuż wyokrąglonych ścian, stało mnóstwo świec, i gra cieni oraz migotliwy blask płomieni ożywiały postaci z reliefów. Świece stanowiły tu jedyne źródło światła.

Susana i Miranda przeszły wzdłuż reliefów, aż dotarły do centralnego punktu świątyni - ołtarza z posągami Kali. Stało przed nim dwóch mężczyzn, wpatrzonych w olbrzymią boginię, wyrzeźbioną z czarnego kamienia. Miranda zadrzała, a wówczas jeden z mężczyzn odwrócił się w jej stronę.

- Witaj, Mirando.



- O, witaj, Giles. Cóż za niezwykły zbieg okoliczności.
- W rzeczy samej. Pozwól, że ci przedstawię mojego klienta. Oto

Louis.

- Mam wrażenie, że się widywaliśmy na aukcjach - powiedziała Miranda, ściskając dłoń Louisa.

Susana, witając się z Louisem, doszła do wniosku, że wygląda na bogatego członka artystycznej bohemy. Miał na sobie biały kaftan z najdelikatniejszej hinduskiej bawełny, przy szyi i na mankietach zdobiony zawilym haftem, a na jego palcach błyszczało kilka pierścieni - jeden z wielkim kamieniem, zapewne diamentem. Bez tego niezwykłego stroju i krótkiego kucyka, w który ściągał gęste, siwiejące włosy, niczym nie wyróżniałby się z tłumu - był przeciętnego wzrostu i budowy - dopóki nie zwróciłby na kogoś swoich ciemnych oczu o niezwykle przenikliwym spojrzeniu. Susana poczuła się nieswojo, gdy patrzył jej w twarz, bo nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Louis w szczególnie sposób ją sonduje, jakby się domagał bliżej nieokreślonych informacji. Odwróciła więc głowę i przeniosła wzrok na posąg bogini. Kali była przerażająca - miała prawie cztery metry wysokości, wielkie oczy o dzikim wejrzeniu i wysunięty język, ociekający krwią. Na szyi bogini widniał wieniec z maleńkich ludzkich czaszek.

- Nie denerwuj się, to czaszki małąp - rzucił Louis, gdy spostrzegł, na czym zawiesiła wzrok. - Hindusi wierzą, że Kali nosi naszyjnik z głów pokonanych wojowników, pas z ich odrąbanych ramion i zausznice z trupów małych dzieci. Podobno dlatego thagowie odcinali głowy i ręce swoim ofiarom - żeby je złożyć w darze ukochanemu bóstwu.

- Ta bogini to dość niezwykle uosobienie kultu kobiecości - wyszeptala Miranda. Widać było, że krwiożercza ikona nie przypadła jej do gustu.

- Siła i witalność Kali mają szczególną moc - ona jedyna pokonała Śiwę w walce - powiedział Louis. - A Siwa jest najmocniejszym ze wszystkich hinduistycznych bogów - potężnym niszczycielem. Nic też dziwnego, że kramy handlarzy kamieniami szlachetnymi znajdują się tak blisko jej świątyni, ponieważ legenda głosi, że boginię można ułagodzić jedynie ofiarą z krwi lub diamentów - a najlepiej diamentu o krwistoczerwonej barwie.

- Czy słyszałeś cokolwiek o Erze Kali? - wyrwało się Susanie, zafascynowanej mitologicznymi opowieściami.

- Naturalnie. Hindusi wierzą, że zamknęło się trzecie oko Kali, więc

ludzie zatracili kontakt ze swoim wewnętrznym ja - zagubili prawdziwą naturę człowieczeństwa, nie dostrzegają już celu egzystencji...

- Ależ, Louis - wszedł mu w słowo Giles. - Nie każdy jest zainteresowany szlachetną krucjatą, w którą zdecydowałeś się wyruszyć.

Susana pomyślała, że to uprzejmy sposób przypomnienia, że nie każdy jest tak stuknięty jak Louis z jego erudycyjnymi popisami, przeszycującym wzrokiem i zwiewnymi szatami.

- A powinien, bo w innym razie jak zdołamy ocaleć?

W tym momencie Miranda dotknęła ramienia Susany.

- Jest mi trochę niedobrze, muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Susana też poczuła nieprzepatwą ochotę, żeby stąd wyjść, tym bardziej że Louis i jego ezoteryzm wzbudzały w niej dziwny niepokój.

- Zaraz do ciebie dołączę.

Kiedy Miranda wyszła, spojrzała na Louisa.

- Czy naprawdę wierzysz, że mityczni bogowie mogą wpływać na nasze życie?

- Hinduistyczne bóstwa są figurami symbolicznymi, to oczywiste. Każde z nich reprezentuje jakiś aspekt natury ludzkiej, więc gdy na przykład oddaje się cześć bogini Kali, to znaczy, że się akceptuje zarówno ciemne, jak i jasne strony człowieczeństwa. Co, nawiasem mówiąc, uwalnia od kryzysów moralnych, jakie się stają udziałem grzeszących chrześcijan.

- I jest bardzo wygodne. - Giles się uśmiechnął. - Usprawiedliwia bowiem wszelkie paskudne uczynki. Chociaż, z drugiej strony, w hinduizmie mamy do czynienia z prawem karmanu - odpłaty za zło, którego się dokonało we wszystkich wcieleniach.

- Nic dziwnego, że bogobojni wiktorianie mieli tak niskie mniemanie o hinduizmie - powiedziała w zamyśleniu Susana.

Louis posłał jej dziwne spojrzenie i Susana - przekonana, że za chwilę znów usłyszy jedno ze jego filozoficznych kazań - pośpiesznie się pożegnała i umknęła na zewnątrz. Tutaj, w jasnym świetle popołudnia, odetchnęła głęboko i dopiero zdała sobie sprawę, jak bardzo spięta była w świątyni.

- Przepraszam cię - odezwała się Miranda. - Ale wszystko podeszło mi do gardła. Może to z powodu tego lunchu...

- A może bogini Kali!

Miranda się wzdrygnęła.

- Niewykluczone. Louis zachowywał się dość niesamowicie, nie

sądziś? Giles jest moim kolegą z Hanovers, Louis więc musi być tym jego klientem, który kolekcjonuje posągi wszystkich hinduistycznych bogów i bogiń.

- Czy mieszka w Indiach?
- Nie, w Londynie.

Susana nie umiała wytłumaczyć, dlaczego wolałaby, aby Louis nie mieszkał w Anglii. Istniała niewielka szansa na to, że się jeszcze kiedyś spotkają, a jednak miała przeczucie, że spotkają się, i to nie raz. Owo przekonanie było tak irracjonalne, że zapewne by ją szczerze ubawiło, gdyby tylko była mniej zdenerwowana.

## VIII

Nazajutrz po wizycie w świątyni Kali Miranda obudziła się na tyle wcześnie, by obejrzeć wschód słońca nad Gangesem. Zauważyła, że już kilka łodzi z pielgrzymami i turystami unosi się na wodach rzeki, a hinduscy rybacy, którzy pozostali na nabrzeżu, próbują namówić na przejażdżkę po Gangesie każdego, kto im się nawinął pod rękę, bo rybaków było dużo, dużo więcej niż potencjalnych pasażerów. Ten obrazek doskonale ilustrował, czemu żaden mieszkaniec Zachodu nie mógł przejść trzech kroków ulicą, by ktoś nie próbował mu czegoś sprzedać albo wyżebrać parę rupii. W tym niemiłosiernie przeludnionym mieście po prostu nie było dość pracy dla każdego. Małe, pięcio-, sześćioletnie dzieci z dużymi czajnikami herbaty lub z koszami pełnymi pomarańczowych margerytek czy małych świeczek biegały wzdłuż błotnistego brzegu i błagały rybaków, by podплыnęli bliżej, w nadziei że zdołają coś sprzedać pasażerom łodzi.

Miranda siedziała na balkonie owinięta szalem i obserwowała życie na nabrzeżu do chwili, aż słońce całą tarczą wzniosło się nad horyzont i eksplodowało jaskrawością promieni. Zobaczyła niejedną małą procesję pogrzebową, zmierzającą z marami okrytymi czerwono-złotą tkaniną ku którejś z kremacyjnych platform. Spoglądała na płonące od świtu stopy. Widziała, jak rzeka przyjmuje popioły i zwęglone szczątki. Londyn zdawał się oddalony o tysiące lat świetlnych, był miejscem na innej planecie. Miranda uśmiechnęła się pod nosem, gdy wyobraziła sobie Anglików

schodzących przed pracą na brzeg Tamizy, by się zanurzyć w jej wodach i oddać medytacji, jak to robili pobożni Hindusi, żyjący nad Gangesem. Niektórzy z nich nawet pili wodę z rzeki, bo pomimo tego, co w niej pływało (odchody, zdechłe zwierzęta, ludzkie prochy), wierzyli, że ma ona oczyszczającą moc.

W swoim lęku przed czekającymi ją w Benaresie szokującymi doznaniem zmysłowymi Miranda zapomniała o istotnej kwestii, dotyczącej Indii, a przypomniała sobie o niej dopiero wczoraj, gdy wędrowała z Susaną wąskimi uliczkami starego miasta. Otóż za zgiełkiem i szaleństwem, oszałamiającym bogactwem form i kolorów, mieszaniną przedziwnych aromatów, obłądnym rytmem ulicy - kryła się kraina pulsująca głębokim mistycyzmem wielu kultur. Swoje piętno wycisnęli na Indiach najpierw ciemnoskórzy, tajemniczy Drawidowie, potem plemiona z północy (i mniejsza z tym, czy byli wśród nich legendarni Ariowie), a w końcu muzułmańscy najeźdźcy - Mogołowie.

Miranda zeszła z balkonu, wzięła szybki prysznic i zabrała sprzed drzwi tacę ze śniadaniem, które było próbą odtworzenia kontynentalnego *petit déjeuner* - i to całkiem udaną, mimo że kawa pachniała cykorią, a croissanty miały lekko gumową konsystencję cziapatów. Po śniadaniu wzięła kolejny zimny tusz, chociaż wiedziała, że ledwo wyjdzie na zewnątrz, kurz i wysoka wilgotność od razu wezmą ją we władanie. Włożyła długą, luźną sukienkę, której nie nosiła od lat. Sukienka należała do przeszłości - podobnie jak wiele innych zwiewnych kobiecych strojów, z którymi nie umiała się rozstać, chociaż rzadko oglądały światło dzienne. Suknia była różowa w drobne kwiatki i wykończona białą koronką. Miała też wąskie rękawki do łokcia, Miranda nie musiała więc brać niczego do okrycia ramion. Tash uważała to za zbrodnię, że Miranda zazwyczaj spinała włosy i chodziła - jak to ujmowała sąsiadka - w „menedżerskiej zbroi”. Nie zgadzała się z tym, że taki sposób ubierania jest konieczny w zawodzie całkowicie zdominowanym przez mężczyzn.

- Lekceważysz jedną z najważniejszych zasad feminizmu, Mirando. Mamy prawo się ubierać i zachowywać jak kobiety, i nadal być traktowane jak inteligentne, równoprawne istoty, pamiętasz?

Miranda się uśmiechnęła, gdy sobie wyobraziła, jaką minę zrobiłby Roger i inni „chłopcy ze starej szkoły”, gdyby się zjawiła na oficjalnym zebraniu w półprzezroczystej kreacji w kolorach tęczy.

W foyer natknęła się na Gilesa, który popijał papajowy sok z wysokiej szklanki i przeglądał gazetę.

- Dzień dobry, Mirando. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, gdy powiem, że wyglądasz dziś bardzo elegancko.

- Oczywiście, że się nie obrażę, Giles. Słowo „elegancko” jest jak najbardziej dopuszczalne - w odróżnieniu od „ładnie”, bo to świadczyłoby o moim braku profesjonalizmu.

- Ach tak. Rozumiem. - Mina Gilesa jasno świadczyła, że nic nie pojmuje.

- Jak twoja pogoń za posągami bogów?

- Frustrująca, niestety, ale tego się należało spodziewać. Nadzieja jest matką głupców, jak wiadomo, a w Indiach ta prawda nabiera dodatkowej głębi. Nie będę ci zwracał głowy nudnymi szczegółami.

A jak twoje poszukiwania?

- Bardzo podobnie. Muszę wyjść i za chwilę znów poczuję się bezradna i zagubiona w labiryncie tutejszych ulic.

- Jeżeli masz dzisiaj wolny wieczór, może zechciałabyś zjeść kolację ze mną i Louistem? Prosił, żebym ciebie i Susanę zaprosił w charakterze jego gości.

Miranda się zawahała.

- Wiem, że wygląda na dziwaka, ale jest nieszkodliwy, a przy tym naprawdę fascynujący.

- Przyjmuję więc zaproszenie w swoim imieniu, gdy zaś chodzi o Susanę - będę musiała sprawdzić, czy wieczorem ma czas.

Miranda wyszła z hotelu i wydawało jej się, że skręciła w stronę Dasaswamedh Ghat Road i czekających tam riksów, ale po przejściu dwóch przecznic znowu się znalazła wśród archaicznych uliczek, biegnących zakosami i meandrami przez najstarszą część miasta. Wkrótce dotarła do niewielkiego placu, otoczonego drewnianymi domami, z małym, tłoczonym targowiskiem pośrodku. Stragany z tanimi plastikowymi butami, warzywami i rybami ciągnęły się jeszcze wzdłuż sąsiednich ulic - pełnych zgiełku, kolorów oraz zapachu przypraw i kadzideł. Miranda zeszła z drogi sadhu rozdającym słodkie nasiona, przekonana, że będzie prosił o jałmużnę. Tak łatwo jednak nie udało jej się uniknąć dzieci, które ciągnęły ją za sukienkę i błagały o parę rupii, wsuwając palce do ust na znak, że nie mają co jeść. Nie wyglądały wszakże na głodujące, a część z nich pochodziła zapewne z rodzin wyspecjalizowanych w kradzieżach i oszustwach. Niemniej Miranda widziała też matki z dziećmi,

żyjące na ulicy, które się utrzymywały jedynie z żebractwa, i dla nich kilka rupii było istotną pomocą. Problem w tym, że gdyby tylko otworzyła portmonetkę, nie opędziłyby się od natrętów w czasie całej wędrówki.

W jednym z zaułków natknęła się na kramy ze skarbami - skórzanymi pasami i sandałami, rzeźbami z drewna i połyskliwymi, haftowanymi tkaninami. Była tu także biżuteria z półszlachetnych kamieni. Kiedy wodziła po niej wzrokiem, natychmiast znalazł się u jej boku właściciel straganu i zaczął wskazywać na sztuki, które uznał za godne jej uwagi.

- Chcę się tylko rozejrzeć, dziękuję - oznajmiła stanowczym tonem.
- Nie ma problemu, proszę bardzo! Może to się pani spodoba?

Na ciemnych dłoniach zamotał sznurek turkusowych koralików.

- Rzeczywiście, są bardzo piękne, ale nie jestem zainteresowana kupnem.

- Dzisiaj dla pani specjalna cena. Nepalski turkus jest pierwszorzędny - zrodził się w potężnych Himalajach. Jak się go nosi, dodaje siły i odwagi. Interesy nie idą dziś najlepiej. Ile pani jest gotowa dać?

Miranda rzuciła kwotę o połowę niższą od wyjściowej ceny, przekonana, że mężczyzna nigdy jej nie zaakceptuje, a jeśli jednak to zrobi - Susanie z pewnością spodoba ją się turkusy. Odeszła od straganu w nadziei, że handlarz zostawi ją w spokoju, on jednak zawołał za nią:

- To poniżej moich kosztów! Proszę podać swoją najwyższą ofertę!
- Już ją podałam! - odrzyknęła, nie oglądając się za siebie. Kiedy odeszła już spory kawałek, dogonił ją zaspany kramarz.
- Proszę je wziąć. Za pani cenę.

W końcu Miranda odnalazła Dasaswamedh Ghat Road, pełną krów, rowerzystów i riksz. Wsiadła do jednej z nich i wkrótce się znalazła w samym środku niewyobraźnego chaosu. Rikszarz musiał uznać, że jego pasażerka wygląda na stropioną, bo powiedział:

- Proszę się nie przejmować. To normalne na ulicach Benaresu!

Sprawnie dowiózł ją pod wskazany adres - do domu niejakiego pana Patela. Mirandę skierował do niego pewien londyński dealer, który wiedział tylko tyle, że niekiedy pan Patel podejmuje się roli agenta i pośredniczy w sprzedaży biżuterii bogatych hinduskich rodzin. Miranda zdumiała się na widok tabliczki stojącej przed niegdyś elegancką rezydencją. Napis na niej głosił: Dr Patel, astrogemmolog.

Dr Patel okazał się zasuszonym mężczyzną, który lekko sepleniał i nosił

okulary w cienkiej czarnej oprawce. Uścisnął rękę Mirandy ciepłą, suchą dłonią, po czym wprowadził ją do frontowego pokoju, gdzie na jedwabnym dywanie leżało kilka poduszek i stał niski rzeźbiony stolik.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani siedzenie na podłodze, miss Mirando? Jak pani widzi, nie mam w domu żadnych krzeseł ani foteli.

- Na podłodze będzie mi wygodnie, dziękuję.

- Czy mogę poczęstować panią herbatą?

Ze stalowego termosu, stojącego na stole, Patel nalał słodką herbatę do małych ceramicznych miseczek. Począł, aż Miranda usadowi się na poduszkach i upije łyk herbaty, po czym przeszedł do zasadniczego tematu.

- A więc ma pani nadzieję, że wyjdzie stąd z diamentami?

- Owszem - odparła z uśmiechem.

- To bardzo niedobry czas na diamenty. - Patel potrząsnął ze smutkiem głową. - Nie wiedziała pani o tym?

- Co pan rozumie przez „niedobry czas na diamenty”?

- Jeżeli zależy pani na dużych okazach, a nie tych kamyczkach, oferowanych na ulicy, to muszę panią uprzedzić, że nie ma w tej chwili w Indiach wiele osób, które byłyby gotowe się z nimi rozstać. Takie diamenty naturalnie są w tym kraju. Osobiście je widziałem, ale od tego czasu minęło już kilka lat. W przeszłości sprawy się przedstawiały inaczej. Kiedy maharadzowie mieli jeszcze władzę - przed uzyskaniem niepodległości w 1947 - nosili w pierścieniach jedynie okazałe kamienie, bo miały one największą moc. W 1971 podpisano dekret pozbawiający książęce rody dochodów z ich dawnych posiadłości, i wówczas sporo z tych diamentów wystawiono na sprzedaż. To znaczy, zrobiły tak rodziny, które nie miały zmysłu do interesów i żadnych innych środków, pozwalających na godne życie.

- A więc „niedobry czas na diamenty” nastąpił w latach siedemdziesiątych?

- Nie, nie, miss Mirando. Ja mówię o czasie w ujęciu kosmologicznym. Czy pani rozumie?

Miranda pokręciła głową.

- Ujmę to tak. Swego czasu sądzono, że jeżeli się spożyje sproszkowany, idealnie czysty diament, dostąpi się dobrodziejstwa długiego, szczęśliwego życia. Teraz się uważa, że byłaby to trucizna. Pojęła pani moją przenośnię?

- Hm... tak sądzę...

- Czasem, w którym przyszło nam żyć, rządzi bogini Kali. Według legendy, pewna prosta wiejska dziewczyna z okolic Benaresu znalazła piękny czerwony diament. Czarna bogini zażądała go dla siebie, ale owa dziewczyna postanowiła uwieść maharadzę i oddała mu niezwykły kamień. Oboje skończyli marnie. Kali wpadła w wielki gniew i przeklęła każdego, kto kiedykolwiek zapragnąłby dla siebie tego diamentu, a poza tym przysięgła, że świat będzie się kąpać w ogniu i krwi do czasu, aż czerwony diament znowu znajdzie się w jej posiadaniu.

Miranda nieco się pogubiła w tych wywodach - między innymi dlatego, że ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwała, gdy się umawiała na spotkanie z Patelem, był wykład na temat związku diamentów z bogami. I zapewne uznałaby całą sytuację za komiczną, gdyby nie była tak frustrująca. Nagle przypomniała sobie, co powiedział w pociągu Giles na temat bezsensu walki z przeznaczeniem - i postanowiła się poddać biegowi wydarzeń.

- Dlaczego akurat czerwony diament miałby być tak niebezpieczny?

- Czerwone kamienie to ogień i krew matki ziemi. A diamenty są kamieniami posiadającymi największą moc - pozwalają na wgląd w różne światy, zapewniają zwycięstwo w walce. To niepokojąca kombinacja.

- Czy to jednak oznacza, że wszystkie diamenty są przeklęte?

- Wszystkie diamenty są jednością, bo rządzi nimi jeden bóg. Tak samo jak wszystkie ludzkie dusze są jednością rządzoną przez jednego boga, bez względu na to, gdzie i jakie przyjmuje on imię. Dopóki Kali nie dostanie z powrotem swojego diamentu, wszystkie diamenty będą źródłem poważnych problemów - chyba że się znajdą w rękach osoby, która ich nie pożąda. Czy teraz pani rozumie?

Nie rozumiała, ale szybko przytaknęła skinieniem głowy, żeby przy padkiem doktor Patel nie uznał za stosowne dalej snuć swoich wyjaśnień. Dopiła herbatę i podziękowała za poświęcony jej czas.

Kiedy znalazła się na ulicy, postanowiła się przejść kawałek, żeby uporządkować myśli, zupełnie nie zwracając uwagi na zwyczajowe spojrzania mężczyzn, rzucane w jej stronę.

Czerwone diamenty są niesłychanie rzadkie, możliwe więc, że Kali nigdy się nie doczeka zwrotu swojego kamienia. Czy w takim razie zwiększy się jej gniew? I jaka wówczas będzie zemsta? Czy Era Kali doprowadzi do nowotestamentowego Armagedonu - ostatecznej bitwy



między siłami dobra i zła? Tylko z powodu jednego diamentu? I chociaż opowieść doktora Patela była zwykłą bajką, przynębiła Mirandę niemal tak samo jak stwierdzenie, że nie jest to najlepsza pora na zakup diamentów - co, niestety, zdawało się sprawdzać. Jeżeli w najbliższym czasie nie odezwie się do niej Waidja, Miranda powróci do Londynu z pustymi rękami.

Uliczny handlarz sprzedawał ostro przyprawione cziapaty oraz aromatyczny ryż, który podawał na palmowym liściu. Te zapachy niesłychanie nęciły Mirandę. Oparła się jednak pokusie, nie miała bowiem zaufania do ulicznego jedzenia, ale jednocześnie uświadomiła sobie, że jest bardzo głodna. Postąpi jednak rozsądniej, jeżeli zje lunch w znanej już restauracji z tarasem.

Miranda miała nadzieję, że spotka tam Susanę, i rzeczywiście Susana siedziała przy jednym ze stolików, ubrana w pendzabską tunikę i wąskie spodnie. Był to bardzo inteligentny wybór, bo nie przyciągał niczyich spojrzeń - mało kto by się też spodziewał, że podobny strój może nosić biała kobieta. Susana notowała coś pilnie w grubym notesie i tak ją to pochłaniało, że nie spostrzegła Mirandy, póki ta się nie odezwała.

- Czy mogę się przysiąść?
- Miranda! Witaj. Byłam myślami w zupełnie innym świecie.
- Jeżeli jesteś bardzo zajęta, zostawię cię w spokoju...
- Nie, nie. Siadaj, proszę.
- Twoja praca jest bardzo samotnicza, prawda? Ja chyba bym oszalała, gdybym musiała spędzać całe dni jedynie w towarzystwie własnych myśli.

- W pewnym sensie jest samotnicza, ale z drugiej strony, towarzyszą mi duchy osób, których przeszłość próbuję odkryć... trudno to wyjaśnić...

- Czy napisałaś dużo książek?
- Ta będzie trzecia. Poprzednie też traktowały o kobietach pióra. Zaczęłam od biografii Aphry Behn.

Miranda była przekonana, że powinna wiedzieć, kim była Aphra Behn, z pewnością słyszała już to nazwisko...

- To szesnastowieczna poetka i autorka dramatów, która owdowiała w wieku dwudziestu sześciu lat i została pierwszą kobietą, utrzymującą się z pisarstwa. Virginia Woolf twierdziła, że Aphra Behn uTOROWAŁA drogę Mary Wollstonecraft oraz późniejszym osiemnastowiecznym

powieściopisarkom, takim jak Jane Austen czy siostry Brontë. Woolf powiedziała też: „Pieniądze nadają szacowność frywolności, o ile się jej nie kupiło”.

- A kobieta posiadająca własne pieniądze nie musi się czuć winna, jeżeli wydaje je frywolnie! - zaśmiała się Miranda. - Chociaż z pewnością Virginia Woolf nie to miała na myśli.

- Z pewnością, gdy się weźmie pod uwagę fakt, że nosiła grube brązowe pończochy i solidne płaskie buty.

Miranda aż się wzdrygnęła, po czym spojrzała z zaciekawieniem na Susanę.

- Co jest tak szczególnego w Lily Korechnya, że zawładnęła twoją wyobraźnią?

- Pewnie fakt, że była wdową, podobnie jak Aphra Behn, chociaż, o ile mi wiadomo, Lily nie parała się piórem z przymusu finansowego. Ale przede wszystkim intrygujące jest to, że pisała głównie o kobietach, które ośmieliły się być kimś więcej niż tylko matkami i żonami w czasach, gdy należało to do rzadkości.

- Czy na swój sposób się z nią utożsamiasz?

Miranda pomyślała nagle, że Susana mogła się identyfikować z Lily nie tylko dlatego, że obie pisały o kobietach. To by wyjaśniało tęsknotę, jaka niekiedy pojawiała się w jej oczach - ledwo wyczuwalny smutek.

- Owszem. Trzy lata temu też zostałam wdową. Ale to przeszłość, z którą się pogodziłam. Lub, jeśli wolisz, w pełni już zaakceptowałam towarzystwo duchów.

Miranda nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, zaczęła więc przerzucać rzeczy w torbie w poszukiwaniu koralu, które kupiła na bazarze, po czym położyła przed Susaną małą papierową torebkę.

- Co to takiego?

- Drobiazg, na który się przypadkiem natknęłam.

Zaintrygowana Susana zajrzała do torby i gdy ujrzała koral, jej twarz rozświetlił pogodny uśmiech.

- Są przepiękne, bardzo ci dziękuję! - Natychmiast włożyła je na szyję.

Miranda wzruszyła nieznacznie ramionami, niespodziewanie zmieszana, i wbiła wzrok w menu, wcale go jednak nie czytając. I wówczas przypomniała sobie o zaproszeniu przekazanym przez Gilesa. Ku jej zdumieniu Susana od razu się zgodziła na kolację z Louistem.

- Prawdę powiedziawszy - zaśmiała się cicho - nieco mnie onieśmielił, gdy byliśmy w świątyni, i coś się we mnie buntuje na tę myśl. Chętnie więc skorzystam z okazji, by wystawić jego wiedzę na próbę!

Po lunchu Miranda wróciła do hotelu i skierowała się prosto do recepcji. Zostawiła notkę dla Gilesa, dotyczącą wieczornego spotkania, i sprawdziła, czy nie ma dla niej wiadomości. Nikt nie próbował się z nią skontaktować - ani słowa od Waidji w sprawie kolekcji, a tymczasem ona już jutro miała opuścić Benares. Teraz zrywała się w duchu na siebie samą - jak mogła dać się przekonać Kennethowi, że na załatwienie sprawy w Indiach wystarczy jej parę dni! W odruchu paniki rozważała nawet, czy nie pojechać do białego domu, stojącego obok pałacu, i nie zażądać spotkania... no właśnie, z kim? Z panem X? Nie знаła przecież nazwiska sprzedającego. Nie miała nawet adresu biura Waidji - na jego wizytówce widniały jedynie numery telefonu i faksu. Zdała sobie teraz sprawę, że to celowa taktyka - dodatkowa bariera nie do przebycia dla ludzi takich jak ona i, oczywiście, dla prasy. W ten sposób klient był całkowicie chroniony. A nawet jeśli Miranda by się zdecydowała na karkołomną przeprawę na drugi brzeg rzeki, wcale nie jest powiedziane, że zastałaby tam pana X, lub że mężczyzna, którego widziała z Waidją, jest właśnie jego tajemniczym klientem. A gdyby jednak jakimś cudem pan X zgodził się ją przyjąć, to raczej nieprawdopodobne, by zmienił zdanie i pozwolił na oddzielenie kamieni od biżuterii - pomijając już fakt, że podobne zachowanie z jej strony świadczyłoby o skandalicznym braku profesjonalizmu. Jedyna opcja, jaka jeszcze pozostała, to nabycie całej kolekcji i nielegalne wywiezienie jej do Szwajcarii, gdzie nikt nie zadaje zbędnych pytań. Stamtąd Miranda mogłaby już bez najmniejszych przeszkód przetransportować klejnoty do Londynu. Zależało jej na sukcesie lipcowej aukcji jak na mało czym w życiu, nie na tyle jednak, by ryzykować utratę pracy. Prawdę powiedziawszy, nie pojmowała, jak mogła choćby rozważać możliwość złamania prawa! Może w tych przesądach, związanych z diamentami, kryła się jednak jakaś prawda - te kamienie wywoływały niebezpieczne pragnienia...

Miranda postanowiła spędzić popołudnie z książką w ręku. Ale ledwo się położyła na łóżku - zasnęła. Obudziła się dezorientowana i niespokojna. Nie mogła sobie przypomnieć, co jej się śniło, ale wiedziała, że nie był to przyjemny sen.

Jego mroczny cień nie chciał jej opuścić - ani kiedy się kąpała, ani

gdy wkładała białą, prostą suknię, która efektownie podkreślała jej opaleniznę i miedziany blask włosów.

Susana, Giles i Louis już czekali na nią w barze, na antresoli foyer.

- Mirando, wyglądasz niezwykle elegancko tego wieczoru - zauważył z szelmowskim uśmiechem Giles.

- Przepraszam za spóźnienie, ale nie wiadomo kiedy zasnęłam - co nie było w moich planach.

- A czy coś ci się śniło? - spytał Louis i Miranda gwałtownie spojrziała w jego stronę.

Tym razem był ubrany bardziej konserwatywnie - miał na sobie liliową jedwabną koszulę i luźne białe spodnie. Nie zapomniał jednak o biżuterii - na jego palcach widniało kilka pierścieni, w tym ten z dużym diamentem, który zauważyła już wcześniej. Na szyję włożył kilka sznurków drobnych srebrnych koralików, a w uszy wsunął małe brylantowe kolczyki.

- Owszem - odparła, nie unikając jego przenikliwego wzroku. - Ale nie pamiętam co, wiem jedynie, że nie był to przyjemny sen.

- W Benaresie sny zazwyczaj są o wiele intensywniejsze niż gdzie indziej - wyjaśnił Louis. - Szampana, Mirando?

Z wiaderka z lodem wyjął butelkę z nieprzyzwoicie kosztownym trunkiem i napełnił dla niej kieliszek.

- Dlaczego tak sądzisz? - odezwała się Susana.

Miranda zauważyła, że choć Susana do tej pory była milcząca, to wyraźnie czuła się całkiem swobodnie w towarzystwie dwóch nieznanych jej mężczyzn.

- Ponieważ Benares jest miastem zmarłych, a sny przynależą do ich świata - dlatego w snach mogą się nam ukazywać i z nami rozmawiać. Jesteś pewna, że nic sobie nie przypominasz?

Miranda poczuła się nieswojo z powodu tego niezwykle zainteresowania Louisa jej snem.

- Niekiedy sny bywają zbyt osobiste, by o nich opowiadać - pośpieszyła Susana Mirandzie na ratunek. - Louis, chciałam cię zapytać o Era Kali...

I wówczas Miranda przypomniała sobie, co jej się śniło. Właśnie czarna bogini we własnej osobie. Była rozmiarów King Konga i pożerała wszystko, co dla Mirandy miało jakąkolwiek wartość: jej dom, pracę, butik Harveya Nicholasa, trasę kolejową do Bath, gdzie mieszkali jej

rodzice... a tuż zanim Miranda się obudziła, czarna bogini trzymała w dłoniach dużą drewnianą kasetkę, w której się znajdowała kolekcja żalobnej biżuterii.

- ...to era ciemności - ciągnął tymczasem Louis. - Ludzie zatracili kontakt z królestwem ducha i zajmują się jedynie swoim ciałem, pragnieniami i materialnym światem. Można to równie dobrze nazwać wiekiem ignorancji.

- A jaki związek ma z tym Kali? - spytała Miranda, starając się wyrzucić z pamięci symboliczną wymowę swojego snu.

- Demoniczny aspekt Kali ma nam uświadomić, że śmierci i destrukcji nie uda się nam zwalczyć ignorancją czy wypieraniem ich istnienia. Jeżeli mamy wykorzystać dany nam potencjał, musimy zaakceptować życie w jego wszystkich aspektach. Musimy zaakceptować cierpienie i śmierć, przewyciężyć nasze ego.

- A dlaczego właściwie powinniśmy zaakceptować naszą śmiertelność? - spytała Susana.

- Ponieważ tylko w ten sposób wyzwolimy się od strachu. Wyobraź sobie, że już się nie boisz śmierci. To cię przeniesie w świat bogów. Bo widzisz, bogowie, jako istoty nieśmiertelne, żyją chwilą. Dlatego zawsze są przedstawiani, jak kopulują, tańczą czy szlachtują demony.

- Czy słyszałeś kiedyś historię o Kali i czerwonym diamencie? - zainteresowała się Miranda.

- Owszem - przyznał Louis. - A ma ona poważne konsekwencje - tak przynajmniej twierdzą starzy ludzie, pochodzący z rodzin, które przez pokolenia zajmowały się w Benaresie klejnotami i biżuterią.

- I co oni mówią? - Miranda nie mogła zrozumieć, czemu właściwie tak ją intryguje ta kwestia.

- Że diament zniknął, ponieważ maharadza zamierzał go umieścić w pewnym niebezpiecznym amulecie, zwanym nawaratna. Chciał, żeby się składał z samych diamentów o różnych barwach, a to niedopuszczalne.

- Nawaratna... To amulet z dziewięciu kamieni! Wczoraj widziałam jeden z nich.

Louis skinął głową.

- Układ dziewięciu kamieni jest metaforą wszechświata. Amulet ma pobudzić świadomość, zachęcić noszącą go osobę do poszukiwania swojej prawdziwej tożsamości. Każdy z dziewięciu kamieni symbolizuje

także inne hinduistyczne bóstwo, więc posiadacz klejnotu może każde z nich prosić o ochronę i wsparcie.

Miranda zauważyła, że w czasie tej przemowy Louis cały czas przygląda się bacznie Susanie, jakby oczekiwał jakiejś jej reakcji. Ale jeżeli ona nawet coś wiedziała na temat niezwykłego amuletu - nie dała tego po sobie poznać.

## IX

### Benares, 3 lutego 1865

Wciąż jest ciemno, obudziłam się bowiem przed świtem, chociaż nie umiem powiedzieć, co sprawiło, że się ocknęłam. Może był to sen, który uleciał z mej pamięci, jak tylko uniosłam powieki, a może powiew wiatru, ponieważ tarasowe drzwi do mojego pokoju są zawsze otwarte, i cienie jak pajęczka nic zasłony wokół mojego łóża często się wydymają niczym żagle.

Za owymi drzwiami znajduje się ogród zenany, a właściwie duży dziedziniec, obsadzony kwiatami, bardziej wdzięczny i kobiecy niż pozostałe tereny pałacowe. Roślinami zajmują się tu jedynie kobiety ogrodniczki. Pilnie doglądają róż oraz jaśminu, a także miniaturowych palm i wielu wonnych ziół. W samym centrum wyłożonego marmurem dziedzińca znajduje się fontanna w kształcie wielkiej lillii, której płatki są z różowego kwarcu, a liście z jadeitu.

Małe dziewczynki i służące często zaglądały z dziedzińca w moje okna i chichotały cicho, kiedy się ubierałam. Intrygowały je zagraniczne stroje i wyraźnie się dziwiły, że angielskie kobiety noszą tak wiele innych sztuk odzieży pod swoimi sukniemi. Ostatnio więc zaczęłam się ubierać za parawanem - nie tylko przez skromność, ale by zapewnić sobie spokój.

A więc świt jeszcze nie nadszedł i wciąż leżę w wielkim, bogato rzeźbionym łóżu. Obok stoi mały stolik z kości słoniowej, na którym trzymam przybory do pisania, a także srebrną paterkę na biżuterię. Leżą tam koralki z drewna sandałowego, które podarowała mi Saraswati. Ich zapach

unoszą się w komnacie oraz przesyca swoim słodkim aromatem prześcieradła, zasłony i moje ubrania. Ta woń wpływa na mnie kojąco, ale jednocześnie sprowadza cię melancholii. Na paterce kładę teraz także mój medalion - już w nim nie śpiam, ponieważ gdy mam go na sobie, Franz pojawia się w moich snach, a po przebudzeniu dotkliwie odczuwam jego nieobecność. Zastanawiałam się nawet, czy to nie sen o moim najdroższym nie sprawił, że się obudziłam, ale kiedy wpatrywałam się w księżyc za otwartymi drzwiami - zbliżający się do pełni - którego blask oświetlał paciorki naszyte do zasłon tak, że lśniły jak gwiazdy, z dziedzińca dobiegły mnie głosy - jeden męski, drugi kobiecy. Z początku były przyciszone i spokojne, ale kiedy kobieta się uniosła gniewem, od razu rozpoznałam głos Saraswati.

Wymknęłam się cicho z łóżka i stanęłam w cieniu za oknem. I w rzeczy samej - na dziedzińcu stała Saraswati, a obok niej - Gowinda. Mówili w hindi, ale dziewczyna często powtarzała dwa znane mi słowa: *mera warga*, co oznacza „mój diament”. Wspomniała też kilka razy męskie imię - Wikram. Przez chwilę się zastanawiałam, czemu wydaje mi się ono znajome, aż uświadomiłam sobie, że tak się zwał hinduski chłopiec, zamordowany w Diabelskim Kwartale.

## Benares, 5 lutego 1865

Wczorajszego rana zostałam ponownie wezwana na audiencję do maharadży, ale tym razem się nie spotkaliśmy w surowej złotej sali. Zaprowadzono mnie do zachodniego skrzydła pałacu i kolejnej komnaty, której wcześniej nie widziałam. Była dwa razy tak wielka jak sala tronowa, a jej ścian nie pokrywało złoto, lecz rozliczne obrazy - duże i małe. Zachwyciła mnie pałacowa galeria, tym bardziej że nie spodziewałam się tu zobaczyć tak wielu prac uznanych artystów. Rozpoznałam płótna Ingres'a i Delacroix, a także przepojone niezwykłym, tajemniczym światłem krajobrazy Caspara Friedricha, niemieckiego malarza, bardzo podziwianego przez Franza.

Zabrałam ze sobą trzy obrazy mojego męża, nie zamierzałam jednak pokazać ich wszystkim naraz, tylko najpierw na jednej pracy sprawdzić, czy zainteresowanie maharadży jest prawdziwe.

Kiedy rozwinęłam płótno i książkę nachylił się w moją stronę, znowu poczułam opary alkoholu, a gdy przyjrzałam się jego twarzy, zobaczyłam,

że ma nos pokryty czerwonymi, popękkanymi żyłkami. Przyznaję, że mnie zastanowiło, co mogło go skłonić do picia o tak wczesnej porze.

Pierwszy pokazałam obraz z holu domu przy Waterloo Street - mój ulubiony, bo to ja pozowałam do tego portretu. Teraz jednak wzbudza on mój smutek, gdyż widzę w oczach Wenus - tak bardzo podobnych do moich - miłość, którą utraciłam.

Książę przeniósł wzrok z obrazu na moją twarz i oznajmił:

- Ten mi się podoba. Proszę pokazać pozostałe.

Spełniłam więc jego życzenie, a potem służący poszedł po resztę płócien, które przechowuję w szufladzie swojego kufra. Maharadża nie powiedział, czy rozpoznaje kobietę z liliami we włosach, która użyczyła twarzy Wenus oraz innym postaciom z greckich i perskich mitów. Do tych postaci również pozowałam. Ale po chwili spojrział na mnie w sposób, który mi jasno uświadomił, że chce nabyć te obrazy nie tylko ze względu na ich wartość artystyczną, ale dlatego, że zapragnął posiadać kolekcję moich portretów! Wówczas też zrozumiałam, że nigdy nie powinnam przywozić tu tych płócien, ale już było za późno, książę bowiem postanowił zakupić je wszystkie.

## 7 lutego

Do mojego odjazdu pozostał tydzień i nagle się zorientowałam, jak wielki spokój zapanował w mej duszy, a wszystkie troski, które mnie trapiły przed przyjazdem do Indii, gdzieś niepostrzeżenie uleciały. Być może udało mi się zaakceptować wolę przeznaczenia - fatalizm panujący w tym kraju, którego z początku nie umiałam pojąć. Spróbuję, Barbaro, wyjaśnić Ci pewne bardzo osobiste odczucia, ale ponieważ trudno je wyrazić słowami, musisz mi wybaczyć nieporadność.

Przez wiele dni siedziałam w marmurowym pawilonie, niepomna na pojawiających się tam służących, nieodmiennie zdumionych widokiem kobiety zajętej pisaniem. Teraz minęło już kilka tygodni od czasu, gdy ukończyłam swój esej na temat nieszczęsnego losu świątyni Kali. Kiedy postawiłam ostatnią kropkę, ogarnęło mnie poczucie niewysłowionej ulgi. W pierwszej chwili sądziłam, że tak na mnie podziałała świadomość uporania się z zadaniem dla mnie trudnym, bo przecież nigdy wcześniej nie pisałam o sprawach brytyjskiej kolonii indyjskiej ani o panteonie bogów



zamieszkujących Benares. Przy okazji zgłębiania tematu odkryłam, że każdy aspekt bogini Kali - od inspiracji i kreacji po zdradę i zniszczenie - znajduje odbicie w historii ludzkości. Idąc dalej tym tropem, odnalazłam aspekt siebie samej, odpowiedzialny za moją straszną rozpacz po stracie Franza.

Po ukończeniu owego szczególnego eseju (by mieć pewność, że się ukaże jeszcze w grudniu, wysłałam go łądem do Istambułu, gdzie już działa telegraficzne połączenie z Londynem) i dalszemu zgłębianiu tajemnic czarnej bogini, odkryłam w sobie nieznane mi do tej pory pokłady spokoju. Nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi rejuwach na bazarze czy żebrzące dzieci, czepiające się mojej sukni. Nie onieśmiela mnie już także niebýwały przepych pałacowych komnat.

## Północne Indie, 14 lutego 1865

Pisałam już do Ciebie, Barbaro, z okrętu i z pałacu, jestem Ci więc winna list skomponowany podczas podróży pociągiem z Benaresu do Bombaju.

Kraina, przez którą podróżuję, urzeka mnie swoimi widokami, godzinami zatem spoglądam przez okno przedziału. Widzę bawoły z długimi rogami, niemal całkiem zanurzone w wodzie pod korzeniami mangrowców, i kobiety na polach Inu w kolorowych sari, które na płowozłocistym tle wysokich, cienkich łodyg zdają się drogocennymi kamieniami. Obok torów często bawią się obdarte dzieci, które nieruchomieją, gdy zbliża się pociąg, i wpatrują się w wagony wielkimi, szeroko rozwartymi oczami. Wszędzie wokół unosi się drobny, jasny pył i osiada na liściach oraz skórze ludzi, którzy są w tym kraju wszechobecni. Jeszcze nie widziałam żadnego skrawka krajobrazu bez przynajmniej jednego człowieka - przynajmniej w tle. Na każdym peronie stoją rodziny z tobołami, pałakonodzy farmerzy balansują skrzyniami z domowym ptactwem na swoich turbalach, zewsząd rozlegają się krzyki wiekowych sprzedawców herbaty, różnego rodzaju aromatycznych potraw oraz ciemnoskórych handlarzy połyskliwymi tkaninami.

Stacja nawet w najmniejszym miasteczku niewiarygodnie pulsuje życiem (Waterloo Street wydałaby się przy nich cichą, spokojną okolicą) - jest tak pełna ruchu i kolorów jak najwspanialszy kalejdoskop.

Warunki podróży w drodze powrotnej do domu mam równie doskonale jak wtedy, gdy pokonywałam tę trasę w przeciwną stronę.

Przedziały są szerokie i wygodne, trzy razy tak duże jak moja kajuta na statku - z toaletką, umywalnią i małym stolikiem. Okna mają zewnętrzne żaluzje, by w razie potrzeby chroniły od kurzu i zbyt ostrego słońca. Wagon restauracyjny jest także przestronny, z nową tapicerką, z przyjemnością siedzę więc w nim nad filiżanką herbaty.

W ostatnich dniach mojego pobytu w pałacu doszło do kilku niepokojących wydarzeń, nie miałam więc czasu na kontemplację.

Następnego ranka po tym, który opisałam w moim poprzednim liście, poszłam do komnat Saraswati, bo miałyśmy się wspólnie udać do miasta. Zdecydowałyśmy, że po raz ostatni pójdziemy do świątyni Kali, którą - zgodnie z planem - mają wyburzyć jeszcze przed nadejściem pory deszczowej.

Kiedy doszłam do wielkich rzeźbionych i malowanych drzwi, prowadzących do jej komnat, straż przy nich trzymał Gowinda. Już wcześniej zauważyłam, że ma pilne baczenie na Saraswati - zapewne z rozkazu maharadży.

Saraswati zastałam w negliżu, a jej wygląd świadczył o tym, że nie spała wiele minionej nocy. Podczas gdy na nią czekałam, owinęła się w swoje ulubione sari z żółtej jedwabnej żorzęty. Zauważyłam, że jest znowu osobliwie nieobecna duchem. Poczęstowała mnie słodyczami i korzenną herbatą, które przyniesiono na złotej tacy, i choć nie nawykłam jadać takich rzeczy od samego rana, przyjąłam poczęstunek.

Dzień zdawał mi się o wiele gorętszy od wszystkich, które przeżyłam tu do tej pory, więc gdy dotarliśmy do świątyni, czułam lekki zawrót głowy. Towarzyszył nam Gowinda i cieszyłam się z tego powodu, bo jego czujność i spokojna pewność siebie dodawały mi ducha w stanie mojej słabości. Nie wszedł on z nami do świątyni, ale stanął przy drzwiach na straży.

Gdy się znalazłam w środku, wiedziałam, gdzie jestem, ale wszystko zdawało mi się snem. Może rzeczywiście śniłam - do dziś nie potrafię tego rozstrzygnąć. Oprócz nas w świątyni była stara kobieta z czerwoną kropką na środku czoła, i mimo że podobne znaki widziałam u wielu Hindusek, jej ciemne szaty i przygarbiona postać wzbudziły we mnie lęk. Niespodziewanie przejął mnie dziwny chłód i podczas gdy stałam w bezruchu, Saraswati zaczęła się kołysać przed przerażającym posągiem

Kali; w rękę trzymała jaskrawoczerwoną jedwabną chustkę i wymachiwała nią w powietrzu. Niekiedy nawet się zastanawiam, czy to ja przypadkiem nie zaczęłam się kołysać, ponieważ słyszałam w uszach głośnie dudnienie bębnów i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to odgłos bicia mojego serca.

Im dłużej tańczyła Saraswati, tym bardziej kręciło mi się w głowie, więc być może tylko mi się zdawało, że nagle zaczęła mnie okrążać, podchodziła coraz bliżej, aż w końcu poczułam na karku muśnięcie jedwabiu. Potem dziewczyna owinęła chustkę wokół mojej szyi, jakby to była delikatna pieśczoła, a mnie się zdawało, że jej twarz stała się niewypowiedzianie brzydka, chustka zaś zaczęła się coraz mocniej zaciskać na moim gardle. W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się postać mojego zmarłego męża. Franz zbliżał się do mnie - choć teraz myślę, że była to jedynie wizja, zwykła ułudą. Światło padało na mężczyznę od tyłu, nie widziałam więc jego twarzy, ale kształt ramion, sposób poruszania, srebrne włosy - gotowa byłam przysiąc, że to Franz... Kiedy mnie dotknął, nadal nie widziałam jego rysów, ale palce na mojej szyi zdawały się zimne jak lód.

Dalej już niczego nie pamiętam. Wiem tylko, że się obudziłam w pałacu, w swojej komnacie. Kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam Saraswati przyglądającą mi się z przestrachem. Wiem, że wcześniej coś śniłam, i nie byłam już w stanie zdecydować, co było snem, a co wspomnieniem.

Poprosiłam, żeby mnie zostawiła samą, bo nie mogłam się uwolnić od przeświadczenia, że Saraswati ma nieczyste zamiary. W jakiś czas później wyszłam do pałacowego ogrodu, by zaczerpnąć powietrza, i wówczas spotkałam Gowindę. Siedział w letnim pawilonie, jakby wiedział, że się tam zjawię, i z lękiem zauważyłam, że u jego stóp leży tygrys maharadży. Gowinda tymczasem gładził błyszczące futro zwierzęcia, jak gdyby gładził zwykłego kota w zaciszu bawialni.

Ponieważ cały czas mi się wydawało, że wszystko wokół spowija lekka mgła, więc zapytałam Gowindę, co wstąpiło w Saraswati - czego normalnie zapewne bym nie zrobiła. Gowinda westchnął głęboko i powiedział jedynie, że zadziałały moce, których nie krępują prawa naszego świata. Dodał, że ludzie zamordowani w Londynie padli ofiarą tej samej niszczycielskiej energii. Nie interesowało go, w jaki sposób doszło do tych zabójstw ani kto je w końcu popełnił. Powiedział, że ci, którzy w owych niezwykłych okolicznościach postradali życie, byli o władnięci żądzą

posiadania, i to ona doprowadziła ich do zguby. Zapytałam wówczas, czego tak bardzo pożąдали. Nie usłyszałam odpowiedzi, ale myślę, że chodziło o ów niezwyklej klejnot z diamentami.

Zdumiały mnie i zaniepokoiły te wszystkie wydarzenia, a na dodatek - powróciłam ze świątyni bez swojego talizmanu. Nie umiem powiedzieć, co się z nim stało, podejrzewam jednak, że złoto łańcucha i medalionu musiało przyciągnąć uwagę jakiegoś zręcznego złodzieja, a w stanie słabości nie spostrzegłam, kiedy klejnot zniknął z mojej szyi. Czuję się bez niego trochę zagubiona, coraz częściej jednak myślę, że może byłam do niego zbyt przywiązana i los mnie zmusił, bym teraz już radziła sobie sama. Widzisz, Barbaro, jaki wpływ ma na mnie fatalizm tego kraju! Kiedy zapytałam Saraswati, czy wie, gdzie może się znajdować mój medalion, pokręciła głową, ale oczy jej błysnęły i umknęły w bok, jak zawsze, gdy jest nieszczera lub zdjęta strachem. W ostatnich dniach mojego pobytu w pałacu już nie miałam okazji się z nią zobaczyć. Powiedziano mi jedynie, że jest niedysponowana.

Ostatnie przejścia sprawiły, że z przyjemnością wracam do domu. Kiedy dotrę do Bombaju, wyślę ten list przez Istambuł, żebyś go dostała, Barbaro, jeszcze przed moim powrotem do Londynu.

Z wyrazami najszczerzej przyjaźni -

Lily

Kiedy Susana skończyła czytać ostatni list od Lily do Barbary Bodichon, uświadomiła sobie, że Miranda też jest w tej chwili w drodze do Londynu. Z żalem ją pożegnała, ale wymieniły się numerami telefonów i Susana postanowiła, że podtrzyma tę znajomość. Podejrzewała, że sama będzie musiała o to zadbać, biorąc pod uwagę fakt, że całe życie Mirandy obracało się wokół pracy. Ale rzadko się zdarzało Susanie spotkać osobę, z którą od razu czuła bliską więź - kogoś, kto równie wysoko jak ona cenił niezależność i uparcie dążył do wytyczonego celu. Ubiegłego wieczoru była szczególnie zadowolona, że ma u boku kobietę tak silnego charakteru jak Miranda, bo z jakiegoś powodu przy Louisie czuła się nieswojo. Po paru godzinach i kolejnych butelkach szampana Louis zaczął ją wypytывать o pracę - opowiedziała mu więc o Lily i wyraziła nadzieję, że w Benaresie zachowało się więcej jej pism. Przy tym przez cały czas zdawało się Susanie, że Louis za wszelką cenę chce odkryć coś, o czym ona sama nie ma pojęcia. Zastanawiała się, czy przypadkiem

nie sprowokowała takiego zachowania Louisa, gdy się zainteresowała nawaratną z diamentów, której wykonanie - jak głosiła legenda - maharadza Benaresu próbował zlecić miejscowym jubilerom.

Z listów Lily do Barbary Bodichon, które Susana przeczytała jeszcze w Londynie, wynikało, że bogata członkini londyńskiej socjety, niejaka lady Cyntia Herbert, przez jakiś czas posiadała klejnot zdobiony dziewięcioma brylantami. O ile Susana zdołała się zorientować, był on własnością maharadży Benaresu i miał z powrotem trafić do jego rąk. W kolejnych listach Lily nie wracała do tego tematu i następna wzmianka o owej niezwyklej sztuce biżuterii pojawiła się dopiero w relacji rozmowy z Gowindą na pokładzie statku płynącego do Bombaju. Był to jednak irtujaco krótki ustęp, mogący sugerować, że przed wyprawą do Indii klejnot zaginął w tajemniczych okolicznościach. Wiadomo również, że Lily przypadkiem usłyszała, jak pewnej nocy Saraswati i Gowinda klócili się z powodu diamentu. Diamentu należącego do dziewczyny?

Nadszedł wreszcie czas, żeby Susana dotrzywała danego Mirandzie słowa i sprawdziła, czy mężczyzna zwany przez nie „panem X” był w istocie potomkiem władców Benaresu i czy urzędował lub wręcz mieszkał w białej rezydencji, stojącej w obrębie pałacowych murów. Zanim Miranda wyruszyła do Londynu, zdradziła Susanie, że pan X najprawdopodobniej nazywa się Rawi. W każdym razie takie właśnie nazwisko wymknęło się agentowi tajemniczego klienta, gdy Mirandzie w końcu się udało z nim skontaktować - zaledwie na godzinę przed odjazdem pociągu do Bombaju.

Susana nie wiedziała, czego się spodziewać po wyprawie do pałacu - prawdę mówiąc, nie wierzyła, by ślady pobytu Lily w Benaresie mogły się tam jeszcze zachować. Ale przynajmniej miała świadomość czekających ją wrażeń, gdy mała trójkołowa riksza wjechała na wąski pływający most, prowadzący na drugą stronę Gangesu, bo Miranda ze szczegółami opisała jej własną przeprawę. W trakcie tej eskapady Susana czuła się trochę słabo, lecz nie wynikało to jedynie z lęku, że lada moment, za sprawą jakiejś przegniłej deski, riksza może wylądować w wodach rzeki, ale także - a może przede wszystkim - z niepewnego losu jej przedsięwzięcia.

Kiedy już szczęśliwie się znalazła na twardym, gruncie, szybko przebiegła w myślach swój plan. Jeżeli uda jej się spotkać z Rawim i jeżeli się okaże, iż w jego posiadaniu znajdują się jednak pisma, które wyszły

spod pióra Lily, Susana położy nacisk na fakt, że podobne dokumenty mogą mieć znaczną wartość dla brytyjskiej kultury i niektórych instytucji historycznych, nie będzie natomiast eksponować osobistego zainteresowania sprawą ze względu na niechęć tego człowieka do ludzi pióra. Na podstawie opowieści Mirandy o kontaktach z agentem Rawiego i przyczynach niepowodzenia negocjacji, Susana założyła, że spotka się z wyrachowanym spekulantem, który zgodzi się rozstać z dokumentami pod warunkiem, że zdoła na tym nieźle zarobić. Miranda była bardzo zawiedziona, a nawet wręcz rozżalona, że potencjalny klient w istocie żądał od niej złamania prawa.

Susana rzuciła wówczas uwagę, że w Indiach wystarczy wręczyć odpowiednią łapówkę celnikom, by załatwić sprawę, ponieważ w tym kraju nikt nie żywi takiego respektu dla przepisów i nie obawia się konsekwencji ich łamania, jak w zachodniej Europie.

Riksza zatrzymała się przy bramach pałacu. Susana wzięła głęboki oddech, by uspokoić nerwy, i zaczęła wodzić wzrokiem po wieżyczkach zdobiących bramy. Próbowwała sobie wyobrazić wygląd pałacu za czasów, gdy niewyobrażalne bogactwo indyjskich książąt chroniło świetność artystycznie zdobionych blanków. Jak w wypadku każdej imperialnej architektury, fortyfikacje - nawet teraz, gdy się chyliły ku ruinie - imponowały wielkością i potęgą. Zaprojektowano je tak, by nieustannie przypominały wieśniakom, że maharadża jest ziemskim reprezentantem bogów.

Susana stanęła pośrodku rozległego dziedzińca i rozejrzała się uważnie dookoła w nadziei, że dozna jakichś szczególnych uczuć, wychwyci echo dawno minionych dni. Ale nie poczuła nic poza niemiłosiernie prążącymi promieniami słońca, wychwyciła zaś jedynie wzrok strażnika, ślizgający się po jej sylwetce. Tereny pałacowe zdawały się wyludnione, a nieopodal stał biały budynek - dokładnie taki, jak opisała Miranda. Muzeum było jeszcze otwarte, by więc zyskać chwilę czasu na uspokojenie nerwów, Susana się zdecydowała je obejrzeć. Trasa zwiedzania rozpoczynała się od powozowni, gdzie stały rydwany z hebanu, palankiny z kości słoniowej i kilka modeli rolls royce'ów rozmaitych roczników, za które kolekcjonerzy gotowi byłiby zapłacić ogromne pieniądze. Następnie Susana znalazła się w przepastnych, pełnych kurzu komnatach o zawilgoconych ścianach, z których miejscami odpadał tynk. Wisiały tam nadgryzione przez mole tkaniny i stały witryny z eklektyczną zbieraniną

brytyjskiej i azjatyckiej ceramiki oraz wyrobami z kryształu. Wokół unosiła się senna atmosfera powolnego rozkładu, której nie poprawiała obecność znużonych strażników, proponujących ściszonymi głosami, że za drobną opłatą udzielą informacji o zgromadzonych eksponatach.

Susana przechodziła z wolna od komnaty do komnaty i zastanawiała się, jak pałac musiał wyglądać wtedy, gdy gościła tu Lily. To, co się znajdowało teraz we wnętrzach, praktycznie nie nadawało się do wystawienia na widok publiczny, a już z pewnością nie pobudzało wyobraźni. Najprawdopodobniej dawne skarby maharadży zostały sprzedane na aukcjach lub - w razie konieczności - na czarnym rynku. Po obejrzeniu ostatniej sali, która zawierała pokaźną kolekcję broni palnej, pozamykanej w gablotach wbudowanych w ścianę, Susana odetchnęła głęboko i przeszła na drugą stronę dziedzińca.

Drzwi białej rezydencji otworzył jej mężczyzna w przekrzywionym turbanie, o intensywnie czerwonych ustach. Jeżeli się zdziwił, widząc na progu chudą białą kobietę - nie dał tego po sobie poznać. Jego nabiegłe krwιά oczy sugerowały, że nie tylko żuł betel, ale na dodatek palił marihuanę.

- Jestem umówiona z panem Rawi - rzuciła śmiało.

Mężczyzna przyglądał się jej przez długą, bardzo długą chwilę, w końcu jednak usunął się na bok i zaprowadził ją do pokoju tak zapchanego antykami, że nie było w nim wiele miejsca, by wygodnie stanąć - po czym zniknął.

Oniemiała Susana zaczęła z trwożnym podziwem rozglądać się po pokoju.

To tutaj były zgromadzone skarby, które powinny się znajdować w muzeum. Trzy ściany niemal w całości pokrywały gęsto haftowane tapiserie - na wielu z nich widniały maleńkie perły i połyskiwało złoto. Na jedynej ścianie, niezawieszanej tkaninami, widniała kolekcja błyszczących, wysadzanych drogocennymi kamieniami pochew szabel, które się roziskrzyły, gdy przez szczelinę w zasłonach padł na nie promień słońca. Wszędzie wokół stały meble zdobione mozaikami z półszlachetnych kamieni, intarsjowane macicą perłową i kością słoniową, a także inkrustowane srebrem układającym się w koronkowe, zawile wzory. Na podłodze stały posągi rozmaitych bóstw - odlane ze złota lub wyrzeźbione z jadeitu.

Susana postąpiła o krok do przodu - bo tylko tyle miała przed sobą wolnego miejsca - by się przyjrzeć umieszczonej w szklanej gablocie królewskiej tunice, tak gęsto haftowanej grubą złotą nicią i naszywanej klejnotami, że aż trudno uwierzyć, by ktoś mógł się poruszać w takim stroju.

- To dar dla jednego z moich przodków od Wielkiego Mogoła Aurangzeba\*.

\* Cesarz Mogołów w latach 1658-1707, w odróżnieniu od poprzedników ortodoksyjny muzułmanin. Od końca jego panowania datuje się zmierzch świetności mogolskiego imperium (przyp. tłum.).

Susana obróciła się gwałtownie na pięcie. Mężczyzna stojący w drzwiach miał na sobie niezobowiązujący europejski strój, a jego sposób bycia i wymowa jasno świadczyły, że chodził do prywatnych szkół w Anglii - co zresztą było bardzo powszechne wśród indyjskiej arystokracji.

- Przepiękna szata.

- Przepraszam, że panią zaskoczyłem. - Wszedł do komnaty i wyciągnął do Susany rękę. - Jestem Rawi.

- Susana Harris.

- A więc pracuje pani dla domu aukcyjnego?

- Nie.

Rawi uniósł w zdziwieniu brew. Był nieprawdopodobnie przystojny, a Susana z zasady nie ufała mężczyznom, których natura obdarzyła urodą dającą im w punkcie startu przewagę nad innymi. Do tego wszystkiego Rawi miał wprost urzekające oczy - duże, podłużne, ciemnobursztynowe w kolorze, ocienione gęstymi czarnymi rzęsami.

Żeby gospodarz przypadkiem nie zdążył jej zapytać, czemu wdarła się tutaj podstępem, Susana natychmiast rozpoczęła swoją przemowę.

- Gromadzę materiały do książki i powiedziano mi, że pan może coś wiedzieć o przedmiocie moich badań. Chodzi o kobietę - niejaką Lily Korechnya, która przebywała tutaj w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. O ile mi wiadomo, była gościem ówczesnego maharadzy Benaresu.

- A więc nie pracuje pani dla Hanovers? Mój służący... och, nieważne.

- Nie. - Susana doszła do wniosku, że lepiej nie komplikować sprawy i nie powoływać się na znajomość z Mirandą. Jeżeli służący powiedział swojemu panu, że przyszła kobieta z domu aukcyjnego, to



rzeczywiście musiał być porządnie naćpany. Miranda była o czterdzieści centymetrów niższa od Susany i w dodatku miała rude włosy. Choć niezwykłe, że dla owego Hindusa wszystkie białe kobiety wyglądały jednakowo.

Rawi pokręcił głową.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. W dziewiętnastym wieku do Benaresu przyjeżdżały tysiące Brytyjczyków, a maharadża podejmował w pałacu bardzo wielu gości. Czy owa kobieta to żona któregoś z arystokratów?

- Nie. Była pisarką i wdową. Mam kopie jej listów, które pisała w Benaresie, i na tej podstawie sędzę, że maharadża kupił kilka obrazów, namalowanych przez jej zmarłego męża. Nazywał się Franz Korechnya.

Twarz Rawiego drgnęła.

- Wszystkie obrazy wystawiłem na aukcję. Bardzo możliwe, że były wśród nich płótna Franza Korechnya - to nazwisko nie jest mi obce. Nabył je w zeszłym roku dom Hanovers, o czym nie omieszkała donieść prasa. - W jego głosie pojawiła się nuta goryczy.

Sara od razu przypominała sobie, co usłyszała od pewnego profesora z Uniwersytetu Benareskiego. Jeżeli znacząca hinduska rodzina jest zmuszona wyprzedawać majątek, okrywa się niesławą i traci twarz. Rawi wyraźnie nie miał ochoty po raz kolejny stać się obiektem zainteresowania mediów.

- Sędzę, że Lily Korechnya w znacznym stopniu się przyczyniła do ocalenia starej świątyni Kali w pobliżu dzielnicy jubilerów...

- A więc jest pani pisarką - nie dziennikarką?

Przynajmniej patrzył na nią już mniej podejrzliwie.

- Jestem wykładowcą na Uniwersytecie Oksfordzkim, zajmuję się epoką wiktoriańską. Chętnie uwiarygodnię swoją tożsamość, mam ze sobą list od mojego wydawcy...

- To nie będzie konieczne - zdecydował Rawi. Usiadł i znużonym gestem zapalił papierosa. Jak do tej pory nic w jego zachowaniu nie świadczyło, że jest aroganckim i wyrachowanym biznesmenem, za jakiego go uważała.

- W moim biurze na pierwszym piętrze jest cała szafa pełna dokumentów. Zamierzałem je przejrzeć - sprawdzić, czy jest tam coś ważnego bądź interesującego...

Susana modliła się w duchu, by Rawi powiedział to, co najbardziej chciała usłyszeć, ale jednocześnie przygotowywała się psychicznie na porażkę. Jego milczenie się przedłużało.

- Niewykluczone, że te dokumenty mogłyby mieć w Anglii sporą wartość materialną... - Postanowiła zagrać swoją atutową kartą.

Rawi skrzywił się nieznacznie, wyraźnie zniesmaczony.

- Nie zamierzam sprzedawać każdej cennej rzeczy, znajdującej się w moim posiadaniu, panno Harris (a więc zauważył, że Susana nie ma obrączki), lecz jedynie to, co jest zbędną nadwyżką. Nie tytułuję się księciem, nie muszę się otaczać skarbami, by mieć poczucie własnej wartości. - Szerokim gestem wskazał na pałacowe zabudowania i dziedziniec. - To jest obiekt, który nie zarabia na siebie. Jak pani widzi, wszystko tu wymaga renowacji, i jeżeli nie rozpocznie się ona w ciągu najbliższych paru lat, substancji nie uda się już uratować.

Susana skinęła głową. Jeszcze nie zdecydowała, czy to możliwe, żeby Rawi był bogatym, wpływowym, niebywale przystojnym, a do tego wszystkiego jeszcze przyzwoitym człowiekiem, niemniej trudno było mu nie współczuć. Nic dziwnego, że chciał, by Miranda zabrała całą kolekcję - nie tylko kamienie, ale i biżuterię.

Rawi przymknął nieznacznie jedno oko i szacował Susanę wzrokiem, ale nie miało to nic wspólnego z taksującymi spojrzeniami jego krajanów. Stanowił idealny produkt angielskiego szkolnictwa prywatnego i którejś z najbardziej renomowanych uczelni - jego maniery były nienaganne.

- Do tej szafy nikt nie zaglądał od wielu lat. Obawiam się, że wiele złożonych tam dokumentów zniszczyła wilgoć monsunów, część zapewne padła łupem małych gryzoni. Na cud zakrawałoby znalezienie czegoś w jednym kawałku i do tego dającego się odcyfrować.

Susana starała się zapanować nad mimiką, ale napięcie ściągało jej rysy.

- Myślę, że mogłaby tam pani zajrzeć - powiedział w końcu. - Ale musi to pani zrobić jeszcze tego popołudnia, ponieważ jutro rano wyjeżdżam. Wkrótce zacznie się pora deszczowa, muzeum zostanie zamknięte na początku przyszłego tygodnia.

Susana miała ochotę roześmiać się na całe gardło.

- Bardzo, bardzo panu dziękuję!

Rawi wzruszył ramionami.

- Wątpię, czy znajdzie tam pani coś interesującego, ale proszę spróbować. Pani cele są szczytne. Proszę mi powiedzieć, dlaczego zdecydowała się pani napisać właśnie o tej kobiecie?

Susana nieznacznie się zawahała.

- Powiedziałabym, że z pobudek sentymentalnych. Lily kierowała się głosem serca. Takich ludzi z reguły się pamięta bywają inspiracją dla wielu pokoleń.

Rawi słuchał jej z uwagą, po czym skinął głową.

- Chciałbym, żeby to samo można było powiedzieć o spuściźnie moich przodków.

Susana rozejrzała się po skarbach zgromadzonych w tym pokoju i spojrzenie jego bursztynowych oczu powędrowało za jej wzrokiem.

- Wszystko to zostało przeniesione z muzeum, bo zaczęło ginąć zbyt wiele cennych eksponatów. Kiedy uda mi się odrestaurować budynki i zainstalować odpowiednie systemy zabezpieczające, te przedmioty powrócą do pałacu.

- Przed panem wielkie wyzwanie - powiedziała współczującym głosem.

- Rzeczywiście - rzekł z westchnieniem Rawi. - A teraz proszę ze mną, pokażę pani tę szafę.

- Dokąd się pan wybiera? - spytała, idąc za nim na górę po szerokich, wypolerowanych schodach.

- Mam coś do załatwienia w Szwajcarii.

Pozostałe pomieszczenia w rezydencji były skąpo umeblowane, a gdy szli holem pierwszego piętra, minęli otwarty pokój, który najprawdopodobniej był sypialnią Rawiego. Stało tam jedynie łóżko z bogato intarsjowanym zagłówkiem i długi stojak na ubrania. Na podłodze leżała otwarta walizka. Z pewnością ktoś, kto zajmował to pomieszczenie, nie spędzał w nim zbyt wiele czasu.

Biuro natomiast przedstawiało zupełnie inny widok i Susana nie miała wątpliwości, że to właśnie tutaj najczęściej przesiadywał Rawi. Na zarzuconym papierami biurku stał laptop, a na podłodze - kartony pełne dokumentów. Szafa, o której wspominał, zajmowała pół ściany, sięgała niemal do sufitu i miała jakieś półtora metra głębokości. Kiedy jej ciężkie, bogato rzeźbione drzwi otworzyły się ze skrzypem, Susana poczuła, jak zamiera w niej serce. Nie ma mowy, żeby przejrzała całą zawartość w tydzień, a co dopiero mówić o jednym popołudniu. Ale chwilę później

zauważyła, że każda półka jest oznaczona naklejką z wypisaną na maszynie datą. Naklejki były pożółkłe i kruche, ale nadal czytelne.

- W latach siedemdziesiątych doprowadzono te dokumenty do takiego takiego ładu. Wówczas hinduskie rody książęce straciły dochody ze swoich dóbr i zostały objęte podatkami - wyjaśnił Rawi, po czym życzył jej powodzenia, a sam zniknął w innej części domu.

Na półce datowanej 1860-1890 stały rzędy kartonowych pudeł, z których jedno było opisane, inne - nie. Miranda zdjęła karton z napisem „Korespondencja”. Znajdowała się w nim masa dokumentów w sanskrycie i urdu, umowy prawne, spisane formalną, staroświecką angielszczyzną, fatalną pod względem gramatycznym. Była tam również dość nudna korespondencja, adresowana do maharadży, a dotycząca zakupu słoni. Kiedy Susana zdejmowała czwarty karton z półki, ujrzała za nim coś zdumiewającego.

Usiadła na podłodze i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w okrągłe pudło na kapelusze, obciążone wystrzępionym ciemnoniebieskim jedwabiem. Niewątpliwie należało swego czasu do Angielki żyjącej w epoce wiktoriańskiej, nie było na nim jednak imienia ani żadnego innego znaku. Susana poczuła przyływ adrenaliny, wahała się przez chwilę, wstrzymała oddech i uniosła wieko.

## X

Dopiero gdy się uwolnisz od wszystkich tęsknot i pożądań, wyrzekniesz jakichkolwiek wyobrażeń o sobie i wszelkiego posiadania - wejdiesz na ścieżkę wiodącą ku spokojowi ducha.

Bhagawadgita

**K**iedy w sobotni wieczór samolot podchodził do lądowania nad Heathrow, Miranda miała za sobą niemal dwadzieścia godzin bezsennej podróży. Pomimo przestronności i komfortu pierwszej klasy w samolocie nie zmrzyła oka.

Ostatnią noc w Indiach spędziła w hotelu położonym w pobliżu lotniska Mumbai, ponieważ samolot do Londynu startował wczesnym

rankiem. Miała nieprzyjemne wrażenie, że w dwunastopiętrowym budynku hotelowym jest jedynym gościem - może dlatego, że prośbę o dostarczenie szamponu osobiście spełnił dyrektor hotelu, a może z powodu boja hotelowego, który po przyniesieniu herbaty tak długo chciał ćwiczyć swoją angielszczyznę, że w końcu musiała go wyprosić.

Nazajutrz o świcie, gdy w lotniskowej kafeterii popijała ohydny kawę, siedzący obok niej młody Hindus, niezrażony wojowniczą miną Mirandy, bacznie zlustrował ją wzrokiem, po czym zagadnął:

- Dzień dobry. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak długo nosi ten klejnot? - Spoglądał na jej pierścionek z ametystem, który dostała w prezencie od matki.

- A dlaczego?

- To zły kamień.

- Nie wydaje mi się, żeby coś było z nim nie w porządku.

- Fioletowe kamienie przyciągają złą energię. Nigdy nie spotka pani Hindusa, który miałby na sobie klejnot w takim kolorze.

Okazało się, że ten młody człowiek studiował nauki ścisłe. Po chwili rozmowy wydał się Mirandzie miły w obejściu i - pomijając przesady związane z kamieniami szlachetnymi - racjonalny, a nawet nieco konserwatywny. Poinformował ją też, że jeżeli odpowiednio dobrane kamienie nosi się na określonych palcach, klejnoty mogą wywierać korzystny wpływ na zdrowie i życie miłosne oraz przynieść bogactwo.

- A jakie właściwości mają diamenty? - spytała Miranda.

- Leczą z choroby psychicznej i impotencji - odparł z powagą.

Teraz samolot powoli schodził do lądowania i Miranda szybko wychyliła do końca koniak, żeby nie sprzątnęła go jej sprzed nosa blondwłosa stewardesa. Wkrótce po starcie się okazało, że wszystkie stewardesy w tym samolocie są blondynkami, i już po trzecim koniaku Miranda postanowiła, że też drastycznie rozjaśni włosy, w końcu jednak do niej dotarło, że i bez blondu na głowie musi się nieźle napracować, żeby udowodnić „chłopcom” swoje zawodowe kompetencje.

Za oknem, poniżej linii gładkiego, srebrnego skrzydła, światła Londynu migwały wzdłuż ciemnych, wijących się wód Tamizy. Miranda przymknęła oczy i próbowała myśleć o wszystkim, byle nie o tym, że jutro musi iść do pracy i stanąć oko w oko z Kennethem. Powtarzała sobie w duchu, że jest więcej niż kompetentna. Ostatecznie nabywała już całe kolekcje od potentatów żeglugowych i bankierów, a także bajecznie bogatych matron, które sukcesywnie wyprzedawały biżuterię i kamienie,

przeszmuglowane w latach czterdziestych z Europy Wschodniej. Ponadto wносиła kobiecą wrażliwość i empatię do tej pracy (coś, czego Roger nigdy by nie pojął). Doskonale rozumiała przywiązanie niektórych klientów do swoich kolekcji - ostatecznie sama też była kolekcjonerką. Biżuteria miała większą sentymentalną wartość dla ludzi niż inne antyki, prawdopodobnie dlatego, że zazwyczaj nosił ją ktoś bliski. Wiele z klejnotów, które szły na aukcję, znajdowało się w posiadaniu jednej rodziny od pokoleń lub było prezentami czy szczególnymi nabytkami z lat młodości, gdy styl życia i moda pozwalały na częste noszenie na przykład tiary. Czasami do Hanovers trafiała biżuteria tak kiczowata, że Miranda z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Ale i na takie okazy istniał rynek, pod warunkiem, że zdobiły je kamienie pierwszej klasy i firmował Cartier lub Tiffany. Większość najlepszych kolekcji, przynajmniej w Europie, krążyła pomiędzy dealerami od tak dawna, że już trudno było znaleźć klejnoty, które nie przeszły przez większość znanych domów aukcyjnych i ich filii.

W poniedziałkowy ranek, gdy Miranda się znalazła w metrze, od razu zaczęła żałować, że się zgodziła stawić tego dnia w pracy. Czasami zachowywała się zbyt ulegle, miała tego świadomość, tym bardziej że Kenneth był oportunistą, więc chętnie ją wykorzystywał, jeżeli tylko dała mu ku temu okazję. Ale za ten stan rzeczy mogła mieć pretensje tylko do samej siebie, stwierdziła w duchu i ziewnęła. Ziewała w zasadzie większość pasażerów. Miranda doszła do wniosku, że w wagonie po prostu nie ma dość tlenu, by ich pobudzić do życia. Londyński transport publiczny borykał się z tym samym problemem, co indyjska kolej - w mieście żyło za dużo ludzi. Miranda przypomniała sobie przepowiednię Susany, że nim minie tydzień, zapragnie znowu się znaleźć w Benaresie. Jeszcze, co prawda, nie zatęskniła za chaosem Dasaswamedh Ghat Road, ale wciąż nie mogła przestać myśleć o Indiach.

Na stacji Bond Street wagon opustoszał i fala pasażerów pociągnęła ze sobą Mirandę ku powierzchni ziemi. Tłum pracujących w City sunął w jedną stronę niczym armia mrówek - maszerowali posłusznie podziemnymi korytarzami, a potem w górę po stopniach lub ruchomymi schodami, by przez cały dzień się zajmować mrówczą pracą, a wieczorem znowu wrócić do tuneli...

Miranda potrząsnęła z niedowierzaniem głową. To zapewne wyczerpanie podróżą skłaniało ją do podobnych myśli, do obserwacji tego, co się dzieje wokół, jakby była przybyszem z innej planety.

Ale na pewno wszystko wróci do normy, jak tylko napije się cappuccino.

Gdy tylko wkroczyła do budynku Hanovers, natychmiast zaktywowała się profesjonalna strona jej osobowości i wyparła wszelkie myśli o mrówkach. Miranda uśmiechnęła się promiennie do recepcjonistki, a potem do Stephena, zdecydowana za wszelką cenę zachować swoją charakterystyczną pogodę ducha, pomimo zmęczenia i lęku, który ją ogarniał na myśl o spotkaniu z Kennethem.

Stephen był elegancki jak zwykle - tego ranka do czarnego garnituru włożył szkarłatną koszulę i ciemnopomarańczowy krawat.

- Dzień dobry, moja piękna. Dowiedziałem się od Gilesa, że nie powiodło ci się w Benaresie. Bardzo mi przykro z tego powodu. W zeszłym roku przeprowadzałem pewne transakcje z tym samym agentem - sprzedaliśmy kilka dziewiętnastowiecznych płócien, należących do jego klienta. Parę z nich mamy chyba jeszcze w magazynie. A jeden wisi nawet w sali wystawowej - to obraz pewnego mało znanego żydowskiego malarza, z lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Chciałabyś zobaczyć? Jest dość intrygujący.

Miranda ruszyła za Stephenem. Kenneth zapewne niecierpliwie jej oczekuje, ale postanowiła go trochę przetrzymać. Stephen tymczasem zatrzymał się przed dużym obrazem w bogatych, pozłacanych ramach. Przedstawiał on kobietę o skórze równie jasnej jak lilie, które splecione w wianek spoczywały na jej kruczoczarnych włosach. Tło odznaczało się bogactwem wysyconych barw, szczegóły zaś - starannością linii, mimo to jednak w obrazie było coś eterycznego. Na główną postać nie wiadomo skąd padało tajemnicze światło, a wianek miał błękitnąwą przejrzystość i wyglądał niemal jak aureola. Suknia kobiety - także biała - zdawała się utkana z pajęczej nici i połyskiwała maleńkimi klejnotami.

Miranda podeszła bliżej i przyjrzała się jeszcze uważniej detalom.

- Dlaczego uważasz, że jest intrygujący?

- Spójrz, skarbie, na jej oczy - na sposób, w jaki patrzy na malarza. Ta dama nie jest jedynie modelką.

- Czyż oni wszyscy nie sypiali ze swoimi modelkami?

- Prerafaelici cieszyli się taką reputacją, chociaż zapewne nie podchodzili do sprawy tak romantycznie, jak nam się dziś wydaje. Ten obraz jest z tego samego okresu, ale to praca malarza podążającego za nurtem estetyzmu. Kobiety na płótnach prerafaelitów są w przytłaczającej

większości omdlewająco bierne - a tego nie można powiedzieć o tej modelce. Uznałbym raczej, że ona jest zakochana i wcale tego nie kryje. Obraz nosi tytuł „Wenus z Waterloo”.

Miranda przyjrzała się jeszcze raz kobiecie. Rzeczywiście na jej ustach czaił się enigmatyczny, zmysłowy uśmiech, a spojrzenie spod wólpzrymkniętych powiek było bez wątpienia kusicielskie.

- Kto go namalował?
- Franz Korechnya. Większość jego obrazów sprzedaliśmy na poprzedniej aukcji, został nam tylko ten jeden, o ile się nie mylę.
- Korechnya! Niesamowite.
- Niesamowite? Dlaczego?
- Och, nic ważnego. Muszę lecieć, Stephen. Zostałam wezwana na dywanik do pryncypała.
- Oooo! Czyżbyś była bardzo niegrzeczną dziewczynką?
- Nie, ale nad tym pracuję.

Portret kobiety z liliami we włosach przypomniał jej o medalionie żalobnym, też zdobionym wiankiem z lilii. Fakt, że nie udało jej się go zdobyć, był dla niej niemal takim samym źródłem rozczarowania, jak fiasko negocjacji w sprawie brylantów. Rzadko się zdarzało, by jakakolwiek sztuka żalobnej biżuterii wywarła na niej równie wielkie wrażenie. Ostatnia rozmowa z panem Waidją gnębiła ją przez cały lot do kraju, a właściwie zaczęła gnębić po drugim koniaku. Kiedy w imieniu pana Rawi agent stanowczo się sprzeciwił rozdzieleniu kolekcji, pod wpływem impulsu spytała, czy nie mogłaby prywatnie nabyć wisiora z epoki wiktoriańskiej, bo - jak wyjaśniła - kolekcjonuje tego typu biżuterię. Waidja obiecał, że skontaktuje się z nią w tej sprawie, ale tego nie zrobił, więc zapewne nawet nie rozmawiał z panem Rawim na temat medalionu.

Charlotte jak zwykle wisiała na telefonie, brzęczała też jej druga linia, ale nigdzie w zasięgu wzroku nie było nowej sekretarki. Charlotte spojrzała na Mirandę i wskazując na gabinet Kennetha, wykonała ręką gest sugerujący przekrzywioną muszkę. Kiedy Miranda stanęła przed Kennethem, jego muszka była przekrzywiona jedynie w metaforycznym sensie, bo wizualnie nie odbiegała od poziomu. Powitał ją z uśmiechem, miał bowiem czas, by się oswoić z myślą o porażce, ponieważ Miranda jeszcze z Benaresu wysłała mu maila w tej sprawie. Okazało się, że pod jej nieobecność dział jubilerski przez jeden dzień był w stanie kryzysu wywołanego niekompetencją nowej sekretarki, którą Charlotte wylała



w piątek. Co gorsza, dealer z Antwerpii zażądał zwrotu kolekcji idealnie dobranych pod względem wielkości, barwy i przejrzystości, wysokokaratowych błękitnych brylantów, mimo że już zostały sprzedane na aukcji. W rezultacie saudyjski klient nie mógł odebrać kamieni, które - w formie naszyjnika - miały być prezentem ślubnym dla jego córki. Brylanty kosztowały półtora miliona funtów i gdy uzbrojony konwojent nie dostarczył ich o oznaczonej godzinie do rezydencji przy Hyde Park, ojciec panny młodej przysłał do Hanovers dwóch umięśnionych Arabów w arafatkach i garniturach od Armaniego, by na miejscu zbadali sprawę.

Na domiar złego Kenneth właśnie się dowiedział, że aukcja planowana na lipiec musi zostać przesunięta o miesiąc do przodu. Centralna sala aukcyjna, największa i najelegantsza w budynku, została zabukowana w tym samym czasie przez dwa różne działy, a sztuki piękne zarezerwowaly termin pierwsze.

Kenneth był - o ile to w ogóle możliwe - jeszcze większym perfekcjonistą niż Miranda, miał też określoną wizję. Postanowił przebić świetnością aukcje diamentów ostatnio organizowane przez domy Sotheby's i Christie's, a tymczasem katalog wciąż straszył pustkami.

- Cała ta sytuacja oznacza, że musimy zwiększyć wysiłki, by pozyskać kamienie - oznajmił, gdy już zdał relację ze wszystkich nieszczęść, które pod nieobecność Mirandy spadły na dział jubilerski.

- Chciałeś powiedzieć, że ja muszę je zwiększyć.

- Nie ty, ale my. Tworzymy jeden zespół, czyżbyś już o tym zapomniała?

Miranda wychwyciła w głosie Kennetha cień irytacji. Nerwowość jego narracji była dla niej oczywistym znakiem, że Kenneth jest bardziej zawiedziony niepowodzeniem jej misji, niż okazuje. Korciło ją, by wytłumaczyć, że to nie była jej wina - że gdyby Roger tam pojechał, również powróciłby z pustymi rękami.

- Tak, wiem, że tworzymy zespół. Przepraszam cię, Kenneth. Jestem równie jak ty rozczarowana obrotem sprawy. Ale znajdziemy jeszcze piękne diamenty na tę aukcję, obiecuję.

- Chcę niezwyklego, fantastycznego okazji, Mirando, albo kamienia o masie powyżej trzydziestu karatów. Coś w rodzaju tego stujeledenastokaratowego jasnobrazowego monstrum, które wyszło z nowojorskiej szli-fierni braci Baumgold, całkiem by mnie satysfakcjonowało!

Miranda wiedziała, że Kenneth nie do końca żartuje. Dla niego ta aukcja była sprawą prestiżową - zależało mu, by pokazać światu świetność i prosperity ich domu aukcyjnego. Zdawał sobie jednak sprawę, że praktycznie nie ma szans na zdobycie absolutnie wyjątkowego diamentu - oprawionego lub nieoprawionego, oszlifowanego lub surowego - który nigdy wcześniej nie znajdował się na rynku.

- Myślę, że rozsądek nakazuje, byś odrobinę spuścił z tonu, Kenneth. Za dwa tygodnie lecę do Nowego Jorku, zobaczę, co się dzieje w tamtejszych szlifierniach.

- Może lepiej by było, gdybyś poleciała w najbliższy weekend?

Miranda mogłaby podać mnóstwo powodów, dla których tak nie byłoby lepiej - od tygodni nie robiła prania, równie długo nie dzwoniła do rodziców, poza tym marzyła, żeby w sobotni wieczór posiedzieć w piżamie przed telewizorem. Normalnie z największą ochotą poleciałaby do Nowego Jorku, ale po Benaresie i Bombaju nad uroki Manhattanu przedkładała domowe kaptcie.

Kenneth tymczasem buszował po szufladzie, po czym zaczął obmacywać się po kieszeniach w poszukiwaniu cygara. W budynku Hanovers obowiązywał zakaz palenia, ale gabinet dyrektora działu jubilerskiego miał od owego zakazu dispensę.

- Mirando, moja droga, wyglądasz jak ryba, gdy tak otwierasz i zamykasz usta. Czy zamierzasz mi coś powiedzieć?

Pokręciła w milczeniu głową. Kenneth cenił jej profesjonalizm i Miranda chciała, by tak pozostało. A to oznaczało, że skoro zbiera jej się na płacz, powinna się natychmiast ewakuować z jego gabinetu.

Kiedy wróciła do biura, Charlotte nadal obsługiwała dwa telefony, a wokół biurek kręcił się Roger i uwodzicielskim głosem namawiał najbardziej asystentkę, by wystukała dla niego pismo na klawiaturze. Miranda skinęła mu chłodno głową na powitanie, a następnie oznajmiła tejże asystentce, że obie muszą natychmiast przeprowadzić inwentarz klejnotów, które już w stu procentach pozyskali na potrzeby aukcji. Nie chodziło tak naprawdę o pilną pracę, ale Mirandę zawsze niebywale drażnił Roger, który był równie nudny, jak nieznośnie arogancki - uważał, że szacunek należy się ludziom z racji urodzenia, a nie charakteru czy osiągnięć. Szybciej by umarł, niż potraktował Mirandę jak równorzędnego partnera, mimo że mieli takie same stanowiska, a także od niedawna - po interwencji Mirandy - identyczną pensję.

Roger jednak nie należał do ludzi, którzy łatwo dają za wygraną.

- Słówek, jeśli można, Mirando. Myślę, że powinniśmy omówić twój wyjazd do Indii - może uda nam się zidentyfikować problem, jasno określić, gdzie popełniłaś błąd, byś w przyszłości go już nie powtórzyła. O dowolnej porze, byle dzisiaj, jeśli łaska. Jutro lecę do Moskwy.

- Roger, już najwyższy czas, aby wreszcie do ciebie dotarło, że nie ma między nami stosunku podległości. W INDIACH NIE POPEŁNIŁAM NAJMNIEJSZEGO BŁĘDU. Po prostu nie zamierzałam ściągać łupu kosztem łamania prawa. Czy mam rozumieć, że TY byś się tego dopuścił?

Nie czekała na odpowiedź, tylko odwróciła się na pięcie i odeszła dumnym krokiem, a asystentka, chcąc nie chcąc, musiała za nią podążyć. Swoją przemowę Miranda wygłosiła mocno podniesionym głosem, więc usłyszało ją całe biuro, a Roger aż zaniemówił z wrażenia i przez chwilę stał z szeroko rozdziawionymi ustami. Jeszcze nigdy do tej pory nie potraktowała go tak obcesowo, ale wreszcie miara się przebrała. Napawał się jej niepowodzeniem i miał nadzieję, że dzięki temu w końcu uda mu się dowiedzieć, że kobiety w żadnym razie się nie nadają na stanowisko starszego specjalisty. Asystentka tymczasem odwróciła się przez ramię i posłała Rogerowi przepraszający uśmiech, dając mu do zrozumienia, że wystuka dla niego wszystko, o co ją poprosi. To dodatkowo zirytowało Mirandę.

Ale przynajmniej miała satysfakcję, że udało jej się go lekko upokorzyć.

Roger strzepnął palcami kłapy dwurzędowej granatowej marynarki, której złote guziki gryzły się z barwą jasnomusztardowego golfu, po czym wbił wzrok w białe mokasyny, by ukryć wściekłość.

- Nie lubisz go? - Wyraz twarzy ładniutkiej asystentki jasno wskazywał, że nie jest w stanie pojąć, jak można nie lubić Rogera.

- Uważam go za pompatycznego dupka i na twoim miejscu nie pozwalałabym sobie fundować tak wielu lunchów. Mnie też na nie zapraszał, gdy zaczęłam tu pracę, do czasu aż zagroziłam, że go oskarżę o molestowanie seksualne. Ale niech to zostanie między nami. A teraz przyjrzyjmy się, co mamy do katalogu.

Jeszcze przed lunchem Miranda się porozumiała z dealerem z Sydney, który jej obiecał sześć identycznych różowych diamentów z australijskiej kopalni Argyle. Zapewniał, że są „intensywnie różowej” barwy, a więc najbardziej kosztowne po diamentach czerwonych. Miały zaledwie po dwa karaty, ale z pewnością osiągną doskonałą cenę, skoro pojedynczy,

intensywnie różowy, trzykaratowy diament poszedł w zeszłym roku w Christie's za pół miliona.

W ciągu dnia rozmawiała również z dobrze jej znanymi hurtowymi dealerami z Antwerpii, a także z nowym agentem z Genewy, i wszystkim zapowiedziała, że szuka fantastycznych diamentów lub innych wyjątkowych okazów, więc gdyby na coś takiego natrafili, mogą dzwonić do niej na komórkę o każdej porze dnia i nocy. Pod koniec pracy poczuła się podniesiona na duchu i miała nawet dość tupetu, by wpaść do gabinetu Kennetha i oznajmić mu, że Nowy Jork będzie musiał tydzień poczekać. Kenneth zgodził się natychmiast, nie pytając nawet o przyczynę, a to oznaczało, że jego poranna irytacja była głównie wywołana kontaktem z ekszoną.

W sobotę rano Miranda wciąż się nie mogła uwolnić od myśli o Indiach - obce dźwięki, soczyste barwy, intensywne światło, nieznaczący aromat sandałowego drewna wciąż do niej powracały i po przebudzeniu leżała jeszcze długo w łóżku, chociaż normalnie się zrywała zaledwie parę minut po otwarciu oczu. Kiedyś nie zniosłaby tak długiej bezczynności. Ale teraz jej ciało i umysł jakby zwolniły obroty, i Miranda tłumaczyła sobie, że to sprawa fizycznego przemęczenia.

Jej sypialnia przypominała sklep krawiecki. Ciuchy wisiały na otwartych drzwiach szafy, leżały na fotelach i wysypywały się z kosza na bieliznę. Był to największy i najwidniejszy pokój w całym domu - o piaskowego koloru ścianach oraz białych zasłonach i białej kapie na łóżko. Okna sypialni wychodziły na południe, i tego ranka do wnętrza wpływało delikatne, wiosenne światło. Nadszedł pierwszy maja, a padające ukosem na niski parapet promienie słońca zwiastowały piękny, ciepły dzień.

W końcu Miranda zeszła na dół, zaparzyła dzbanek herbaty, zignorowała brudne naczynia w kuchni oraz kurz w holu i zaszła się w jedynej sypialni, który nie wymagał sprzątnięcia. Rozsiadła się na skórzanej kanapie i położyła nogi na marokańskim stole z ceramicznym blatem. Na jego środku stała duża drewniana kasetka, w której Miranda trzymała swoją kolekcję żalobnej biżuterii. Zakochała się w niej na długo przed podjęciem pracy w Hanovers, bo gdy miała zaledwie dziewięć lat. Jak wszystkie małe dziewczynki w tym wieku, często grzebała w matczynej garderobie w poszukiwaniu „strojnych” sukien, a gdy mamy nie było w domu, to nawet buszowała w jej kosmetykach i biżuterii - psikała się

perfuma pod pachami i malowała na czerwono usta. Pewnego dnia w szufladzie z bielizną znalazła małe chińskie pudełko z laki, a w nim trochę tandetnej biżuterii. Dużo później się dowiedziała, że niektóre sztuki miały pewną drobną wartość, ale w większości były to sentymentalne błyskotki, tak uwielbiane w okresie wiktoriańskim. To właśnie wśród nich zobaczyła pierwszą w życiu sztukę żałobnej biżuterii, zdobionej włosami. Była to duża srebrna broszka, przykryta szkiełkiem, pod którym widniała krateczka spleciona z brązowych włosów. Na rewersie wygrawerowano napis: „Śmierć to krótki sen jeno, po którym przebudzimy się do wieczności”. I ta broszka właśnie stała się zaczątkiem kolekcji, w której obecnie się znajdowało ponad sto sygnetów, wisiorów, broszek i bransoletek.

Kliwy sentymentalizm przedłużanej żałoby intrygował Mirandę - intrygowała ją chęć lub potrzeba zachowania fizycznego kontaktu z czymś, co było częścią zmarłych. W wiktoriańskiej Anglii tak wielu ludzi przedwcześnie zabierała śmierć, że zaświaty musiały się ówczesnym ludziom zdawać niemal namacalnym wymiarem. Miranda przypominała sobie sen, który w Indiach wytrącił ją z równowagi - Kali pożerająca jej kolekcję - i przebiegł ją zimny dreszcz. Ale przecież klątwa czarnej bogini dosięgała tylko tych, którzy pożądali diamentów, a nie wszelkiej biżuterii? Miranda tymczasem wcale nie marzyła o posiadaniu tych niezwykłych kamieni - chciała jedynie sprzedawać je na aukcjach.

Kiedy odezwał się telefon, zdała się na automatyczną sekretarkę na wypadek, gdyby dzwonił Kenneth, który często zapominał, że jej życie nie kończy się na Hanovers. Chociaż prawdę powiedziawszy, ona sama coraz częściej się zastanawiała, czy tak w istocie nie jest.

Okazało się jednak, że dzwoni Susana, i gdy tylko Miranda poznała jej głos, natychmiast podniosła słuchawkę. Susana wróciła z Indii poprzedniego wieczoru i miała ochotę spotkać się z Mirandą, a przy okazji pokazać jej coś ciekawego. Miranda od razu zapomniała, że jeszcze niedawno chciała oglądać telewizję w piżamie, i zaprosiła Susanę na kolację.

Susana zadzwoniła do drzwi w chwili, gdy Miranda ustawiała na stole lilie w wazonie - estetyczny akcent, wieńczący gorączkową sesję sprzątanania, która zajęła jej prawie dwie godziny, chociaż zazwyczaj Miranda nie była w stanie się skupić na tej czynności dłużej niż przez trzy kwadranse.

Wprowadziła gościa do salonu, gdzie na stole stała już otwarta butelka czerwonego wina, dwa kieliszki na długich, cienkich nóżkach, mata miseczek oliwek oraz świeży chleb i pleśniowy ser.

- Jaki piękny pokój! - wykrzyknęła Susana, rozglądając się dookoła.

- Ostatnio jednak bardzo przeze mnie zaniedbywany. - Miranda napelniła kieliszek winem i podała go siedzącej na sofie Susanie. - Ale opowiadaj, bo już umieram z ciekawości. Czy spotkałaś tajemniczego pana X? I czy dowiedziałaś się czegoś więcej na temat Lily?

Susana z uśmiechem skinęła głową.

- Odpowiedź brzmi tak - na oba pytania. Znalazłam pudło na kapelusze, które musiało należeć do Lily, bo zawierało pisane przez nią i do niej listy. Ravi pozwolił mi je zabrać do Anglii. Uzgodniliśmy, że jeżeli znajdę coś wartościowego - pod względem materialnym lub historycznym - skontaktuję się w jego imieniu z British Library lub Biblioteką Bodlejańską.

- Obdarzył cię dużym zaufaniem. A jaki to w ogóle człowiek?

- Hm... O doskonałych manierach, nieco wyniosły... Trudno mi powiedzieć, nie mieliśmy okazji dłużej porozmawiać.

- Czy jest tak przystojny, jak mi się zdawało, kiedy mignął mi w drzwiach?

Susana się roześmiała.

- Tak. Wyjątkowo przystojny, co zawsze wzbudza moje podejrzenia...

- Musiał cię jednak polubić, jeżeli powierzył ci cenne, być może, dokumenty. A więc przywiozłaś je do Londynu...

- Przez całą drogę trzymałam pudło na kolanach. - Susana sięgnęła do torebki i wyjęła jakiś płaski przedmiot, owinięty w brązowy papier. - Odkryłam tam wiele materiałów, które uporządkowałam jeszcze w Benaresie. Wśród nich znalazłam także egzemplarz powieści napisanej przez niejaką Sarę O'Reilly, nad którą Lily, jak się zdaje, sprawowała prawną opiekę. W książce znalazłam również list pisany przez Lily do męża już po jego śmierci. Z listu wynika, że czuła potrzebę zawierzenia sekretów jedynej osobie, która z pewnością nikomu by ich nie zdradziła. - Mówiąc to, Susana odwinęła z brązowego papieru niewielką książkę i położyła ją na stole.

Miranda podniosła książkę i obróciła w rękę. Tomik był dość cienki, oprawiony w ciemnoczerwone płótno, z nazwiskiem autorki i tytułem wybitymi złotymi literami na grzbiecie: Sara O'Reilly „Hinduska księżniczka”. W środku znajdowała się elegancka koperta, a w niej złożony arkusz delikatnego pergaminu, który Miranda z mocno bijącym sercem ostrożnie rozpostarła.

14 czerwca 1868

Miłości moja,

Dzisiaj po przebudzeniu wyjątkowo silnie czułam Twoją obecność i postanowiłam napisać do Ciebie, by powierzyć Ci moje sekrety, tak jak kiedyś miałam to w zwyczaju. Siedzę w letnim pawilonie, bo tutaj spędzam niemal wszystkie dni, i pośród splendoru ogrodu maharadży piszę list lub dwa oraz wzmacniam się aromatyczną herbatą, która - jak mnie poinformowano - pochodzi z plantacji położonych wśród północnych wzgórz Assamu. Wokół pawilonu rosną kamelie, drzewo magnoliowe jest w pełnym rozkwicie, dobiegają mnie również wonie jaśminu i migdałowca. Nieopodal widnieje kępa bambusów, z której w każdej chwili może się wyłonić tygrys maharadży, ale teraz nie wzbudza on już we mnie tak wielkiego strachu i nawet zdarza mi się gładzić jego futro.

Duchem jestem silna, ale moje ciało nie jest wolne od różnych przypadłości, które - według miejscowego lekarza, kształconego w sztuce ajurwedy - wynikają ze zbytniego rozgrzania krwi. Od czasu gdy pisałam do Ciebie ostatnio, minęły trzy lata, i wówczas byłam ledwie cieniem owej Lily, którą znałeś. Kto by pomyślał, że rozpacz i żal mogą człowieka pozbawić nie tylko zmysłów, ale wyssać szpik z kości tak, że włożenie sukni, uniesienie pióra czy skreślenie paru słów stają się ciężką pracą, pochłaniającą niemal połowę dnia.

Kiedy po raz ostatni przyszedłam do Twojej pracowni, wiedziałam, że Twój duch już ją opuścił, bo poczułam niezwykły chłód. Miałam nadzieję, że Cię odnajdę tutaj, w Benaresie, gdzie - według wierzeń Hindusów - spotykają się dwa światy, ale zamiast odnaleźć Ciebie, odnalazłam w sobie siłę. I wreszcie mogę pisać o wielu rzeczach bez strachu, że znów zawładnie mną melancholia.

A teraz pozwól, najdroższy, że zawierzę Ci sekret, którego nie wyjawiałabym nikomu na tym świecie. Zapewne pamiętasz, że kiedyś pisałam o amulecie składającym się z dziewięciu brylantów, który miała w swojej kolekcji lady Cyntia Herbert. Ów klejnot zaginął w tajemniczych okolicznościach i - według londyńskiej prasy, a nawet inspektora Larka - był w jakiś sposób powiązany z trzema morderstwami, do których doszło w Londynie w 1864 roku. Swego czasu zastanawiałam się nawet, czy do śmierci lady Cyntii też nie przyczynił się w jakimś stopniu fakt, że amulet znajdował się w jej posiadaniu i dopiero niedawno się dowiedziałam, czemu ten klejnot był tak szczególny, chociaż nadal nie mam pojęcia, co się z nim naprawdę stało. Udało mi się jednak nakłonić Gowindę - który do tej pory milczał jak zakłęty - by mi wreszcie opowiedział o tym niezwykłym klejnocie. I oto co usłyszałam.

Maharadża Benaresu przez wiele lat gromadził barwne diamenty w nadziei, że pewnego dnia uda mu się skompletować dziewięć w kolorach, które są kolorami kamieni występujących w świętym hinduskim amulecie, zwanym przez Gowindę nawaratną. Ci, którzy znali zamiary maharadży, odczuwali głęboki niepokój, ponieważ na nawaratną składają się rozmaite kamienie, z których tylko jeden może być diamentem - i to bezbarwnym. Maharadża zdołał zebrać wiele diamentów w różnych kolorach, także tych koniecznych do stworzenia amuletu, ale cały czas brakowało mu jednego, najważniejszego - krwistoczerwonego, który jest kamieniem centralnym, „stonecznym”, jak go nazywa Gowinda. Nikt nie widział diamentu o barwie krwi, sądzono więc, że istnieje jedynie w legendach i bajkach, a jednak w tajemniczych okolicznościach maharadży udało się zdobyć taki diament - i teraz miał już swój najpotężniejszy dziewiąty kamień. To jednak nie na wiele mu się zdało, okazało się bowiem, że żaden z jubilerów w Benaresie nie chciał stworzyć klejnotu z samych diamentów, bo to bardzo niebezpieczne. Wysłano umyślnych do Delhi, Bombaju i Kalkuty, ale tam także niczego nie osiągnęli. Tradycyjnie na nawaratną składają się następujące kamienie: biały diament, szmaragd, koral, szafir, perła, rubin, topaz, beryl i kocie oko. Każdym z nich rządzi inna planeta i inne bóstwo, więc - jak zrozumiałam - ten, kto nosi amulet, może prosić bogów o pomoc. Jeżeli w pozycjach planet znalazłyby się jedynie diamenty, uległoby zaburzeniu to, co pan Mesmer nazwał magnetyzmem człowieka - a tym samym zaburzona by została



równowaga bogów.

Kiedy lady Cyntia i jej mąż Charles gościli w Benaresie, w pałacu maharadży, mieli okazję obejrzeć klejnoty władcy - w tym kolorowe diamenty. I wkrótce lady Herbert nie myślała już o niczym innym jak tylko o nawaratanie z diamentów, ponieważ miała swoje własne koncepcje na temat szczególnych właściwości tych kamieni. Wierzyła, że gdy wejdzie w posiadanie - choćby chwilowe - tak potężnego amuletu, uda jej się skontaktować z zaświatami. Zaproponowała więc maharadży, że zabierze diamenty do Anglii i zleci wykonanie nawaratanu jednemu z londyńskich jubilerów. Maharadża wyraził zgodę na jej plan, ale wysłał z Herbertami Gowindę, by strzegł diamentów. Lady Herbert powtórzyła też kilkakrotnie, że pod żadnym pozorem Saraswati nie może się dowiedzieć o całej sprawie, ponieważ ma ona szczególne nabożeństwo do czerwonego kamienia, a jest zdolna do „mściwych aktów”. Po przyjeździe pytałam w zenanie o Saraswati, ale natknęłam się jedynie na mur milczenia. Nie widziałam jej od poprzedniej wizyty i aż do zeszlotygodniowej nocy pełni księżyca sądziłam, że nie ma jej już w pałacu.

Owa noc była urzekająca, usiadłam więc w pawilonie i wpatrzyłam się w wygwieżdżone niebo. Wenus błyszczała niczym czerwony kryształ, i od czasu do czasu owiewała mnie przyjemna bryza. Nagle usłyszałam szmer dochodzący od kępy bambusów, i niespodziewanie wyłoniła się z nich Saraswati - z włosami w nieładzie i nieludzkim, mrocznym wyrazem oczu, który już wcześniej u niej widziałam. Dwoistość natury tej dziewczyny jest zdumiewająca - jakby miały ją we władaniu dwie potężne moce: jedna łagodna i niewinna, druga - groźna i niszczycielska. Saraswati wydała mi się wychudzona i zaniedbana. Trzymała w ramionach jakąś bezwładną istotę, którą w pierwszej chwili wzięłam za dziecko, ale gdy podeszła bliżej, zobaczyłam, że to małpka. Nie dość, że nie żyła, to odrąbano jej ręce i głowę. Możesz sobie wyobrazić, jakie zdjęło mnie przerażenie, gdy zobaczyłam żółte jedwabne sari przesiąknięte krwią i to nieszczęsne, okaleczone zwierzę. Od razu też zrozumiałam, że Saraswati składała ofiarę w świątyni bogini Kali.

Kiedy Gowinda opowiedział mi wszystko o amulecie, zapytałam go, czy śmierć Charlesa Herberta miała coś wspólnego z diamentami - i on to potwierdził.

- Żądza posiadania kamieni była zbyt wielka - rzucił enigmatycznie i potrząsnął smutno głową.

Okazuje się, że Charles został zabity, gdy po opuszczeniu Benaresu ich karawana została zaatakowana przez bandytów na górskim trakcie. Gowinda nie chciał jednak zdradzić żadnych szczegółów tej potyczki.

Ja natomiast wciąż jestem zdania, że to nie jakaś klątwa doprowadziła do tych nieszczęść, ale po prostu niezwykle piękno owych kamieni. Miałam okazję zobaczyć je na własne oczy i przyznaję, że nigdy nie widziałam bardziej perfekcyjnego tworu natury.

Teraz, gdy podzieliłam się z Tobą swoim sekretem, czuję się dużo lepiej. Pamiętam, że gdy przed laty dzieliłam się z Tobą moją rozpaczą, też zawsze odczuwałam ulgę. Obecnie jestem dużo silniejsza, ale wciąż do Ciebie tęsknię, Franz. Czuwaj, proszę, nade mną i dodawaj mi sił, tak jak dodawałeś mi ich za życia.

Twoja na zawsze

Lily

Miranda złożyła starannie pergamin i włożyła z powrotem do koperty, którą wręczyła Susanie. Przez dłuższy czas żadna z nich nie odezwała się słowem.

- A więc prawdą jest to, co mówił Louis o nawaratnie z diamentów - powiedziała w końcu Miranda, i Susana skinęła głową.

- Teraz już jest dla mnie jasne, czemu okazał takie zainteresowanie, gdy mu powiedziałam o pobycie Lily w pałacu maharadży i wyraziłam nadzieję na odnalezienie jej innych listów. Może jego nadzieje pokrywają się z moimi!

- Uważam, że klejnot został skradziony - powiedziała Miranda w zamyśleniu. - I że wspomniane morderstwa miały z nim wiele wspólnego.

- Co takiego tkwi w diamentach, że mają na ludzi równie niezwykle wpływ? - spytała Susana, patrząc na Mirandę. - Osobiście nigdy nie marzyłam o posiadaniu diamentu.

Miranda się roześmiała.

- Dokładnie o tym samym myślałam dzisiaj rano. To chyba oznacza, że jesteśmy bezpieczne, bo Kali ma moc jedynie nad tymi, którzy pożądamy tych kamieni... przynajmniej według hinduskich wierzeń. Ja mogę ci jedynie powiedzieć, że to niezwykle twory pod względem geologicznym. Diament jest najtwardszym materiałem na ziemi, o największej

gęstości materii. Może emitować elektrony, a także ma większą wytrzymałość termiczną od silikonu. Jednym słowem - jest prawdziwym cudem natury. Ale myślę, że nawet naukowcy się ze mną zgodzą, że największą siłą diamentów jest ich niebywałe piękno.

- Chociaż lady Cyntia uważała, jak się zdaje, że ich siła tkwi w ezoterycznej mocy...

Stała oparta o kominek, z kieliszkiem wina w dłoni, i przyglądała się grafikom Paula Klee i Marca Chagalla. Wyglądała zupełnie inaczej z włosami splecionymi w luźny, sięgający niemal pasa warkocz i w „londyńskim ubraniu” - krótkiej dzinsowej spódnicy, czarnych długich botkach i prostej czarnej koszuli. Miranda zauważyła, że Susana ma na szyi korale z turkusów. I chociaż nadal wydawała się kobietą pewną siebie, była w niej też szczególna miękkość i delikatność, zupełnie niezauważalne w Indiach. Może dlatego, że w Indiach kobieta musi cały czas się mieć na baczności. Spojrzenie Susany powędrowało w stronę kasetki z biżuterią.

- Pokażna skrzynka - zauważyła.

- Rzeczywiście. A skoro już mowa o niesamowitych klejnotach - tutaj właśnie trzymam swoją żalobną biżuterię.

Odezwała się komórka, Miranda powiedziała Susanie, żeby przejrzała kolekcję, jeśli ma ochotę, przeprosiła i odebrała połączenie.

Dzwonił agent z Genewy. Tłumaczył, że normalnie nie dzwoniłby w sobotni wieczór, ale właśnie zaoferowano mu pewne kamienie, które mogą ją zainteresować, więc gdyby mogła się zjawić w poniedziałek rano w Genewie, zorganizowałby dla niej prywatny pokaz.

A więc nici ze spokojnego weekendu, pomyślała Miranda i od razu zaczęła się zastanawiać, co musi zrobić, by pojutrze się znaleźć w Genewie.

Tymczasem Susana otworzyła kilka szuflad kasetki i z zainteresowaniem się przyglądała jednej z broszek, gdzie pod zwyczajowym szkieleciem widniała wierzba płacząca, bardzo misternie spleciona z włosów, zwieszająca gałęzie nad równie misternie utkaną urną.

- Niektóre z tych okazów wydają się starsze niż z czasów Wiktorii - zauważyła Susana.

Odłożyła broszkę i wzięła w palce sygnet o obrączce tak wytartej, że w jednym miejscu zdawała się cienka i krucha jak drucik.

- Bo są. Tego typu biżuterię noszono już za Stuartów, a potem w epoce georgiańskiej. Moda na nią powróciła w połowie dziewiętnastego wieku.

- Ciekawe, czy rzeczywiście te drobiazgi przynosiły ludziom ukojenie - rzekła w zamyśleniu Susana, i Miranda od razu sobie przypomniała o jej stracie.
- Od jak dawna nie żyje twój mąż?
- Dan zmarł trzy lata temu. Poznaliśmy się w Indiach i dlatego mam wrażenie, że częśćka mnie pozostała tam na zawsze.
- To tak jak Lily - zauważyła Miranda.
- Jak Lily.

## XI

Kensington, 12 października 1870

Droga Lily,

Siedzę przy oknie w moim podniebnym pokoju i rozglądam się po okolicy. Wygląda tak, jakby nakryto ją nowym, złocisto-czerwonym dywanem - w miejsce dawnego, soczystozielonego, który pokrywał ziemię w czasie letnich miesięcy. Większość drzew już straciła liście, ale gdzieś niedzie dostrzegam jeszcze dęby, których gałęzie połyskują miedzią - są jak sakwy pełne nowiuteńkich pensów.

Bez Ciebie Kensington nie jest takie samo. Pani Vesper również za Tobą tęskni, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała. Ostatnio zachowuje się dość szczególnie, od kilku tygodni nie chodzi na zebrania swojego kółka spirytystycznego, i nawet pojawiła się tu jego przedstawicielka z błaganiami, by Marta wróciła, bo od kiedy jej nie ma, duchy nie chcą się zjawiać. Nie myśl, proszę, że się posunęłam do wścibstwa - kiedy ta kobieta do nas zawitała, pracowałam w bibliotece, a z powodu swojego wzburzenia nie panowała nad głosem, więc to wszystko usłyszałam przypadkiem, i taka jest najprawdziwsza prawda (jak zwykła mawiać Ellen).

Ale na tym nie koniec. Marta ostatnio dwa razy prała zasłony z bawialni - najpierw w ubiegłą, potem w ledwo minioną środę, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Niewykluczone, że stało się tak za

sprawą wizyty pana Smythe'a, ogrodnika z pobliskiej rezydencji, który zachodził tutaj w obie środy i prosił ją (znowu usłyszałam przypadkiem!), żeby pewnego dnia wybrała się z nim na miasto. Nie możesz się zdradzić przed Martą, że opowiadam Ci takie rzeczy, ale to doprawdy niezwykle, gdy się widzi naszą panią Vesper z osobliwym uśmiechem na twarzy! Ona naturalnie jest przekonana, że nikt tego nie dostrzega.

Zapewne zainteresuje Cię fakt, że Wilkie Collins wydał nową powieść. Nosi tytuł „Kamień księżycowy”, a traktuje o cennym diamencie, który został wyłupiony z oka posągu pewnej indyjskiej bogini! Z kamieniem tym powiązana jest seria tajemniczych zgonów, można więc chyba założyć, że inspiracją dla pana Collinsa były artykuły Melville'a na temat zaginionego klejnotu i morderstw, za które powieszono nieszczęsnego Świętego Joego, czyż nie?

Jeśli chodzi o „Merkuriusza Londyńskiego”, to nie mam Ci do przekazania żadnych nowych wieści, może poza jedną - pan Harding zgodził się mi płacić tyle samo, ile innemu młodemu autorowi, który jest synem redaktora kronik portowych. W pierwszej chwili wydawca był zdumiony, gdy zażądałam równej płacy, ale po namyśle doszedł do wniosku, że tak będzie sprawiedliwie. A ponieważ on sam się postarał, by zaczęto drukować „Hinduską księżniczkę”, nie może teraz zaprzeczyć, że jestem prawdziwą pisarką.

Od dłuższego czasu nie widziałam w redakcji inspektora Larka - w istocie od początku września. Ran Harding poinformował mnie, że Lark zapadł na zdrowiu. Tymczasowo przejął jego obowiązki młody sierżant, niejaki Gerard. Pamiętam go jeszcze sprzed czterech lat, jak stał u boku inspektora przed sklepem Finkelsteina, tego jubilera, który padł ofiarą zabójstwa. Podśluchałam wówczas rozmowę obu policjantów (i nie mogę udawać, że było inaczej, bo się kryłam za pnem drzewa, ale ostatecznie w jaki sposób pisarz ma zdobywać ważne informacje!) i do dziś dźwięczy mi w uszach to, co wówczas mówili. Mieli zabrać ze sklepu i warsztatu wszystkie dokumenty, listy i rysunki, ponieważ mogły stanowić ważną poszlakę w śledztwie. Zapamiętałam dobrze Gerarda, bo gdy Melville zaczął wypisywać te obrzydliwe rzeczy na temat morderstw, pomyślałam, że to sierżant albo któryś z jego ludzi musi być informatorem tego pismaka. A już utwierdziłam się w tym przeświadczeniu, kiedy w artykułach Melville'a pojawiły się informacje, że Finkelstein robił biżuterię z kamieni kupowanych na czarnym rynku i szmuglowanych z Indii. Z

biegiem czasu miałam jednak okazję się przekonać, że Gerard nie mógł udzielać nikomu tak nikczemnych informacji, jest on bowiem równie przyzwoity i uczciwy jak inspektor Lark - który zresztą nie tolerowałby u swojego boku człowieka niegodnego zaufania. Dlatego między innymi zgodziłam się pójść z Gerardem do pijalni kakao na stacji Paddington. Nie obawiaj się, Lily, nie szukam kandydata na adoratora, bo nigdy nie zapomnę, że to przez mężczyznę moja mama płakała po nocach, a my z Ellen wciąż chodziłyśmy głodne. Nie, nie - spotkałam się z sierżantem Gerardem, żeby się dowiedzieć, czy policji udało się znaleźć coś ważnego w sklepie jubilera, bo to mnie zawsze nurtowało. Mojej ciekawości nie poskromiono w Queen's College - w odróżnieniu od błędów językowych, których wiele wypleniono. Sama widzisz, że w końcu pisanie listów idzie mi całkiem składnie. Podczas Twojej poprzedniej wizyty w Indiach próbowałam napisać do Ciebie z Diabelskiego Kwartału. Wówczas bałam się postawić znak na pergaminie, by nie zmarnować arkusza, a gdy z lękiem maczałam pióro w kałamarzu, słowa umykały mi z głowy. Nie miałam wtedy dostatecznej wprawy - nie umiałam pisać i myśleć jednocześnie. Nadal jednak nie potrafię tak ładnie wypowiadać się ustnie, no ale skoro mam zostać autorką powieści i esejów, to najważniejsze, bym gładko przelewała słowa na papier - a ci, co je przeczytają, nie muszą wiedzieć, że od czasu do czasu przeklinam, że noszę spodnie i palę papierosy.

Ale powróćmy do mojego spotkania z Gerardem. Ponieważ sprawa morderstwa jubilera została dawno zamknięta, prawo nie broniło mu rozmowy na temat zebranych wówczas dowodów. Podobno przed przybyciem policji ktoś przeszukał sklep i warsztat, a najdziwniejsze jest to, że złodzieja najbardziej interesowały znajdujące się tam rysunki i dokumenty. Nie zginął ani jeden drogocenny kamień czy sztuka biżuterii, naturalnie poza medalionem z brylantami, nad którym najprawdopodobniej Finkelstein pracował tej nocy, kiedy został zamordowany. Policja doszła do takiego wniosku, ponieważ jubiler miał w kieszeni rysunek przedstawiający klejnot złożony z dziewięciu diamentów. Gerard powiedział, że inspektor się zastanawiał, czy ten, kto przeszukiwał sklep, nie szukał właśnie tego rysunku. A to z kolei nasunęło mu myśl, że być może morderca i złodziej to dwie całkiem różne osoby! Sierżant nie umiał jednak wyjaśnić, czemu ów rysunek miałby być dla kogoś taki ważny.

Przyznał natomiast, że w sklepie odkryto także ślady walki, a tymczasem ciało Finkelsteina znaleziono na ulicy i nic nie wskazywało na to, by się z kimś zmagał przed śmiercią.

Przypomniałam sobie wówczas, jak mi opowiadałaś, że po śmierci jubilera Lark zadawał Ci wiele pytań na temat należącego do Ciebie wisiora żałobnego. Zapytałam o to Gerarda, a on mi wyjawiał, że na stole w pracowni znaleziono rysunek Twojego klejnotu, nad którym Finkelstein także mógł pracować owej nocy. Lark nie mógł tego zrozumieć, nie wiedział też, kiedy odebrano twój wisior od jubilera. Gdy zapytał o to człowieka lady Cyntii, ten mu powiedział, że zgłosił się po niego po południu w przeddzień morderstwa, ale w księgach Finkelsteina pod tą datą widniał jedynie zapis o przyjęciu bliżej nieokreślonego zlecenia od lady Herbert, i ani słowa o wydaniu wykonanej pracy.

A skoro już jestem przy Twoim wisiorze - wciąż się zastanawiam, gdzie się mógł zapodziać!

Gerard powiedział mi także, że ich głównym podejrzanym był Wikram - dopóki sam nie zginął. Obserwowali go przez dłuższy czas, bo od dokerów z Temple Piers wiedzieli, że Wikram handluje opium - widziano go też w okolicach Hatton Garden.

Pewnego dnia Ellen wyznała mi, że „Wiktor” (Wikram) kochał się w księżniczce, dla której nie cofnąłby się przed niczym. Zapytałam ją wówczas, skąd wie, że miłość Wiktora jest księżniczką, i usłyszałam: „Bo jest piękna i mieszka w zamku, choć kiedyś była biedną dziewczynką, jak ja”. Pewnie w swoim zaburzonym umyśle Elly zapragnęła zostać ową księżniczką - tak jak kiedyś bardzo chciała być małą syrenką. Wiem, że zrobiłaby wszystko, byle Wikram zabrał ją ze sobą do Indii, bo nie dostrzegała, kim był w istocie. Opowiadał jej, że pewna groźna bogini kazała księżniczce strzec swojego skarbu, dlatego Ellen uważała tę księżniczkę za kogoś niesłychanie wyjątkowego. Wspominał też, że jego ukochana musi zawsze dostać to, czego pragnie, bo inaczej wpada w straszny gniew. Ellen była przekonana, że Wikram się boi swojej księżniczki, a Elly, mimo niewielu lat, potrafiła wejrzeć w uczucia ludzi. Ta historia jest zresztą jednym z wątków „Hinduskiej księżniczki”.

Kiedy myślę o czasach, gdy mieszkaliśmy z Ellen w piwnicznym pokoju, i o tej strasznej historii ze Świętym Joem - mam wrażenie, że to wszystko się działo w zupełnie innym życiu. Chociaż nawet teraz serce ściska mi się z bólu, ilekroć przypomnę sobie b tym nieszczęśniku, bo

poniósł karę za czyny, których nie popełnił. Wiem to z całą pewnością, ponieważ Ellen przed śmiercią powierzyła mi pewien sekret. Obiecałam, że nikomu go nie wyjawię, ale jeżeli przeczytasz „Hinduską księżniczkę”, być może odgadniesz prawdę i zrozumiesz, co tak naprawdę spotkało Wiktora - którego my znamy jako Wikrama. Dawno temu powiedziałaś mi, że często piszesz, by uwolnić umysł od pogmatwanych wspomnień i wyobrażeń. W moim umyśle też się kłębiło wiele obrazów z przeszłości - dopóki nie ukończyłam swojej książki. Teraz wspomnienia żyją na jej kartach, więc ja nie muszę ich dłużej przechowywać w głowie. Wiem, że Elly to zrozumie.

Nie mogę się już doczekać Twojej opinii o „Hinduskiej księżniczce”. Jeżeli uznasz, że tło opowieści bardzo odbiega od prawdy - musisz mnie koniecznie o tym powiadomić. Ja tak sobie wyobraziłam Indie po lekturze Twoich listów i innych pism, a także po rozmowach z Julią Margaret Cameron, która - jak na fotografika przystało - z wieloma detalami opisała mi swoje wspomnienia z dzieciństwa w Kalkucie. Powiedziała, że tam także mogłabym szukać wydawcy dla swojej książki, bo podobno w tym indyjskim mieście jest wiele drukarni i wydaje się tam każdego roku setki książek, nowel i wierszy po angielsku.

Droga Lily następny list napiszę do Ciebie jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Pozdrawiam Cię serdecznie, myślami zawsze jestem z Tobą  
Sara

Susana schowała list do koperty, która podobnie jak arkusz pergaminu, zachowała się w zdumiewająco dobrym stanie. Najprawdopodobniej nikt jej nie dotykał od czasu, gdy Lily posegregowała korespondencję, każdy pakiet przewiązała jedwabną tasiemką, do której przyczepiła karteczkę z odpowiednią datą, i wszystko schowała do pudła na kapelusze. List od Sary był pierwszym z pakietu opasanego czarną wstążką, który Susana przeczytała w całości. Niemal wszystkie pozostałe po przebiegnięciu wzrokiem pierwszych linijek czy akapitów uznała za nieinteresujące.

Podczas drugiej wizyty Lily w Indiach korespondowało z nią sporo osób. Po części byli to czytelnicy „Merkurusa”, którzy na adres redakcji przysyłali listy zachwalające lub ostro krytykujące jej „orientalne zapiski”, jak to określiła pewna pruderyjna stara panna. Najwyraźniej



ktos z redakcji - prawdopodobnie Sara - przekazywał tę korespondencję do adresatki, do Indii. „Pan Evans”, bawiąc za granicą, nadal przesyłał artykuły do swojej kolumny, zapewne korzystając z działającej już wówczas pomiędzy Indiami a Anglią linii telegraficznej. Sądząc po pełnym oburzenia tonie niektórych reakcji na owe eseje, należało wnosić, że były one zdecydowanie krytyczne wobec brytyjskich rządów w Indiach.

W tym pakiecie znajdował się jeszcze jeden list, który Susana zamierzała przestudiować, podpisany - „John Lark”. Owo nazwisko wspomniała także Sara - był to, jak się zdaje, inspektor prowadzący śledztwo w sprawie serii tajemniczych morderstw.

Susana teraz już wiedziała dokładnie, czego ma szukać w archiwum prasowym. Morderstwa popełniono w 1864 roku i zostały opisane w „Merkurjuszu Londyńskim”, w artykułach autorstwa niejakiego Melville'a. Natomiast Lily publikowała w tej samej gazecie pod pseudonimem „pan Evans”. Jeżeli nie z listów, to może z owej gazety Susana się dowie, czy Lily powróciła ze swojej drugiej wyprawy do Indii, czy została już tam na zawsze.

Podniosła list od Larka - napisany starannym, pochyłym pismem na pergaminie koloru kości słoniowej - ale szybko go odłożyła, bo czuła, że nie jest w stanie się skoncentrować. Wciąż żyła jeszcze indyjskim czasem, zerwała się więc przed świtem. Spojrzała przez okno na niewielki, otoczony murem ogródek, teraz zalany promieniami porannego słońca. Późnowiosenne kwiaty rozrosły się podczas jej pobytu w Indiach i teraz się zdawały miniaturową dziką łąką. Ulica, przy której mieszkała Susana, była spokojna i cicha - to właśnie z tego powodu zdecydowała się pozostać w Greenwich. Tak często pracowała w domu, że nie zniosłaby już teraz hałasu za oknami. I chociaż stosunkowo niedaleko przebiegała Trafalgar Road, to równie blisko znajdował się piękny park.

Susana powiodła wzrokiem po stole zarzuconym papierami odnalezionymi w pudle na kapelusze. Zdała sobie nagle sprawę, że zaczyna odbiegać od głównych założeń swoich badań. Od kiedy intensywnie się zajęła tropieniem Lily Korechnya, zaniedbała studia nad innymi kobietami epoki wiktoriańskiej, które zamierzała opisać w książce. Szkic pierwszego rozdziału, w którym przedstawiała sylwetki swoich bohaterów, leżał teraz pogrzebany pod stosem korespondencji Lily, co uznała za symboliczne.

Początkowo zebrała tak wiele materiału na temat barwnych, niekonwencjonalnych kobiet, które podróżowały do Indii, że wybór bohaterek stał się bardzo trudny. Wyznaczyła więc dodatkowe kryteria - bohaterkami mogą zostać jedynie te z nich, które żyły w epoce wiktoriańskiej i na dodatek się zajmowały taką czy inną formą twórczości literackiej. W ten sposób odpadło sporo kandydatek, bo odwiedzały Indie przed bądź po okresie panowania królowej Wiktorii lub też nie parały się piórem. A było wśród nich kilka ulubionych postaci Susany. Na przykład Irlandka, Margaret Noble, która mieszkała w Kalkucie i wspierała indyjski skrajny nacjonalizm, dlatego była nieustannie inwigilowana przez policję. Czy też lady Hailey - o celności oka godnej snajpera, która zbierała kwiaty, strzelając do lodyżek z dwudziestki dwójki, i jeździła rikszą w towarzystwie ulubionego oswojonego niedźwiedzia. Następnie pani Jamesowa Hall, która swego czasu służyła w gwardii nizama Hajdarabadu - ubierała się w tradycyjny strój mogolskiego wojownika i dowodziła batalionem kobiet strzegących haremu nizama, a w pewnym momencie została nawet wtrącona do więzienia za pobicie na śmierć złodzieja.

Gdyby Susana znalazła kopię artykułu dotyczącego świątyni Kali, mogłaby na zasadzie kontrastu i polemicznego argumentu połączyć Lily z Emmą Roberts, która określała Hindusów mianem „bigoteryjnych wyznawców Brahmy”. Roberts była wydawcą kalkuckiej gazety „Oriental Observer” i gorąco wierzyła w zbawienny wpływ brytyjskich kolonizatorów na proces cywilizowania „tubylców”. W odróżnieniu od Emmy Roberts oraz wielu innych ambitnych kobiet, przebywających w Indiach i uprawiających różne formy literackie, Lily nie wykazywała entuzjazmu dla rządów kolonialnych i mieszkających tam Brytyjczyków. Nie miała też dobrej opinii o chrześcijańskich misjach i sierocińcach. Fascynowało ją za to i inspirowało wszystko, co nowe i odmienne od kultury, w której sama wyrosła. Tylko jeszcze jedna spośród kobiet, którymi zainteresowała się Susana, była w równym stopniu urzeczona Indiami i duchem tego kraju, a mianowicie Adela Florence Cory, także pisząca pod męskim pseudonimem - Laurence Hope.

Adela Florence od pierwszego wejrzenia zakochała się bez pamięci w pułkowniku bengalskiej kawalerii i niemal natychmiast go poślubiła. Nieustraszona, w przebraniu chłopca, towarzyszyła swojemu pułkownikowi w niebezpiecznej ekspedycji wojskowej na pogranicze Indii i Afganistanu. Jako Laurence Hope opublikowała tomik poezji, „Ogród

Kamy”\*, na który Susana się natknęła w księgarni przy Charing Cross Road. Było to wkrótce po tym, jak pochowała Dana, a wiersze mówiły o miłości i śmierci ukochanej osoby. Susana nigdy wcześniej nie słyszała o Adeli Florence Cory, ale po pewnym czasie odkryła, że jej wersy są równie egzotyczne i romantyczne, jak było jej życie. Po śmierci męża Adela popełniła samobójstwo - zaledwie po dwóch latach od publikacji „Ogrodu Kamy”. Kiedy archiwistka z Biblioteki Bodlejańskiej przyniosła Susanie szufladę z listami Lily, na starych kopertach leżał luźny arkusz papieru z wierszem Adeli Florence. Susana uznała to wówczas za szczęśliwy omen.

\* Kama - bóg miłości i pożądania (przyp. tłum.).

Wsunęła dłonie we włosy i powiodła wzrokiem po stole. W tym momencie czekające ją zadanie wydało jej się tak przytłaczające, że zdjęło ją przerażenie. Na obecnym etapie zaawansowania prac - znajdowała się mniej więcej w połowie wstępnych przygotowań - ogarnęło ją poczucie, że zamiast posuwać się naprzód, gwałtownie się cofa. Narracja się nie kleiła, a początkowy zapał przygasał. Zdawało się niemożliwe, by kiedykolwiek jej się udało zgrabnie powiązać wszystkie wątki i postaci. A co gorsza, nie była w stanie się skoncentrować na Emmie Roberts czy nawet Adeli Florence, bo jedyne, co ją teraz interesowało, to losy Lily Korechnya i jej wychowawcy, również kobiety pióra, Sary O'Reilly.

Westchnęła, starannie złożyła list od Larka i wsunęła arkusz z powrotem do koperty - przeczyta go, kiedy zbierze trochę więcej dodatkowych danych. Zerknęła na zegarek. Archiwum prasowe w Colindale będzie otwarte już za pół godziny, a ona jeszcze nie zjadła śniadania.

## XII

**I**lekróć Miranda przyjeżdżała do Genewy, uderzała ją czystość tego miasta. Tak było i tym razem. Taksówka wioząca ją z lotniska minęła jezioro, kwaterę główną Światowej Organizacji Zdrowia (czyż można było znaleźć bardziej adekwatne miejsce na jej lokalizację?), a następnie centrale: Światowej Rady Kościołów oraz korporacji Nestle. Praktyki tej

ostatniej trudno uznać za „czyste” z moralnego i etycznego punktu widzenia, ale ponieważ słynęła głównie z czekolady, ludzie wyobrażali sobie, że jej biura są równie sterylne jak fabryki konfekcji cukierniczej - z pracownikami w nieskazitelnie białych fartuchach i z maseczkami na twarzy.

Miranda ziewnęła, zerkając na fontannę, ponoć najwyższą na świecie, wyrzucającą wysoko w powietrze słup wody, która opadała łukiem i drobnymi kroplami rozpryskiwała się na szklistej powierzchni jeziora.

Nie powinna wczoraj do tak późna siedzieć u Tash - szczególnie że zabukowała bilet na najwcześniejszy lot z Heathrow do Genewy. Rzecz w tym, że przez całą niedzielę miała zwarzony humor, chociaż nie umiałaby powiedzieć dlaczego. A gdy się wieczorem uzalała przed Tash na stres i politykę firmy w ogóle, zdała sobie sprawę, że nie jest już tak entuzjastycznie nastawiona do pracy, jak jeszcze parę tygodni temu - i natychmiast ogarnęło ją poczucie winy. Zapewniła pośpiesznie, że w zasadzie nie ma podstaw do narzekania, jest po prostu zdenerwowana zbliżającą się aukcją, więc gdy tylko będzie już po wszystkim - natychmiast odzyska dawny zapał i werwę.

Nie miała też ochoty roztrząsać ostrzeżeń Tash. Miranda wierzyła niezłomnie, że bez problemu uniknie błędów popełnianych często przez ambitne kobiety, zbliżające się do czterdziestki - a więc zenitu rozrodczości. Ona nie chciała męża ani dziecka - nie miała czasu na związane z nimi komplikacje. Zniechęcenie, które ją ogarnęło, było po prostu oczywistym sygnałem, że potrzebowała wakacji. Od powrotu z Benaresu obrazki z Malediwów i Goa, które wisiały na ścianach bombajskiego lotniska, wyświetlały się w jej głowie z intensywnością i regularnością neonu. A najbardziej wyraziście - każdego ranka w zatłoczonym metrze, gdzie wszyscy wyglądali na wymęczonych, jeszcze zanim zaczęli pracę.

Miranda westchnęła ciężko i taksówkarz zerknął na nią przez lusterko wsteczne, najprawdopodobniej zdziwiony, że ktokolwiek w Szwajcarii może mieć powody do wzdychania. Już podczas poprzednich wizyt w Genewie zauważyła, jak korzystny wpływ miała apolityczność tego małego kraju na społeczeństwo - nie wspominając już o jego bogactwie. W Szwajcarii nie istniała bieda, na idealnie utrzymanych drogach i autostradach nie widywało się starych samochodów, nie było zaniedbanych domów, trawników czy ogrodów ani budynków użyteczności publicznej,

ze szpeczonych ohydnyymi szyldami, lub - uchowaj Boże! - graffiti lub reklamami. W rezultacie Szwajcarów nie nękały lęki i frustracje, które stały się plagą reszty zachodniego świata. Może więc powinna zacząć szukać pracy w Genewie?

Taksówkarz dowiózł ją przed jeden z błyszczących wieżowców z ciemnego szkła. Chociaż stały w samym sercu miasta, nikt nigdy nie słyszał tu o korkach. Tramwaj podjechał cicho, zatrzymał się na przystanku, a grupa pasażerów, która go opuściła, ruszyła w stronę budynków znajdujących się po obu stronach torów. Obowiązujący strój - od kosztownej elegancji do stonowanej wytworności.

Pod adresem, który Miranda podała taksówkarzowi, mieściło się elitarnie centrum genewskiego handlu diamentami. Jedno całe piętro zajmowała giełda, a na kolejnych mieli swoje biura hurtowi dealerzy, agenci oraz kilku niedostępnych specjalistów, zajmujących się sprzedażą detaliczną, z którymi trzeba się było z wyprzedzeniem umówić na wizytę i w dodatku wykazać odpowiednimi referencjami.

Miranda weszła do środka przez obrotowe drzwi i natychmiast się poczuła jak wewnątrz fortecy. Ochrona rzucała się tu w oczy na każdym kroku. Przy wszystkich drzwiach stali strażnicy, a także mężczyźni mogący uchodzić za parodię agentów FBI z hollywoodzkich filmów - w ciemnych garniturach, z kamiennymi twarzami i małykami słuchawkami w uchu. Kilka wchodzących i wychodzących osób wydało się Mirandzie znajomych, chociaż nie umiała umiejscowić ich twarzy. Nic w tym jednak nie było dziwnego, ponieważ w swoich zawodowych podróżach często spotykała tych samych ludzi - pracowników domów aukcyjnych, dealerów i kolekcjonerów - a szczególnie w takich miejscach jak to, gdzie się znajdowała giełda diamentów. Sprawdziwszy, że dobrze zapamiętała numer piętra, na którym jej oczekiwano, Miranda nacisnęła guzik windy.

Głos pana Ariela był równie gładki jak wszystko inne w tym mieście. Z jego gabinetu rozciągał się panoramiczny widok na Jezioro Genewskie oraz dalej - na francuskie Alpy - i Miranda pomyślała, że zamiast rozmawiać o interesach, wolałaby się zwinąć w kłębek na ogromnej, obitej czarnej skórą kanapie i popijając cappuccino, kontemplować krajobrazy.

- Dzień dobry, miss Godfrey. Czy mogę zaproponować pani kawę? Biorąc pod uwagę godzinę, musiała pani wylecieć z Londynu jeszcze przed śniadaniem!

- Z przyjemnością napiję się kawy, ponieważ to, co podają w samolotach, nie nadaje się do picia.

- Bo to w ogóle nie jest kawa - rzucił Ariel pogardliwie i nawet gdyby ktoś nic o nim nie wiedział, w tym momencie natychmiast by się zorientował, że ma do czynienia z Francuzem. - Proszę usiąść i się rozgościć. - Wskazał na kanapę, na którą Miranda opadła z wdzięcznością. - Natychmiast wyślę sekretarkę po coś znośnego dla podniebienia. Co by pani sobie życzyła - espresso, café au lait?...

Miranda się roześmiała.

- Pewnie nie powinnam się do tego przyznawać, ale przed chwilą marzyłam, by rozsiąść się na tej sofie i popijać cappuccino!

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. - Ariel nieznacznie skłonił głowę. Podniósł słuchawkę i po francusku zamówił ulubiony napój Mirandy, a dla siebie espresso.

- Pan, zdaje się, niedawno przyjechał do Genewy? - spytała uprzejmie, gdy w odpowiedniej odległości także przysiadł na sofie.

- Owszem. Wcześniej pracowałem w Antwerpii, ale tutaj możliwości są nieporównanie większe.

Miranda skinęła głową. Genewa była punktem docelowym importu biżuterii i kamieni z całego świata, bo nikt tutaj nie zadawał zbędnych pytań.

- Jak już panu wspomniałam podczas naszej zeszlotygodniowej rozmowy, poszukuję kamieni, które jeszcze nigdy nie były w międzynarodowym obiegu...

- Naturalnie - rzucił Ariel współczującym tonem.

- ...fantazji, najchętniej o masie powyżej dziesięciu karatów.

Ariel milczał przez chwilę.

- Obawiam się, że ściągnąłem tu panią zbyt pochopnie, miss Godfrey. Otóż dzisiaj rano miałem otrzymać zupełnie wyjątkowe kamienie, ale doszło do pewnego nieporozumienia w kwestii ceny... niestety, moja oferta nie wywarła na sprzedawcy wrażenia. Porozumieliśmy się, jeżeli chodzi o wartość pewnej biżuterii z diamentami, ale wytworzonej za czasów panowania Mogołów, więc pewnie zbyt starej...

- Mogołów?

Ariel skinął głową.

- Oczywiście, obrót takimi precjozami nie jest całkiem legalny, ale jedynie dopóty, dopóki się nie znajdą na terytorium Szwajcarii. To jeden z powodów, dla których się przenieśliśmy do Genewy.

Miranda spojrzała uważnie na Ariela.

- Właśnie powróciłam z Indii, gdzie widziałam kilka wyjątkowo pięknych sztuk, pochodzących mniej więcej z tego okresu. Niestety, nie mogłam się podjąć wywozu tak wiekowych antyków. Czy mogłabym obejrzeć tę biżuterię?

- Naturalnie. A potem pokażę pani kilka diamentów.

Miranda chciała się podnieść z kanapy, ale Ariel ją powstrzymał.

- Proszę nie wstawać, tu będzie pani najwygodniej.

Przeszedł przez gabinet i przejechał magnetyczną kartą po zamku drzwi znajdujących się za jego biurkiem. Chwilę później pojawił się z błyszczącym czarnym sejfem na kółkach. Otworzył sejf, potem jedną z jego szuflad, i Miranda od razu wiedziała, kto sprzedał Arielowi biżuterię - bez wątpienia Rawi.

- Już widziałam te klejnoty.

- I oczywiście nie podjęła się pani ich wywozu.

- Nie.

- A jednak tu dotarły!

- Właśnie z tego powodu, panie Ariel, rozważałam, czy nie rozpocząć prywatnej działalności, ale obawiam się, że nie mam dostatecznie silnych nerwów. Chyba nie umiałabym działać wbrew prawu.

- Naturalnie, ale w tym wypadku żadne z nas nie łamie prawa, my się jedynie zajmujemy kupnem i sprzedażą. Jeżeli ta biżuteria... - powiódł ręką po otwartych szufladach, z których każda zdawała się wypełniona światłem - ...nie dotarłaby do Szwajcarii, nikt nigdy by jej nie zobaczył i nie zachwycił się jej pięknem. Osobiście nie zgadzam się z twierdzeniem, że każdy kraj powinien pilnie strzec wytworów swojej kultury materialnej. Gdyby przyjąć taki punkt widzenia, po cóż byłyby galerie i muzea? Ludzkie plemiona kupowały i sprzedawały własne wyroby artystyczne na długo przedtem, zanim Rzymianie sobie ubzdurali, że to oni wynaleźli handel!

W tym momencie do gabinetu weszła sekretarka Ariela, niosąc tacę z chińskiej laki, na której się znajdowały słodkości i kawa - wszystko w porcelanowych naczyniach o rubinowoczerwonej barwie. Kobieta poruszała się z niewymuszonym wdziękiem, była wyjątkowo elegancko ubrana, i Miranda pogratulowała sobie w duchu, że na tę podróż wybrała czarny garnitur od Armaniego.

Kiedy sekretarka opuściła gabinet, Miranda pociągnęła kilka łyków cappuccino, zjadła trufkę, po czym postanowiła zagrać *va banque*.

- Rozumiem, że pan Rawi nadal ma diamenty?
- A więc państwo się znacie.
- Niezupełnie. Ale pofatygowałam się aż do Indii po kamienie, z którymi pan Rawi teraz nie chce się rozstać.

- O ile mi wiadomo, wciąż ma diamenty, chociaż trudno powiedzieć, jak długo jeszcze pozostaną jego własnością. Są to absolutnie niezwykle okazy, jednak suma, której zażądał, przekroczyła moje możliwości. Sześciocyfrowa cena za kamień byłaby dla mnie jeszcze do przyjęcia, ale siedmiocyfrowa już, niestety, nie. Naturalnie te diamenty są tak naprawdę bezcenne, więc z pewnością szybko znajdzie na nie kupca - zwłaszcza w Genewie.

Miranda powiodła wzrokiem po odległych szczytach Alp, wciąż jeszcze zaśnieżonych pomimo cieplej, późnowiosennej pogody. Ogarnęło ją głębokie rozgoryczenie. Czemu Rawi nie chciał powierzyć jej diamentów, skoro z taką łatwością udało mu się przywieźć do Szwajcarii antyczną biżuterię? To wzbudziło w niej jeszcze większą niechęć do tego człowieka. A potem przypomniała sobie o innej, ważnej dla niej sprawie.

- Panie Ariel, gdy pan Rawi pokazywał panu kolekcję, czy nie zauważył pan wiktoriańskiego medalionu żałobnego?

Ariel wyraźnie się zdziwił, po czym pokręcił głową.

- Nie, nie zauważyłem nic podobnego. A ponieważ byłby to niewątpliwie osobliwy eksponat wśród skrzących się od klejnotów kolczyków do nosa i bransolet maharani, więc z pewnością nie umknąłby mojej uwagi.

To już dopełniło czary gorczy.

- Cóż, może w takim razie obejrzą pańskie diamenty.

Opuściła budynek, wybrawszy uprzednio na aukcję dwa identyczne, dwunastokaratowe, żółte diamenty o trapezowym szlifie oraz jeden nieco mniejszy brylant o niezwyklej, ametystowej barwie. Ariel zapewnił, że kamienie zostaną dostarczone do Hanovers w odpowiednim czasie. Był to niewielki zakup, ale i tak poprawił Mirandzie humor oraz dodał śmiałości do działania.

Zadzwoiła do Charlotte, by się pochwalić drobnym sukcesem i poinformować, że zostanie w Genewie do następnego dnia (zatrzyma się w Marriotcie), ponieważ zamierza podążyć jeszcze pewnym tropem.

Z apartamentu na jedenastym piętrze miała wspaniałą widok na majaczące w oddali Alpy, których śnieżne szczyty skrzyły się na tle



szafirowego nieba. Ten niezwykle, niezniszczalny twór natury nappełnił ją przekonaniem, że wszystko jest możliwe.

Usiadła na olbrzymim łóżku, chwyciła za słuchawkę i - sprawdzisz, że obiektu jej poszukiwań nie ma w Marriocie - poprosiła telefonistkę o połączenie ze wszystkimi pięciogwiazdkowymi hotelami międzynarodowych sieci. Rawi nie zatrzymał się w żadnym z nich i Miranda doszła do przynębiającego wniosku, że już wyjechał z Genewy. Być może znajdował się w tej chwili w drodze powrotnej do Indii? Nie. To mało prawdopodobne. Tam zaczęła się już pora monsunowa. Rawi zapewne miał drugi dom gdzieś w Europie.

Właśnie wtedy telefonistka zasugerowała, że warto podzwonić po mniejszych, bardziej ekskluzywnych hotelach, i rzeczywiście, okazało się, że niejaki pan Rawi zamieszkał w niewielkim luksusowym pensjonacie na przedmieściach miasta.

Miranda nie zastała Rawiego, ale zostawiła dla niego wiadomość i numer swojej komórki, po czym przezwyciężyła pokusę, by się wsunąć pod satynową kapę łóżka, i wyszła na lunch.

Nie lubiła chodzić po sklepach w tej części Genewy - Vuitton i Gucci to nie był jej styl, nie interesowały ją futra ani akcesoria ze skóry aligatora, no i w ogóle nie nosiła zegarka. A tymczasem było tu tyle jubilerskich sklepów, że się poczuła jak na New Bond Street. Tak więc po lunchu złożonym z płatków delikatnie wędzonego łososia, podanego z kremowym serkiem i ciepłym, chrupkim pieczywem - zawędrowała nad jezioro i usiadła na zalanej słońcem ławce. Przez chwilę przyglądała się łabędom sunącym majestatycznie po wodzie i zastanawiała się, czym zapęnić czas oczekiwania na telefon od Rawiego. I wówczas przypomniała sobie, że wychodząc z domu, wsunęła do torebki „Hinduską księżniczkę”, napisaną przez Sarę O'Reilly, z myślą, że się zabierze do lektury w samolocie. W końcu jednak podczas lotu ograniczyła się do kartkowania „Vanity Fair” i „Harper's Bazaar”.

Miranda wyjęła książkę z torby. Susana obłożyła okładki przezroczystym plastikiem, co zapewne robiła odruchowo, mając do czynienia ze starymi książkami. Kartki były mięsiste, pokryte małą czcionką i wydzielaly nieznaczny zapach stęchlizny. Rozdział pierwszy zaczynał się mniej więcej w połowie strony i był poprzedzony ozdobnikiem w kształcie wygiętego strusiego pióra.

Saraswati nie zamierzała zostać żoną żadnego z wieśniaków; marzyła, by się przyłączyć do Zuffar Plutun - legendarnej armii nieulekłych kobiet wojowniczek. Widziała je raz w życiu, jak przemknęły galopem przez wioskę - w białych turbanach, skrywających włosy, z błyszczącymi kindzałami i zakrzywionymi szablami u pasa. Mężczyźni uśmiechali się za ich plecami, chichotali nerwowo na widok jaskrawych tunik i spodni ze skór jaków, ale tak naprawdę odetchnęli z ulgą dopiero wtedy, gdy zniknęły z zasięgu wzroku. Saraswati nikomu się nie zwierzyła ze swojego sekretne-go marzenia, ale w głębi serca czuła, że jeżeli tylko starczy jej odwagi, może stać się wolna.

Kiedy po raz pierwszy tańczyła podczas święta Diwali - Festiwalu Świąteł - wysoko oceniano i chwalono płynne ruchy jej nadgarstków i giętkość członków, więc ojciec zdecydował, że musi się dalej szkolić w tej sztuce. Bogaci admiratorzy często kupowali tancerki, by zostały ich konkubinami, a niekiedy nawet żonami. A ona miała już trzynaście lat - wystarczająco dużo, by wyjść za mąż.

Saraswati nigdy nie widziała maharadży, do którego należała cała wioska, wszyscy wieśniacy i skarby rzeki. Żona miejscowego kapłana mówiła, że ściany w jego pałacu są wyłożone mozaikami z lapis-lazuli i diamentów, więc przypominają niebo roziskrzone gwiazdami. Powiedziała też, że władca ma u siebie sługę, który tak potrafi ociosać każdy kryształ, że błyszczy jak łzy bogów. Saraswati w to już nie uwierzyła - bogowie przecież nie ronili łez, bo nie mieli najmniejszych powodów do płaczu.

Dostała imię Saraswati na cześć rzeki i bogini, ponieważ się urodziła niespodziewanie, gdy jej matka kucąca na płyciźnie i prała, uderzając tkaniną o kamień. Saraswati wyśliznęła się z jej łona wprost do wody i pływała zadowolona, póki nie nadbiegły inne kobiety. Wieśniacy wierzyli, że legendarna rzeka Saraswati, opisana w świętych pismach, jest tą samą rzeką, która dawała im utrzymanie, chociaż w północnych Indiach wiele ludów żyjących nad różnymi wodami utrzymywało, że to ich rzeki czy strumienie są właśnie tymi wyjątkowymi. Ale tam gdzie się urodziła Saraswati, wody często niosły ze sobą aluwialne diamenty, co uważano za

niepodważalny dowód, że jest to rzeka bogini, która przecież wyskoczyła z ust Brahmy, przystrojona drogocennymi kamieniami.

Saraswati marzyła, by poczuć twardy kryształ pod stopami podczas nocnej kąpieli w wodach rzeki. Zawsze wchodziła w jej nurt wtedy, gdy Wenus wisiała nad horyzontem, bo była to najpomyślniejsza pora na poszukiwanie diamentów. Saraswati dobrze wiedziała, że jeden mały kamień potrafi uczynić z biedaków bogaczy, jeśli miałoby dość odwagi, aby go zatrzymać.

Rozmyślała, jak i gdzie mogłaby ukryć kryształ, by w odpowiednim czasie zanieść go do Benaresu i sprzedać kupcowi handlującemu drogocennymi kamieniami. Wówczas jadłaby ryż ze złotych misek, nacierała ciało perfumowanymi olejkami i nosiła sari z najdelikatniejszego jedwabiu. Stałaby się kimś ważnym.

Zadzwęczała komórka Mirandy.

- Miss Godfrey? Tu Sziwal Rawi.

Miranda wzięła głęboki oddech, napominając się w duchu, że musi być rzeczowa i opanowana.

- Panie Rawi, dziękuję, że pan dzwoni. Czy istnieje możliwość, byśmy się jeszcze dzisiaj spotkali i porozmawiali o pańskich diamentach?

Zapadła chwilowa cisza.

- Czy zechciałaby mi pani powiedzieć, skąd wie o tych kamieniach?

- Pracuję w Hanovers, w Londynie. Niedawno byłam w Benaresie, gdzie spotkałam się z pańskim agentem, a dzisiaj rano pan Ariel pokazał mi biżuterię, którą właśnie zakupił. Natychmiast ją rozpoznałam.

- I postanowiła mnie pani wytropić? - Rawi zdawał się rozbawiony.

- Właśnie. Czy mam rozumieć, że diamenty są nadal na sprzedaż?

- Owszem, ale nie na aukcji.

- Czy mogę spytać dlaczego?

- Odradzono mi podobny krok.

Zachować spokój!

- Panie Rawi, może jednak moglibyśmy się spotkać... powiedzmy, wieczorem, jeżeli nie ma pan innych zobowiązań?

- Nie mam. Czy zna pani „Hotel du Lac”?

Ledwo Miranda zakończyła rozmowę, a dotarło do niej, że nie zabrała do Szwajcarii żadnego stroju, który mogłaby włożyć na kolację w takiej restauracji - genewskim odpowiedniku londyńskiej „Ivy”. Przypomniała

sobie szybko, że w starej, średniowiecznej części miasta znajdują się butiki z mniej konserwatywnymi kolekcjami. Nie potrzebowała wymówki, by kupić eleganckie ciuchy, ale gdyby było inaczej, kolacja w „Hotel du Lac” z potomkiem hinduskiego księcia byłaby wymówką idealną. Taka okazja niemalże uzasadniałaby użycie firmowej karty kredytowej. Niemalże.

Strome, brukowane uliczki i domy z kamienia górowały nad modernistyczną architekturą, położoną w niższej części miasta - niemal jak warowne mury, broniące wstępu nowoczesności do tej historycznej enklawy. Tutaj strzelały w górę kościelne iglice i przyciągały tajemnicą mroczne zaułki, przy których stały sklepiki z tradycyjnymi wyrobami rzemieślniczymi: drewnianymi zabawkami, krowimi dzwonekami i ręcznie formowanymi czekoladkami.

Miranda znalazła idealny strój w niewielkim butiku, ukrytym pomiędzy dwoma wiekowymi domami. Projektantka pochodziła z Niemiec i niedawno weszła na rynek. Satynowy ciemnogrnatowy płaszczyk kończył się tuż nad kolanem, podobnie jak prosta spódnica z tej samej tkaniny. Do tego Miranda wybrała srebrzystoszarą, dopasowaną bluzkę o kroju przypominającym gorset, zapinaną z przodu na maleńkie srebrne guziczki. Z czarnymi wysokimi szpilkami całość przedstawiała się oszalałająco. Potwierdziła to reakcja sprzedawczyni, która gwizdnęła cicho, po czym oznajmiła, że „on” z pewnością będzie zachwycony. Wówczas dotarło do Mirandy, że właśnie na tym jej zależało, chociaż - naturalnie - szła na tę kolację w celach czysto zawodowych.

Resztę popołudnia spędziła w hotelowym pokoju nad książką Sary O'Reilly. Z początku męczył Mirandę staromodny, rozwlekły styl, ale po jakimś czasie wciągnęła ją opowieść o jasnowłosej, ubogiej dziewczynce, która całymi dniami siedziała nad rzeką, czekając na powrót rybackich łodzi. W końcu - gdy Miranda już się znecierpliwiła - okazało się, że dziewczynka spędzała tak wiele czasu nad wodą z tęsknoty za zmarłym ojcem, który niegdyś wyruszał w morze na połów śledzi. Wkrótce córka rybaka zaprzyjaźniła się z tajemniczym Hindusem i on opowiedział jej o swojej „wielkiej miłości”, dla której zrobiłby absolutnie wszystko. Mała doszła do wniosku, że ukochana przyjaciela musiała być księżniczką, bo mieszkała w pałacu i była wyjątkowo piękna. Po paru kolejnych stronach stało się oczywiste, że jasnowłosa dziewczynka zakochała się w hinduskim chłopcu i teraz nie było rzeczy, której by dla niego nie zrobiła.

„Hotel du Lac” okazał się majestatycznym, białym budynkiem o barokowej fasadzie - jak na gust Mirandy nieco przeładowanej, przywołującej na myśl weselny tort. Szerokie marmurowe schody wiodły do drzwi z dymnego szkła, które otworzył przed nią portier w liberii.

Zauważyła Rawiego natychmiast - siedział w barze nieopodal wejścia do restauracji, w białej koszuli bez krawata, w eleganckim czarnym garniturze, i sączył z wolna martini. Na jej widok wstał i wyciągnął dłoń.

- Miss Godfrey.

- Proszę mówić mi Miranda. Nie sądziłam, że mnie pan rozpozna.

Przez ułamek sekundy Rawi zdawał się lekko zmieszany.

- Muszę wyznać, że widziałem cię tego dnia, gdy przyszłaś do muzeum. A ściśle mówiąc - kiedy wychodziłaś.

Jeżeli zrobił na nim wrażenie jej wygląd, nie dał tego po sobie poznać. Ona więc też usilnie się starała nie okazywać, jak bardzo jej się spodobał.

- Czy napiłabyś się czegoś przed kolacją?

Miranda skinęła głową, poczekała, aż Rawi zamówi martini, po czym wdała się z nim w lekką, niezobowiązującą rozmowę. Gdy uważniej przyjrzała się mężczyźnie, zauważyła, że jego rysy - z pewnej odległości idealne - miały jednak drobne niedoskonałości. Jedno oko lekko umykało w bok, nos zdawał się o parę milimetrów za długi, a pełne usta nieco nierówne. Niemniej ogólny efekt ścinał z nóg i pomimo delikatnego zęza najbardziej intrygujące były oczy - złotobrązowe, ocienione długimi czarnymi rzęsami, o inteligentnym spojrzeniu. Miranda zrozumiała też, dlaczego Susana nie do końca ufała temu mężczyźnie. Odznaczał się doskonałymi manierami, miał w sobie wiele uroku i był piekielnie atrakcyjny, a przy takiej kumulacji zalet aż nie sposób uwierzyć, że do tego wszystkiego mógłby być jeszcze uczciwy i przyzwoity. Rawi zadał kilka pytań dotyczących jej osoby - skąd pochodzi; jak to się stało, że zaczęła pracować dla Hanovers; co sądzi o Indiach (bardzo starannie dobierała słowa, wypowiadając się w tej kwestii, ale i tak Rawi uśmiechnął się pod nosem), a potem sam opowiedział jej nieco o sobie. Okazało się, że skończył antropologię na Uniwersytecie Cambridge i zamierzał się poświęcić karierze naukowej, ale wówczas zmarł jego ojciec, a starszy brat wstąpił do klasztoru w Tybecie, więc to na niego spadła odpowiedzialność za „rodzinny interes”.

- Zgłodniałaś? - spytał, gdy zauważył, że Miranda zjadła połowę drobnych przekąsek, ustawionych na barze. - Może przejdziemy do restauracji?

Zarezerwowany stolik znajdował się w utworzonej przez dwie eleganckie kolumny, niewielkiej alkwie o dyskretnym oświetleniu. Miranda przez chwilę się zastanawiała, czy ten wybór był celowy. Jak do tej pory żadne z nich nie wspomniało o diamentach, i uznała, że nadszedł czas, by o nich porozmawiać. Rawi jednak zdołał ją ubiec. Gdy tylko nalano im wina, opadł swobodnie na oparcie krzesła i popatrzył jej prosto w oczy.

- Zapewne się zastanawiasz, dlaczego nagle postanowiłem nie sprzedawać kamieni na aukcji?

- Owszem. Ciekawa też jestem, czemu ostatecznie się zdecydowałaś rozdzielić kolekcję.

- Niektóre moje przedsięwzięcia wymagają pilnych nakładów finansowych. Czy zwiedziłaś pałac, kiedy przyszłaś obejrzyć biżuterię?

Miranda pokręciła głowę.

- Budynki trzeba poddać natychmiastowej renowacji. W Indiach nie istnieje instytucja choćby w najmniejszym stopniu przypominająca wasz National Trust\*, nie sposób też zainteresować prywatnych inwestorów restauracją historycznej substancji. Każdy, kto ma pieniądze, inwestuje w nowoczesne budownictwo i technologie, by Indie stały się mocarstwem na współczesnym globalnym rynku. Z tego samego powodu nie zgadzałem się na rozdzielenie kolekcji - w Indiach nikt by nie kupił starej biżuterii.

\* Brytyjska organizacja charytatywna o bardzo szerokich uprawnieniach, otaczająca ochroną zabytki i miejsca o wyjątkowych walorach krajobrazowych (przyp. tłum.).

- Ale przecież musiałeś wiedzieć, że żaden pracownik domu aukcyjnego nie podjąłby się wywozu tak wiekowych klejnotów!

Rawi roześmiał się cicho.

- Warto było spróbować. Pomyślałem, że gdyby ci wyjątkowo zależało na diamentach, mogłabyś zrobić to, co zrobiłem osobiście - przetrzymać biżuterię do Szwajcarii...

- Ale to nielegalne.

Rawi wzruszył ramionami.

- Prawo w Indiach jest bardzo elastyczne. Rzecz w tym, że zdecydowałem, jakie prace renowacyjne są w tej chwili najpilniejsze, i kierując

się potrzebami, ustaliłem, ile chcę dostać za kamienie. Nie mogę ryzykować, że na aukcji pójdą za niższą cenę, dlatego zamierzam odwiedzić tu kilku dealerów, a potem sprawdzić jeszcze rynek w Antwerpii, Londynie i Nowym Jorku.

- Możemy przecież ustalić wysokość rezerwy, poniżej której nie zlicytujemy diamentów.

- Doceniam to, ale prawdę mówiąc, zainteresowanie kamieniami jest tak duże, że nie sądzę, by aukcja coś zmieniła. Przykro mi, że muszę cię rozczarować.

Miranda bardzo się starała, by nie okazać przygnębienia. Teraz już miała poważne powody, by się martwić o losy aukcji. Dla zachowania pozorów zaczęła wykazywać ożywione zainteresowanie przystawką, która się właśnie przed nią pojawiła - wymyślną kompozycją subtelnych kolorów i smaków, gustownie zaaranżowaną na ogromnym białym talerzu.

- Posłuchaj, osobiście jestem przekonana, że na aukcji osiągnąłbyś dużo wyższą cenę niż ta, której żądasz. Londyńscy kolekcjonerzy od lat nie widzieli podobnych kamieni. Gwarantuję, że zrobiłyby furorę. Ponadto już zaczęliśmy promować aukcję... - Urwała gwałtownie. Wyraz twarzy Rawiego jasno wskazywał, że nie zmieni zdania. Strzepiła język na próżno.

- Bardzo mi przykro - powtórzył.

Miranda pogrzebała widelcem w jedzeniu, po czym podniosła wzrok.

- Kiedy oglądałam kolekcję w Benaresie, zauważyłam dość osobliwą sztukę biżuterii... wiktoriański medalion... nie ma go wśród klejnotów, które sprzedałeś Arielowi.

Rawi szczerze się zdziwił.

- Wydał mi się raczej bezwartościowy. Czyżbym się pomylił?

- Nie. Biżuteria żałobna nie ma szczególnej wartości materialnej, jest natomiast cenna dla kolekcjonerów, do których i ja się zaliczam. Prawdę powiedziawszy, zastanawiałam się, czy nie zechciałbyś mi sprzedać medalionu...

Odłożył sztućce i spojrzął na nią ze szczególnie miną, której wymowy nie umiała zinterpretować.

- Jesteś kolekcjonerką?

- Wydajesz się zdumiony.

- Tak... ale tylko dlatego, że robisz wrażenie... tak bardzo zorientowanej na sukces... ciągle w biegu...

- Czyżby ambicja się kłóciła z kolekcjonerską pasją?

Rawi się uśmiechnął, jakby sprawiał mu przyjemność ich słowny sparring.

- Powiedziałbym, że typowy kolekcjoner to samotnik i ekscentryk lub, jak moi przodkowie, ktoś nieprzyzwoicie bogaty i znudzony.

- Cóż, nie jestem ani znudzona, ani bogata - przykro mi, że burzę twoją koncepcję.

Jest aż nadto opanowany, pomyślała Miranda. Uśmiecha się enigmatycznie, ma na wszystko gotową odpowiedź i jak do tej pory ani na moment nie stracił rezonu. Emanował pewnością siebie i spokojem. To ją deprymowało.

- Ty też nie wyglądasz na kogoś, kto studiował antropologię i zamierzał się poświęcić pracy naukowej.

- Cieszę się, że nie jestem przewidywalny. Chcę jednak wierzyć, że jeszcze ułożę sobie życie zgodnie z marzeniami. Gdybym w to nie wierzył, nie byłbym w stanie wykrzesać z siebie dość energii na to, czym się zajmuję. Obecnie wszystko w moim życiu obraca się jedynie wokół rozpadającej się budowli, a podobna metafora nieszczególnie przypada mi do gustu. Jednak kiedy już rozwiążę problemy muzeum. .. - Rawi zawiesił głos, jakby się zastanawiał, czy wtajemniczyć ją w swoje sprawy - ...najprawdopodobniej je sprzedam.

Miranda spojrzała na niego uważniej i po raz pierwszy zauważyła nieznaczące cienie pod oczami i siwe nitki we włosach. Może dlatego, że na ułamek sekundy opuścił gardę, ale ta chwila błyskawicznie minęła i znowu był pewnym siebie, lekko zdystansowanym mężczyzną o cudownych, złocistych, śmiejących się oczach.

- Byłbyś gotowy sprzedać swoje rodzinne dobra?

Rawi wruszył ramionami.

- Naturalnie. To nie jest jakaś wyjątkowa gałąź przemysłu, pieczołowicie rozwijana przez pokolenia - ten „interes” nie został zbudowany na ciężkiej pracy własnych rąk, ale na podatkach biedaków.

- Słyszałam, że jeden z twoich przodków miał szczególny amulet, zdobiony dziewięcioma diamentami. - Miranda uznała, że nie do niej należy opowieść o listach Lily. Takiej informacji powinna udzielić mu Susana.

- Tak, ja również słyszałem tę mityczną opowieść. Ojciec mi mówił, że ów przodek skończył dość marnie. Rozsmakował się w dżinie



i szampanie, a także nieustannie pomstował, że Brytyjczycy pozbawili go tradycyjnego zajęcia, przekazywanego w naszej rodzinie z ojca na syna - a mianowicie prowadzenia rozlicznych lokalnych wojen. Skonał we własnym łóżku, a nie na polu bitwy.

- Czy wierzysz, że to właśnie amulet z diamentami - jeżeli istniał - ściągnął na niego nieszczęście?

- Niewykluczone, ale nie w takim sensie, jaki zapewne masz na myśli. Każda obsesja - czy to na punkcie diamentów, czy... powiedzmy... słodyczy lub kochanki - jest chora i wcześniej czy później prowadzi do poważnych problemów. Diamenty od dawna się uważa za przyczynę wielu ludzkich nieszczęść, osobiście jednak jestem zdania, że przede wszystkim należałoby się przyjrzeć ludziom dotkniętym owymi nieszczęściami. Istnieje wiele opowieści o indyjskich książętach, którzy podchodzili do diamentów w dość ekscentryczny sposób. Na przykład jeden z nizamów Hajdarabadu zakupił kamień o wadze stu osiemdziesięciu karatów, ale nie bardzo wiedział, co z nim począć, więc wykorzystywał go w charakterze przycisku do papierów. Po jakimś czasie wrzucił diament do szuflady i zapomniał o jego istnieniu. Wiele lat później syn nizama znalazł ów kamień, wciśnięty w czubek jednego z książęcych pantofli.

Miranda parsknęła śmiechem.

- Diamentowy przycisk do papierów - właśnie czegoś takiego mi trzeba, żeby aukcja zakończyła się sukcesem!

- Podchodzisz do tego wydarzenia z zadziwiającym spokojem, rozumieć więc, że w katalogu aż się roi od niezwykłych kamieni.

- Nie daj się zwieść pozorom. Tak naprawdę jestem w stanie paniki - choć to zazwyczaj pobudza mnie do działania. Gdy zaś chodzi o katalog rojący się od niezwykłych kamieni - to na razie marzenie ściętej głowy! Prawdę mówiąc, jak tak dalej pójdzie, aukcja się zakończy spektakularną klapą. - Ledwo wypowiedziała te słowa, ugryzła się w język - jakże nieprofesjonalnie to zabrzmiało! - Ale moim wyznaniem w żadnym razie nie zamierzałam wzbudzać w tobie poczucia winy!

- Nic podobnego się nie stało. W interesach nie należy się kierować sentymentami. A więc spodobał ci się żalobny medalion? - rzucił w zamysleniu. - Zapewne jest gdzieś wśród błyskotek, których nie zdecydowaliśmy się wystawiać na sprzedaż. Porozmawiam o tym z moim asystentem. Czy masz wizytówkę?

Miranda podała mu kartonik, a kiedy zobaczyła, jak wiele wizytówek tkwi w jego portfelu, doszła do wniosku, że nie ma co liczyć na ponowny kontakt z Rawim. A więc tym bardziej powinna się zrelaksować i cieszyć niezwykłym wieczorem. Ostatecznie jadła kolację w towarzystwie przystojnego księcia.

## XIII

### MERKURIUSZ LONDYŃSKI 9 CZERWCA 1864

#### **MORDERCA ARESZTOWANY**

Wreszcie my, bogobojni obywatele Londynu, możemy zasnąć spokojnym snem sprawiedliwych, jako że zwyrodniały morderca ni mniej, ni więcej, ale aż trzech bezbronnych ludzi znalazł się w Bridewell, skąd w odpowiednim czasie zostanie przetransportowany do więzienia Newgate - a stamtąd powędruje już wprost na szubienicę. Nadchodząca egzekucja z pewnością będzie radosnym spektaklem dla wszystkich zacnych ludzi, żywiących niezachwianą wiarę, że zbrodniarze winni płacić za odrażające zbrodnie.

Oskarżony, znany jako Święty Joe, jest osławionym złodziejem i wyrafinowanym w swym zdeprawowaniu zoczyńcą. To potężne, groźnie wyglądające indywiduum nigdy się nie rozstawało ze swoją procą i właśnie strzałem z tejże ogłuszało ofiary, by potem bezlitośnie dusić je na śmierć.

Funkcjonariusze z Marlborough Street są przekonani, że intencją mordercy było przechwycenie kolekcji indyjskich diamentów, które przeszmulowano przy Temple Pier. By osiągnąć swój cel, ów bezduszny łotr najpierw pozbawił życia urzędnika portowego Herberta Peaseya - który pierwszy zetknął się z kamieniami i przymknął oko na ich przemyt. Ale zanim udusił młodego skorumpowanego spedytora, wy dobył od niego informację o miejscu przechowywania diamentów. Następnie z zimną krwią zabił jubilera Finkelsteina, który, według policji, wykonywał szczególny klejnot z owych kamieni. Ostatnią ofiarą był Hindus, człek znany oskarżonemu, więc - jak się sądzi - świadek jego najmroczniejszych knował.

Gdzie jednak morderca ukrył klejnot skradziony jubilerowi - pozostaje do dziś jego dobrze skrywaną tajemnicą.

Susana wyłączyła przeglądarkę mikrofilmów, by dać odpocząć oczom. Sara O'Reilly w liście do Lily zapewniała o niewinności Świętego Joego, ale z tego samego listu jasno wynikało, że rzeczywiście go powieszono.

Archiwum prasy było niemal wyludnione - tylko na jeszcze jednym stanowisku siedział mężczyzna, którego profil wydawał się Susanie dziwnie znajomy. Do zamknięcia zostało zaledwie dwadzieścia minut, włączyła więc z powrotem przeglądarkę i mrużąc oczy, wpatrzyła się w powiększone egzemplarze „Merkurjusza” z 1864 roku - na oryginalnej kliszy mikrofilmu nie większe od znaczka pocztowego. Przebiegała wzrokiem łamy maleńkiego druku, aż natknęła się na esej - najpierw jeden, potem kilka następnych, znajdujących się na kolumnie zatytułowanej „Wyjątkowe kobiety autorstwa pana Evansa”. Pośpiesznie wydrukowała wszystkie, zerkając nerwowo na zegarek i tak szybko przebiegając od jednego artykułu do drugiego, że druk stawał się ledwo czytelny.

W momencie kiedy w jej stronę ruszyła jedna z archiwistek, Susana właśnie znalazła to, czego szukała najpilniej. Skinęła kobiecie głową, wytłumaczyła, że jest w połowie drukowania i obiecała, że już za chwilę wyjdzie. Archiwistka podeszła do mężczyzny siedzącego na pobliskim stanowisku i kiedy się odwrócił, Susana ujrzała wyraźnie jego twarz. Był to Giles. On też ją od razu rozpoznał i podszedł, by się przywitać.

- Susana, prawda?
- Witaj, Giles. Co tu porabiasz?
- Przeglądam archiwa związane z aukcjami sztuki, co - jak zapewne dobrze wiesz - jest ponurym sposobem spędzania czasu.
- Dla mnie jak najbardziej naturalnym - odparła Susana z uśmiechem. - Czy szukałeś jakichś konkretnych informacji?
- Dziś nie. Chciałem się ogólnie zorientować, jakie rzeźby i posągi mogą się znajdować obecnie w prywatnych zbiorach.

Giles zerknął przez ramię Susany na ostatni artykuł, jaki drukowała z mikrofilmu. Był to esej Lily Korechnya na temat Kali.

- Czarna bogini zdaje się ostatnio wszechobecna. Właśnie wróciłem z Indii, gdzie w końcu udało mi się zdobyć posąg Kali do kolekcji Louisa.
- Louis kolekcjonuje jej posągi? - Susana mimowolnie się wzdrygnęła, a Giles wybuchnął śmiechem.

- Wielkie nieba! W żadnym razie. Nawet Louis nie mógłby strawić całej armii ośmioramiennych kobiet z wywieszonymi językami, ociekającymi krwią. Nie, jego kolekcja jest o wiele bardziej urozmaicona.

Susana opuściła archiwum w towarzystwie Gileasa, z całym naręczem papierów, zadowolona, że wreszcie się wyrwała z klaustrofobicznego stanowiska. Jakby czytając w jej myślach, Giles powiedział:

- O wiele przyjemniej prowadzić badania w głównej sali archiwum, prawda?

Tak było w istocie. W przestronnym pomieszczeniu, przylegającym do działu mikrofilmów, znajdowały się długie stoły, a wysokie okna wpuszczały sporo światła. Tam czytało się kopie najdłużej wychodzących w Anglii dzienników - o kruchych, pożółkłych stronach - które zebrano w opasłe tomiska i oprawiono w solidną skórę. Niestety, „Merkuriusz Londyński” był dostępny jedynie na mikrofilmach.

Na zewnątrz Giles pożegnał się z nią uprzejmie i życzył powodzenia w pracy. Susana natomiast skierowała się w stronę stacji, rozmyślając po drodze, jak ze statystycznego punktu widzenia przedstawia się prawdopodobieństwo spotkania w archiwum kogoś, kogo poznała w Benaresie. Cóż, powinna się cieszyć, że się nie natknęła na Louisa. \_

Gdy tylko pociąg ruszył ze stacji Colindale, Susana wyjęła ostatni opublikowany artykuł z plastikowej koszulki, w której umieściła wszystkie zdobycie tego dnia skarby.

## MERKURIUSZ LONDYŃSKI 6 GRUDNIA 1864

### WYJĄTKOWE KOBIETY AUTORSTWA PANA EVANSA NAJBARDZIEJ WYJĄTKOWA Z KOBIET

W obecnej epoce industrializmu, wielkich dokonań ludzkości, a jednocześnie kulturowania cnót moralnych przez ponurych, bogobojnych chrześcijan, zbyt często zapominamy o wielkich mitach i legendach, tworzących zręby naszej cywilizacji. Dla europejskiego duchowieństwa niewątpliwym źródłem konfuzji jest najbardziej utrwalona i potężna ikona w historii niemal każdej kultury i religii - wielka bogini matka. O Kali, budzącym największą trwogę indyjskim bóstwie, krąży szczególnie legenda. Podobno wielki król imieniem Ramaditja otrzymał we władanie od owej bogini całe ziemskie imperium, ale rządzić miał nim do czasu,

aż się pojawi dziecię zrodzone z dziewicy, którego ojcem będzie cieśla. Po tysiącu latach Ramaditja przypomniał sobie o przepowiedni i nakazał poszukiwanie dziecka, zamierzał je bowiem zgładzić, by nadal władać światem. Zginął jednak w walce z jednym ze swoich rywali i tak się rozpoczęła trwająca po dziś dzień Era Kali.

To nie wszystkie osobliwe podobieństwa w religijnych tradycjach Hindusów i Hebrajczyków. Pewien hinduistyczny przewodawca, Menu, pod wieloma względami przypomina patriarchę Noego, jeżeli zaś w imieniu wielkiego boga stwórcy - „Brahma” - przestawimy nieznacznie litery, otrzymamy „Abraham”, natomiast imię boskiej małżonki Brahmy - Saraswati - zawiera w sobie imię żony Abrahama - „Sara”.

Chrześcijanie i Żydzi mogą argumentować, że obca kultura przywłaszczyła sobie postaci z ich mitów religijnych, roztropność jednak nakazywałaby mieć na uwadze fakt, że hinduizm jest systemem o stulecia starszym, i zastanowić się, czy przypadkiem wielkie religie zachodniego świata nie ze Wschodu czerpały swoją inspirację.

Podczas pobytu w Benaresie, tym najświętszych z hinduskich miast, zafascynowała mnie postać uprzednio wspomnianej bogini Kali, ponieważ żadne inne bóstwo tego skomplikowanego systemu religijnego nie wzbudza tak wiele strachu i rewerencji zarazem. Świątynie Kali buduje się na obrzeżu wiosek i miast, w pobliżu miejsc kremacji, jako że żywiołem owej bogini jest sfera, gdzie doczesność przechodzi w nicność. A kremacja - wedle hinduistycznych wierzeń - prowadzi do sublimacji wszystkiego, co wiąże ludzką istotę z tym światem, a w szczególności: strachu, gniewu i pożądania. Ograniczenia i ignorancja giną w ogniu pogrzebowego stosu, który za sprawą Kali może się zmienić w płomień oświecającej wiedzy.

W sercu Benaresu leży świątynia tej bogini, zbudowana przed wieloma wiekami. To tutaj właśnie wyznawcy oddają cześć wielkiej matce i błagają o powodzenie w batalii - czy to duchowej, czy też o przetrwanie.

Teraz w Benaresie rozpełtała się nowa batalia - pomiędzy brytyjską radą municypalną, która zaciągnęła pożyczkę na rozbudowę systemu wodno-kanalizacyjnego, a mieszkańcami lokalnej społeczności. Dług ma zostać spłacony poprzez podniesienie podatków mieszkańcom, którzy są

już i tak zbyt ubodzy, by regulować dotychczasowe obciążenia. Na tym jednak nie koniec - na miejsce pod budowę stacji pomp wybrano święty grunt, na którym stoi świątynia Kali - najstarsza, do dziś istniejąca świątynia w Benaresie.

Ci, którzy z nieufnością patrzą na poczynania brytyjskich urzędników, twierdzą, że to celowy atak na religijne wierzenia Hindusów - obraza ich wielkiej matki. Tysiące petycji przekazano władzom z błaganiem o zachowanie świątyni, mimo to nadal nie odstąpiono od planów jej wyburzenia.

Można by nawet powziąć podejrzenie, że dąży się do zniszczenia tej świętej budowli, ponieważ Kali wzbudza największy strach w Brytyjczykach - z politowaniem bowiem patrzy ona na wszystko, co materialne, a czyż nowa epoka industrializmu nie zasadza się na wierze w potęgę materii? Kali pogardza ludzkimi ułomnościami - strachem, przywiązaniem i pożądaniem. A właśnie one najintensywniej napędzają potężne maszyny przemysłu.

Susana złożyła starannie wydruk i uśmiechnęła się pod nosem. Właśnie tego typu tekst miała nadzieję znaleźć - prezentujący mniej konwencjonalne podejście do kultury Indów niż to przedstawiane w konserwatywnych artykułach Emmy Roberts. Teraz wreszcie wiedziała, jak skonstruować długi rozdział, poświęcony Benaresowi, miejscu najbardziej intrygującemu dla dziewiętnastowiecznych kobiet, odwiedzających Indie, i to zarówno tych parających się pisarstwem, jak i żon brytyjskich urzędników - w największym stopniu odpowiedzialnych za szerzenie pruderii i bigoterii. A właśnie pruderia i bigoteria doprowadziły do najpoważniejszych wybuchów buntu przeciwko brytyjskim rządóm w Indiach - łącznie ze zbrojnym, krwawym powstaniem. Ostentacyjne podkreślanie przez kolonizatorów wyższości chrześcijaństwa nad innymi wierzeniami oraz pogarda dla hinduskiej kultury i stylu życia leżały u podstaw rebelii sipajów w brytyjskich garnizonach. Z tego samego powodu zaczęły się szerzyć wśród Hindusów pogłoski, że głównym celem obecności Brytyjczyków w Indiach jest chrześcijańska krucjata - co z pewnością było bliskie mentalności angielskich misjonek i misjonarzy, za to dla Hindusów stanowiło kamień obrazy. Susana w swoich badaniach natknęła się na wiele listów od zdjętych zgrozą bogobojnych chrześcijanek, które „tubylców” w najlepszym razie uważały za barwny

element krajobrazu, w najgorszym - za bezwstydnymi, pozbawionymi oglądy, prymitywnymi pogan.

Zanim Susana wróciła do Greenwich Park, zapadał już zmierzch, i czuła, jak bardzo ciężą jej powieki. Wstawanie o świcie może i miało swoje uroki, pod warunkiem jednak, że człowiek kładł się spać o zmroku, a to nie leżało w planach Susany. Weszła do mieszkania, które swego czasu należało do Dana, i rzuciła torbę na podłogę frontowego pokoju. Na automatycznej sekretarce frenetycznie pulsowało światełko, ale nie chciała sprawdzać, kto zostawił wiadomość - a nuż musiałaby oddzwonić.

W kuchni przygotowała prostą kolację - makaron z czerwonym pesto - i naląła kieliszek chianti, które stało otwarte w lodówce. Zjadła szybko, po czym z winem wróciła do frontowego pokoju, gdzie nieomal udało jej się zignorować mrugającą diodę. W końcu jednak westchnęła i pozwoliła, by ciekawość wzięła górę.

- Witaj, Susano. Mówi Louis, mam nadzieję, że mnie pamiętasz - spotkaliśmy się w zeszłym tygodniu w Benaresie. Przyznaję, że zafascynował mnie temat twojej książki, więc z wielką chęcią podyskutowałbym z tobą dłużej o wiktoriańskich damach oraz hinduizmie.

Louis nie wyjaśnił, w jaki sposób zdobył numer jej telefonu, ale zostawił własny. Susana go jednak nie zanotowała. Niespodziewanie ogarnęła ją przeświadczenie, że wpadła w pętlę przedziwnych koincydencji. Najpierw się okazało, że przygodnie poznana Miranda ma prowadzić negocjacje z rodziną, która mogła mieć wielkie znaczenie dla jej badań, potem pojawili się Giles i Louis, poszukujący posągu Kali, a teraz wszystkich czworo los zetknął ze sobą w Londynie... gdyby była przesądna, uznałaby to za zмовę bogów. Louis z pewnością należał do najbardziej interesujących mężczyzn, jakich spotkała od dłuższego czasu, ale nie zamierzała zawierać z nim bliższej znajomości. Gdyby uznała, że ich rozmowa się ograniczy do akademickiej dyskusji - co z pewnością sprawiłoby jej przyjemność - sprawa byłaby prosta. Jeżeli dysponowałaby taką mocą, by w czasie spotkania po prostu zniknąć bez obawy, że Louis będzie nadal szukał z nią kontaktu i próbował wyciągnąć jakieś bliżej nieokreślone informacje - toby się z nim umówiła. Z drugiej strony niewykluczone, że Louis rzeczywiście chciał porozmawiać o kobietach epoki wiktoriańskiej i nie kierowały nim żadne ukryte cele...

Stół był dokładnie w takim stanie, w jakim go zostawiła - zarzucony notatkami, lizkami, książkami i pakietami listów, wyjętymi z pudła Lily. Dawno temu przestał pełnić funkcję stołu jadalnego - dokładnie od czasu, gdy Susana przekształciła maleńki gabinet w magazyn książek powpychanych do wielkich kartonów. Pewnego dnia zamontuje tam półki od podłogi do sufitu, by mieć te wszystkie tomy na widoku. Jak na razie w bibliotece powoli przekształcał się salon - już całą jedną ścianę zajmował regał z książkami, a do tego dalsze stopy stały na podłodze. Ale Susana dobrze się czuła w towarzystwie książek. Nie przeczytała wszystkich od deski do deski, niemniej ekscytowała ją świadomość, że jeżeli zajrzy do którejś z nich, by sprawdzić konkretną datę czy fakt historyczny, może się nagle natknąć na zupełnie nieznaną jej historię lub postać, które staną się inspiracją do następnych poszukiwań lub zmieniają tok jej myślenia.

Usiadła przy stole, wyjęła z koperty list inspektora Larka i starannie rozłożyła przed sobą na blacie.

10 czerwca 1878

Droga Lily,

Dobiega końca piękny, letni dzień - już niemal zmierzcha - ja zaś nie muszę się stawić na służbie, za co dziękuję losowi, ponieważ odór unoszący się nad rzeką i ulicami jest z racji upału wyjątkowo przykry. Trudno mi znieść miejskie fetory od czasu, gdy podupałem na zdrowiu, a to bardzo niefortunna przypadłość dla człowieka wykonującego mój zawód. Muszę się zapuszczać w takie miejsca Londynu, gdzie w powietrzu zawsze się unosi zapach krwi i zbrodni - szczególnie wyraźnie prześladowuje mnie on w więzieniach. Kiedyś tego nie zauważałem, bo smród najmroczniejszych zakątków tego miasta był dla mnie równie powszedni, jak zapach farby drukarskiej dla pracowników „Merkuriusza Londyńskiego” - lecz teraz zdejmują mnie mdłości. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak wielkim szczęściem jest dobre zdrowie dopóty, dopóki go nie straci.

Czuję, Lily, że wciąż mogę przed Tobą wyrażać szczerze swoje myśli, jak to robię od owego wieczoru sprzed wielu lat, gdy się spotkaliśmy na Waterloo Street tuż przed Twoim pierwszym wyjazdem do Indii. O ile pamiętam, byłem wówczas mocno przygnębiony, bo przyszedłem prosto



z celi Świętego Joego, który chwilę wcześniej przyznał się do niepopelnionych przez siebie zbrodni. Ta sprawa nieustannie mnie prześladowa, bo nie dość, że zawisł niewinny człowiek, to dziewczynki O'Reilly przeżyły głęboki wstrząs, który być może się przyczynił do śmierci małej Ellen. Ale, naturalnie, to już przeszłość, Lily, więc nie powinienem się nad nią rozwodzić.

Chciałem Ci przede wszystkim powiedzieć, że kojący spokój, jaki zawsze odczuwałem w Twojej obecności, był główną przyczyną mojej błędnej oceny sytuacji - utopijnej wiary, że pewnego dnia zgodziłabyś się mnie poślubić. Kiedy otrzymałem Twój perfekcyjnie skomponowany list - zarówno pod względem formy, jak i treści - poczułem ulgę, że wreszcie skończył się dla mnie stan zawieszenia. Bo zrozumiałem natychmiast, że odrzucisz moje oświadczenia. I zdałem sobie sprawę, że powiesz mi „nie” z tych samych powodów, dla których tak bardzo Cię podziwiam. Ty, Lily, jesteś bowiem jak te wędrowne ptaki, które pokonują niezmierzone przestrzenie wraz ze zmianą pór roku. Nie byłabyś już w stanie żyć w jednym miejscu, u boku jednej osoby. Jesteś zbyt subtelna, by mi to powiedzieć wprost, ale ja wiem, że żaden mężczyzna nie zastąpi Ci Franza - co zresztą nigdy nie było moją intencją. Kiedy wyjeżdżałaś z Londynu, mówiąc, że potrzebujesz czasu, by rozważyć moje oświadczenia, natychmiast zdałem sobie sprawę, jak wielki popełniłem błąd, i miesiącami wyrzucałem sobie nieroztropność, aż w końcu szczęśliwie otrzymałem od Ciebie list i z wielką wdzięcznością przyjmuję Twoją hojną ofertę przyjaźni.

Niedawno natknąłem się w redakcji „Merkuriusza” na Sarę O'Reilly i z zainteresowaniem przyglądałem się tej młodej kobiecie, która się pojawiła w miejscu rezolutnego sowizdrzała. Zastanawiałem się swego czasu, czy Queen's College zbyt nie utemperuje jej żywego intelektu, ale z satysfakcją zauważyłem, że nic podobnego się nie stało. Sara natomiast szybko się nauczyła, jak skutecznie wykorzystywać świeżo nabyte maniere i potoczność języka. Septimus Harding pokazał mi eseje, które ostatnio wyszły spod jej pióra i zostaną zamieszczone w najświeższych numerach „Merkuriusza” w nowej kolumnie, zatytułowanej „Niebieskie pończochy”\*, gdzie co tydzień będą przedstawione biografie dwóch kobiet. W swoim pierwszym artykule Sara opisuje niejaką Idę Lewis oraz Alice Tubbs. Panna Lewis jest latarnikiem i śmiało wypuszcza się łodzią

na morze podczas najgorszych burz. Ostatnio wyrwała z objęć Posejdo-  
na trzech irlandzkich pasterzy, ratuje także tonących żeglarzy i do tej  
pory co najmniej kilku mężczyzn zawdzięcza jej życie. Kolejna bohaterka  
eseju była niegdyś klasyczną „angielską różą”, ale wyjechała na amery-  
kański Dzikie Zachód, gdzie zyskała sławę jako Pokerowa Alice, ma bo-  
wiem niezwykle talent do owej karcianej gry. Chętnie pali też cygaretki i  
zawsze nosi przy sobie nabity pistolet, którego nie waha się użyć (nie  
mam pojęcia, skąd Sara czerpie podobne informacje!), gdy któryś z gra-  
czy próbuje nieuczciwie rozdawać karty!

\* Wywodzące się jeszcze z XVIII w, humorystyczne określenie literatek i sufrażys-  
tek (przyp. tłum.)

Żałuję bardzo, że teraz tak szybko się męczę i nie mogę zapisać tylu  
kart, ile otrzymuję od Ciebie. Zauroczył mnie Twój opis wycieczki na  
grzbietach słońi i wędrówek po Himalajach. Ale najgłębszy podziw po-  
czułem, gdy mi doniosłaś, że udało się jednak ocalić świątynię, o której  
zachowanie tak zawzięcie walczyłaś - aczkolwiek przykro mi, że musiało  
dojść do rozlewu krwi. Bardzo też jestem ciekaw, co przed wyruszeniem  
na pielgrzymkę powiedział Ci ów znajomy Hindus, Gowinda, na temat  
lady Herbert i tajemniczych morderstw z 1864 roku.

Nie mogę się już doczekać kolejnych wieści od Ciebie, choć wiem, że  
na tę przyjemność przyjdzie mi czekać przez wiele długich miesięcy.  
Chcę wierzyć, Lily, że jeszcze się spotkamy, gdyby jednak nie było nam  
to pisane, życzę Ci, byś do końca swoich dni zawsze pozostała wolnym  
ptakiem.

Z wyrazami szacunku i przyjaźni

John Lark

## XIV

**N**a pakiecie widniały genewskie stemple pocztowe i Mirandzie w  
przyprawiającym o dreszcz ułamku chwili przebiegło przez głowę, że w  
środku są diamenty. Natychmiast jednak ochłonęła i odrzuciła równie  
absurdalny pomysł - Ariel z pewnością przesłałby kamienie specjalną  
kurierską przesyłką, a nie zwykłą pocztą. Bezceremonialnie rozerwała

więc brzeg wyścielanej dmuchanym plastikiem koperty i wyjęła starannie opakowany przedmiot. Miała wrażenie, że to sztuka jakiejś biżuterii - co jeszcze bardziej ją zaintrygowało. Pośpiesznie się przedarła przez kilka warstw bibułki i aż sapnęła z wrażenia.

- Wszystko u ciebie w porządku? - zakrzyknęła Charlotte zza przepierzenia.

Ponieważ nadeszła właśnie pora lunchu, tradycyjnie pozostały w biurze same. Miranda nie odpowiedziała od razu i Charlotte zmaterializowała się u jej boku.

- Wielkie nieba! A cóż to takiego?

- Biżuteria żałobna. Te lilie utkano z włosów.

Charlotte wzdrygnęła się teatralnie i wydała z siebie pełen obrzydzenia odgłos.

- Skądś ty to wytrzasnęła?

- Długo by opowiadać.

Zrelacjonowała jednak całą historię, a pod koniec opowieści Charlotte spojrzała na nią ze zdumieniem.

- A więc mężczyzna, którego oskarżyłaś o zrujnowanie ci kariery, zadał sobie dość trudu, by przysłać następny okaz do twojej kolekcji?! Cóż, ty może go nie lubisz, ale on z pewnością polubił ciebie!

- Przecież nie on mi to wysłał, lecz jego asystent. Poza tym wcale nie powiedziałam, że go nie lubię...

- U-hm... -Wyraz twarzy Charlotte świętego doprowadziłby do furii.

- Nie powiedziałam też, że darzę go sympatią. Nie uzgodniliśmy ceny za ten medalion, więc jestem zdumiona, że mi go przysłał... och, przestań patrzeć na mnie takim wzrokiem!

- Nie ma żadnej wiadomości?

Miranda zajrzała do koperty, potem potrząsnęła nią energicznie. Poza medalionem nic więcej w środku nie było.

Charlotte ruszyła w stronę swojego biurka, rzucając jeszcze przez ramię:

- Zapewne niedługo się do ciebie odezwie. A tak przy okazji, zabukowałam ci lot do Nowego Jorku na czwartek.

- Na czwartek?! To znaczy na jutro! - Miranda szybko zerknęła w terminarz. - O nie! Obiecałam rodzicom, że ich odwiedzę w ten weekend.

- Biedactwo. Już się chyba przyzwyczaiłaś, że twoja praca nie idzie w parze z życiem rodzinnym i towarzyskim. Może po aukcji diamentów będzie chwila oddechu, choć jeżeli okaże się sukcesem, Kenneth natychmiast będzie chciał zorganizować coś jeszcze bardziej spektakularnego - nim przygaśnie gwiazda jego świetności.

- Jego świetności? - prychnęła Miranda. - Czy nie doprowadza cię do szału, gdy ktoś przypisuje sobie zasługi za twoją ciężką pracę?

- Nie mogę sobie na to pozwolić - w ten właśnie sposób zarabiam na życie!

- Wybacz, Charlotte. Naturalnie. W żadnym razie nie powinnam się skarżyć, ja przynajmniej jeżdżę po świecie i mogę się pobawić błyskotkami...

- Na litość boską, najwyższy czas, żebyś wreszcie zaczęła narzekać! Ja nigdy w życiu nie podjęłabym się twoich obowiązków - to za duża odpowiedzialność. Nie byłabym w stanie zmrużyć oka, gdybym miała świadomość, że ode mnie zależy powodzenie multimilionowej aukcji.

- Dzięki, że mi przypominałaś.

Charlotte wzruszyła ramionami.

- Nie mogę dopuścić, byś spoczęła na laurach. Tylko nie pozwól Kennethowi, by zbyt mocno dokręcił ci śrubę - widziałam, jak miażdżył ludzi dwa razy większych od ciebie!

Miranda poderwała się z krzesła i wojowniczym gestem odgarnęła włosy.

- O tym nie ma mowy! Jestem z nim umówiona tuż po lunchu. Idę więc się zaopatrzyć w niezawodną amunicję: podwójnie czekoladowy tort i potrójne cappuccino!

- To rozumiem!

Kiedy Charlotte wróciła na swoje miejsce, Miranda uważniej się przyjrzała medalionowi. Był wykonany z niezwykłą pieczołowitością, choć utkane z włosów lilie zostały w dość dziwny sposób osadzone na płycie gagatu. Nie spoczywały na jej powierzchni, lecz zostały osadzone na czymś, co się znajdowało pod spodem i wyносиło kwiatki nieco w górę, nadając im pozory trójwymiarowości. Pod wpływem impulsu Miranda włożyła medalion na szyję. Złoto zdawało się emanować przyjemnym ciepłem i zdumiewało masywnością. Wisior dodał jej także pewności siebie - niespodziewanie odniosła wrażenie, że przywdziała niewidzialną zbroję. Wsunęła klejnot pod koszulę i zapięła wyżej guziki, aby pozostał niewidzialny dla obcych oczu.

Kiedy weszła do gabinetu dyrektora, Kenneth palił cygaro i kręcił się raz w lewo, raz w prawo na swoim fotelu.

- A więc pani Polasky zamierza wycofać z aukcji swoją kolekcję? - rzucił na powitanie.

Miranda natychmiast się zjeżyła. Nie dalej jak tego rana spotkała się z ową ekscentryczną Żydówką, nawet nie próbującą ukryć rozczarowania, że nie pojawił się u niej Roger, który zawsze ją komplementował i uwodził. Miranda starała się być cierpliwa i czarująca, nie zamierzała jednak posuwać się do płaszczenia - tę działkę pozostawiała Rogerowi. Tak czy owak pani Polasky doszła do wniosku, że woli się nie rozstawać ze swoimi słynnymi fantazyjnymi diamentami. Miała ich w sumie pięć, a najwspanialszy z nich był ciemnozielonego koloru i ważył dziewięć karatów. Miranda wiele słyszała o owym diamencie, ale dzisiejszego ranka zobaczyła go pierwszy raz na oczy. Okazał się jeszcze wspanialszy, niż głosiła fama, ale też nic nie mogło przebić piękna dużego, nieskazitelnego diamentu. Ten został oszlifowany w sposób typowy dla szmaragdów, i z racji koloru dla niewprawnego oka mógłby rzeczywiście uchodzić za szmaragd, tyle że żaden kamień prócz diamentu nie ma tak niezwyklej przejrzystości ani nie rozszczepia w podobny sposób światła. Jeżeli Miranda popełniła jakiś błąd w negocjacjach z panią Polasky, to chyba tylko wtedy, gdy dała po sobie poznać, jak niezwykle ją urzekł zielony klejnot. Chociaż gdyby go nie zobaczyła, to pozostałe i tak by uznała za baśniowe skarby. Niemniej jednak ledwie pani Polasky uprzytomniła sobie, jakie pożądanie i zachwyty mogą wzbudzić jej kamienie, natychmiast zaczęła się wycofywać z transakcji. Oświadczyła, że diamenty są dumą jej kolekcji i choć już przekroczyła osiemdziesiątkę i nie ma żadnych krewnych, którym mogłaby przekazać klejnoty w spadku - doszła do wniosku, że się z nimi za żadną cenę nie rozstanie. Miranda cierpliwie wysłuchiwała przez godzinę opowieści o ucieczce pani Polasky z Warszawy w 1943 roku. Podszywka jej płaszcza została delikatnie nadpruta, a pod spód wszyto wiele rzędów taśmy do zasłon; w kieszonkach, które tworzyła, można było ukryć drobne przedmioty - takie jak drogocenne kamienie. Potem podszewkę na powrót przyszyto, a pani Polasky dopłynęła do Anglii na francuskiej łodzi rybackiej (która nieomal zatoniła w czasie przeprawy przez Kanał) i w ten sposób dowiozła do Wysp całą fortunę swojej niezwykle bogatej rodziny, z której nikt nie przeżył wojny.

- Zapewne sądzisz, że Roger nakłoniłby ją pochlebstwami do przekazania nam diamentów - rzuciła Miranda po dłuższej chwili milczenia, dzięki której udało jej się sprawić, że Kenneth przestał się wpatrywać w okno i zwrócił do niej twarzą. Nie zamierzała przemawiać do jego pleców.

- Nie ma powodów do zgryźliwości, Mirando. Doskonale wiem, jak duży masz talent do tej pracy.

Czemu więc nie mogła się uwolnić od przeświadczenia, że go zawiodła?

- Katalogi oddamy do drukarni w przyszłym tygodniu, zgodnie z pierwotnym planem. Liczę, że do tego czasu znajdziesz coś ciekawego w Nowym Jorku. Jeżeli pozyskamy nowe okazy w późniejszym czasie, wystawimy je na aukcji bez włączania do katalogu.

- Muszę przyznać, Kenneth, że mocno się irtuję, kiedy używasz formy „my”, gdy w istocie mówimy o moich samotnych wysiłkach. - Miranda słuchała własnych słów i miała wrażenie, że to echo cudzego głosu. W żadnym razie nie zamierzała potraktować Kennetha tak obcesowo. Bo przecież nie zamierzała? - Jak do tej pory tylko ja robię, co mogę, a fakt, że katalog nie wygląda imponująco, nie ma nic wspólnego z brakiem zaangażowania z mojej strony. Gdy zaś chodzi o wystawianie na aukcję klejnotów bez anonsu w katalogu, nie jest to sensowne posunięcie...

- Mirando, proszę, byś nie mówiła do mnie w taki spo...

Miranda puściła jego słowa mimo uszu, jakby w ogóle nie otworzył ust.

- .. Oboje przecież wiemy, że prywatni nabywcy, a także dealerzy, chcą wiedzieć z wyprzedzeniem, co pójdzie pod młotek i jakie są wysokości rezerw cenowych. Dzięki temu mogą zaplanować, kiedy się włączyć do licytacji i przy jakim pułapie się wycofać.

Twarz Kennetha zastygła w kamienną maskę, a ton głosu zlodowaciał:

- Jeżeli po wydrukowaniu katalogów pojawią się nowe nabytki, zorganizujemy przedaukcyjny pokaz dla wybranych klientów.

Wychodząc z gabinetu Kennetha, Miranda - jeśli o nią chodzi - zachowywała zdumiewający spokój. W każdym razie była daleka od punktu wrzenia. Prawdę powiedziawszy, nic nie zdołało jej wyprowadzić z równowagi od czasu starcia z naganiaczem taksówkarza przy stacji kolejowej w Benaresie. Wprawdzie wyjątek stanowiła scysja z Rogerem,

ale ona się nie liczyła, ponieważ Roger w pełni zasługiwał, by od czasu do czasu go upokorzyć. Miranda odetchnęła głęboko i dotknęła medalionu. Nagle poczuła potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza.

Stephen był na swoim miejscu w sali wystawowej i wyglądał wystrzałowito w białej koszuli z wysoką stójką i z mankietami wystającymi spod rękawów czarnej marynarki. Rozmawiał z Gilesem i mężczyzną o włosach ściągniętych w krótką kitkę, zwróconym do Mirandy plecami. Wszyscy trzej wpatrywali się w jeden z obrazów.

Stephen uniósł wzrok, spojrzął na nią i pomachał przyjacielsko dłonią. Wówczas także zauważył ją Giles i zaprosił, by do nich dołączyła. Kiedy podeszła bliżej, natychmiast rozpoznała trzeciego mężczyznę - był to Louis. Miał na sobie fioletowy aksamitny garnitur i bogato haftowany fez, a w uszach - niewielkie złote kółka. Jak zwykle na jego palcach połyskiwały pierścienie. Obraz, nad którym deliberowali, okazał się „Wenus z Waterloo” - portretem przedstawiającym kobietę z liliami we włosach.

Louis powitał Mirandę skinieniem głowy, a potem, niespodziewanie, wbił wzrok w jej dekolt. Spłoszona natychmiast sięgnęła ręką do guzików bluzki, by sprawdzić, czy się nie rozpięły. Rzeczywiście, rozpiął się jeden, najwyższy, i odsłonił medalion - i właśnie ów klejnot tak żywo przyciągnął uwagę Louisa.

- Cóż za niezwykła sztuka biżuterii. Czy mogę zobaczyć?

Miała szczerą ochotę odmówić, ale nie wypadalo, rozpięła więc łańcuszek i podała wisior Louisowi.

- Doprawdy zdumiewające - mruknął w zamyśleniu. - Skąd go wzięłaś?

- Kupiłam od osoby prywatnej - odparła, z niewytłumaczalnych przyczyn czując niechęć przed ujawnieniem Louisowi jakichkolwiek szczegółów. Z trudem się powstrzymywała, by nie wyrwać medalionu z jego dłoni i nie zakrzyknąć dziecinnie: „Oddaj, to moje!”, ale w zamian powiedziała jedynie: - Kolekcjonuję żalobną biżuterię.

- Uważa się, że włosy zachowują ślady pamięci - podobnie jak kamienie, metale, kryształy, węgiel...

Miranda roześmiała się nerwowo.

- Nie opowiadaj mi takich rzeczy. Nie chcę się nawet zastanawiać, jak wiele duchów zaludnia moje pokoje - a najchętniej mieszkałabym sama!

- Powiedziałbym, że na wymienione substancje należałoby raczej spojrzeć jak na twory emanujące szczególną energią.

Miranda mimowolnie się wzdrygnęła.

- Chcesz powiedzieć, że mogłabym ujrzeć cudze wspomnienia... czy coś w tym rodzaju?

- Gdybyś była wyjątkowo wrażliwa lub rozwijała w sobie zdolności parapsychiczne. Hm... - Louis powoli obracał wisior w palcach.

- Co takiego?

- Osobiście odradzałbym noszenie biżuterii zdobionej włosami zmarłych, a tego medalionu w szczególności.

- Dlaczego? - Mirandzie zaczął działać na nerwy konspiracyjny ton głosu Louisa.

- Ponieważ z definicji biżuteria sentymentalna stanowi obiekt intensywnych emocji; jest naznaczona niezwykle silnym piętnem woli tych, co ją nosili... można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że nie ty wybrałaś ów medalion, ale on wybrał ciebie!

- A co najbardziej cię w nim niepokoi? - spytała Miranda wbrew samej sobie.

Jednak w tymże momencie Giles zakończył konsultacje ze Stephenem, zwrócił się w ich stronę i Louis rzucił Mirandzie medalion na dłoń.

- Do zobaczenia na aukcji, panno Godfrey! - powiedział, jakby ich dziwna rozmowa w ogóle nie miała miejsca.

Miranda weszła po schodach na piętro działu jubilerskiego, niepewna, czy powinna z powrotem włożyć wisior. Musiała przyznać, że słowa Louisa wywarły na niej wrażenie. Od początku, gdy tylko zobaczyła ten medalion, wydał jej się wyjątkowo urzekający. Potem nie mogła o nim zapomnieć, ale nie wyczuwała, by były od niego jakieś groźne fluidy - co zdawał się sugerować Louis. Ale czyż można traktować poważnie faceta, który publicznie paraduje w fezie na głowie?

Zanim Miranda wróciła do domu, kilka razy wkładała i zdejmowała z siebie wisior, żeby sprawdzić, czy odczuwa coś niezwykłego, gdy ma go na szyi. W końcu, kiedy wieczorem weszła do salonu, ściągnęła go szybkim ruchem i położyła na marokańskim stoliku. Potem zrzuciła z nóg buty - bezlitośnie wąskie szpileczki od Prady, które ją zachwyciły, ale nie nadawały się do dłuższego chodzenia - i z jękiem opadła na miękką skórę kanapy. Jutro lot do Nowego Jorku, powrót w niedzielę. Po raz pierwszy taki tryb życia wydał jej się czystym szaleństwem i



niespodziewanie naszła ją myśl, jak by to wszystko wyglądało, gdyby nie dała się uwieść blaskowi świata wielkich aukcji. Tak naprawdę bardzo lubiła swoją dawną pracę w butiku z antyczną biżuterią, denerwowało ją jednak, że nie miała żadnego wpływu na pozyskiwanie towaru i sposób prowadzenia interesu.

Na stoliku, obok medalionu, leżała „Hinduska księżniczka”. Miranda podniosła książkę, opadła z powrotem na poduszki i wydała z siebie westchnienie ulgi.

Ledwo jednak znalazła ustęp, na którym w Genewie przerwała lekturę, rozległo się pukanie do kuchennych drzwi. Miranda niechętnie podniosła się z sofy. Na progu stała Tash - trzymała pod pachą karton pełen świeżej kapusty i ziemniaków z własnego ogrodu, a zza jej nóg wyzierał Rufus.

- Widziałam, jak wróciłaś, a ponieważ zapewne wkrótce znów cię poniesie w świat, pomyślałam, że podrzucę ci trochę prowiantu. Wiem, że rzadko gotujesz, ale mamy tak wiele warzyw, że już nie mam pojęcia, co z nimi robić. - Tash weszła za Mirandą do salonu i chętnie przyjęła kieliszek wina. - Całkiem niezłe wyszła mi wiejska zapiekanka, w której zastąpiłam mięso kapustą, a i strogonowa z kapusty podanego z purée ziemniaczanym uważam za udane danie.

Rufus toczył się rażno za matką, zaciskając i rozwierając piąstki, jakby tylko czekał, co by tu złapać.

- O nie, Rufus! - stanowczo zareagowała Miranda, gdy ujrzała, jak małe ślepka się zapalają na widok kluczyków samochodowych i komórki, leżących na niskim stoliku w holu.

Tash natychmiast chwyciła synka na rękę, by go odsunąć jak najdalej od pokus.

- Nie widziałam cię od wieków - czyżbyś znowu się rozbijała w wielkim świecie?

- Rzeczywiście. Ostatnio jadam kolacje z książętami oraz na prawo i lewo skupuję diamenty.

- Wypadałoby powiedzieć, że ci zazdroścę, ale jeśli mam być szczerą, wolę malować ściany we własnej kuchni.

- Wierz mi, Tash, w tej chwili też bym to wołała! - wyznała Miranda znużonym głosem.

- Właśnie sobie pomyślałam, że mogłybyśmy w niedzielę wybrać się do Notting Hill na poszukiwanie twojej upiornej biżuterii...

- Nie mogę. Jutro lecę do Nowego Jorku. A miałam nadzieję, że w weekend odwiedzę rodziców - nie widziałam się z nimi od Bożego Narodzenia.

- Czemu nie otworzysz jakiegoś miłego sklepu? Wówczas mogłabyś siedzieć cały dzień na tyłku, objadać się czekoladkami i rozczytywać w tandetnych powieściach z happy endem!

- Już próbowałam, nie pamiętasz?

- Tak, ale pracowałeś na Bond Street, miałas do czynienia z klientami zbyt zblazowanymi i bogatymi. Ja natomiast miałam na myśli małą lutki sklepik z osobliwościami. Au! Rufus!

Rufus był tak zdeterminowany, aby się wyrwać z objęć matki, że za pomocą karkołomnych, ekwilibrystycznych sztuczek niemal ściągnął z siebie sweter z dużym napisem GREENPEACE.

- Och, puść go, Tash, zanim cię uszkodzi.

Tash omiotła wzrokiem podłogę oraz okolice marokańskiego stołu i stwierdziwszy, że w nie ma w pobliżu niczego, co synek mógłby stłuc, połknąć lub zniszczyć, postawiła go na podłodze, a sama usiadła obok Mirandy.

- A gdybyś została jedynie kuratorem wystaw?

- Jeżeli miałyby to być imprezy na odpowiednio wysokim poziomie, musiałabym pracować równie intensywnie, Tash. Poza tym mniej ambitne zajęcie szybko by mnie znudziło - i w tym tkwi cały problem. Wiesz, zanim przyszedł, właśnie o tym rozmyślałam. Naturalnie, już zawsze chciałabym się zajmować biżuterią, ale może otwarcie sklepu w Notting Hill nie byłoby takim głupim pomysłem...

- Doskonale! A tymczasem musisz się nauczyć, jak odmawiać Kennethowi, kiedy w kolejny weekend będzie cię chciał wysłać w daleką podróż... Rufus, nie! Zostaw!

Było już jednak zbyt późno. Podczas gdy one rozmawiały, chłopczyk sięgnął przez stół i zacisnął łapkę na medalionie. Gdy Miranda skoczyła w jego stronę, rozwarł piąstkę i wisior wylądował na terakotowej podłodze. Rozległ się głośny trzask. Miranda zanurkowała, ale jej najgorsze obawy, niestety, się ziściły - szkiełko pokrywające medalion pękło na całej długości.

- Och, Mirando, czy uszkodził twój medalion?! O nie! Tak bardzo, bardzo cię przepraszam! Powinnaś lepiej pilnować Rufusa...

Tash wpadła w taką rozpacz, że Miranda ukryła własne rozżalenie. Szkiełko uda się wymienić - choć nie będzie to już oryginał.

- Nie przejmuj się, to tylko kawałek szybki, nic złego się nie stało. Prawdę mówiąc, jeden z jubilerów, z którym mam się spotkać w Nowym Jorku, specjalizuje się w reperacji starej biżuterii.

Tash wyszła właściwie zaraz po przykrym incydencie, ponieważ Rufus wyczuł, że wypadł z łask, i zaczął szlochać rozdzierająco, uniemożliwiając dalszą rozmowę.

Kiedy drzwi się zamknęły za gośćmi, Miranda sprawdziła menu restauracji z cateringiem, a potem wróciła na sofę, ustawiła na stole pozostałe pół butelki wina, i chwyciła powieść Sary O'Reilly.

## XV

### Benares, 17 października 1878

Drogi Johnie,

Bardzo się martwiłam, ilekroć Sara mi donosiła, że nie poprawia się stan Twojego zdrowia, co, niestety, potwierdziłeś w swoim liście.

Jeżeli nadal będą Cię nękać bóle głowy, sugeruję, żebyś spróbował okładów - albo z grubego pakowego papieru, nasączonego octem, albo płótna wymoczonego w destylacie z nagietka. Koniecznie porozmawiaj na ten temat z panią Vesper, otrzymała ona bowiem w spadku po babce książkę zawierającą przepisy na wiele ziołowych medykamentów o dużej skuteczności. Z pewnością bardzo ją ucieszy Twój widok, ponieważ od dawna darzy Cię estymą, a na dodatek czuje się bardzo osamotniona w wielkim starym domu.

Dużą przyjemność sprawia mi obecność Sary w Benaresie. Jest tak upojona wszystkim wokół, jak ja byłam podczas pierwszej wizyty w Indiach. Już jednak próbuje mnie nakłonić do powrotu na wiosnę i nie może zrozumieć, czemu się przed tym wzbraniam. Trudno jej pojąć, że z każdym miesiącem to miasto staje się bliższe mojemu sercu. Ja znajduję na to tylko jedno, choć mało racjonalne wytłumaczenie - chyba jednak tkwi jakieś ziarno prawdy w przeświadczeniu Hindusów, że Benares jest miastem bogów. Bo w rzeczy samej, gdy rankiem schodzę nad brzeg rzeki i spoglądam na białe, szerokie stopnie (zwane tutaj ghatami), wyłączone pierwszymi promieniami słońca, nabieram wiary, że się znalazłam w świętym miejscu. Na ghatach od świtu do zmierzchu ludzie

odmawiają modły, a potem się kąpią w oczyszczających wodach Gan-  
gesu, żeby zmyć z siebie wszelkie grzechy.

Sara szybko znalazła wspólny język z Saraswati (są przecież niemal  
w jednym wieku) i w jej towarzystwie już spenetrowała cały pałac. Sara-  
swati nadal jest spragniona wiadomości o Anglii, nowych modach i zwy-  
czajach panujących w naszym kraju, bo wierzy, że pewnego dnia maha-  
radża zabierze ją do Londynu. Osobiście uważam to za mało prawdopo-  
dobne, ale ostatecznie każdemu wolno marzyć.

Niezwykłe, że w swoim liście wspominasz o owych morderstwach  
sprzed lat, bo chociaż wyrzuciłam je z pamięci, musiałam do nich powró-  
cić przed kilkoma tygodniami - w przeddzień wyjazdu z Indii mojego  
przyjaciela, Gowindy. Wyruszył on w podróż do Nepalu, skąd zamierza  
się udać do Tybetu, by już więcej nie powrócić do Benaresu. Chce wstą-  
pić do jednego z tamtejszych klasztorów, ponieważ stwierdził, że rze-  
czywistość coraz natrętniej zakłóca jego wewnętrzny spokój, a to go  
bardzo męczy.

Przez długi czas regularnie się spotykaliśmy w letnim pawilonie, sto-  
jącym w ogrodach maharadży. Z początku było to dzieło przypadku, ale  
kiedy odkryłam, że Gowinda się tam zjawia w określonych porach dnia,  
dołączałam do niego, bo jego towarzystwo sprawiało mi dużą przyjem-  
ność. Podczas naszego ostatniego spotkania szybko się zorientowałam,  
że ma mi coś ważnego do powiedzenia, i teraz chcę Ci przekazać, Joh-  
nie, wszystko, co od niego usłyszałam, w nadziei że wreszcie ukoisz  
swój biedny, skołatany umysł. Od Gowindy dowiedziałam się bowiem  
wielu rzeczy, które rzucają światło na owe mroczne wydarzenia z 1864  
roku.

Pamiętam, że za głównego podejrzanego uważałeś wówczas hindu-  
skiego chłopca imieniem Wikram, ale kiedy i on zginął, porzuciłeś swoją  
teorię. Każdy na Twoim miejscu doszedłby do wniosku, że błędnie ocenił  
Wikrama i że ten, kto go zabił, zgładził również Herberta Peaseya i Jos-  
huę Finkelsteina. Gowinda natomiast mi wyjawiał, że się nie myliłeś w  
swoich założeniach. To rzeczywiście Wikram zamordował urzędnika  
portowego i jubilera - przy udziale jakiegoś tajemniczego współnika.  
Gowinda ostatecznie pogodził się z myślą, że owym współnikiem był  
Święty Joe, chociaż nie potrafił zrozumieć, co mogłoby pchnąć Joego do  
udziału w podobnych czynach. Dla większości ludzi wystarczającą za-  
chęcą stanowiłoby złoto, ale sam mówiłeś, że podczas aresztowania

Święty Joe nie miał przy sobie żadnych pieniędzy - w feralnych tygodniach nie wydawał też więcej niż zwykle.

Zapytałam Gowinę, skąd wiedział, że winowajcą był Wikram. Wyznał mi, że podejrzewał go od samego początku, ponieważ ten młodzieniec swego czasu należał do specjalnej gwardii maharadży, poza tym płynął tym samym statkiem, co lady Cyntia, a przede wszystkim - jak wielu mężczyzn w pałacu - pałał gorącym uczuciem do Saraswati.

Bo widzisz, Johnie, z dziewięcioma diamentami, składającymi się na klejnot znany Ci z rysunku znalezionego przy Finkelsteinie, wiąże się niezwykle historia. Czerwony diament, który się znajdował w środku kompozycji - zwany przez Gowinę „dziewiątym kamieniem” - jest niezwykle rzadkim tworem natury. W rzeczy samej, był to pierwszy kamień tej barwy, jaki widziano tutaj na oczy. Maharadża Benaresu wierzył, że jeżeli sporządzi ze swoich diamentów szczególny amulet, zyska niezwykle powodzenie w każdej sferze życia, a przede wszystkim - osiągnie boską nieśmiertelność. Powierzył cenne kamienie lady Herbert, ponieważ żaden jubiler w Indiach nie chciał się podjąć wykonania amuletu - zwanego nawaratną - z samych diamentów, uznając to za świętokradczą i niebывale niebezpieczną kombinację. Tradycyjny amulet składa się bowiem z różnych rodzajów kamieni (diament jest tylko jednym z nich), w środku natomiast zawsze tkwi rubin.

Kiedy Saraswati się wywiedziała, że wielbiony przez nią czerwony diament miał nie tylko zostać wywieziony z pałacu, ale i poza granice kraju - wpadła w furję. Okazuje się, że Wikram, zanim został członkiem gwardii maharadży, należał do sekty thagów. Jestem pewna, że słyszałeś o owych zabójcach, którzy do popełnienia mordu nie potrzebują niczego prócz jedwabnej chusteczki. Do ich wytępienia doprowadził ponoć brytyjski policjant nazwiskiem William Sleeman, ale w rzeczywistości bandy thagów nadal panują nad górskimi przełęczami. Jak już Ci wspomniałam, Wikram darzył Saraswati wielkim uczuciem. Uwierzył, że jeżeli odzyska czerwony diament, zaskarbi sobie jej szczególne względy, stąd bez wahania ruszył w ślad za Herbertami. Ale maharadża przedsięwziął własne środki bezpieczeństwa i wysłał wraz z lady Herbert Gowinę, który miał pilnować diamentów do chwili, aż bezpiecznie powrócą - w formie amuletu - do pałacu w Benaresie, co miało nastąpić w przeciągu roku.

Tymczasem Wikram postanowił przy pierwszej nadarzącej się okazji odbić drogocenny kamień. Na polecenie Saraswati wraz z niewielką bandą thagów zaatakował nocą karawanę Herbertów na wzgórzach w pobliżu Benaresu. Właśnie wówczas, na oczach żony, Charles Herbert zginął okrutną śmiercią. Gdy odmówił wydania klejnotów (wszytych w bieliznę Cyntii), bandyci odrąbali mu ręce, a potem ścięli głowę, i na dodatek porwali owe członki, by je ofiarować w darze Kali, swojej umiłowanej bogini, która nosi pas z ludzkich ramion i naszyjnik z czaszek.

Kiedy usłyszałam o owych wydarzeniach, przypomniałam sobie, że śmierć sir Charlesa była zawsze owiana nimbem tajemnicy. Cyntia nigdy słowem o tym nie wspominała, ale ja od dawna podejrzewałam, że jej mąż spotkał jakiś straszny koniec. Zdumiewa mnie natomiast, jak ona mogła jeszcze patrzeć na te diamenty, a nawet przywieźć je do Anglii, skoro stały się przyczyną tak niesłychanej tragedii. Z drugiej strony, sama widziałam, jak obsesyjnie ta kobieta pożądała nawaratny. Lady Herbert była wyjątkowo przesadna i podobnie jak maharadża wierzyła, że dzięki amuletowi uda jej się wyjednać dla siebie łaskę bogów. Pewnego dnia powiedziała mi nawet, że diamenty przyciągają byty z równoległego świata!

I właśnie z powyższych powodów Gowinda pilnie śledził poczynania Wikrama, wiedział więc, że oprócz sir Charlesa zamordował on także Herberta Peaseya oraz Joshuę Finkeisteina. Nie mógł jednak skontaktować się w tej sprawie z policją, bo diamenty zostały wwieszone nielegalnie na teren Anglii, uległyby więc konfiskacie, a przecież musiały powrócić do maharadży. W tej sytuacji zdecydował się wziąć prawo we własne ręce. Po śmierci Finkeisteina Gowinda znalazł się na miejscu zbrodni na tyle szybko, by uniemożliwić Wikramowi przechwycenie nawaratny. Wyjawiał mi też coś bardzo intrygującego - co i dla Ciebie będzie z pewnością ciekawą informacją. Jak zapewne pamiętasz, w pracowni jubilera znalazłeś szkic przedstawiający mój wisior, a w kieszeni nieboszczyka - kolejny rysunek. Otóż okazuje się, że był jeszcze trzeci pergaminy, przedstawiający niezwykle sztukę biżuterii, który Gowinda zabrał ze sklepu Finkeisteina i oddał lady Cyntii, a ona zamknęła go w swoim sejfie wraz z innymi ważnymi dokumentami. Powinieneś więc, Johnie,

udać się do Herbert House i poprosić siostrę sir Charlesa, by pozwoliła Ci przejrzeć papiery pozostałe po bratowej. Zapewniam Cię, że wówczas zagadka się wyjaśni i wreszcie będziesz wiedział, co się naprawdę stało z tajemniczym amuletem.

Tymczasem Gowinda postanowił zabić Wikrama, bo doszedł do wniosku, że czerwony diament całkowicie opętał tego chłopaka. Zaczaił się na niego pewnego wieczoru w Diabelskim Kwartale i gdy zaatakował go chwytem od tyłu, wydarzyło się coś niezwykłego - Wikram został ugodzony w czoło kamieniem wystrzelonym z procy i padł bez przytomności na ziemię. Gowinda nie widział, kto był owym strzelcem, ale podejrzewał, że kamień miał trafić w niego, a nie Wikrama.

Osobiście nadal nie wierzę, że Święty Joe był współnikiem tego hinduskiego chłopca. Sara natomiast dała mi do zrozumienia, że dużo wie na temat tajemniczych zbrodni, a swoje informacje zawarła w „Hinduskiej księżniczce”. Może więc, gdy przeczytam jej książkę, poznam nieznaną dotąd szczegóły i będę mogła w następnym liście przedstawić Ci pełną wersję wydarzeń. Jestem głęboko wdzięczna Septimusowi Hardingowi, że użył swoich wpływów i doprowadził do publikacji książki Sary. A nie było to proste, odmawia ona bowiem przyjęcia męskiego pseudonimu i upiera się, by publikować pod własnym nazwiskiem.

Muszę już kończyć, Johnnie, ponieważ pociąg pocztowy przybywa dokładnie w południe i mam nadzieję, że wśród korespondencji znajdę zaległe egzemplarze „Merkuriusza Londyńskiego”. Najważniejsze jednak, że tego samego wieczoru ów pociąg odjeżdża z powrotem do Bombaju, więc list do Ciebie trafi na najbliższy statek płynący do Anglii.

Mam nadzieję, że gdy dotrze na miejsce, będziesz się już cieszył lepszym zdrowiem. Czekam z niecierpliwością na każdą wiadomość skreśloną Twoją ręką.

Z wyrazami przyjaźni -

Lily

Susana starannie złożyła list wzdłuż oryginalnych zagnieceń. Nie został on nigdy wysłany do Anglii, a przyczyna była oczywista. W tej samej kopercie znajdował się bowiem wycinek z „Merkuriusza Londyńskiego” z nekrologiem inspektora Johna Larka, na który Lily zapewne się natknęła w jednej z tak niecierpliwie wyczekiwanych przez nią gazet.

Na stole Susany leżały już teraz jedynie listy i dokumenty, odnalezione w pudle na kapelusze, zniknęły natomiast karteczki samoprzylepne z cytataми, książki pozakładane w wielu miejscach, notatki na luźnych kartkach czy wstępne szkice narracji. To było bardzo znaczące, ponieważ stół odzwierciedlał zawsze aktualny stan jej umysłu - znajdowały się tam jedynie materiały zaprzatające ją najintensywniej. Obecny wygląd stołu jasno więc świadczył, że teraz wszystkie jej myśli i wysiłki zostały podporządkowane prześledzeniu losów Lily Korechnya i Sary O'Reilly.

Przez dwa ostatnie dni Susana praktycznie nie wychodziła z domu. Nie odbierała też telefonów ani nie odpowiadała na pozostawiane wiadomości - wśród których znajdowała się kolejna prośba Louisa o spotkanie. Nie chciała się odrywać od lektury listów, wiedząc, że i tak wkrótce będzie musiała wrócić do kierunku codzienności. W istocie już nazajutrz rano miała się spotkać ze swoim wydawcą, by omówić postępy pracy. Jeszcze nie zdecydowała, czy wyjawi, że zmieniła znacznie koncepcję książki, czy raczej się wstrzyma z podobnymi rewelacjami do czasu, aż owa koncepcja bardziej się wykrystalizuje.

Wstała od stołu, przeciągnęła się, by rozprostować kości, po czym zerknęła na zegar stojący na kominku. Okazało się, że jest później, niż sądziła na podstawie światła wpadającego do ogródka - ale przecież maj dobiegał końca i dni się bardzo wydłużyły. Dotarło do niej, jak bardzo jest zmęczona psychicznie - w jej głowie kłębiły się obrazy wywołane lekturą. W takim wypadku należało zająć się czymś, co pozwoli całkowicie oderwać myśli od pracy - iść do kina czy do starej przyjaciółki, mieszkającej w pobliżu. Lub... oddzwonić do Louisa. W ostatniej wiadomości dał do zrozumienia, że chciałby omówić pewien konkretny problem. Pomimo ekscentryczności Louis bez wątplenia dysponował szeroką humanistyczną wiedzą, no a Susana nie może do końca życia unikać spotkań z mężczyznami w obawie, że się nią zainteresują.

Wsluchiwała się w sygnał telefonu Louisa i z niejakim uczuciem ulgi już miała odłożyć słuchawkę, gdy usłyszała jego głos. Louis przeproszał, że tak długo nie odbierał - ale siedział w swoim studiu oddalonym od aparatu. Zdawał się zachwycony jej telefonem i zapytał, jak się posuwa praca nad książką. Ku własnemu zdumieniu Susana wyznała, że się zapętlila i pogubiła w koncepcjach, więc nie czuje się na siłach o tym dyskutować.



- Nic skuteczniej nie koi skołatanego umysłu jak niezobowiązująca rozmowa, dobre jedzenie i pierwszorzędne wino - taką terapię mogę zagwarantować.

- To zdecydowanie lepsze od okładu z pakowego papieru, nasączo-  
no octem.

- Bez porównania. Czy pozwolisz, że przyślę po ciebie samochód?  
To najszybszy i najwygodniejszy środek transportu.

Susana chciała zaprotestować, ale nie mogła wymyślić żadnej sen-  
sownej wymówki. Poza tym, jeżeli nie zamierzała się spotkać z Loui-  
sem, nie powinna była dzwonić.

Szczęśliwie nie przysłał limuzyny, ale ciemnogramatowego mercede-  
sa sedana z sympatycznym młodym człowiekiem za kierownicą. Z po-  
czątku Susana była jedynie zdumiona swoim zachowaniem i całą situa-  
cją, ale im bardziej się zbliżali do Hampstead, tym większe ogarniało ją  
zdenerwowanie.

Szofer Louisa dowiózł ją do imponującej rezydencji z czasów Regen-  
cji o kolumnowym portyku i ciemnych drzwiach, nabijanych ozdobnymi  
ćwiekami. Budowla stała oddalona od ulicy i niemal w całości osłaniał ją  
wysoki mur oraz wielka kuta brama, która się gładko rozsunęła po naci-  
śnięciu pilota.

Wspaniałość rezydencji podziałała na Susanę jeszcze bardziej depre-  
mująco.

Otworzył jej osobiście Louis ubrany w jedwabny fioletowy kaftan.

- Susano, jak miło cię widzieć. Zapraszam do środka.

Poprowadził ją przez hol wykładany białymi i czarnymi płytami z  
marmuru.

- Skąd miałeś mój numer telefonu?

- A! Kupiłem twoją ostatnią książkę, a na okładce - jak to zwykle  
bywa - wydawca zamieścił krótką notę biograficzną, z której się dowie-  
działem, że mieszkasz w Greenwich. W spisie telefonów tej dzielnicy  
figuruje tylko jedna osoba o inicjale S, i nazwisku Harris. A tak na mar-  
ginesie - twoje spostrzeżenia, dotyczące umysłowości dziewiętnasto-  
wiecznych kobiet, są doprawdy fascynujące. Już od dawna nie czytałem  
akademickiej pozycji, która dostarczyłaby mi tak wiele przyjemności.

- Miło mi, że ci się spodobała „Muza damy”. Właśnie praca nad tą  
książką zainspirowała mnie do podjęcia obecnego tematu.

- A są nim kobiety epoki wiktoriańskiej w Indiach, czy tak?
- Owszem. Mój wydawca najbardziej się ekscytuje, gdy wynajduję jakieś niszowe, praktycznie nikomu nieznanne postaci.

Znaleźli się w wielkiej bawialni o ciemnoczerwonych ścianach, niemal całkiem zawieszonych obrazami, i na ten widok Susana natychmiast sobie przypomniała o liście, w którym Lily opisywała salon lady Herbert.

- Odziedziczyłem wiele z tych płócien - wyjaśnił Louis, gdy ujrzał wyraz twarzy Susany. - Ale jeszcze więcej nabyłem osobiście. Podobnie jak ty, jestem zainteresowany pracami mało znanych twórców dziewiętnastowiecznej cyganerii - w moim wypadku malarzami. W epoce wiktoriańskiej ściągnęło do Londynu sporo młodych artystów, ponieważ rosnąca siła nabywca szybko się powiększającej klasy średniej stworzyła dobrą koniunkturę dla sztuki.

- A czy słyszałeś o niejakiemu Franzu Korechnya?
- Mam nawet dwa jego obrazy i rozważam zakup trzeciego, który niebawem trafi na aukcję. Czy wierzysz w przeznaczenie, Susano?

Susana tak zaskoczyło pytanie Louisa, że zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Ale przede wszystkim muszę cię poczęstować czymś do picia, bo dojdiesz do wniosku, że cię zwabiłem pod fałszywym pretekstem. Dżin z tonikiem?

Susana skinęła głową, po czym powiedziała:

- Czy wierzę w przeznaczenie? Hm... Powiedziałabym, że spędziłam dość dużo czasu w Indiach, by zrozumieć, a nawet docenić zalety fatalistycznego podejścia do życia, chociaż sama go nie praktykuję. Jeżeli już, to wierzę w łut szczęścia. A dlaczego pytasz?

- Bo kiedy cię zobaczyłem, od razu wiedziałem, że to będzie dla mnie znacząca znajomość. A utwierdziłem się w słuszności swoich przeczuć, gdy wspomniałaś o Lily Korechnya. Czy wiesz, że twoje imię - Susana - po hebrajsku znaczy lilia?

- Nie miałam o tym pojęcia. Czyżbyś słyszał wcześniej o Lily?
- Dużo znajdujących się tu obrazów, a także sporo interesujących dokumentów odziedziczyłem po jednej z moich krewnych - bardzo bogatej damie, należącej do elity wiktoriańskiego Londynu. Owa dama nazywała się Cytia Herbert i w 1864 roku zatrudniła Lily do skatalogowania kolekcji klejnotów.

- Lady Cyntia Herbert... - Susana poczuła lekki zawrót głowy.  
- W jej papierach - ciągnął tymczasem Louis - natknąłem się na rysunek przedstawiający amulet, o którym ci wspominałem w Indiach - nawaratnę z diamentów.

- Ależ... ależ ja właśnie nie dalej jak dzisiaj przeczytałam o tym rysunku w jednym z listów pisanych przez Lily, a adresowanym do inspektora, który prowadził śledztwo w sprawie serii niewyjaśnionych morderstw. Lily zapewniała, że jeżeli policjantowi uda się odnaleźć ów rysunek, będzie wiedział, co się stało z zaginionym, tajemniczym klejnotem! - Ramiona Susany pokryły się gęsią skórą. - Czy oprócz szkicu znajdują się tam również jakieś wskazówki, prowadzące do miejsca przechowywania amuletu?

Louis podniósł się z fotela, podszedł do antycznego chińskiego sekretarza, pokrytego laką, i wyjął cienkie skórzane portfolio. Chwilę później położył przed Susaną kawałek pergaminu. Widniał na nim rysunek przedstawiający dwa medaliony tej samej wielkości: jeden złoty, z czerwonym kamieniem pośrodku, drugi - z gagatu, z wywierconymi dziwociągami otworami. Ponad oboma medalionami naszkicowano lilie oraz strzałki wskazujące, gdzie powinny zostać zamocowane kwiaty - nad otworami w gagacie, z których nieznacznie wystawały tafle koron brylantów. To był genialny projekt.

- A więc nawaratna powróciła do Indii ukryta w wisiorze Lily!  
- I pozostaje tam ukryta do dzisiaj!  
- Problem w tym, gdzie szukać tego wisiora?  
- Czy słyszałaś o Antonie Mesmerze? - spytał Louis nieoczekiwanie.

- Coś mi dzwoni... czy to nie ów szarlatan, który się zawsze ubierał na fioletowo? - Ledwo Susana wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, że gospodarz ma na sobie kaftan właśnie w takim kolorze. - Naturalnie, nie mam nic przeciwko fioletom...

Poczuła ulgę, gdy Louis parsknął śmiechem.

- Fiolet wibruje na wysokich częstotliwościach. To mnie stymuluje. Mesmer natomiast był dziewiętnastowiecznym naukowcem, którego można uznać za ojca elektrobiologii.

- Wiem, że wielu wiktoriańskich ludzi pióra - Tennyson, Elizabeth Barrett Browning czy Dickens - fascynowało się mesmeryzmem oraz spirytyzmem. Wierzyli w istnienie pola energetycznego człowieka czy -

jak to nazywali - „aury”, która ponoć nie zanika w momencie śmierci.

Louis skinął głową.

- Jeżeli rzeczywiście pole energetyczne nie ginie wraz z człowiekiem, wówczas może być łącznikiem pomiędzy światem materialnym a niematerialnym.

- Ale czy tak jest w istocie? - Susana nie kryła sceptycyzmu. Nie chciała się łudzić, że kiedykolwiek zdoła nawiązać kontakt z Danem.

- Pewien słynny rosyjski badacz elektryczności nazwiskiem Kirlian wynalazł sposób fotografowania pól energetycznych, wytwarzanych przez ludzi, rośliny oraz niektóre przedmioty - na przykład biżuterię. Jaka szkoda, że nie znano tej metody, gdy w dziewiętnastowiecznym Londynie wielu samozwańczych śledczych próbowało zdemaskować „sztuczki” kobiet mediów.

- Kiedy się rozważa położenie kobiet w wiktoriańskiej Anglii, często się zapomina, że spirytyzm był jedną z ich form walki o autonomię. Kobiety uważano za istoty słabe i bezwolne, a kobieta medium - w trakcie seansu - mogła się zachowywać w sposób znacznie wykraczający poza akceptowane, wyznaczone konwencjami normy. Również w spirytystycznej prasie pojawiały się kwestie związane z emancypacją kobiet... Ale odłóżmy na bok feminizm. Czy naprawdę wierzysz, że możemy się kontaktować ze zmarłymi?

Louis wpatrywał się w nią przez chwilę tym swoim niesamowicie intensywnym wzrokiem, który tak bardzo ją zdeprymował w świątyni Kali - i Susana pożałowała, że zadała to pytanie.

- Owszem - powiedział w końcu. - Chociaż większość osób jedynie w snach i wspomnieniach... i pod warunkiem, że się kocha do zgonnie.

Susana nie miała ochoty dłużej ciągnąć tego wątku, zmieniła więc temat.

- Bardzo jestem ciekawa, co się stało z wisiorem Lily i nawaratną. Tak przemyślnie ukrycie brylantów było bardzo roztropnym posunięciem, biorąc pod uwagę, że w taki czy inny sposób przyczyniły się one do śmierci przynajmniej czterech osób.

Opowiedziała Louisowi, czego się dowiedziała z listów Lily i wycinków prasowych o morderstwach popełnionych w 1864 roku. Opisała mu też zachowanie Saraswati w świątyni Kali tego dnia, gdy zaginął wisior żałobny.

W trakcie jej relacji Louis nieznacznie kiwał głową, jakby to, co słyszał, zgadzało się z pewnymi wcześniej mu znanymi faktami.

- Możliwe, że Franz z zaświatów chronił żonę przed zgubnym wpływem amuletu. Jeżeli zaś chodzi o Saraswati, mam pewne koncepcje związane z jej zachowaniem, ale o tym później. Czy zechciałabyś obejrzeć moje studio?

Kiedy Susana się zawahała, wybuchnął śmiechem.

- Nie martw się, uwodzę jedynie młodych mężczyzn. Chodź, to zaledwie w sąsiednim pokoju.

Czując się trochę głupio, Susana podążyła za Louistem i po chwili się znalazła w pomieszczeniu równie przestronnym jak bawialnią. Tutaj jednak, zamiast obrazów, znajdowały się posągi i rzeźby: jedne sporo przekraczające skalę naturalną, inne - bardzo małe. Wykonano je z drewna, marmuru lub innego rodzaju kamienia. Niektóre wymagały renowacji.

- Część z moich zbiorów znajduje się u konserwatora. Chodź, proszę, czeka na ciebie ogród Kaszi.

Ogród Kaszi był czymś w rodzaju przedsiönka przylegającego do studia. Tu stały jedynie hinduskie posągi. Susana rozpoznała kilka bogów i bogiñ, a wśród nich Kali - najnowszy nabytek Louisa. Miała prawie dwa metry wysokości i - jak wszystkie inne eksponaty - była facho-wo podświetlona. Susana spojrzała uważnie w twarz bóstwa. Na czole, dokładnie pomiędzy oczami bogini, widniał klejnot skrzyjący się w świetle reflektora tak rzęsiście, jak tylko mógł się skrzyć diament.

- Niekiedy ludzie popadają w szaleństwo z powodu Kali - powiedział Louis przyciszonym głosem - i właśnie to, jak sądzę, spotkało Saraswati. Swego czasu, na południu Indii, poznałem pracownicę misji humanitarnej. Podczas wizyty w kobiecym więzieniu zobaczyła w izolatce kobietę, która się zachowywała jak w transie. Kołysała się na boki i powtarzała w kółko jedną mantrę - inwokację do bogini Kali. Naczelnik więzienia opowiedział mojej znajomej smutną historię owej kobiety. Była mężatką, miała dwójkę dzieci, ale zaczęła fanatycznie czcić czarną, żądną krwi boginię. Błagała ją też o dar jasnowidzenia. I pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, wymordowała całą swoją rodzinę - pokroiła męża i dzieci kuchennym nożem na kawałki, by je złożyć w ofierze swojemu umiłowanemu bóstwu. - Louis stanął obok Susany i dotknął kamienia na czole posągu. - Podobno diament w trzecim oku Kali łagodzi jej krwiożercze zapędy, chociaż według legendy, jedynie czerwony diament jest w stanie w pełni uśmierzyć jej gniew. Saraswati być może wyczuwała,

że Lily ma przy sobie czerwony klejnot, i dlatego zachowała się w taki sposób w świątyni. Gdy zaś chodzi o miejsce przechowywania amuletu, jestem pewien, że wkrótce wszystko się wyjaśni...

Susana gwałtownie zwróciła na niego wzrok.

- Czyżbyś wiedział, gdzie się znajduje żałobny wisior?

Louis skinął głową z uśmiechem.

- Wiem to doskonale.

## XVI

**M**iranda opadła ciężko na popękane skajowe siedzenie taksówki - jednej z tysięcy, jakimi w życiu przejeżdżała przez niezliczone ulice obcych miast. Harlem zdawał się bardziej przeludniony, głośniejszy i kolorowy niż kwartały leżące zaledwie kilka ulic wcześniej. Wysokie apartamentowce i sklepy były tutaj bardziej zaniedbane, ale witalność i energia, jaką pulsowała ta dzielnica, sprawiały, że tłoczne ulice dolnego Manhattanu wydawały się sensne w porównaniu z Harlemem.

Taksówka zatrzymała się na światłach i Susana spostrzegła kobietę z mocnym makijażem - zdającym się niemal maską - w spódnicy tak krótkiej, że ledwo zakrywała jej pośladki, wydzierającą się na męczyznę stojącego w drzwiach jednego z licznych tu barów. Kobieta miała paznokcie pomalowane na złoto i tak niesłychanie długie, że gdy gestykulowała - sprawiały wrażenie sztyletów. Męczyzna, który był obiektem werbalnej napaści - najprawdopodobniej niedawny klient kobiety - wzruszył ramionami i skierował się ku przejściu, przed którym się zatrzymała taksówka Mirandy. Ledwo jednak przestąpił krawężnik, dopadł go potężny facet o wygolonej głowie i ramionach grubości kobiecych ud, chwycił za kołnierz i z całej siły trzasnął nierzetelnym klientem o bok taksówki. Kierowca zaklął głośno, a ponieważ akurat zmieniły się światła - szybko nacisnął pedał gazu. Przerażona Miranda, przyciskając rękę do ust, obejrzała się nerwowo za siebie. Zdążyła jeszcze zobaczyć, że kobieta o złotych paznokciach wsunęła rękę w kieszeń leżącego i nie przestając wrzeszczeć, wyciągnęła z niej kilka banknotów. Nikt z przechodniów nie zwracał najmniejszej uwagi na ową scenę, mało kto nawet zerknął w tamtą stronę.

Kiedy Miranda dojechała do miejsca przeznaczenia - na północny skraj Manhattanu - miała wrażenie, że odbyła podróż w czasie. Muzeum Klasztorne - częściowo wzniesione z ocalałych elementów architektonicznych i kamiennych bloków średniowiecznych francuskich opactw, które w Europie popadły w ruinę - zdawało się jeszcze bardziej surrealistycznym tworem po przejeździe przez Harlem. W owym muzeum pracował ulubiony jubiler Susany. Formalnie Rudy Weinberg był tu jednym z kustoszy - specjalistą od średniowiecznej biżuterii, ale jego syn miał nieopodal Piątej Alei sklep, gdzie sprzedawał antyczną biżuterię, a także klejnoty najlepszych światowych jubilerów, i dla jego klientów Rudy wykonywał niekiedy specjalistyczne naprawy.

Taksówka przejechała przez wysoką, kutą bramę, i Miranda nagle się znalazła w piętnastowiecznym opactwie, położonym nad brzegami rzeki Hudson. Po północnej stronie znajdowały się otoczone murem ogrody, stanowiące replikę przyklasztornych herbariów - pieczołowicie stworzoną na podstawie opisów zawartych w średniowiecznych poematach i księgach zielarskich. To tutaj właśnie Miranda się umówiła z Rudym. Usiadła w słońcu, na kamiennej ławce, odetchnęła głęboko, wpatrzyła się w błyskającą pomiędzy drzewami rzekę i pierwszy raz od dwóch dni poczuła, jak zalewają ją fala spokoju.

Niespodziewanie przypomniała sobie podróż pociągiem do Benaresu - wówczas również udało jej się zdystansować od szaleństw codzienności. W owych chwilach patrzyła na siebie tak, jak zapewne patrzyli na nią inni - Tash czy nawet Susana. Miranda pochwyciła kątem oka spojrzenie Susany, gdy zadzwonił agent z Genewy. Ów wzrok zdawał się mówić: „A co ty z tego masz, kobieto?”. Miranda od bardzo dawna nie zadawała sobie podobnego pytania, za to często obiecywała, że jak tylko znajdzie trochę wolnego czasu, usiądzie i spokojnie się zastanowi nad życiem - swoimi motywacjami i przyszłością.

Po chwili złapała się na tym, że wodzi palcem po satynowym woreczku, w którym trzymała wisior. Miała nadzieję, że Rudy znajdzie szkiełko dokładnie tego rozmiaru co oryginalne, chociaż z drugiej strony, wiedziała, że to praktycznie niemożliwe. Rudy miał w swoim warsztacie olbrzymią szafę, a w niej niezliczone rzędy maleńkich szufladek, pełnych rozmaitych „części”: zawiasków ze złota, tycich zameczków, łapek do osadzania kamieni, wieczek do medalionów, zacisków i - starych szkiełek.

Miranda cieszyła się na spotkanie z Rudym, bo zazwyczaj umiał ją rozbawić, a ponieważ w Nowym Jorku spędziła już dwa dni i do tej pory nie udało jej się znaleźć żadnych godnych uwagi diamentów - przydałby jej się zastrzyk dobrego humoru.

Nowojorscy dealerzy kontrolowali handel diamentami w całej Ameryce, a co za tym idzie, generowali największe zyski tej trzeciej pod względem dochodowości gałęzi gospodarki USA. W kwartale jubilerów - w okolicach Czterdziestej Siódmej, pomiędzy Piątą a Szóstą Aleją - wrzało jak w tyglu. Na każdym kroku słyszało się tam język żydowski, japoński oraz urdu, a przechodnie zbaczali z Piątej Alei, żeby popatrzeć przez wielkie szyby na szlifierzy pochylonych nad swoimi tarczami, wspólnie intonujących tradycyjne żydowskie pieśni. Kiedy cztery lata temu Miranda zjawiała się tu po raz pierwszy, oszołomiły ją brylanty o wielomilionowej wartości, wystawione w sklepikach należących do chasydów odzianych w ciemne chałaty i czarne kapelusze. Każdy z nich ze spokojem pokazywał jej dokumenty informujące o przynależności do Klubu Kupców Diamentów - niezwykle elitarnej organizacji, której członkowie musieli ściśle przestrzegać kodeksu honorowego, bo w innym wypadku tracili nie tylko członkostwo, ale i twarz. Tutaj także Miranda się dowiedziała, że diament, który nie ma certyfikatu wystawionego przez Amerykański Instytut Gemologiczny, jest wart przynajmniej dwa tysiące mniej za karat od tego, któremu wystawiono taki certyfikat. Teraz czuła się wśród chasydzkich kupców jak u siebie w domu i doskonale wiedziała, co oznaczają słowa szmela i szmuk - żywcem wyjęte z jidysz.

Dzisiaj po południu odwiedziła firmę Mazel & Brocha - dealerów nad dealerami. Zostawiła wizytę u nich na sam koniec, bo jeżeli ktokolwiek w mieście mógł mieć fantazyjne diamenty, które jeszcze nie przeszły przez aukcje u Sotheby'ego czy w Christie's - to tylko oni.

- A, Miranda! - Niemłody już Żyd załamał teatralnie ręce. - Tyś mi powinna dać wcześniej znać, że potrzebujesz wyjątkowych kamieni! Miałem piętnastokaratowy błękitny diament, piętnastokaratowy! Błękitny! Cudo, istne cudo! Poszedł w zeszłym tygodniu na aukcję. A był piękny, piękny! Idealny, w odcieniu akwamaryny - bez żadnych skaz czy inkluzji! Wprost idealny! - Opadł na krzesło, otarł pot z czoła, poluzował kołnierz i zapraszająco poklepał siedzenie pobliskiego fotela. - To zły czas na diamenty - wyznał konfidencjonalnym tonem. - Powinnaś przemieścić tę aukcję na przyszły rok.



- Już za późno. W poniedziałek oddajemy katalogi do drukarni.

Mężczyzna westchnął głęboko i smętnie pokręcił głową.

- Co rozumiesz przez „zły czas na diamenty”? Czyżby grupa De Beersa popadła w jakieś kłopoty?

- De Beers nawet nie wie, co to kłopot - są potężnym kartelem. Jeżeli spada handel diamentami - a w tym roku obroty są niższe o miliard dolarów - to się samo przez się rozumie, że De Beers wprowadza nową regulację popytu i sprzedaży.

- Słyszałam, że rynki rosyjski i kanadyjski zaczynają się umacniać...

- Eee tam... Miranda, ty sobie zapamiętaj, że kamieniami rządzą planety. Planety! To Wenus sprawia, że ludzie nagle łakną diamentów. Sęk w tym, że nikt mnie nie chce słuchać.

Mirandzie przypomniała się natychmiast rozmowa z panem Patelem, który mówił coś podobnego. Wprost trudno uwierzyć, że skądinąd inteligentni ludzie niezłomie wierzą w związek kamieni szlachetnych z kosmosem.

W ciszy klasztornej ogrodu rozległ się dzwonek komórki i Miranda aż podskoczyła na kamiennej ławce. Połączenie było marne, pełne trzasków i szumów. Zdawało jej się, że to Susana próbuje się z nią skontaktować, ale niebywale ożywiony głos w słuchawce dramatycznie się różnił od zawsze spokojnego i wyważonego tonu Susany. Co dziwniejsze, Miranda miała wrażenie, że Susana opowiada coś o medalionie żałobnym (a po przyjeździe Mirandy z Genewy w ogóle się nie kontaktowały!), a także wspomina o diamentach. W końcu Miranda głośno, powoli wyjaśniła, że prawie nic nie słyszy, i obiecała, że się postara oddzwonić za parę godzin.

Ledwo schowała komórkę, gdy w furcie prowadzącej do ogrodu pojawiła się zwalista sylwetka Rudy'ego. Był niebywale potężny - zarówno ciałem, jak i duchem, a jego głos dudnił głośnie echem wśród ziołowych krzaczków i miniaturowych drzewek owocowych.

- Miranda! Witaj w Nowym Jorku! - Chwycił ją w niedźwiedzi uścisk, aż zaparło jej dech w piersiach. - Napijmy się kawy. Czy to czysto towarzyska wizyta, czy może w twojej małej główce rodzi się plan jakiegoś biznesu?

- I jedno, i drugie - przyznała od razu.

Usiedli w kawiarni o gotyckim wystroju i Rudy opowiedział Mirandzie, że jego synowi właśnie urodziło się nowe dziecko, a żonie wszczępiono bypassy, o które - w jego opinii - od dawna sama się prosiła, bo

pijała kawę z pełnotłustą śmietanką i nałogowo się objadała pączkami.

- Nigdy przedtem nie miała tak ogromnego tyłka. Zanim ją poślubiłem, była równie szczupła jak ty. Więc jeżeli chcesz zachować figurę, Mirando - nigdy nie wychodź za mąż!

- Zamażpójście mi z pewnością nie grozi, Rudy.

- I to, widzisz, mnie zdumiewa. Co ty wyprawiasz ze swoim życiem, dziewczyno! Rzuć w diabły tę pracę i znajdź sobie miłego kawalera. Najlepiej dobrego żydowskiego chłopca, ale najpierw mi powiedz, kto zacz, a ja już dobrze sprawdzę jego rodzinę.

Miranda wybuchnęła śmiechem.

- Przecież przed chwilą mi radziłeś, żebym nigdy nie wychodziła za mąż!

- Ech, co ja tam wiem. Powinnaś się zakochać i mieć dzieci, w innym wypadku zmarnujesz sobie życie. No dobrze, a teraz powiedz, co cię sprowadza do tego zakątka?

Miranda wyciągnęła pikowany jedwabny woreczek i podała go Rudy'emu.

- To moja osobista własność, Rudy. Najnowszy dodatek do kolekcji, który - niestety - wpadł w ręce dwulatka. Zobacz, do czego dochodzi, gdy po domu się kręcą dzieci.

Rudy uśmiechnął się pod nosem, a jednocześnie pilnie oglądał wisior.

- Bardzo niezwykły okaz. Doskonale złoto, niespotykany wzór. Niemal jak medalion bez zameczka. - Rudy zważył w dłoni klejnot. - Jest trochę cięższy niż teoretycznie powinien. Zapewne do jego wykonania wykorzystano już istniejącą sztukę biżuterii. Jak wiesz, to się często zdarzało w wypadku żalobnych klejnotów.

Miranda skinęła głową. W dziewiętnastym wieku śmierć zbierała tak obfite żniwo, że często jedna sztuka biżuterii pełniła kilka funkcji - na przykład awers żalobny mógł być ruchomy.

- Jeżeli chodzi o szklaną osłonkę - prawdopodobnie wyszukam coś odpowiedniego w swoim warsztacie. Kiedy wracasz do Londynu?

- W niedzielę rano.

- Okay. Możesz go u mnie zostawić? Zadzwoń do ciebie, jak tylko znajdę to szkielek. Jeżeli mi się nie uda, wykroimy je dla ciebie. Myślę, że zdążę wszystko załatwić przed twoim wyjazdem.

Miranda odetchnęła z ulgą, nachyliła się i cmoknęła Rudy'ego w policzek.

- Ho, ho! Widzę, że rzeczywiście lubisz ten drobiazg. Naturalnie, dostrzegam jego urok - bardzo romantyczny, oryginalny wzór... A czy ma dla ciebie dodatkową, emocjonalną wartość?

- Nie. Po prostu mi się podoba.

Rudy spojrział na nią spod przymrużonych powiek, jakby chciał wy badać, czy jest całkiem szczerą.

- No dobrze, dziecino. Muszę lecieć. Zakupiliśmy kilka nowych błyskotek i właśnie dostarczono je kurierską pocztą. Biżuteria arystokratki z dziewiątego wieku - prosto ze stanowiska archeologicznego. Zadzwoń do ciebie, okay?

Kiedy się obudziła w sobotę rano, przez dłuższy czas wpatrywała się w sufit. Mimo niemiłego przeświadczenia, że wróci do Londynu z pustymi rękami, a aukcja okaże się niewypałem - była w całkiem dobrym nastroju. Teraz pozostało jej tylko czekać na odzew dealerów, z którymi tu rozmawiała. Oni skontaktują się ze swoimi klientami oraz innymi znajomymi dealerami i jak tylko znajdą coś ciekawego - dadzą jej znać. Prawdę mówiąc, już na to nie liczyła, ale jeżeli nawet nie wróci do Londynu z diamentami - to przynajmniej z naprawionym wisiosem.

Na dobrą sprawę powinna zadzwonić do Kennetha i ostrzec, że w Nowym Jorku raczej nie osiągnie sukcesu, ale nie miała ochoty. To ostatecznie nie jej wina, że na rynku nie ma żadnych wyjątkowych kamieni. Ponownie zdjęła Mirandę złość na dyrektora - jak mógł ją postawić w podobnej sytuacji i zrzucić na nią cały ciężar odpowiedzialności za aukcję. Z drugiej strony, przecież nikt nie mógł jej zmusić, by przeżywała takie czy inne emocje. Gdy sobie to uświadomiła, aż usiadła z wrażenia. Ona sama wpędzała się w poczucie winy i wyznaczała sobie nieosiągalne cele, a Kenneth jedynie umiejętnie to wykorzystywał.

I nagle zrobiło jej się lekko na sercu. Wczorajszego wieczoru mijala obojętnie wszystkie swoje ulubione sklepy na Piątej Alei. Teraz natomiast ogarnęła ją wielka ochota, by się wybrać na zakupy, co było jasnym sygnałem, że powraca tak dla niej charakterystyczna pogoda ducha. Aukcja nie przyniesie Hanovers niebywałego zysku i nie podniesie natychmiast prestiżu firmy? No i co z tego. Kenneth dojdzie do wniosku, że Miranda nie jest jednak zdolna do wyczynów na miarę herosa? To też nie powód do zmartwienia. Teraz najbardziej potrzebowała do szczęścia nowej pary butów. I porządnych wakacji.

Włożyła krótką lnianą spódnicę i białą bluzkę, a stopy wsunęła w wygodne sandały na niskim obcasie - w Nowym Jorku było dużo cieplej niż w Londynie. Jeszcze tylko okulary przeciwsłoneczne oraz elegancki koszyk na ramię zamiast torebki - i była gotowa na wyprawę. Niespodziewanie poczuła się tak, jakby już się znalazła na wakacjach, i próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz wzięła prawdziwy urlop. W zeszłym roku najpierw planowała wyjazd do Grecji w lecie, a potem do Hiszpanii na jesieni - ale w obu wypadkach coś nagle wyskoczyło w pracy, i nic z tego nie wyszło. A więc za ostatnie wakacje należało uznać wyjazd do Australii, do mężczyzny, którego poznała na targach. Zdziałała pod wpływem impulsu i pożałowała tego wkrótce po przylocie do Sydney. Facet miał apartament niemal na samej Bondi Beach i każdy dzień zaczynał od surfowania. Sprawa nie rozbiła się o to, że ów związek nie miał przyszłości - wręcz przeciwnie - był tak obiecujący, że Miranda się przestraszyła. Nie chciała porzucić stanowiska, na które przecież ciężko pracowała. Poza tym w Australii nie mogła podjąć legalnie pracy, a nie zamierzała pozostawać na czyimś utrzymaniu. Odrzuciła więc propozycję małżeństwa (złożoną po dwóch tygodniach) i we łzach wróciła do Anglii.

Już miała opuścić hotelowy pokój, gdy sobie przypomniła, że wczorajszego wieczoru nie oddzwoniła do Susany. Zostawiła więc wiadomość na jej sekretarce z wyjaśnieniem, że z racji kiepskiego połączenia nic nie słyszała, ale jutro wraca do Londynu i skontaktuje się wkrótce po przyjeździe.

Hotel „Plaza” stał przy Central Parku, który w ten słoneczny poranek był pełen joggingujących młodych kobiet, właścicieli psów, wyprowadzających na spacer swoich pupilów, oraz chudych nastolatków na skateboardach i rolkach. Wyszedłszy z parku, Miranda bez mrugnienia okiem minęła salon jubilerski Van Cleef & Arpéis oraz butik Emanuela Ungaro i Prady. Potrzebowała eleganckich, stylowych butów, ale nie takich, które zmasakrują jej nogi. Na Piątej Alei skusił ją jednak dom towarowy Saksa i akurat w chwili, gdy gładziła nieziemsko miękkie spodnie z czarnego zamszu, odezwała się jej komórka.

Dzwonił Rudy.

- Myślę, że powinnaś przywlec tu swój tyłek, dzieciно. To cacko jest jeszcze bardziej niezwykle, niż mi się z początku zdawało.

Rudy siedział w warsztacie na zapleczu sklepu syna, zaledwie parę ulic od Saksa, i Miranda, rzuciwszy po raz ostatni okiem na spodnie (które wyglądałyby wprost bajecznie do jej zimowego, krótkiego płaszcza - także z czarnego zamszu), szybko opuściła luksusowy dom towarowy.

Ruszyła Piątą Aleją, minęła Tiffany'ego, zatrzymała się jednak przy wystawie Cartiera, na której wyeksponowano barwne diamenty. Fantazje stawały się coraz modniejsze, głównie dzięki przemyślnej polityce marketingowej australijskiej kopalni Argyle, która reklamowała swoje intensywnie różowe kamienie jako „czerwone” (najrzadsze wśród diamentów), a brązowe jako „koniakowe”. Od czasu gdy trzykaratowy różowy diament z Argyle został sprzedany za pół miliona funtów, światowe rynki zaczęły się uważniej przyglądać fantazjom.

Syn Rudy'ego akurat się zajmował klientami, ale uśmiechnął się szeroko do Mirandy i dał znak pracownikowi ochrony, żeby ją wpuścił na zaplecze. Za dużym stołem siedział Rudy w skórzanym fartuchu, z lupami jubilerskimi wciśniętymi na powieki - tak silnie powiększającymi, że jego tęczówki i źrenice zdawały się komicznie monstrualne. Na widok Mirandy szybko je zdjął, ona natomiast w tej samej chwili zauważyła, że Rudy ma wypieki na twarzy, a oczy płoną mu jak w gorączce.

- Rudy? Czy aby na pewno dobrze się czujesz?

- Dobrze? Jasne, wspaniale. Ty za chwilę też się tak poczujesz. Chodź i rzuć na to okiem.

Zaintrygowana Miranda usiadła obok Rudy'ego. Usunął już z wisiora uszkodzone szkieleo i teraz wreszcie wyraźnie było widać kwiaty, niezmiernie kunsztownie splecione z białych włosów. Pod umieszczoną pośrodku lilią coś jednak pobłyskiwało czerwienią.

- Ta lilia musiała się nieznacznie przemieścić, gdy pękło szkieleo. Kiedy je usuwałem, zapewne przesunąłem kwiatek jeszcze o ułamek milimetra. Nie dotykałem niczego więcej - nie chciałem tego robić bez twojej akceptacji - ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że pod spodem znajduje się kamień - i to wyjątkowy. Zaryzykuję twierdzenie, że pod pozostałymi ósmioma liliami także się kryją klejnoty.

Przez chwilę Miranda siedziała jak oniemiała. Może właśnie z racji tych kamieni wisior od początku tak mocno ją pociągał - jakby wyczuwała, że ta sztuka biżuterii ma w sobie coś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Kamień połyskujący pod środkową lilią załamywał

światło w tak niezwykle sposób, że Mirandzie aż dech zapierało z wrażenia.

- Według ciebie, ten czerwony kamyk jest tym, o czym myślę? - spytał Rudy.

- Uhm. Tak sądzę.

- Uważam, że w tych okolicznościach powinniśmy usunąć lilię.

- Miałam nadzieję, że to powiesz.

Lilia dała się zadziwiająco łatwo zdjąć, bo została tylko delikatnie przyklejona do brzegów otworu w gagacie. Kiedy czerwony kamień ukazał się już w pełnej krasie, Rudy gwizdnął przeciągle, po czym zdjął okulary i ponownie uzbroił oko w lupę.

- O ile się nie mylę, mamy tutaj piękny brylant. Ostatni wystawiony na aukcji czerwony diament poszedł za półtora miliona dolarów za karat. Ten tutaj oceniam na dwa i pół, może trzy karaty. Moja pani, jesteś bogata!

Miranda nadal nie mogła wydusić z siebie słowa. Chwyliła za pęsetkę Rudy'ego i usunęła kolejną lilię: tym razem pod kwiatkiem krył się cudownie oszlifowany zielony diament w odcieniu oliwinu. Pod następnymi liliami znajdowały się kolejne diamenty: niebieski, żółty, brązowy... Kiedy wszystkie tworzące wianek lilie zostały usunięte, ukazało się osiem różnokolorowych brylantów, mniej więcej tej samej wielkości co czerwony - a wszystkie szlifowane ręką wybitnego mistrza.

- Jeżeli wymontujemy gagat, zobaczymy, z jakim naprawdę klejnotem mamy do czynienia. Ta płytka i ozdoba z włosów to jedynie kamulaż!

Miranda nie była równie rozentuzjasmowana jak Rudy, ponieważ zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę medalion do niej nie należał. Przede wszystkim za niego nie zapłaciła, a nawet gdyby tak było - Rawi z pewnością nie sprzedałby jej za cenę sztuki żałobnej biżuterii nawaratannej z brylantów. Wątpliwe, by w ogóle miał ochotę rozstać się z amuletem.

- Hej, odezwij się wreszcie! Mam zdejmować tę gagatową płytkę, czy nie?

Miranda skinęła głową i w milczeniu patrzyła, jak Rudy podważa gagat i usuwa go znad złotego dysku. Po chwili ich oczom ukazał się zupełnie inny obraz - kryjący się pod gagatem klejnot olśniewał pięknnością. Dziewięć barwnych diamentów - z czerwonym w środku - osadzono w

starym, wielokaratowym zlocie, a wokół brzegu medalionu biegły mi-  
sternie wygrawerowane, maleńkie litery, układające się w jakiś napis w  
sanskrycie.

## XVII

Kensington, 3 kwietnia 1878

Droga Lily,

Dopiero w kilka dni po naszej wizycie w rezydencji maharadży przy  
Hyde Parku Gerard mi powiedział, że stało się tam coś straszego.

Tajemnicza Saraswati od początku wzbudzała jego ciekawość, po-  
nieważ mu powiedziałam, że najprawdopodobniej swego czasu łączyła  
ją jakaś więź z Wikramem. Chyba Ci jeszcze nie mówiłam, Lily, że Ge-  
rard teraz nadzoruje wszystkie śledztwa, związane z przemytem oraz  
handlem opium, i poważnie podejrzewa, że dom maharadży jest nadal  
bezpieczną przystanią dla hinduskich kurierów. Tam także, przed wielu  
laty, mieszkał Wikram podczas swojego pobytu w Londynie.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami, Saraswati szybko się poczuła znu-  
dzona i rozczarowana Londynem, a przede wszystkim - angielskimi da-  
mami, o których niegdyś miała tak wysokie mniemanie. Jak należało  
przypuszczać, jej wizyta tutaj zmieniła się w niekończące się pasmo  
herbatek i pogawędek o niczym z przedstawicielkami londyńskiej socje-  
ty, tłumnie odwiedzającymi maharadżę. One ze swojej strony także były  
rozczarowane, bo skoro w tym sezonie księżę przyjechał z piękną, mło-  
dą konkubiną, nie zajmował się nimi w sposób, do jakiego przywykły.

Pamiętnego dnia zaproponowałam Saraswati, że wraz z Gerardem  
zabierzemy ją na przechadzkę po parku (aby obejrzała angielskie damy  
w ich naturalnym środowisku). Nie obawiaj się, Lily, nie nabrałam zwy-  
czaju publicznego paradowania w modnych miejscach w szczycie sezo-  
nu - nie mam bowiem ochoty, by roztrząsano szczegóły mojego stroju i  
sposobu bycia. Ale jeżeli jeszcze kiedyś zdarzy mi się udać do parku dla  
zażycia spaceru, po prostu włożę spodnie - i wówczas z pewnością już  
nikt mnie nie weźmie za szacowną damę.

Muszę przyznać, że podobnie jak Gerard, miałam ukryty powód, by porozmawiać z Saraswati na osobności. Chciałam ją zapytać, co pamięta z owego dnia w świątyni Kali, gdy straciłaś swój wisior. Z początku twierdziła, że nic sobie nie przypomina, ale kiedy opisałam jej medalion ze wszystkimi szczegółami, przez jej twarz przebiegł mroczny cień (który z pewnością nie jest Ci obcy), po czym umknęła wzrokiem i wówczas już wiedziałam, że kłamie. W końcu wyznała mi, że to nie ona, lecz Gowinda zdjął z Twojej szyi wisior, gdy się nachylił nad Tobą w świątyni, by Cię przywrócić do przytomności.

Potem Gerard zaczął zadawać pytania Saraswati i z początku w jej oczach pokazał się strach. Zaprzeczyła, by kiedykolwiek знаła Wikrama, jednak po chwili zapytała, co się z nim stało, a wyraz jej twarzy zmienił się nie do poznania. Jakbym patrzyła na osobę o dwóch zwalczających się osobowościach, Lily - w jednym momencie Saraswati zdawała się uosobieniem niewinności i słodczy, w następnym - kobietą-demonem. A gdy Gerard ją zapytał, czy kiedykolwiek widziała kolekcję dziewięciu barwnych diamentów, należącą do maharadży - wpadła w istną furię.

- Co ty wiesz o moim diamencie? - wyszczała, i kiedy zobaczyłam spojrzenie, które wbiła w Gerarda, nie uległo dla mnie wątpliwości, że w owej chwili chętnie by go zamordowała. - On go zabrał, tak? Wikram ukradł mój diament! A obiecał, że mi go przywiezie! Ale ja tego człowieka znajdę! Znajdę - i zabiję!

Wówczas właśnie natknęliśmy się na doktora White'a i jego żonę. Zanim pani White rzuciła się w wir plotek, zmierzyła krytycznym wzrokiem żółte sari Saraswati - myślę, że możesz sobie wyobrazić tę scenę, Lily. Niewiele do mnie docierało z trajkotania doktorowej, bo przez cały czas uważnie się przyglądałam pięknej Hindusce, która w mgnieniu oka znowu się przedzierzgnęła w delikatną, uroczą kobietę. To było wprost niezwykle.

Udało mi się jednak zamienić kilka słów na osobności z doktorem White'em. Powiedział, że bardzo go niepokoi stan Twojego zdrowia, ale do tego tematu przejdę później.

Niemal natychmiast po rozmowie z White'ami ruszyliśmy z powrotem do rezydencji, a po drodze Saraswati - znów słodka i łagodna - opowiedziała mi, w jaki sposób została konkubina maharadży. To doprawdy



fascynująca historia, ale teraz Ci jej nie zdradzę, zaczęłam bowiem ją spisywać.

Kiedy się znaleźliśmy w domu maharadży, zastaliśmy go śpiącego w fotelu, z pustą butelką po dżinie na podłodze. Saraswati bez zwłoki się udała do swoich komnat, pozostawiając nas własnemu losowi - i wtedy właśnie widziałam ją po raz ostatni. Nazajutrz rano pokojówka znalazła jej ciało, już całkiem zimne, obleczone jedynie w przezroczysty welon. Służący zeznali, że Saraswati przez całą noc tańczyła jak w transie i zażywała duże dawki opium, podczas gdy maharadża spał jak zabity w tym samym fotelu, w którym go widzieliśmy po południu. Gerard powiedział, że służba nie uznała za niezwykle ani zachowania księcia, ani Saraswati. Okazuje się, że hinduscy książęta spędzają czas w Londynie na ekscentrycznych rozrywkach, które już nie wzbudzają niczyjego zdumienia.

Maharadża był zdruzgotany tą tragedią i natychmiast zaczął obwiniać siebie za śmierć Saraswati. Podobno zaprosił nas też do Benaresu, ale prawdę mówiąc, Lily, nie byłabym w stanie znieść kolejnej morskiej przeprawy. Słyszałam, że trasa przez Suez bardzo usprawniła podróż, a i statki są dużo szybsze i wygodniejsze, ale nie ma we mnie duszy żeglarza. Zamknięcie w ciasnej przestrzeni jest dla mnie nie do wytrzymania, a nad szary bezkres oceanu zdecydowanie przedkładam kensingtońskie pola i łąki. Gerard przekonuje, że pewnego, już nieodległego dnia wszystkie liniowce będą napędzane maszynami parowymi, a wówczas podróż do Indii nie zajmie więcej czasu niż wyprawa do Nowego Jorku. Wtedy może zmienię zdanie - ale zanim to nastąpi, minie jeszcze kilka lat; ja tymczasem mam nadzieję, że może jednak uda mi się namówić Ciebie do powrotu.

A teraz czas, żebym zrelacjonowała swoją rozmowę z doktorem White'em. Ów zacny człowiek bardzo się niepokoi - twierdzi, że podczas ostatniego pobytu w Londynie nie wyleczyłaś dostatecznie malarii, obawia się też, że za mało wypoczywasz. Dobrze wiem, Lily, że nie poważasz medyków i ich profesji - mam też świadomość, że lekarze najchętniej widzieliby kobiety potęgujące od rana do wieczora i na dodatek surowo by im zakazali aktywności wymagających większego wysiłku umysłowego niż haftowanie lub gra w krokiet, ale w tym wypadku całkowicie się zgadzam z opinią doktora White'a. A i pani Vesper prosiła, bym Ci

koniecznie przekazała, co ostatnio jej podpowiada silne „przecucie” - to bezwzględnie konieczne, byś jak najszybciej opuściła Indie i powróciła do domu. Jak więc widzisz, Lily, wszyscy robimy, co możemy, żeby Cię tu ściągnąć - przynajmniej na lato. Wiem, że dla Ciebie podróż statkiem nie jest przykra ani bardzo męcząca. Niejednokrotnie wspominałaś, że tygodnie spędzone na morzu służą Twojej muzyce, skądinąd wiem też, że możesz siedzieć godzinami w kajucie z piórem w ręku. To jedyny argument, Lily, jaki mi przychodzi do głowy, by Cię nakłonić do przyjazdu - przynajmniej na czas pory monsunowej. Gdybym przyjęła niedawne oświadczenia Gerarda, pewnie miałabym mocniejsze racje na poparcie mojej prośby, ale musiałam mu odmówić. To dobry i uczciwy człowiek, jednak nigdy i za nikogo nie wyjdę za mąż - choćby dlatego, że wówczas nie mogłabym szokować kobiet pokroju doktorowej White publicznym pokazywaniem się z mężczyzną bez przywoitki u boku.

Wiem, Lily, że pokochałaś Benares, a maharadża przydzielił Ci nowe apartamenty z widokiem na rzekę, ale wkrótce pałacowe wnętrza przesiąkną wilgocią, a doktor White utrzymuje, że wilgoć wyjątkowo szkodzi ludziom o słabej konstytucji. Poza tym gdy w Indiach będą padać deszcze, w Anglii zapanuje najpiękniejsza pora - ciepła i słoneczna. Już teraz na pobliskich łąkach roi się od jaskrów i stokrotek, na trawniku domu w Kensington wystrzeliły w górę żonkile i nawet zioła Marty okryły się kwieciami.

Moje artykuły cieszą się umiarkowanym powodzeniem i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że gdybym tylko uległa namowom i podpisywała eseje męskim pseudonimem - znalazłabym więcej wydawców gotowych podjąć ze mną współpracę. Jestem dozgonnie wdzięczna panu Hardingowi, że aż do dnia swojej śmierci drukował w „Merkuriuszu” „Niebieskie pończochy”. Nowy wydawca nie patrzy przychylnym okiem na emancypację kobiet i boleje nad faktem, że pionierki jazdy na bicyklach odziane w szerokie pumpy wzbudzają tak wielkie zainteresowanie prasy, bo to szerzenie nieprzystojnego zachowania, niegodnego najdrobniejszej wzmianki w gazecie! Bardzo się więc oboje różnymi poglądami, dlatego w najbliższym czasie będę chyba publikować w „Guardianie” - nie mogę się natomiast zdobyć, by rozpocząć współpracę z magazynami dla pań, mimo że jeden z nich - „Women's Weekly” - zaczął drukować w odcinkach opowiadania autorstwa kobiet. Z tego powodu zastanawiałam się

nawet, czy się nie zabrać do pisania nowej powieści, ale szybko zarzuciłam ten pomysł. Praca nad „Hinduską księżniczką” pochłaniała wiele mojego czasu i tak bardzo zawładnęła moim umysłem, że zaczęłam szczerze sympatyzować z George Eliot oraz jej słynnymi napadami mrocznego nastroju i skłonnością do zamykania się przed ludźmi. Ale osobiście wolę żyć w rzeczywistym świecie, a nie w świecie swojej wyobraźni - tym bardziej że czas dany nam na tej ziemi jest niesłychanie krótki. Zaczęłam natomiast pisać nowy, rozbudowany prolog do drugiego wydania „Księżniczki”. Jeszcze nie jest skończony, nie mogę więc Ci go przesłać, ale gdy pewnego dnia przeczytasz ów wstęp, będziesz wiedziała, że nie jest to jedynie fikcja, lecz prawdziwa historia, która doprowadziła do wielu przedziwnych wydarzeń.

Lily, tak bardzo Cię proszę, przyjedź szybko do domu - chociaż na trochę!

Z wyrazami miłości -

Sara

Dochodziła dziesiąta wieczorem, gdy Susana odłożyła list Sary. Zazwyczaj unikała pracy w niedziele, ale nie była w stanie się oderwać od dokumentów odnalezionych w pudle Lily. Teraz już wszystkie starannie przeanalizowała i nie mogła się uwolnić od poczucia pewnej porażki. Miała wystarczająco dużo materiałów, by nadać książce zupełnie nowy kierunek. Spotkanie z wydawcą również przebiegło bardzo pomyślnie - bez wahania się zgodził, aby przedstawiła w swojej pracy historię Lily Korechnya. Rzecz w tym, że już nie było więcej listów, więc może Susana nigdy się nie dowie, czy Lily kiedykolwiek powróciła do Londynu. Pewnie nie - wzięwszy pod uwagę fakt, że pudło nie opuściło pałacu. Sprawa morderstw też pozostawiała wiele znaków zapytania - któż był bowiem owym współnikiem Wikrama, obezwładniającym jego ofiary niesłychanie celnymi strzałami z procy? Zapewne ta sama osoba - choć niechący - przyczyniła się do śmierci młodego Hindusa. Teraz już tylko pozostawało Susanie przeczytać „Hinduską księżniczkę”, by sprawdzić, czy to, co wiedziała, bądź czego się domyślała Sara, mogło stanowić odpowiedź na niektóre pytania. Rzecz w tym, że od długiego czasu Susana nie kontaktowała się z Mirandą, nie miała więc okazji poprosić o zwrot książki - której Miranda zapewne i tak nie przeczytała z braku czasu.

Głośny dźwięk telefonu gwałtownie wyrwał ją z rozmyślań. Któż mógł dzwonić o tak późnej porze? Miała nadzieję, że nie Louis. Kiedy od niego wychodziła, bardzo się niepokoił, że z powodu nawaratny może być zagrożone bezpieczeństwo Mirandy, i chociaż Susana wiedziała, że to zwykle przesady - udzielił się jej ów lęk. W pierwszym odruchu postanowiła więc nie odbierać telefonu, w końcu jednak podniosła słuchawkę.

- Witaj, tu Miranda. Właśnie wróciłam.

- Miranda! Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło, że cię słyszę. Jak ci poszło w Nowym Jorku?

- Wolałabym ci o tym opowiedzieć w cztery oczy. Czy możemy się umówić jutro na lunch? I czy dobrze usłyszałam, że ci ulżyło? A to z jakiego powodu?

- To bardzo dziwna historia... ale może poczekać do jutra.

- Brzmi intrygująco. A skoro już jesteśmy przy intrygach - wiem, że to zabrzmia głupio, ale czy w podszewce pudła, które dostałaś od Rawiego, znajduje się kieszonka na rękawiczki?

- Nie zauważyłam, jednak podszewka jest mocno obłuzowana, a ja nie przyglądałam się jej zbyt uważnie... a czemu pytasz?

- Ponieważ jedna z postaci w powieści Sary schowała w kieszonce na rękawiczki pewne bardzo osobiste pisma i po prostu się zastanawiałam...

Susana poczuła mrowienie w karku.

- Przeczytałaś „Hinduską księżniczkę”?

- Owszem, skończyłam ją podczas lotu z Nowego Jorku. Trudno to nazwać wielką literaturą, ale fabuła jest oryginalna i całkiem wciągająca.

Susana nie mogła się już doczekać inspekcji pudła i w końcu zapomniała powiedzieć Mirandzie o rysunku przedstawiającym nawaratnę - a nawet nie zapytała, czy w powieści Sary znajdują się informacje pozwalające rozwikłać różne niewyjaśnione wątki.

- Musisz mi jutro wszystko opowiedzieć.

- Naturalnie. A teraz leć i obejrzyj uważnie tę podszewkę! Zadzwoń, jeżeli znajdziesz coś ciekawego - jeszcze przez parę najbliższych godzin nie wybieram się do łóżka. W innym wypadku spotkamy się jutro w porze lunchu w Hanovers.

Susana potknęła się o stos książek, gdy nurkowała pod stół po pudło, a wstając zbyt gwałtownie - uderzyła się boleśnie w głowę. Zdjęła

pokrywę, zaczęła macać dłonią błękitną satynową podszewkę i w pewnym miejscu wyczuła zgrubienie, ale mogła to być jedynie jakaś wyściółka pomiędzy podszewką a skórzaną konstrukcją pudła. Dostrzegła także kieszonkę na rękawiczki, która jednak zdawała się pusta. Dopiero gdy włożyła głębiej rękę - wymacała dziurę - wąskie pęknięcie, dość jednak duże, by wsunąć w nie palce. I wymacała trzy złożone arkusze wyjątkowo szlachetnego pergaminu, które ostrożnie wyciągnęła na wierzch.

Na pierwszym zobaczyła wypisane niewprawną ręką próby skomponowania pierwszej linijki listu.

*Droga Lily Korechnya,*

*W Londynie jest dziwnie bez Ciebie, a zimę mamy okropnie srogą.*

*Droga Lily Korechnya,*

*Pałac maharadży wydaje się wspaniały i bardzo bym chciała zobaczyć jego oswojonego tygrysa.*

*Droga Lily Korechnya,*

*To pierwszy list, jaki piszę w życiu.*

Susana rozpoznała charakter pisma Sary, jednak jeszcze nieporadny; styl zdań zaś sugerował, że kreśląc te słowa, Sara była niemal dzieckiem. Na odwrotnej stronie owego nieukończonego listu dziewczynka ćwiczyła wprawność ręki - znajdowały się tam pilnie skopiowane ogłoszenia prasowe, upstrzone gdzieniegdzie kleksami. Wynikało z tego, że w pewnym momencie pudło znalazło się w posiadaniu Sary, która starała się oszczędzać kosztowny pergamin.

Następny arkusz był już pokryty pięknym pismem Lily.

*Kensington, 14 maja 1864*

*Miłości moja,*

*W końcu się zdobyłam na odwagę i przyszłam do miejsca, gdzie wciąż czuję Twoją obecność. Jakże to dziwne, mój najmilszy - tęsknię za Tobą tak ogromnie, że cierpi i moje ciało, i dusza, a jednocześnie przez ostatnie miesiące nie byłam w stanie wejść do tej pracowni, chociaż wiedziałam, że tylko tutaj mogę Cię odnaleźć.*

Susana poczuła, jak do jej oczu napływają łzy. Ten list - podobnie jak znaleziony pod okładką „Hinduskiej księżniczki” - Lily także napisała po śmierci męża, którego boleśnie jej brakowało. I chociaż oboje już od dawna nie żyli, Susana miała wrażenie, że wdziera się do ich intymnego świata, za co w duchu gorąco przepraszała.

W dalszej części listu Lily wspominała o spotkaniu z lady Herbert i o osobliwym przekonaniu Cyntii, że diamenty „przyciągają dusze zmarłych”. W zakończeniu zaś napisała:

*Czy za pośrednictwem diamentu mogłabym Cię przywołać do siebie, mój najdroższy? Ach, gdyby to było takie proste...*

Dochodziła północ i chociaż Susana miała ochotę czytać dalej, podniosła się z krzesła i zdecydowanym ruchem zgasiła stołową lampę. Gdyby się zagłębiła w lekturze, przeniosła do świata Lily - przez całą noc nie zmrużyłaby oka. A tak mogła się cieszyć perspektywą jutrzejszego dnia - obietnicą dalszego kontaktu z Lily i Sarą. Susana z uśmiechem na ustach położyła się do łóżka. Zanim zasnęła, przypomniała sobie raz jeszcze, co mówiła lady Herbert o diamentach.

Może więc to jednak za pośrednictwem diamentów z amuletu Lily przywołała do siebie męża w mroku świątyni Kali.

## XVIII

**D**zień zaczął się fatalnie - i to jeszcze zanim Miranda otworzyła oczy. Śniło jej się, że Amerykański Instytut Gemmologiczny uznał barwne brylanty za falsyfikaty.

W rzeczywistości Instytut Gemmologiczny wydał certyfikat autentyczności. Rudy wykorzystał swoje kontakty i załatwił wykonanie testów, gdy tylko usunął płytkę z gagatu - mimo że już było po godzinach pracy.

Przebadanie diamentów i sklasyfikowanie ich czystości nie trwało długo. Ekspert wręczający im z powrotem aksamitne etui, w które Rudy włożył medalion owinięty w miękką tkaninę, gwizdnął przeciągle.

- Świetne kamienie. Nawet tutaj nieczęsto mamy szansę oglądać czerwone okazy.

Przypomniawszy sobie, co się naprawdę wydarzyło w Instytucie, Miranda - choć zmęczona sennym koszmarem - odetchnęła z ulgą i podniosła się z łóżka. Już była spóźniona, ale doszła do wniosku, że nie musi biec do Hanovers wczesnym rankiem, skoro dopiero w nocy wróciła z Nowego Jorku. Pracowała przez cały weekend, więc tak naprawdę mogła sobie wziąć nawet cały dzień wolny, jednak na tydzień przed poważną aukcją podobny luksus należało wybić sobie z głowy.

Pasażerowie w metrze wyglądali tego dnia wyjątkowo szaro i ponuro, a gdy Miranda wyszła z tunelu, niebo wydało jej się ciemne i posępne - choć niewykluczone, że była to jedynie projekcja jej nastroju. Kenneth jeszcze nie wiedział, że wyprawa do Nowego Jorku zakończyła się fiaskiem. Jeśli zaś chodzi o amulet, musiała być to owa legendarna nawaratna, o której Miranda tak wiele słyszała, a którą Rawi uznał za mit. Trzeba się z nim będzie jak najszybciej skontaktować - prawdopodobnie nadal przebywa w Szwajcarii. Skoro amulet miał konotacje sakralne, Rawi raczej nie zechce go zdekomponować, nie ma więc nadziei, by czerwony brylant - zapewne jeden z najrzadszych kamieni na świecie - trafił na aukcję.

Żeby już całkiem nie pogрузić się w przygnębieniu, Miranda raz po raz przypominała sobie rozmowę, którą odbyła z Rudym tuż przed wyjazdem z Nowego Jorku. Rudy zapytał, czy nie mogłaby polecieć jakiegoś solidnego, kompetentnego angielskiego dealera, ponieważ wraz z synem zamierzali rozszerzyć działalność na obszar Europy, a wówczas Miranda powiedziała, że sama rozważa możliwość rozpoczęcia pracy na własny rachunek. Rudy bardzo się ucieszył i zapewnił, że jeżeli tylko Miranda zdecyduje się na podobny krok, natychmiast podejmie z nią współpracę.

Zgodnie z przypuszczeniami Mirandy, Kenneth życzył sobie, by zjawiała się w jego gabinecie natychmiast po przyjeździe do biura.

- Poza tym dzwonił niejaki pan Rawi - dorzuciła Charlotte. - Nie zostawił numeru kontaktowego, ale powiedział, że się jeszcze odezwie. Czy to ten facet od indyjskich diamentów?

- Owszem. Pewnie chce, żebym mu zapłaciła za żalobny wisior... - Nie był to odpowiedni moment, by wyjawic, co się kryło za płytką z gagatu.

- Wyjątkowo uroczy. Pewnie zamierza cię zaprosić na randkę!
  - Bardzo wątpię. Poza tym i tak bym nie poszła.
  - A dlaczego nie? - obruszyła się Charlotte.
  - Nie jest w moim typie. Zbyt gładki i pewny siebie. A jaka od rana aura w gabinecie dyrektora?
  - Prawdę mówiąc, dzisiaj go jeszcze nie widziałam, ale pojawiły się poważne problemy z transportem różowych diamentów z Argyle i sądząc po tonie Kennetha, niepomyślne wiatry znacznie zniosły jego muszkę z kursu.
  - Cudnie. Właśnie tego mi trzeba.
  - Tym, czego ci naprawdę trzeba, są wakacje, aniołku. I radzę ci, zabukuj jakiś wyjazd natychmiast, żebyś po aukcji mogła od razu wskoczyć w samolot, zamknąć oczy i odciąć się od tego kieratu.
  - A kiedy je otworzę, dojdę do wniosku, że aukcja była jedynie sennym koszmarem?
  - Właśnie - roześmiała się Charlotte.
  - Nie mam czasu na zajmowanie się wojażami - katalog musi jeszcze dzisiaj iść do drukarni, nawet jeżeli nie przedstawia się imponująco.
  - Dzwoniłam do nich i uzgodniłam, że materiały dostarczymy jutro rano. Czy mam rozumieć, że nie przybyło nic nowego?
- Miranda smętnie pokręciła głową.
- Najwyraźniej nie jest to dobry czas na diamenty.
  - Rety. Może w takim razie ja ci załatwię ten wyjazd?
  - A dokąd?
  - Wynajdę jakieś odległe, egzotyczne miejsce... Nawet sobie nie wyobrażasz, jak rozległe kontakty mam w branży turystycznej. Załatwię ci wakacje-niespodziankę!
  - Masz na myśli tajemniczą podróż? No, nie wiem...
  - Słuchaj, wystarczy, że wykonam parę telefonów. Od jakiegoś czasu nawet się zastanawiam, czy nie otworzyć własnego biura podróży - mogłabyś być moją pierwszą klientką!
  - Wolałabym raczej, żebyś mnie zatrudniła. Pomyślę o tym, Charlotte, i dzięki za propozycję - to doprawdy uroczo z twojej strony. A teraz czas, żebyśmy wreszcie oficjalnie się przyznała do porażki...
- Kiedy Miranda weszła do gabinetu dyrektora, Kenneth rozmawiał przez telefon. Posłał jej przelotny, posępny uśmiech, po czym obrócił się w stronę okna. W Mirandzie zaczęło wzbierać oburzenie - tym razem



trudno jej będzie zachować zimną krew. Czują, jak skacze jej ciśnienie, i przypomniała sobie, ile włożyła wysiłku w przygotowania do tej nie-szczęśliwej aukcji. Nikt więc nie ma prawa mieć do niej pretensji, jeżeli cała impreza się zakończy wielką klapą - to może powiedzieć z czystym sumieniem. O ile tylko będzie miała ku temu okazję. Im dłużej Kenneth głądził przez telefon (dla Mirandy nie ulegało wątpliwości, że celowo przeciąga rozmowę), tym intensywniej wracały do niej wspomnienia - całkowite poświęcenie się pracy, niezliczenie wiele nadliczbowych godzin, życie towarzyskie w gruzach, rezygnacja z urlopów...

- Dzień dobry, Mirando. - Kenneth w końcu się rozłączył i dyskretnie spojrzął na zegarek.

Miranda nie odpowiedziała na pozdrowienie, jedynie sucho skinęła głową.

- Jeżeli w twoim mniemaniu zbyt późno przyszedłam do pracy, zwracam ci uwagę na fakt, że dopiero w nocy wróciłam z Nowego Jorku.

- Nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków, Mirando. Nigdy nie przyszedłoby mi do głowy kwestionować twojego zaangażowania w pracę. No więc jak poszło w Stanach?

- Beznadziejnie. Nie zdobyłam żadnych kamieni.

- A! - Kenneth zacisnął usta i przymrużył oczy; był więc niezadowolony, a jednocześnie snuł w głowie jakieś kalkulacje.

- Katalog jest wyjątkowo chudy.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Zrobiłam jednak wszystko, co w mojej mocy.

- Och, naturalnie.

Coś w jego tonie sprawiło, że Miranda nie miała ochoty dłużej trzymać nerwów na wodzy.

- Prawdę powiedziawszy, Kenneth, od czasu gdy zaczęłam tu pracę, robię wiele więcej, niż należy do zakresu moich obowiązków, czemu więc mam poczucie, że cię zawiodłam, chociaż najwyraźniej to okoliczności się sprzysięgły przeciwko tej wydumanej przez ciebie aukcji! Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak niewiele fantazji - nie wspominając już o wielokaratowych, zapierających dech w piersiach okazach - jest w tej chwili na wolnym rynku?!

- Opanuj się, Mirando. Nie ma powodu do tak dramatycznej reakcji. Ani przez chwilę nie zarzuciłem ci braku kompetencji...

- Rzeczywiście, Kenneth, nie zrobiłeś tego otwarcie, ale całą swoją postawą okazujesz niezadowolenie i rozczarowanie.

- Ależ to naturalne, że jestem rozczarowany.

- Czemu więc tego nie powiesz, do cholery, zamiast wciskać mi te patriarchalne bzdety? Rogera nie potraktowałbyś w taki sposób, prawda?

- Nie traktuję cię w żaden szczególny sposób, a już na pewno nie gorzej niż Rogera. To jakiś absurd - nie mam pojęcia, co ostatnio w ciebie wstąpiło. Najwyraźniej jesteś przemęczona...

- Owszem, jestem przemęczona, ponieważ od dwóch miesięcy nieustannie zamartwiam się tą pieprz... tą niedorzeczną aukcją!

Zanim Kenneth zdążył otworzyć usta, Miranda wymaszerowała z gabinetu, ani razu nie oglądając się za siebie. Miała drobną satysfakcję, że to do niej należało ostatnie słowo, chociaż jednocześnie wiedziała, że posunęła się za daleko. Co, o dziwo, wcale jej nie wzruszało.

- Możesz zabukować dla mnie te wakacje, Charlotte - zmieniłam zdanie! - rzuciła, przechodząc obok biurka przyjaciółki. Nie zatrzymała się, bo zza jej przepierzenia dobiegł dzwonek telefonu. Była to wewnętrzna linia, Miranda spięła się więc w sobie, gotując się na kolejną przeprawę z Kennethem - okazało się jednak, że to recepcja.

- Niejaka Susana Harris do pani, miss Godfrey.

Z tego wszystkiego Miranda zapomniała, że się umówiły na lunch.

Susana stała w foyer przed gablotą z ceramiką wyjątkowo modnej projektantki z okresu art déco - Clarice Cliff. Miała znowu na sobie dżinsową spódnicę i czarne, długie botki, a do tego czerwoną hinduską bluzkę, bogato haftowaną przy szyi. Włosy puściła luzem i przypominające korkociągi loki opadały niemal do pasa.

- Witaj! Przepraszam za spóźnienie. Jestem w firmie zaledwie od godziny, a już mam wszystkiego po dziurki w nosie... Chodźmy do jakiejś superrestauracji - ja zapraszam. Tak się cieszę, że cię widzę - pięknie wyglądasz.

- Dzięki. - Susana uśmiechnęła się ciepło. - Ty natomiast zawsze wyglądasz wystrzałow. Czy u ciebie na pewno wszystko okay?

Miranda teatralnie przewróciła oczami.

- Zachowuję się dziś nieco maniakalnie, ale nie zwracaj na to uwagi. Dopadł mnie stres.

- Dziwię się, że tylko cię dopadł. W takiej pracy masz prawo być permanentnie zestresowana zauważyła Susana.

- Jestem. Ale stres może być dobry lub zły.

- I dziś wypadło na ten zły?

- Zdecydowanie. Praktycznie nie ma już widoków na powodzenie tej cholernej aukcji. To oczywiście nie poprawia humoru mojemu szefowi, którego na dodatek właśnie obraziłam, po czym jak burza wypadłam z jego gabinetu.

- Czy sobie na to zasłużył?

- Nie jestem pewna. Ale mam taką nadzieję.

Udały się do niewielkiej restauracji na skwerze w pobliżu Bond Street i zamówiły morskiego okonia z grilla, garniowanego pomidorkami koktajlowymi.

- To ich specjalność - zapewniła Miranda, gdy już namówiła Susanę na rybę. - A teraz cała zamieniam się w słuch.

- Przede wszystkim chciałabym ci coś pokazać. - Susana wyjęła z plecaka sztywne plastikowe etui na dokumenty i podała Mirandzie.

- Tylko nie kładź pergaminu na stole, żeby go nie poplamieć - jest bardzo cenny.

Miranda ujrzała kilka szkiców obwiedzionych napisem w sanskrycie i aż się zatchnęła, gdy zdała sobie sprawę, że patrzy na rysunek przedstawiający jej żałobny wisior, a także wskazówki, jak za pomocą gagatu i lilii splecionych z włosów zakamufłować nawaratnę.

- Skąd masz ten niezwykły dokument?

- Należy do Louisa, który - jak się okazuje - jest spowinowacony z lady Cyntią Herbert, ową ekscentryczną arystokratką, która namówiła maharadzę Benaresu, by sporządzić amulet w Londynie.

Słuchając tych słów, Miranda wyjęła z torebki niewielkie aksamitne puzderko. Kiedy Susana je otworzyła, zobaczyła złoty dysk z osadzonymi w nim barwnymi, skrzącymi się klejnotami - i zaniemówiła z wrażenia.

- W wisiorze stłukło się szkiełko, przez co centralna lilia uległa nieznacznemu przemieszczeniu i dzięki temu ukazał się fragment jednego z brylantów. Już w Stanach poddałam kamienie testom - są jak najbardziej autentyczne.

- Chyba... chyba nie nosiłaś tego medalionu?

- Nie. A dlaczego pytasz?

- Och, Louis powiedział mi coś dziwnego. Choć to zapewne jakieś nedorzeczne przesady - zwykłe hokus-pokus. Ten klejnot zapiera dech w piersiach. Czy nie uważasz za dziwne, że żadna z nas w rozmowie telefonicznej nie pisała na jego temat ani słowa?

- Owszem. I teraz myślę, że być może ten amulet tak na nas wpłynął - to on nie chciał, byśmy o nim mówiły... Boże! Wprost nie mogę uwierzyć, że zaczynam go personifikować i opowiadać podobne bzdury!

- Miranda zniżyła głos do szeptu: - Czerwone diamenty są niebywałą rzadkością. Ten niewielki kamyk jest wart miliony.

- I nie boisz się go przy sobie nosić?

- Bardziej bym się bała, gdybym go spuściła z oka.

- A więc amulet krył się w tym właśnie wisiorze żalobnym, który zobaczyłaś w kolekcji Rawiego? Jak w ogóle się znalazł w twoim posiadaniu?

- Rawi przesłał mi go pocztą. Spotkaliśmy się w Szwajcarii - próbowałam go przekonać, żeby jednak wystawił swoje diamenty na aukcji.

- Bez powodzenia?

- Niestety. Ale teraz ty mi powiedz, dlaczego wisior należący do Lily znalazł się wśród klejnotów maharadży.

- Jeszcze tego nie odkryłam, podejrzewam jednak, że został skradziony przez jednego z gwardzistów księcia - człowieka, którego Lily lubiła i któremu ufała. Niewykluczone, że zrobił to dla jej dobra - obawiał się zgubnego wpływu diamentów. Wczorajszej nocy znalazłam jeszcze parę dokumentów pod podszewką...

- A! Na śmierć o tym zapomniałam przez to zamieszanie w pracy. No i?...

- Jak na razie przeczytałam kolejny list, który Lily napisała do Franza, swojego męża, już po jego śmierci...

- Franz Korechnya! Wiedziałałam, że gdzieś słyszałam to nazwisko. W sali wystawowej działu sztuk pięknych wisi jeden z jego obrazów. To niezwykle, prawda? Chociaż zaraz... Właśnie sobie przypomniałam, że Rawi wystawił wiele płócien z kolekcji maharadży na aukcję, i to właśnie w Hanovers...

- Co przedstawia ów obraz?

- Kobietę z liliami we włosach - szalenie tajemniczą, bez wątpienia zakochaną w artyście. Portret nosi tytuł „Wenus z Waterloo”.

- To z pewnością Lily! Od tak dawna próbowałam sobie wyobrazić jej twarz...

- W takim razie musisz jak najszybciej obejrzyć to płótno.

Po lunchu obie wróciły do domu aukcyjnego i stanęły przed „Wenus z Waterloo”. Po dłuższej, pełnej szacunku chwili milczenia, Susana weszła:

- Wreszcie wiem, jak ona wyglądała.
- Jakby nas zmusiła, żebyśmy ją odnalazły...

Susana spojrzała z powagą na Mirandę.

- Słuchaj, Louis coś wspomniał na temat tego amuletu... To w zasadzie głupie... nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić...

- Teraz już koniecznie musisz mi powiedzieć!

- Uważa, że rządzą nim jakieś niebezpieczne moce. W normalnych okolicznościach bym go wyśmiała, ale po tym wszystkim, co na ten temat przeczytałam...

- Lily go nosiła i nic jej się nie stało.

Obie spojrzały na portret, ale przedstawiona na nim kobieta jedynie uśmiechała się zagadkowo.

- Tylko popatrz - rzuciła radośnie Miranda. - Lily nie wydaje się zmartwiona lub przejęta. A tak przy okazji, to płótno w przyszłym tygodniu idzie na aukcję, czy poprosić Stephena, żeby ci przesłał katalog?

Susana skinęła głową, nie odrywając wzroku od obrazu.

- Choć to z pewnością oznaczałoby bitwę na sali aukcyjnej z Loui-sem - mruknęła. - On już ma kilka prac Franza Korechnya. Ach, miałam cię jeszcze zapytać o książkę Sary O'Reilly, ale teraz nie będę ci tym zawracać głowy. Chciałabym ją jednak przeczytać...

- Słuchaj, już muszę wracać do pracy, ale może po prostu wyślę ci ją pocztą? I od razu się umówmy na następną środę, tuż po aukcji - wtedy będę miała spokojną głowę i kilka chwil wolnego czasu.

Charlotte, jak zwykle, jadła lunch przy biurku, ale poza tym w biurze nie było żywego ducha.

- Ponownie dzwonił Rawi. To doprawdy uroczy człowiek. Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę. Poza tym Kenneth wpadł tu zaraz po twoim wyjściu i chciał wiedzieć, czy z tobą wszystko okay.

- Doprawdy? I co mu powiedziałaś?

- Zasugerowałam, że najwyższy czas, by ci dał kolejną podwyżkę.

- Jesteś nieoceniona, Charlotte. Czy tym razem Rawi zostawił numer telefonu?

- Niestety. Powiedział, że będzie trudno osiągalny, ale spróbuje cię jeszcze złapać.

- A o czym tak sobie gawędziliście?

- O tym i owym - rzuciła Charlotte od niechcenia, po czym skoncentrowała się na swojej papierkowej robocie i kanapce.

Przez całe popołudnie Miranda pisała teksty do katalogu - starała się, żeby w opisie każdego diamentu znalazła się jego krótka historia, a w niej - w miarę możliwości - jakieś tajemnicze lub romantyczne wątki. Zmieniła też układ zdjęć, by skromny zbiór wywierał lepsze wrażenie. A gdy już praktycznie skończyła, ponownie zadzwoniła recepcjonistka z informacją, że do miss Godfrey przyszedł niejaki pan Rawi.

Miranda zamarła, a jednocześnie na jej twarz wystąpiły wypieki.

- Proszę przysłać go na górę.

Kiedy odkładała słuchawkę, zauważyła, że drżą jej ręce. Poprosiła Charlotte, żeby wprowadziła Rawiego do jednego z pokoi dla klientów, a sama popędziła do łazienki. Spryskała twarz zimną wodą, poprawiła makijaż, przyglądała włosy i przez cały czas powtarzała sobie, że robi to wszystko tylko dlatego, by wyglądać elegancko na przyjęcie ważnego klienta.

Rawi siedział w jednym ze skórzanych foteli. Miał na sobie dzinsy, sportową koszulę i marynarkę, a u jego stóp stała podniszczona skórzana dyplomatka. Zdawał się zrelaksowany i - jak zwykle - pewny siebie. Wstał na widok Mirandy i wyciągnął przed siebie dłoń.

- Miło cię znowu widzieć, Mirando.

- I wzajemnie. Siadaj, proszę. - Miranda nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

Niewykluczone, że to zauważył, bo na jego twarzy pojawił się szczególny uśmiech.

- Jak tam aukcja?

- Fatalnie. Rozważam, czy nie zostać asystentką w biurze podróży.

- Wydawało mi się, że lubisz klejnoty.

- To już przeszłość. Podobno teraz jest zły czas na diamenty - czy coś ci o tym wiadomo?

- Hindusi pewnie by powiedzieli, że to za sprawą Ery Kali lub planety Wenus. Czy zmieniałbyś podejście do sprawy, gdybym ci powiedział, że jednak nie chcę sprzedawać diamentów prywatnymi kanałami?

Miranda po raz pierwszy spojrzała Rawiemu prosto w oczy.

- Chcesz powiedzieć, że postanowiłeś je wystawić na aukcji?

- Właśnie.

- To zmieniłoby bardzo wiele. - Miała ochotę się nachylić i gorąco ucałować jego śmiejące się usta. - Ale skąd ta zmiana? - Próbowała za wszelką cenę zachować chłodny spokój, jednak nie mogła, ponieważ wprost rozsadzała ją radość, wywołując szeroki uśmiech.

- Bo miałem zbyt zachowawczy sposób myślenia, a tak nie powinno się podchodzić do życia. Poza tym podoba mi się twój styl... styl, w jakim prowadzisz negocjacje - dorzucił szybko.

Położył dyplomatkę na stoliku i wyjął z niej grubo pikowaną, jedwabną saszetkę z wieloma drobnymi przegródkami na pojedyncze kamienie. Miranda natomiast postawiła przed nim tackę ekspozycyjną, obciążoną czarnym aksamitem, na którą Rawi zaczął wykladać diamenty.

- Już zapomniałam, jakie są piękne. Czy nie będziesz miał nic przeciwko, jeżeli ściągnę tu mojego dyrektora? Myślę, że chętnie by obejrzał takie kamienie.

Rawi skinął głową i Miranda zadzwoniła do Kennetha z aparatu do połączeń wewnętrznych, wiszącego na ścianie. Chłodno i rzeczowo oznajmiła, że byłoby dobrze, gdyby się zjawił w pokoju dla klientów. Kiedy przyszedł, wszystkie diamenty leżały już na tacy. Miranda przedstawiła go Rawiemu i z rozbawieniem patrzyła, jak zmienia się wyraz twarzy Kennetha na widok dużych fantastycznych kamieni.

Kiedy omówili we trójkę spodziewaną wartość transakcji, wysokość prowizji i sprawę podatków, Kenneth opuścił pokój. Zaraz jednak zadzwonił.

- Brawo, Mirando. Myślę, że powinnaś zaprosić naszego nowego klienta do „Ivy” na dzisiejszy wieczór. Chcę mieć absolutną pewność, że nie wycofa już diamentów.

Ponieważ Rawi siedział tuż obok, Miranda nie mogła ani zaprotestować, ani podjąć dyskusji z Kennethem.

- Ale katalog... - rozpoczęła.

- W obecnej sytuacji katalog pójdzie do drukarni dopiero w środę. Musimy przecież sfotografować nowe kamienie. Wyślij więc asystentki do domu i każ tej nowej sekretarce - jakkolwiek jej na imię - by zarezerwowała na dzisiaj stolik w „Ivy”.

Miranda odwiesiła słuchawkę i ciężko westchnęła.

- Wszystko w porządku? - Rawi posłał jej dziwne spojrzenie, którego wymowy nie umiała odczytać.

- Naturalnie. Czy mogę cię zaprosić dziś na kolację w charakterze gościa Hanovers?

Kiedy się zgodził, Miranda nie wiedziała, czy jest tym faktem bardziej ucieszona, czy rozczarowana. Chciała jechać do domu, zrzucić szpilki z nóg i pogapić się bezmyślnie w telewizor... Z drugiej strony wieczór w towarzystwie Rawiego dziwnie ją pociągał. Poza tym musiała go w końcu poinformować, czym w istocie był żalobny wisior.

Półtorej godziny później siedzieli naprzeciwko siebie w bogatym wnętrzu restauracji, tym razem jednak Miranda nie czuła niepokoju, który jej towarzyszył w Genewie czy choćby jeszcze tego wieczoru w domu aukcyjnym. Być może dzięki pozyskanym na aukcję diamentom nabrała niezwykłej pewności siebie - miała teraz do dyspozycji kolekcję, która sama w sobie była już sensacją. A może tak wpływało na nią dzie więć brylantów, wciąż znajdujących się w jej torebce...

- Jesteś bardzo zamyślona - zauważył Rawi, nalewając jej wina.

- Muszę ci coś pokazać. - Położyła naprzeciwko Rawiego czarne aksamitne etui. Kiedy je otworzył i ujrzał zawartość, lekko poblądł.

- To wysokiej klasy diamenty - powiedziała po chwili. - Skąd wzięłaś ten klejnot?

Opowiedziała, jak doszło do odkrycia nawaratny ukrytej w żalobnej biżuterii, i Rawi potrząsnął głową, wyraźnie oszołomiony:

- Po pierwsze, zdumiewa mnie twoja uczciwość - wprost nie mogę uwierzyć, że oddajesz mi te kamienie. Po drugie, nie pojmuję, czemu w ogóle ukryto amulet... bo bez wątplenia jest to owa brylantowa nawaratna, w której istnienie nigdy nie wierzyłem...

- Przyczyny ukrycia amuletu najlepiej ci wyjaśni Susana Harris. Nie wiem, co takiego jest w tym klejnocie, ale gdy miałam go przy sobie, stawałam się wręcz zuchwałą. - Już wypowiadając to słowa, Miranda poczuła, że robi z siebie idiotkę, ale jeżeli Rawi doszedł do podobnego wniosku, nic nie dał po sobie poznać. - A jednocześnie w dziwny sposób mi ciążył - choć może dlatego, że poznałam nieco jego historię.

- Trzeba niezwykłej siły charakteru, by nie ulec urokowi takiego klejnotu - powiedział Rawi.

- Bo ja wiem... Muszę natomiast przyznać jedno - od chwili kiedy się zajęłam organizacją tej aukcji diamentów, nie mogłam się oprzeć



wrażeniu, że zostałam poddana szczególnemu testowi. Podobno jednym z najpowszechniejszych przesądów, związanych z diamentami, jest przekonanie, że dają jasność widzenia - i może tak rzeczywiście się stało w moim wypadku. Kiedy byłam w Benaresie i po raz pierwszy w życiu ujrzałam tradycyjną nawaratnę, wypowiedziałam w duchu życzenie: Obym znalazła w sobie dość odwagi, żeby pójść w życiu za głosem serca. Oczywiście, najpierw trzeba wiedzieć, czego się tak naprawdę pragnie, i właśnie nad tym zamierzam się w najbliższym czasie zastanowić... Co natomiast ty zamierzasz zrobić z tak niezwykłym amuletem?

W tym momencie zdała sobie sprawę, że Rawi nawet nie dotknął klejnotu. A chwilę później zamknął aksamitne etui i pchnął w jej stronę.

- Chcę, żebyś wyjęła kamienie i wystawiła je na aukcji. Nawaratna nie powinna się składać z samych diamentów.

Miranda miała ochotę się roześmiać, ale kiedy zobaczyła poważną minę Rawiego, natychmiast opuściło ją rozbawienie. Ponownie otworzyła pudełko i spojrzała na klejnot - tym razem już okiem eksperta.

- Kamienie są jednakowej wielkości, proponuję więc, by osiem z nich - z wyjątkiem czerwonego - sprzedać jako całość. Ktoś prawdopodobnie je wykorzysta do sporządzenia jednego klejnotu. Diament czerwony natomiast jest tak rzadki, że w zasadzie nie sposób go wycenić. Ale przypuszczam, że otrzymamy mniej więcej milion funtów za karat, a to kamień o masie trzech karatów.

Rawi uniósł brew.

- Osiągnie taką wysoką cenę?

- Tak twierdzi pewien wysokiej klasy znawca. Ta suma z pewnością wystarczy na remont jednego skrzydła pałacu!

- W Indiach najprawdopodobniej pozwoli na renowację całości, a do tego wynajęcie fachowca, który dopilnuje prac i weźmie na siebie odpowiedzialność za ich odpowiednie przeprowadzenie.

Miranda podniosła kieliszek.

- A więc wypijmy za powodzenie twojego planu.

- Z przyjemnością - odparł Rawi z uroczym uśmiechem, stukając delikatnie kieliszkiem o kieliszek Mirandy.

## XIX

Susana długo siedziała bez ruchu, zanim rozłożyła ostatni pergamin znaleziony pod podszewką pudła. Nie wiedziała, czy to list, czy jakiś inny dokument - ale cokolwiek to było, wcale nie musiało dostarczyć ostatniego, brakującego ogniwa - informacji, gdzie zakończyła życie Lily Korechnya.

Co prawda, od chwili gdy Susana zobaczyła „Wenus z Waterloo”, nie gnębiła jej już tak bardzo kwestia, czy Lily zmarła w Benaresie, czy w Anglii. Pomyślała, że obraz odbył długą podróż wraz z właścicielką do Indii, a w końcu znalazł się w Londynie - podobnie jak żałobny wisior czy pudło na kapelusze. Susana miała nadzieję, że Lily także wróciła do Londynu i znowu zajęła się publicystyką. Faktem jest, że nie znalazła żadnych następnych artykułów autorstwa głównej bohaterki swojej książki, ale też nie podjęła poszukiwań zakrojonych na szeroką skalę - a przecież Lily mogła drukować swoje eseje w różnych gazetach i czasopiśmie.

W końcu Susana podniosła drżącą dłonią pergamin ze stołu i powoli go rozłożyła.

7 czerwca 1884

Franz, mój najdroższy,

Właśnie skończyłam segregować zawartość niebieskiego pudła, a kiedy już przewiązałam wstążką wszystkie pakiety, zauważyłam niewielkie wybrzuszenie pod podszewką. Zupełnie zapomniałam, że właśnie tam schowałam listy pisane do Ciebie w najtrudniejszym okresie smutku i żałoby. Znalazły się wśród nich także pierwsze wprawki Sary, ponieważ użyczyłam jej tego pudła - wraz z kałamarzem i paroma piórami - by ćwiczyła się w pisaniu podczas mojego pierwszego pobytu w Indiach.

Czy wiesz, że dzisiaj mija dokładnie dwadzieścia lat od dnia, gdy w kensingtonskiej pracowni napisałam do Ciebie pierwszy list po Twej śmierci? Ogarnia mnie melancholia, kiedy czytam owe zapiski i przypominam sobie, jak czarną boleścią napelniała mnie świadomość Twojego

odejścia. Teraz, chociaż wciąż Cię przy mnie nie ma, moja dusza nie jest już pogrążona w mroku - bo i jakże byłoby to możliwe, skoro w ciągu tych dwudziestu lat wiele, wiele miesięcy spędziłam w Mieście Światła!

Pamiętasz, kiedyś sobie wyobrażaliśmy, że jest takie miejsce na ziemi, gdzie świat doczesny łączy się ze światem pozamaterialnym. Cóż, ja je odnalazłam, Franz. Tutaj, w Benaresie, wyraźnie czuję, że śmierć jest po prostu częścią życia - celebrowanie żałoby nie ma więc najmniejszego sensu. Potężnym symbolem tej prawdy jest bogini Kali, która przekonuje, że jedynie wtedy będziemy zdolni w pełni smakować życie, jeśli się wyzbędziemy wszelkiego strachu.

Wkrótce nadejdą ulewne deszcze i chociaż nie zamierzałam opuszczać Benaresu na czas pory monsunowej (miasto jest wówczas cudownie ciche, a powietrze - zwykle pełne pyłu - staje się idealnie czyste), poddałam się rozsądnym argumentom moich przyjaciół i postanowiłam spędzić lato w Londynie. Kilka lat temu chorowałam na malarię i kiedy nadciąga wilgoć, mam kłopoty z oddychaniem. Ale gdy tylko podreperuję nieco zdrowie w Anglii - znowu tu powrócę. Jak zwykle zostawię wszystkie osobiste rzeczy w wielkiej komnacie, którą przydzielił mi maharadża na czas moich długich pobytów. Jest bardzo piękna, z marmurową posadzką i balkonem wychodzącym na rzekę, na którym właśnie teraz siedzę, pisząc do Ciebie ten list. Zbliży się pora mojego wyjazdu i w każdej chwili może się zjawić służący z wiadomością, że już czeka pałanin, aby mnie zabrać na stację - ale póki to nie nastąpi, ostatnie momenty w pałacu chcę spędzić razem z Tobą.

Kiedy podnoszę wzrok znad kartki, widzę wiele łodzi unoszących się na wodzie, a w nich Anglików, którzy najpierw oglądają słynny wschód słońca nad rzeką, a potem podziwiają przepyszne pałace indyjskich książąt, wznoszące się na brzegu. To rzeczywiście imponujące budowle, wywołujące okrzyki zachwytu, a ja - siedząc na balkonie z kości słoniowej, pod czerwonym parasolem - stanowią część tego niezwykłego *tableau*.

Z miejsca, w którym siedzę, widzę także kilka stosów pogrzebowych, płonących równie jasno, jak słońce wschodzące ponad horyzont. Kłęby dymu zasnuwają Ganges i - niby dusze zmarłych - łączą się w jedno z wodami rzeki i ciepłym wiatrem.

Podobno nad kremacjami czuwa również Kali, więc nieustannie czuję jej obecność. Mój przyjaciel Gowinda przed wyjazdem do Nepalu powiedział mi nieco więcej o czarnej bogini. Osobiście uważał, że Saraswati została „opętana” przez owo bóstwo w chwili, gdy po raz pierwszy spojrziała na czerwony diament. Gowinda utrzymywał, że w żadnym razie ani Saraswati, ani maharadża nie mogą dostać w ręce klejnotu z czerwonym brylantem, albowiem nawaratna z takim kamieniem w środku ściągnęłaby nieszczęście na wiele osób, jeżeliby się znalazła w posiadaniu kogoś, kto zachłannie jej pożąda. Nie istnieje jednak niebezpieczeństwo, że któreś z tych dwojga kiedykolwiek choćby dotknie amuletu, jest on bowiem dobrze ukryty w miejscu, w którym nikomu nie przyszłoby do głowy go szukać.

Kiedy już bliżej poznałam maharadżę, przekonałam się, że można z nim ciekawie porozmawiać na wiele rozmaitych tematów - o ile nie jest akurat pod wpływem dżinu. Pewnego razu się zainteresował, jak doszło do mojej znajomości z lady Cyntią, i bardzo był zaintrygowany, gdy usłyszał, że katalogowałam jej kolekcję klejnotów. Kilka dni później zabrał mnie do swojego skarbcza i poprosił, bym po angielsku spisała wszystkie posiadane przez niego kosztowności. I wiesz, Franz, co pośród nich znalazłam? Wisior zdobiony liliami splecionymi z Twoich włosów! Wtedy nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Nie zapytałam maharadży, jakim cudem mój medalion znalazł się wśród jego skarbów, bo najprawdopodobniej on sam nie ma o tym pojęcia. Ale jestem niemal pewna, że umieścił go tam Gowinda, bo nie chciał, bym ów wisior nosiła. Niepokoił się o mnie i niejednokrotnie nalegał, abym trzymała go w zamknięciu. Często myślę, że to ty, Franz, strzegłeś mnie przed niebezpiecznymi mocami diamentów. A kiedy przypominam sobie, jak wiele zła wydarzyło się z powodu tych kamieni, zaczynam dochodzić do wniosku, że w przesądach związanych z diamentami tkwi jednak ziarno prawdy. Teraz, gdy odgadłam tajemnicę wisiora, nie mogłabym już go nosić, pozostał więc zagrzebany wśród klejnotów maharadży - i niech tam spoczywa do czasu, aż ktoś w końcu ofiaruje czerwony diament bogini Kali i w ten sposób wyjedna jej przychyłność.

W pudle znalazłam również kopię „Hinduskiej księżniczki” i od razu powróciłam myślami do Ellen i do przeszłości - Sara skonstruowała

bowiem zdumiewającą fabułę. Powiedziała mi, że gdy przeczytam jej książkę, zapewne zrozumiem, co się wydarzyło przed wieloma laty w Diabelskim Kwartale, i utwierdzę się w przekonaniu, że Święty Joe nie popełnił żadnej zbrodni.

W „Hinduską księżniczkę” wsunęłam list, w którym dawno temu opisałam Ci wszystko, czego się dowiedziałam od Gowindy na temat nawaratny z diamentami. Mam nadzieję, że niebawem uda mi się opowiedzieć całą historię tego klejnotu, bo uważam za właściwe i słuszne, by ta sprawa ujrzała światło dzienne. Wówczas zapewne dusze Ellen i Świętego Joego wreszcie odnajdą spokój.

Muszę iść, najdroższy, bo przybył służący z wieścią, że już czeka na mnie palankin. Wkrótce znowu do Ciebie napiszę.

Twoja wierna żona  
Lily

Susana w zamyśleniu odłożyła pergamin. Nie ulegało wątpliwości, że to już ostatni z zapisków, jakie Lily poczyniła w Indiach. I co zrobiła potem? Z pewnością schowała listy do Franza pod podszewkę. Może rozejrzała się jeszcze po komnacie, żeby sprawdzić, czy nie zostawiła czegoś ważnego, po czym ruszyła przez pałacowe sale, muskając brzegiem sukni marmurowe posadzki. Zostawiła za sobą ścienne malowidła, przedstawiające boginie frunące na grzbietach ogromnych łabędzi, oraz misternie rzeźbione meble, tapiserie gęsto wyszywane klejnotami, a także złote posągi. Niewykluczone, że przez łukowe sklepienie wyszła do ogrodu i ujrzała tygrysa maharadży, skradającego się nieopodal letniego pawilonu, oraz kilkoro z rozlicznych dzieci księcia, bawiących się nad stawem pełnym lilii wodnych.

Lily więcej nie powróciła do Indii - teraz już Susana była tego pewna. Zostawiła w Benaresie swoje pudło, przekonana, że wkrótce znów się zjawi w pałacu, a tymczasem zmarła w Londynie, najprawdopodobniej w kensingtonskim domu.

Susana mogłaby się skontaktować z Urzędem Stanu Cywilnego i poszukać aktu zgonu Lily, ale z niewiadomych powodów wszystko się w niej przeciw temu burzyło. Może podświadomie nie chciała sprowadzać Lily do biurokratycznego zapisu - marzyła, by odkryć wszystkie tajemnice, podążając jedynie tropami pozostawionymi przez tę piękną, mądrą

kobietę. Pewnie podchodziła do sprawy zbyt romantycznie, ale wierzyła, że Lily w jakiś sposób pomoże jej wyświetlić do końca historię swojego życia. W zeszłym tygodniu, w Hanovers, ukazała wreszcie swoją twarz, i to natchnęło Susanę nadzieją.

Zacząła odwiedzać najstarsze cmentarze w Kensington i okolicach. Postanowiła, że jeżeli zdoła odnaleźć grób Lily, zabierze tam ze sobą Mirandę, bo los zetknął je ze sobą w bardzo szczególnych okolicznościach - jakby predestynował je do tego, by wspólnie zakończyły coś, co się rozpoczęło przed ponad stu laty. Louis zapewne by powiedział, że zostały „wybrane”, ponieważ tylko połączenie wiedzy Susany z temperamentem Mirandy mogło uspić dawne demony. Susana jakiś czas temu zrozumiała, że Louis jest całkowicie nieszkodliwym oryginałem - po prostu odbiera na innych falach niż zdecydowana większość ludzi.

Ostatni list Lily nadał całej pracy Susany nowy wymiar - bo teraz już nie ulegało wątpliwości, że to ona będzie musiała przedstawić publicznie historię, której Lily z jakichś względów nie zdołała opisać - chociaż bardzo jej na tym zależało. Koniecznie powinna też zdobyć drugie wydanie „Hinduskiej księżniczki”, do której Sara napisała nowy, wiele wyjaśniający prolog.

Susana włożyła ostatni list pod podszewkę - razem z innymi „sekretnymi” zapiskami - i niespodziewanie poczuła wielką ulgę. Teraz już będzie mogła się zabrać do budowania narracji - wreszcie była gotowa, znalazła dla swojej książki ważne przesłanie. Wiele kobiet, których życiorysy prześledziła - czy to poetek, czy niestrudzonych poszukiwaczek przygód - chwyciło za pióra nie pod wpływem przymusu ekonomicznego, ale z powodu całkiem innych, duchowych potrzeb. Nikt nie wsłuchiwał się w ich głosy, mimo że ogłaszały swoje pisma drukiem. Często je wykpiwano, bo miały czelność posługiwać się rozumem (co nie uchodziło damom) i walczyć o możliwość wyrażania własnych poglądów. I nawet teraz, po ponad stu latach, wiele kobiet wciąż nie wierzyło, że prawo do wolności słowa i swobodnej ekspresji jest także ich niezbywalnym, najświętszym prawem. Susana miała nadzieję, że choć w niewielkim stopniu się przyczyni do zmiany tej sytuacji - zmuszając innych, by wysłuchali jej głosu, a także głosu kobiet pokroju Lily Korechnya.

## XX

Diament jest kamieniem, którego świetlistość ma w sobie ukrytą esencję - to kryształ odbijający światło wieczności.

Ronald Winston

**W** dniu aukcji Miranda obudziła się jeszcze przed świtem i przez dłuższą chwilę bez ruchu leżała na łóżku. Chłodna bryza, wpadająca przez otwarte okno sypialni, odchyłała zasłony, ukazując ognistą poświatę, połyskującą na horyzoncie, ponad ciemnymi dachami. Miranda wstała, oparła się o parapet i patrzyła, jak ostry oranż nieba przygasa i przechodzi w delikatny róż.

Zanim nadejdzie pora lunchu, będzie już wolna. Miała od dawna ustaloną rutynę postępowania na aukcji: podczas licytacji stała na sali, z ciekawości bardziej niż konieczności, ponieważ wraz z pierwszym uderzeniem młotka jej praca była skończona. A kiedy ostatni okaz zmieniał właściciela, szybko się wymykała, by uniknąć wszelkich grzecznościowych rozmów, i wracała do domu, bo w takim dniu praca w biurze całkiem zamierała. Natomiast dzisiaj po aukcji spotka się z Susaną i razem pojedą na cmentarz w West Brompton, gdzie ponoć się znajduje grób Lily Korechnya.

Miranda opłukała twarz wodą i bacznie spojrzała w lustro, by oszacować ostatnie spustoszenia. Organiczne kosmetyki, polecane przez Tash, nie zdziałały obiecywanych cudów, i stesy odcisnęły się teraz wyraźnym piętnem na twarzy. Jeszcze tydzień temu Miranda zamierzała jak najszybciej zmienić pracę, ale teraz, gdy dzięki Rawiemu aukcja musiała się zakończyć sukcesem - nie była już pewna, czy chce odejść z Hanovers.

Nazajutrz po kolacji z Rawim pojechała na Hatton Garden już wczesnym rankiem z silnym postanowieniem, że tak czy owak zmusi jubilerów pracujących dla domu aukcyjnego, by bez zwłoki usunęli kamienie z nawaratny. Jeden z nich obejrzał uważnie amulet, po czym oświadczył, że wymontowanie ich nie będzie szczególnie trudne. Obiecał też, że je wypoleruje, a rozmawiając z Mirandą, nie był w stanie oderwać oczu od

centralnego kamienia, który w ostrym świetle warsztatu połyskiwał uwodzicielsko.

Jubiler uniósł w zdumieniu brwi, gdy usłyszał, że ma to wszystko wykonać jeszcze przed lunchem. Zaczął tłumaczyć, że musi się najpierw zająć różnymi pilnymi naprawami, ale Miranda weszła mu w słowo, obiecując dwukrotnie wyższą zapłatę za usługę. Wówczas mężczyzna się uśmiechnął i wzruszył ramionami. Okazało się, że inne zlecenia mogą jednak poczekać.

Wkrótce po tym, jak przyszła do pracy - doszło do kolejnego, nieoczekiwanego zdarzenia: pani Polasky zjawiała się w Hanovers wraz ze swoimi słynnymi diamentami, bo ostatecznie zdecydowała się wystawić je na aukcji. Nie mogła przybyć w lepszym dla Mirandy momencie, ponieważ chwilę wcześniej Roger (który właśnie powrócił z Kuala Lumpur) miał chętność podejść do jej biurka, by wyrazić ubolewanie, że nie zdołała nakłonić pani Polasky do sfinalizowania umowy. Oznajmił chętnie, że ta stara, ekscentryczna kobieta tylko jemu mogłaby powierzyć swoje cenne klejnoty. Ledwo to powiedział, zmaterializowała się Charlotte (która musiała słyszeć te przechwałki, ponieważ uśmiech na jej ustach był jawnie kpiący) i oznajmiła Mirandzie, że pani Polasky czeka na nią w pokoju dla klientów wraz ze swoimi diamentami. Wyraz twarzy Rogera - osłupienie pomieszone z rozczarowaniem - był jednym z najjaśniejszych momentów owego dnia.

Większość nowo pozyskanych diamentów sfotografowano jeszcze przed południem, a Miranda osobiście opracowała notki mające towarzyszyć zdjęciom. Tuż po lunchu dziewięć diamentów przywiózł z Hatton Garden uzbrojony kurier, i po krótkiej sesji fotograficznej makietę katalogu w pośpiechu dostarczono do drukarni.

W dniu aukcji, w metrze, Miranda przerzuciła katalog, po czym się wpatrzyła w okładkę, na której widniał najwspanialszy okaz, wystawiony na aukcji - czerwony brylant, magicznie załamujący światło w rozlicznych fasetkach. Nawet na zdjęciu mógł wzbudzać zachwyt i pożądanie. A więc praca dobiegła końca - resztą zajmą się już asystentki - i teraz Miranda mogła wreszcie pomyśleć o kolejnym ważnym punkcie w swoich planach - wyjeździe na wakacje. Charlotte nie wspomniała więcej słowem na ten temat, i całe szczęście, bo zapewne jej ideałem udanego urlopu był pobyt w modnym kurorcie, w pięciogwiazdkowym hotelu z dużym basenem i darmowymi drinkami. Miranda naturalnie nie miała nic przeciwko kurortom, ale od kilku lat większość czasu spędzała w



topowych hotelach, więc do nich nie tęskniła. Marzyła jej się natomiast chata na plaży (byle z łazienką o pięciogwiazdkowym standardzie) z widokiem na biały piasek, bezkresne niebo i błękit oceanu.

Pogrążona w świecie palm kokosowych Miranda zapomniała, że powinna przejść obok gabinetu Kennetha na palcach, by nie zdradzić swojej obecności stukotem obcasów i naturalnie - ledwo minęła gabinet - usłyszała, jak się otwierają drzwi.

- A, Miranda! Czy możemy zamienić dwa słowa?

Spojrzała wymownie na zegarek, chociaż nie czekała na żadne wizyty ani telefony. Nie bardzo jednak miała jak się wykręcić od zaproszenia, więc tylko przeciągle jęknęła w duchu. Z drugiej strony, wcześniej czy później musiała się rozmówić z Kennethem, więc może lepiej załatwić to od razu. Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, zauważyła, że Kenneth uśmiecha się promiennie, a jego muszka znajduje się w idealnym położeniu.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, Mirando, jak bardzo wysoko cenię twoje dokonania. Nie ulega wątpliwości, że to ty zapewniłaś powodzenie naszej aukcji, nadszedł więc chyba najwyższy czas, bym ci zaproponował kolejną podwyżkę.

- Przeciw temu nie zamierzam oponować.

- Byłbym jednak wdzięczny, gdybyś z nikim na ten temat nie rozmawiała - a w szczególności z Rogerem.

- Jeżeli chodzi o Rogera, to unikam z nim rozmowy na jakikolwiek temat.

Miranda zachowywała kamienny wyraz twarzy, ale w środku rozpie-rało ją poczucie dumy i zwycięstwa. Wygląda na to, że za chwilę Roger nie będzie w stanie jej dorównać wysokością pensji. Zarabiali tyle samo od dwóch lat - od czasu gdy Miranda naskoczyła na Kennetha, bo odkryła, że Hanovers płaci jej kilka tysięcy rocznie mniej niż Rogerowi.

Po wyjściu z gabinetu dyrektora ze zdumieniem stwierdziła, że podwyżka nie poprawiła jej stosunku do obecnej pracy. Oczywiście niewykluczone, że wszystko się zmieni, gdy wreszcie wyjedzie na upragnione wakacje i porządnie wypocznie. Jeżeli jednak oderwanie od codzienności nie przywróci jej dawnej pasji, będzie to wyraźny sygnał, że nadszedł czas, by opuścić Hanovers.

- Rano dzwonił Rawi - poinformowała Charlotte, gdy Miranda miała jej biurko. - Czy nie dałaś mu numeru domowego telefonu?

- Naturalnie że nie! Z jakiej racji miałabym to robić?
- Och, nieważne. To jedynie przelotna myśl z mojej strony.
- Czego chciał?
- Nie wiem. Nie powiedział. - Charlotte znów miała na ustach iro-  
niczny uśmiech, ale Miranda postanowiła to zignorować.

Jedno wiedziała z pewnością - nie zamierzała się angażować w związek z kimś, kogo poznała z racji wykonywanych obowiązków. Tacy ludzie z reguły prowadzili podobny do niej tryb życia, co oznaczało, że żadne z nich nie będzie w tym samym mieście o tej samej porze. Miranda już dawno temu pogodziła się z faktem, że przynajmniej tak długo, jak będzie „maniakalnie oddana pracy” (określenie Tash), pozostanie kobietą samotną.

- Położyłam ci na biurku ważne dokumenty do przejrzenia!- krzyknęła za nią Charlotte.

Okazało się, że leżały tam przewodniki turystyczne i rezerwacja dwutygodniowego pobytu na południu Goa. Kiedy Miranda obróciła się przez ramię, ujrzała w drzwiach przepierzenia uśmiechniętą radośnie Charlotte.

- Zanim wygłosisz jakiegokolwiek krytyczne uwagi pod adresem Goa, musisz wiedzieć, że tłumy walą z reguły na północ, natomiast wedle moich dobrze poinformowanych źródeł, na południu panuje idealny spokój i na dodatek jest bardzo pięknie. Pomyślałam, że nie chciałabyś mieszkać w hotelu podobnym do tych, w których musisz się zatrzymywać podczas służbowych podróży, więc wynalazłam coś innego... chatę pokrytą liśćmi palmowymi. Ale nie wpadaj w panikę, łazienka i inne udogodnienia są tam na najwyższym poziomie. A do tego w głównym budynku oferują masaże, drinki, wycieczki, podczas których można pływać z delfinami... no i co o tym sądzisz?

- Nic lepszego nie mogłabym sobie wymarzyć, Charlotte! - Miranda uściskała przyjaciółkę i raz jeszcze zerknęła na papiery. - Jak ci się udało znaleźć takie miejsce?

- Prawdę mówiąc, zapytałam Rawiego, czy nie zna jakiegoś cudownego zakątka, a on mi powiedział, że sam często się zatrzymuje na Goa - właśnie o tej porze roku i w owym ośrodku.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że i on tam będzie?

- Nie wiem. Nie pytałam. - Charlotte z trudem kryła uśmiech. - Słuchaj, wybacz, ale mam w tej chwili tysiąc innych spraw na głowie.

Porozmawiamy po aukcji. - Charlotte zniknęła równie szybko, jak się zjawiała.

Miranda ponownie zerknęła na dokumenty. Lot z Heathrow miała zarezerwowany na najbliższy poniedziałek.

Godzinę później hol i centralna sala aukcyjna zaczęły się wypełniać, bo gwar rozmów docierał już nawet do drugiego piętra. Miranda szybko zeszła na dół, by się upewnić, że jest dość katalogów dla gości, którzy się nie znajdowali na liście stałych klientów. W foyer natknęła się na Louisa.

- Mirando, wasz katalog wywarł na mnie wielkie wrażenie - szczególnie opis brylantu z okładki. Jestem pewien, że z tak niezwykłym kamieniem musi się wiązać równie niesamowita historia.

- Rzeczywiście. I została nawet przedstawiona w książce pod tytułem „Hinduska księżniczka”, autorstwa niejakiej Sary O'Reilly. Nie chciałam jednak w notce zdradzać zbyt wielu szczegółów, żeby nie zrażać do klejnotu potencjalnych nabywców!

- Tak... Niektórych ludzi w istocie mogą odstraszyć opowieści o nieszczęściach, jakie dotknęły poprzednich posiadaczy danego kamienia.

- Ale ty, jak się zdaje, nie ulegasz przesądom - zauważyła Miranda, patrząc wymownie na wielki biały diament na środkowym palcu Louisa.

- Nic bardziej mylnego. Należę do ludzi wyjątkowo przesądnych. Ale w wypadku diamentów dowcip polega na tym, by mieć świadomość ich mocy. Bo może ją okiełznać tylko głęboka wiedza lub niewinność, która się wyraża naturalnym wyrzeczeniem się żądzy ich posiadania.

- To znaczy?

- Pole energetyczne człowieka może wpływać na kamienie albo wręcz przeciwnie - ulegać ich wpływowi. Dla głupców, ludzi próżnych lub słabego ducha diament zazwyczaj bywa groźną błyskotką, ale silnym i mądrym niekiedy daje wsparcie, a już z pewnością w żaden sposób nie szkodzi.

- Czy posiadasz wiele diamentów?

- Owszem. Ale szukam kamienia bardzo niezwykłego, którym mógłbym przystroić moją boginię Kali. Ona, w odróżnieniu od ciebie, potrzebuje światła i przejrzystości diamentu jako przeciwwagi dla swojej mrocznej natury. Diament może ją obłaskawić, bo wedle legendy przynależy planecie Wenus. Włosi nazywają ten kamień *amante di Dio*, co oznacza...

- Miłość Boga. Tak, wiem.
- A przecież właśnie tego wszyscy pożądamy, czyż nie?
- Chyba tylko głęboko wierzący chrześcijanie...
- Jeżeli potraktujesz tę nazwę bardzo dosłownie.

Intensywny wzrok Louisa sprawił, że Miranda przestała się rozglądać po foyer, skupiając spojrzenie na jego twarzy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- „Miłość boga” jest w istocie powrotem nadziei zwiastującej koniec cyklu moralnego i społecznego upadku, który Hindusi nazywają Erą Kali. Kiedy wraca nam wiara i nadzieja, przestajemy się obsesyjnie koncentrować na kontroli nad własnym życiem - zaczynamy dostrzegać wyższe wartości. To także jest domena Kali.

- I wierzysz, że ten pożądaný stan można osiągnąć, ofiarowując owej bogini diamenty?

- Nie diamenty, ale jeden, bardzo szczególny kamień... ten, który jej wydarło, tak jak się wydziera serce...

W tym momencie ktoś zagadnął Mirandę o któryś z obiektów przedstawionych w katalogu, co Louis uznał za sygnał do odwrotu - skinął głową, po czym z tajemniczym uśmiechem na ustach rozpląnął się w tłumie wypełniającym foyer.

Sala aukcyjna była zapchana po brzegi. Zjawili się wszyscy stali bywalcy podobnych imprez: cały rząd zajmowały arabskie kobiety, tak obwieszane klejnotami, że aż biła od nich łuna. Nieopodal siedzieli dwaj greccy dealerzy, którzy się zawsze pojawiali w skórzanych mokasynach, wsuniętych na bosc stopy (nawet w środku śnieżnej zimy), poza tym jak zwykle przybyło sporo japońskich biznesmenów, pokaźna grupa znanych kolekcjonerów, dwie pulchne Hinduski - matka i córka - w barwnych sari, a także pewne urocze, francuskie małżeństwo, mieszkające w Monte Carlo i spędzające czas na wycieczkach jachtem oraz nabywaniu kosztowności. Miranda dostrzegła ponadto kilka nowych twarzy, co również spotkało się z wielkim zadowoleniem Kennetha.

W niecałą godzinę aukcja dobiegła końca. Dealerzy z różnych stron świata, prowadzący licytację telefoniczną, śrubowali ceny - zgodnie z oczekiwaniami Mirandy. Diamenty pani Polasky, a przede wszystkim Rawiego, były gwiazdami imprezy aż do chwili, gdy wywołano ostatni

okaz - czerwony brylant. O ten właśnie kamień postanowił walczyć Louis. Licytacja się ciągnęła przez długie dziesięć minut, aż w końcu na placu boju pozostał jedynie on i jakiś anonimowy nabywca, prowadzący transakcję przez telefon. W końcu i licytatorowi udzieliła się nerwowa atmosfera, gdy nieznany potencjalny nabywca wahał się coraz dłużej przed kolejnym podbiciem ceny. Miranda stała dostatecznie blisko, by zauważyć, że z czoła agentki trzymającej słuchawkę telefonu w pewnej chwili zaczął spływać pot.

Kiedy ostatecznie Louis nabył czerwony brylant za trzy i pół miliona funtów, Miranda posłała Kennethowi pełen zadowolenia uśmiech, po czym wymknęła się bocznym wyjściem.

Nie ujrzała Susany w foyer, więc wiedziona impulsem zajrzała do sali wystawowej sztuk pięknych. I rzeczywiście, Susana stała przed portretem „Wenus z Waterloo” - wpatrywała się w obraz z takim skupieniem, jakby poszukiwała w nim szczególnej inspiracji.

- Chyba jednak nie zdecyduję się na udział w aukcji - oznajmiła, gdy Miranda stanęła u jej boku. - Kiedy zobaczyłam ten portret w zeszłym tygodniu, pomyślałam, że byłabym skłonna wydać każde pieniądze, byle tylko go zdobyć. Ale teraz zmieniłam zdanie. Lily wołałaby z pewnością, żeby obrazy jej męża wisiały w jednym miejscu, podziwiane przez prawdziwego konesera. Louis już posiada dwa obrazy Franza Korchynia, a obraca się w takich kręgach, że może spełnić marzenie Lily i zapewnić Franzowi rozgłos, jakim nie mógł się cieszyć za życia.

- Louis właśnie kupił czerwony brylant. Sądzę, że zechce nim ozdobić swój posąg bogini Kali.

- Naturalnie... - Susana mruknęła cicho, jakby mówiła do siebie. - Pewna legenda głosi, że jeżeli się usunie klejnot z oka idola, może to doprowadzić do koszmarnego chaosu, ale gdy się zwróci kamień - znów nastanie harmonia. Może więc i Kali okaże światu łaskę.

- Nie bardzo pojmuję. - Miranda nie kryła ciekawości.

- Lily sugeruje w swoich listach, że tajemnicze morderstwa popełniano w imię czarnej bogini. Składane w ten sposób ofiary miały złagodzić gniew Kali, który wybuchnął z niezwykłą mocą, gdy ograbiono jej posąg z czerwonego diamentu.

W metrze Susana wyjawiała wszystko, czego się dowiedziała o dziwnych morderstwach, popełnionych w Londynie w 1864 roku, i Miranda uświadomiła sobie, że te wydarzenia są jej znane.

- Ależ to jeden z głównych wątków powieści Sary O'Reilly!

Susana skinęła głową, jakby to było dla niej oczywiste.

- Przez cały tydzień poszukiwałam egzemplarza drugiego wydania „Hinduskiej księżniczki” - przyznała.

Miranda zakryła dłonią usta, gdy sobie przypomniała, że miała Susana wysłać książkę pocztą.

- Nie ma o czym mówić - odparła z uśmiechem Susana. - Wiedziałam, że nie będziesz miała do tego głowy. Właśnie dziś rano odezwała się do mnie antykwaryuszka z Charing Cross Road z wiadomością, że znalazła egzemplarz drugiego wydania „Księżniczki”. Odebrałam go, jadąc do ciebie, więc jeszcze nie zdążyłam przejrzeć ważnego prologu. Powiedz mi jednak, co ty wyczytałaś w książce Sary. Kto popełnił owe morderstwa?

- Pewien Hindus, który podążał za diamentami z Benaresu aż do Londynu.

- A czy ktoś mu w tym pomógł?

- Owszem. Mała, biedna, zauroczona nim dziewczynka, która niebawem celnie strzelała z procy.

- Ellen O'Reilly - powiedziała z wolna Susana.

Miranda spojrzała na nią ze zdumieniem, Susana tymczasem szybko porządkowała wszystko w głowie.

- „Księżniczka” jest w istocie oparta na faktach - rzekła po chwili. - W tej książce Sara wyjaśnia zagadkę morderstw z 1864 roku i ukazuje ich związek z czerwonym diamentem. Zabójcą był Wikram - zakochany w Saraswati fanatyczny czciciel bogini Kali. W dokonaniu zbrodni pomagała mu Ellen - przywiązana do Wikrama siłą tragicznego uczucia. Ellen z pewnością widziała, jak Gowinda napadł na jej „hinduskiego księcia” w jednym z zaułków Diabelskiego Kwartалу. Wystrzeliła z procy, by ugodzić Gowindę, ale przypadkowo trafiła w Wikrama i uciekła przekonana, że go zabiła, podczas gdy dzieła dokończył Gowinda.

Wysiadły z metra na stacji West Brompton, a gdy przechodzili przez bramę cmentarną, Susana na nowo podjęła opowieść.

- Ellen wyznała to wszystko Sarze przed śmiercią. I chociaż współuczestniczyła w dwóch morderstwach, trudno obarczać ją za cokolwiek odpowiedzialnością. Była jeszcze dzieckiem, wiele przeszła w życiu. I na dodatek umarła z przeświadczeniem, że się przyczyniła zarówno do śmierci swego przyjaciela, Świętego Joego, jak i ukochanego „hinduskiego księcia”.

- Niesamowite - odezwała się Miranda. - Przedstawiłaś wszystko tak, jakbyś przeczytała całą powieść. Ale w książce jest jeszcze finałowa scena, w której jasnowłosa dziewczynka wyznaje siostrze - zapewne literackiemu *alter ego* samej Sary - że bardzo już by chciała iść do nieba, bo oprócz mamy i papy czeka tam na nią hinduski książę i Święty Joe, którym w końcu będzie mogła wszystko wyjaśnić.

Ruszyły zarośniętą ścieżką, biegnącą wzdłuż majestatycznych, marmurowych grobowców oraz prostych, omszałych nagrobków.

Wysmukłe kamienne anioły uśmiechały się do nich uśmiechem istot pogrążonych w wiecznej szczęśliwości, w powietrzu rozbrzmiewały ptasie śpiewy, a wszędzie wokół leżały świeże kwiaty. W pewnej chwili Susana skręciła w bok i zatrzymała się przed eleganckim nagrobkiem z białego marmuru, na którym wyryto:

*Lily Korechnya*  
*ur. 1836 - zm. 1886*

*Niech tylko trawę w górze*  
*Skropi raz po raz deszcz;*  
*I jeśli chcesz, pamiętaj,*  
*Zapomnij, jeśli chcesz.*

Tuż obok znajdowała się kolejna biała płyta nagrobna:

*Sara O'Reilly*  
*ur. 1850- zm. 1921*

*Śniąc przez nieskończony,*  
*Niezmiennie szary zmierzch,*  
*Albo pamiętać będę,*  
*Albo zapomnę też.*

Susana wyjęła z torby egzemplarz „Hinduskiej księżniczki”, który rankiem odebrała z antykwariatu.

- Sara byłaby bardzo dumna, gdyby wiedziała, że jej książkę można nadal kupić w Londynie. Do drugiego wydania napisała po latach nowy prolog, który, jak sądzę, mógłby cię zainteresować. Chcesz posłuchać?

Miranda skinęła głową i obie usiadły na trawie obok marmurowych nagrobków.

Saraswati marzyła, by poczuć twardy kryształ pod stopami podczas nocnej kąpieli w wodach rzeki. Zawsze wchodziła w jej nurt wtedy, gdy Wenus wisiła nad horyzontem, bo była to najpomyślniejsza pora na poszukiwanie diamentów. Saraswati dobrze wiedziała, że jeden mały kamień mógł uczynić z biedaków bogaczy, jeśli mieliby dość odwagi, aby go zatrzymać. Rozmyślała, jak i gdzie mogłaby ukryć kryształ, by w odpowiednim czasie zanieść go do Benaresu i sprzedać kupcowi handlującemu drogocennymi kamieniami. Wówczas jadłaby ryż ze złotych misek, nacierała ciało perfumowanymi olejkami i nosiła sari z najdelikatniejszego jedwabiu. Stałaby się kimś ważnym.

Saraswati zeszła nad opustoszały teraz brzeg rzeki. Na mulistej płyciźnie woda poruszała się nieznacznie w rytm leniwego nurtu. Wszyscy poławiacze kryształów wrócili już do wioski, gdzie żony natarły ich obolałe plecy olejkiem z goździków. Przez cały dzień nurkowali i wyęźżali wzrok w zielonkawej, mętnej toni, do której docierało niewiele promieni słonecznych. Wokół wirował szlam, a oddech wstrzymywali tak długo, że aż czuli palenie w płucach. Byli prostymi ludźmi i kiedy znaleźli cenny kryształ, uważali, że zostali wyróżnieni przez jednego z licznych bogów, tańczących na wietrze, śpiewających i poświstujących w trzcinach.

Saraswati wchodziła na coraz większą głębię i brzeg jej sari zaczął się unosić wraz z prądem, a srebrne bransoletki na kostkach nóg oblepiły się rzeczonym mułem. Kiedy ciemna, szklista woda sięgnęła jej powyżej pasa, Saraswati odchyliła do tyłu głowę, by nie widzieć nic prócz księżyca i migotliwych gwiazd.

Od wczesnego dzieciństwa stawała na szczycie wielkich grot, przez które wijąc się, przepływała rzeka. Z tej wysokości poławiacze kamieni zdawali się rojem os - codziennie stu mężczyzn w białych dhoti i turbalach nurkowało i przeczesało palcami denny muł. Ich kolana i łokcie pokrywały się świeżymi otarciami, a paznokcie tak rozmiękały, że niemal odchodziły od ciała.

Saraswati weszła jeszcze trochę głębiej. Wiedziała, że pod miękkim nanosem drzemią drogocenne kamienie, otulone w kołderkę szlamu. Po-deszwy jej stóp były równie wrażliwe na dotyk jak opuszki palców -



wyczułaby więc natychmiast, gdyby natrafiła na surowy kryształ, tym bardziej że od dziecka przebierała wśród kryształów palcami, bo ojciec pozwalał jej zaglądać do swojego koszyka poławiacza.

Przesuwała delikatnie stopami po gładkich otoczakach. Sari miała już zupełnie przemoczone - żółta, szorstka bawełna zaczynała ciążyć, więc Saraswati pociągnęła za koniec tkaniny i wyzwoliła się z jej zwoju. Jeszcze nigdy nie kapła się nago, ale tego wieczoru ogarnęła ją niezwykła śmiałość. Prąd omywał jej biodra i nogi, szarpał za rozwinięte sari, więc zawiązała je wokół talii, by bogini rzeki nie uniosła go w dal.

Nagle wyczuła coś twardego pod stopą i zanurkowała. Odtłamek skalny na jej jasnej dłoni wydawał się niemal czarny. Zacisnęła mocno palce na ostrym, gruzelkowatym kamieniu i popłynęła w stronę brzegu. Wyszła z wody, odwiązała sari i rozłożyła długi pas bawełny na ciepłej trawie. Potem sama na niej usiadła i rozwarła dłonie. Tak mocno ją zaciskała, że ostra krawędź przecięła delikatną skórę. Przez chwilę Saraswati sądziła, że to jej krew spłynęła na niewielki kryształ, wynurzający się ze skalnej skorupy - bo w bladym świetle księżyca połyskiwał taką samą czerwinią.

Żona kapłana obudziła męża, gdy ojciec Saraswati zjawił się w ich lepiance z czerwonym klejnотem. Kapłan był najstarszym i najmądrzejszym człowiekiem w wiosce, a poławiacze kryształów nie mogli się zgodzić, czym w istocie jest ów czerwony kamień. Ktoś twierdził, że to rubin, ktoś inny utrzymywał, że granat, i tylko ojciec Saraswati się upierał, że jego córka znalazła diament. Słyszał już bowiem o czerwonych diamentach, choć wiedział, że są one równie rzadkie jak opady deszczu na pustyniach Radżastanu.

Kapłan z kryształem w dłoni wyszedł przed lepiankę, gdzie się już zebrała cała wioska. Wpatrywał się bardzo długo w niezwykły kamień, który trzymał na wyciągniętej dłoni, i z lękiem myślał, że maharadza wreszcie dostanie brakujący do jego kolekcji diament.

W ciemnej skorupie skały, pod niebem, na którym migotała Wenus, planeta rządząca diamentami, mały kamień zdawał się jarzyć niczym rozżarzone węgle i strzelał czerwonymi iskrami, jakby padł na niego nagle promień słońca. Kapłan pokiwał w zamyśleniu głową, po czym kazał jednemu z wieśniaków przynieść diament ze świątyni - bo tam właśnie przechowywano kryształy do czasu przybycia poborcy skarbowego maharadzy.

Kiedy wieśniak powrócił z diamentem, kapłan chwycił kamień w dłoń, po czym oznajmił:

- Tylko diament może zarysować diament.

Przejechał krawędzią małego czerwonego kryształu po płaskiej powierzchni dużo większego, bezbarwnego kamienia, żłobiąc w nim wyraźną rysę.

- Widzicie? - zwrócił się do zgromadzonych, po czym wybuchnął śmiechem.

Czerwony diament był najrzadszym ze wszystkich kryształów - najbardziej pożądanym i najpotężniejszym. Kapłan nie mógł tylko uwierzyć, że podobny klejnot odnalazła kobieta.

Zaniósł cudowny kamień do świątyni, ale wciąż targał nim niepokój. Usiadł więc pod gwiazdami, zatopił się w medytacji i modlitwach, aż w końcu spłynęło nań oświecenie i już wiedział, jak powinien postąpić w tej trudnej sytuacji.

Do tej pory nie wierzył, że ktokolwiek znajdzie kryształ tej barwy i że maharadza zgromadzi dziewięć różnokolorowych diamentów. Dziewięć kryształów, dziewięć planet, dziewięć bóstw. Nawaratna. Jeżeli książę sporządzi upragniony amulet z samych diamentów, a nie z różnych kamieni o mniejszej mocy, wówczas skoncentruje olbrzymią energię bogów. Taki talizman mógłby się stać śmiertelnie niebezpieczny, dlatego maharadza nie może się dowiedzieć o istnieniu czerwonego diamentu - przynajmniej na razie. Trzeba go dobrze ukryć, powierzyć opiece bogini Kali.

Tylko w jednym miejscu krwisty kryształ mógł uczynić więcej dobra niż zła. Posąg czarnej bogini w wioskowej świątyni miał otwór pośrodku czoła, symbolizujący trzecie oko mądrości. Kapłan zawsze trzymał tam jeden z diamentów, by Kali mogła wszystko jasno widzieć swoim trzecim okiem. Otwór był dość duży, by schować czerwony kryształ i zastąpić go innym kamieniem. Teraz bogini z pewnością spojrzy łaskawie na całą wioskę - i z tym przekonaniem kapłan ułożył się spokojnie do snu.

Saraswati natomiast nie mogła zasnąć. Od lat w tych miesiącach, gdy na niebie ukazywała się Wenus, wymykała się nad wodę, zawsze w żółtym sari, w nadziei że pewnego dnia rzeka pomyli ją z boginią, po której otrzymała imię, i obdaruje drogocennym kryształem. I w końcu

obdarowała - na dodatek wyjątkowo niezwykłym, bo diamentem koloru krwi. W tej chwili spoczywał on w świątyni, gdzie był bezpieczny, ale wkrótce zabierze go stamtąd poborca maharadży i zabierze do Benaresu.

Straszliwa bogini Kali była wyjątkowo odrażająca, gwałtowna i okrutna, więc nawet inni bogowie czuli na jej widok lęk. Miała rozczochrane włosy, nosiła nieprzystojną suknię, pas z odrąbanych ramion i naszyjnik z czaszek. Za zausznice służyły jej ciała maleńkich dzieci. Normalnie świątynie Kali stały poza granicami wioski, ale tutaj strzegła ona diamentów, których nikt nie ośmieliłby się ukraść, bo nawet najbardziej zatwardziali bandyci lękali się czarnej bogini.

Saraswati też nigdy by się nie odważyła ukraść czerwonego diamentu, chociaż miała wrażenie, że ją przyzywa, kusi obietnicą szczęścia. Zakradła się więc do świątyni, by tylko na niego zerknąć, i zobaczyła, że kapłan nie umieścił go pośród innych diamentów. A więc chciał jej cudowny klejnot zatrzymać dla siebie!

Saraswati obudziła się o wschodzie słońca. We śnie bogini Kali kazała jej iść do Benaresu - Miasta Świata - gdzie nad brzegiem Gangesu wznosiły się wspaniałe pałace, do których wkrótce mieli się zjechać wszyscy maharadzowie z okazji święta Diwali. Owego dnia Lakszmi, bogini fortuny, odwiedzała te domy, do których oświetlano jej drogę świecami lub latarniami, i zapewniała mieszkańcom szczęście na nadchodzący rok. Równie doskonała tancerka jak Saraswati z pewnością znajdzie pracę w święto Diwali i bez trudu podbije serce maharadży, gdy ofiaruje mu to, czego on pragnie najbardziej - dziewiąty diament.

Miranda głośno westchnęła.

- Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że Kali jest wreszcie usatysfakcjonowana, bo przecież odzyskała swój czerwony diament.

- A która kobieta nie byłaby szczęśliwa, gdyby dostała najrzadszy kryształ, jaki istnieje na ziemi?

- Mnie by taki prezent nie uszczęśliwił - oświadczyła stanowczo Miranda. - Prawdę mówiąc, poczułam ulgę, gdy się go pozbyłam. Aż trudno uwierzyć, że coś równie pięknego i drobnego mogło doprowadzić do tak wielu tragedii i wypaczyć tak wiele charakterów.

Susana skinęła głową w zamyśleniu.

- A czy nie uważasz za coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności, że to właśnie Louis, potomek Cyntii Herbert, zwrócił bogini Kali czerwony diament? - spytała po chwili.

- Nie jestem pewna, czy jeszcze wierzę w „zwykłe” zbiegi okoliczności. Tylko pomyśl, jakie to niesamowite, że spotkałyśmy się w Indiach, tropiąc ślady przeszłości, i obie odnalazłyśmy przedmioty pozostawione tam przez Lily. - Spojrzała na marmurowe nagrobki. - Mam nadzieję, że teraz i Lily, i Sara będą mogły już spoczywać w spokoju.

- Jeszcze nie całkiem - odparła Susana. - Ale tak właśnie się stanie, gdy prace Lily spotkają się z należytym uznaniem.

Podniosły się z trawy i powolnym krokiem ruszyły w stronę cmentarnej bramy, zwracając się teraz ku bardziej przyziemnym tematom.

- Wydawało mi się, że nie znosisz Indii! - zaśmiała się Susana, kiedy usłyszała, dokąd przyjaciółka się wybiera na wakacje.

- Urn... Muszę zwalczyć w sobie tę niechęć - mruknęła Miranda z niewyraźną miną i szybko zmieniła temat. - A co z twoją książką? Czy poświęcisz na jej pisanie całe lato?

- Owszem, a kiedy już skończę, Lily zyska nieśmiertelność.

- A ja myślę, że już ją zyskała, nie sądzisz?

*...Ci, którzy kpią z mej mocy, powinni się mieć na baczności i wczytać w opowieści o przeklętych diamentach, cudownie cyzelowanych kryształach, przez które upadały całe królestwa. Wiele było w historii podobnych kamieni - zdolnych rzucać urok, przywozдить do zguby, bo niezwyklej, oślepiającej świetlistości diamentu towarzyszą zawsze najgłębsze, najmroczniejsze cienie.*

*To ja zapalam gwiazdy i budzę bogów, którzy władają planetami, uwalniają ich energię. Trwam niewzruszenie od prapoczątków wszechświata, mam więc wiedzę i mądrość odwiecznego starca. Moje niezwykle piękno oszalamia i wzbudza pożądanie, któremu bardzo niewiele potrafi się oprzeć. A właśnie pożądanie jest dla mnie tchnieniem życia, z wielokrotnia mą moc, kształtuje losy. Gdzie nie ma pożądania, nie ma i celu.*